



# NORMAN HILARY W SIECI KŁAMSTW

---

Tytuł oryginału: Mind Games

**Sam Becket 01**

*Dla Angeli Heard, mojej nieodżałowanej przyjaciółki, której życzeniem zawsze było, żebym pisała powieści sensacyjne. Ta jest dedykowana Tobie, Angie*

TLR

Pragnę wyrazić ogromne podziękowania (w porządku alfabetycznym): Howardowi Barmadowi, Jennifer Bloch, Lynn Curtis, Sarze Fisher, Gillian Green, Jonathanowi Kernowi za wszechstronną pomoc, a także Rose Klayman z „Miami Herald”, Kate Miller, detektywom: Paulowi Marcusowi oraz Paulowi Scrimshawowi z wydziału policji w Miami Beach, którzy podzielili się ze mną wiedzą, okazując mi serdeczność i wielką cierpliwość, choć zjawiłam się w najmniej odpowiednim dla nich czasie. Hercie Norman, jak zwykle za jej codzienne krytyczne „recenzje”, Judy Piatkus, Helen Rose, oraz personelowi hotelu Sheraton w Bal Harbour. Dodatkowe specjalne podziękowania składam klanowi Tarlow -Alison R. Tarlow, M.S., Scottowi J. Sale'owi, Sharon Tarlow i, jak zawsze, doktorowi Jonathanowi Tarłowowi (tym razem na równi za konsultacje medyczne oraz pomoc dotyczącą terminologii żeglarskiej).

\*

Jak zawsze w moich powieściach wszystkie postacie i sytuacje są wymyślone. A także, w tym wypadku (choć miejsce akcji jest oczywiście prawdziwe) również panująca na Florydzie pogoda.

**Plik odzyskany**

**Nazwa pliku: Mój dziennik**

**Bieżący katalog: c:/wp win/rozmaitości**

**Wielkość pliku: 14912 bajtów**

**29/03/1998 23:08**

**Plik zabezpieczony hasłem**

**Plik: c:/wpwin/rozmaitości/dziennik**

**Hasto: N-I-E-N-A-W-I-Ś-Ć**

**OK ANULUJ**

TLR

# Dziennik Cathy

---

*Wtorek, 31 marca 1998*

Widzę ich twarze, widzę, jak uśmiechają się do mnie i przypominam sobie, co mi zrobili; co naprawdę do mnie czują. Nienawidzę ich. Naprawdę ich nienawidzę. Myślę, że już dłużej nie zdołam tego wytrzymać.

TLR

# ROZDZIAŁ 1

---

Piątek, 3 kwietnia 1998

Gospoia Robbinsów, Anita del Fuego, stawiała się do pracy w domu przy Pine Drive pod numerem trzecim o tej samej porze co zwykle: o szóstej trzydzieści rano. Przyjemność sprawił jej krótki spacer od przystanku linii „K” w orzeźwiająjącym powietrzu przesyconym wonią sosen, które ozdabiały tę reprezentacyjną ulicę Miami Beach. Anita - z natury ranny ptaszek - weszła do domu bocznym wejściem, nucąc pod nosem, powiesiła na wieszaku swój poliestrowy żakiet w jaskrawe, kwieciste wzory, włożyła biały fartuch - świeżo wyprany i odprasowany, tak jak zawsze sobie tego życzyła *señora* Robbins - i zmieniła pantofle na białe pielęgniarskie obuwie o miękkiej podeszwie. Nie przestając śpiewać, weszła do kuchni i nagle znieruchomiała. Coś było nie w porządku.

W domu panowały niezwykle ciemności i cisza. Żaluzje w kuchni nadal były opuszczone i nie czuło się aromatu świeżo zaparzonej kawy. *Señor* Robbins zawsze wypijał pierwszą filiżankę na pół godziny przed przyjściem Anity do pracy; czasami zastawała go jeszcze przy kuchennym stole, gdzie siedział w milczeniu. Przeważnie jednak w chwili jej przyjścia ubierał się na piętrze albo nie było go już w domu. W każdym razie to *señor* zawsze rozsuwał wszystkie zasłony i podnosił żaluzje na parterze przed przyjściem gospoisi.

Nie dzisiaj jednak.

Anita wyszła do holu i zaczęła nasłuchiwać. Nie doszły do niej żadne odgłosy. W domu panowała przeraźliwa cisza.

Gospoia uniosła rękę bliżej oczu i zerknęła na zegarek, upewniając się, czy nie pomyliła godziny. Wskazywał wpół do siódmej. Najwyższa pora, aby młoda Cathy wstała, wzięła prysznic i zaczęła się ubierać do szkoły.

Anita dostała gęsiej skórki. Ogarnęło ją złe przeczucie. *Ridiculo*, Anita, przywołała się szeptem do porządku. Prawdopodobnie sprawa sprowadzała się do tego, że wszyscy zaspali. Przekonywała samą siebie, że gdy wejdzie na piętro i zastuka do pokoju Cathy, zastanie ją skuloną na boku pod kołdrą - w pozycji, w jakiej dziewczynka zwykła sypiać.

Dodając sobie w ten sposób odwagi, Anita zaczęła wchodzić po schodach na górę. Nic innego nie mogło się stać. Postanowiła, że obudzi Cathy, a potem nastolatka wyrwie ze snu mamię i papę... A może *señor* Robbins wyszedł z domu wyjątkowo wcześniej, ażeby zrobić zakupy na targu do swoich restauracji i nie

miał czasu na odsłonięcie żaluzji ani na zaparzenie kawy, a *señora* zapomniała o nastawieniu własnego budzika? Pewnie tak właśnie było.

Dlaczego więc wciąż nie opuszczało jej złe przeczucie?

Dziewczynki nie było w łóżku. Anita spostrzegła otwarte drzwi do łazienki,

- Cathy? - spytała cicho.

Nie padła żadna odpowiedź.

Anita podeszła do drzwi i zajrzała do środka. Zasłona w prysznicu była rozsunięta i sucha, a na grzejniku wisiał starannie złożony, jasnoróżowy ręcznik kąpielowy.

Gospościa poczuła, że zaczęły się jej pocić dłonie. Nie rozumiała, co jest powodem jej strachu, ale coś ją gryzło, jakiś ponury niepokój, który potęgował się z każdą sekundą i od którego za wszelką cenę chciała uciec. Otworzyła usta, ażeby zawołać po raz drugi, tym razem głośniej, ale zamknęła je, uciszona panującym wokół bezruchem oraz własnym przeczuciem.

*Cobarde*, zbeształa się w myślach. Tchórz.

Zrobiła w tył zwrot, wyszła z pustego pokoju Cathy i ruszyła korytarzem w stronę zamkniętych drzwi sypialni *señora* i *señory*. Dwa razy delikatnie zastukała. Cisza stała się jeszcze bardziej przytłaczająca. Anita zastukała ponownie, chwyciła za klamkę i poczuła jej chłód w rozpalonych dłoniach. Jeszcze przez chwilę się wahała, ale w końcu otworzyła drzwi.

W pokoju panowały nieprzeniknione ciemności. Ciężkie kotary wciąż były zasunięte. Anita zrobiła dwa kroki w głąb sypialni i zatrzymała się, ażeby przyzwyczaić oczy do mroku.

Powoli w jej polu widzenia pojawiły się zarysy łóżka. Dostrzegła na nim niewyraźne kształty. Garby i wklęsłości. A także czarne faliste. Nieruchome faliste. Anita stała jak skamieniała starając się coś dosłyszeć poza szumem klimatyzatora.

Zaczęła się trząść.

W powietrzu unosił się dziwny zapach.

Nie budził wątpliwości. Ostry i zwierzęcy przywodził na myśl woń jej comiesięcznej *regla*, oraz ciężki odór, jaki zawsze wyczuwała w obecności swojego kuzyna, Bobbiego, który pracował na targu u handlarza mięsem.

Powstrzymała zbierające w gardle wymioty przyciśniętą do ust dłonią. Mijały sekundy. Na wpół oślepiąca Anita wciąż nie miała odwagi się poruszyć. Pochyliła nieznacznie głowę w stronę okien. Ażeby rozsunać zasłony, musiałaby przejść przez pokój i minąć łóżko oraz te garby pod kołdrą, które tak czerniły się w ciemnościach.

Zapal światło!

Cofnęła się do drzwi i lewą dłonią odszukała kontakt.

Nacisnęła go.

Zobaczyła, że czarne nakrycie na łóżku wcale nie jest kołdrą, lecz tym, co wyczuła. Krwią.

Rozbryzganą na nich trojgu, na prześcieradłach i na poduszkach. Rozbryzganą na desce u wezłowania łóżka, a także na ścianach i abażurach obu nocnych lampek.

Otworzyła usta, ażeby krzyknąć, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Ogarnęło ją czarne, przyprawiające o mdłości uczucie, dusząc ją i pochłaniając niczym spiralny korkociąg tornado, który wciąga w siebie wszystko, co znajduje się wokół. Ona cała wydawała się porwana przez ten wirujący komin i wessana do czarnej, wąskiej, ciągnącej się w głąb dziury. Wszyscy martwi. Wszyscy martwi. Były to jedyne na wpół logiczne myśli, jakie zawirowały jej w głowie.

Zwłoki trojga ludzi.

Osoba w środku poruszyła się nagle i usiadła.

Dopiero wtedy rozległ się wrzask Anity, który nie ustawał. Dochodził gdzieś z głębi jej wnętrza; z wąskiego, wirującego otworu przerażenia i wydobywał się przez jej usta w martwą ciszę, tryskając wibrującym, ogłuszającym rykiem.

Cathy Robbins, której błękitne oczy niemal błyszcząły na tle umazanych krwią policzków i czoła, a złote włosy były zmierzwiłone i pociemniałe, wyciągnęła obie ręce w kierunku Anity w niemym, błagalnym geście.

Gospośnia utkwiała oczy w ustach dziewczynki i dostrzegła, że również są czerwone od krwi.

Nie przestając krzyczeć, Anita del Fuego obróciła się na pięcie i rzuciła do ucieczki.



## ROZDZIAŁ 2

---

Sam zostawił Martineza, Rileya, lekarza policyjnego, ekipę zabezpieczającą ślady na miejscu zbrodni, zastępcę prokuratora stanowego, oszołomioną panią del Fuego oraz zwłoki i poszedł sprawdzić, co z ocalałą dziewczynką. Chociaż detektyw Samuel Becket od sześciu lat pracował w jednostce do spraw zabójstw wydziału policji w Miami Beach i niejednokrotnie widywał sceny zbrodni, to uczucie bezgranicznej odrazy nigdy w nim nie słabło. Wiedział, że pomimo nieprzepartej chęci rozwiązania zagadki tych brutalnych, niemal nieludzkich zabójstw, jeśli tylko nadarzy mu się okazja czmychnięcia z tego przerażającego miejsca, niechybnie z niej skorzysta. A ponieważ sierżant Kovac właśnie jemu powierzył prowadzenie obecnego śledztwa, więc Sam musiał pozostać w tym domu.

Nigdy dotychczas w swojej policyjnej karierze nie spotkał się z bardziej odrażającą zbrodnią. Arnold i Marie Robbinsowie - typowi przedstawiciele klasy średniej, małżeństwo restauratorów - zmarli z poprzecinanymi tętnicami szyjnymi w swoim małżeńskim łóżku w Miami Beach, a ich czternastoletnia córka Cathy leżała wtulona pomiędzy nimi, żywa i bez obrażeń.

W każdym razie bez fizycznych obrażeń. Obecnie Cathy Robbins przebywała w szpitalu miejskim w Miami Beach otulona białymi prześcieradłami, pod opieką najlepszych specjalistów. W każdym razie zdaniem Sama najlepszych.

- Jak ona się miewa? - zapytał swojego ojca. Doktor Becket i jego syn obejrzeni się, zaglądając przez szybę do izolatki, gdzie z zamkniętymi oczami leżała całkiem nieruchomo Cathy. Spoczywająca na kołdrze lewa ręka nosiła ślady zdrowej opalenizny Florydy, ale twarz czternastolatki była tak blada, że wydawała się niemal przezroczysta.

Detektyw Samuel Becket wiedział, że dziewczynka, jako członek rodziny bezspornie obecny na miejscu zbrodni, zostanie uznana, przynajmniej teoretycznie, za podejrzaną. Zdawał sobie z tego sprawę i ową świadomość dostrzegł również w oczach sierżanta Kovaca oraz Ala Martineza. Lecz od czasu wstąpienia do policji detektyw Becket rozwinął nawyk tłumienia w sobie emocji i oddzielania odczuć Sama-policjanta od odczuć Sama-człowieka. Obecnie Sam-człowiek przyglądał się nastolatce, która właśnie została wyrwana z piekła na ziemi. Myślał o tym, przez co przeszła, i całym sercem jej współczuł.

- Czy coś mówiła? - zagadnął ojca.

- Właściwie nie - odrzekł David Becket. - Wykrztusiła z siebie może ze dwa słowa, ale nie powiedziała niczego, co by mogło okazać się pomocne. - Umilkł, a na jego szczerzej twarzy wyraźnie malował się wyraz przerażenia.

Ten pięćdziesięciosześcioletni pediatra i internista, który jako wolontariusz przyjmował dodatkowo pacjentów na Flager Street w centrum Miami, widział niemało cierpienia, a pomimo to nie nauczył się panować nad swą ogromną wrażliwością. Jego pacjentów nękały rozliczne choroby, wśród nich depresje, a także skutki nadużywania narkotyków i przemocy i David cierpiał razem z tymi ludźmi. Robił dokładnie to, przed czym przestrzegali go przed wieloma laty na studiach medycznych. Ale prawdopodobnie po części właśnie z tego powodu pacjenci przybywali do niego tłumnie w dzień i w nocy - zarówno do szpitala, w którym pracował, jak i do bezpłatnej przychodni, którą prowadził razem z Fredem Delano i z Joan Melnick. To również było przyczyną, dla której jego żona Judy wciąż się denerwowała po tylu latach małżeństwa i od czasu do czasu ponawiała prośby, żeby mąż zrezygnował z praktyki z powodu wiążących się z nią fizycznych i emocjonalnych niebezpieczeństw.

- Dokąd poszła pani Dean? - spytał Sam.

Anita del Fuego powiedziała im, że najbliższą krewną Cathy Robbins jest siostra jej matki, Frances Dean.

-Odpoczywa w sąsiednim pokoju - odpowiedział David. - Zaaplikowałem jej środek uspokajający. Siedziała przez jakiś czas przy łóżku siostrzenicy. Jedna z pielęgniarek zauważyła jednak, że pani Dean jest bliska załamania nerwowego, i wyprowadziła ją stąd.

-Nie wiesz, czy Cathy coś jej powiedziała?

- Na razie nie.

- Ile musi upłynąć czasu, zanim będziemy mogli z nią porozmawiać?

- Trudno przewidzieć - odrzekł David. - My, to znaczy kto? Sam usłyszał rezerwę w głosie ojca. Doskonale go rozumiał.

- Jeśli ciotka dziewczynki wyrazi zgodę, prawdopodobnie ja i prawnik z ośrodka opieki nad nieletnimi. - Sam zauważył skrzywioną w wyrazie dezaprobaty twarz ojca. - Ona jest naszym jedynym świadkiem, tato. Wiesz, że będziemy delikatni.

- Prowadzicie dochodzenie w sprawie zabójstwa jej rodziców - zauważył ponuro David. - Czy w tej sytuacji możecie być delikatni?

Sam ze znużeniem wzruszył lekko ramionami.

- Czy mogę przy niej posiedzieć?

- Nie widzę problemu, o ile rzeczywiście będziesz tylko siedział.

- Nie mogę pozwolić sobie na nic więcej, dopóki pani Dean nie wyrazi zgody. - Sam umilkł. - Chciałbyś, żebyśmy zostawili ją w spokoju, dobrze wiem, ale to niemożliwe.

- Zdaję sobie sprawę.

- Będę czekał, jak długo okaże się to konieczne, tato.

- To od niej zależy, jak długo, nie ode mnie.

- Dobrze, że przynajmniej nie zdradza objawów katatonii.

- Dobrze, że choć tyle - przyznał kwaśno David.

- Co powiedzieć prawnikowi z ośrodka opieki nad nieletnimi? Jak długo będzie czekać?

- Nie mam pojęcia. - Tym razem David wzruszył ramionami. - Nigdy nie znalazłem swojej matki i ojca z poderżniętymi gardłami w łóżku.

Z bliska dziewczynka była jeszcze bledsza i wydawała się bardziej bezbronna. Jej blond włosy po myciu wciąż pozostały wilgotne przy skórze, na dole płatka ucha widniała, niczym ostateczny dowód, mała plamka zaschniętej krwi. Sam powstrzymał odruch starcia tego przerażającego piega. Przyjrzał się lewej dłoni dziewczynki - pod paznokciami nie pozostały żadne ślady, jak gdyby one również zostały wyczyszczone - albo przez policyjnego lekarza, albo przez personel szpitala. Kiedy Sam siedział na twardym plastikowym krześle, nasuwały mu się obrazy Cathy Robbins pod prysznicem i myślał o niewypowiedzianym urazie, jakim musiało być dla niej usuwanie z siebie zaschniętej krwi rodziców. Szybko jednak otrząsnął się z tych refleksji. Jego ojciec nie był w ich rodzinie jedynym człowiekiem obdarzonym zbyt żywą wyobraźnią; gdyby Sam nie został adoptowany, uznaliby, że skłonności te zostały mu przekazane w genach.

- Cześć.

Sam podskoczył na krześle. Otwarte oczy Cathy Robbins patrzyły prosto na mego. Miały bardzo intensywny odcień błękitu, a źrenice były rozszerzone - za-

pewne na skutek środków uspokajających, jakie zostały jej zaaplikowane wkrótce po odkryciu zbrodni.

- Witaj, Cathy. - Nie zapytał jej, jak się czuje, zdając sobie sprawę, że byłoby to zarówno okrutne, jak i bezsensowne. - Nazywam się Samuel Becket i jestem detektywem z wydziału policji w Miami Beach.

- Dwaj mężczyźni o tym samym nazwisku - zauważyła cicho. W uwadze tej nie było niczego niezrozumiałego.

- Doktor Becket jest moim ojcem - wyjaśnił Sam.

- Jak to możliwe? - zapytała, nie przejawiając jednak zbytniego zainteresowania odpowiedzią.

Było to pytanie, na które Sam odpowiadał już niezliczoną ilość razy. Wydało się całkiem oczywiste, zważywszy na fakt, że Sam był Amerykaninem afrykańskiego pochodzenia, a David amerykańskim Żydem.

- Zostałem adoptowany - wyjaśnił Sam.

- Ja również - odrzekła Cathy i zamknęła oczy.

Nie powiedziała nic więcej. Odezwała się dopiero późnym wieczorem, na długo po wyjściu Sama. Pielęgniarka stawiała właśnie na podłodze w izolatce dzbanek ze świeżą wodą.

- Czy to się wydarzyło naprawdę? - zagadnęła ją Cathy.

Siostra w lot pojęła, co dziewczynka ma na myśli. Cały personel szpitala został wyraźnie poinstruowany, ażeby uważać na każde słowo w rozmowie z tą pacjentką. Pielęgniarka znieruchomiała więc na kilka sekund i nic nie powiedziała.

- W porządku. - Cathy ponownie zamknęła się w sobie.

# ROZDZIAŁ 3

---

Niedziela, 5 kwietnia 1998

Grace Lucca nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak odprężona, nawet w niedzielę. Sąsiadom z Bay Harbor Islands - dwóch maleńkich, niezależnych wysp, położonych pomiędzy wytwornym Bal Harbour a północnym Miami - weekendy upływały zwykle w spokojnej, rodzinnej atmosferze. Sporo mieszkających w pobliżu Grace osób - zarówno kobiet, jak i mężczyzn - było przedstawicielami wolnych zawodów, którzy mieli dzieci w różnym wieku. Podczas weekendów jej sąsiedzi oddawali się wielu cywilizowanym rozrywkom; robili zakupy, przyrządzali posiłki na różnie, rzucali piłką do kosza albo majstrowali przy łodziach zacumowanych na tyłach swoich domów.

Grace również miała takie miejsce do cumowania i choć myślała o kupnie jakiejś małej łajby, dotychczas się na to nie zdecydowała. Ponieważ gdyby nawet to zrobiła, prawdopodobnie miałyby czas jedynie na nią popatrzeć. Po pierwsze dlatego, że jako psycholog-terapeuta rozwinęła w sobie zły nawyk, aby nie odmawiać pomocy pacjentowi w nagłej potrzebie, i to bez względu na porę dnia czy nocy. A po drugie, nie potrafiła oderwać się od pracy, choć powinna posiadać tę umiejętność.

Jednakże ta szczególna niedziela od początku miała inny przebieg. Obie zaplanowane na popołudnie wizyty zostały odwołane, pogoda była wyjątkowo piękna, a Grace po przebudzeniu czuła się nadzwyczaj rozluźniona. Zniosła do sypialni bułkę, sok, kawę oraz gazety „Herald” i „New York Times” i z powrotem wskoczyła do łóżka. Zdrzemnęła się w trakcie przeglądania rubryki poświęconej podróżom, a obudzwszy się ponownie, zobaczyła, że Harry wlaź obok niej pod kołdrę. Wstała, wzięła prysznic, nastawiła zaległe pranie, zrobiła sobie kanapkę. Od godziny pierwszej zaczęła się delectować razem z Harrym prawdziwym niedzielnym popołudniem. Siedziała na pomoście, wymachiwała nogami w powietrzu i gołymi stopami bełtała wodę. Sprawiało jej to niewypowiedzianą przyjemność. Wszystko razem było bardzo miłe. Nie robiła nic, tylko siedziała, podziwiając uroczy widok sielskiego, niemal drobnomieszczańskiego Bal Harbour po drugiej stronie wody.

Harry - urodziwy i spokojny dziesięcioletni szkocki terier - zmienił pozycję. Mocniej przylgnał swoim pokrytym gęstą, jasną sierścią ciałem do uda Grace i zamerdał krótkim, grubym ogonem.

- Nie jest ci przypadkiem za dobrze? - zwróciła się do psa. Zadzwoił telefon. Westchnęła.



Włączyła się automatyczna sekretarka. Z pomostu poprzez oszklone drzwi Grace usłyszała siebie, jak pyta o nazwisko, numer telefonu i prosi o przekazanie wiadomości. Rozległ się ostry gwizd i trzask, gdy aparatura rozpoczęła nagrywanie, a potem odezwał się obcy głos o głębokim brzmieniu.

Grace spojrzała w dół na Harry'ego.

- Mam iść posłuchać, czy dalej będziemy tutaj siedzieć? - Pies przysunął się jeszcze bliżej do niej. Nie odrywał czarnych ślepi od wody, gdy Grace drapała go za uchem. - Wiem, co o tym myślisz - powiedziała. - Ale to może być coś ważnego.

Terier zamruczał, gdy podniosła się i strząsnęła wodę z palców u nóg. Ona i Harry od samego początku stanowili dobraną parę, od pierwszych chwil w Miami Beach - najpierw w parterowym mieszkaniu na plaży, z którego po inwazji krabów pośpiesznie wyprowadzili się do niezwykle komfortowego, wytworzonego, lecz zbyt drogiego apartamentu w kondo-minium. Harry był tam kilkakrotnie bliiski oddania ryzykownego skoku z tarasu. W końcu Grace znalazła ten mały domek na wyspie, wciśnięty pomiędzy dwie okazalsze, choć wcale nie ładniejsze wille. Ten budynek w śródziemnomorskim stylu z prawdziwego białego kamienia, o łukowatych sklepieniach okien i o dachu z czerwonej dachówki, obok którego rosły dwie palmy i ciemnozielone krzewy o płomiennych kwiatach, i, co najważniejsze, przy którym znajdował się pomost, stał się domem dla Grace i Harry'ego.

Grace od pierwszej chwili wiedziała, że to miejsce zapewni jej sprzyjającą atmosferę do pracy. I rzeczywiście tak się stało. Rodzice, przyprowadzający tu dzieci na sesje terapeutyczne, w większości doceniali schludny wygląd budynku i poczucie bezpieczeństwa, jakie wzbudzał. Grace ze swojej strony dokładała wszelkich starań, ażeby jej mali pacjenci czuli się tutaj dobrze i swobodnie. I dlatego, ilekroć panowała sprzyjająca pogoda - a w południowo-wschodnim rejonie Florydy prawie zawsze było ładnie - i o ile dzieci mogły bez przeszkód przebywać na powietrzu - wyprowadzała je na pomost albo na zadaszony wewnętrzny dziedziniec. Zwykle zabierała ze sobą Harry'ego, aby pomógł się odprężyć malcom, którymi Grace się zajmowała. A jeden Bóg wiedział, że w takiej sytuacji cenny był każdy sposób rozładowania napięcia, jaki tylko mogła im zaoferować.

Telefoniczna wiadomość, pozostawiona przez detektywa z wydziału policji w Miami Beach, wydała się jej na tyle pilna, że natychmiast oddzwoniła. Był to numer na komórkę i detektyw Samuel Becket odezwał się już po drugim sygnale.

- Detektywie, mówi Grace Lucca. Właśnie otrzymałam pańską wiadomość.

- Doceniam, że tak prędko skontaktowała się pani ze mną, pani doktor. - Jego głęboki głos miał delikatne brzmienie. Grace nasunęła się niedorzeczna refleksja, że nie pasuje do policjanta.

- Nie ma o czym mówić. W czym mogę pomóc?

- Ojciec powiedział mi, że ma pani talent nawiązywania kontaktu z dziećmi, które doznały ciężkiego urazu psychicznego.

- Pański ojciec? - Grace szukała w pamięci nazwiska.

- Doktor David Becket. O ile wiem, pracowaliście już razem.

- Tak, oczywiście. - Przed jej oczami pojawiła się twarz o wydatnych rysach jednego z najbardziej oddanych swojemu zawodowi pediatrów, jakich znała. Uśmiechnęła się do słuchawki.

- To miło z jego strony, że tak o mnie powiedział. - Umilkła. - Co to za historia, detektywie?

Becket zaznajomił ją z tragedią Cathy Robbins.

- Ta mała wyszła już ze szpitala - oznajmił na zakończenie. - Mieszka u swojej ciotki, siostry jej matki. Wciąż jednak ani słowem nie wspomina o tym, co się stało.

- Trudno się dziwić, zważywszy na okoliczności.

Becket wyjaśnił, że ani jego ojcu, ani ciotce dziewczynki, Frances Dean, ani dwóm adwokatom z ośrodka opieki nad nieletnimi, ani psychiatrze ze szpitala w Miami nie udało się wydobyć z nastolatki żadnej odpowiedzi.

- Nie ma żadnej gwarancji, że ze mną zechce rozmawiać. Chyba zdaje pan sobie z tego sprawę? - zastrzegła się Grace.

- Oczywiście - zapewnił ją Becket. - Mój ojciec uważa jednak, że może zechce. - Umilkł na moment. - Musimy odkryć, o czym wie.

- Jej wiedza może być bardzo skąpa - uprzedziła go Grace.

- Musimy poznać wszystkie fakty, choćby było ich bardzo niewiele - obstawał przy swoim, bardziej przypominając teraz policjanta.

Grace namyślała się przez moment, spoglądając w dół na Harry'ego. Leżał na grzbiecie nieopodal jej stóp. Zawsze starał się trzymać możliwie jak najbliżej. Nasunęła się jej przelotna refleksja, czy Cathy Robbins lubi psy.

- Czy jej ciotka wyraziła zgodę na moją wizytę? - zapytała.

- Zapewniła, że nie jest jej przeciwna.
- Czy nie będzie za wcześnie, jeśli jeszcze dzisiejszego popołudnia się do niej wybiorę?
- Im wcześniej, tym lepiej - odrzekł Becket.
- Czy obowiązują mnie jakieś reguły postępowania co do informacji, które mogę uzyskać?

Detektyw zastanawiał się przez chwilę, nim udzielił odpowiedzi.

- Nie ma żadnych reguł. To nieoficjalna prośba, doktor Lucca, i zwracam się z nią do pani, ponieważ nikomu dotychczas nie udało się posunąć ani o krok do przodu.

- Moją główną troską będzie Cathy, a nie dobro śledztwa. Czy jest pan tego świadomy?

- Tak. Uważam jednak, że bez względu na to, czego się pani dowie, może okazać się to pomocne dla nas wszystkich.

- A więc Cathy Robbins nie jest podejrzana?

- Na razie nie - oświadczył detektyw, a Grace wyczuła, że stał się czujny. - Obecnie, o ile to panią niepokoi, jest wyłącznie ofiarą.

Chwyciła pióro ze stojącego na biurku kubka z podobizną Kaczora Donalda.

- Poproszę o adres.

Becket podał go wraz z numerem telefonu Frances Dean i podziękował Grace. Zanotowała informacje, odłożyła telefon na biurko i wyjrzała przez okno. Wciąż panowała słoneczna pogoda, lecz dla Grace skończyła się już beztraska atmosfera tego ciepłego popołudnia. Jako psychoterapeutka często rozmawiała z ofiarami gwałtu, przemocy i wszelkiego rodzaju okropieństw, zarówno tych realnych, jak i wyimaginowanych, ale po raz pierwszy miała się zetknąć ze świadkiem zabójstwa. ,

Harry przewrócił się na bok i zamruczał.

- Przewidziałeś, że tak będzie - powiedziała.



## ROZDZIAŁ 4

---

Owdowiała siostra Marie Robbins mieszkała przy Granada Boulevard, w samym sercu Coral Gables, mieście zbudowanym w hiszpańskim stylu - jednym z najstarszych w okręgu Dade. Przed ładnym parterowym biało-szarym domem z okiennicami znajdował się bujny ogród. Rosły w nim palmy, bananowce oraz para pięknych, tropikalnych drzew o palczastych liściach i dużych owocach.

Frances Dean wyglądała tak, jak Grace się tego spodziewała. Była w pożałowania godnym stanie. Jej srebrnoszare włosy, prawdopodobnie zazwyczaj elegancko uczesane, dzisiaj znajdowały się w całkowitym nieładzie, i choć podjęła wysiłek zrobienia makijażu, wszystko się rozmazało na skutek płaczu. Czarna sukienka, w której w lepszych okolicznościach prezentowałaby się atrakcyjnie, jak przystało na szykowną pięćdziesięciolatkę, podkreślała fatalny wygląd kobiety. Grace zastanawiała się, w jaki sposób pani Dean straciła męża. Wydawało się mało prawdopodobne, ażeby jakakolwiek choroba, nagła zapaść czy najbardziej tragiczny nawet wypadek mogły być tak druzgocącym ciosem dla umysłu i ciała tej kobiety, jak okoliczności śmierci jej siostry i szwagra.

- Cathy odpoczywa - oświadczyła Frances Dean, gdy Grace złożyła jej wyrazy współczucia i otrzymała w zamian zaproszenie do zajęcia miejsca na miękkiej, białej kanapie w salonie. - Albo ma taki zamiar. - Kobieta pokręciła głową. - Biedne dziecko. Nie sądzę, żeby zdołała choć na chwilę zmrużyć oko od chwili, kiedy to się stało.

- A co z panią?

- Nigdy dobrze nie sypiałam, nawet w najlepszych czasach. - Frances Dean przypomniała sobie o nakazach dobrego wychowania. - Czy mogę zaproponować pani kawę, doktor Lucca?

- Bardzo proszę, chętnie się napiję. - Grace nie miała ochoty na kawę, zdawała sobie jednak sprawę z tego, że osoby, które dopiero co straciły swoich bliskich, wolą zająć się czymkolwiek, niż siedzieć beczynnym i patrzeć przed siebie tępym wzrokiem. - Czy nie sprawi to pani zbyt dużego kłopotu?

- Żadnego. - Kobieta podniosła się z fotela i ruszyła niepewnym krokiem w stronę wysokich, masywnych drzwi prowadzących do holu, kuchni, oraz zapewne do części sypialnej parterowego domu. Zatrzymała się w wyjściu i obróciła twarzą do Grace.

- Życzy pani sobie, żebym od razu przyprowadziła Cathy, pani doktor? Czy najpierw woli pani porozmawiać ze mną przez chwilę?

- To zależy od pani - odrzekła Grace. - Jak dla pani będzie prościej.

- Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nic nie jest, ani nie będzie proste.

- Jestem tutaj, ciociu Frances.

Głos dochodził tuż zza pleców pani Dean, a młoda osoba, do której należał, była niewidoczna dla Grace z miejsca, w którym siedziała. Miał ciche i opanowane brzmienie.

Pani Dean się obejrzała.

- Cathy, kochanie. - Kobieta wyciągnęła prawą dłoń z zamiarem dotknięcia siostrzenicy, dziewczynka jednak - choć Grace podejrzewała, że nie była to zamierzona niegrzeczność - ominęła ciotkę i z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia weszła do salonu. Miała na sobie biały podkoszulek i niebieskie dżinsy.

Grace podniosła się z miejsca. Mocno biło jej serce i odczuwała niezwykle zdenerwowanie.

- Witaj, Cathy. Nazywam się Grace Lucca.

Dziewczynka zatrzymała się kilka kroków przed nią.

- Psycholog.

- Tak, zgadza się. - Grace uśmiechnęła się do niej.

- W szpitalu ciągle przysyłali mi psychologów. Nie byłam w nastroju do rozmów, więc jeden po drugim odchodzili jak niepyszni.

- Cathy... - Frances nie dokończyła zdania. Wyglądała na zmieszaną. Dziewczynka obróciła się twarzą do ciotki.

- W porządku, ciociu - powiedziała serdecznym tonem, jak gdyby czuła, że Frances wymaga łagodniejszego traktowania niż kto inny. - Sądzę, że teraz już jestem gotowa do rozmów. - Ponownie spojrzała w kierunku Grace. - Być może powodem był szpital. Tam nie mogłam mówić. - Wykonała dziwny, gwałtowny ruch, który przywodził na myśl wzruszenie ramionami. - Podejmowałam wysiłki, ale miałam wrażenie, że się duszę.

- A teraz? - spytała Grace.

- Chciałabym spróbować.

Stanowisko to przekraczało oczekiwania Grace. Wiedziała jednak, że jej ulga może okazać się przedwczesna.

- Idę zaparzyć kawę dla pani doktor - oznajmiła Frances Dean, wciąż stojąc w przejściu. - Czy masz na coś ochotę, Cathy?

Dziewczynka przecząco pokręciła głową.

- Nie, dziękuję, ciociu.

Frances Dean wyszła z pokoju. Grace wyczuła, że pani domu chętnie korzysta z możliwości ucieczki.

- Porozmawiamy tutaj, czy wolisz wyjść przed dom?

- Wolałabym zostać tutaj, jeśli pani się zgodzi. ' - Oczywiście.

Grace jako pierwsza zajęła miejsce, dając nastolatce możliwość wyboru odległości. Wielu pacjentów, zarówno młodych, jak i tych w bardziej dojrzałym wieku podczas pierwszego spotkania zwykle siadać możliwie jak najdalej od niej. Cathy zdecydowała się na przeciwległy kraniec tej samej kanapy. Zachowanie to było przejawem powściągliwości, zdaniem Grace, a nie nieufności.

- Jak mam się do pani zwracać? - spytała.

- Tak, jak jest ci wygodnie. Mam na imię Grace.

- Nie muszę mówić: „pani doktor”?

- Nie, chyba że wolisz.

- W porządku.

Cathy usadowiła się wygodnie, podwijając pod siebie nogi. Po raz pierwszy Grace odważyła się zatrzymać na niej badawcze spojrzenie. Dziewczynka wyglądała ślicznie - miała w sobie ów niezmacony urok, jaki cechuje nastolatki oraz bardzo młode kobiety przez krótki okres. Była niezwykle szczupła, niemal filigranowa, chociaż jej ramiona wydawały się mocne i dobrze umięśnione - prawdopodobnie w wyniku uprawiania sportu. Miała długie, proste, złote włosy oraz przejrzyste, błękitne oczy, a lewą tęczę upstrzoną ciemnymi plamkami. W normalnych okolicznościach Grace pomyślałaby, że na tej ładnej buzi o szczerym i naiwnym wyrazie nie odcisnęły jeszcze piętna żadne doniosłe życiowe doświadczenia. Jednak zważywszy na to, co stało się udziałem Cathy w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, wniosek, jaki natychmiast nasuwał się psychologowi, był taki, że to twarz osoby zamkniętej w sobie, a nawet ukrywającej prawdę.

Twarz jakiejś osoby. Córki dwojga zamordowanych ludzi. Świadka niewyobrażalnego koszmaru.

- Nie mam wiele do powiedzenia, pani doktor.

Grace przyłapała się na tym, że podświadomie wstrzymuje oddech i wypuściła powietrze.

- Grace - przypomniała jej lekkim, łagodnym tonem.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Nieważne, w jaki sposób się do mnie zwracasz. - Umilkła na moment. - Powiedz mi o tym, o czym jesteś w stanie mówić, Cathy - zaproponowała po chwili.

- Na temat tego, co się wydarzyło?

- Jeśli to możliwe. Albo o swoich odczuciach. O czym chcesz. O czymkolwiek.

- Naprawdę nie ma tego wiele - powtórzyła dziewczynka.

Grace czekała. Niebieskie, przejrzyste oczy przyglądały się jej długo, a potem odwróciły się w drugą stronę i zapatrzyły w pustkę. Wargi rozchyliły się, a potem ponownie zamknęły. Nie padły żadne słowa. Cathy poruszyła się niespokojnie, odsłaniając prawe przedramię. Miała na nim plaster opatrunkowy.

- Może łatwiej będzie, jeśli zadam ci kilka pytań?

- Nie wiem. - Jej oczy wciąż patrzyły w innym kierunku. - Być może.

Umysł Grace, dobrze wyćwiczony w stawianiu prostych pytań o przełomowym znaczeniu, szamotał się i czuła dziwną panikę, a także pustkę. Doszła do wniosku, że być może popełniła błąd, dając się ponieść satysfakcji tylko dlatego, że Cathy postanowiła się jej zwierzyć. I teraz Grace ogarnęła trwoga, że zawiedzie dziewczynkę.

- Spałam - oświadczyła niespodziewanie Cathy, ratując ją z opresji. - W moim pokoju.

Wyciągnięta z próżni myślowej Grace zamieniła się w słuch.

- Coś mnie obudziło. - Cathy zmarszczyła gładkie czoło w zamyśleniu. - Nie wiem co.

- Dźwięk?

- Możliwe. Nie mam pojęcia. - Oczy odzwierciedlały wysiłek, jaki sprawiało jej snucie wspomnień. - Zapamiętałam godzinę. Dochodziła czwarta. I wciąż jeszcze było ciemno.

Grace usłyszała jakiś ruch za drzwiami. Spojrzała poprzez salon i zobaczyła stojącą w holu Frances Dean. Trzymała w rękach tacę z zastawą do kawy. Przez chwilę wydawała się niezdecydowana - może nawet w rozterce, nie chcąc przeszkadzać, a jednocześnie pragnąc usłyszeć wypowiedź siostrzenicy. Zrobiła w tył zwrot i znikła z pola widzenia. Jeśli jej siostrzenica cokolwiek zauważyła, nie dała tego po sobie poznać.

- Przez jakiś czas leżałam w łóżku; nie jestem pewna, jak długo. - Cathy umilkła. - Bałam się. - Ponownie skierowała wzrok na Grace. - Nie chce pani wiedzieć, co było powodem mojego strachu?

- A ty wiesz, co?

- Nie. - Cathy przełknęła ślinę. - W każdym razie wtedy nie wiedziałam. - Znowu na moment zamilkła. - Wydaje mi się, że teraz wiem.

Uprzedzała, że niewiele ma do powiedzenia i Grace przypuszczała, że z punktu widzenia wydziału policji w Miami Beach informacje rzeczywiście są bardzo skąpe. Lecz z punktu widzenia psychologa, a także ze względu na Cathy, były wszystkim, czego Grace mogła sobie życzyć. A nawet czymś znacznie więcej.

Nastolatka przyznała, że pamięta, jak weszła do sypialni rodziców i znalazła ich w łóżku. Już wtedy nie żyli, poinformowała Grace bezdźwięcznym i niemal jednostajnie brzmiącym głosem. Z tego rodzaju tonem Grace spotykała się już kilkakrotnie przedtem, kiedy zajmowała się pacjentami, którzy przeżyli poważny wstrząs psychiczny; wydawało się im, że tłumiąc w sobie wszystkie uczucia i reakcje, zdołają nad nimi zapanować.

- Potem niczego nie pamiętam - ciągnęła dalej Cathy. - Aż do momentu, kiedy Anita obudziła mnie i zaczęła krzyczeć. - Spojrzała Grace prosto w oczy. - Jak to możliwe, że byłam w stanie zasnąć? - spytała. I po raz pierwszy na jej łagodnej buzi pojawił się błysk przerażenia. - Jak to się stało, że weszłam do ich łóżka? Jak mogłam to zrobić?

Grace zdawała sobie sprawę z tego, że dziewczynka rozpaczliwie potrzebuje odpowiedzi. Nie po raz pierwszy zdarzało się, że nie miała nic do zaoferowania pacjentowi wołającemu o pomoc. I owa niemoc tym bardziej stawała się przez to bolesna i frustrująca.

- Nie wiem - wyznała.

# ROZDZIAŁ 5

---

Sam Becket całkowicie zaskoczył Grace. Jego ojciec, lekarz, amerykański Żyd, był korpulentnym mężczyzną w średnim wieku i o wzroście nieprzekraczającym metra siedemdziesięciu centymetrów. Nosił dobre gatunkowo ubrania, lecz zwykle wyglądały na nim tak, jak gdyby przed chwilą wstał w nich z łóżka. Detektyw wyglądał na co najmniej sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, był Amerykaninem afrykańskiego pochodzenia i miał smukłą, lecz mocną sylwetkę, a jego potężnej muskulatury nie mógł ukryć nawet klasycznie skrojony ciemny garnitur. Grace była zaintrygowana, lecz ani pochodzenie policjanta, ani jego rodzinne powiązania nie należały do przewidzianych tego popołudnia tematów rozmowy jej i Becketa. Świętej pamięci Marie i Arnold Robbinsowie oraz ich córka stanowili obecnie znacznie bardziej istotny problem.

- Oczywiście to tylko pierwsze wrażenie - zastrzegła się doktor Luc-ca. - Myślę jednak, że Cathy może naprawdę nie wiedzieć o niczym, co byłoby szczególnie przydatne z punktu widzenia śledztwa.

Minęła właśnie siódma wieczorem i Grace siedziała naprzeciwko detektywa po drugiej stronie zawalonego aktami stołu w kącie biura wydziału do spraw zabójstw, które mieściło się w nowoczesnym białym budynku posterunku policji w Miami Beach przy Washington Avenue, w South Beach. Ciasne i zatłoczone pomieszczenie zostało fachowo zaprojektowane. Jedyne barwne akcenty na ścianie stanowił wielki plakat z „Aidy”, wystawionej przez Florida Grand Opera.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że czekają pana ponowne z nią rozmowy i być może, z czasem, uzyska pan więcej szczegółów. Nie przypuszczam jednak, aby Cathy okazała się pomocna w znalezieniu osoby odpowiedzialnej za te zbrodnie.

- Przynajmniej zaczęła mówić.

- Obawiam się, że wciąż jest w głębokim szoku.

- Sądzi pani, że zamknęła się w sobie? - spytał Becket.

- Oczywiście, że tak. - Grace przez dłuższą chwilę zatrzymała spojrzenie na szczupłej twarzy policjanta i starała się ocenić problem, z jakim przyjdzie jej się zmierzyć: zastanawiała się, jak dużo będzie musiała wyjaśniać. „Zamknęła się w sobie na widok podejrzanego gardła matki, a także wskutek uczucia, jakie wywołała w niej świadomość, że leży pomiędzy zamordowanymi rodzicami i obejmuje ich zakrwawione ciała...”.



- A czy mogłoby być inaczej? - westchnął Becket.

Jego głos miał łagodne brzmienie, a w jego ciemnych oczach odmalował się smutek. Ten mężczyzna, choć wykonywał zawód policjanta, może, pomimo wszystko, był nieodrodnym synem swojego ojca. Grace pozwoliła sobie na moment odprężenia.

- Kiedy ponownie będzie pan z nią rozmawiał? - spytała.

W jej wyidealizowanym świecie ofiary, jaką była Cathy Robbins, nie powinno się zmuszać do składania zeznań w obecności oficera policji, chyba że zrobiłaby to na własne życzenie. Miami jednak, które niezbyt różniło się od Chicago - rodzinnego miasta Grace Lucca - dzieliły od owej utopii miliony kilometrów. I choć Grace mogło się to nie podobać, nie pozostawało jej nic innego, jak pogodzić się z faktem, że dopóki sprawa nie zostanie zakończona, Cathy będzie musiała stanąć przed niejednym sędzią śledczym. Być może więc lepiej dla niej, że przesłuchanie miał zapoczątkować syn delikatnego, wrażliwego i mądrego człowieka.

- Jutro - odrzekł Becket. - Nie mogę już dłużej z tym zwlekać.

Pomimo niedzieli na posterunku panował ożywiony ruch. Trzej policjanci co jakiś czas wchodzili i wychodzili z biura, inni pracowali przy swoich biurkach, rozmawiali ze sobą, podchodzili do Sama, żeby zamienić z nim słowo, lub tylko po to, ażeby mu rzucić na biurko jakieś dokumenty. Detektyw wyjaśnił Grace, że z jego punktu widzenia - jako prowadzącego śledztwo w sprawie zabójstwa Robbinsów - najbardziej istotne jest to, aby każda uzyskana informacja trafiała do niego możliwie jak najszybciej. I chociaż dochodzenie zostało wszczęte dopiero przed trzema dniami, zmęczenie i napięcie policjanta były wyraźnie widoczne w jego oczach, a także w bruzdach na czole. Detektyw Becket, pomimo zabiegania, przyniósł kawę i opowiedział Grace o wszystkim, co chciała usłyszeć, a nawet o tym, o czym wolałaby nigdy się nie dowiedzieć.

Narzędzie zbrodni, wyjawiał jej w wielkiej tajemnicy, nie zostało jeszcze znalezione. Marie i Arnold zostali zamordowani czymś cienkim i bardzo ostrym. Lekarz sądowy natychmiast nabrał podejrzeń, że to rodzaj skalpela. Podczas rewizji w domu przy Pine Tree Drive natrafiono na stary, ręcznie uszyty skórzany worek zawierający równie archaiczny, lecz dosyć cenny zestaw narzędzi chirurgicznych wykonanych z litego srebra. Każde z nich znajdowało się w oddzielnej, wąskiej przegródce, a jedna była pusta. Według zeznań Frances Dean, narzędzia pozostawił w spadku Cathy jej zmarły ojciec, pierwszy mąż Marie.

- Był chirurgiem? - spytała Grace.

- Lekarzem ogólnym - wyjaśnił Becket. - Jego ojciec był chirurgiem.

- Skoro więc brakujący skalpel stał się zapewne narzędziem zbrodni, morderca musiał wiedzieć o skórzanym worku? - zadumała się Grace.

- Istnieje taka możliwość. Dom nie został splądrowany. Nie wydaje się nam, aby te morderstwa popełniono przypadkowo.

- Mówił pan, że było włamanie? - W trakcie wcześniejszej rozmowy telefonicznej Becket wspomniał o wybitej okiennej szybie na tyłach domu.

- Być może - przyznał.

Grace spojrzała na niego pytająco poprzez biurko.

- Wszystko na to wskazuje.

- Czy odkryto coś nowego? - Dostrzegła wyraz niezdecydowania na jego twarzy. - Czy nie może pan podzielić się ze mną tą informacją? - Dała mu kilka sekund do namysłu. - Rozumiem pana, detektywie, musi pan jednak mieć świadomość, że mnie również obowiązuje w pracy dyskrecja.

Becket przyglądał się jej uważnie przez moment, zanim podjął decyzję.

- Technicy z ekipy zabezpieczającej ślady przestępstwa na miejscu zbrodni są zdania, że okno mogło zostać wybite od wewnątrz.

Grace raz jeszcze uzbroiła się w cierpliwość. Becket nie dodał nic więcej, ale wniosek, jaki nasuwał się po jego stwierdzeniu, był oczywisty.

- Sądzi pan, że komuś zależało na stworzeniu pozorów włamania?

- To całkiem prawdopodobne - przyznał. - Chociaż, jeśli taki był zamiar sprawców, to spartaczyli robotę.

- Czy szyba nie mogła zostać stłuczona przedtem? - spytała Grace. - Dawniej?

- Mogła. I być może nie ma związku ze sprawą.

- Co na to powiedziała gospoia?

- Pani del Fuego twierdzi, że przed czwartkiem nie widziała żadnej wybitej szyby. Nie może być jednak tego pewna, ponieważ nie zaglądała codziennie do tamtego pokoju.

Grace pomyślała o Anicie del Fuego i o wstrząsie, jakim musiało być dla niej nagłe ujście tej rzezi.

- Jak ona się miewa?



- Jakoś się trzyma - odparł Becket.

- To słowo, któremu nie ufam - oznajmiła Grace. - Ciagle je słyszę.

- Czyż „trzymanie się” nie jest tym, co ludzie stale robią w życiu? - zapytał detektyw. - Trzymają się, żeby przetrwać. I aby móc żyć dalej.

- Oczywiście. - Grace nieznacznie się skrzywiła. - A także tłumią nocne koszmary i otaczają się murem.

- Piętrzą problemy na przyszłość - podsumował policjant. Oboje przez moment milczeli.

- Cathy również sprawia wrażenie, że jakoś się trzyma - zauważyła Grace. - A przecież oboje wiemy, że to nieprawda. Nie jest w stanie przejść do porządku dziennego nad tym, co się stało. To niemożliwe. - Spostrzegła nagle, że Becket bacznie się jej przygląda i lekko się nasrożyła.

- Czy mam ubrudzoną twarz? - spytała.

- Przepraszam. - Umilkł. - To z powodu podobieństwa.

- Nie rozumiem.

- Pomiedzy panią a Cathy Robbins. - Dostrzegł jej zaskoczony wyraz twarzy. - Jesteście bardzo do siebie podobne, doktor Lucca. Z typu urody.

- Doprawdy? - odezwała się Grace chłodnym tonem. - Nie zwróciłam na to uwagi. Wygląd nas obu nie był sprawą najistotniejszą podczas mojej rozmowy z Cathy.

- Oczywiście, że nie - przyznał Becket. - Proszę mi wybaczyć.

Grace przyswoiła sobie, podobnie jak wiele jej rówieśniczek wykonujących zawód psychoterapeuty, metodę bezpardonowego ucinania wszelkich uwag - i to wysuwanych zarówno przez kolegów, jak i przez koleżanki - na temat wyglądu. Z pewnością jej błękitne oczy i proste, jasne włosy nie miały w tym konkretnym wypadku żadnego znaczenia. Dobrze zapamiętała jasną karnację Cathy oraz kruchość jej ciała, a także brak charakterystycznych rysów twarzy definiujących charakter, co zaniepokoiło Grace w momencie spotkania z nią i bardziej rzucało się w oczy niż ukryta kobiecość nastolatki. Dzięki zachowanym z dzieciństwa zdjęciom Grace zdawała sobie sprawę z tego, że jej własna twarz, nawet w czasach dzieciństwa, odzwierciedlała osobowość. Zdobycie umiejętności maskowania własnych uczuć i reakcji, które lepiej było zachować dla siebie, zabrało jej wiele lat. Buzia Cathy Robbins przywodziła na myśl kiepsko wykonany portret:

ładny, ale bez wyrazu. Grace pomyślała, że owa pustka malująca się na twarzy dziewczyny jest typowym następstwem urazu psychicznego, niczym lej po uderzeniu bomby. Na razie jednak było o wiele za wcześnie, ażeby mieć co do tego pewność.

- Okno - powiedziała niespodziewanie, wracając myślami do policyjnych odkryć. - Naprawdę sądzi pan, że mogła to być robota któregoś z domowników?

- Musimy brać i tę ewentualność pod uwagę. - Becket znowu udzielił wyważonej odpowiedzi.

- A co z gospożą?

- Do momentu wyjścia do pracy przebywała razem ze swoją matką i z dziećmi. Właśnie to sprawdzamy.

- Kto oprócz niej miał klucze od domu?

- Ciotka. Pani Dean.

Grace sceptycznie odniosła się do tej informacji.

- Siostra Marie Robbins?

- Wiedziała o narzędziach medycznych - zauważył Becket Grace pomyślała o pogrążonej w głębokim żalu kobiecie.

- Nie sądzę, ażeby to był właściwy trop.

Becket odczekał chwilę.

- A co myśli pani o samej dziewczynce? - zapytał cicho.

Gwałtownie uniosła głowę w górę.

- O co właściwie panu chodzi?

- Jakie są pani ogólne wrażenia po pierwszym spotkaniu z nią? Niespodziewany przyptyk własnej złości zaskoczył Grace.

- Wykluczone - powiedziała. - Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- To kolejna ewentualność, jaką musimy brać pod uwagę - oświadczył Becket ze spokojem. - Narzędzia były jej własnością.

- Tylko dlatego, że otrzymała je w spadku. - Grace przypomniała sobie o oczywistej potrzebie wykluczenia Cathy z grona podejrzanych i o tym, że policjant wykonuje jedynie swoją robotę. - Jeśli ja miałabym ferować wyrok, to udział Cathy w tej sprawie ogranicza się do roli ofiary - oświadczyła, próbując

zachować spokój. - Jest tylko psychicznie zranioną i opłakującą utratę swoich bliskich czternastolatka, detektywie Becket, a nie zabójczynią.

- Czy wie pani, za ile zbrodni w tym kraju są odpowiedzialni nasto-latkowie, a szczególnie za morderstwa dokonane nożem? - Becket nie zamierzał traktować jej protekcjonalnie. Na jego twarzy malowało się dokładnie to, co czuł. Smutek i ból.

Złość i konsternacja przerodziły się w nagle podejrzpMt

- Kiedy dowiedział się pan o oknie? - zapytała. Becket natychmiast pojął, do czego Grace zmierza.

- Potem, gdy już poprosiłem panią, żeby spotkała się pani z Cathy, doktor Lucca.

Nie pozostało jej nic innego, tylko przyjąć jego wyjaśnienie do wiadomości. Odczuwała jednak nieodpartą potrzebę bronienia dziewczynki.

- Jest bardzo delikatna.

- Emocjonalnie. Tak, to oczywiste.

- Co ma pan na myśli?

- Zauważyłem u niej w domu szereg sportowych trofeów. Odnosiła zwycięstwa w biegach. - Detektyw umilkł. - Fizyczna siła jednak nie odegrała istotnej roli w dokonaniu tych zabójstw. Marie i Arnold Robbinso-wie zażyli tabletki nasenne, nim udali się w czwartkowy wieczór na spoczynek, i nie byli w stanie się bronić.

- Och, Boże. - Grace starała się nie myśleć o scenie, jaka rozegrała się tamtej nocy w sypialni Robinsonów.

- Jeśli to panią w jakiś sposób pocieszy, moje osobiste odczucia pokrywają się z pani przekonaniem - poinformował ją Becket.

- Pan też nie wierzy, że zrobiła to Cathy, prawda? Becket wzruszył ramionami.

- Mój problem polega na tym, że nigdy nie chcę włączać do grona podejrzanych młodych osób, a już szczególnie bezbronnych dzieci jak Cathy. Sądzę jednak, że i pani musiała zetknąć się z małoletnimi zdolnymi do stosowania przemocy, doktor Lucca, i wie pani równie dobrze jak ja, że dzieci też potrafią zabić.

- Oczywiście, że wiem - zapewniła go Grace z większą zapalczywością, niż zamierzała. - Pełno ich na ulicach z nożami, pistoletami, potłuczonymi butelkami i w skradzionych samochodach. - Usilnie starała się o to, ażeby jej wypowiedź zabrzmiała logicznie. - Ale ze skalpelem? Czy słyszał pan kiedykolwiek o czternastolatce, która sięgnęła po narzędzie chirurgiczne i poderżnęła nim gardła swoim rodzicom? - Grace spojrzała na detektywa poprzez biurko, raz jeszcze starając się go rozszyfrować I wyobrazić sobie, jak duży wpływ mógł wywrzeć na tego potężnego policjanta patrolującego niebezpieczne ulice David Becket - mądry pediatra o wrażliwym sercu. - Co pański ojciec mówi na ten temat?

- Nie rozmawialiśmy ze sobą od czasu, kiedy Cathy została wypisana ze szpitala. Jestem jednak pewien, że gdyby przysłuchiwał się naszej rozmowie, całkowicie przyznałby pani słuszność. - Becket z ponurą miną rozejrzał się po biurze, które w obecnej chwili opustoszało. - Ale mój ojciec zawsze miałby trudności z wyobrażeniem sobie podlotka, który morduje własnych rodziców.

Oboje ponownie zamilkli. Na czymś biurku dzwonił przez chwilę telefon, a potem ucichł.

- Powiedział pan, że nie znaleźliście jeszcze narzędzia zbrodni, prawda? - upewniła się Grace.

- Jeszcze nie.

- Czy pobraliście od Cathy jakieś próbki?

- Oczywiście. Zważywszy jednak na okoliczności, nie spodziewam się zbyt wiele. Byli rodzicami, a ona ich dzieckiem - i w całym domu znajdują się odciski palców wszystkich trojga, włókna z ich ubrań, ich włosy i ślady skóry.

- A na dodatek musiała być umazana ich krwią - powiedziała cicho Grace.

- Tak, to prawda - przyznał Becket.

\*

Grace pojechała do domu, nakarmiła Harry'ego, przygotowała dla siebie miskę spaghetti, usiadła przed telewizorem i bezmyślnie wpatrywała się w ekran.

Przed oczami miała obraz pewnego drobiazgu, który ją prześladował niczym smuga na okularach przeciwsłonecznych, która znika całkowicie dopiero po dokładnym wyczyszczeniu szkieł.

Plaster opatrunkowy na przedramieniu Cathy.

Przypomniła sobie o tym dopiero po powrocie do domu. Myślała o nim kilkakrotnie podczas spotkania z Becketem i miała ochotę spytać detektywa, czy

wie, co znajduje się pod przylepcem - pragnęła zapewnienia, że nie jest to przecięcie, jakie mogłoby pochodzić od skalpela. Nie odważyła się jednak tego zrobić. Tak przedstawiały się fakty.

I dobitnie świadczyły o tym, że jest stronnicza. Ta zła nowina dowodziła nieprofesjonalnego podejścia do sprawy. W końcu Grace nie była nawet psychologiem Cathy. I ani sama dziewczyna, ani jej ciotka nie zwróciły się do niej o pomoc, a do ich spotkania doszło na wniosek strony trzeciej.

Zdawała sobie sprawę z tego, że powstrzymując się od zapytania detektywa Becketa o plaster, nie chciała zasiać w nim ziarna podejrzania. Z jakiego powodu? Odpowiedź była prosta. Ponieważ Cathy ją wzruszyła.

A to oznaczało, że Grace musi stać bardziej czujna. I nabrać nieco dystansu do sprawy.

Becket powiedział, że ona i Cathy są do siebie fizycznie podobne. Grace zastanawiała się, czy przypadkiem podświadomie nie odnotowała podobieństwa nastolatki do nordyckiego wyglądu, jaki ona sama odziedziczyła po matce. Czy ów sztuczny związek nie obudził w niej wspomnień o własnym trudnym dzieciństwie - i czy wszystko to razem nie wpłynęło na nią w jakiś sposób, a nawet nie zaciążyło na jej obiektywizmie.

Z pewnością nie. Miała nadzieję, że nie.

Pod wpływem owej cicho brzmiącej w myślach przestrogi doszła do wniosku, że wolałaby nic nie wiedzieć o Cathy Robbins. I że byłoby dla niej lepiej, gdyby David Becket nie zasugerował synowi, aby nawiązał z nią kontakt.

# ROZDZIAŁ 6

---

Poniedziałek, 6 kwietnia 1998

Było po północy, kiedy Sam wrócił do swojego mieszkania w South Beach, położonego w odległości kilku bloków od posterunku policji. Niemal cudem stał się jego właścicielem przed czterema laty w ramach umowy, na wiadomość o której koledzy z pracy ze zdumienia unosili do góry brwi. Nikt jednak niczego nie sugerował. Wszyscy ograniczali się do stwierdzenia, że Sam jest niebывałym szczęściarzem.

Budynek, w którym mieszkał, był małym hotelem, zaprojektowanym w stylu art déco i usytuowanym przy Collins Avenue, pomiędzy ulicami Dziewiątą i Dziesiątą. Sam przed wstąpieniem do policji niejednokrotnie mijał go bez większego zainteresowania. Po raz pierwszy miał okazję obejrzeć go z bliska dopiero wtedy, gdy kolega, obecnie mieszkający w Nowym Jorku, wynajął tam pokój. Podczas odwiedzin u niego Sam nawiązał rozmowę z właścicielem hotelu - człowiekiem, który pamiętał lepsze czasy. Okazało się, że dach budynku jest w opłakanym stanie, podobnie jak i całe górne piętro, a zamknięcie przez władze hotelu - dzień, kiedy jego właściciel stanie w obliczu bankructwa - jest tylko kwestią czasu. Sam zakochał się w tym miejscu i zawarł z właścicielem umowę, że zgadza się zająć remontem i doprowadzeniem budynku do takiego stanu, który nie zostanie zakwestionowany przez inspektorów nadzoru budowlanego, pod warunkiem że całe piętro, z dachem włącznie, stanie się jego prywatną własnością i że zamieszka tam na stałe.

I teraz, niosąc zimne piwo i kupione w powrotnej drodze wciąż jeszcze ciepłe meksykańskie danie, zmierzał na dach. Ten mały, wybetonowany kwadrat, zagracony pojemnikiem do przechowywania napoi, talerzem satelitarnym, oraz licznymi rurami, był ulubionym miejscem, w którym zwykł przesiadywać wieczorami, aby odprężyć się po pracy. Oświetlony blaskiem migającego neonu, oraz światłem gwiazd i oddalony od tłumu turystów, którzy wieczorową porą napływali tłumnie z Ocean Drive, był również najważniejszym miejscem, gdzie Sam odbywał próby. Ten fanatyk opery został obdarzony głębokim barytonem, któremu zawdzięczał główne role w S-OBOP - Operze South Beach - w lokalnym zespole dość uzdolnionych entuzjastów śpiewu. Lada dzień jego koledzy zamierzali rozpocząć próby do zaplanowanej na lato premiery „Trubadura” i Sam miał wielką chętkę na partię hrabiego di Luny, oczywiście pod warunkiem, że inni jak zwykle będą tolerować ciągłe nieobecności Becketa na próbach. Przypuszczał, że wyrozumiałość, z jaką pozostali członkowie zespołu odnosili się do faktu, że nie można na nim polegać, a także że od dawna śpiewa partie tradycyj-



nie wykonywane przez białych solistów, jest miarą ich szacunku dla jego głosu i pasji. I choć mogło się to wydawać dziwne, Sam rzeczywiście znał na pamięć większość barytonowych partii napisanych przez Verdiego, Pucciniego, Mozarta, Wagnera, a nawet Gounoda - i to w oryginalnych wersjach językowych. Było to tym dziwniejsze, że jedyny obcy język, jakim w miarę biegle potrafił się posługiwać, to hiszpański.

Zdażył ugryźć pierwszy kęs kukurydzianej bułki z pikantnym nadzieniem, kiedy zadzwonił telefon. Dźwięk aparatu dobiegał Sama poprzez otwartą klapę, prowadzącą ze schodów przeciwpożarowych na dach.

Po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka. Detektyw nie przypuszczał, żeby telefonowali do niego z pracy. Wciąż miał swój pager w kieszeni. Minutę później telefon znowu zadzwonił, lecz tym razem umilkł już po drugim sygnale, by po chwili zadźwięczeć ponownie.

Jedyną osobą, która mogła tak dzwonić i która wiedziała, że Sam jest w domu - nawet jeśli, śmiertelnie zmęczony i na ostatnich nogach, odpoczywa na dachu lub bierze prysznic albo, w przypadku cholernego szczęścia, leży z jakąś damą w łóżku (a skoro już o tym mowa, kiedy to się zdarzyło ostatnio?) - była matka. Ten prosty kod dźwięków przywłókłby go do aparatu równie skutecznie, jak gdyby mama zaciągnęła go tam za kołnierz.

Spojrzał na bułkę i na piwo, a potem przechylił głowę i zdecydowany się odprężyć, szybkim spojrzeniem ogarnął nocne niebo nad Miami.

Po co, na Boga, matka telefonowała do niego po północy?

Zerwał się na równe nogi, zbiegł po schodach na dół i po upływie niespełna pięciu sekund był z powrotem w salonie. Cofnął taśmę z ostatnim nagraniem.

- Już minęła północ, Samuelu, gdzie się podziewasz?

Ton, jakiego tylko Judy Becket potrafiła użyć, zabrzmiał oskarżycielsko. Nieważne, że jej adoptowany syn był trzydziestoczteroletnim mężczyzną, miał metr dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i wykonywał zawód policjanta. Wciąż uważała, że po godzinie duchów powinna być informowana o jego miejscu pobytu.

- Mówi twoja matka.

Sam, patrząc na automatyczną sekretarkę, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jeśli wrócisz przed trzecią, zadzwoń do mnie. Nie miej skrupułów przez wzgląd na mój sen, ponieważ i tak nie zdołam zmrużyć oka. I nie musisz się obawiać, że obudzisz ojca, ponieważ wyłączyłam telefon w naszym pokoju.

Tata nie znoślił, kiedy to robiła: ktoś mógł potrzebować jego pomocy.

- I nie przejmuj się. Włączę go, kiedy położę się do łóżka. - Na moment zapanowała wymowna cisza. - Ale nie zrobię tego, dopóki nie skontaktujesz się ze mną.

Na tym wiadomość się kończyła. Sam, na nowo zaniepokojony, wystukał numer. Judy Becket podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Mama? Co się stało?

- A co się miało stać? - Jej głos miał bardzo opanowane brzmienie.

- Przed chwilą zostawiłaś wiadomość, prosząc o...

- A więc byłeś w domu! - naskoczyła na niego.

- Właśnie wszedłem - bronił się Sam.

- Bardzo wygodne tłumaczenie.

- Mama, o co chodzi? Przyprawiałaś mnie o atak serca, każąc mi dzwonić aż do trzeciej w nocy. - Na moment urwał. - Czy tata dobrze się czuje?

- Z twoim ojcem wszystko w porządku. To o mnie powinieneś się martwić.

- Dlaczego, mamó? Dlaczego?

- Dlatego że przez pół nocy trzymasz mnie na nogach. Niepokój Sama w jednej chwili się ulotnił.

- O co chodzi?

- Chcę się upewnić co do piątku.

- Piątku?

Sam przez moment poczuł się zbity z tropu. W nadchodzący weekend wypadały Święta Wielkanocne, co oznaczało, że cztery dni dzieliły ich od Wielkiego Piątku. Nawet biorąc pod uwagę liberalne poglądy matki, był pewien, że nie o święta jej chodzi. Od piętnastu lat mieszkał poza domem, a w tym czasie zdążył się ożenić, zostać ojcem i się rozwieść, lecz nie przypominał sobie, ażeby jego rodzice przywiązywali zbyt wielką wagę do żydowskiego szabasu.

- Zapomniałeś.



- Na to wygląda. A co ma być w piątek?
- Taki drobiazg, jak Święto Paschy - odparła Judy. - Nic ważnego.
- I uroczysta kolacja. - Sam się skrzywił.
- Brawo - pochwaliła matka. - Genialny chłopak z ciebie.
- Nie jestem pewien, czy zdołam się wyrwać w piątek - oświadczył, zebrawszy się na odwagę.
- Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi? - spytała sardonicznie.
- Wiesz, jak to jest, mamó.
- Do tej pory powinnam już wiedzieć. - Na moment zapadło milczenie. - Nie robiłabym z tego wielkiej sprawy, gdyby nie fakt, że być może jest to ostatnia szansa, abyśmy się wszyscy razem spotkali przed uroczystością bar micwy Saula.
- Do trzynastych urodzin Saula mamy jeszcze prawie miesiąc, mamó.
- W piątkowy wieczór będzie czytał Cztery Pytania.
- Zawsze je odczytuje.
- Tym razem to co innego - obstawała przy swoim matka. - Zależy mu na tym, ażebyś był przy tym obecny i dodał mu odwagi.
- Saulowi nie brakuje pewności siebie.
- Nie widziałeś go ostatnio, Sam. Stał się bardzo nerwowy.
- To normalne, mamó. Każdy denerwuje się przed bar micwą.
- Ty nie okazywałeś zdenerwowania.
- Ale z pewnością je odczuwałem.
- A więc przyjdiesz?

Zawsze stosowała tę samą metodę: pozwalała mu sądzić, że odeszła od meritum sprawy, a potem nagle wracała do tematu i przypierała Sama do muru.

- Spróbuję, mamó.
- Wiesz, jak dużą wagę przywiązuje twój ojciec do Święta Paschy. -Był to kolejny etap taktyki.
- Oczywiście, że wiem. - Sam usiłował zachować spokój. - Pracuję aktualnie nad sprawą podwójnego zabójstwa, wskutek którego młoda dziewczyna została

sierotą. Zapytaj o nią ojca, wie wszystko. I prawdopodobnie dopiero późnym wieczorem w piątek zdołam do was dotrzeć, nie wcześniej.

Nadszedł moment na zdecydowane zamknięcie sprawy, dlatego, ucinając protesty matki, oświadczył:

- Spróbuję jednak zdążyć na śpiewy po kolacji, zgoda? - Umilkł, biorąc za dobrą monetę ciszę, jaka zapadła po drugiej stronie. - W porządku, mamó?

- W porządku. - Stwierdzenie to było niczym wzruszenie ramion.

- Położysz się teraz do łóżka?

- Tak, choć nie sądzę, żebym zdołała usnąć.

- W każdym razie trochę odpoczniesz. - Przypomniał sobie o czymś. - Czy mogłabyś rano powiedzieć tacie, że poznałem doktor Lucca?

- Tę, która jest psychologiem dziecięcym, prawda? - upewniła się Judy.

- Tak. Powiedz tacie, że polubiłem ją. - Umilkł znowu. - I nie zapomnij o ponownym włączeniu telefonu w waszej sypialni, mamó.

- Jestem żoną lekarza od dwudziestu ośmiu lat, Samuelu Lincolnie, i kobietą w pełni władz umysłowych.

Samuel uśmiechnął się do słuchawki.

-Dobrej nocy, mamó.

Wrócił na dach. Kukurydziana bułka już całkiem wystygła, wypił więc tylko piwo i położył się na plażowym łóżku, na którym sypiał w upalne noce. Kochał panujący tu półmrok i noc tętniącą życiem. Tutaj, na górze, czuł się mniej samotny niż w swojej znacznie wygodniejszej, klimatyzowanej, ale straszliwie pustej sypialni.

Zapatrzył się w baldachim świateł neonów i gwiazd ponad głową. Pomyślał o Cathy Robbins i koszmarnych okolicznościach jej przebudzenia owego poranka. A potem nasunęła mu się refleksja o doktor Grace Lucca oraz o poruszeniu, wywołanym przez jej widok, kiedy po raz pierwszy weszła do jego biura na posterunku policji. Ów wstrząs spowodował jej cholernie zrównoważony, skandynawski wygląd oraz coś znacznie cieplejszego, co kryło się pod tą doskonale opanowaną powierzchownością. A także spokój, jaki zachowała nawet w chwili, kiedy poczuła się urażona. Sam przypuszczał, że dzięki owym cechom była dobrym psychologiem dziecięcym, o czym zapewniał go jego ojciec.

Nadal wpatrując się w nocne niebo, pozwolił przeminać wspomnieniom z minionego dnia i skierował myśli ku kobiecie o bogatej osobowości, która przed wieloma laty stała się jego matką. W trakcie niedawnego przedstawienia, kiedy to wcieliła się w rolę typowej żydowskiej mamy, dopuściła do głosu tę część swojej prawdziwie kobiecej natury, która pochlipywała na uroczystościach bar micwy i wręczania dyplomów z okazji ukończenia szkoły czy studiów, ale nie była to prawdziwa Judy Becket. Ta zwykle trzymała się na uboczu i pojawiała się dopiero wtedy, kiedy naprawdę stawała się potrzebna, w dwójnasób dając tym wyraz wspaniałości swojego charakteru. To ona z żelazną determinacją czuwała przy jego łóżku na oddziale intensywnej opieki medycznej, kiedy po raz pierwszy został postrzelony, i nie uroniła ani jednej łzy, dopóki nie uznano, że jego stan jest stabilny, a kryzys minął. To przede wszystkim ona - w większym stopniu nawet niż ukochany przybrany ojciec Sama - nie pozwoliła mu się załamać, kiedy zginął Sampson, i Althea obciążyła męża winą za wypadek, w którym synek poniósł śmierć. Judy Becket była osobliwą i pod wieloma względami nadzwyczajną kobietą. Jedynie w chwilach niezmaconego spokoju pozwalała sobie na przywdziewanie płaszczyka bojaźliwej matki. I nawet jeśli bywała czasami nudna, Sam niezmiennie ją kochał i darzył szacunkiem.

Wciąż odczuwał ból po najbardziej dotkliwej ze strat, jakie poniósł. Wiedział, że nigdy nie minie, nawet gdyby żył pięćset lat. Ale samotność już rzadko mu doskwierała. Wypełnił swoje życie - przede wszystkim pracą, spotkaniami w gronie rodziny, a kiedy czas mu na to pozwalał, również operą. Tylko nocami, gdy nie mógł zasnąć w swoim pustym łóżku, nachodził go ów okropny, nieznośny ból, powodujący wręcz świdrowanie w kościach. Nie dlatego, że Sam nie miał obok siebie kobiety - Bóg świadkiem, że zbyt często doświadczał innego rodzaju samotności, gdy obok niego leżała sztywno wyprostowana Athlea. I choć fizycznie dzieliły ich centymetry, ich dusze pozostawały oddalone o kilometry od siebie. Była to tęsknota za Sampsonem. I rozpacz, spowodowana nieobecnością dziecka, syna, w jego domu. Małego, lekkiego, zwartego ciała, którego fizyczne ciepło i którego dusza, nawet podczas snu, zdawała się rozgrzewać Sama Becketa i docierać do głębi jego serca.

Strata. Nie było to właściwe słowo na określenie faktu, że Sam został pozbawiony Sampsona Becketa.

Być może odpowiednie słowo nie zostało jeszcze wymyślone.

# ROZDZIAŁ 7

---

Grace zdążyła zaledwie wrócić ze spotkania z ośmioletnią ofiarą pobicia, na które została pilnie zawiadana, kiedy ponownie zatelefonował Sam Becket.

- Spędziłem przedpołudnie w domu Frances Dean - zakomunikowałem.

- I co? - Grace czuła, jak narasta w niej napięcie.

- I nic.

- Nie mogę powiedzieć, że bym była tym zaskoczona - odrzekła.

- Ani ja. - W głosie detektywa zabrzmiało znużenie.

- Co zamierza pan robić? - spytała.

- Nic. W przeciwnym razie pogrążona w bólu siostra Marie mogłaby odnieść wrażenie, że została włączona do grupy podejrzanych w tej sprawie, a chyba nie chcielibyśmy tego?

- Jak się trzyma Cathy?

- Jest w złej formie. - Becket umilkł na moment. - Czy spotka się z nią pani ponownie? - spytał po chwili.

- A chce się ze mną widzieć?

- Jej ciotka najwyraźniej tak uważa.

Podjęcie decyzji zabrało Grace nie dłużej jak minutę.

- Wobec tego spotkam się z nią, oczywiście.

Martwiła się, kiedy zmierzała autostradą MacArthura w kierunku Coral Gables. Nie było w tym nic nadzwyczajnego; Grace zawsze odczuwała niepokój podczas pierwszych spotkań z nieletnimi, którzy doznali psychicznych urazów. A w obecnym przypadku ów strach tym bardziej był w pełni uzasadniony i zrozumiały. I brał się stąd, że jej zabiegi mogły spełznąć na niczym; choćby jak najostrożniej podeszła do zagadnienia, zawsze istniało ryzyko, że mieszając w garnku, uwolni przywierające do dna i boków naczynia demony, które przedwcześnie wypłyną na powierzchnię. Tymczasem gdyby zostawiła sprawy ich własnemu biegowi, potrawa być może przez jakiś czas nie miałaby smaku, ale przynajmniej

byłaby strawna. Grace mogła zbesztać detektywa Becketa za wczorajsze zapewnienia o „trzymaniu się” Cathy albo poruszyć problem niebezpieczeństw zamknięcia się w sobie. Wiedziała jednak, że zdarzają się takie chwile, kiedy tłumienie bólu w pewnym stopniu pomaga człowiekowi w przetrwaniu kryzysu.

Musiała uznać ten fakt, ponieważ sama właśnie tak kiedyś postąpiła: zdławiła swoje uczucia, opancerzyła się przed światem, starała się o niczym nie myśleć, aby jakoś „się trzymać” i przetrwała. Wydobyła się z zapaści, by przeżyć życie w sposób wartościowy.

Nic się nie zmieniło w wyglądzie schludnie utrzymanego, eleganckiego salonu Frances Dean. Tylko gospodyni wyglądała dziesięć razy gorzej niż przed dwudziestoma czterema godzinami.

- Policja chyba nie zostawi nas w spokoju - zaliła się drżącym głosem, starając się mówić cicho, aby siostrzenica jej nie usłyszała. - Całe przedpołudnie upłynęło im na przeszukiwaniu domu. - Szaroniebieskie oczy kobiety zrobiły się szerokie. - Przeprowadzili rewizję w moim domu, jak gdybym mogła mieć coś do ukrycia. Marie była moją siostrą. Moją siostrą, na miłość boską.

- To rutynowe działania - zapewniła ją Grace, ostrożnie dobierając słowa. - Tego rodzaju śledztwo wiąże się z wieloma niedogodnościami, wśród których najbardziej niemiłą jest utrata prywatności, pani Dean. Policjanci nie mają wyboru, muszą zbadać każdy szczegół.

- O jakich szczegółach pani mówi? - odparła Frances, wykręcając w dłoniach koronkową chusteczkę. - Arnold i Marie zostali zamordowani w swoim domu, a nie w moim, i we własnym łóżku. - Odruchowo wykonała prawą ręką drżący gest, który mógł być, choć Grace miała co do tego pewności, znakiem krzyża. - Policja jest zdania, że to ja ich zamordowałam, prawda? - Utkwiła w przybyłej półprzyciemne spojrzenie. - Podejrzewają mnie, co?

- Myli się pani - zaprotestowała żarliwie Grace. - Rozmawiałam z detektywem Becketem i wiem, że nic podobnego nie przyszło mu do głowy. Jak już powiedziałam, to normalna procedura. Pani i Cathy jesteście najbliższymi z żyjących krewnych ofiar, a dziewczynka przebywała w domu, kiedy to się stało. Policjanci muszą dopełnić wszelkich formalności.

- Ona tego nie wytrzyma - oznajmiła nagle Frances Dean. - Obawiam się, że to ją załamie. - Pokręciła z z troskaniem głową. - To niesprawiedliwe, żeby po tylu latach zgryzoty, jakie obie z matką musiały... - Przerwała nagle, wyraźnie żalując swoich słów.

Grace odczekała chwilę, licząc na kontynuację wynurzeń, nie uległo jednak wątpliwości, że kobieta zamilkła na dobre.

- O jakiej zgryzocie pani wspomniała? - Grace delikatnie starała się nakłonić swoją rozmówczynię do zwierzeń.

Frances Dean raz jeszcze pokręciła głową.

- To długa historia. Poza tym nie ma związku z obecną sprawą. - Lekko uniosła do góry głowę i spojrzała Grace prosto w twarz. - Kiedy się obudziłam wczoraj w środku nocy - przypuszczam, że musiałam na chwilę zasnąć - mówiła teraz znacznie ciszej niż przedtem - Cathy stała przy moim łóżku i przyglądała mi się z góry. Nie odezwała się ani nie płakała. Stała tylko i patrzyła. Odniosłam wrażenie, że nie tyle patrzy na mnie, ile przenika mnie wzrokiem na wskroś. Czy to, o czym mówię, ma dla pani jakiś sens?

Grace skinęła potakująco głową, ale się nie odezwała.

- Dziecko jest niemal zdruzgotane - ciągnęła dalej swój wywód Frances Dean cichym i zropaczonym głosem. - Jeśli ci ludzie nadal będą tu wracać i zmuszać ją, żeby przeżywała to wszystko od nowa, nie wiem co się...

Przerwała gwałtownie i odwróciła się twarzą do wejścia. Grace również usłyszała ciche kroki zbliżającej się Cathy. Pośpiesznie dotknęła ręki pani Dean.

- W każdej chwili, kiedy tylko będzie miała pani ochotę, może pani o tym ze mną porozmawiać.

Cathy weszła do pokoju. Dzisiaj też miała na sobie niebieskie dżinsy oraz luźną, białą bawełnianą bluzkę, a na nogach skórzane pantofle na płaskich obcasach.

- Dzień dobry, doktor Lucca. - Umilkła. - Grace. Grace spojrzała na nią z uśmiechem.

- Dzień dobry, Cathy.

Ciotka dziewczynki poderwała się z miejsca.

- Zostawię was, żebyście mogły swobodnie porozmawiać. Cathy nie zrobiła kroku w głąb pokoju.

- Może wybrałybyśmy się na spacer, Grace? Co o tym sądzisz?

- Z przyjemnością się przejdę.

- Zgodzisz się, ciociu Frances? - Cathy spojrzała na ciotkę, -i Frances Dean zdobyła się na błądy uśmiech.



- A dlaczego miałabym się nie zgodzić? Dobrze ci zrobi trochę świeżego powietrza. Zamierzałyśmy pojechać gdzieś dzisiaj rano, ale zjawiała się policja - wyjaśniła kobieta, zwracając się do Grace.

Wolnym krokiem przemierzały Granada Boulevard, mijając duże, piękne domy położone w egzotycznych ogrodach, a potem skręciły w lewo, w Coral Way, w stronę ścieżki okrążającej klub Coral Gables. Powietrze było ciepłe i balsamiczne. Przed nimi jechało na rowerach dwoje nastolatków, a na jednym z szarych, wybetonowanych kortów tenisowych toczyły ze sobą pojedynek dwie rozśmiane pary.

Ta normalność nawet Grace wydawała się dziwnie nierzeczywista. Cathy zachowywała się dość spokojnie. Szła prosto przed siebie, lekko wymachując rękami. Rozpuszczone włosy sięgały jej ramion, a twarz nie zdradzała żadnych emocji. Łatwo można było jednak wyczuć mur przerażenia, jaki otaczał dziewczynę.

- Wygląda na to, że nie zdołam przed tym uciec - powiedziała, nie przerywając marszu, nie zatrzymując się ani nie patrząc na Grace. - Robię wszystko, co muszę: usiłuję zjeść to, co stawia przede mną na stole ciotka Frances, idę do łazienki, kładę się do łóżka, trochę się prześpię, a kiedy wstaję, wszystko zaczyna się od nowa. Mam jednak wrażenie, że kto inny, a nie ja, wykonuje te wszystkie czynności.

Grace słuchała, nie zwalniając kroku.

- Detektyw Becket ponownie mnie poprosił, żebym spróbowała coś sobie przypomnieć, ale powiedziałam mu, że nie mogę. - Cathy umilkła. - Zapewniłam go, że bardzo bym chciała, ale skłamałam. Nie mam ochoty o niczym więcej pamiętać, o ile jest coś takiego. - Jej źrenice rozszerzyły się, przez co oczy wydały się teraz ciemne. - Miewam przebłyski związane z tym, co widziałam.

- Migawki wydarzeń? - dopytywała się Grace.

- Niezupełnie - wyjaśniła Cathy. - Te przebłyski są znacznie od nich szybsze. Pojawiają się i znikają, zanim zdążę się zorientować, co przedstawiają. - Wzruszyła ramionami. - Nie spowodowało ich to, co spotkało moich rodziców. Miewam je od lat.

Grace przypomniwała sobie wzmiankę ciotki dziewczynki o latach udręki Marie i Cathy.

- Jak wyglądają owe przebłyski? - spytała ostrożnie.

Cathy pokręciła przecząco głową.

- Są nieuchwytnie - odrzekła.

Zamilkła i podjęła dalszy marsz, tym razem narzucając szybsze tempo. Idąca obok niej Grace musiała przyśpieszyć kroku, ażeby nie zostać w tyle. Niespodziewanie Cathy, nie rozglądając się na boki, przeszła na drugą stronę wąskiej drogi. Młody człowiek na łyżworolkach musiał zjechać z jezdni, ażeby się z nią nie zderzyć. Krzyknął coś rozeźlony, lecz najwyraźniej do niej to nie dotarło. Grace przystanąła i zachowując większą rozwagę, przeszła na drugą stronę, a potem ponownie przyśpieszyła kroku, żeby zrównać się z Cathy.

- Przepraszam - powiedziała dziewczynka, nie zwalniając tempa marszu.

- Nie ma o czym mówić.

- Miło jest być tutaj - zauważyła Cathy i znowu się zatrzymała. - Chciałabym pobiegać, Grace. Czy masz coś przeciwko temu? Wiem, że nie mogę donikąd uciec, czuję jednak, że to mogłoby mi pomóc. - Jej oczy w słońcu miały odcień intensywnego błękitu. - Zgodzisz się?

- Myślę, że to dobry pomysł - odpowiedziała lekkim tonem. - Chcesz, żebym ci towarzyszyła, czy wolisz pobiegać sama?

- Wolę być sama. Zgoda?

- Oczywiście, bardzo proszę. Tam na ciebie zaczekam, dobrze? - Grace wskazała głową w kierunku znajdującej się nieopodal granicy pola golfowego. - Chętnie przez chwilę posiedzę.

- Jesteś bardzo miła - powiedziała Cathy i, jak gdyby po namyśle, dodała: - Będę bardziej ostrożna. I nie wpadnę pod żaden pojazd.

- No to pędź - zasugerowała Grace.

Śledziła wzrokiem biegnącą nastolatkę aż do zakrętu, a kiedy dziewczyna znikła jej z oczu, zmusiła się, żeby usiąść na trawie i spróbować się odprężyć. Wiedziała, że podjęła bardzo ryzykowną decyzję: pomimo wszystkich znanych jej faktów Cathy Robbins mogła nie przerwać biegu i nie wrócić. Jednocześnie Grace zdawała sobie również sprawę, że ta dziewczynka rozpaczliwie potrzebuje odrobiny wolności oraz zwykłej swobody. I choć Cathy zauważyła słusznie, że nie ma już dla niej ucieczki - ponieważ szczerą prawdą był fakt, że nie jest jej pisane rychłe uwolnienie się od koszmarów - prawdopodobnie mniejszą szkodę mogło wyrządzić wyrażenie zgody na krótkotrwałą i szybką eksplozję wolności niż samo siedzenie i patrzenie, jak to wszystko niszczy psychikę nastolatki.



Wróciła zadyszana i z zaróżowionymi policzkami; ruch przynajmniej poprawił nieco jej fizyczną formę.

- Dobrze mi to zrobiło - przyznała, rozciągając mięśnie. - Dziękuję.

- Nie ma w tym mojej zasługi - odrzekła Grace.

- Zgodziłaś się bez wahania. A przecież wszystko się mogło zdarzyć - mogłam wbiec prosto pod koła autobusu.

- Obiecałaś, że będziesz ostrożna.

- A ty mi zaufałaś.

Wracały do domu ciotki niespiesznym krokiem. Żadna z nich nie mówiła wiele. Grace nie nakłaniała Cathy do zwierzeń, do których dziewczynka nie była skora, w każdym razie nie tym razem. Zapytała jednak, zanim się rozstały, czy Cathy chce ponownie z nią się spotkać.

- Nie mam nic przeciwko temu.

- Po to, żeby porozmawiać - wyjaśniła Grace lekkim tonem. - Na każdy temat, jaki będziesz miała ochotę poruszyć.

- Nie chcę rozmawiać o tym, co się stało.

- W porządku. Nie musimy o tym mówić. Możesz przyjść do mnie i pogadać o swojej matce, jeśli chcesz - możemy wspominać stare, dobre czasy. - Grace zamilkła. - Będziesz mogła nieco więcej opowiedzieć mi o swoich przebiegach.

- Są nieuchwytnie - odrzekła dziewczynka, używając tych samych słów co wtedy, kiedy wspomniała o tym po raz pierwszy. W trakcie wypowiedzi umknęła jednak wzrokiem w bok.

- Ja również je miewam - wyznała Grace. - W każdym razie przypuszczam, że podobne do twoich. Niczym migawki zdjęć - pojawiają się i bardzo szybko znikają, ale widzę je całkiem wyraźne.

Cathy przecząco pokręciła głową.

- Moje są nieczytelne.

Grace wzruszyła lekko ramionami.

- A zatem może moje wcale nie są podobne do twoich. Dziewczynka przyglądała się jej przez chwilę.

- Myślę, że chętnie znowu z tobą porozmawiam, Grace. Jeśli się zgodzisz.

- Nie wystąpiłabym z tą propozycją, gdybym była jej przeciwna.

- Jeśli przyjdę - zaczęła Cathy, bardzo ostrożnie dobierając słowa -nie będę musiała rozmawiać o sprawach, o których nie chcę wspominać, prawda?

- Tak, przecież cię o tym zapewniłam.

- Byłam już kiedyś u psychoterapeutki. - Umilkła. - Nie bardzo przypadła mi do gustu. - Dziewczynka wciąż była bardzo spięta. - Nie wzbudziła we mnie zaufania.

- To się zdarza - odrzekła spokojnie Grace.

- Ma silną intuicję - poinformowała potem Sama Becketa podczas telefonicznej rozmowy.

- Też to zauważyłem - przyznał. - Czy nastąpił jakiś postęp?

- Nie taki, na jaki pan liczy.

- Szkoda.

- A do czego pan doszedł?

Grace niemal słyszała, jak Becket bije się z myślami, czy udzielić jej szczerzej odpowiedzi.

- Nasi ludzie zbadali popiół z pieca do spalania śmieci u Robbinsów powiedział w końcu. - I okazało się, że spalono tam coś z podobnego materiału, z jakiego była uszyta nocna koszula, którą Cathy miała na sobie, gdy znaleziono ją z rodzicami.

- I co to oznacza? - Grace ogarnęły złe przeczucia.

- Nie jestem przekonany, czy to cokolwiek oznacza oprócz faktu, że ktoś z domowników spalił jakąś przezroczystą tkaninę. Oczywiście postaramy się dowiedzieć, kto to zrobił i w jakim celu. - Becket umilkł. -Jedna z hipotez ludzi prowadzących śledztwo jest taka, że to Cathy zasztyletowała swoich rodziców, spaliła nocną koszulę, którą miała na sobie, wzięła prysznic, włożyła czystą bieliznę, a potem położyła się do łóżka z Marią i Arnoldem i czekała na przybycie gosposi. - Po milczeniu Grace Sam się domyślił, jak ciężkim dla niej szokiem była owa hipoteza.

- Osobiście jestem zdania, że w tej teorii pełno luk.

- Miło to słyszeć. - Grace wiedziała, że jej głos zabrzmiał zbyt oschle.

- Żadne z tych założeń nie wydaje mi się prawdziwe.

- I zapewne nie jest - odrzekł detektyw.

Grace, nie wiedząc, czy to forma delikatnej zachęty z jego strony, podjęła temat:

- Ostatnio spędziłam w towarzystwie Cathy trochę więcej czasu. I wszystkie moje dotychczasowe obserwacje przekonują mnie o tym, że jest smutnym, prześladowanym i wystraszonym dzieckiem, które kochało matkę i ojczyma.

- Rzeczywiście Arnold Robbins adoptował Cathy - przyznał Becket.

- Czy dziewczynka mówiła coś na temat swoich stosunków z rodzicami?

- Właściwie nie. Nie kwestionowała jednak ani miłości do nich, ani swojego przywiązania. Uczucia, jakie do nich żywiła, były zbyt głębokie i oczywiste, ażeby musiała o tym opowiadać. Cathy Robbins nie ma pojęcia, że musi dowieść swojej miłości do rodziców.

- Czy wyklucza pani możliwość, że jest doskonałą aktorką? Grace opanowała chęć ostrej riposty.

- Intuicja podpowiada mi - odparła opanowanym tonem - że Cathy, z którą spędziłam dzisiejsze popołudnie, nie odgrywała przede mną żadnej roli.

- A zatem oboje miejmy nadzieję, że w tym wypadku intuicja pani nie zawiodła.

# ROZDZIAŁ 8

---

Wtorek, 7 kwietnia 1998

Za kwadrans trzecia Cathy stawiała się w domu Grace. Zostało ustalone, że dziewczynka przyjedzie taksówką, a ciotka osobiście odbierze ją o czwartej.

- Przepraszam, że jestem przed czasem - odezwała się, stojąc w drzwiach wejściowych. Jej oczy i usta zdradzały zdenerwowanie.

- Nic się nie stało - zapewniła ją Grace. Mówiła cichym głosem przez wzgląd na dwunastoletniego chłopca, który na nią czekał. Zostawiła go na pomoście w towarzystwie Harry'ego. Był wścibskim dzieciakiem o włóczegowskich skłonnościach i z pewnością miał również ciagotki do podsłuchiwania. - Jeśli zgodzisz się poczekać - dodała. - Postaram się, aby nie trwało to zbyt długo. - Zaprowadziła dziewczynkę do swojego gabinetu - przytulnego pokoju wypełnionego półkami książek, fotografiami jej dawnych małych pacjentów oraz wykonanymi przez nich rysunkami - przeważnie niezwykle barwnymi i wzbudzającymi optymizm. - Wrócę najdalej za kwadrans. Rozgościsz się?

Cathy przyglądała się już jednemu z ulubionych obrazków Grace. Był w żywych kolorach i przedstawiał szybujący swobodnie po czystym, błękitnym niebie czerwony balon, któremu towarzyszył jedynie biały gołąb.

- Będzie mi tu dobrze - zapewniła ją dziewczynka, nie odrywając od rysunku oczu.

Grace cicho zamknęła za sobą drzwi i zostawiła Cathy samą.

Kiedy matka zabrała dwunastolatka, a w jego kartotece została sporządzona notatka, Grace wzięła ze spiżarni talerz z ciasteczkami, wyjęła z lodówki dzbanek soku pomarańczowego i wraz z nieodstępującym jej Harrym poprowadziła dziewczynkę na zadaszony dziedziniec, który pełnił funkcję salonu.

- Możemy wyjść na pomost, jeśli wolisz, sądzę jednak, że tutaj będzie nam wygodniej - zwróciła się do niej.

- Tutaj jest bardzo miło - przyznała Cathy. -I nie ma podsłuchu.

Usiadły na zniszczonych starych bambusowych krzesłach, które dzięki poduszkom w białych i niebieskich barwach wyglądały wesoło i zapraszająco. Bambusowe nogi i oparcia były gdzieś gdzieś poniszczone i powyginane przez

dziesiątki niespokojnych, młodych pacjentów, ale dzięki temu dzieciom, którym Grace udzielała pomocy, meble te wydawały się bardziej swojskie. Harry, po badawczym obwąchaniu gościa - kiedy już został podrapany za uchem i pogłaskany - poszedł jak zwykle położyć się przy nogach swojej pani.

- Spokojny z niego zwierzak.

- Tak, to prawda.

- Nigdy nie miałam psa.

- A chciałabyś mieć?

- Nie wiem. Sądzę, że tak. - Cathy się zamyśliła. - Nie potrafię jednak wyobrazić sobie psa w mieszkaniu cioci Frances.

Grace się uśmiechnęła.

- Jest nienagannie utrzymane.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Dziewczynka napiła się trochę soku i skubnęła kęs ciastka. Obok jej krzesła upadł okruch. Harry podniósł się z miejsca, podszedł i zlizął go z podłogi. Cathy spojrzała pytająco na Grace w oczekiwaniu na przyzwolenie, a potem rzuciła na ziemię resztę ciastka. Harry-Łasuch błyskawicznie się z nim rozprawił, a potem położył się obok ofiarodawczyni łakoci.

- To szkocki terier. - Grace umilkła. - Czy jest coś, o czym chciałabyś ze mną porozmawiać, Cathy? - Rozpoczynanie rozmowy z pacjentami nigdy nie było łatwe, a z dziećmi bywało zwykle jeszcze trudniejsze; tym bardziej że do pierwszego spotkania nigdy nie dochodziło z ich własnej woli.

- Nie wiem - odrzekła dziewczynka.

- Jak się czujesz?

- Och, przecież wiesz. - Cathy wzruszyła ramionami.

- Niezupełnie.

- A jak ty byś się czuła na moim miejscu?

- Nie mam pojęcia - przyznała się Grace.

- Gdyby twoi rodzice zostali zamordowani i znalazłabyś ich martwe ciała - drażyla Cathy z pewną dozą wrogości w głosie. - Jak byś się wtedy czuła?

Grace uznała tę reakcję za całkowicie normalną. Często, kiedy zadawała pierwsze niezręczne pytania, podejmując wysiłek pchnięcia piłki, ażeby zaczęła się to-

czyć, miała wrażenie, że przypomina dziennikarzy, zadreńczających ludzi, którzy doświadczyli straszliwej tragedii.

Zdecydowała się udzielić szczerzej odpowiedzi:

- Moje stosunki z rodzicami układają się nie najlepiej.

- Och, tak. - Cathy przez moment analizowała w myślach tę informację. - Czy ułatwiłoby to, czy też pogorszyło sytuację?

Grace bezradnie pokręciła głową.

- Trudno powiedzieć. - Umilkła. - Mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiem.

- Ja też - odrzekła Cathy. Siedziały przez chwilę w milczeniu.

- Żyłam w zgodzie z mamą i Arniem. - Głos Cathy zabrzmiał godniej.

- Jestem rada z tego powodu - odrzekła Grace.

- Ja też - powtórzyła Cathy.

Grace jej nie ponaglała. Cathy siedziała ze zwieszoną głową, więc nie można było odczytać wyrazu jej oczu, ale przygryzała dolną wargę.

- Nie mogę uwierzyć, że to się stało - wyznała po kilku minutach. - Mam na myśli to, że byłam tam i ich widziałam. - Ponownie urwała i głośno przełknęła ślinę. - Wciąż czekam, że po mnie przyjadą i zabiorą mnie do domu od cioci Frances. A kiedy słyszę zatrzymujący się na ulicy samochód, podchodzę do okna, i niemal się spodziewam, że zobaczę mamę. - Podniosła wzrok, a jej oczy błyszczały się od łez.

Grace nie odezwała się, tylko sięgnęła do pudełka, które stało na bambusowym stole pomiędzy nimi, wyciągnęła kilka papierowych chusteczek i podała je dziewczynce. Jeden z pierwszych nauczycieli powiedział jej, że psycholog nie może funkcjonować bez ściennego zegara i bez chusteczek higienicznych. Grace zawsze sprawiało trudność korzystanie z czasomierza, aby przestrzegać rozkładu zajęć; nie kwestionowała przydatności budzika, uważała jednak, że jest urządzeniem natrętnym i niesympatycznym. Co, oczywiście, nie oznaczało, że nie pilnowała godziny podczas rozmowy z pacjentem. W końcu kontrolowanie czasu przypominało o tym, że zakończenie sesji wraz ze sporządzeniem notatek z niej powinno być jednoznaczne z zaprzestaniem angażowania się w życie pacjentów. I choć Grace uznawała słuszność owej zasady, do której stosowało się wielu kolegów wykonujących zawód psychoteraputy - doniosłość tego wymogu oraz jego ogromne znaczenie dla własnego zdrowia - to dla niej samej zakończenie pracy było jedynie fikcją.



- Czy chcesz porozmawiać o mamie, Cathy? Dziewczynka przecząco pokręciła głową.

- To mogłoby ci pomóc - wytłumaczyła Grace.

- Tak sądzisz? - W głosie nastolatki zabrzmiało powątpiewanie.

- Niektórym ludziom pomaga.

- Nigdy nie zapomnę mamy - oświadczyła Cathy.

- Oczywiście, że nie zapomnisz.

- Ani Arniego.

- Byłaś jego adoptowaną córką, prawda?

- Tak. - Cathy umilkła. - Nazywałam go Arnie, ponieważ... Grace odczekała chwilę, zanim zapytała:

- Ponieważ?

Dziewczynka zwilżyła językiem usta.

- Zwracając się do niego, nie chciałam używać sformułowania „tata” z powodu mojego rodzonego ojca.

- On też już nie żyje, prawda?

- Tak, umarł bardzo dawno temu.

- W jakim byłaś wtedy wieku?

- Miałam pięć lat.

- Pamiętasz go?

- Niezbyt dobrze.

Grace uważnie się jej przyglądała.

- Wspomniałaś, że miewasz przebłyski, Cathy. Dziewczynka niespokojnie poruszyła się na krześle.

- Czy rozmowa o tym jest dla ciebie trudna?

- Tak.

- Nie musimy poruszać tego tematu, jeśli nie chcesz.

- W porządku.

- Może innym razem.

- Może.

Cathy sięgnęła po swoją szklanę z sokiem i Harry, który leżał obok niej, usiadł, przyjmując pełną gotowości pozę, na wypadek gdyby wzięła kolejne ciastko.

- Mogę go jeszcze poczęstować? - spytała.

- Oczywiście, jeśli tylko jest czym.

Grace patrzyła, jak dziewczynka przełamuje ciastko z czekoladą i z orzechami, zjada mały kęs, a resztę kruszy na kawałki i po jednym podaje Harry'emu. Odnosiła się do psa delikatnie i nie drażniła się z nim. Grace zawsze zwracała uwagę na to, jak młodzi ludzie traktują zwierzęta.

- Masz trudności z jedzeniem? - spytała po chwili.

- Trochę tak.

- To normalna reakcja - zapewniła dziewczynkę. - Chociaż niektórzy ludzie reagują na smutek w ten sposób, że przez cały czas czymś się opychają.

- Ciocia Frances powtarza, że wpadnę w anoreksję. - Cathy lekceważąco wyduła usta. - A tymczasem sama je niewiele więcej niż ja.

- Obie powinnyście jeść lekkie przekąski. Ja osobiście, gdy jestem czymś wzburzona, zawsze łatwiej mogę przełknąć zwykłą kanapkę niż ugotowane danie.

Cathy sprawiała wrażenie, że zamierza się odezwać, zawahała się jednak.

- Co chciałaś powiedzieć? - zapytała Grace.

- Wczoraj na spacerze powiedziałaś... że również miewasz przebłyski wspomnień - urwała. - Nazwałaś je migawkowymi.

- Tak je odbieram.

Cathy, ważąc słowa, spytała badawczo:

- Czy w przeszłości spotkało cię coś złego, Grace? I czy to jest powodem tych migawek?

- Nie miałam łatwego dzieciństwa. Obecnie wszystko jest już w porządku. Przypuszczam jednak, że każdy na swój sposób niesie ze sobą przez życie bagaż własnych doświadczeń - powiedziała opanowanym głosem rutynowego psychologa.

- Nienawidzę moich - odparła Cathy. - Mówię o przebłyskach. Grace odnotowała w myślach, że najwidoczniej dziewczynka nie chce, aby podejrzewać, że nawiązuje do własnego wczesnego dzieciństwa. Wczoraj wspomniała, że owe fragmenty wspomnień miewa od lat. I fakt ten, w połączeniu z uwagą Frances Dean na temat przeszłości siostrzenicy, sprawił, że Grace miała wielką ochotę pociągnąć Cathy za język. Zdawała sobie sprawę z tego, że musi bardzo ostrożnie wyłuskiwać z umysłu nastolatki interesujące ją informacje. Cathy Robbins miała ochotę mówić, tego doktor Lucca była całkiem pewna, ale należało pozwolić jej zrobić to w czasie wybranym przez nią samą.

- Policjanci ponownie przyszli do domu ciotki - oznajmiła niespodziewanie.

Wiadomość ta zaskoczyła Grace.

- Kiedy? - Becket wczoraj nic nie wspomniał o ponownej wizycie w domu Frances Dean.

- Dzisiaj rano.

- Czego chcieli?

- Zadawali mnóstwo pytań. - Cathy przerwała na moment. - Bardzo zdenerwowali ciocię. Powiedziała im, aby się wynosili i zostawili mnie w spokoju.

- Twoja ciotka pragnie cię chronić.

- Wiem. Detektyw Becket pozwolił mi odejść. Usłyszałam jednak, jak ciotka Frances powiedziała mu, że postępują ohydnie, traktując mnie jak podejrzaną. - Cathy spojrzała na Harry'ego i podrapała go za uszami. - Myślę, że nie powinnam była podsłuchiwać.

- Wcale się temu nie dziwię - zapewniła dziewczynkę Grace. - Ja też nie lubię, kiedy ktoś rozmawia o mnie za moimi plecami.

Cathy ponownie podniosła na nią oczy.

- Czy sądzisz, że mnie podejrzewają, Grace? - Jej głos miał pozornie opanowane brzmienie, ale w oczach wyraźnie malowała się błagalna prośba. - Chyba nie przypuszczasz, aby ktokolwiek mógł pomyśleć, że byłabym zdolna do czegoś tak potwornego, prawda?

- Uważam to za mało prawdopodobne. - Grace zdecydowała się uczciwie postawić sprawę.

- Właściwie nie rozumiem, co tak bardzo wyprowadziło z równowagi moją ciotkę - mówiła dalej Cathy. - Uważam, że detektyw Becket był ogromnie miły, a pomimo to ciocia irytowała się coraz bardziej z każdą chwilą.

- Potrafię to zrozumieć.

Ponownie zapanowała cisza. Grace pozwoliła, by milczenie trwało przez jakiś czas, nim narysowała w myślach kreskę pod tematem i zdecydowała się na poruszenie nowego. Upływały minuty zaplanowanego na godzinę spotkania. Pomimo niechęci do pamiętania o czasie Grace nauczyła się, nie patrząc na zegarek, oceniać, ile go jeszcze pozostało do końca sesji. I choć wciąż miały wiele do omówienia, zamierzała wcześniej zakończyć rozmowę, zabrać dziewczynkę wraz z Harrym na pomost i trochę posiedzieć tam razem z nimi. Nie chciała wywierać presji na Cathy ani zniechęcać jej do następnej wizyty. Wciąż pozostawała jednak pewna kwestia, którą pragnęła wyjaśnić przed zakończeniem rozmowy.

- Wspomniałaś mi wczoraj, że już raz byłaś z wizytą u psychoterapeutki.

- Tak.

- Mówiłaś, że nie wzbudziła twojego zaufania.

- Tak powiedziałam?

- Tak.

Cathy zawahała się, nim udzieliła odpowiedzi, - Nagrywała każde moje słowo.

- I to ci się nie spodobało?

- Tak. - Umilkła. - Ty mnie nie nagrywasz, prawda, Grace?

- Nie, nie nagrywam.

Nastolatka zmierzyła wzrokiem notatnik na jej kolanach.

- Nie robiłaś żadnych notatek.

- Nie zawsze są mi potrzebne. Czasami jednak wolę coś zapisać - wyjaśniła Grace. - Kiedy się boję, że mogłabym zapomnieć o czymś ważnym. Ale na ogół mam niezłą pamięć. Być może zrobię kilka notatek po twoim wyjściu i następnym razem, jeśli zechcesz ponownie mnie odwiedzić, zobaczysz, jak do nich zerkam, aby sprawdzić, co napisałam ostatnim razem. - Przerwała. - Czy to ci nie przeszkadza?

- Myślę, że nie.

Wyglądało na to, że Cathy zaakceptowała wyjaśnienia. Skrepowanie jednak powróciło i Grace wyczuła, że dziewczynka zaczyna się przed nią zamykać. Wiedziała, że poruszając temat poprzedniej psychoterapeutki, wkroczyła na śliski

teren. Przed zakończeniem rozmowy postanowiła wycofać się na bezpieczniejszy grunt.

- Mam nadzieję, że mnie potrafisz zaufać, Cathy - powiedziała.

- Bardzo bym tego chciała - oświadczyła dziewczynka.

Pięć minut później zjawiała się Frances Dean; przyszła wcześniej, niż było to zaplanowane. Wyglądała na zdenerwowaną i najwyraźniej pragnęła jak najszybciej zabrać siostrzenicę. Często po sesji pozostawało Grace uczucie niepewności co do zaufania, jakie pokładają w niej pacjent i jego opiekunowie. I nigdy nie wiedziała, czy zdecydują się ponownie zwrócić do niej o pomoc albo czy nie wybiorą innego psychoterapeuty. Kwestia zdobycia zaufania zawsze wiele dla niej znaczyła.

Jednakże, musiała to uczucie przyznać przed samą sobą, nie zawsze aż tak wiele, jak w wypadku Cathy Robbins.

TLR

## ROZDZIAŁ 9

---

Środa, 8 kwietnia 1998.

O dwunastej w południe Sam Becket wraz z detektywem Alem Martinezem wyszli na podwórze za domem przy Coconut Grove.

Pełne małych owadów, wilgotne powietrze było nieprzyjemne, ale pomimo to Sam cieszył się, że są na zewnątrz, z dala od odoru krwi. Przez moment zastanawiał się, dlaczego ofiara, Beatrice Flager, pięćdziesięciodwuletnia, rozwiedziona psychoterapeutka, nie zamontowała w domu ekranów przeciwko owadom. Choć i tak żadna zabezpieczająca siatka nie uchroniłaby kobiety przed osobnikiem, który przebił jej lewą skroń cienkim, ostrym narzędziem.

- Co o tym sądzisz? - zagadnął swojego partnera.

- Powiedz lepiej, co ty o tym myślisz? To ty prowadzisz dochodzenie. Martinez miał okrągłą, sympatyczną twarz, bystre, ciemne oczy, oraz

falujące włosy. Ten mężczyzna o drobnej postaci, który sięgał Samowi zaledwie do ramienia, był cichym i spokojnym człowiekiem, dopóki ktoś nie nadeptał mu na odcisk. W takich sytuacjach, które zdarzały się od czasu do czasu, przemieniał się w rozjuszonego byka.

- Jeszcze za wcześnie, moim zdaniem, na wysuwanie jakichkolwiek teorii.

- Założę się, że sprawcą jest ten sam „kołek”. - Martinez mówił z ledwo zauważalnym obcym akcentem, jednak słownictwo, jakim się zwykł posługiwać, było bardzo urozmaicone: od salonowego po rynsztokowe.

- Nie przyjmuję zakładu; nie jestem hazardzistą - przypomniał mu Sam.

Telefon od Elliota Sandersa, lekarza policyjnego, który pięć dni wcześniej został wezwany do domu pod numer trzeci przy Pine Drive, zaskoczył Becketa. Po pierwsze, detektywa zdumiał zbieg okoliczności, że temu samemu lekarzowi zlecone zostało zbadanie obu przypadków. Po drugie, nawet jeśli lekarz uznał za prawdopodobne istnienie związku pomiędzy zbrodniami popełnionymi zarówno w rejonie działań służbowych Sama, jak i poza nim, policjanci prowadzący śledztwo zwykle dowiadywali się o tym dopiero po cotygodniowym posiedzeniu lekarzy medycyny sądowej z okręgu administracyjnego Dade. Nawet gdyby potencjalny związek został zauważony, Sam mógł się spodziewać, że będzie musiał czekać aż do momentu, kiedy drugi wydział policji - w tym przypadku ze śródmieścia Miami, gdyż Coconut Grove leżała w obrębie centrum miasta - zdecyduje się podzielić jakąkolwiek istotną informacją z wydziałem policji z Miami Beach. Doktor Sanders, rosły, barczysty mężczyzna, zwykle stawał jednak na głowie, aby w takich sytuacjach zwyciężył zdrowy rozsądek. Natychmiast dostrzegł



podobieństwa w sposobie dokonania zabójstw Rob-binsów i Beatrice Flager i nie widział powodu, ażeby nie zawiadomić detektywa prowadzącego dochodzenie w Miami Beach, a nawet przekonał miejscowych inspektorów, aby pozwolili Becketowi przyjechać wraz z kolegą na ulicę Coconut Grove i osobiście rozejrzeć się na miejscu zbrodni.

Becket z Martinezem, zaskoczeni i zaintrygowani rozwojem wydarzeń, bezwzględnie skorzystali z propozycji. Podczas telefonicznej rozmowy z Samem Sanders wspomniawszy, że wygląda na to, iż rana również pochodzi od skalpela.

- Sądzi pan, że cios został zadany tym samym narzędziem? - zapytał Sam, kiedy lekarz wyszedł z domu i dołączył do niego i do nich obu.

- Na razie wolałbym nie wypowiadać się na ten temat. - Sanders otarł brwi dużą chustką i zapalił papierosa.

Jak na lekarza łamał zbyt wiele zasad dbałości o własne zdrowie: palił jednego papierosa za drugim, miał nadwagę i nadużywał whisky. Jednakże wszyscy, którzy go znali, przyznawali zgodnie, że jak na człowieka, któremu życie upływa na zajmowaniu się zwłokami, jest bardzo zabawny.

- Czy może pan określić czas śmierci? - spytał Sam.

- Ofiara nie żyje mniej więcej od ośmiu godzin. - Sanders spojrzawszy na zegarek. - Śmierć nastąpiła około czwartej nad ranem. - Powachlowawszy się arkuszem papieru. - Powietrze jest dzisiaj niczym zupa. Nawet wyjście na zewnątrz nie przynosi wielkiej ulgi.

- Klimatyzacja się popsuła.

Martinez węszył wokół, starając się zdobyć każdą cenną informację. Uważał przy tym, aby niczym nie urazić swoich kolegów ze śródmieścia.

Dowiedział się, że ofiara została znaleziona przez najbliższą sąsiadkę w chwilę potem, kiedy dwaj umówieni na rano pacjenci zapukali do niej i spytali, czy przypadkiem nie wie, gdzie się podziewa pani Flager. Pacjent, kilkunastoletni Kubańczyk, został przesłuchany i wypuszczony, a bliska hysterii sąsiadka przebywała obecnie we własnym domu pod opieką policjanta z patrolu drogowego, który jako pierwszy zjawił się na miejscu zbrodni.

- Co jeszcze pan stwierdził, doktorze? - spytał Sam.

- Ma pan ochotę ponownie rzucić okiem na denatkę, gdy będę opowiadał panu o moich spostrzeżeniach? - Sanders wyszczerzył w uśmiechu zęby. Dobrze wiedział, podobnie jak jego koledzy po fachu, o wrażliwości Sama Becketa na widok zmasakrowanych ciał, chociaż w tym przypadku było znacznie mniej roz-

bryzganej krwi niż w sypialni Rob-binsów. Wąska strużka kończyła się kilka kroków od kanapy, na której leżała pani Flager; prawdopodobnie krew ściekła z ostrza, zanim zostało wytarte przez mordercę. Dotychczas nie natrafiono jeszcze ani na samo narzędzie zbrodni, ani na tkaninę, która została użyta do jego oczyszczenia. Nie odkryto również śladów włamania - policja zastała tylne drzwi otwarte na oścież - a jedyną stwierdzoną szkodą materialną był roztrzaskany komputer.

- Nie musisz się pocić ze strachu, Becket - zwrócił się Sanders do Sama. - Możemy pozostać na zewnątrz. - Zajrzał do swoich notatek, chociaż nie było tam niczego, czego nie miałby świeżo w pamięci. - Zostało zadane jedno pchnięcie, prosto w tętnicę skroniową.

- Ktoś musiał podejść bardzo blisko - zauważył Martinez.

- Nie ma śladów walki - dodał Sam.

- Denatka leży na kanapie, a więc mogła spać - wyjaśnił Sanders.

- Telewizor nie był włączony - skomentował ten fakt Sam. - Większość ludzi zasypia na kanapach przed telewizorami.

- Ty jesteś wyjątkiem - podkreślił Martinez. - Zwykle wylegujesz się na dachu.

- Mam tam łóżko plażowe, a nie kanapę - odparł Sam. - Poza tym idę tam z zamiarem zaśnięcia. - Umilkł. - Może leżała z kimś na kanapie? - zasugerował po chwili.

- Całkiem możliwe - zgodził się Sanders. - Przytuliła się do kogoś, kto trzymał w kieszeni skalpel.

- O ile byli ubrani - dodał Martinez.

- Ona była - oświadczył Sam.

- Sprawca mógł ukryć skalpel pod poduszką - snuł domysły Martinez.

- Jest pan pewien, że to był skalpel? - Sam zwrócił się do lekarza.

- Sądząc po wynikach dotychczasowych oględzin, wszystko na to wskazuje. Z pewnością było to narzędzie podobne do skalpela; tego samego typu, jakiego użyto w domu przy Pine Drive.

- A zatem może wszystkie trzy zabójstwa zostały popełnione tym samym narzędziem? - powiedział Martinez. - Tym, które jest własnością córki Robbinsów?

Przed trzecią krzątanina wewnątrz domu zaczęła słabnąć. Sam wiedział, że sierżant Rodriguez - jego odpowiednik z wydziału policji w śródmieściu Miami - raczej nie będzie sobie życzył, żeby obaj z Martinezem dłużej szwendali się na miejscu zbrodni. Technicy zakończyli zabezpieczanie odcisków palców, zdjęcia zostały zrobione pod wszystkimi możliwymi kątami, ciało dokładnie zbadano - na wypadek, gdyby w drodze do kostnicy zaginął jakiś dowód o zasadniczym znaczeniu - a następnie zabrano. Ekipa śledcza zajmowała się obecnie przeglądaniem kartotek pacjentów zamordowanej psychoterapeutki i odwiedzała inne domy przy Coconut Grove, chociaż wszyscy wiedzieli, że prawdopodobieństwo, aby ktoś mógł widzieć lub słyszeć coś, co okazałoby się przydatne dla śledztwa, jest bardzo małe. Poza tym, pomijając porę dokonania morderstwa, nadzieja na znalezienie świadka wobec braku wystrzałów oraz walki, była nikła. W końcu skalpel, który morderca stosunkowo gładko zagłębił w skroni prawdopodobnie śpiącej już kobiety, nie spowodował wiele hałasu, a odgłosy rozbijanego komputera również nie mogły obudzić nikogo poza domem.

Kiedy Martinez znalazł Sama w sypialni pani Flager, było po wpół do czwartej.

- Sądzę, że klimatyzacja została celowa uszkodzona.
- Aby kobieta musiała spać przy otwartych oknach. - Sam pokręcił głową.
- Powinna mieć na tyle rozumu, by przynajmniej nie otwierać tych przeklętych drzwi - powiedział Martinez.
- Czy na urządzeniu klimatyzacyjnym znaleziono jakieś odciski? - spytał Sam.
- Absolutnie żadnych. - Martinez spojrzał na Sama. - Jaki jest związek pomiędzy Robbinsami a panią Flager?
- Na razie nie wiemy, czy w obu wypadkach zostało użyte to samo narzędzie zbrodni - przypomniał mu detektyw.
- Dwa skalpele w ciągu jednego tygodnia? - Martinez sceptycznie odniósł się do wątpliwości Sama.
- Tak, wiem. - Becket również nie wierzył w zbieg okoliczności.

Zostawili sierżanta Rodrigueza oraz jego brygadę przy badaniu tego, co zostało po życiu i śmierci Beatrice Flager, i pojechali na Coral Gables, aby sprawdzić, gdzie Frances Dean i jej siostrzenica spędziły ubiegłą noc.

Odpowiedź pani Dean była łatwa do przewidzenia.

- Byłyśmy tutaj, w domu, a gdzieżby indziej?

Stali w salonie. Frances Dean nie zaproponowała detektywom, ażeby usiedli, i Sam pomyślał, że doskonale rozumie jej pragnienie jak najrychlejszego pozbycia się ich z własnego domu.

- Czy jest pani pewna, że Cathy przez całą noc przebywała tutaj razem z panią? - spytał Martinez.

- Oczywiście, że jestem. - Frances Dean wydawała się zbita z tropu.

- Sypiacie obie w jednym pokoju, pani Dean?

- Nie - odpowiedziała. - Ale nie spałam ubiegłej nocy. I dlatego jestem pewna, że moja siostrzenica aż do rana nie opuszczała swojej sypialni.

- Przez całą noc ani na chwilę nie zmrużyła pani oka?

Sam pozwolił, aby Martinez prowadził tę rozmowę. Osobiście nie widział powodu, dla którego miałby nie wierzyć tej kobiecie. Frances Dean była już niemal cieniem człowieka.

- Od czasu kiedy moja siostra i szwagier zostali zamordowani, przespałam może w sumie kilka godzin - oświadczyła detektywowi. - Mój lekarz przepisał mi tabletki, ale źle się po nich czuję.

- A zatem słyszałaby pani, gdyby Cathy opuściła swój pokój, a może nawet i dom?

- Tak, z pewnością. - Frances Dean podniosła wzrok na Sama. - O co chodzi?

- To rutynowe pytania - zapewnił detektyw. - Czy nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli zadam teraz kilka pani siostrzenicy?

- Będę i to bardzo - oświadczyła z zapalczywością Frances, a potem zniżyła głos do gniewnego syku: - Czy pan i pańscy ludzie chcecie wykończyć psychicznie to dziecko? Jesteście na dobrej do tego drodze.

- Jeszcze jedno, pani Dean. Czy słyszała pani o niejkiej Beatrice Flager? - spytał Sam.

- Nie, nie sędzę. A kim ona jest?

- Psychoterapeutką - wyjaśnił. - Ja ją znam.

Sam, Martinez i Frances Dean obejrzeni się razem. Do pokoju weszła Cathy. Była bosa i miała na sobie niebieską letnią sukienkę. Sam natychmiast dostrzegł ciemne sińce pod oczami dziewczynki. Nie przypominał sobie, aby widział je wcześniej. Poza tym wydawała się całkiem opanowana. Zastanawiał się, od jak dawna stała pod drzwiami, przysłuchując się ich rozmowie. Ponieważ była bosa,

Sam uznał za całkiem zrozumiałym fakt, że nikt nie usłyszał jej nadejścia. Jednak bezszelestny, niemal podstępny sposób, w jaki wślizgnęła się do pokoju, mocno go zaniepokoił. I nasunął dodatkowe wątpliwości co do zapewnień Frances Dean o tym, że zauważyłaby, gdyby siostrzenica opuściła swój pokój czy dom. Było wielce prawdopodobne, że ciotka mogła nic nie wiedzieć o jej wyjściu.

Spojrzał w zadartą do góry twarz dziewczyny.

- Witaj, Cathy - powiedział. - Masz ochotę usiąść?

- Nie, dziękuję.

Wszyscy stali nadal, sztywni i skrepowani, z wyjątkiem Martineza, który zwykł zawsze powtarzać Samowi Becketowi, że jak na gliniarza ma zbyt czułe serce.

- Panowie chcieli wiedzieć, gdzie obie spędziłyśmy ubiegłą noc - wyjaśniła wciąż drżącym z gniewu głosem Frances Dean. Najwyraźniej postanowiła za wszelką cenę uprzedzić następny ruch detektywów. - Oczywiście powiedziałam im, że obie byłyśmy w łóżkach.

Zarówno Sam, jak i Martinez w milczeniu przyglądali się Cathy.

- Dlaczego o to pytacie? - zaciekawiała się dziewczynka. - I co to ma wspólnego z panią Flager?

- Została zamordowana ubiegłej nocy - odparł Martinez.

- W jaki sposób? - Twarz nastolatki nie zdradzała żadnych emocji, oc \_ Ktoś ją zadźgał ostrym narzędziem.

- Och, Boże. - Dziewczynka zbladła nagle jak płótno. - Boże, to Śfłaszne.

- Czy nie chciałabyś teraz usiąść, Cathy? - zapytał delikatnie Sam.

Bez słowa, bardzo powoli przycupnęła na kanapie. Frances Dean usadowiła się blisko niej, pilnując przy tym, aby jej nie dotykać. Całą swoją postawą wyrażała pragnienie chronienia siostrzenicy.

Sam i Martinez, którym nikt nie zaproponował zajęcia miejsc, stali dalej.

- Co jest powodem...? - Frances urwała w pół zdania, jej twarz stała się jeszcze bledsza, a w szeroko otwartych oczach, gdy spojrzała na Sama, na nowo pojawiło się przerażenie. - Co śmierć tej kobiety ma wspólnego z nami?

- Jak już wspomniałem, to tylko rutynowe pytania.

- Nie wierzę. - Nieufnie pokręciła głową. - Nie wierzę w ani jedno wasze słowo.

- Wszystko w porządku, ciociu Frances - odezwała się Cathy.
- Powiedziałaś, że znałaś Beatrice Flager? - zwrócił się do niej Sam. Dziewczynka skinęła potakująco głową.
- Bardzo słabo. - Jej głos zabrzmiał tak cicho, że był ledwie słyszalny. - Wiem, że była psychoterapeutką.
- Skąd o tym wiesz, Cathy? - zdziwił się Martinez.
- Byłam kiedyś u niej. - Zerknęła z ukosa na ciotkę, dostrzegając jej mocno zaciśnięte usta i zaszokowane spojrzenie.
- Jako pacjentka? - uściślił Martinez, a dziewczynka potakująco skinęła głową.
- Czy zgodzisz się opowiedzieć nam, co było powodem tej wizyty? - chciał wiedzieć Sam.
- Ja się nie zgadzam - zaprotestowała Frances.
- Nie, wszystko w porządku - Cathy ponownie uspokoiła ciotkę, a potem podniosła wzrok na Sama. - Poszłam do niej, ponieważ życzył sobie tego Arnie, mój ojciec.
- Dlaczego zależało mu na tym, żebyś udała się po poradę do psychoterapeutki?
- Nie odpowiadaj na to pytanie! - Frances zerwała się z miejsca. - Panowie wybaczą, ale uważam, że moja siostrzenica nie powinna udzielać dalszych odpowiedzi.
- Nie mam nic do ukrycia, ciociu.

- Wiem, że nie masz. - Frances nie patrzyła na Cathy. Ignorując Martinez, nie spuszczała zagniewanych oczu z Sama. - Czy mojej siostrzenicy potrzebny jest adwokat, detektywie Becket? - Ponownie pokręciła głową. - Nie mogę uwierzyć, że naprawdę o to pytam, lecz teraz nagle wszystko świadczy, że to słuszny domysł.

Sam spojrział na nią. Wcześniej wydawała się bardzo osłabiona, ale gdy tylko przeżyła kolejny wstrząs - gdy pojęła przyczynę ich kolejnej wizyty w tym domu - sprawiała niemal wrażenie, że urosła i nabrała sił. Ogarnął go podziw dla tej kobiety. Miał nadzieję, że nie będzie już dalszych powodów do zadawania jej bólu.

- To rutynowe pytanie, proszę pani - jeszcze raz zapewnił ją Martinez. Skierowała na niego spojrzenie.



- Czy rutynowym działaniem jest zadręczanie dziecka, które dopiero co straciło rodziców, detektywie? Dziecka, które wciąż przeżywa piekło?

Martinez zachował spokój. Prawie zawsze mu się to udawało.

- Tak, proszę pani - oświadczył. - Zważywszy na okoliczności, obawiam się, że tak.

- W takim razie macie dzikie obyczaje - skwitowała jego słowa Frances.

- Trudno nie przyznać pani racji - powiedział cicho Sam.

TLR

Plik odzyskany

Nazwa pliku: Mój dziennik

Bieżący katalog: c:/wpwin/rozmaitości

Wielkość pliku: 15305 bajtów

31/0/98 23:52

Plik zabezpieczony hasłem

Plik: c:/wpwin/rozmaitości/dziennik

Hasło: N-I-E-N-A-W-I-Ś-Ć OK

ANULUJ

TLR

# Dziennik Cathy

---

*Czwartek, 9 kwietnia 1998*

Nie powinna była mi tego robić.

Mogła pilnować własnego nosa.

Zawsze była podłą suką.

TLR

# ROZDZIAŁ 10

---

Czwartek, 9 kwietnia, 1998

Około jedenastej przed południem zatelefonował Sam Becket. Grace miała akurat przerwę w pracy i piła w kuchni kawę razem z Teddym Lopezem - młodym człowiekiem, który przychodził kilka razy w tygodniu i zajmował się domem; a w czasie jej nieobecności opiekował się również psem.

- Zdarzył się wypadek, o którym, moim zdaniem, powinna pani wiedzieć, doktor Lucca - oznajmił policjant.

- Co to za wydarzenie?

Grace korzystała z bezprzewodowego telefonu, który leżał na kuchennym stole. Teddy wyczuł, że rozmowa dotyczy spraw zawodowych, a po trzech latach pracy u pani psycholog wiedział już, że to poufne informacje. Wyszedł z filiżanką na pomost, ażeby tam do końca wypić kawę.

- Być może najświeższe fakty nie mają związku z prowadzonym przeze mnie śledztwem - powiedział Sam. - Biorąc jednak pod uwagę to, że musieliśmy porozmawiać z Cathy i z jej ciotką, uznałem, że powinienem o nich wspomnieć również i pani.

Poinformował ją o kolejnym morderstwie, a także o tym, że ofiara, psychoterapeutka, niejaka Beatrice Flager, spotkała się kiedyś z Cathy. Nowiny były nie małym wstrząsem dla Grace. A kiedy detektyw wyjawiał jej ściśle poufną informację, że narzędzie zbrodni i tym razem miało cienkie, podobne do skalpela ostrze, poczuła ciarki na plecach.

- Czy wiedziała pani, że Cathy już przedtem korzystała z pomocy psychoterapeutki? - spytał Sam.

- Tak, poprzednio mi o tym napomknęła - Grace dokładała wszelkich starań, aby udzielić odpowiedzi opanowanym głosem. - Nie wymieniła jednak nazwiska psychologa.

- Wiemy, że była to pani Flager - odrzekł detektyw. - Cathy osobiście nas o tym poinformowała. Czy wie pani, dlaczego szukała u niej porady?

- Nie mam pojęcia.

- Pewnie nawet gdyby pani wiedziała, nie powiedziałaaby mi pani, prawda?

- Prawdopodobnie nie - przyznała Grace.

- W każdym razie - ciągnął dalej Sam - musieliśmy wczoraj złożyć wizytę pani Dean oraz jej siostrzenicy i zadać im obu kilka rutynowych pytań. Ciotka Cathy zdenerwowała się nie na żarty...

- Co to były za pytania? - przerwała mu Grace.

- Typowo rutynowe.

- To już słyszałam - ucięła. - Czy Cathy również była wytrącona z równowagi?

- Na moment - odrzekł Sam. - Potem jednak wydawała się już całkiem spokojna. Przynajmniej takie sprawiała wrażenie. W każdym razie - podjął gładko wypowiedź, jak gdyby Grace wcale mu nie przerywała - uznałem, że dobrze byłoby, gdyby pani ponownie się z nimi skontaktowała.

- Dla kogo dobrze?

Jej szorstki ton nie uszedł uwagi Sama.

- Nie wysyłam pani jako policyjnego szpiega, doktor Lucca. - Odgadła, że się uśmiecha.

- Jest pan pewien?

- Wygląda na to, że zyskała sobie pani sympatię zarówno Cathy, jak i jej ciotki, to wszystko - powiedział lekkim tonem. -1 odnoszę wrażenie, że chociaż Cathy wydaje się spokojna, może być jej potrzebna pomoc.

- A zatem nie spodziewa się pan raportu po moim powrocie z Coconut Grove? - spytała.

- Czy zawsze jest pani tak bardzo podejrzliwa, doktor Lucca? ' - Często - odparła.

- Być może ma pani po temu powody - zgodził się Sam.

Pały ją policzki, kiedy odkładała słuchawkę. Wiedziała, że przyczyną, dla której przed chwilą zaatakowała Sama Becketa, były po części wyrzuty sumienia. Czuli się winni, że nie powiedziała mu o tym, o czym pomyślała natychmiast, gdy tylko się dowiedziała o Beatrice Flager.

O opinii Cathy na temat psychoterapeutki, u której była kiedyś z wizytą:

*Nie wzbudziła mojego zaufania. Nagrywała każde moje słowo.*

Podczas rozmowy z Becketem Grace przez cały czas miała ochotę go zapytać, czy morderca szukał kartotek pacjentów psychoterapeutki. I czy jej nagrania lub

notatki nie zostały przypadkiem skradzione albo zniszczone. Powstrzymała się jednak i ani słowem o tym nie wspomniała.

- Informacje uzyskane podczas rozmowy lekarza z pacjentem mają charakter poufny - mruknęła na głos.

Była to całkiem uzasadniona wymówka. A jednak Grace zdawała sobie sprawę z wciąż toczącej się w jej umyśle walki pomiędzy lojalnością wobec Cathy Robbins i wobec prawa.

I owa świadomość burzyła jej spokój.

Kiedy szukała numeru telefonu do Frances Dean w gabinecie, a Harry z czerwoną piłką w pysku biegał kłusem wokół pokoju, zapraszając swą panią do zabawy, ponownie zadzwonił telefon.

- Grace, to ja.

- Witaj, siostrzyczko. - Grace znalazła numer i usiadła. - Co słysząc? - Jej siostra, Claudia Brownley, która razem ze swoim mężem i dziećmi mieszkała na zmianę to w Fort Lauderdale, to na wyspach Key - rzadko kontaktowała się z nią w godzinach pracy. - Czy u ciebie wszystko w porządku?

- Tak i nie - odrzekła Claudia. - Telefonował tata.

- Frank się odezwał? - Grace przestała nazywać ich ojca tatą w dniu, kiedy przed szesnastoma laty obie z Claudią opuściły rodzinny dom. Frank Lucca nigdy nie telefonował do żadnej ze swoich córek.

- Mama jest chora na raka - oznajmiła Claudia. - Musi się poddać operacji.

- Raka czego?

- Nie wiem dokładnie. Tata powiedział, że narządów kobiecych. Claudia umilkła na moment. - Chce, żebyśmy przyjechały do domu.

Grace wyprostowała się na krześle, zamknęła oczy i zrobiła głęboki wdech. Rozległo się ciche stuknięcie, gdy Harry'emu piłka wypadła z pyska. Grace otworzyła oczy. Biały terier siedział z zadartym do góry łbem i wpatrywał się w nią wyczekująco.

- Jakie masz w związku z tym odczucia? - spytała cicho Grace.

- Sama nie wiem. A ty?

- Ja też chyba nie wiem.



Grace nie potrafiła określić emocji, jakie w niej wywołała wiadomość o chorobie matki. Była świadoma, już w chwili wypowiedzenia tych słów, że pierwsze pytanie, jakie zadała, brzmiało; „Raka czego?“, zamiast: „Czy jest złośliwy?“. Z drugiej strony jednak związek obu sióstr z rodzicami nie dawał podstaw do tego, ażeby z powodu choroby matki miały wszystko rzucić i niezwłocznie udać się do rodzinnego domu. Prawda była taka, że ani z Frankiem, ani z Ellen Lucca nie łączyły ich żadne więzi.

Ciemność i chłód przed wieloma laty przywiodły Grace i Claudię na Florydę. A także zdecydowała o tym potrzeba trzymania się blisko siebie. Claudia była niewiele ponad rok starsza od siostry, ale w dzieciństwie to przeważnie ona przychodziła do Grace po pociechę i wsparcie, gdy dostała od ojca lanie albo gdy spotkało ją coś znacznie gorszego z jego strony. To zawsze na Claudii - delikatniejszej i bardziej posłusznej - Frank Lucca wyładowywał swoją wściekłość i namiętność, podczas gdy Grace - młodsza, bardziej impulsywna, żadna wiedzy i mniej uległa - rzadko wzbudzała w nim aż tak gwałtowne emocje.

Na próżno by jednak doszukiwać się logiki w dokonanej przez Franka wyborze. Wyglądało na to, że pałał nienawiścią do swojej żony Ellen. A jednak własną nienawiść i seksualne frustracje wyładowywał na bardziej podobnej do siebie Claudii, a nie na Grace, która tak samo jak Ellen miała jasne włosy oraz błękitne oczy. Można by sądzić, że to jej widok powinien być dla niego ową iskrą zapalną.

Znacznie później Grace zwykła utrzymywać, że pojechała za siostrą do Miami, jak gdyby to Claudia wzięła na siebie rolę przewodniczki. W rzeczywistości stwierdzenie to całkowicie rozmijało się z prawdą. Autorką pomysłu była wyłącznie Grace. Wpadł jej do głowy w dniu, kiedy zaprzyjaźniła się z niejaką Betsy, koleżanką ze szkoły w Chicago. Dziewczynka miała ciotkę i wuja w ciepłym i słonecznym Miami Beach. Wtedy Grace zaczęła snuć fantazje o wyjeździe na Florydę. A także o ucieczce od ojca - nadużywającego władzy rodzicielskiej - oraz od matki, której zbrodnia polegała na tym, że nigdy nie kiwnęła palcem ani nawet nie podniosła głosu w obronie córek.

Stopniowo marzenia zostały wcielone w życie. Grace zwierzyła się Betsy i zyskała jej współczucie. Namówiła ją, aby poprosiła krewnych o znalezienie w miarę niedrogiego i bezpiecznego miejsca zamieszkania dla dwóch nastolatek, a potem, dysponując już odpowiednimi informacjami, przystąpiła do rozmów z rodzicami.

Jeśli Frank i Ellen nie będą im robić trudności z wyjazdem, Grace i Claudia nie doniosą na nich władzom. Frank nazwał jej propozycję szantażem; Grace

uwazała ją za kompromis. Była to jej pierwsza próba zastosowania psychologii w celu rozwiązania złej sytuacji życiowej. Powodzenie całej akcji zawdzięczały tylko temu, że rodzice mieli je obie głęboko w nosie i Grace doskonale zdawała sobie z owego faktu sprawę. Niemniej był to jej pierwszy, przyprawiający o zawrót głowy, sukces. Szczególnie że od momentu, kiedy zostawiły za sobą betonowo-stalowe domy, lodowate wichry oraz Franka, i dotarły do palm, błękitnego oceanu oraz promieni słonecznych, a także gdy zdobyły wolność, szesnastoletnia Claudia niemal w oczach zaczęła się psychicznie wzmacniać i rozkwitać. Nie było nawet mowy o tym, aby Grace porzuciła szkołę. Nowa Claudia zamierzała znaleźć sobie posadę i ciężko pracować, żeby siostra, która zawsze miała większe od niej zdolności do nauki i była bardziej ambitna, mogła ukończyć liceum i rozpocząć studia.

Od czasu ucieczki z Chicago żadna z nich nie widziała się z Frankiem. I tylko raz spotkały się z matką, kiedy zimą 1992 roku, pragnąc wyrwać się od męża, przyjechała do nich bez zapowiedzi autobusem linii Grey-hound - posiniaczona i znużona życiem. Ale nawet wtedy jedynym celem, jaki jej naprawdę przyświecał, było obwinianie córek za to, że od niej uciekły. Nie poczuwała się do odpowiedzialności za doświadczenia, jakie w dzieciństwie stały się ich udziałem. Uważała, że przez wzgląd na nią miały obowiązek zostać w domu, by znosić ból i strach.

Grace dostrzegła wtedy, że w rozumowaniu matki również nie ma żadnej logiki. Świadomość, że ludzie pozbawieni serca i duszy nie kierują się w życiu logiką, są niesprawiedliwi i nie przestrzegają żadnych zasad, stała się dla niej przydatnym memento, jakie zabrała ze sobą, wkraczając w świat psychologii - profesji polegającej na udzielaniu porad zagubionym ludziom.

- Czy Frank powiedział coś na temat stopnia zaawansowania choroby? - spytała Grace Claudię.

- Nic o tym nie wspominał. W ogóle jego wypowiedzi były bardzo mgliste. Chciałam porozmawiać z mamą, ale okazało się, że nie może podejść do telefonu; albo też on jej nie pozwolił. - Claudia wydawała się opanowana, w jej głosie jednak była wyraźnie słyszalna nuta gorzkości. - Próbowałam się dowiedzieć, jakiego rodzaju operacja ją czeka, ale nie uzyskałam żadnej odpowiedzi. Zapytałam więc wprost, czy musi mieć usuniętą macicę i to go wyraźnie zdenerwowało.

- Wpadł w złość?

- Niezupełnie. Raczej poczuł się urażony. Oświadczył, że powiedział już wszystko, co miał nam do powiedzenia, i teraz już tylko od nas zależy, co zrobimy; uważa jednak, że powinniśmy przyjechać. - Claudia umilkła. - Zarzuciłam

mu, że chciałby jedynie obarczyć kogoś innego obowiązkiem opiekowania się mamą po operacji.

- Z pewnością ty nie możesz nią się zająć - oświadczyła pośpiesznie Grace, łudząc się, że stłumi w sobie poczucie winy, jeszcze zanim coś takiego zdąży się w niej zrodzić. - Masz Daniela i chłopców, o których musisz się troszczyć. I nie możesz ryzykować, że z powrotem utkniesz na dobre w tej piekielnej dziurze tylko dlatego, że Frank Lucca odezwał się po raz pierwszy od dziesięciu lat.

- Wiem o tym, siostrzyczko - powiedziała cicho Claudia. - Nie twierdzę, że tam się wybieram.

- To dobrze - odrzekła Grace, odczuwając lekkie mdłości spowodowane gwałtownym gniewem, jaki poczuła.

Ponownie zamknęła oczy i pomyślała o Ellen: o tym, jak chora i wystraszona będzie musiała wrócić po zabiegu chirurgicznym do swojego podłego męża.

- O, Boże - wzdrygnęła się gwałtownie i otworzyła oczy.

- Dobrze się czujesz, Grace?

- Tak. - Wiedziała, że nie sprawia takiego wrażenia. - Zdaję sobie sprawę z tego, że próbuję stłumić w zarodku twoje poczucie winy wobec Ellen, a wcale nie jestem pewna, czy zdołam uporać się z moim własnym.

- Ty też jesteś człowiekiem, Grace - zauważyła Claudia opanowanym tonem i na chwilę zamilkła. - I co teraz zrobimy?

- Sądzę, że powinniśmy się wstrzymać z decyzją - zasugerowała Grace. - Poza tym, za kilka dni wypadają święta wielkanocne, więc i tak, nawet gdybyśmy chciały, nie dostaniemy biletów na samolot do Chicago. A ponadto obie mamy sprawy, których nie możemy zostawić. - Przed jej oczami pojawiła się twarzyczka Cathy Robbins. Przypomniała sobie, że trzyma w dłoni kartkę z zapisanym numerem telefonicznym. - Prawdę mówiąc, muszę właśnie do kogoś zadzwonić.

- Chyba masz rację. Nadal wybierasz się do nas na weekend? Grace pomyślała o perspektywie spędzenia dwóch dni i dwóch nocy

w towarzystwie swojej siostry, szwagra oraz ich synów w domu na Islamoradzie i poczuła przepływającą przez ciało falę ciepła.

- Za nic nie wyrzekłabym się tej wizyty.

Frances Dean udzielała wymijających odpowiedzi, a jej ton graniczył niemal z wrogością. Grace rozumiała jednak, co jest powodem takiego zachowania: ta kobieta łączyła jej osobę z Samem Becketem oraz innymi policjantami z wydzia-

łu w Miami Beach, a także z faktem, że zabójstwo Beatrice Flager podgrzało atmosferę podejrzeń w stosunku do jej siostrzenicy. Doktor Lucca nie mogła jej za to winić. Podobnie jak nie powinna, chociaż niechętnie to przyznawała, mieć pretensji do Sama Becke-ta o to, że wywiązywał się ze swoich zobowiązań wobec podatników.

Ni stąd, ni zowąd do Grace powróciło uczucie niepokoju z ubiegłej soboty, jakie ogarnęło ją w chwili, kiedy spostrzegła plaster na ręce Cathy. Nie odważyła się zapytać Becketa o opatrunek. Frances Dean dawała jej teraz doskonałą okazję do tego, aby porzuciła sprawę Cathy, Marie i Arnolda Robbinsów, aby puściła w niepamięć tragiczne wydarzenia i z przyczyn uzasadnionych z punktu widzenia prawa odsunęła się od dziewczyny, która mogła - po prostu mogła - zamordować troje ludzi, w tym swoją rodzoną matkę.

Rzecz w tym, że Grace w to nie wierzyła. A nawet gdyby się myliła, nie do niej należało udowadnianie winy albo niewinności Cathy Robbins. I choćby ta nieprzyjemna sprawa miała stać się jeszcze nieprzyjemniejsza, co było wielce prawdopodobne, doktor Lucca nie zamierzała odstępować Cathy. Pragnęła jej pomóc w oswojeniu się z sytuacją, w jakiej się znalazła, i w radzeniu sobie z tym, co ją spotkało.

Nawet jeśli było to wielokrotne popełnienie morderstwa.

# ROZDZIAŁ 11

---

Piątek, 10 kwietnia 1998

Aby doprowadzić do kolejnego spotkania z Cathy, doktor Lucca musiała na jutro rano pokonać aż dwie przeszkody. Po pierwsze, przekonać Frances, że bez względu na jej osobiste odczucia co do sposobu prowadzenia śledztwa Grace wciąż stoi po stronie jej siostrzenicy. I po drugie, uzyskać zezwolenie policji na przeprowadzenie rozmowy z nastolatką w szczególnym miejscu, którego wybór psychoterapeutka uznała za celowy. Dom Robbinsów przy Pine Drive wciąż był oficjalnie wyłączony z normalnego użytkowania jako miejsce, w którym popełniono zbrodnię. Jednakże Grace miała wielką ochotę porozmawiać z Cathy właśnie tam, pod warunkiem, że nastolatka się na to zgodzi. Dziewczynka zaakceptowała pomysł, Grace była tego niemal pewna.

- Bylebyśmy tylko nie musiały ponownie wchodzić do tamtego pokoju - postawiła warunek.

- Z pewnością do tego nie dojdzie - zapewniła ją Grace.

Kierowała nią nie tyle chęć ponownego zaprowadzenia Cathy na scenę makabrycznych wydarzeń, ile przekonanie, że dodatkowym wstrząsem, potęgującym uraz psychiczny nastolatki stało się nagłe wyrwanie jej z domu. Jak gdyby fakt utraty rodziców nie był wystarczająco okropny, Cathy straciła jednocześnie drugą najważniejszą ostoję w swoim życiu. Dom zawsze stanowił to miejsce, gdzie ludzie pragnęli wylizywać się z ran i gdzie rozpoczynał się proces ich uzdrawiania. W domu ciotki Cathy -pomimo najlepszych chęci Frances Dean - dziewczynka nie mogła być sobą. Powodem były nastrój żałoby oraz nienaganny porządek w pokojach. Nastolatka miała tam swoją sypialnię, w której mogła się schronić, nie był to jednak jej własny pokój. Grace w pełni zdawała sobie sprawę z zagrożenia, jakie niósł za sobą powrót do miejsca, gdzie doszło do horroru. Jednakże wydarzenie to - ów nocny koszmar - dotyczyło tylko jednej nocy; a w murach tego budynku Cathy Robbins spędziła całe lata. I, zdaniem Grace, potrzebowała powrotu do korzeni oraz spojrzenia głęboko w samą siebie w obecności kogoś bezstronnego, kto pozwoliłby jej zareagować tak, jak tego potrzebowała. Grace miała nadzieję, że konfrontacja ta wyjdzie nastolatce na dobre.

Sam Becket również uznał pomysł za trafny. Już wcześniej wystąpił z podobną propozycją w rozmowie z ciotką dziewczynki. Łudził się, że powrót do domu może pobudzić pamięć Cathy. Frances Dean jednak kategorycznie odrzuciła jego sugestię. Tym bardziej był więc zadowolony, że przystała na sugestię Grace.



- Przypuszczam, że nie traktuje pani jako wroga rodziny numer jeden - powiedział przez telefon, kiedy udzielił Grace zezwolenia na przebywanie w miejscu popełnienia zbrodni.

- Zapewne nie dopatruje się w mojej propozycji próby schwywania Cathy w pułapkę - snuła domysły Grace. - Choć osobiście nie przypuszczam, że właśnie z tego powodu chciał ją pan tam zabrać.

- A w jakim celu, zdaniem pani, zamierzałem to zrobić? - spytał.

- Chciał pan znaleźć się bliżej prawdy - wyjaśniła.

- Czy właśnie na to pani liczy, doktor Lucca?

- W pewnym sensie tak.

Dom, stojący na rozległej parceli i zbudowany w stylu pseudoelżbie-tańskim, był duży, ale nieprzesadnie okazały. Grace zauważyła trzy rodzaje palm, tropikalne pnącza o barwnych przylistkach, jaśminy i róże oraz miękkie, nienagannie utrzymany trawnik przed głównym wejściem. Wszystko wokół budynku wydało się jej niemal uosobieniem spokoju, dopóki taśma zabezpieczająca miejsce zbrodni oraz śmietnik, jaki tworzyły beztrosko rzucone na ziemię plastikowe kubki po kawie i puszki po napojach, nie przypomniały jej o brutalnej rzeczywistości.

Weszły bocznymi drzwiami do budynku, minęły kuchnię i znalazły się na korytarzu. Grace nie musiała obserwować twarzy Cathy: dziewczynka emitowała z siebie niemal wyczuwalne fale napięcia. Doktor Lucca zaczęła mieć nagle poważne wątpliwości i świadomość winy.

- Dokąd chciałabyś pójść? Gdzie czujesz się bezpieczna? - spytała. Odpowiedź była natychmiastowa: - Na podwórzu za domem.

- A więc chodźmy tam.

Grace podążyła za nią. Ponownie skorzystały z bocznego wyjścia, a kiedy obeszły budynek i znalazły się na tyłach, wszystko zrozumiała. Podwórze należało do tego rodzaju miejsc, gdzie pragnęłyby posiedzieć większość nastolatek. Było przestronne, odosobnione i obsadzone dookoła palmami oraz ślicznymi krzewami jacarandy. Znajdowały się tam sporych rozmiarów trawnik, kuszący basen z trampoliną, zbudowane z kamieni palenisko do pieczenia jarzyn i mięsa na rożnie, stół i krzesła, kilka huśtawek z markizami, oraz hamak. Na końcu ogrodu Grace dostrzegła również domek kąpielowy i drugi rożen. Domyśliła się, że Cathy spędzała tutaj dużo czasu ze swoimi przyjaciółmi. O ile miała przyjaciół.



Grace uświadomiła sobie nagle, że nie słyszała o żadnych wizytach młodzieży w domu ciotki dziewczynki. Spostrzeżenie to jednak niczego nie dowodziło; Grace doskonale wiedziała, że powszechną reakcją ludzi w każdym wieku na śmierć jest zachowywanie dystansu w stosunkach z osobami, których bezpośrednio dotknęła.

- Wspaniałe miejsce do urządzenia przyjęć - odezwała się cicho, uważnie przyglądając się twarzy Cathy. Była rada, że przynajmniej stąd dziewczynka ma same miłe wspomnienia.

- Kiedy Arnie nie był zajęty w restauracji, moi rodzice często zapraszali gości - wyjaśniła Cathy. - Uwielbiał życie towarzyskie.

- A mama?

- Nie tak bardzo. Była bardziej wyciszona niż on. Wiedziałaś o tym? - Uśmiechnęła się. - Skąd miałabyś o tym wiedzieć?

- Chętnie posłucham, jeśli masz ochotę mi o tym opowiedzieć.

- Czy mogę zrzucić buty i zanurzyć stopy w wodzie?

- To twój basen - odrzekła Grace. - Nie potrzebujesz pozwolenia.

- Ostatnio odnoszę wrażenie, że zanim cokolwiek zrobię, muszę zapytać o zgodę.

- Ze mną nie jest to konieczne.

Cathy zdjęła buty bez rozwiązywania sznurówek, Grace zrobiła to samo i obie usiadły na brzegu basenu. Cathy miała na sobie krótkie spodnie i bluzkę na ramiączka; Grace przyszła w ciemnych spodniach i żałowała, że nie włożyła szortów. Kontakt stóp z wodą był rozkoszny. Cathy westchnęła przeciągle. Zabrzmiało to niczym wyraz ulgi.

- I co? - spytała Grace.

- Jest taka sama w dotyku - zauważyła dziewczynka.

- Przecież się nie zmieniła.

- Nic nie wydaje się już takie, jak przedtem - odparła Cathy. Grace nie mogła zaprzeczyć tej opinii.

Przez chwilę siedziały w milczeniu.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś o twojej matce - odezwała się w końcu Grace.

- A co cię interesuje?

- Wszystko. Czy byliście dobrymi przyjaciółkami?

- Sądzę, że tak. - Cathy zapatrzyła się w błękitną wodę. - Mama nie była zbyt wesola, wiesz? Ale czasami potrafiła się śmiać, kiedy pozwoliła sobie na chwilę relaksu. Arnie miał pogodne usposobienie. Mama należała do osób bardziej wy-ciszonych niż on. - Urwała. - Już o tym mówiłam, prawda?

- Nieważne.

- Wiecznie się zamartwiała - dodała Cathy.

- Czym?

- Nie mam pojęcia.

- Nie zwierzała ci się?

- A czy twoja mama rozmawia z tobą o swoich osobistych sprawach? - Był to ten sam rodzaj retorycznego pytania, jakie Cathy zadała niemal na samym początku ich poprzedniego spotkania, zanim zamknęła się w sobie.

- Moja mama tylko wtedy porusza osobiste tematy, kiedy jest jej to na rękę. - Grace nadal była przekonana, że szczerłość to jedyna metoda' postępowania z Cathy. Jeden z pierwszych nauczycieli wyjaśnił jej, że nawiązywanie do własnych życiowych doświadczeń jest celowe dopóty, dopóki zasadnicza dyskusja skupia się na pacjencie.

- Czy dlatego zostałeś psychologiem?

- Niewykluczone, że był to jeden z powodów.

Grace powiedziała Samowi, że Cathy odznacza się niezwykłą intuicją. I teraz pomyślała, że oto czternastolatka doskonale radzi sobie z dwudziestoczteroletnią kobietą. Zastanawiała się, czy owa wnikliwość pomoże Cathy, czy też jej zaszkodzi w kontaktach z ekipą śledczą policji z Miami Beach.

- Sądzę, że mama chciała tylko mnie chronić - odezwała się niespodziewanie Cathy.

- Przed czym?

- Przed złem.

Temat znowu powrócił. Lata zgryzoty, o których wspomniała kiedyś jej ciotka. A także prześliski wspomnień, o których Cathy nie miała ochoty rozmawiać albo uważała, że nie powinna o nich mówić.

Przez kilka kolejnych minut siedziały w milczeniu. Cathy kreśliła koła na wodzie palcami u stóp. Grace czuła słońce na twarzy, lekki powiew wiatru we włosach, i pozwoliła sobie na minutę odprężenia. Miały dużo czasu.

- Słyszałaś o tej historii z psychoterapeutką, prawda, Grace?

Grace postanowiła nie wspominać o zabójstwie Beatrice Flager, dopóki Cathy sama nie poruszy tego tematu. Przewidywała, że nastolatka prawdopodobnie to zrobi.

- Czy doktor Flager była tą osobą, o której mi opowiadałaś? - zapytała ostrożnie. - Która nagrywała twoje zeznania?

- Tak. - Dziewczynka się zawahała. - Nie zabiłam jej.

- Nie wyobrażam sobie, żebyś była do tego zdolna - powiedziała Grace rzeczowym tonem.

- Detektyw Becket, a także drugi oficer śledczy chcieli wiedzieć, czy całą noc spędziłam w domu cioci Frances.

- Wiem - przyznała się Grace.

- Czy powtórzyłaś mu to, co powiedziałam ci o pani Flager?

- Nie.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim dlatego, że według mnie oba fakty nie mają ze sobą związku.

Cathy uderzyła mocniej taflę lewą stopą, rozbryzgując wodę i opryskując je obie. Grace nie wzięła jej tego za złe.

- Czy, podobnie jak ksiądz w konfesjonale, zobowiązana jesteś do zachowania dyskrecji? - spytała. - I kiedy policja żąda ujawnienia zeznań pacjenta, nie wolno ci ich zdradzić?

- Masz na myśli świętą tajemnicę spowiedzi? Tak, mniej więcej właśnie tak to wygląda - odrzekła Grace. - Informacje przekazywane przez pacjenta lekarzowi mają poufny charakter. A to oznacza, że nie wolno mi ujawniać podanych przez ciebie faktów, chyba że się zgodzisz, żebym o nich rozmawiała. - Albo kiedy istnieje duże prawdopodobieństwo, że wyrządzisz krzywdę sobie lub komuś innemu, dodała w myślach.

- Nawet wtedy, kiedy, twoim zdaniem, zrobiłam coś naprawdę złego? Jak na przykład, zabiłam trzy osoby? - spytała Cathy mocnym głosem, ale w jej zawa-

diackim tonie był wyraźnie słyszalny strach. Wstała nagle. - Sądę, że powinniśmy wyjść z powrotem do środka.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - Grace również podniosła się z miejsca.

- Nie. - Wzruszyła ramionami. - Ale teraz, kiedy wiem, że mogę stąd uciec, zamierzam zaryzykować.

- W każdej chwili możemy stąd odejść.

Wróciły tą samą drogą, którą przyszły, i znalazły się w kuchni. Cathy powiedziała, że ma ochotę na coś zimnego do picia, Grace przypuszczała jednak, że prawdopodobnie chce rzucić okiem na wygląd wnętrza chłodziarki. Pojemniki do przechowywania żywności należały do przedmiotów osobistego użytku, a ulubione potrawy zwykle były umieszczane na półkach w charakterystyczny sposób. Grace nie miała pewności, co może okazać się gorsze dla osieroconej nastolatki: odkrycie, że lodówka we własnym domu została opróżniona przez obcych ludzi czy spostrzeżenie, że zawartość wygląda mniej więcej tak, jak przedtem.

Była dobrze zaopatrzona i jej widok okazał się trudnym przejściem dla Cathy. Znajdowały się w niej różnorodne artykuły spożywcze, które Marie albo gospościa prawdopodobnie przyniosła z targu niedługo przed morderstwami. Były też plastikowe pojemniki z zupą oraz z sosem do makaronu, oznakowane etykietkami przyklejonymi samoprzylepną taśmą, na których widniało imię „Arnie”. Grace przypuszczała, że pochodziły z którejś z jego restauracji.

Cathy blisko minutę wpatrywała się w zawartość lodówki. Grace zastanawiała się, co dziewczynka widzi oczami wyobraźni. Matkę, wyjmującą jajka, mleko, i chleb, ażeby zrobić francuskie tosty? Arniego otwierającego jedną z butelek białego wina, które stały na półce w drzwiach? Rodzinę siedzącą wokół kuchennego stołu przy spóźnionym śniadaniu? Czy odtwarzała w myślach kłótnię i myślała o tym, że nigdy nie widziała, ażeby Marie przygotowywała śniadanie ani jakiegokolwiek inny posiłek, ponieważ gotowaniem zajmowała się gospościa albo też Arnie przynosił do domu co wieczór produkty sztuki kulinarnej ze swoich lokali? Być może, w innych okolicznościach, Grace zapytałaby Cathy, co widzi w lodówce. W tym momencie jednak pytanie to wydawało się niestosowne.

Cathy cicho zamknęła drzwi.

- Muszę stąd wyjść.

- Nie ma sprawy. Z domu czy tylko z kuchni?

- Chcę pójść do mojego pokoju.

- Sama czy w towarzystwie?
- Na pewno nie sama - powiedziała pośpiesznie lęklwym tonem.
- Chodźmy zatem.

Problem z wykonaniem tego zamiaru polegał na tym, że musiały przejść obok sypialni rodziców Cathy. Grace nie musiała się pytać, który to pokój; zachowanie nastolatki nie pozostawiało niedomówień: sposób, w jaki dziewczynka przestała oddychać, odwróciła twarz w drugą stronę i przyśpieszyła kroku, mijając wysokie, białe drzwi, dobitnie świadczył o miejscu, którego progu nie zdołałaby, być może już nigdy, przekroczyć.

Jej pokój znajdował się na końcu korytarza. Otworzyła drzwi, szybko weszła do środka i ciężko usiadła na pojedynczym łóżku.

- Drzwi mają pozostać otwarte na oścież, czy raczej wolisz, żebyBi je zamknęła? - spytała Grace, zatrzymując się w wejściu.

- Czy mogłabyś je zamknąć? Bardzo proszę.  
Grace spełniła prośbę, zatrzymując je cicho za sobą.

- Jeśli przez chwilę chcesz pobyć tutaj sama, zaczekam na korytarzu.

- Nie - powiedziała Cathy. - Może następnym razem.

Grace czuła się jak intruz. Było to zastanawiające, zważywszy na fakt, że całe jej życie zawodowe było nieustannym ingerowaniem w cudze prywatne sprawy i stopniowym procesem zagładania do wnętrza umysłu pacjenta. Jednak bez względu na wprawę, jakiej nabrała pod koniec sesji, miała przeważnie tylko te informacje, które pacjent sam zdecydował się ujawnić. Co prawda Cathy Robins sama zaprosiła ją do swojej sypialni, ale do wizyty w tym domu doszło na skutek sugestii Grace. I teraz boleśnie odczuwała fakt, że oto przekroczyła granice cudzego, całkowicie prywatnego terytorium.

Była to typowa sypialnia czternastolatki z pozostałościami z czasów dzieciństwa: z lalką siedzącą na małym krześle, kolekcją przytulanek oraz zbiorem książek Laury Ingalls Wilder. Widoczne były też nowe zainteresowania typowe dla nastolatek: dwa plakaty; jeden z podobizną Brada Pitta, drugi z filmu „Titanic”, z Leonardem di Caprio. Stos płyt kompaktowych z muzyką baletową, rockową i rapem. Trofea sportowe za wyniki w biegach, o których wspominał Sam. Zdjęcia przedstawiające Marie, Arnolda oraz Cathy. A także Cathy w towarzystwie ładnej, ciemnowłosej dziewczyny.

- Kto jest z tobą na tej fotografii? - zaciekała się Grace.

- Moja przyjaciółka, Jill. - Cathy umilkła. - Wpadła odwiedzić mnie w niedzielę po twoim wyjściu. Siedziała u mnie z półtorej godziny, a potem przyszedł jej tata i zabrał ją do domu. - Dziewczynka spochmurniała. - Od tamtej pory rozmawialiśmy tylko kilka razy przez telefon. Przypuszczam, że jej rodzice nie życzą sobie, żeby mnie odwiedzała.

- Szkoda.

Cathy wzruszyła ramionami.

Grace ponownie przyjrzała się odbitkom.

- Czy masz zdjęcie swojego pierwszego ojca? - Przypomniała sobie, że dziewczynka właśnie w ten sposób go nazwała.

- Nie. - W dalszym ciągu siedziała na łóżku i rozglądała się wokół siebie. - Zabrali mój dziennik.

Grace pozostała na miejscu. Od chwili zamknięcia drzwi prawie się nie poruszyła. Fakt, że przebywała razem z Cathy w jej sypialni, wprowadzał wystarczający niepokój. Nie chciała swoją obecnością wywoływać dodatkowego zamieszania: w każdym razie nie tym razem.

- Jak sądzisz, dlaczego zależało im na moim dzienniku, Grace?

- Nie mam pojęcia. - Grace umilkła. - Czy zawierał sporo osobistych wynurzeń?

- Raczej nie - odrzekła Cathy. - Robię notatki w komputerze.

- Czy komputer nadal jest tutaj? - Grace nie zauważyła żadnych elektronicznych urządzeń.

Dziewczynka zaprzeczyła ruchem głowy.

- Zabrałam go do domu ciotki. To note-book.

- Przykro mi, że zabrali twój dziennik - powiedziała Grace.

- Nic się nie stało. - Cathy podniosła się z miejsca, podeszła do okna i wyjrzała na podwórze.

- Chyba już nigdy tutaj nie zamieszkać, prawda?

- Nie wiem. A chciałabyś?

- Być może.

- Sądzisz, że twoja ciotka byłaby skłonna przeprowadzić się tutaj?



- Nie. - Cathy nadal wyglądała przez okno. - Zapytałam ją o to. Powiedziała, że nie byłaby w stanie.

- Przykro mi - odrzekła ponownie Grace.

- Może ma rację. Ja również nie jestem wcale pewna, czy mogłabym nadal tutaj mieszkać.

Grace ponownie spojrzała na zdjęcia Cathy, na których została uwieczniona w towarzystwie Marie i Arniego. Wyglądali na szczęśliwych. Zaintrygował ją brak fotografii rodzzonego ojca i uznała, że warto ponownie poruszyć ten temat.

- Mówiłaś mi, że masz niewiele wspomnień o swoim rodzonym ojcu.

- Tak, to prawda.

- Czy mama często ci o nim opowiadała?

- Moja mama nigdy nie wspominała o nim ani słowem. - Cathy odwróciła się przodem do Grace i spojrzała jej prosto w oczy. - Wiem, że ją unieszczęśliwił.

- A co z tobą? Czy ty również nie czułaś się przez niego szczęśliwa?

- Nie sędzę. - Cathy sięgnęła po lalkę. - Wiem od cioci Frances, że mama była nieszczęśliwa. Ona sama nigdy nic nie mówiła na ten temat.

- Nie pytałaś jej o to?

- Ależ tak, i to kilkakrotnie. - Cathy pociągnęła bezmyślnie za nitki sznurka, z którego zrobione były włosy lalki. - Za każdym razem powtarzała jednak, że chce o nim zapomnieć.

- Co jeszcze powiedziała ci o nim ciocia?

- Nic ponadto. - Dziewczynka rzuciła zabawkę na krzesło i lalka wywróciła się na bok. - Chciałabym już stąd wyjść.

- Masz na myśli pokój czy dom?

- Czy możemy się stąd wynieść, Grace? - Dziewczynka spojrzała na nią błagalnie.

- Oczywiście, że tak.

Grace uzmysłowiła sobie nagle, że stoi na wprost wyjścia i może z tego powodu Cathy czuje się osaczona. Pośpiesznie odsunęła się na bok i otworzyła drzwi. Cathy zamierzała ją wyminąć, ale zatrzymała się, zawróciła, z powrotem podeszła do lalki, nachyliła się i posadziła ją prosto na krześle. Kiedy znowu

wymijała Grace, zbierając w sobie siły przed ponownym przejściem przez korytarz, miała w oczach łzy.

Wyszły z domu, wsiadły do mazdy i zapięły pasy. Grace zastanawiała się, czy wizyta pomogła, czy też zaszkodziła nastolatce. Zawsze miała wątpliwości co do własnych pomysłów i decyzji, szczególnie podczas pierwszych trudnych tygodni nawiązywania kontaktu z pacjentami. Stawiała niełatwe pytania, poruszała tematy tabu, obserwowwała, jak wyrastają nowe mury, widywała wszelkie rodzaje rozpaczy, często też doświadczała straszliwego poczucia winy. I teraz też musiała spojrzeć prawdzie w oczy i uznać fakt, że sprowadzenie Cathy do domu pogorszyło raczej - przynajmniej chwilowo - niż poprawiło jej samopoczucie. A jednak wiedziała, i to z całą pewnością, że czasami musi tak być i że prawdopodobnie to dopiero początek. „To nie twoja wina, Lucca, niemal słyszała słowa swojego starego profesora, który zwykł ją uspokajać w chwilach rozterki. To nie ty doprowadziłaś do nieszczęścia w rodzinie Robbinsów. Nie zamordowałaś rodziców Cathy". To prawda, że Grace nie ponosiła za to odpowiedzialności. Ale sama wybrała swoją profesję i zdecydowała się na wtykanie nosa w życie i umysły innych ludzi.

Ostatnio nie marnowała czasu na analizowanie pobudek, jakimi się kierowała, wybierając zawód psychologa. Wiedziała z całą pewnością, że przyczyną jej dążeń do poznania życia innych ludzi nie jest wścibstwo. Była tylko niezwykle dobiegliwą kobietą, która bardzo pragnęła pomóc innym.

Zdarzały się wszakże momenty, kiedy nie miała pewności, czy odniesie sukces.

# ROZDZIAŁ 12

---

Grace obiecała Samowi Becketowi, że skontaktuje się z nim po spotkaniu z Cathy, jeśli wizyta w rodzinnym domu dziewczynki przyniesie jakieś istotne informacje dla śledztwa. I teraz była rada, że może uczciwie zapewnić go o braku wiadomości, które choć w minimalnym stopniu mogłyby okazać się przydatne dla detektywów prowadzących dochodzenie.

- Czy mógłbym dzisiaj wpaść do pani? - spytał.

- Oczywiście. A co się stało?

- Dowiedziałem się o czymś, co może okazać się dla pani pomocne. Kwadrans po ósmej wieczorem detektyw zatelefonował ponownie, aby ją zawiadomić, że zatrzymała go w biurze pilna robota.

- Przypuszczam, że musimy odłożyć spotkanie na inny termin.

- Jak pan sobie życzy, ale jestem raczej nocnym markiem.

- O jakiej porze kładzie się pani spać? - spytał.

- Nie przed północą.

- Mam nadzieję, że zjawię się znacznie wcześniej - obiecał. Dochodziła jedenaście, kiedy wreszcie zapukał do drzwi?

Grace.

- Jest pan głodny, detektywie? - spytała, mierząc go wzrokiem od stóp do głów. - Wygląda pan na takiego. - A także na wyczerpanego, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos, dostrzegając jego przygarbione, szerokie ramiona, zmęczone oczy i jednodniowy zarost.

- Jestem głodny jak wilk - przyznał. - Dopiero niespełna godzinę temu przypomniałem sobie, że miałem dzisiaj być na rodzinnej kolacji. Uśmiechnął się krzywo. - Matka jest na mnie wściekła.

- Mając męża lekarza i syna policjanta, powinna już do tego przywyknąć - zauważyła Grace. Umilkła. - Czy nie zechciałby pan posilić się razem z nami *cacciucco*?

- A co to jest *cacciucco* i kim jesteście „wy”?

- My, to znaczy ja i Harry. - Jak na zawołanie do holu przydreptał szkocki terrier. - A oto i on we własnej osobie.

- Cześć, Harry. - Sam pochylił się nad psem i wyciągnął rękę, którą zwierzak obwąchał. - Czy zdałem egzamin?

- Większości osób to się udaje - zapewniła go i zaprowadziła do kuchni, która, podobnie jak ulubione potrawy Grace, świadczyła o jej włoskim pochodzeniu. I choć dawno temu wykreśliła ojca ze swojego życia, zawsze ją fascynowało własne dziedzictwo.

- Niech pan usiądzie, detektywie, a ja pokażę panu, co to takiego *cacciucco*. - Wskazała na duży drewniany, rustykalny stół oraz na ręcznie rzeźbione krzesła w tym samym stylu.

- Dziękuję, pani doktor. - Sam ciężko opadł na jedno z nich, nie spuszczać wzroku z Grace, gdy podeszła do kuchni i zapaliła gaz pod dużym miedzianym rondlem. - Wiem, że jest pani nocnym markiem, ale z pewnością jadła już pani kolację?

- Przed wieloma godzinami - odrzekła lekkim tonem. - Ale czy nie słyszał pan o przekąskach w środku nocy?

- Czy nie słyszałem? - zachnął się Sam. - Ależ pani doktor, mógłbym napisać o nich książkę kucharską!

Grace się uśmiechnęła.

- Czy nie sądzi pan, że skoro o północy mamy razem zjeść *cacciucco*, może powinniśmy zacząć zwracać się do siebie po imieniu?

- Z największą przyjemnością.

Odwzajemnił jej uśmiech, obserwując, jak podnosi wieko naczynia i delikatnie miesza potrawę. Trudno było nie spostrzec, że pani psycholog wygląda pięknie i seksownie w swoich cienkich sztruksowych spodniach oraz w błękitnym bawełnianym podkoszulku. Podczas poprzedniego spotkania nie zwrócił uwagi na jej delikatne, kobiece kształty. Przypomniawszy sobie, że wtedy zauważył wszystko to, czego nie zakrywał klasyczny 'kostium: ładną twarz, piękne, niebieskie oczy o ciepłym spojrzeniu, nos Catherine Deneuve, namiętne usta, oraz długie nogi. Jednak tematy, jakie wtedy poruszali - zabójstwa i żałoba - nie sprzyjały tego rodzaju rozmyśleniom.

- Pachnie wybornie - odrzekł, kierując uwagę na potrawę i zaciągając się aromatyczną wonią. - Czy to zupa rybna?

- Rzeczywiście początkowo była zupą rybną dla biedaków, sądzą jednak, że w obecnym wydaniu również będzie dobrze smakować. - Grace znowu się uśmiechnęła. - Skromna ze mnie kucharka, prawda?

- Trudno odmówić komuś racji, jeśli ją ma - odparł Sam. - To jedno z ulubionych powiedzeń mojej mamy. Chociaż co się tyczy jej i mnie, nieczęsto racja jest po mojej stronie. W każdym razie nie według niej.

- Lepiej jej nie mów, że zamiast u niej, byłeś na kolacji u mnie - poradziła.

- Święte słowa - przyznał Sam.

Po upływie kwadransa kuchenny stół był nakryty, kieliszki napełnione chianti, a pierwszy łyk zupy rybnej powędrował do wygłodzonego żołądka Sama. Detektyw czuł się jak nowo narodzony.

- Ile masz w sobie włoskiej krwi? - spytał.

- Jestem na wpół Włoszką, a na wpół Amerykanką. A ty?

- Nie mam w sobie nic z Włocha - oświadczył.

Grace zanurzyła kromkę chleba w gęstej, aromatycznej zupie,

- Nie gniewasz się, że o to zapytałam, prawda? Przypomniałam sobie, że twój ojciec kilkakrotnie wspominał o tobie - o swoim synu. Wiedziałam tylko, że jesteś policjantem, to wszystko.

- Nie mówił ci o moim kolorze skóry, prawda? Zapewne to miałaś na myśli, czyż nie tak? - zadrwił Sam. - Prawdę mówiąc, nie sądzą, aby widział potrzebę informowania o tym kogokolwiek. Przypuszczam, że po kilku latach od momentu adopcji przestał zauważać, że jestem czarny.

- Kiedy to było?

- W rok po śmierci moich rodziców i siostry. W 1972 roku. Miałem wtedy osiem lat. - Przerwał, upił kilka łyków wina, spojrzał poprzez stół na Grace, dostrzegł współczucie w jej bystrych, niebieskich oczach i uznał, że nie ma nic przeciwko dalszym wynurzeniom. - Mieszkaliśmy przy Coconut Grove. Mój ojciec też był gliniarzem. Miał serdecznych przyjaciół w Opa-Locka. Czwartego marca 1971 roku dostał wolny dzień i doszedł do wniosku, że powinniśmy wybrać się do nich w odwiedziny. Traf sprawił, że wcześniej tego dnia sierżant policji zastrzelił tam czarnoskórego świadka kradzieży. Wieczorem wybuchły zamieszki.

Grace przypomniała sobie o wszystkim, co słyszała na temat wielkich rozruchów w Miami w latach siedemdziesiątych - o zatrważających i ohydnych wyda-

rzeniach, do jakich doszło w niespełna rok przed przeprowadzką jej i Claudii do Miami.

- Znaleźliście się w centrum starć?

- Niezupełnie - wyjaśnił Sam. - Kiedy sytuacja zaczęła wyglądać groźnie, wciąż znajdowaliśmy się u przyjaciół. Pamiętam, że nakłaniali nas do pozostania, mój ojciec jednak zdecydował się wracać do domu. Powiedział, że będzie trzymać się z dala od niebezpiecznej okolicy i w razie potrzeby nadłoży drogi. Wiesz jednak, jak to bywa z rozruchami -raz rozniecone, rozprzestrzeniają się błyskawicznie niczym ogień. - Wzruszył ramionami. - W każdym razie, kiedy dotarliśmy na przedmieścia, niespodziewanie znaleźliśmy się w środku zamieszek. Grace czekała w milczeniu na kontynuację opowieści.

- Nie widziałem dokładnie, co zaszło - mówił Sam. - Spałem na tylnym siedzeniu obok mojej młodszej siostry, Angeli. Obudziłem się sekundę wcześniej, nim to się stało. - Pociemniały mu oczy; zniżył głos. - Słyszałem wrzeszczących ludzi, a potem nagle mój ojciec zaklął, matka krzyknęła, a coś uderzyło w przednią szybę. Dopiero później dowiedziałem się, że to kamień. - Umilkł. - Przypuszczam, że ojciec stracił panowanie nad kierownicą. Roztrzaskaliśmy się na drzewie. On i Angela zginęli na miejscu, matka zmarła po kilku godzinach.

Grace pomyślała o siedmioletnim chłopcu, którego przygniotło ogromne brzemie rozpacz i przerażenia. Poczowała, że serce jej się ściska.

- A tobie coś się stało?

- Miałem kilka połamanych żeber i nogę, ale to wszystko. - Uśmiechnął się blado. - David Becket pracował w szpitalu jako wolontariusz, kiedy trafiłem do niego na oddział. Zaopiekował się mną, a kilka dni później jego żona, Judy, przyszła mnie odwiedzić. Dowiedzieli się, że nie mam żadnych krewnych i spytali, czy chcę zamieszkać razem z nimi.

- Ot tak, po prostu?

- Niemal tak - odpowiedział z prostotą Sam. - David zawsze powtarza, że dla nich obojga była to miłość od pierwszego wejrzenia. Przez ponad rok opiekowali się mną, a potem mnie adoptowali. Jestem potomkiem zbiega, który przedtem był niewolnikiem w Georgii. Rodzice Davida i Judy uciekli przed nazistami z Europy - może te fakty z życia naszych przodków zbliżyły nas w jakiś sposób do siebie; nie wiem sam.

- Czy miałeś wiele problemów? - spytała Grace.

- Trochę. Musiałem zmienić szkołę, a także sposób życia. To ciężka próba dla dzieciaka. - Oczy Sama były zamglone od wspomnień. - Becketowie wiele roz-



mawiali ze mną w ciągu tego roku, kiedy się mną opiekowali - o trudnościach, z jakimi niechybnie będziemy musieli się zmierzyć, jeśli zostanę ich synem. W tej kwestii Judy była osobą mocniej stąpającą po ziemi; David reprezentował postawę typowego idealisty. Według niego nie było o czym mówić i nie dostrzegał przeszkody, której razem nie zdołalibyśmy pokonać.

- David jest cudownym człowiekiem - powiedziała cicho Grace.

-Judy nie należy do kobiet niezradnych - zauważył Sam. - Czy miałaś już okazję poznać moją matkę?

- Jeszcze nie. Masz także brata, prawda? Sam skinął głową potakująco.

- Tak, Saula. - Ponownie się uśmiechnął. - Ma trzynaście lat i niebawem odbędzie się jego bar miewa - uroczystość związana z osiągnięciem przez chłopca wieku, kiedy jest gotowy do przejęcia religijnych obowiązków i odpowiedzialności. - Sam wyłowił z zupy kawałek ośmiornicy.

- A czy ty też zostałeś poddany temu obrządkowi? - Grace uśmiechnęła się na myśl o tym.

- Czy zostałem? - Sam potrząsnął głową na wspomnienie lekcji hebrajskiego oraz ciężkiej próby w synagodze. - Pomysł należał raczej do Judy niż do Davida. Oboje jednak długo upewniali się, czy mnie również na tym zależy.

- I zależało ci?

- Zależało mi na tym, aby stać się ich synem - odrzekł z prostotą. -Bez względu na cenę.

- Czy zmieniłeś wiarę?

- Nie. David i Judy nigdy nie chcieli, abym miał poczucie, że odwróciłem się plecami do wiary moich rodziców - wyznawców kościoła episkopalnego - i do ich kultury. Znaleźli wyjątkowo światłego rabina, który rozumiał sytuację i zgodził się przygotować mnie do uroczystości, a także przeprowadzić nas przez ceremonię w synagodze. Podejrzewam, że według żydowskiego prawa, nie miała ściśle koszerne go charakteru. - Wyszczrzył w uśmiechu zęby. - Była jednak na tyle zgodna z obyczajem, że za „bar miewa”, co w języku hebrajskim oznacza: za „syna prawa” został uznany, jako jedyny w historii żydowskiej religii, pochodzący z Wysp Bahama czarnoskóry wyznawca kościoła episkopalnego, policjant z South Beach, który w piątkowe wieczory zapala świece.

- Naprawdę to robisz? - spytała zaintrygowana Grace.

- Szczerze mówiąc, bardzo rzadko. - Jego uśmiech przemienił się w grymas. - Ale dziś jest święto Paschy i wieczorem odbywa się u nas Seder - uroczysta ko-



lacja celebrowana w gronie rodzinnym dla uczczenia wyjścia Żydów z Egiptu - a z powodu mojej nieobecności i tak będę uważany przez moją matkę za *persona non grata*, więc sądzę, że do tego pierwszego nie powinienem się jej przyznawać. - Rzucił kawałek krewetki Har-ry'emu, który warował pomiędzy ich krzesłami. - A co z tobą, Grace? Czy twoje mieszane pochodzenie bardzo komplikowało ci życie?

- Moje życiowe komplikacje nie miały nic wspólnego z faktem, że ojciec, Amerykanin od dwóch pokoleń, jest z pochodzenia Włochem i katolikiem, ani że przodkowie mojej matki, protestantki i Amerykanki od trzech pokoleń, przybyli do Stanów ze Szwecji. - Grace wzruszyła ramionami. - Problemy wynikały przede wszystkim z tego, kim byli moi rodzice jako ludzie.

Sam przyjrzał się jej uważnie.

- Nie miałaś łatwego życiowego startu?

- Początki okazały się znacznie trudniejsze dla mojej siostry niż dla mnie. - Urwała. - Nasi rodzice są niedobraną, nieszczęśliwą parą, a ich największym talentem stało się przekazywanie nam swoich cierpień.

- Czy twoja siostra również tutaj mieszka?

- Nie, ona i szwagier mają dwa domy: w Fort Lauderdale i na jednej z wysp archipelagu Key. Właśnie wybieram się w sobotę rano na Islamo-radę, aby spędzić u Claudii weekend.

- Podoba ci się życie na wyspach? - spytał Sam.

- Oczywiście, chociaż nie potrafiłabym zbyt długo tam mieszkać.

- Ani ja - wyznał Sam. - Lubię słyszeć wokół siebie miejski zgiełk.

- Przebywanie w dwóch miejscach na przemian najwyraźniej dobrze służy mojej siostrze i jej rodzinie - mówiła dalej Grace. - Mój szwagier, architekt, jest zamiłowanym wędkarzem. Uznał więc Upper Keys za idealne miejsce do wybudowania własnego domu - większość jego klientów to mieszkańcy południowo-wschodniej Florydy. - Umilkła. - Przypuszczam, że moja siostra czuje się najszcześniejsza, kiedy są na Islamoradzie. - Zamyśliła się na moment. - Prawdopodobnie dlatego, że jest to położone najdalej od Chicago miejsce, do jakiego zdołała dotrzeć.

- Od Chicago? - zdziwił się Sam. ?

- Tam mieszkają nasi rodzice - wyjaśniła Grace.

Zaczekała, aż Sam skończy jeść i dopiero w trakcie parzenia kawy, spytała, o czym chciał porozmawiać. Po błysku rozczarowania w jego oczach odgadła, że czuł się tak samo odprężony jak ona, i równie przyjemnie spędzał czas.

- Coś odkryliśmy - odpowiedział powoli. - Uznałem, że jako psycholog Cathy powinnaś zostać o tym powiadomiona.

Okazało się, że policja już wie o wizycie Cathy w charakterze pacjentki u Beatrice Flager. Grace przyznała, że fakt ten jej również jest znany. Sam wyjaśnił, że jeśli w jednej z szafek psychoterapeutki znajdowała się karta Cathy, to albo została usunięta przez doktor Flager, albo skradziona przez osobę, dotychczas przez policję niezidentyfikowaną.

- Jednakże, jak większość ludzi w dzisiejszych czasach, Beatrice Flager przechowywała pełną dokumentację w komputerze. - Sam umilkł. - Kiedy weszliśmy do domu, zastaliśmy urządzenie roztrzaskane, eksperci zapewnili nas jednak, że jeśli osoby, które uszkodziły komputer, nie znały się na tym za dobrze, nie zdołały zniszczyć informacji zarejestrowanych na twardym dysku.

Kawa była gotowa i Grace spytała Sama, czy nie miałby nic przeciwko temu, żeby się przenieśli na pomost.

- Nie wiem dlaczego, ale zawsze staram się rozwiązywać zawiłe problemy na zewnątrz - wyznała, gdy wyszli ze swoimi filiżankami. - Być może ma to związek z wodą: podświadomie próbuję utopić w niej moje kłopoty i patrzeć, jak dryfując z prądem, oddalają się ode mnie. - Zauważyła, że Sam bacznie się jej przygląda. - A może przychodzę tu po prostu dlatego, że to urocze miejsce?

- Przypuszczam, że z każdego powodu po trochu.

- Zamierzam zrzucić z nóg pantofle i zanurzyć stopy w wodzie. - Grace zrobiła to, co zapowiedziała, usadowiwszy się na skraju pomostu i wróciła myślami do popołudnia, kiedy obie z Cathy mniej więcej w ten sam sposób siedziały nad brzegiem basenu Robbinsów.

- Kuszący widok - uznał Sam i poszedł w jej ślady. Grace zauważyła, że jak na mężczyznę pokaźnej postury miał niewielkie stopy. Harry podobnie jak wtedy, kiedy przebywali w domu, ułożył się pomiędzy nimi. Przez kilka minut milczeli.

- Czy masz ochotę wyjawić mi, co znajdowało się na dysku? - zapytała w końcu Sama. - A może jesteś zbyt zmęczony? Pora już rzeczywiście późna.

- Czuję się wspaniale i chętnie posiedzę, o ile tobie nie chce się jeszcze spać.

- Nie. Już ci mówiłam, że jestem nocnym markiem. Uważam jednak, że to wyjątkowo ponura sprawa. I z pewnością dobrze by ci zrobiło, gdybyś na kilka godzin przestał o niej myśleć.

- To zbyt ciche. W końcu cała historia nie dotyczy mnie osobiście. -Jego oczy były utkwione w mrocznej wodzie. -I to nie moje cierpienie.

Coś w tonie jego głosu - lekkie drgnięcie powietrza, nic ponadto -oraz ledwo zauważalny błysk w oczach wzmoгло czujność Grace. W nagłym przeblasku intuicji pomyślała, że prawdopodobnie Sam Becket wie wszystko na temat wielkiego cierpienia; być może większego nawet niż to, którego doświadczył w dzieciństwie. Zastanawiała się nad tym przypuszczeniem przez ułamek sekundy, zaraz jednak odepchnęła je od siebie.

- I co znaleźliście? - Nie widziała powodu, żeby dłużej zwlekać z zadaniem tego pytania.

- Kartę Cathy. Zawierała bardzo zwięzłe informacje. Dziewczynka miała tylko jedną wizytę u Beatrice Flager i to na wniosek Arnolda Robbinsa, który wyznał psychoterapeutce, że bardzo się niepokoi o córkę.

Sam upił łyk kawy.

- Co go zaniepokoiło?

- Typowe problemy wieku dorastania. Ospalność, zamknięcie się w sobie, trudności z utrzymaniem przyjaźni, brak ambicji. - Ponownie umilkł. - Robbins poinformował Beatrice, że przed kilkoma laty Cathy była u innego psychologa, zanim obie z matką przeprowadziły się do Miami...

- Myślałam, że Cathy zawsze tutaj mieszkała?

- Zapiski psychoterapeutki dowodzą, że nie - odpowiedział Sam. -Chociaż Robbins nie wyjawiał Beatrice Flager, skąd się przeniosły.

Grace przez chwilę porządkowała w myślach uzyskane dzisiaj informacje, oceniając ich poufny charakter i wybrała te, którymi mogła się podzielić z Samem.

- Prawdopodobnie zwróciłeś uwagę na szereg rodzinnych zdjęć w dawnym pokoju Cathy. Na żadnym nie ma jej rodzonych ojca. Dziewczynka utrzymuje, że go nie pamięta.

- Może to i prawda - powiedział Sam. - Z tego co wiem, miała pięć lat, kiedy umarł, a więc trudno się dziwić.

- Rzeczywiście. - Grace upiła łyk kawy i zapatrzyła się na światła Bal Harbour na przeciwległym brzegu.

- Jak przebiegła wizyta, według Beatrice Flager?

- Nie wydarzyło się nic ważnego. Pani Flager uznała, że Cathy jest niechętna temu spotkaniu. Psychoterapeutka zapisała w swoich notatkach, że dziewczynka sprzeciwiła się nagrywaniu sesji. Czy to normalne, Grace? Czy ty nagrywasz rozmowy pacjentami?

- Zwykle staram się tego unikać, chociaż niektórzy psycholodzy stosują tę metodę, a czasami jest nawet wymagana przez prawo. - Grace umilkła. - Cathy mówiła mi o tym; o wizycie u psychoterapeutki, która nagrywała każde jej słowo. Przyznała, że jej się to nie podobało. - Przyjrzała się uważnie detektywowi, chcąc się upewnić, czy dobrze ją zrozumiał. - Mam na myśli to, że Cathy całkiem otwarcie o tym ze mną rozmawiała. Poruszyła ten temat, ponieważ sprawdzała mnie i dokonywała porównań mojego sposobu prowadzenia sesji ze swymi poprzednimi doświadczeniami.

- Czy powiedziała ci, co zrobiła po spotkaniu z Beatrice Flager?

- Nie. - Grace się zawahała. - Sądziłam, że widziała się z nią tylko raz.

- Rzeczywiście tak było - potwierdził Sam. - Beatrice Flager uzupełniła jednak notatki w komputerze po telefonicznej rozmowie z Arnoldem Robbinsem, który zatelefonował, aby donieść o najświeższych wydarzeniach. - Umilkł na moment. - Robbins powiedział, że Cathy po powrocie do domu dostała napadu furii i poobcinała głowy wszystkim złotym rybkom w akwarium Marie.

- Naprawdę to zrobiła? - Grace była wstrząśnięta.

- Według zapisków, wszystkiemu zaprzeczyła, a potem dostała kolejnego ataku złości i roztrzaskała kilka ozdób w swojej sypialni. Arnold i Marie tak bardzo się wystraszyli, że zaprowadzili Cathy do lekarza rodzinnego, który zlecił przeprowadzenie badania krwi. - Sam oderwał wzrok od wody i spojrzał Grace prosto w oczy.

- Wykazało, że Cathy zażywała - doustnie według notatek - marihuanę.

- A co na to Cathy?

- Również i tego się wyparła, ale nikt jej nie uwierzył. - Sam potrząsnął głową. - W takich okolicznościach, trudno się temu dziwić.

Po wyjściu Sama Grace przez jakiś czas została jeszcze na pomoście. Notatki Beatrice Flager o wyskokach Cathy związanych z wiekiem dojrzewania ogromnie ją przestraszyły. I chociaż detektyw wydawał się pełen współczucia dla nastolatki, nietrudno było przewidzieć, jak negatywnie te wiadomości oddziałają na wiarygodność dziewczyny w oczach reszty wydziału, a być może także prokuratora stanowego.

Aż dotąd - przynajmniej dla niej i, jak wyczuwała, dla Sama Becke-ta, Cathy była przede wszystkim ofiarą.

Teraz, nagle, zostali zmuszeni spojrzeć na nią jako na osobę, która przypuszczalnie uśmierciła złote rybki.

Grace ponownie przycupnęła na brzegu pomostu i zapatrzyła się w wodę, usiłując wyobrazić sobie Cathy robiącą coś takiego. Próba przedstawienia sobie pacjentów w najbardziej krytycznym momencie ich zaburzeń emocjonalnych była zadaniem, w którym Grace ćwiczyła się od lat. Oczywiście dla psychologa miało zasadnicze znaczenie zachowanie obiektywizmu. Jednakże dla Grace, prawdę mówiąc, całkowity obiektywizm okazał się nieosiągalny, szczególnie że przede wszystkim zajmowała się dziećmi. Czy ktokolwiek, na Boga, mógł pozostać niewzruszony, obcując z tak cierpiącymi, skomplikowanymi młodymi duszami?

Grace zrezygnowała z próby wyobrażania sobie wrażliwej dziewczynki, która tak przyjaźnie obchodziła się z Harrym, w chwili gdy zabijała jakieś żywe stworzenia. Pomyślała o zażywaniu przez Cathy marihuany. To wydawało się bardziej realne. I bardziej zrozumiały był powód, dla którego sięgnęła po narkotyk: pragnienie ucieczki albo po prostu chęć poprawienia sobie samopoczucia.

Pomimo to zniszczenie kilku ozdób, zażycie dostarczonej przez osobę z zewnątrz marihuany, a nawet obcięcie głów rybkom matki - wszystko to było niczym, w porównaniu z zamordowaniem obojga rodziców oraz swojej byłej psychoterapeutki.

\*

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy Grace kładła się do łóżka. Harry już zdążył się wsunąć, jak zwykł robić to każdej nocy, pod kołdrę w nogach jej pościania.

- Grace? Mówi Sam.

- Co się stało? - Poczula, że ogarnia ją trwoga.

- Nic się nie stało. - Umilkł. - A niech to wszyscy diabli, zbudziłem cię, prawda? Wiem, że powinienem był poczekać z tym do rana.

Grace spojrzała na zegar i zobaczyła, że dochodzi trzecia.

- Już mamy poranek, Sam - powiedziała. -1 zaledwie przed godziną wyszedłeś. Zresztą i tak nie spałam. Mam zbyt wiele spraw do przemyślenia.

- Ja też. W związku z Cathy?

- Oczywiście.

- Nadal jesteś zdania, że ona tego nie zrobiła, prawda?

- Tak. Nie wierzę, ażeby była do tego zdolna.

- Ani ja - zapewnił Sam. - Chociaż jej sytuacja wygląda nie najlepiej.

- Domyślam się.

- Nie po to jednak dzwonię, żeby rozmawiać o Cathy, tylko żeby ci podziękować. Za *cacciucco* i gościnność.

- Nie ma za co. Zupa była ugotowana, a posiłek z tobą sprawił mi przyjemność.

- Mnie również.

Grace uśmiechnęła się w ciemnościach.

- Miło, że zadzwoniłeś.

- To chyba zasługa mojej mamy, że tak mnie wychowała.

- Z pewnością.

- Teraz już ci pozwolę trochę się przespać - obiecał.

- A co ty będziesz robił? - Uświadomiła sobie nagle, że Sam sprawia wrażenie bardzo zmęczonego. A nawet, sądząc po brzmieniu jego głosu, padał z nóg.

- Nie możesz zasnąć z powodu kawy, prawda? Wiem, że była za mocna.

- Smakowała wybornie. W każdym razie nie jestem śpiący, pomyślałem więc, że spróbuję w ciszy ustalić inne powiązania pomiędzy zabójstwem Robbinsów i Beatrice Flager.

- Dobrze byłoby.

- Do czasu śmierci psychoterapeutki najczęściej wysuwaną hipotezą była ta, że Robbinsów zamordowano na tle rabunkowym, porachunków w interesach albo na skutek nielegalnych transakcji w sieci restauracji U Arniego.

- Ale zabójstwo Beatrice Flager położyło kres tego rodzaju spekulacjom?



- Nie zakończyłem jeszcze szukania dowodów - oświadczył Sam. Grace zawała się przez moment. Pomimo późnej pory wciąż nie dawało jej spokoju pytanie, którego dotychczas nie zdecydowała się zadać.

- Po pierwszych morderstwach wspomniałeś o odkryciu spalonego materiału, który mógł pochodzić z nocnej koszuli Grace. - Starła się ostrożnie dobierać słowa. - Czy było coś jeszcze?

- Na przykład co?

- Nie wiem. Coś istotnego, co policja przy niej znalazła. Zapanowała kolejna chwila ciszy.

- Masz na myśli plaster opatrunkowy na jej rękę, prawda? - spytał. Zareagoowała grymasem na jego domyślność.

- Tak, właśnie to. - Palila ją twarz. Była zadowolona, że nie ma go tutaj i że jej nie widzi.

- Cathy powiedziała, że w dniu poprzedzającym zabójstwa potknęła się, wpadła na drzewo i zadrapała sobie rękę. - Sam umilkł. - Sprawdziliśmy jej wyjaśnienia, Grace. To nie było przecięcie skalpelem. Skaleczenie nie miało również nic wspólnego z wybitą okienną szybą, jeśli to cię niepokoi.

Grace nawet nie pomyślała o oknie.

- Skoro sprawa ta nie dawała ci spokoju, dlaczego wcześniej o to nie spytałaś?

- Sama nie wiem - skłamała.

Była przekonana, że w to nie uwierzył. Domyślił się, że nie chciała przysparzać nastolatce dodatkowych kłopotów, rzucając na nią kolejne podejrzenie.

Czuła również, że - raczej jako mężczyzna niż policjant - rozumie pobudki, jakie nią kierowały.



# ROZDZIAŁ 13

---

Niedziela, 12 kwietnia 1998

Rodzinny weekend na Islamoradzie upływał niemal w doskonałej atmosferze aż do momentu, kiedy w wielkanocny poranek Grace wysłuchała nagranych za pośrednictwem automatycznej sekretarki wiadomości. Frances Dean informowała ją, że policja zabrała Cathy na przesłuchanie, a Sam Becket zasugerował niemal bez ogródek, że nadeszła pora, aby wynajęła dla swojej siostrzenicy adwokata. Grace nie знаła dokładnego czasu nagrania wiadomości, lecz kiedy spróbowała oddzwonić, w domu pani Dean nikt nie podnosił słuchawki.

- Nie zatelefonowałaby do mnie, gdyby nie była zrozpaczona - powiedziała do swojej siostry Claudii, bardzo podobnej z urody do ojca: z oliwkową cerą, piwnymi oczami oraz gładkimi, ciemnymi włosami obciętymi powyżej ramion i fruującymi przy każdym ruchu.

Siedziały na ganku i popijały colę, podczas gdy Daniel Brownley, mąż Claudii, piekł kurczaki na rożnie na pomoście. Chłopcy baraszkowali w wodzie, a Sadie, ostrowłosa jamniczka, która przybłąkała się do Brownleyów przed trzema laty, wylegiwała się w cieniu i oczami w kolorze brandy strzelała na przemian - to w stronę dzieci, to kurzych nóżek na rożnie. Harry i Sadie znakomicie się ze sobą zgadzali. Ponadto Harry lubił podróżować i nie znosił, kiedy Grace pakowała walizkę i opuszczała dom bez niego. W najbliższy poniedziałek musiała jednak uczestniczyć w seminarium na Key Largo. A Bóg świadkiem, że hotelowa sala bankietowa wypełniona psychologami nie była odpowiednim miejscem dla teriera. Dlatego pies został pod troskliwą opieką Teddy'ego Lopeza.

- Czy zamierzasz wracać do domu? - spytała Claudia, nie spuszczając z oka Robbiego - najmłodszego, sześciolatniego synka, który zwykł przeceniać własne możliwości, chcąc dorównać we wszystkim Mike'owi, ośmioletniemu bratu.

- Wróciłabym, gdybym mogła w czymś pomóc - odpowiedziała Grace. - Skoro jednak Cathy przebywa w areszcie, nie pozwolą mi z nią rozmawiać. Co się zaś tyczy Frances, to, oczywiście, spróbuję się z nią później skontaktować. Chociaż nie sądzę, aby psychoterapeutka okazała się osobą, z którą pragnęłaby się widzieć, albo która byłaby jej potrzebna.

- To czego chciała, telefonując do ciebie?

- Sojusznika. Kogoś, kto by udowodnił, że jej siostrzenica jest niewinna. - Grace westchnęła z żalem. - Niestety, nie jestem cudotwórcą. I bardzo tego żałuję.

Tego samego przedpołudnia, zgrzytając zębami z irytacji, próbowały dozwonić się do domu rodziców w Chicago, żeby dowiedzieć się o stanie zdrowia Ellen, ale nikt nie odbierał tam telefonu. Przez chwilę obie siostry siedziały cicho - zbyt cicho - póki nie osłabło w nich i nie ucichło irracjonalne poczucie winy, któremu kres ostatecznie położył Daniel; w każdym razie w tym momencie.

- Chcecie jechać do Chicago? - spytał bez ogródek.

Architekt Daniel Brownley - wysoki mężczyzna o kanciastej sylwetce, krótkowzrocznych, zielonych oczach i lekko zaokrąglonych ramionach od lat garbił się nad projektami - był nie tylko zwolennikiem czystej linii w architekturze, ale także człowiekiem prostoliniowym w sposobie myślenia i postępowania. Nie znaczy to, że nie wczuwał się w drgania serc i dusz, czy też ich nie rozumiał. Jeśli jednak istniał prosty, linearny sposób podejścia do problemu, zawsze próbował najpierw z niego skorzystać.

- Nie mamy na to zbyt wielkiej ochoty - odpowiedziała jego żona.

- Ja nawet najmniejszej - dodała od siebie Grace.

- Czy czujecie się zobowiązane do przyścia z pomocą Frankowi? Tym razem Grace uprzedziła siostrę:

-Nie.

- Też tak uważam - poparła ją Claudia.

- Czy możecie w jakiś sposób pomóc matce?

- Trudno powiedzieć, dopóki ponownie nie porozmawiamy z tatą. - Tym razem Claudia nie potrafiła udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

- W takim razie spróbujcie później albo jutro ponownie się z nim skontaktować - zakończył rozważania jak zwykle praktyczny Daniel. - A tymczasem możecie mi pomóc pochować wielkanocne jajka dla chłopców.

- Może tym razem schowamy je w domu? - zasugerowała Claudia.

- To niezbyt dobry pomysł - zaproponował Daniel. - Wszystko porozbijają, my dostaniemy ataku furii i potem będą nas dręczyć wyrzuty sumienia, a dzieci nas znienawidzą.

- Ale znają już wszystkie kryjówki w ogrodzie - zauważyła Claudia. - Od czasu kiedy Mike skończył trzy lata, przejrzel naszą grę.

- Będą się uważać za sprytnych, że z taką łatwością je znaleźli - zauważyła Grace.

Grace wyjechała nazajutrz rano. Nie zdołała skontaktować się ani z ciotką Cathy, ani z Frankiem Lucca, ale po przyjeździe do kurortu Westin Beach na Key Largo miała jeszcze dość czasu przed rozpoczęciem seminarium, żeby spróbować zatelefonować do Sama Becketa w Miami.

Ku jej zdziwieniu po pierwszym sygnale podniósł słuchawkę.

- Dobrze, że dzwonisz - powiedział.

- Jak doszło do tego, że aresztowaliście Cathy? - Przeszła od razu do sedna sprawy. - Czy wydarzyło się coś nowego od piątkowego wieczora?

- Nic szczególnego - odrzekł. - Sierżant z mojej ekipy oraz kapitan wraz z szefem uznali zgodnie, że ostatnia historia daje podstawy do zadania Cathy kilku dodatkowych pytań.

- I to wszystko? - Grace była zła i nie ukrywała tego.

- To był powód, dla którego chcieli ponownie z nią rozmawiać.

- Ale nadal nie macie najmniejszego dowodu przeciwko niej, prawda? Z drugiej strony linii dobiegło ją westchnienie.

- O nic nie została oskarżona, Grace.

- Na razie - zauważyła chłodno. - Rozumiem, że ją wypuściliście?

- Nie była aresztowana. - Umilkł. - Obecnie przebywa w szpitalu.

- Co się stało? - Grace mocniej ścisnęła słuchawkę.

- Już dobrze się czuje - wyjaśnił pośpiesznie Sam. - Podczas przesłuchania rozboleł ją żołądek, potem zemdląca, więc natychmiast przewieźliśmy ją do szpitala Jackson Memoriał. - Umilkł. - Jej ciotka bardzo się zdenerwowała, chciała ją przewieźć do innej lecznicy w Coral Gables, lecz doszliśmy do porozumienia i umieściliśmy dziewczynkę w separacie w szpitalu miejskim w Miami.

- Mam nadzieję, że nie sprawiło to wam zbyt wielkiego kłopotu? - spytała Grace lodowatym tonem.

- Wszyscy bardzo delikatnie się tam z nią obchodzą - odrzekł Sam. - Mój ojciec poszedł ją odwiedzić i zapewnił, że jutro zostanie wypisana do domu. Skontaktuj się z nim, jeśli mi nie wierzysz.

- Nie twierdę, że mnie oszukujesz.

- Wiem, że nie - powiedział cicho. - Wierz mi, że nienawidziłem każdej minuty tego przesłuchania. Nikomu nie jest miło zajmować się tego rodzaju sprawą - w każdym razie na pewno nikomu z naszej ekipy.

Grace mu uwierzyła.

Mając absolutną pewność, że David Becket należycie zaopiekuje się Cathy i że pośpieszny powrót do Miami jest bezcelowy, Grace skierowała się w stronę mieszczącej się na pierwszym piętrze sali konferencyjnej na pierwszą zaplanowaną w tym dniu sesję - wykład i dyskusję poświęcone zaburzeniom psychicznym znanym powszechnie jako zespół Munchausena albo MSBP - skomplikowany typ zaburzeń emocjonalnych z udziałem osób trzecich. Choroba ta wzbudzała wielkie poruszenie w szczególności wśród psychologów i psychiatrów, którzy w pracy zawodowej niejednokrotnie mieli styczność zarówno z dotkniętymi nią ludźmi, jak i z ich młodocianymi ofiarami. Grace osobiście zetknęła się z dwojgiem dzieci maltretowanych i narażonych na niebezpieczeństwo ze strony swoich chorych psychicznie matek.

- Przerazające schorzenie - rozległ się męski głos tuż za plecami Grace w chwili, kiedy w czasie przerwy sięgała po wielce pożądaną filiżankę kawy.

Obejrzała się za siebie. Stał za nią wysoki, szczupły mężczyzna, w wieku około czterdziestu pięciu lat i uważnie jej się przyglądał. Identyfikator zdradzał jego tożsamość: doktor Peter Hayman.

- Za każdym razem, kiedy słucham o tych przypadkach, przechodzą mnie ciarki. - Jego piwne oczy za lekko przyciemnionymi szklami były pogodne i okolone mimicznymi zmarszczkami, powstałymi na skutek częstego śmiechu lub niezadowolenia. - Peter Hayman - przedstawił się mężczyzna.

Grace odstawiła filiżankę i uściśnęła jego rękę.

- Grace Lucca.

- Wiem.

- Skąd pan mnie zna? - Nie miała przypiętego identyfikatora. Nigdy nie lubiła afiszować się ze swoją tożsamością, chyba że istniał po temu w pełni uzasadniony powód.

- Zajmuje się pani dziewczynką, która ma związek z zabójstwem Robbinsów, doktor Lucca. - Hayman dostrzegł wyraz czujności w jej oczach i wyjaśnił: - W jednej z gazet było wymienione pani nazwisko.

- W której?

- Nie jestem pewien. Chyba w „Heraldzie”.

- To wykluczone.

- W takim razie może w „Sentinel”.

- Jeśli rzeczywiście wspomnieli o mnie, powiem im, co o tym myślę.

- Doskonale panią rozumiem - odrzekł cicho Hayman, a w tonie jego głosu dało się słyszeć współczucie. - Biedne dziecko ma za sobą wystarczająco ciężkie przejścia i bez tego rodzaju ingerencji w jego życie.

- Tak, to prawda. - Grace umilkła i zmarszczyła czoło. - Czy było tam moje zdjęcie?

- Gdzie?

- W gazecie. Wygląda na to, że mnie pan rozpoznał.

- Jest pani bardzo uważną kobietą, doktor Lucca. - Hayman się uśmiechnął.

- Jeśli w grę wchodzi sprawa ochrony prywatności, to ma pan rację.

- Nie, nie było tam pani zdjęcia - odpowiedział. - Zauważyłem pani nazwisko na liście uczestników sympozjum, kiedy odbierałem mój identyfikator i udało mi się dowiedzieć, jak pani wygląda.

- Dlaczego pan to zrobił?

Peter Hayman rozejrzał się wokół siebie.

- Czy możemy się przenieść do jakiegoś mniej zatłoczonego miejsca?

- A gdzie konkretnie?

Jeśli uznał jej czujność za obraźliwą, to nie dał tego po sobie poznać.

- Może wybierzemy się na krótką przechadzkę, aby się znaleźć przez kilka minut z dala od urządzeń klimatyzacyjnych? I pójdziemy dokądś, gdzie panuje mniejszy hałas i gdzie będziemy mogli porozmawiać bez obawy, że ktoś nas usłyszy?

- A o czym chce pan ze mną rozmawiać, doktorze Hayman? Namyślał się przez chwilę, zanim udzielił jej odpowiedzi:

- O pewnym przypadku, którym zajmowałem się dawno temu. - Najwyraźniej szukał właściwych słów. - Dostrzegłem w nim pewne analogie do przypadku Robbinsów. Myślę, że uznaje pani za interesujące.

- Co to za analogie? - Grace nagle poczuła się zbita z tropu.
- Coś, co może pomóc - wyjaśnił.
- Komu pomóc?
- Cathy Robbins.

Okazało się jednak, że przerwa dobiegła końca i na rozmowę nie było już czasu. Dopiero w porze lunchu wybrali się na ocieniony drzewami deptak przed hotelem, skąd roztaczał się widok na zatokę. Zrobiła się cudowna pogoda. Powietrze było ciepłe i balsamiczne z podmuchami lekkiej bryzy, a spokojna płytka woda w kolorze żywego błękitu stanowiła scenerię, która bardziej sprzyjała snu-  
ciu marzeń na jawie podczas sjesty niż dyskusowaniu o morderstwach.

Peter Hayman od razu przystąpił do sedna. Wyjaśnił, że został poproszony przed kilkoma laty o zajęcie się młodym pacjentem na zachodnim wybrzeżu Flo-  
rydy.

- Chłopak pochodził gdzieś z okolic St Petersburga - mówił, celowo unikając podania dokładnego miejsca. - Został oskarżony o strzelanie do swoich rodziców.

- Nikt nie oskarżył Cathy Robbins o popełnienie zbrodni - sprzeciwiła się ostro Grace.

- Na razie - odparł ze spokojem Hayman. - Z podtekstu artykułu wynika jed-  
nak, że prawdopodobieństwo takiego rozwoju wydarzeń jest tylko kwestią czasu.

- Wydaje mi się, że zbyt wiele czyta pan pomiędzy wierszami.

- Być może. Pomimo to nie zaszkodzi, jeśli podzielę się z panią pewnymi fak-  
tami, które uznałem za uderzająco zbieżne. Oczywiście, te informacje są ściśle  
poufne - dodał.

Grace milczała.

- Czy nie zechciałaby pani usiąść? - spytał.

- Chętnie postoję - odrzekła. - Będę siedziała przez całe popołudnie.

- Zastanawiam się, dlaczego nie organizują tego typu seminariów na plaży -  
zażartował jej rozmówca. - Te wszystkie zimne, klimatyzowane sale, gdzie każ-  
demu jest piekielnie niewygodnie, podczas gdy tuż za oknem znajduje się praw-  
dziwy raj.



- Czuliśmy się tam zbyt komfortowo. Twarde krzesła i zimne powietrze skutecznie zapobiegają zaśnięciu.

- Nie zawsze - uśmiechnął się Hayman.

- Zdaje się, że miał mi pan coś do powiedzenia?

Psychiatra nie marnował już więcej czasu. Wyjaśnił Grace, że młody człowiek, którym się zajmował, został wciągnięty na listę podejrzanych z powodu typowych problemów wychowawczych, a także zażywania narkotyków. Kiedy jednak Hayman go poznał, doszedł do wniosku, że ani zażywanie narkotyków, ani owe akty przemocy, jakich podejrzany rzekomo się dopuścił, zupełnie nie leżą w naturze chłopca.

- Istnieją dwie zasadnicze różnice pomiędzy omawianym przeze mnie przypadkiem a tym, co wiemy na temat sprawy Robbinsów. Pierwsza to ta, że oboje rodzice mojego pacjenta przeżyli, a druga, że jego ojciec był na tyle wpływową osobistością w swoim mieście, że zdołał zapobiec przedostaniu się informacji o zaistniałym incydencie do wiadomości publicznej.

- Zastanawia mnie fakt, skąd pan wie tak dużo na temat sprawy Robbinsów. - Czułki Grace znowu zadrgały podejrzliwie. - Nie przypuszczam, żeby w prasie pojawiło się wiele szczegółów o tej rodzinie.

- To prawda - zgodził się Hayman, dostrzegając jej zimny wyraz twarzy. - Będę z panią szczerzy.

- Tak będzie lepiej, jeśli chce pan kontynuować tę rozmowę.

- Oczywiście. - Psychiatra umilkł. - To bardzo proste. Przeczytałem, zobaczyłem i usłyszałem wystarczająco dużo na temat tej sprawy oraz młodej osoby w nią zamieszanej, aby owe informacje nie zrodziły we mnie pewnych skojarzeń. Pod ich wpływem wykonałem kilka telefonów do Miami i zadałem kilka pytań odpowiednim ludziom.

- Co to za ludzie?

- Tego nie mogę powiedzieć. - Wzruszył ramionami. - Wyznam pani, że moje zainteresowanie jest w pewnej mierze czysto egoistyczne, ponieważ ma związek z problemem, który obecnie badam. Krótko mówiąc, gdyby nie zjawiała się pani tutaj osobiście, doktor Lucca, wymyśliłbym inny sposób na skontaktowanie się z panią.

- Proszę mówić dalej. - Zaintrygował Grace, nawet jeśli nie osiągnął niczego więcej.

- Oczywiście nie zdradzę pani szczegółów tego, co zrobiłem, kiedy dowiedziałem o strzelaninie na zachodnim wybrzeżu. - Mężczyzna ponownie zamilkł. - Mogę jednak podzielić się z panią moimi wnioskami. Uświadomiłem sobie, że przypadek, którym się zajmuję, jest nietypową odmianą zespołu MSBP.

- Nie rozumiem.

- Mowa o matce, która w tym konkretnym przypadku - zamiast stwarzania pozorów fizycznej choroby u syna, na skutek których mógłby zostać poddany badaniom i leczeniu, świadomie wytworzyła w nim psychozę. - Na widok wyrazu przerażenia, a zarazem zaintrygowania na twarzy Grace Hayman odgadł, że całkowicie zdobył jej uwagę. - Odkrycie tego faktu mnie też zajęło sporo czasu, zapewniam panią, doktor Lucca.

- Ale jaki ma to związek ze strzelaniną? - spytała zmieszana i zatrwożona. - Sugeruje pan, że chłopak został sprowokowany przez matkę do zaatakowania zarówno jej, jak i własnego ojca? Czy też, że to ona sama pociągnęła za spust i stworzyła pozory obciążające syna?

- Naprawdę nie potrafię odpowiedzieć na te pytania powiedział Peter Hayman. - Mogę jedynie panią zapewnić, że zespół MSBP wystąpił u niej na długo przed strzelaniną.

- Matka pozoruje psychiczną chorobę własnego syna?

- W tym wypadku tak. - Hayman pokręcił głową. - Nie twierdzę, że przypadek ten ma jakikolwiek związek ze scenariuszem wydarzeń w Miami. Na wieść o podwójnym zabójstwie jednak w mojej głowie zadźwięczały ostrzegawcze dzwonki. - Umilkł. - Ogromne brzemie cierpienia spadło na tę rodzinę, a nastolatka zamieszana w morderstwo rodziców przechodzi prawdziwe piekło. Uznałem więc, że nie zaszkodzi podzielić się moimi doświadczeniami z psychologiem, któremu los Cathy Robbins nie jest obojętny.

- Tyle tylko że, w jej przypadku, oboje rodzice nie żyją.

- Fakt ten wcale nie podważa mojej teorii.

# ROZDZIAŁ 14

---

- Matka naprawdę jest na ciebie wściekła - uprzedził syna David Becket, gdy Sam w niedzielę wieczorem wpadł do nich na filiżankę kawy.

- Mama zawsze się na mnie wścieka - zauważył Sam lekkim tonem.

- Osobą, którą rzeczywiście wyprowadziłeś z równowagi, jest twój ojciec - odrzekła Judy Becket.

- O co chodzi, tato? - spytał Sam ze zdziwieniem. David pokręcił głową i chrząknął.

- Tata jest zły na ciebie, że ta dziewczyna przebywa w szpitalu - poinformował swojego starszego brata Saul Becket. - Prosił mamę, żeby o tym nie wspominała, ale znasz ją.

Sam wiedział, że Judy wciąż żywi do niego urazę o to, że w ubiegły piątek nie zjawił się na uroczystej kolacji z okazji święta Paschy. Wiedział też, że matka doskonale go rozumie i zdaje sobie sprawę z tego, że przyszedłby, gdyby tylko mógł. Zły humor był jednak rzadkością u ojca.

Niedawno minęła dziesiąta. Siedzieli w salonie w ich rodzinnym domu w Golden Beach. Becketowie mieszkali tu od ponad dwudziestu pięciu lat. Telewizor był cicho nastawiony, ponieważ David chciał obejrzeć wiadomości, nie przeszkadzając przy tym Saulowi w odrabianiu lekcji. Pokój miał niezbyt okazały wygląd i z tego powodu Judy - drobna, zadbana kobieta o brązowo-siwych, kręconych włosach i inteligentnych, piwnych oczach - czasami narzekała. Tak naprawdę jednak kochała każdy centymetr kwadratowy miękkich i wygodnych, choć mocno sfatygowanych i starych mebli, wśród których żyli wraz z mężem od czasu, kiedy zostali rodzicami. Każde zadrapanie oraz każda rysa na mahoniovych komodach i szafach na książki przypominały Judy Becket o tym, że oboje wychowali dwóch szczęśliwych synów, którzy zawsze czuli się w domu swobodnie i nie traktowali go jako miejsca na pokaz.

- Cathy Robbins już lepiej się czuje, prawda, tato? - spytał Sam.

- Lepiej w porównaniu z czym? - sucho odparł pytaniem David.

- Wiem, o co ci chodzi - powiedział Sam cicho.

- Może i wiesz, ale czy naprawdę rozumiesz? - Ojciec mówił cichym, pełnym wyrzutu głosem. - Czy rozumiesz, że zemdląca wczoraj na posterunku dlatego, że

łumiła w sobie cały ocean stresu i nie mogła już wysłuchać ani jednego pytania więcej - jeszcze jednego niedorzecznego oskarżenia?

- Nikt nie...

- Tylko mi nie mów, że nikt jej o nic nie oskarżył - przerwał mu ojciec zapalczywie. - Obaj dobrze wiemy, jak wygląda sytuacja. - Pokręcił swoją szpakowatą głową. - Twój brat ma rację. Jestem wściekły, a także smutny i zmęczony z powodu wszystkiego, co spotyka to nieszczęsne dziecko.

- Skąd pewność, że ona jest niewinna? - zapytała męża Judy.

- Moje zmysły utwierdzają mnie w tym przekonaniu. - David wzruszył ramionami. - Moje oczy, uszy. Moje doświadczenie. Przyglądam się jej i przysłuchuję się jej odpowiedziom: widzę i słyszę małą dziewczynkę, która straciła matkę i ojca. Która, na miłość boską, patrzyła i dotykała ich martwych ciał! - Wciąż jeszcze zagniewany, zdjął okulary i ze znużeniem zaczął masować grzbiet nosa. - A policja z Miami Beach - łącznie z moim własnym synem - zadrecza biedne dziecko, zamiast wyruszyć na poszukiwania prawdziwego maniaka, który jest odpowiedzialny za te zbrodnie.

Sam pochylił się do przodu.

- Tato, doskonale cię rozumiem, wierz mi. I czułem się tak samo jak ty.

- Ale byłeś obecny podczas przesłuchania.

- To oczywiste. Prowadzę to dochodzenie. Mieliśmy kilka pytań, które musieliśmy jej zadać.

- Czy koniecznie trzeba je było zadawać na posterunku policji, i to w obecności twojego szefa i prawnika? - chciał wiedzieć David. - Nie można było porozmawiać z nią w domu jej ciotki, gdzie Cathy miałyby obok siebie kogoś, kto ją kocha?

- Nie, nie można - odrzekł David. - Tato, zginęło troje ludzi...

- Wiem - ponownie przerwał mu ojciec. - I wiem również, że Cathy Robbins jest dla nich wspólnym mianownikiem. Lecz może gdybyście razem z twoim szefem i innymi spojrzeli nieco dalej, poza czubki własnych nosów, być może znaleźlibyście osobę, która również pasuje do tego schematu. Czy nie przyszło ci do głowy, że być może komuś zależy na stworzeniu pozorów, że to Cathy jest mordercą?

- Kto chciałby zrobić coś tak potwornego? - spytała Judy. - Skoro ona rzeczywiście jest tak słodka i niewinna, jak zdajesz się w to wierzyć.

- Nie wyobrażam sobie, ażeby ktoś mógł być do tego zdolny -oświadczył David. - Ale jestem tylko mężczyzną w średnim wieku, żydowskiego pochodzenia, który wykonuje zawód lekarza, a nie psychologa czy detektywa.

- Może przez wzgląd na swój średni wiek nie powinieneś uprzykrzać życie naszemu synowi tylko dlatego, że wykonuje swoją pracę najlepiej, jak potrafi.

- Nie uprzykrzam mu życia - zaperzył się David.

- Mnie nie oszukasz - odparowała Judy.

- Tato nam wszystkim uprzykrza życie - oświadczył Sam. - Wydziałowi, systemowi. I nie mogę go za to winić. Gdybym był na jego miejscu i próbował pomóc w odzyskaniu równowagi psychicznej czternastoletniej dziewczynce, która na skutek przesłuchania została tak bardzo zestresowana, że musiała pójść do szpitala, czułbym to samo.

- Czy sądzisz, że to ona zabiła swoją mamę i tatę, Sam?

W głosie Saula, który był wierną kopią swojej matki i do tej pory siedział cicho pogrążony w nauce, wyraźniej zabrzmiało zaniepokojenie niż zaciekawienie, gdy postawił bratu to pytanie o przełomowym znaczeniu. Życie w pobliżu miasta, gdzie nikogo nie zaskakiwał fakt, że dzieciaki noszą przy sobie noże i pistolety to jedna sprawa, a myśl o pochodzącej z miłej, zgodnej rodziny dziewczynie zaledwie o rok starszej od Saula, która zrobiła to, co funkcjonariusze zabezpieczający ślady zbrodni na Coconut Drive aż nazbyt obrazowo opisali w telewizyjnych wiadomościach - to coś całkiem innego.

- Nie wiem, Saul - odpowiedział Sam, zmartwiony widokiem wystraszonej twarzy chłopca i lęku w jego oczach. - Przyznaję uczciwie, że nie wiem.

- A co o tym sądzi doktor Lucca? - odezwał się ojciec.

- Dlaczego sam jej o to nie spytasz?

- Jestem pewien, że rozmawiałeś z nią na temat Cathy.

- Tak, oczywiście. - Sam umilkł. - Zdaniem Grace, Cathy jest niewinna. I szczerze mówiąc, chyba podzielał jej odczucia.

- To znaczy? - spytał David.

- Nie chcę, żeby Cathy była winna. I łudzę się, że tak rzeczywiście jest.

- Ale nie masz pewności? - dodał Saul.

- Nie taką, jakiej bym sobie życzył.

- Jak słyszę, jesteście już oboje z doktor Lucca po imieniu - zauważyła nieco sztywniejszym tonem głosu Judy Becket.

TLR



# ROZDZIAŁ 15

---

Poniedziałek, 13 kwietnia 1998

Po powrocie do Miami w poniedziałek rano Grace pierwsze kroki skierowała do miejskiego szpitala. Dziesięciominutowa rozmowa z Davidem Becketem uspokoiła ją, że jego intuicja wciąż jest zgodna z jej własną.

- Uważam, że Cathy jest dobrym dzieckiem - zapewnił lekarz, gdy siedzieli oboje nad kubkami kawy z automatu nieopodal dyżurki pielęgniarek na piętrze, gdzie mieściła się separotka. - Nie wiem, na co to się zda, ale powiedziałem mojemu synowi, co o tym myślę.

- Nie sądzę, aby Sam bardzo różnił się od pana w poglądach - zauważyła Grace.

Becket miał smutną twarz.

- Sam nie chce różnić się ode mnie w poglądach - zauważył. - A to nie to samo.

Cathy nie leżała w łóżku, lecz siedziała na krześle przy oknie. Była bledsza niż wtedy, kiedy Grace widziała ją po raz ostatni, ale poza tym w jej wyglądzie nie nastąpiły żadne istotne zmiany.

- Jak się miewasz?

- W porządku.

- Słyszałam, że jeszcze dzisiaj masz opuścić szpital?

- Tak mi powiedzieli. - Dziewczynka obróciła twarz w stronę szyby i zapatrzyła się przed siebie, nie zatrzymując wzroku na niczym szczególnym.

- Nie jesteś gotowa do wyjścia?

- To zależy dokąd mnie stąd zabiorą, nie sądzisz?

- Przypuszczam, że do domu twojej ciotki - powiedziała Grace.

- Albo z powrotem na posterunek policji.

Głos dziewczynki miał brzmieć obojętnie, nie trzeba jednak było psychologa, ażeby usłyszeć w jej słowach strach i rozgoryczenie.

- Czy przyszedł ktoś porozmawiać z tobą? - spytała Grace. Cathy zwróciła się do niej twarzą.

- Masz na myśli policjantów? - Pokręciła głową przecząco. - Nikogo dotychczas nie było. Przypuszczam jednak, że to doktor Becket nie chciał ich wpuścić. - Uśmiechnęła się po raz pierwszy. - Wkurzyli go nie na żarty. Porządny z niego facet.

- Wiesz, że jest ojcem detektywa prowadzącego śledztwo, prawda?

- Tak. To niesamowite, co?

- Co sądzisz o detektywie Beckecie, Cathy? - Pytanie to wyrwało się Grace całkiem niespodziewanie. Nie była pewna, z jakiego powodu zadała.

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Chyba jest w porządku.

- Jak na gliniarza.

- Chyba tak. - Cathy umilkła. - Jego ojciec bardzo cię lubi.

- Naprawdę?

- Powiedział, że mogę ci zaufać.

- To miło z jego strony. - Grace spojrzała dziewczynce prosto w oczy. - Wierzysz mi?

Cathy nie od razu odpowiedziała.

- Chyba tak - odrzekła w końcu.

Dopiero po południu Grace znalazła wolną chwilę, żeby zatelefonować do wydziału zabójstw. Detektyw o nazwisku Martinez poinformował ją, że Sam prawdopodobnie przez resztę dnia będzie zajęty. Ale po niespełna kwadransie Sam odpowiedział na jej telefon.

- Mam tylko minutę, postanowiłem się jednak upewnić, czy nie szukałaś mnie w jakiejś nagłej sprawie.

- To nic palącego, choć byłabym wdzięczna, gdybyś w wolnej chwili zechciał się ponownie ze mną spotkać.

- Co sądzisz o wspólnej kolacji? - spytał. - Nie wiem, ile będę miał czasu, lecz chętnie spędzę z tobą każdą wolną chwilę.

Grace namyślała się nie dłużej niż sekundę.

- W porządku.

Spotkali się w małej restauracji rybnej na północnych obrzeżach South Beach. Sam dokonał wyboru lokalu, ponieważ mieścił się w dobrze znanej mu dzielnicy. Była to zaciszna knajpka, pozbawiona natarczywie hałaśliwej klienteli, typowej dla miejsc licznie uczęszczanych przez turystów. Panujący tu szum umożliwił jednak przeprowadzenie poważnej rozmowy bez ryzyka, że zostanie przez kogoś podsłuchana.

- Domyślasz się chyba, że chcę porozmawiać z tobą o Cathy - odezwała się Grace, gdy tylko zajęli miejsca. Zależało jej na szczerej wymianie poglądów i nie chciała zostać opacznie zrozumiana.

- A o czymże innym mielibyśmy ze sobą mówić? - W jego oczach pojawiły się żartobliwe błyski.

Zamówili kraba oraz miecznika, a potem Grace zrelacjonowała Samowi historię, którą przeszło dobę temu usłyszała od doktora Haymana i która od tamtej pory nieustannie zaprzętała jej umysł.

Sam posiadał skąpą wiedzę na temat zespołu Münchhausena i MSBP, jednak na wieść o strzelaninie na Zachodnim Wybrzeżu i o odkryciach Haymana zareagował identycznie jak Grace, kiedy po raz pierwszy o tym usłyszała.

- Bóg świadkiem, że chętnie wysłucham wszystkich teorii, co do słuszności których próbujesz mnie przekonać. Przypuszczam jednak że w tym przypadku, skoro matka Cathy nie żyje, hipoteza ta jest raczej mało prawdopodobna, nie sądzisz?

- W pierwszej chwili też tak uważałam. Ale kiedy zastanowiłam się nad tym wszystkim, nie byłam już taka pewna. - Grace umilkła. - Nie zapominaj, że Hayman mówił o występowaniu różnorodnych zaburzeń osobowości, które są odmianami zespołu Münchhausena. I ich zakres może być znacznie szerszy niż wszystko to, z czym się dotychczas zetknęliśmy. - Upiła łyk wody. Jej kieliszek był napełniony winem Chardonnay, chciała jednak zachować jasność myślenia do czasu, kiedy już przekaze Samowi wszystkie niezbędne informacje. - Nie zrozum mnie źle - kontynuowała wyjaśnienia. - Zdaję sobie sprawę z tego, że ten konkretny przypadek może nie mieć nic wspólnego z tamtą chorobą. Dużo jednak myślałam o teorii doktora Haymana i uważam, że jest godna rozważenia.

- Zamieniam się w słuch.

- Nie możemy wykluczyć - oczywiście jest to czysta hipoteza - że chora kobieta, która odczuwała przemożną potrzebę wykazania, że jej dziecko cierpi na

chorobę psychiczną, była gotowa narazić się na niebezpieczeństwo, a nawet na śmierć. - Umilkła i uważnie przyjrzała się Samowi, aby się przekonać, jak odebrał to, co mu dotychczas powiedziała. - A posuwając się dalej, nie można też wykluczyć założenia, że opłacała kogoś, aby po śmierci swojej i Arnolda spreprował za nią dowody przeciwko Cathy.

- To bardzo ryzykowna hipoteza - orzekł Sam.

- Wiem o tym. - Grace stała się markotna. - Szczególnie, że osoby cierpiące zarówno na zespół Münchhausena jak na MSBP poprzez własną dolegliwość albo przez fakt posiadania chorego dziecka pragną zwrócić na siebie uwagę.

- Utrata własnego życia byłaby więc, w przypadku tego schorzenia, pozbawiona sensu.

- Myślę, że tak. Chyba że...

- Chyba że to, o czym mówimy, nie jest syndromem Münchhausena.

- Właśnie.

Sam przez chwilę analizował tę sugestię.

- Czy wiemy, jakie są przyczyny zachorowań na MSBP? Czy przypadłość ta jest zaprogramowana w genach? A może coś ją wywołuje?

- Nie znany dokładnych przyczyn występowania żadnego z obu schorzeń. Wiemy tylko, że są zaburzeniami osobowości, oraz że symptomy, jakie dotknęli tymi chorobami pacjenci podają, są przez nich realnie odczuwane. Ludzie ci nie są symulantami. W swoim przekonaniu rzeczywiście potrzebują hospitalizacji i opieki medycznej.

- Czy to syndrom rozpaczliwego wołania o pomoc?

- Jestem tego niemal pewna. A także zabiegania o uwagę. Chorzy przejawiają niekontrolowaną potrzebę poddawania się badaniom i leczeniu - z zabiegami chirurgicznymi włącznie - bez względu na związany z nimi ból i cierpienia.

- To przypomina rodzaj masochizmu - zauważył Sam. - A MSBP, w tej sytuacji, jawi się jako sadyzm, nieprawdaż?

- Myślę, że problem jest o wiele bardziej złożony i znacznie smutniejszy. Sam zamyślił się na chwilę.

- Mój ojciec wysunął wczoraj pewną sugestię, która pokrywa się z tym, do czego, jak się domyślam, zmierzasz. Powiedziałaś, że Marie mogła zapłacić ko-

musz za sfabrykowanie dowodów obciążających córkę. Mój ojciec uważa, że powinniśmy znaleźć osobę, której zależy na tym, aby podejrzenie o dokonanie zabójstw padło na Cathy.

- Masz na myśli jawne oczernienie?

- Działanie to jest dalekie od jawności - zauważył Sam. - Prawdę mówiąc, nie potrafię sobie wyobrazić, aby jakakolwiek matka mogła się zdobyć na tak straszliwy czyn wobec własnego dziecka. Musiałaby być potworem.

- Albo osobą bardzo chorą.

- Podobnie jak matka młodocianego pacjenta doktora Haymana?

- Być może.

Sam ponownie się zamyślił.

- Czy to zawsze matki są chore na MSBP?

- Prawie zawsze. Chociaż zdarza się, że i ojcowie cierpią na tę przypadłość. Czytałam też o przypadkach pielęgniarek, u których stwierdzono objawy tej choroby, gdy przyłapano je na znęcaniu się nad powierzonymi ich opiece dziećmi. Chociaż ja, osobiście, tego rodzaju zachowań nie zwałabym na karb choroby.

- Tak, czy siak, ta teoria prowadzi donikąd, skoro Arnold Robbins również zginął - zauważył Sam.

- A jej rodzony ojciec umarł przed wieloma laty. Sam pokręcił głową.

- Muszę wyznać, że nie widzę podstaw, na których mogłabyś oprzeć swoją hipotezę, Grace. A nawet jeśli założymy, że jest w niej ziarno prawdy, to jak, na Boga, zamierzasz udowodnić jej słuszność?

- Łudziłam się, że może zechcesz mi w tym pomóc. Przynajmniej rozszerzając zakres dochodzenia.

- Śledztwo jest w toku. - Sam rozejrzał się wokół siebie i jeszcze bardziej niż przedtem zniżył głos: - W każdym razie ja tak uważam. Musisz jednak wiedzieć, że kilka osób z mojej grupy dochodzeniowej jest święcie przekonanych o winie Cathy oraz o tym, że ciotka ją osłania.

- Ale nie macie żadnych nowych dowodów przeciwko niej, prawda? - Grace nigdy dotychczas nie była tak daleka od poddania się.

- Nie znaleźliśmy niczego konkretnego. W przeciwnym razie Cathy zostałaby aresztowana.

- Oczywiście w interesie nas wszystkich leży, abyście mieli otwarte umysły. - Umilkła. - Może powinnam zapoznać z tą teorią twojego szefa? - zasugerowała po chwili.

- Nie uważam tego za dobry pomysł - odrzekł Sam.

- Ponieważ sądzisz, że wzięłam go z sufitu? Uśmiechnął się krzywo.

- Ty to powiedziałaś, nie ja.

- A może to ty powinienesz z nim porozmawiać?

- Niewykluczone.

- Jedno możesz dla mnie zrobić - powiedziała Grace.

- Co takiego? - Na twarzy detektywa wciąż malował się krzywy uśmiech.

- Chodzi mi o pierwsze małżeństwo Marie i biologicznego ojca Cathy.

- Co chcesz o nich wiedzieć?

- Wszyscy unikają tego tematu. I to wzbudziło moje zaciekawienie. Pomyślałam, że jeśli zdobędę więcej informacji dotyczących ich małżeństwa, będę lepiej przygotowana do tego, aby pomóc Cathy.

- Chcesz, żebym spróbował dowiedzieć się czegoś więcej o ich związku?

Grace potakująco skinęła głową.

- Będę wdzięczna.

- Zaangażuję do tego zadania kilku szperaczy - obiecał Sam.

Po raz pierwszy od momentu, kiedy zajęli miejsca przy stoliku, Grace się odprężyła i wypila potężny haust wina. Miało dobry smak. Rozejrzała się po restauracji. Lokal był niemal pełen, kiedy przyszli, lecz od tamtego momentu opuściła go ponad połowa gości.

- No i tak - powiedziała.

- No i tak - powtórzył detektyw.

- O czym teraz rozmawiamy? - Przypomniała sobie, że dzisiejszego popołudnia Sam nie miał zbyt dużo wolnego czasu. - A może już musisz iść?

- Nie muszę - odrzekł. - Chyba że mnie zawezwą.

- Nosisz przy sobie pager?



- Zawsze.

- Zawsze?

- Niestety tak. - Uśmiechnął się szeroko.

Tym razem, kiedy się uśmiechał, miał w pół przymknięte powieki, przez co wydawał się rozleniwiony i bardziej przystępny. Jego twarz diametralnie różniła się teraz od chłodnego, ostrego i bardzo bystrego wyrazu, jaki miał detektyw w momentach wykonywania swojego zawodu.

Grace podobał się w każdej sytuacji.

Chwilowo odsunęli na bok sprawę Cathy Robbins i zapragnęli dowiedzieć się czegoś więcej o sobie, na czym, teraz Grace była już tego pewna, zależało im obojgu. Wyjawiała Samowi więcej faktów ze swojego dzieciństwa spędzonego z Claudią w Chicago i opowiedziała o fatalnie układających się stosunkach z Frankiem i Ellen Lucca. Sam wyznał, że był żonaty, jego żona nazywała się Althea, a małżeństwo zakończyło się rozwodem.

- Obawiam się, że związek ten przyniósł nam obojgu wiele rozgoryczeń - powiedział cicho.

- Macie dzieci? - spytała Grace. Przez moment zwlekał z odpowiedzią.

- Mieliśmy syna - wyznał w końcu. - Miał na imię Sampson. „Miał”. Słowo to zawisło w powietrzu.

- Nie żyje - wyjaśnił. - Został potrącony przez pijanego kierowcę. Dostrzegła nabrzmiałe na jego szyi żyły i odczytała rozgrywający się od nowa przed jego oczami koszmar. Szybko stłumiła w sobie pragnienie, aby wyciągnąć rękę do Sama.

- Miał trzy lata - mówił opanowanym, ale bardzo cichym głosem. Moja żona mnie obciążyła winą za jego śmierć, chociaż nie byłem z nim wtedy, kiedy to się stało. - Nieznacznie wzruszył ramionami. - Zresztą ja również nie mogę sobie tego darować.

- Dlaczego, skoro cię wtedy przy nim nie było? - spytała delikatnie Grace.

- Właśnie dlatego - odpowiedział z prostotą. - Może gdybym wtedy był razem z nimi, nie doszłoby do tragedii. - Umilkł. - Powiem więcej: gdybym tam był, na pewno by do niej nie doszło. Mocniej złapałbym Sampsona za rękę, a gdyby próbował się wyrwać, zdołałbym go zatrzymać przy sobie. Althea nie jest zbyt

silną kobietą. A tamtego dnia była bardzo zmęczona - spędziła wiele bezsennych nocy, niepokojąc się o mnie.

- Czy o to również siebie winisz?
- Oczywiście, że tak - odparł Sam.

Zanim się rozstali, wybrali się na przechadzkę po South Beach. Wieczór był przyjemny, niezbyt upalny i nie czuło się uciążliwej wilgotności w powietrzu. Szli wolnym krokiem w bezpiecznej odległości od siebie. Chociaż Sam przewyższał wzrostem Grace o jakieś dziesięć centymetrów, bez trudu utrzymywali to samo tempo spaceru. Jak każdego wieczora przez wszystkie dni tygodnia promena Ocean Drive tętniła życiem. Młodzi i niezbyt młodzi ludzie - jedni w krzykliwych strojach, inni w zwyczajnych, a jeszcze inni w całkiem zwariowanych - jeździli na łyżworolkach, chodzili, rozprawiali o czymś z ożywieniem, przyglądali się innym przechodniom, pili, palili, wystawali przed „Casablanca” i przed „Ali Star Café”, albo podziwiali dom Gianniego Versace. Sam i Grace milczeli przez większość czasu. Jej umysł wypełniały obrazy Cathy Robbins - coraz bardziej rozgoryczonej i zatrwożonej - oraz wyobrażenia o dorastającym Sampsonie Beckecie: o chłopcu, który gdyby teraz żył, prawdopodobnie zacząłby przypominać wyglądem swojego ojca - wysokiego, szczupłego mężczyznę o barczystych ramionach.

Sam odprowadził Grace do jej mazdy, która stała zaparkowana przed restauracją.

- Wracasz do pracy? - spytała, otwierając drzwi od strony kierowcy.
- Dzisiaj już nie - powiedział. - Chyba że będę musiał. Podniosła na niego wzrok.
- Na mnie, niestety, czeka papierkowa robota.
- Pewnie przepadasz za nią tak samo jak ja, co?
- Wprost ją uwielbiam. - Uśmiechnęła się lekko.
- Wrócę na piechotę do domu - oznajmił Sam z rozleniwieniem. - A potem wejść na dach, gdzie lubię przesiadywać, i odśpiewam kilka arii, aby dać moim sąsiadom powód do utyskiwań.
- Jesteś śpiewakiem? - zdumiała się Grace i można to było poznać po jej głosie.

- Och, tak - odpowiedział z uśmiechem Sam. -I chociaż może niezbyt wielki ze mnie artysta, to wcale nie taki zły. I chociaż jestem najgorszym z barytonów w południowej części Florydy, nie potrafię zrezygnować ze śpiewania. Nade wszystko kocham wykonywanie arii i słuchanie muzyki operowej.

- Ja również ją lubię.

- Lubisz? - Sam potrząsnął głową. - Nie używaj tego słowa, kiedy mówisz o operze, Grace Lucca. Tę muzykę można albo kochać, albo jej nienawidzić. Nie istnieją żadne pośrednie odczucia.

- Chyba muszę nauczyć się jej słuchać.

- Może rzeczywiście powinnaś zdobyć tę umiejętność - przyznał Sam.

TLR

# ROZDZIAŁ 16

---

Środa, 15 kwietnia 1998

Wtorek i prawie cała środa upłynęły Grace w okamgnieniu. Nie miała czasu na złapanie oddechu, a co dopiero na martwienie się o Cathy Robbins. Pomijając pacjentów i papierkową robotę, musiała także zaradzić drobnej powodzi, która zdaniem Ramona -hydraulika i jednego z licznych przyjaciół Teddy'ego Lopeza - powstała na wskutek pęknięcia rury biegnącej pomiędzy podłogą sypialni a kuchennym sufitem. I to, co początkowo było sporą, połyskującą od wilgoci plamą, wkrótce przemieniło się w olbrzymie, nasączone wodą płyty tynku.

- Jeśli niezwłocznie nie usunie pani awarii, zawali się na panią cały sufit - nastraszył ją Ramon, nim zabrał się do pracy.

Trudno było kwestionować tę opinię.

Grace zaparzyła kawę dla Ramona, dla Teddy'ego oraz dla siebie, i w chwili, kiedy wyławiała z filiżanki duży płatek farby, zadzwonił telefon.

- Co słuchać u ciebie? - odezwał się Sam.

- Lepiej nie pytaj.

- Jak sobie życzysz. - Umilkł. - Zdobyłem informacje, o jaką mnie prosiłaś.

Grace rozejrzała się wokół siebie za jakimś czystym miejscem, gdzie mogłaby odstawić filiżankę; Ramon pił kawę, stojąc na środku drabiny, a Teddy wybierał kawałki tynku z sierści Harry'ego. Postanowiła zostawić specjalistom kuchnię i skierowała się do gabinetu.

- W porządku - oznajmiła Samowi. - Mam już pióro.

- Nie ma zbyt wiele szczegółów - uprzedził ją Sam. - Wydaje się jednak, że te, którymi dysponuję, można uznać za dość interesujące.

Grace ogarnęło złe przeczucie.

- Mów dalej.

- Pierwszym mężem Marie Robbins był doktor John Broderick. Pracował jako lekarz w szpitalu Lafayette, w Tallahassee. Tam też urodziła się Cathy. Broderickowie byli w separacji, gdy zginął w 1989 roku, ale nie mieli rozwodu. - Sam przerwał na moment. - Wygląda na to, że Broderick w tamtym czasie znalazł się w bardzo przykrew sytuacji: był przesłuchiwany przez komisję etyki lekarskiej w

swoim szpitalu i prawdopodobnie to pchnęło go do targnięcia się na własne życie.

- Popelniał samobójstwo? - Grace pomyślała o pięcioletniej wówczas Cathy. - O Chryste!

- Miał łódź żaglową, którą trzymał zacumowaną na wybrzeżu Pensa-coli. Nastąpiła pora huraganów. Zaczekał, aż nadciągnie kolejny duży sztorm, zostawił list dla Marie, wsiadł do łodzi i zatonął.

Grace się nie odezwała. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Grace, dobrze się czujesz?

- Tak, wszystko w porządku. W poniedziałek trafnie to ująłeś: to nie mój ból głowy, prawda? - Umilkła. - Wiadomość ta wyjaśnia, dlaczego ciotka dziewczynki nie lubi rozmawiać o przeszłości.

- To ciężki bagaż dla dziecka - przyznał Sam.

Grace wiedziała, co miał na myśli. Informacja, jaką jej przekazał, stawiała Cathy w gorszej sytuacji. Dziecko, które we wczesnym dzieciństwie doznało ciężkiego urazu psychicznego, wkroczało w wiek dojrzewania z Bóg jeden raczy wiedzieć iloma emocjonalnymi bliźniami, a na dodatek matka dziewczynki musiała żyć z własnym brzemieniem... Okoliczności śmierci Johna Brodericka były wodą na młyn dla prokuratora stanowego, jeśli zamierzał zasugerować, że mają do czynienia z niepanującą nad sobą, a być może nawet, zdradzającą oznaki zaburzeń osobowości nastolatką.

- To dla niej niezbyt pomyślna wiadomość z punktu widzenia śledztwa, prawda? - spytała.

- Niezbyt, o ile mogę coś przewidzieć. - Umilkł. - Jest mi bardzo przykro, Grace.

- Wiem o tym.

Od ponad tygodnia nie widziała się ani nie miała okazji rzeczowo porozmawiać z Frances Dean. Chociaż żadna z dotychczasowych rozmów z tą kobietą nie wniosła nic nowego do sprawy. Teraz jednak, gdy Grace poznała nowe fakty, postanowiła właściwie pokierować następną.

Zaaranżowanie spotkania nie było rzeczą łatwą. Grace zatelefonowała do Frances jeszcze tego samego popołudnia i spytała, czy nie mogłaby wpaść z wizytą. Ciotka Cathy oświadczyła, że jest umówiona i że cały następny dzień rów-

niez ma zajęty. Kiedy Grace przeanalizowała później ich wymianę zdań, doszła do wniosku, że prawdopodobnie pani Dean nie spodziewała się tak wielkiego uporu i dlatego zabrakło jej wymówek, gdy Grace spytała, czy może przyjechać w piątek przed południem.

- Nie zastanie pani Cathy w domu - uprzedziła ją Frances. - Zaczęła z powrotem chodzić do szkoły.

- Cieszę się - zapewniła Grace. - To może jej trochę pomóc.

- Zobaczymy. Jak dotychczas wszystko zawiodło.

Grace pomyślała, że za każdym razem, kiedy się spotykają, ciotka Cathy wygląda gorzej. Tak jak poprzednio została przyjęta w salonie. Frances siedziała sztywno wyprostowana z pobladłą i ściągniętą twarzą, trzymając niespokojne dłonie na kolanach. Grace zrobiło się przykro, że za moment musi zapuścić się w rejony, których granic z pewnością, zdaniem tej szalenie skrytej kobiety, nie wolno było przekraczać. Ale wiedziała też, że jeśli ma nadzieję w znaczący sposób pomóc dziewczynce, musi poznać możliwie jak najwięcej szczegółów z czasów jej burzliwego dzieciństwa.

Zgodnie z przewidywaniami Grace, Frances Dean w ogóle nie chciała rozmawiać na ten temat. Oświadczyła wprost, że życzy sobie, aby zostawić przeszłość jej siostry w spokoju, ponieważ przede wszystkim na tym zależało Marie, kiedy opuściła Tallahassee i razem z Cathy przeniosła się do Miami. Pragnęła rozpocząć życie od nowa i puścić dawne czasy w niepamięć.

- Błagała mnie, żebym z nikim o tym nie rozmawiała - wyznała Frances.

- Rozumiem - odrzekła Grace. - Z pewnością jednak w obecnych okolicznościach...

- Złożyłam mojej siostrze obietnicę i żadne okoliczności nie mogą zmienić tego faktu. - Dostrzegła wyraz zawodu na twarzy Grace. - Mówię o poczuciu winy - wyjaśniła. - Zapewne pani wie, że jesteśmy katoliczkami. Moja siostra była ode mnie pobożniejsza i bardziej niż mnie dręczyły ją wyrzuty sumienia. Niewiele dobrego jej to dało, Panie świeć nad jej biedną duszą.

- Z jakiego powodu czuła się winna? - spytała delikatnie Grace.

- Nie miała żadnego - odrzekła Frances ponurym tonem. - Może jedyną jej winą był wybór Johna Brodericka na męża. - Pokręciła głową. - Z powodu głębokiej wiary przysięga małżeńska była dla Marie wszystkim. I po części czuła się odpowiedzialna za tak nieudany związek.



- Rozumiem. W czasie gdy umarł jej mąż, byli w separacji, prawda?

- Marie nigdy by się nie rozwiodła - zapewniła Frances. - I kiedy John zginął, oczywiście również i za to obwiniła siebie.

Grace spostrzegła mocno zaciśnięte usta kobiety i złość w jej oczach. Wyczuła, że Frances walczy, aby nie ulec sile własnego gniewu. Miała nadzieję, że da mu upust.

- Powiem tylko jedno - ciągnęła dalej ciotka Cathy. - John Broderick był nikczemnym, okrutnym mężczyzną, który wykorzystywał swoją pozycję do znieważania własnej żony i dziecka.

Grace ponownie ogarnęło paskudne, lodowate przeczucie.

- Molestował Cathy? - Jej głos był lewie słyszalny.

- Nie w sposób, o jakim pani myśli - odpowiedziała Frances. - Chociaż jeden Bóg wie, czy to, co robił, nie było jeszcze gorsze.

- Informacja o tym mogłaby się okazać pomocna.

- Dlaczego pani tak sądzi? I w jaki sposób mogłaby ją pani wykorzystać? Cathy nic nie wie. Była za mała i nic nie pamięta - to jedyne błogosławieństwo.

- Może nie pamiętać świadomie, ale...

- Och, proszę. - Frances prychnęła z pogardą i poderwała się z fotela. Zaraz jednak przywołała się do porządku i usiadła z powrotem. - Proszę mi wybaczyć, doktor Lucca - powiedziała, powracając do formalnej formy zwracania się do Grace. - Nie jestem zwolenniczką metod polegających na zmuszaniu ludzi do ponownej konfrontacji ze straszliwymi przeżyciami, które szczęśliwie zdołali zażrebać głęboko w pamięci.

- Nie mogę odmówić pani racji.

- Moja siostra nie należała do kobiet, które wykorzystują każdą okazję, ażeby źle się wyrażać o ojcu swoich dzieci. Była dobrą, życzliwą ludziom, przyzwoitą i bogobojną kobietą, doktor Lucca. - Frances Dean wciąż starała się zapanować nad złością. - Obecnie mogę zrobić dla niej tylko dwie rzeczy, a jedną z nich jest dotrzymanie danego słowa.

- Proszę mi powiedzieć coś więcej, pani Dean, a obiecuję, że to się dalej nie rozniesie.

- To zapewnienie nie wystarczy. Marie chciała zostawić za sobą cały swój wstyd i nie życzyłaby sobie, żeby znowu jej o nim przypominano. - Oczy Fran-

ces niespodziewanie wypełniły się łzami i zanurzyła rękę w kieszeni w poszukiwaniu chusteczki. Znalazła ją, wyjęła i przyłożyła do twarzy.

- Nie sądzi pani, że moja wiedza na temat przeszłości może pomóc Cathy?

- W jaki sposób? - Pogarda znowu była wyraźnie słyszalna w głosie Frances. - Grzebanie się w przeszłości nie pomoże w odnalezieniu zabójcy Marie i Arnolda Robbinsów. - Głęboko zaczerpnęła powietrza, by odzyskać panowanie nad sobą. - Jeżeli na tamtym świecie istnieje jakaś sprawiedliwość, to obecnie John Broderick smaży się w piekle, a Marie z pewnością jest w niebie. Temu dziecku natomiast może teraz pomóc tylko jedno: niech wydział do spraw zabójstw policji z Miami Beach wykona swoją robotę i znajdzie mordercę tych dwojga uczciwych ludzi, aby Cathy mogła żyć dalej w spokoju i zostawić tragiczne doświadczenia za sobą.

Grace lubiła myśleć o sobie jako o osobie, która potrafi uznać własną porażkę.

- Nie przyszłam tutaj węszyć, pani Dean. Mam nadzieję, że pani o tym wie.

- Nie jestem pewna celu pani wizyty, doktor Lucca - oświadczyła sztywno Frances.

- Przyszłam tutaj jako psycholog Cathy oraz jej przyjaciółka.

- Przyszła pani tutaj dlatego, że policja panią o to poprosiła.

- To nieprawda. Zjawiłam się tutaj na prośbę doktora Becketa, który sądził, że być może zdołam pomóc Cathy.

- Z powodu tego, co spotkało jej rodziców - odparła Frances. - A nie wydarzeń, jakie rozegrały się przed wieloma laty. - Ponownie wstała, tym razem z widocznym zamiarem zakończenia rozmowy. - Ciało mojej siostry i szwagra zostaną już wkrótce pochowane, pani doktor. Pogrzeb jest zaplanowany na najbliższą środę. Cathy czekają wystarczająco ciężkie przejścia bez dodatkowego uprzykrzania jej życia. I nie uważam, aby wyciąganie na dzienne światło wszelkiego zła, jakie kogoś do tej pory spotkało, mogłaby w czymkolwiek pomóc.

- Podzielam pani opinię. - Grace wstała, widząc, że została odprawiona. - Nigdy nie byłam zwolenniczką tej teorii.

- A zatem niech pani zostawi przeszłość w spokoju. - Frances Dean umilkła. - Jeśli naprawdę chce pani pomóc Cathy, proszę się do tego nie mieszać. W przeciwnym razie, jako prawna opiekunka mojej siostrzenicy, będę zmuszona zabronić pani widywania się z nią.

Kiedy Grace wróciła do domu Ramon stał na kuchennym stole i zalepiał gipsem dziurę w suficie.

- Jak się miewasz, Gracie?

Zastanawiała się, skąd wziął to zdrobnienie. Nie przypominała sobie, żeby Teddy kiedykolwiek w ten sposób się do niej zwracał. Skąd miała jednak wiedzieć, jak ją kto nazywa za jej plecami? Zresztą, nic jej to nie obchodziło. Skoro forma ta była dobra dla żony George'a Burnsa, dlaczego jej miałyby nie odpowiadać?

Czmychnęła do swojego gabinetu i trzymając Harry'ego na kolanach, zastanawiała się, czy nie porozumieć się ponownie z Samem. Zależało jej na dowiedzeniu się, co John Broderick zrobił Cathy oraz jej matce. Sam Becket był bez wątplenia najwłaściwszą osobą, która mogła dotrzeć do informacji. Obawiała się jednak, że przez własną dociekliwość dostarczy policji oraz prokuratorowi stanowemu dodatkowych powodów do podejrzenia Cathy.

Zamiast do Sama zatelefonowała więc do Davida Becketa. Znalazła go w ośrodku medycznym, mieszczącym się w centrum Miami, gdzie pracował z dwoma innymi lekarzami. Osobiście odebrał telefon, a jego głos zabrzmiał w słuchawce ciepło i przyjaźnie.

- Jak się miewa moja ulubiona pani psycholog?

- Jestem zmartwiona.

- Przykro mi to słyszeć. Mam nadzieję, że mój syn nie ma z tym nic wspólnego?

Grace odebrała to pytanie z mieszanymi uczuciami, ale bezwiednie się uśmiechnęła. Kiedy się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że David Becket zawsze ją prowokuje do uśmiechu.

- Z powodu Cathy Robbins. Potrzebuję kilku informacji na temat jej przeszłości, wolałabym jednak nie zabiegać o nie oficjalną drogą.

- I sądzi pani, że ja mógłbym w tym pomóc?

- Czy ma pan kontakty ze szpitalem Lafayette w Tallahassee?

- Myślę, że tak.

- Czy kontakty te gwarantują dostęp do informacji sprzed dziewięciu, a może nawet dziesięciu lat na temat zatrudnionego tam lekarza?

- Kogo ma pani na myśli?

- Doktora Johna Brodericka - odrzekła Grace. - Rodzonego ojca Cathy.

Oddzwonił do niej po upływie niespełna godziny.

- Na szczegóły trzeba będzie poczekać - oznajmił. - Pomyślałem jednak, że zechce pani wiedzieć o wszystkim, co do tej pory udało mi się ustalić.

- Będę wdzięczna za każdą informację. - Grace chwyciła za pióro.

- To, o czym się dowiedziałem, to raczej paskudna sprawa - uprzedził.

- Połowa moich pacjentów trafia do mnie z powodu paskudnych spraw.

- Biedna Grace! - westchnął lekarz.

Zadzwoniła do Sama tuż po dziewiątej rano. Prawie wcale nie spała tej nocy.

- John Broderick - powiedziała.

- Co z nim?

- Czy ktoś - ty albo kto inny - sprawdził, czy rzeczywiście popełnił samobójstwo? - Urwała. - Powiedziałeś, że się utopił, Sam. Dowiedziałam się jednak, że było to tylko przypuszczenie.

- Od kogo to usłyszałaś?

David prosił Grace, ażeby nie wspominała synowi o tej rozmowie, by Sam nie pomyślał, że wściubiają nosy w sprawę policji.

- Nieważne - odpowiedziała, łudząc się, że nie będzie drażył tej kwestii. - Chcę tylko wiedzieć, czy zostało znalezione ciało.

- Dlaczego naszły cię tego rodzaju wątpliwości, Grace?

- Sama nie wiem. Byłabym jednak szczerze zobowiązana, gdybyś udzielił mi tej informacji, Sam.

W porze lunchu zrobiła sobie godzinną przerwę - nie z powodu nadmiaru czasu; po prostu odczuwała potrzebę wyjścia z domu, rozjaśnienia umysłu i znalezienia się pomiędzy ludźmi, o których problemy nie musiała się martwić. Beziemiennych ludzi.

Zastanawiała się, czy nie wsiąść do samochodu i nie pojechać w stronę ruchliwego pasażu Aventura, ale nie mogła sobie pozwolić na aż tak długą przeprawę. Zadowolona się więc przechadzką po Kane Concourse. Weszła do centrum handlowego Bal Harbour, które kochała i którego nienawidziła zarazem: sieci uroczych butików usytuowanych wśród tropikalnych ogrodów. Właśnie tam najchętniej spacerowała, chociaż snobizm sklepów, a przede wszystkim niedostępne ceny towarów, często ją złościły. Pomimo to firma Saks nieodmiennie pozostawała Saksem, a towary u Neimana Marcusa zawsze były godne obejrzenia. Grace musiała również przyznać, że odwiedzenie po drodze salonów Chanel, Gucciego, Hermesa czy Tiffany'ego nie wymaga od niej wielkiego wysiłku.

Tego jej dzisiaj było trzeba - widoku mieszkańców Miami i zamożnych turystów oddających się swojemu ulubionemu zajęciu: robieniu zakupów. Wszyscy wydawali się, w każdym razie przy powierzchownej ocenie, cudownie nieskomplikowani. Oczywiście Grace doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby usiadła w jednej z kawiarenek czy restauracji i z powrotem wcieliła się w rolę psychologa, dostrzegłaby problemy niemal na każdym kroku: przejawy małżeńskich konfliktów, uzależnień, samozadowolenia i kompleksów niższości. Dzisiaj jednak miała tylko ochotę na oglądanie ładnych wystaw i kuszących towarów oraz na wypicie filiżanki mocnej kawy, by odciąć się od wszelkich innych spraw.

I pewnie doskonale by się jej to udało, gdyby nie osobliwe wrażenie, że jest przez kogoś obserwowana.

Po raz pierwszy uderzyło ją to, gdy spacerowała po dziale z bielizną u Saksa. Nagle poczuła na plecach czyjś wzrok. Odwróciła się tyłem do półek z cudownymi szlafrokami o astronomicznych cenach i spostrzegła grupkę ludzi, wśród których nikt nie zwracał jednak na nią uwagi. Otrząsnęła się z wrażenia i ponownie skierowała uwagę na bieliznę.

Piętnaście minut później, kiedy siedziała na chodniku przed sklepem Coco Chanel, popijając kawę z ekspresu i jedząc kanapkę, ponownie dało znać o sobie to samo odczucie. Tym razem szybciej obróciła się na krześle, i spostrzegła cztery metry dalej, w każdym razie tak się jej wydawało, dziewczynę zjeżdżającą w dół ruchomymi schodami, która po chwili znikła z pola widzenia. Sądząc po figurze dziewczyny i po szybkości jej ruchów, Grace doszła do wniosku, że była to nastolatka. Miała długie blond włosy. Pomyślała, chociaż nie widziała jej wyraźnie i sama uznała to za mało prawdopodobne, że mogła to być Cathy Robbins.

Sam oddzwonił tego samego popołudnia.

- Ciała nie znaleziono - oznajmił. - Ale...

- Nie znaleziono? - Grace zaczęło mocno bić serce.

- Nie ekscytuj się zbytnio z tego powodu. Istnieje zbyt wiele wątpliwości.

- Na przykład, jakich?

- Takich jak list pożegnalny, który wciąż znajduje się w aktach w Pen-sacoli. - Sam mówił rzeczowym tonem, jak gdyby odfajkowywał kolejne punkty listy. Po drugie, trzech niezależni świadkowie widzieli, jak Broderick wsiadał do żaglówki w dniu, kiedy wszystkie rozgłosnie bez przerwy ostrzegały przed sztormem. Po trzecie, chociaż on sam nie został odnaleziony, to jego żaglówka tak. Była wywrócona do góry dnem.

- Ale nie ciało - zauważyła cicho Grace.

- Grace, o co właściwie ci chodzi? - Sam wydawał się niemal zniecierpliwiony. - Wiesz wystarczająco dużo na temat oceanu. I zdajesz sobie sprawę z tego, że pochłania ludzi, szczególnie jeśli są na tyle szaleni, ażeby wypływać z portu w czasie najgorszego sztormu - albo do tego stopnia zdeterminowani, ażeby zginąć.

Albo jeśli zależy im na stworzeniu pozorów, że szukają śmierci - pomyślała.

- Masz rację - powiedziała głośno. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma sensu dłużej na niego naciskać. W każdym razie nie dzisiaj, kiedy był zamknięty na wszelkie sugestie. - A co u ciebie, Sam, wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję.

- Czy odnotowaliście jakieś postępy w śledztwie?

- Nie na tyle znaczące, aby warto było o nich wspominać. Pora się wycofać - uznała Grace.

- W taki razie nie będę cię dłużej odrywać od pracy.



# ROZDZIAŁ 17

---

Niedziela, 19 kwietnia 1998

Sam spędził niedzielne popołudnie w Sarasocie. Wiele osób właśnie to miasto Florydy kochało najbardziej i przed dziewięcioma laty Sam też ogromnie je lubił. I to nie tylko przez wzgląd na to, że wystawiało tak wiele znakomitych oper. Teraz stało się dla niego miejscem, które bał się odwiedzać. Ponieważ po ich rozwodzie Althea właśnie tam zdecydowała się przenieść.

To miasto wybrała również na miejsce pochówku ich syna. Matka Althei tam mieszkała, a także jedna z jej sióstr. I jeszcze gdy byli małżeństwem, żona zwykła powtarzać, że pewnego dnia, kiedy Sam będzie miał po dziurki w nosie zbrodni w Miami, oni również się tam przeprowadzą. (Kiedy była na niego zła, miała irytujący zwyczaj wypowiadania się w taki sposób o jego pracy, jak gdyby osoba wykonująca ją musiała być niespełna rozumu). Nagła decyzja o przenosinach, jaką podjęła tuż po śmierci Sampsona, i nieprzejednany upór, z jakim przy niej obstawała Athlea, niewypowiedzianie zaszokowały Sama. Zdawał sobie sprawę z tego, och, Chryste, i to jak dobrze, że jej lodowate okrucieństwo zrodziło się pod wpływem nieznośnego bólu i rozpacz. Jednak bezlitosna decyzja o pogrzebaniu ich syna ponad trzysta kilometrów dalej -od której Athlea absolutnie nie chciała odstąpić i od której nie zdołał jej odwieść, ponieważ dalsze próby oznaczały jedynie przedłużanie i tak nieuchronnej już agonii ich związku - była, z jego punktu widzenia, krokiem niewybaczalnym.

Próbował w pierwszą i w drugą rocznicę wypadku na nowo stworzyć choćby wątłą nić porozumienia pomiędzy nimi. Ubiegłego roku podjął kolejną próbę, w dniu kiedy Sampson obchodziłby jedenaste urodziny, lecz Althea nie chciała przyjąć owych zabiegów do wiadomości. Znienawidziła wszystko, co miało związek z Samem Becketem. Zaczął nawet podejrzewać, że tylko to ją trzyma przy życiu.

To dlatego wybrał się tutaj dzisiejszego popołudnia o tak późnej porze i był zupełnie sam. Chciał uniknąć spotkania ze swoją byłą żoną oraz z jej rodziną. Dzisiaj, dokładnie dziewięć lat od chwili kiedy pijany mężczyzna odarł jego i Altheę z wszelkich nadziei i marzeń, pragnął być sam ze swoim synem.

Mógł się czuć bezpieczny. Byli już i poszli. Świadczyły o tym kwiaty. Białe róże oznaczające niewinność oraz ostróżki i chabry, ponieważ ulubionym kolorem Sampsona był niebieski.

Sam nigdy nie przychodził z kwiatami. Przynosił muszle. Od początku swojego krótkiego życia Sampson kochał wodę. Kiedy Sam zamykał oczy, wciąż przypominał sobie uczucie, jakie budziło w nim drobne ciało syna, które trzymał w ramionach, siedząc razem z Sampsonem na plaży tuż nad brzegiem, aby malec mógł czuć rozpryskujące się krople, obserwować szemrzące fale i wsłuchiwać się w odgłosy oceanu. Sampson kochał muszelki, dlatego Sam co jakiś czas przemierzał plażę, szukając okazów o wyjątkowej barwie i kształcie. Zbierał je, aby móc następnym razem przywieźć je na grób syna.

- Spójrz, co dla ciebie dzisiaj przyniosłem, synku. - Opróżnił kieszenie. - Mam dwie śliczne muszle: jedną w kształcie tulipana, a drugą korony. - Przykucnął i położył swoje zdobycze na grobie.

Przed laty kupił książkę, która pomagała mu je klasyfikować. Poczucie wewnętrznej pustki, które nigdy całkowicie nie zanikło, uparcie przypominało mu o tym, że nie zaprzestał składania owych drobnych dowodów pamięci nie przez wzgląd na swojego małego chłopca, lecz na siebie. Czynność ta nikomu nie wyrządzała krzywdy, a jemu samemu przynosiła czasami nieznaczne ukojenie.

Położył na ziemi połyskującą i nakrapianą w brązowawe cętki porcelanę, a następnie małą muszelkę w kształcie księżycy i po raz ostatni wsunął prawą rękę do kieszeni.

- A ta najbardziej mi się podoba. W podręcznikach twierdzą, że jest pospolita, lecz nigdy przedtem nie znalazłem równie pięknej. - Położył na grobie małą, gładką skorupę o blad różowym zabarwieniu. - Nawet ładnie się nazywa, Sampsonie: *janthina*. Czyż to nie śliczna nazwa?

Nie miał pojęcia, jak długo muszle pozostają na grobie po jego odejściu. Podczas każdej kolejnej wizyty stwierdzał, że nie ma po nich śladu. Może osobliwy zwyczaj kładzenia muszli na grobie nie podobał się osobom zajmującym się cmentarzem, a może to Althea je stamtąd usuwała, wiedząc, że pochodzą od Sama. Jednak bez względu na to, kto je zabierał, Sam wiedział, że nie zaprzestanie składania tych drobnych wyrazów miłości swojemu pięknemu dziecku, które pomimo młodego wieku posiadało ogromną wrażliwość na cuda natury.

Za każdym razem również, kiedy Sam przychodził na cmentarz, śpiewał.

Był to zawsze ten sam utwór. Kilka taktów arii z „Carousel” - ojca, który snuje marzenia o swoim nienarodzonym dziecku. Sam siadał na trawie obok kamiennej płyty nagrobnej i cicho nucił. Nigdy nie zdołał wykonać tego fragmentu do końca z powodu uczucia dławienia w gardle. Nie miało to jednak znaczenia. Był pewien, że Sampson i tak nie może go usłyszeć. A przecież to całkiem naturalne, że wzruszenie ścisnęło ojca za gardło nad grobem własnego syna.

Nikt nie byłby w stanie powstrzymać Sama od robienia tego, co robił, nawet gdyby Sampson został pochowany na Alasce.

TLR

# ROZDZIAŁ 18

---

Niedzielne popołudnie Grace spędzała w domu. Wciąż od nowa analizowała w myślach uzyskaną w piątek od Sama informację. Od soboty, kiedy to detektyw dość chłodno z nią rozmawiał, miała okazję zająć myśli mnóstwem innych rzeczy - choćby trojgiem pacjentów: trzynastoletnią dziewczynką chorą na anoreksję, nadpobudliwym trzecioklasistą oraz młodocianym piromanem. A pomimo to dzieciństwo Cathy Robbins dominowało nad całą resztą spraw.

Kiedy tuż po drugiej zadzwonił Peter Hayman, nie mogła nie dopatrywać się w tym zrzędzenia losu. I choć zapewne zwykły zbieg okoliczności sprawił, że psychiatra zdecydował się zatelefonować do niej w chwili, kiedy zapewne eksplodowałyby, nie mogąc podzielić się z kimś refleksjami, to w tamtym konkretnym momencie inaczej to odebrała. Hayman chciał się dowiedzieć o postępy w śledztwie. Grace pragnęła mu o nich opowiedzieć.

- Nie ma pani ochoty wybrać się do mnie na prowincję? - spytał.
- Nie wiem, gdzie pan mieszka.
- Niespełna półtora kilometra od miejsca, gdzie się poznaliśmy - odrzekł. - Na Key Largo.

Mieszkał nad oceanem, w willowej dzielnicy na końcu małej uliczki przebiegającej obok tuzina małych zatok na Key Largo. Większość jego sąsiadów zajmowała nowoczesne, kosztowne i nienagannie zaprojektowane rezydencje i posiadała okazałe jachty, które stały zacumowane na tyłach posesji. Dwupiętrowy dom Haymana był zbudowany ze starego drewna i z powodzeniem mógł być wykorzystany przy kręceniu filmu dzięki niepowtarzalnej atmosferze, jaka w nim i wokół niego panowała.

Tworzyły ją zawieszane pod sufitami olbrzymie wentylatory, wyroby sztuki regionalnej na ścianach, meble z trzciny w pokojach i na gankach wokół całego budynku, a także półdziki ogród z palmami i orchideami na tyłach budynku, oraz, jak nazwał to Hayman, regularne popołudniowe inspekcje stad czapli i pelikanów, szukających pożywienia nad brzegiem oceanu.

- Od jak dawna pan tutaj mieszka? - spytała Grace, gdy siedzieli na jednym z ganków i popijali domową lemoniadę.

- Od kilku lat. - Hayman rozparł się wygodnie w swoim krześle z trzciny. Na czoło opadały mu kosmyki ciemnych włosów. Na prawym kolanie trzymał słomkowy kapelusz, który miał na głowie w chwili przybycia Grace. - Podoba się pani mój dom?

- Szalenie.

- Sąsiedzi uradowaliby się najbardziej, gdyby został zrównany z ziemią, ponieważ zbyt odstaje wyglądem od ich rezydencji. Przekonałem jednak fachowców od planowania przestrzennego, ażeby zezwolili mi na wyremontowanie budynku, który doda uliczce uroku. Przypuszczam, że tutejsi mieszkańcy w końcu przyzwyczaili się do mnie, a niektórzy z nich nawet rozmawiają ze mną od czasu do czasu.

- Miło to słyszeć - powiedziała Grace, rozglądając się wokół siebie. - Uważam, że odwalił pan kawał solidnej roboty, a efekt jest wprost zachwycający.

Wzruszył ramionami.

- Kiedy postanowiłem zrezygnować z codziennego przyjmowania pacjentów i poświęcić się prowadzeniu badań oraz pisaniu prac naukowych, uznałem, że nie ma powodu, ażebym nie miał się przenieść tam, gdzie zawsze pragnąłem zamieszkać. - Poprawił okulary na nosie, a jego twarz rozjaśnił uśmiech. - Mam ciągotki żeglarskie i początkowo myślałem o przeprowadzeniu się aż na Key West, uznałem jednak, że to niezbyt praktyczna decyzja, jeśli jednak chcę nadal od czasu do czasu przyjmować pacjentów i szperać po księgarniach oraz bibliotekach na stałym lądzie.

- Przypomina mi pan męża mojej siostry - powiedziała Grace. - Pół roku mieszkają w Fort Lauderdale, a pozostałe miesiące spędzają na Islamoradzie. Daniel jest architektem i wędkarzem z zamiłowania. I teraz do woli może oddawać się swojemu ulubionemu zajęciu.

- Czy pani siostra jest również zadowolona z takiego życia?

- Claudia je wprost kocha. A także ich dzieci - moja siostra i szwagier mają dwóch chłopców.

Grace rozejrzała się wokół siebie, zdając sobie sprawę z tego, że ukołysana bezgranicznym spokojem tego miejsca zaczęła się powoli odprężyć. Zawsze uważała, że wyspy Key mają w sobie jakąś mroczną, kuszącą siłę, a przebywając na nich, człowiek czuje się oderwany od rzeczywistości. Powrót do huczącego

komercjalizmem Miami ożywiał ją niemal równie skutecznie jak upragniony chłodny prysznic.

- Sprawiała mi pani wielką niespodziankę, doktor Lucca - odezwał się Hayman.

- Nie gniewa się pan na mnie, że zakłóciłam pańską prywatność?

- Jestem od tego bardzo daleki. - Umilkł na moment. - Ale chociaż ponowne spotkanie z panią jest dla mnie prawdziwą przyjemnością, oboje wiemy, że nie przyjechała pani tutaj, ażeby rozprawiać ze mną o żeglowaniu i o wędkarstwie.

Grace upiła kolejny łyk lemoniady i odstawiła szklanekę na wiklinowy stół.

- Dowiedziałam się o pewnych faktach z przeszłości Cathy Robbins - o pewnych niepokojących faktach - które skłoniły mnie do postawienia dość szalonych hipotez. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Niektóre z nich mają związek z tym, o czym oboje dyskutowaliśmy w ubiegłym tygodniu.

- Czy sądzi pani, że kolejna wymiana poglądów ze mną na ten temat przyczyni się do rozwiązania problemu?

- Albo do przedstawienia go w nowym świetle. - Grace się zawahała. - Chociaż żadnej z tych informacji nie uzyskałam podczas sesji z Cathy, chyba nie muszę panu przypominać o ściśle poufnym charakterze naszej rozmowy?

- To nie jest konieczne, doktor Lucca - zapewnił psychiatra.

Podzieliła się z nim informacjami, jakie jej przekazał doktor Becket o zmarłym Johnie Brodericku. I o tym, że Cathy spędziła pierwsze lata swojego życia z ojcem, który, według opinii komitetu do spraw etyki szpitala Lafayette, aplikował w nadmiernych dawkach zarówno swojej żonie, jak i córce, środki uspokajające, oraz przepisywane na recepty narkotyki.

- Faszzerował je obie silnymi środkami farmakologicznymi, ażeby w pełni mieć nad nimi władzę - wyjaśniła Haymanowi. - W dodatku zapewniał Marie, że podaje jej miesięczną dawkę witaminy B<sub>12</sub>, a tymczasem robił jej zastrzyki z progestagenu. Co się zaś tyczy Cathy, to przez długi okres szpikował ją fenobarbitonem, ażeby wprowadzić ją w stan oszołomienia.

- Dlaczego to robił?

- Nie znam szczegółów, jedynie suche fakty - wyjaśniła Grace. - Marie chciała mieć więcej dzieci, a progestagen skutecznie temu zapobiegał. Środek ten zaburzył jej cykl menstruacyjny, sprawił, że przybrała na wadze, oraz stał się przyczyną jej częstych bólów głowy i nudności.



- A w zależności od wielkości dawki, fenobarbiton mógł opóźnić rozwój Cathy albo doprowadzić ją do jeszcze gorszego stanu - zauważył Hayman.

- Właśnie.

- Ale nie wiemy, dlaczego to robił?

- Na razie nie - przyznała Grace. - Pewne jest tylko to, że nigdy nie zezwolił żonie na wizytę u innego lekarza. Dopiero kiedy porzucił je obie i Marie poszła się zbadać, testy krwi wykazały obecność progestagenu.

- A potem Cathy została przebadana.

- Tak.

- A pani zastanawia się, czy to nie MSBP? - Hayman umilkł. -1 to nie tylko w odniesieniu do narkotyków, ale także do zabójstw.

- Wiem, że to niemożliwe.

- Jeśli Broderick nie żyje.

- A jeśli żyje? - spytała Grace.

Długo rozmawiali o zespole Münchhausena oraz o innych zaburzeniach osobowości, a potem rozszerzyli temat, analizując różne typy zachowań - zarówno u osób cierpiących na obsesję, jak i tych panujących nad sobą - które mogły dostarczyć wskazówki w sprawie Broderick-Rob-binsowie-Flager. Kiedy minęło popołudnie i nastał wieczór, a gospodarz wrzucił do stojącego na ruszcie rondla langustę i odnoża śnieżnego kraba, by przygotować na oliwie potrawę z mięczaków, ryb i jarzyn, Grace pomyślała, że jest pod wrażeniem pasji, z jaką Hayman oddaje się zgłębianiu interesujących go tematów. Przyglądała się temu wysokiemu mężczyźnie o nieco potarganych włosach, który teraz był pochłonięty gotowaniem, dorzucał do rondla warzywa wraz z przyprawami i sprawdzał smak potrawy. Przyszło jej na myśl, że gdyby nie bezsprzeczny fakt jej datującego się od niedawna zauroczenia Samem Becketem, bez trudu uznałaby Petera Haymana za pociągającego.

- Wie pani - odezwał się niespodziewanie - że im dłużej myślę o tym, co, według pani, mógł zrobić Broderick, tym bardziej wydaje mi się to nieprawdopodobne.

- Czy dlatego, że jest pan przekonany o jego śmierci?

- Nawet pomijając ten drobny szczegół. - Dorzucił kolejne składniki do osmolonego od ognia rondla. - Chodzi mi o osobliwy charakter tej zbrodni.

- Czy wydaje się panu bardziej osobliwy niż przypadek matki na zachodnim wybrzeżu? - spytała Grace.

- Tak sędzę. - Sięgnął po jeden z dwóch glinianych talerzy, które ogrzewały się obok różna, i napełnił go potrawą. - Po pierwsze, czynnik czasowy i długotrwałe planowanie wymagałoby od sprawcy znacznie większego sprytu. A po drugie, sądząc po tym, na co się napatrzyłem i czego się nasłuchiwałem przez lata - nawet jeśli uwzględnię to, co Broderick zrobił swojej córce i żonie - trudno jest mi wyobrazić sobie, ażeby jakikolwiek ojciec mógł mieć aż tak lodowate serce.

- Albo był aż tak złym człowiekiem - dodała Grace.

Hayman podniósł wzrok znad drugiego talerza, na który nakładał rybę z jarzynami.

- Czy uważa pani osoby cierpiące na MSBP za złych ludzi? - Chociaż zadał to pytanie opanowanym i przyjaznym tonem, kryło się w nim upomnienie.

- Zdarzyło mi się raz czy dwa w ten sposób o nich pomyśleć. - Chciała być z nim szczerą. - Wiem, że powinnam się zdobyć na większą wyrozumiałość, ale okazało się to dla mnie bardzo trudne, zważywszy na fakt, że ofiary - które najbardziej odczuwają skutki choroby - to bezbronni dzieci.

Hayman zaniósł oba talerze do wiklinowego stołu, postawił je na blacie i skinął głową do Grace, ażeby zajęła miejsce.

- Powiedziałbym, że znowu stajemy przed starym jak świat dylematem: szalony czy bezduszny; chory czy złoczyńca?

Grace usiadła. Apetyczny zapach z talerza mieszał się z dymem oraz wonią rosnących za domem orchidei.

- Jeśli rzeczywiście jakimś cudem John Broderick dokonał owych zbrodni i zrobił to tak, aby ich straszliwe i niewyobrażalne skutki spadły na jego rodzoną córkę, nie mam wątpliwości co do tego, do której z tych dwóch kategorii go zaliczyć.

Przestali rozmawiać o kwestiach zła i śmierci, i wygłodzeni rzucili się na jedzenie. Hayman pił wino, a Grace, z powodu czekającej ją powrotnej podróży samochodem, musiała zadowolić się wodą. Tuż przed wyjazdem zatelefonowała do Claudii. Gdy usłyszała ton głosu siostry, natychmiast ogarnęły ją złe przecucia.

- Dzwonił tata - powiedziała Claudia.

- Co się stało?

Grace zdołała złapać Franka w środku tygodnia i dowiedziała się, że Ellen przeszła pomyślnie operację, a stan jej zdrowia ulega systematycznej poprawie. Odstąpiła nieco od swoich zasad podczas rozmowy i zapewniła, że obie z Claudią przylecą do Chicago, jeśli Ellen będzie sobie tego życzyła. Nie powiedziała, że zrobią to, jeśli on będzie chciał - jej nienawiść do Franka nie osłabła aż do tego stopnia. Ojciec rozmawiał z nią oschłym i nieprzyjaznym tonem. Wytknął obu, co zupełnie mijало się z prawdą, że gdyby naprawdę chciały przyjechać, to już byłyby na miejscu. I teraz, podczas momentu niepewności, kiedy czekała na odpowiedź siostry, zastanawiała się, czy gdyby Claudia szykowała się do zawiadomienia jej o śmierci matki, Grace zdołałaby to w jakiś sposób wyczuć.

- Nic się nie stało - padła odpowiedź. - Tyle tylko, że według taty mama jest słaba i po odłożeniu słuchawki ogarnęły mnie straszliwe wyrzuty sumienia. Chociaż, szczerze mówiąc, przypuszczam, że właśnie o to mu chodziło.

- Ale świadomość tego faktu wcale ich nie osłabia - podsumowała Grace.

Podziękowała Peterowi Haymanowi za serdeczną gościnę, skontaktowała się z Teddym Lopezem, poprosiła go, żeby zaopiekował się biednym, samotnym Harrym i zamiast skierować się na północny wschód, wyruszyła w stronę biegnącej w kierunku południowo-zachodnim autostrady numer jeden. Przed dziesiątą wieczór dotarła do domu Brownle-yów. Daniel pracował i został na noc w Fort Lauderdale, a chłopcy leżeli już w łóżkach. Claudia, witając się z siostrą, przylgnęła do niej całą w sposób, w jaki zwykła się tulić, kiedy obie mieszkały jeszcze w Chicago i były małymi, wystraszonymi dziewczynkami. Przyznała się teraz, że usłyszała od Franka znacznie więcej przykrych słów, które przemilczała podczas telefonicznej rozmowy z Grace. Posłużył się chorobą Ellen niczym maczugą do wymierzenia ciosu starszej córce. Według niego to, że obie z siostrą opuściły rodzinny dom i uciekły od matki, sprawiło, że od lat czuła się nieszczęśliwa. I właśnie ów postępek córek wpędził ją w chorobę. Czyż nie jest powszechnie wiadome, że to stres stanowi przyczynę raka? Frank wyraził nadzieję, że Claudia i Grace są z siebie zadowolone.

Siostry siedziały do późna, niewiele rozmawiając ze sobą. Pozwoliły tylko, by dobiegająca z głębi domu cicha muzyka Phila Collinsa unosiła się ponad nimi i łagodnie zlewała z odgłosami nocy nad zatoką. Grace opowiedziała w kilku słowach o popołudniu, jakie spędziła z Peterem Haymanem. Claudia miała kilka pytań co do uczuciowego stosunku siostry do Sama Becketa. Niewiele było istot-

nych wydarzeń w życiu Grace, które uszłyby uwagi siostry. Jednak przez cały czas wisiała nad nimi i otaczała je ze wszystkich stron chmura poczucia winy i wstydu, jakie Frank Lucca zdołał zaszcześcić w umyśle Claudii. Grace nienawidziła ojca przez większą część swojego życia. Nigdy jednak nie gardziła nim bardziej niż dzisiaj wieczora.

TLR

# ROZDZIAŁ 19

---

Sam zaszedł do baru, który się mieścił w odległości półtora kilometra od cmentarza. Przyleciał do Sarasoty tuż przed lunchem i odwiedzeniu grobu syna zamierzał udać się prosto na lotnisko i wrócić rejsowym samolotem do Miami. Przypadek sprawił, że zabawił w mieście dłużej, niż zamierzał. Kiedy z krwawiącym sercem podniósł się z ziemi, dała znać o sobie jedna z jego dwóch starych ran postrzałowych. Postanowił więc najpierw znaleźć jakiś bar i wypić kieliszek czegoś mocniejszego.

Lokal miał miły wystrój i odpowiadał obecnemu nastrojowi detektywa. Mroczne i anonimowe wnętrza dawało możliwość śledzenia piłkarskich rozgrywek i oferowało pokrzepiająco bogaty wybór stojących rzędem przy ścianie butelek z alkoholami. A poczciwy, stary barman dobrze wiedział, kiedy człowiek potrzebuje spokoju. Sam nie był zwolennikiem nadużywania mocnych trunków i zatrważały go późniejsze skutki upojenia alkoholowego. I od bardzo dawna nie zdarzyło mu się upić. Jednak po wychylenia pierwszej whisky uznał, że dzisiaj jest to bardzo wskazane. Resztę niedzielnego popołudnia i wczesne wieczorne godziny spędził pod niewymagającą i czułą opieką baru, pijąc na przemian whisky i piwo. Kiedy Joe, barman, zorientował się, że klient ma już dostatecznie mocno w czubie, skrupulatnie odliczył z jego portfela należność. A kiedy zobaczył, że niekłopotliwym pijakiem jest gliniarz z Miami Beach, poprosił przyjaciela, niejakiego Hubiego, żeby zawiózł Sama do motelu Pod Żółwiem.

Nawet teraz, w pokoju motelowym i pomimo alkoholowego upojenia, Sam dokładnie pamiętał, dlaczego znalazł się w obecnym stanie: użył whisky jako środka, który jeśli nawet całkowicie nie zniwelował okrutnej udreki, to nieco złagodził i przytępił ból. Stare wizje śmiertelnie rannego chłopca leżącego na jezdni mieszały się teraz z innymi czarnymi, ponurymi obrazami... mężczyzny i kobiety z poderżniętymi gardłami... młodej dziewczyny o błękitnych oczach i jasnych włosach, która mogła okazać się potworem... kolejnej ofiary - martwej kobiety z przedziurawioną skronią...

A potem zobaczył przed oczami wyobraźni złote włosy, urocze, inteligentne i bardzo poważne oczy doktor Lucca. Myśl o tej kobiecie o wiele skuteczniej ogrzała mu serce niż haust najmocniejszej whisky.

Sam zdawał sobie sprawę z tego, że podczas ostatniej rozmowy z Grace potraktował ją zbyt chłodno. I dobrze wiedział, dlaczego tak się zachował. Zawsze był taki wobec wszystkich, kiedy zbliżała się rocznica śmierci jego synka. Grace

nie miała jednak o tym pojęcia. A wyczuł, że wycofała się i czym prędzej zakończyła wymianę zdań. Teraz, kiedy leżał samotnie w motelowym łóżku, a świat wirował wokół niego obojętnie, bardzo żałował swojego postępuku. Nie mógł w żaden sposób tego naprawić. Nie tutaj. I nie dzisiaj.

Był zbyt pijany, aby mógł zrobić cokolwiek w jakiegokolwiek sprawie.

TLR



# ROZDZIAŁ 20

---

Poniedziałek, 20 kwietnia 1998

Była czwarta trzydzieści rano i David Becket spał na kanapie w swoim gabinecie przy West Flager Street. Spędził cały wieczór i wczesne godziny nocne w szpitalu miejskim w Miami, czuwając przy Margie Fitzsimmons, która szykowała się do odbycia swojej ostatniej drogi. A gdy odeszła tuż po drugiej, nie czuł się na siłach, ażeby zrobić to, na co zwykle miał największą ochotę: wrócić do domu i wślizgnąć się do łóżka obok Judy. Wciąż uważał, że jego żona jest najlepszą powierniczką w takich momentach - a było ich wiele podczas prawie trzydziestoletniej praktyki. Tym razem jednak powrót do domu i powiadomienie Judy (która zawsze budziła się, gdy późno wracał) o odejściu Margie oznaczałaby przyjęcie do wiadomości faktu jej śmierci, a David nie był jeszcze całkiem do tego przygotowany. Może dlatego, że dawno temu z nią chodził. Margie była jedyną kobietą, z którą sypiał po poznaniu swojej obecnej żony. Dopiero po kilku tygodniach uzmysłowił sobie, że pragnie spędzić resztę swojego życia z Judy. Być może właśnie dlatego, że wszyscy troje aż do teraz pozostali w przyjaźni, nie chciał dopuścić do siebie myśli o odejściu Margie. A może dlatego, David pomyślał z uśmiechem znużenia - w połowie spowodowanym zawstydzieniem, a w połowie dumą - że jedną z ostatnich rzeczy, jaką Margie mu wyznała, zanim ostatecznie straciła przytomność, była ta, że ilekroć znalazł się w pobliżu, zawsze ją podniecał. I właśnie wtedy domyśliła się, że to koniec, gdy po raz pierwszy na jego widok nie przeszedł jej dreszcz pożądania.

- Chyba rzeczywiście tak było, stary pistolecie - powiedział do siebie na głos z krzywym uśmiechem około trzeciej nad ranem.

Wstał zza biurka, odrywając się od notatek, i zachęcony kuszącym widokiem kozetki, rozprostował zeszytowane kończyny. Zatelefonował do Judy, aby ją zawiadomić, że będzie dłużej pracował, więc niech się o niego nie martwi.

- Nie schlebiaj sobie - odrzekła.

Dopiero wtedy zdjął buty, rozpiął koszulę, poluzował pasek w spodniach i położył się na kozetce z zamiarem zdrzemnięcia się.

Spał głębokim snem, a w gabinecie panowały nieprzeniknione ciemności, kiedy o czwartej trzydzieści pięć otworzyły się drzwi.

Obudził go lekki powiew, wiatr, wywołany ruchem ręki, która z dużą siłą runęła na dół w nieruchomym powietrzu w stronę jego piersi.

Przez niedługi czas był przytomny.

Sam po wymeldowaniu się z motelu Pod Żółwiem starał się wyleczyć skutki kaca filiżanką czarnej kawy w wagonie restauracyjnym kilkaset metrów dalej przy tej samej ulicy. Kiedy postanowił sprawdzić wiadomości w telefonie komórkowym, dowiedział się o swoim ojcu. Podczas lotu do Miami nie odmówił ani jednej modlitwy; miał sparaliżowany strachem umysł, a poza tym ciągle nie mógł przebaczyć facetowi w górze tego, że odebrał mu Sampsona. Nie był aż tak wielkim głupcem, by sądzić, że gdyby spędził ostatnią noc w domu, zamiast się upijać w barze na peryferiach Sarasoty, jego ojciec byłby bardziej bezpieczny. Miał jednak ponurą świadomość, że jeśli David umrze, zanim on zdąży wrócić i z nim się zobaczyć, nie daruje sobie tego do końca życia.

David żył, kiedy Sam dotarł do miejskiego szpitala w Miami. Ale wyraz twarzy matki i brata oraz wymowa ich ciał, kiedy spostrzegł oboje w poczekalni, gdzie czekali na wieści z sali operacyjnej, nie wróżyły niczego dobrego. Saul otwarcie płakał. A Judy Becket siedziała jak skamieniała. Sam znał ten widok - zobaczył go w lustrze, przyglądając się własnej twarzy podczas godzin, kiedy Sampson przebywał na sali operacyjnej. Wówczas w poczekalni siedziały także matka i Althea, gdy David wyszedł do nich, wciąż w swoim zielonym fartuchu, ażeby powiedzieć, że malec umarł na stole operacyjnym.

Sam podszedł do matki, usiadł obok niej na krześle, wziął jej obie dłonie w swoje ręce i spojrzał Judy prosto w oczy.

- To się nie powtórzy, mamó - powiedział drżącym z przejęcia głosem. - Tym razem to się nie stanie.

Judy skierowała na niego oczy.

- Nie możesz tego wiedzieć, synu.

- Mogę. - Uwolnił jej ręce z uścisku i zwrócił się do brata. - Trzymasz się jakoś, dzieciaku?

- Tak, radzę sobie. - W łagodnych, piwnych oczach Saula malowały się strach i zagubienie.

- On z tego wyjdzie, zobaczysz.

- A jeśli nie?

- Wyjdzie - zapewnił brata Sam.

Poczuł delikatny dotyk na prawej ręce i zwrócił się przodem do matki.

- Czy było bardzo ciężko? - spytała.

Judy wiedziała, dokąd pojechał. Zapytała go kilka dni wcześniej, czy życzy sobie, żeby mu towarzyszyła. Jednak nie poczuła się urażona, kiedy oświadczył, że chce się tam wybrać sam. Miała zrozumienie dla tego rodzaju spraw i teraz był jej za to w dwojnásób wdzięczny, bo gdyby poleciała razem z nim do Sarasoty i nie mogła od razu być przy swoim mężu w szpitalu, Sam miałby dodatkowy powód do zniechęcenia się.

- Do wytrzymania - powiedział.

- Nie mówisz mi prawdy - odrzekła Judy. Sam pogłaskał ją policzku.

- Masz rację - przyznał. - Było mi ciężko. - Spojrzał na zegarek. - Od jak dawna tata jest na sali operacyjnej?

- Całe wieki.

- Wyjdzie z tego, mamó.

Judy nieznacznie wykrzywiła usta.

- Oby Bóg zechciał cię wysłuchać.

Sam natknął się na Martineza i Beth Riley w korytarzu. Dowiedział się od nich, że Mike Rodriguez, sierżant z wydziału do spraw zabójstw policji w Miami Beach, który prowadził śledztwo w sprawie morderstwa przy Coconut Grove, przejął również dochodzenie w związku z atakiem na ojca Sama, ponieważ w obu przypadkach zostało użyte narzędzie o wąskim, podobnym do skalpela ostrzu.

- Nie było to jednak to samo narzędzie - wyjaśnił Martinez. - Jeden z współpracowników twojego ojca powiedział, że szafka z narzędziami była otwarta i zginął skalpel używany do wykonywania drobnych zabiegów chirurgicznych.

- I czas napaści wydaje się zbliżony - zauważyła detektyw Riley. - Felczer, który odebrał telefon od sprzątaczk, twierdzi, że pański ojciec od godziny krwawił, kiedy go znalazł, a to oznacza, że napastnik znowu zaatakował około czwartej nad ranem.

- Musimy się wybrać na rozmowę do panny Robbins - oświadczył Martinez.

Sam wciąż był ogłuszony wieścią o możliwości istnienia związku pomiędzy tymi obiema sprawami.

- Zaczekamy na ciebie.

- Powinniśmy udać się tam niezwłocznie - ponagliła go delikatnie Beth Riley.

- Nie mogę się na razie stąd ruszyć. - Sam spojrzął na zegarek. Było dziesięć po dziesiątej.

- Musimy się dowiedzieć, czy dziewczyna opuszczała dom ubiegłej nocy - postanowił Martinez. - Choć nie przypuszczam, żeby któraś z nich nam to powiedziała. Nawet gdyby tak było.

Sam zwlekał jeszcze przez chwilę z podjęciem decyzji.

- Nie mogę stąd odejść, dopóki nie skończą operować mojego ojca. Jedźcie do Coral Gable i spróbujcie zasięgnąć języka. - Umilkł, przypominając sobie omdlenie Cathy podczas przesłuchania przed niespełna tygodniem. - I obchodźcie się delikatnie z dziewczynką. To tylko rutynowe pytania, prawda?

- Ależ tak, oczywiście - zapewnił go Martinez.

- Naprawdę tak uważam, Al - rzekł Sam na widok sceptycznej miny kolegi. - I wyjawcie im tyle szczegółów, ile będzie absolutnie konieczne.

- Z jakiego powodu ta dziewczyna miałaby to zrobić? To nie ma sensu - powątpiewała Beth.

- Oczywiście, że tak.

- Jej działanie wcale nie musi być sensowne, jeśli jest stuknięta. Hi Beth wyciągnęła rękę i dotknęła prawego ramienia Sama.

- Będziemy trzymać kciuki za twojego ojca, Sam.

Doktor Helen Brodsky - chirurg i przyjaciółka ojca Sama - wyszła do poczekalni o dziesiątej czterdzieści osiem.

- Przetzymał operację - oznajmiła. Dobrze wiedziała, co czują, i nie chciała dłużej trzymać ich w niepewności. - Jego stan wciąż oceniamy jako krytyczny, ale wciąż jest wśród nas.

- Czy odzyskał przytomność? - Głos Judy zabrzmiał chrapliwie.

- Jeszcze nie, lecz reakcje są dobre. - Doktor Brodsky skinęła Samowi głową. - Niewiele brakowało. Stracił mnóstwo krwi.

- Myślę, że staruszek jest silny - powiedział cicho Sam. Brodsky się uśmiechnęła.

- Jak niemiecki czołg.

„Niemiecki czołg” leżał na oddziale intensywnej opieki medycznej podłączony do tub i rurek, był bardzo blady i pomimo unoszenia się i opadania klatki piersiowej, nie zdradzał oznak życia. Judy przebywała w łazience, a Saul wyszedł napić się kawy i na moment - nie licząc pielęgniarek, które nieustannie krążyły pomiędzy pacjentami, urządzeniami medycznymi i szafkami z dokumentacją - tylko Sam został z ojcem.

Szukał na jego twarzy znajomych szczegółów, na których mógłby zawiesić wzrok. Starał się omijać wzrokiem rury oraz inne zatrważające urządzenia. Długa na półtora centymetra blizna na mizernym nagle policzku była pozostałością po walce, jaką David stoczył z brutalnym pacjentem w izbie przyjęć w czasach, kiedy był młodym lekarzem i potrafił skuteczniej się bronić. Miał skrzywiony nos i jedno nozdrze nieco większe od drugiego oraz przerzedzone siwe włosy. Ten człowiek zrobił dla Samuela Lincolna Becketa więcej niż ktokolwiek inny na świecie. Zabrał osieroconego, ciemnoskórego siedmiolatka do własnego domu, otworzył przed nim serce, dał mu drugą szansę na cieszenie się rodzinnym życiem, miłością i poczuciem bezpieczeństwa. Wykształcił Sama i sprawił, że świat stanął przed nim otworem.

Monitory przy łóżku zapiszczały dziwnie przez moment i puls detektywa zareagował bezwiednie przyspieszonym tempem uderzeń. Spojrzał na ręce Davida - piękne, zdolne dłonie, które przywróciły zdrowie tak wielu dzieciom - i wydało mu się, że z bólu pęknie mu serce. Pochylił się nad ojcem i trzymając usta tuż przy jego uchu, wyszeptał kilka żarliwych słów: osobistych i przeznaczonych jedynie dla niego - o sile, o odzyskaniu zdrowia i o powrocie do domu, gdzie wszyscy tak bardzo na niego czekają. Złożył również obietnicę, że znajdzie człowieka, który wyrządził mu krzywdę.

Poczuł lekki dotyk na lewym ramieniu. Wyprostował się i zobaczył za sobą matkę. Jej twarz nie była już skamieniała z trwogi, ale w oczach i na ustach Judy dostrzegł inny, nieznanym mu wyraz, który był odzwierciedleniem moralnej i fizycznej siły. Samowi powiedziano, że właśnie tak wyglądała, kiedy ją zawiadomiono, że mąż został ciężko postrzelony.

- W porządku, synu?

- Tak, mamo.

Spojrzenie jej zwykle łagodnych, podobnie jak u Saula, oczu, było ostre i świdrujące.

- Zamierzasz dowiedzieć się, kto to zrobił?

- Miejski szpital, gdzie dokonano napaści, znajduje się poza moim rejonem, mammo.

- Ale postarasz się, ażeby ci przydzielono tę sprawę?

- Tak, postaram się.

- Czy tata mógł się mylić co do tej dziewczyny?

- Nie wiem, mammo.

Nadal wpatrywała się w niego wnikliwie.

- Ale ty wciąż masz nadzieję, że to nie ona, prawda?

- Masz rację.

- Nie można jednak wykluczyć tej możliwości, prawda? Sam potrząsnął głową.

- Niczego nie można wykluczyć, mammo.

TLR



# ROZDZIAŁ 21

---

W samochodzie przed domem Frances Dean siedzieli Al Martinez i Beth Riley, i Martinez zdawał relację z przesłuchania Samowi, który wciąż przebywał w miejskim szpitalu w Miami Beach.

- Odstawiły identyczne przedstawienie, jak po zabójstwie pani Flager. Zastaliśmy je obie w koszulach nocnych, szczerze zdumione, a ciotka zapewniła, że cały wieczór i noc spędziły w domu. Była gotowa zaświadczyć o tym pod przysięgą, ponieważ ani przez chwilę nie zmrużyła oka...

- Chociaż, moim zdaniem, wyglądała na zasną - dodała Beth Riley.

- To prawda - Martinez potakująco skinął głową i powtórzył Samowi uwagę swojej partnerki. - Spytała, jak możemy być aż tak podli, żeby podejrzewać Cathy o wyrządzenie krzywdy komuś, kto okazał jej tyle serca.

Sam, który rozmawiał przez telefon komórkowy, stojąc pod drzwiami oddziału intensywnej opieki medycznej, usłyszał drwinę w głosie kolegi.

- Pani Dean ma rację, Al. Cathy opowiadała doktor Grace Lucca, jak bardzo lubi mojego ojca.

- Tak, wiem o tym.

- Uważasz, że ona kłamie - uznał Sam. Nauczył się przez lata wysoko oceniać przeczucia Martineza.

- Jak już mówiłem w szpitalu, myślę, że dziewczyna jest kompletnie stuknięta, a jej ciotka łże, ażeby ją osłaniać - odparł detektyw.

Frances Dean od dłuższej chwili stała pod drzwiami sypialni Cathy i zbierała się na odwagę.

- Dlaczego nie wejdiesz, ciociu Frances?

Podskoczyła na dźwięk dobiegającego zza zamkniętych drzwi głosu siostrzenicy i nacisnęła kłamkę. Cathy siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku w swoim obszernym, różowym podkoszulku, w którym zwykła sypiać. Przed nią, na pościeli, leżało majowe wydanie czasopisma „Cosmopolitan”.

- Usłyszałam twój oddech i wyjaśniła ciotce. Frances weszła do pokoju.

- Dobrze się czujesz? -Nienajlepiej.

- Pozwolisz, że usiądę?

- Oczywiście. - Dziewczyna podniosła periodyk i rzuciła go na podłogę obok łóżka. - Właściwie nie czytałam, tylko bezmyślnie wpatrywałam się w gazetę.

Frances przycupnęła obok Cathy.

- Wiem, o czym mówisz. Leżę nocami w pełni rozbudzona z otwartą książką przed oczami. Przypuszczam jednak, że nie przeczytałam ani jednego słowa od czasu...

Dziewczyna się nie odezwała.

- Rzecz w tym... - ponownie urwała ciotka.

- W czym? - Cathy spojrzała jej prosto w twarz i dostrzegła, że Frances toczy ze sobą walkę.

- Powiedziałam oficerom prowadzącym śledztwo, że w ogóle nie spałam ubiegłej nocy.

- Tak?

- Okłamałam ich - oświadczyła Frances i nagle pośpiesznie zaczęła wyrzucać z siebie słowa. - Tuż po kolacji zażyłam środki nasenne, ponieważ nie mogłam znieść myśli o kolejnej nocy bez chwili odpoczynku. To dlatego tak długo trwało, zanim usłyszałam, jak dobijają się dzisiaj rano do drzwi. - Przerwała i, zarumieniona, odwróciła wzrok od oczu siostrzenicy.

- Do czego zmierzasz, ciociu Frances?

- Muszę mieć pewność... - Nie dokończyła zdania.

- Co do czego, ciociu? - spytała Cathy. Frances ponownie spojrzała jej w twarz.

- Chcę, żebyś mi przysięgła, że nie masz nic wspólnego z żadną z tych straszliwych, makabrycznych zbrodni.

Nastolatka wpatrywała się w nią bez słowa.

- Wybacz mi, Cathy. Ja tylko...

- Nie ufasz mi. - Cathy zerwała się z łóżka, podbiegła do okna i obróciła się przodem do ciotki. W jej oczach znowu malowało się przerażenie.

- Ty naprawdę myślisz, że mogłam zamordować ich wszystkich! - Jej głos brzmiał piskliwie pod wpływem zdenerwowania. - Że byłabym w stanie zabić moją mamę, a także Arniego. I że...

- Nie! - Frances również wstała z miejsca i ruszyła w stronę siostrzenicy.

- Nie zbliżaj się do mnie! - zawołała stłumionym głosem Cathy. - Ani kroku dalej!

- Źle mnie zrozumiałaś. - Frances czuła się oszołomiona. - - Wcale nie pomyślałam, że mogłabyś to zrobić...

- O co ci więc chodzi?

- Przypuszczam, że potrzebowałam twojego zapewnienia, po prostu chciałam je ten jeden raz od ciebie usłyszeć. Teraz już zawsze będę stać murem za tobą.

- Jak w ogóle mogłaś o tym pomyśleć?

- Nie wiem, skarbie. - Frances żałośnie potrząsnęła głową. - Nic z tego nie rozumiem. To wszystko jest takie okropne. A policja wciąż tutaj przychodzi. Nie mam pojęcia, dlaczego? Na jakiej podstawie sądzą, że masz coś wspólnego z tymi zabójstwami? A jednak, najwyraźniej, uważają, że masz i...

Cathy obróciła się twarzą do okna.

- Wyjdź stąd, ciociu Frances.

- Cathy, kochanie, proszę cię.

- Proszę stąd wyjść. - Umilkła. - Gdybym miała dokąd pójść, natychmiast bym się stąd wyniosła, ale nie mam gdzie się podziać, prawda? - Nadal słowa więzły jej w gardle, a dodatkowo głos miał teraz chrapliwe brzmienie.

- Nie musisz stąd odchodzić. Mój dom zawsze będzie twoim. Przecież jesteś małą córeczką mojej siostry i bardzo cię kocham.

- Tak bardzo, że podejrzewa mnie ciocia o zamordowanie mojej matki.

- To nieprawda! - Frances zrobiła kolejny krok w stronę siostrzenicy, ale po-  
nownie się zatrzymała, czując, że nie powinna bardziej się do niej zbliżać. -  
Przepraszam, że o to spytałam. Nie powinnam była tego robić, teraz już wiem.  
Przez tych ludzi mam zamęt w głowie.

- Niech ciocia stąd wyjdzie. - Cathy nie odwróciła się w jej stronę.

- Cathy, proszę cię...

- Proszę stąd odejść!

Frances, wykręcając ręce, wycofała się z pokoju.

TLR

## ROZDZIAŁ 22

---

Późnym popołudniem Grace wróciła do domu i wysłuchała zarejestrowanych wiadomości. Było ich pięć, ale najbardziej zainteresowało ją nagranie Sama oraz Frances Dean.

Odwołała zaplanowaną na dzisiaj sesję z pacjentem, chociaż miała nadzieję ją odbyć - było to jedno z regularnych i przynoszących zdumiewająco dobre wyniki spotkań z dziesięcioletnim chłopcem, który po burzliwym rozstaniu rodziców miał problemy emocjonalne - i pojechała prosto do miejskiego szpitala w Miami.

Sam na wieść o jej przybyciu wyszedł na korytarz z sali oddziału intensywnej opieki medycznej. Wyglądał tak, jak Grace się tego spodziewała: był wrakiem człowieka.

- Dziękuję, że przyjechałaś.

Uścisnęli się. Zrobili to po raz pierwszy. I pierwszy raz znaleźli się tak blisko siebie. Grace czuła szybkie i mocne uderzenia serca Sama i miała ochotę nad nim zapłakać.

- Jak on się czuje? - spytała, kiedy odsunęli się od siebie.

- Chyba za wcześnie na ocenianie jego stanu. Nadal jest nieprzytomny.

- Ale operacja przebiegła pomyślnie, prawda?

- Tak twierdzą lekarze. Jego życie wciąż jednak wisi na włosku.

- David jest silny, Samie - zapewniła Grace, choć nagle nie była pewna, czy rzeczywiście stary lekarz ma wystarczająco mocny organizm, ażeby przetrwać kryzys.

- Będzie musiał zmobilizować wszystkie siły.

Detektyw zajrzał przez szybę w drzwiach na salę. Stożące na środku pomieszczenia łóżko Davida było ledwo widoczne. Judy Becket siedziała przy nim sztywno wyprostowana, trzymając rękę na dłoni męża.

- Jak znosi to twoja mama?

- To twarda kobieta. - Sam się zamyślił. - A Saul ciągle gdzieś biega. Stale wychodzi po kawę, rozmawia z pielęgniarkami albo z personelem w szpitalnej stołówce. Nie jest mu łatwo patrzeć na tatę w takim stanie.

- Czy wiesz, co się właściwie stało? - Grace wreszcie dotarła do sedna.

- Nie do końca - odrzekł Sam. - Sądzymy, że tata prawdopodobnie uciął sobie drzemkę na kozetce w gabinecie; często zwykł to robić, kiedy pracował do późna.

- I ktoś się włamał?

- Po prostu wszedł. Tata nie zamknął drzwi na klucz.

- Był aż tak nieroztropny? Gabinety lekarskie są tak oczywistym celem dla złodziei, że po godzinach przyjęć zwykle przemieniają się w prawdziwe twierdze.

- Możliwe, że postąpił lekkomyślnie - przyznał Sam. - Pół nocy spędził przy umierającej pacjentce, starej przyjaciółce. - Umilkł na moment. - Osoba, która weszła do jego gabinetu, wyjęła skalpel z jednej z szafek z instrumentami medycznymi. Partner ojca, Fred Delano, zrobił dzisiaj rano inwentaryzację i odkrył zaginięcie narzędzia.

- Skalpel? Jesteś pewien? - Grace poczuła się oszołomiona. Nagle przeszedł ją chłód.

- Niestety tak.

Zmusiła umysł do logicznego funkcjonowania.

- Czy zginęło coś jeszcze? Narkotyki? Sam przecząco pokręcił głową.

- Wciąż są zamknięte i zgadza się ich ilość. Delano nie wyklucza jednak możliwości zaginięcia druków do wystawiania recept.

- A zatem celem napastników mogły być narkotyki? - Grace poczuła narastające sensacje żołądkowe. Wiedziała, że chwyta się brzytwy. -Może nie spodziewali się, że zastaną Davida w gabinecie. Zaskoczeni dźgnęli go i uciekli.

- Drzwi nie były zamknięte - przypomniał jej Sam. - Musieli zakładać, że ktoś w środku zastaną.

W końcu wydusiła to z siebie:

- Nadal szukasz dowodów w domu ciotki Cathy? Jego twarz miała bardzo pośpny wyraz.



- Zarówno tam, jak i we wszystkich innych miejscach.

Przez szybę w drzwiach prowadzących na oddział intensywnej terapii Grace zobaczyła, jak Judy Becket podniosła się na chwilę z krzesła, rozprostowała ręce i nogi, a potem przetarła oczy. Dostrzegła też pielęgniarkę, która podeszła do Davida Becketa i sprawdziła poziom kroplówki. A na koniec zatrzymała wzrok na rzędzie monitorów za łóżkiem oraz na zawieszonym nad nim worku z krwią.

Uznała, że pora nie jest odpowiednia na opowiadanie Samowi o wycieczce na Key Largo i o wizycie u Petera Haymana.

Zatelefonowała do Frances Dean z aparatu w szpitalnej budce. Cathy podniosła słuchawkę i powiedziała, że ciotka bierze kąpiel. Grace zapytała ją, jak sobie radzi. Odpowiedź udzielona zbyt lekkim i beztróskim tonem o wiele bardziej ją zaniepokoiła, niż gdyby nastolatka płakała albo odburknęła coś w gniewie. Grace zapytała, czy może przyjechać do Coral Gables.

- Oczywiście - odrzekła dziewczynka. - Dlaczegoż by nie?

Minęła szósta, kiedy Grace zajechała na Granada Boulevard. Nacisnęła dzwonek i czekała. Drzwi otworzyła Cathy. Była ubrana w strój treningowy, włosy miała związane w koński ogon.

- Pomyślałam, że znowu mogłybyśmy się dokądś wybrać - oznajmiła. - Masz coś przeciwko temu?

- Nie, nie mam. - Grace była zadowolona, że włożyła jednoczęściowy kombinezon oraz sportowe buty. - Chcesz, żebyśmy dzisiaj razem pobiegały?

- Tak, dlaczego nie? - powiedziała Cathy. Wciąż stała w wejściu.

- Jak się miewa twoja ciocia? - Śpi.

- Sądzę, że odpoczynek jest jej bardzo potrzebny.

- I ja tak myślę. - Kiedy Cathy wyszła na zewnątrz i zatrzasnęła za sobą drzwi, miała napięte mięśnie twarzy.

- Czy chcesz najpierw pobiegać, a potem porozmawiać? - spytała Grace. - Możemy tylko pobiegać, jeśli sobie tego życzysz.

- To ty jesteś szefem - odparła Cathy.

- Nie, wcale nie jestem - zaprzeczyła Grace stanowczym tonem. - Zdaję się dzisiaj we wszystkim na ciebie, a więc wybieraj, co chcesz robić.

Rozmowa w trakcie biegania nie wchodziła w rachubę, w każdym razie nie w przypadku Grace, chociaż i tak, gdy podążały wzdłuż Anastasia Avenue w stronę klubu za miastem, zadyszana dziękowała Bogu w myślach za gimnastykę i za Harry'ego, który lubił jej towarzyszyć w regularnym joggingu po piaszczystej plaży Miami Beach. Grace, pomimo osiemnastu lat różnicy pomiędzy nimi, wciąż była w dobrej formie i wiedziała więcej niż Cathy na temat utrzymywania właściwego tempa biegu. Pomimo to doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nastolatka w każdej chwili może ruszyć pędem przed siebie i z łatwością zostawi ją w tyle. Dziewczynka zdecydowała się jednak - może z uprzejmości, a może z chęci przebywania w czyimś towarzystwie - dostosować do szybkości Grace.

- W porządku? - spytała po dziesięciu minutach.

- Wspaniale - zapewniła ją Grace.

- W porządku? - zapytała ponownie dziesięć minut później. Tym razem Grace zdobyła się jedynie na skinienie głową i bolesny uśmiech. Serce dudniło jej jak szalone, mięśnie łydek i ud przeraźliwie ją piekły i była mokra jak po wyjściu spod prysznica. Nagle uzmysłowiła sobie, że nastolatka od pewnego czasu przyspiesza, systematycznie zmuszając ją do szybszego tempa biegu niż to, do jakiego przywykła.

Po niespełna dwóch minutach Cathy zatrzymała się bez uprzedzenia i, jak to czasami się zdarza w przypadku ćwiczeń fizycznych, ich nagłe przerwanie o mało nie zważyło Grace z nóg. Nie była pewna, od jak dawna stoi, zgięta wpół, walcząc o odzyskanie oddechu i opanowanie drżenia nóg. Kiedy się wyprostowała, zobaczyła, że znajdują się w małym, zalesionym miejscu i że dziewczynka uważnie przygląda się jej twarzy.

- Chcesz przez chwilę odpocząć?

Grace skinęła głową, wciąż nie mogąc się odezwać. Cathy spojrzała w kierunku pniaków wygładzonych i zaokrąglonych przez czas.

- Możesz posiedzieć na jednym z nich. Ja usiądę na trawie.

Grace wymamrotała słowa podziękowania i opadła ciężko na pniak. Cathy usadowiła się na ziemi kilka kroków dalej. Grace zgięła kolana i masowała je okrężnymi ruchami. Wciąż czuła pulsowanie w mięśniach, lecz jej serce powróciło już do normalnego rytmu uderzeń. Spojrzała w kierunku Cathy i zauważyła, że dziewczynka ma zamknięte oczy. Było wiele spraw, o które miała ochotę ją zapytać. Na przykład o to, czy była w pasażu handlowym w Bal Harbour w ubiegłą sobotę w porze lunchu, kiedy Grace nie mogła się oprzeć osobliwemu wrażeniu, że ktoś ją obserwuje. Zamierzała też nieco mocniej przyprzeć ją do muru co do wspomnień o ojcu. Przede wszystkim jednak pamiętała o tym, że za dwa dni

ma się odbyć pogrzeb. Nagle poczuła niemal pewność, że nastolatkę nurtują sprawy, o jakich sama chciałaby podyskutować. Postanowiła więc zachować milczenie. Nie musiała długo czekać.

- Dzisiaj rano - zaczęła Cathy z wciąż zamkniętymi oczami - po wyjściu policjantów ciotka Frances poprosiła, ażeby przysięgła, że nie zamordowałam tych wszystkich ludzi.

Grace poczuła przyływ współczucia, ale się nie odezwała. Dziewczynka otworzyła oczy.

- Skoro moja własna ciotka mi nie ufa, to kto da wiarę moim słowom?

- Ja - odpowiedziała Grace. Cathy wzruszyła ramionami.

- Być może. - Umilkła. - Cóż to za okropna historia z doktorem Be-cketem.

- Tak, to prawda.

- Czy on wyzdrowieje?

- Mam nadzieję, że tak.

- Ale nie jesteś pewna.

- Na razie nie. Przetzymał operację, co oznacza, że ma silny organizm. - Grace nie zamierzała niczego ukrywać przed Cathy. - Nie ma powodów, by nie wierzyć w jego wyzdrowienie, wciąż jednak nie odzyskał przytomności.

Przez kilka minut żadna z nich się nie odzywała. Ptaki nawoływały się z drzew, a pociemniałe niebo i porywy wiatru ostrzegały przed nadciągającą, typową dla południowej Florydy krótką i gwałtowną ulewą.

- Jak ktokolwiek mógł pomyśleć, że mogłabym skrzywdzić doktora Becketa, Grace?

W pytaniu tym zabrzmiało zdziwienie i Grace wiedziała, że niewątpliwie jest szczerze.

- Nie wiem - odrzekła. - Może policjanci nie mają wyboru i muszą brać pod uwagę wszelkie ewentualności. Głównie jednak przyczyną ich domysłów jest fakt, że nie znaleźli żadnej innej podejrzanej osoby.

- To istne szaleństwo - oświadczyła Cathy. Grace odczekała chwilę.

- A czy podejrzewanie ciebie o zamordowanie matki i ojczyma nie jest większym szaleństwem? Albo Beatrice Flager?

- W pewnym sensie tak.

Grace siedziała całkiem nieruchomo.

- Chodzi mi o to, że byłam wtedy razem z rodzicami. - Jej głos stał się bardziej stłumiony i zdawał się dobiegać z daleka. - Nikt nie wie, do czego mogło dojść pomiędzy nami. To jestem w stanie zrozumieć. W niektórych rodzinach ludzie nienawidzą się nawzajem, prawda?

- Tak - przytaknęła cicho Grace. - Czasami to się zdarza.

- Co się zaś tyczy Beatrice, przypuszczam, że niektórzy mogli sądzić, że jej również nienawidziłam. Ci, którzy przedtem uznali, że zamordowałam rodziców. I uważają, że jestem obłąkana. - Cathy umilkła. - Może biorą mnie za wariatkę? W końcu zostałam wysłana do psychoterapeutki, czyż nie?

Grace i tym razem zachowała milczenie.

- O czym myślisz, Grace? - spytała Cathy.

- O tym, że starasz się rozumować logicznie. Cathy podniosła się z ziemi.

- Miałam dużo czasu na myślenie. I na ocenę sytuacji z punktu widzenia policji. - Wykonała kilka ćwiczeń rozciągających mięśnie. - Z punktu widzenia ludzi, którzy mnie nie znają.

- Ale twoja ciotka dobrze cię zna - zauważyła Grace.

- Tak myślałam. - Przestała się rozciągać. Wyraz roztargnienia znikł z jej oczu, a ton również uległ zmianie. Nagle ulotniła się również jej cała logika i Cathy z powrotem stała się zdumioną nastolatką. - Nie mogę uwierzyć, że mnie o to zapytała. - Jej dłonie zacisnęły się w pięści, a oczy wezbrały łzami. - Nie jestem wariatką, Grace. Jak ona mogła tak o mnie pomyśleć? Wiedziała, że zgadzałyśmy się z mamą i że Arnie był dla mnie wspierały. Jak mogła pomyśleć, że mogłabym ich skrzywdzić?

Zaczął padać deszcz - ogromne, ciepłe krople, które w każdej chwili mogły przemienić się w strugi wody. Jednak Grace nawet nie drgnęła, jak gdyby była przykuta do pniaka, na którym siedziała.

- Przypuszczam, że ciotka wcale tak nie myślała, Cathy. - Musiała podnieść głos, aby przekrzyczeć odgłosy burzy. - Sądzę, że poczuła się zbita z tropu i miała mętlik w głowie.

- To samo mi powiedziała.

- A zatem, pewnie tak było.

Przemoknięte do suchej nitki wróciły bez pośpiechu do domu. Frances już nie spała i czekała na nie. Odesłała Cathy, aby się wytarła się do sucha i przebrała, a gościowi zaproponowała herbatę. Był to pierwszy przyjazny gest, jaki zrobiła wobec Grace od czasu, kiedy zagroziła, że zabroni jej widywać się Cathy. I doktor Lucca niemal entuzjastycznie przyjęła propozycję.

- Jak, pani zdaniem, ona się miewa? - spytała Frances, nalewając herbatę do filiżanek i podając gościowi jedną z nich. Mówiła zniżonym głosem i najwyraźniej zależało jej na tym, żeby Cathy nie usłyszała.

- Jest przygnębiona - odrzekła Grace.

- Czy powiedziała pani, że rano wyprowadziłam ją z równowagi? -- Tak, podobno kazała jej pani przysiąc, że nie jest zabójczynią. Frances usiadła. Wyglądała na skrajnie wyczerpaną. I miała rozbiegany wzrok.

- Nie powinnam była jej o to prosić. Dobrze o tym wiem. Ale...

- Czuła pani, że musi to wiedzieć - podsunęła jej delikatnie Grace. Frances wymieszała herbatę.

- Jeździła do swojego domu. Dwa razy wybrała się tam samowolnie i nie uprzedziła mnie wcześniej. Dopiero potem się przyznała.

- Po naszej wspólnej wizycie? - Grace była zdumiona. - Czy policja na to zezwoliła?

- Nie sądzę. - Frances odłożyła łyżeczkę, nie przejawiała jednak zamiaru podniesienia filiżanki do ust. - Nawet jeśli policjanci wiedzieli, najwyraźniej nikt jej od tego nie powstrzymał.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mogli być nieświadomi tego faktu. Grace była całkiem pewna, że znali wszelkie poczynania dziewczynki.

Nie miała cienia wątpliwości, że bacznie obserwowali każdy krok Cathy. Nic wyczuła ich obecności dzisiejszego popołudnia, gdy biegały, ale w końcu psychologowie nie byli najlepszymi ekspertami na świecie w upewnianiu się, czy nikt ich nie śledzi.

- Twierdziła, że nie weszła do środka - mówiła dalej Frances. - Podobno prześadywała tylko na podwórzu za domem.

- Odniosłam wrażenie, że istotnie najlepiej tam się czuje.

- A zatem, zdaniem pani, nie ma żadnego problemu?

- A jak się pani wydaje?



- Ostatnio odnoszę wrażenie, że wszystko stanowi problem. - Pochyliła się do przodu, całą swoją postawą wyrażając zmęczenie, i sięgnęła po filiżankę.

- Wiem o narkotykach, jakie Broderick aplikował Marie i Cathy -powiedziała Grace półgłosem, łudząc się, że przed powrotem dziewczynki do salonu otrzyma kilka odpowiedzi.

Frances znieruchomiała, podnosząc filiżankę do ust. Zadrżała jej ręka i kobieta zmusiła się, żeby ponownie odstawić naczynie na spodek.

- Kto pani o tym powiedział?

- David Becket. - Grace zauważyła, że na dźwięk tego nazwiska jej rozmówczyni otworzyła szeroko oczy. - Rozmawiał ze swoim znajomym ze szpitala Lafayette w Tallahassee. Podobno Broderick podawał żonie i córce środki uspokajające. Wiem także o progestagenie i fenobarbitonie. - Umilkła. - Nie mam tylko pojęcia, dlaczego to robił.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Sądzę, że tak. - Grace jeszcze bardziej zniżyła głos. - Wiem, że w środę ma się odbyć pogrzeb i że trudno o bardziej niestosowny moment na zadawanie tego rodzaju pytań. Cathy jednak może mieć poważne kłopoty. I musi pani zrozumieć, że jeśli mam jej pomóc, ważna jest każda informacja, jakiej może mi pani udzielić. Nie wiem, co mam zrobić, żeby panią przekonać.

- Zazdrość - niespodziewanie wyrzuciła z siebie Frances. - John był irracjonalnie zazdrosny o Marie na długo przed urodzeniem się Cathy. Zawsze oskarżał siostrę o miłosne przygody z innymi mężczyznami. Choć w jej życiu nie było nikogo poza mężem. Jego obsesja stała się dla niej prawdziwym przekleństwem. - Zamyśliła się. - Marie miała nadzieję, że ciąża poprawi sytuację, tymczasem sprawy przyjęły jeszcze gorszy obrót. Pewnie trudno będzie pani w to uwierzyć, Grace, ale John Broderick był nawet zazdrosny o własne dziecko.

- Zdarzają się takie przypadki - odrzekła cicho Grace, pragnąc, aby ciotka Cathy mówiła dalej.

- Nigdy nie był dobrym ojcem - ciągnęła Frances. -1 nie sądzą, aby można go było traktować jako w pełni zrównoważonego psychicznie człowieka. Nie można by odmówić mu inteligencji, to oczywiste, w przeciwnym razie nie zostałby lekarzem. Nie był jednak ani normalnym mężem, ani ojcem.

- W aktach szpitala Lafayette jest wzmianka o tym, że podawał im obu środku uspokajające, żeby mieć nad nimi władzę.

Frances skinęła głową.



- To całkiem do niego podobne. - Nachyliła się do przodu, ponownie podniosła filiżankę wciąż trzęsącymi rękami i zdołała wypić łyk herbaty. - To on utrzymywał stosunki pozamałżeńskie z kobietami, choć jeszcze wtedy Marie niczego nie podejrzewała. Dopiero kiedy Cathy skończyła dwa lata, postanowił ją upokorzyć i przyznał się do wiarołomstwa, obarczając za to winą żonę.

- Z tego co zrozumiałam, Marie chciała mieć więcej dzieci?

- John skutecznie temu zapobiegł - wtrąciła Frances z goryczą.

- Poprzez zastrzyki z progestagenu. Ponownie skinęła głową.

- Był to jeszcze jeden sposób na decydowanie za nią, a także, być może, na ukaranie jej.

- A co z fenobarbitonem? - Grace wiedziała, że być może jest zbyt natarczywa, zdawała sobie jednak sprawę z tego, że Frances zamilknie z chwilą pojawienia się w salonie Cathy.

- John powiedział Marie pewnego dnia - przypuszczam, że Cathy miała wtedy ze cztery lata - że mała cierpi na padaczkę i że leczy ją środkami przeciwdrgawkowymi. Marie spytała, czy podawanie tych leków jest konieczne i bezpieczne. Zapewnił, że tak. - Nie ulegało wątpliwości, że Frances odczuwa nieprzepartą potrzebę zwierzenia się Grace. I teraz, kiedy zaczęła mówić, chciała i musiała wyrzucić z siebie wszystko do końca. - Kiedy wychowawcy Cathy z przedszkola wyrazili zaniepokojenie brakiem koncentracji u dziecka, Marie zapytała Johna, czy nie jest to spowodowane lekami, które jej podaje. Oświadczył wtedy, że owe symptomy dowodzą jedynie, jak bardzo środki te są dziewczynce potrzebne.

- Czy Marie zasugerowała mu, żeby zasięgnęli opinii innego specjalisty?

- John powiedział jej, że jeśli nie ma do niego zaufania jako do lekarza, to może pójść do jakiejś poradni, ale Marie nie ośmieliła się wystąpić przeciwko niemu. Zbyt obawiała się rozbicia małżeństwa. - Frances potrząsnęła głową. - Tymczasem i tak od niej odszedł. Byłam zdania, że to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił. Marie, oczywiście, nie przyznała mi racji.

- Nawet potem, kiedy dowiedziała się, co robił jej i Cathy?

- Och, tak - powiedziała Frances. - Potem zgodziła się ze mną w tej kwestii. Ale wtedy już go nienawidziła. Uzyskała nakaz sądowy, aby trzymał się z dala od dziecka. John starał się go obalić i wywierał wszelkie możliwe naciski na Marie. - Umilkła. - Przed niczym się nie cofnął. Nawet przed próbą popełnienia samobójstwa. Grace była zaskoczona.

- Czy to znaczy, że już przedtem usiłował targnąć się na własne życie?

- Och, tak - przytaknęła ponownie Frances. - I to dwukrotnie. - Za pierwszym razem podciął sobie żyły w nadgarstkach. - Umilkła i zawahała się nieco.

A następnym razem?

- Podciął sobie gardło.

Grace pomyślała o Marie i Arnoldzie Robbinsach. Wnioski, jakie się nasuwały, sprawiły, że poczuła mdłości.

Do pokoju weszła Cathy. Była odświeżona i miała na sobie białą sukienkę bez rękawów.

- Czy rozmawiacie o mnie? - Pytanie zostało zadane lekkim tonem, jednak kryjąca się w nim uraza była wyraźnie słyszalna.

- Niezupełnie - odrzekła nerwowo Frances.

- Nic mi nie mówiłaś, że znowu byłaś w swoim domu - zauważyła Grace.

- Nie wiedziałam, że mam obowiązek informowania cię o tym.

- Nie masz - zgodziła się z nią łatwo Grace.

- Rozmawialiście o moim pierwszym ojcu. - Głos Cathy stał się drżący i napięty. - Dobrze słyszałam.

- Zadałam cioci kilka pytań na temat twojego dzieciństwa.

- Nie powinnaś o tym wspominać - zwróciła się Cathy z wyrzutem do Frances. - Dobrze wiesz, że mama nie życzyła sobie, żebyśmy poruszały ten temat.

- Sądziłam, że nic nie pamiętasz z tamtego okresu i dlatego nie możesz o tym rozmawiać - zauważyła delikatnie Grace.

- Bo nie pamiętam - obstawała przy swoim Cathy.

- Napijesz się herbaty? - zaproponowała Frances.

- Może teraz będzie ciocia zdradzała kolejne tajemnice mojej mamy?

- Cathy stawała się coraz bardziej wzburzona i rozgoryczona. - No dalej, niech ciocia opowie Grace o wszystkich naszych prywatnych sprawach. Może wtedy zrozumie, dlaczego, zdaniem cioci, zamordowałam mamę, Arniego i Beatrice Flager...

- Ja wcale tak nie myślę!

- Ależ tak. Uważacie, że jestem stuknięta... i taka sama jak on, mój ojciec...

- Cathy, nawet mi to przez myśl nie przeszło. - Frances zerwała się na równe nogi, wyglądając na bardziej nieszczęśliwą niż kiedykolwiek przedtem. - Nie przypominasz go w niczym, jesteś słodką, dobrą, normalną dziewczynką...

- To dlaczego muszę chodzić do psychologa?

- Ponieważ masz za sobą ciężkie doświadczenia. - Grace wyczuła, że nadeszła pora, aby rozładować napięcie, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Choć w pewnym sensie była zadowolona, że nienaturalnie spokojna atmosfera domu Frances Dean została nieco zakłócona. - Większość ludzi w takich momentach potrzebuje pomocy w radzeniu sobie z własnymi uczuciami i reakcjami.

- Może ja nie potrzebuję.

- Może nie - zgodziła się Grace.

- Ale może ja potrzebuję - odezwała się Frances. Miała łzy w oczach.

- Straciłam siostrę, Cathy, o czym zdajesz się nie pamiętać. Twoja matka była też moją najbliższą przyjaciółką i bardzo ją kochałam. Arnolda również darzyłam szczerą sympatią.

- A co ze mną? - spytała Cathy. - Czy mnie już nie kochasz?

- Oczywiście, że kocham. - Frances zrobiła krok w stronę siostrzenicy, ale dziewczynka cofnęła się przed nią w kierunku drzwi. - Oczywiście, że cię kocham, Cathy. Tylko ty mi zostałeś na świecie.

- To dlaczego kazałaś mi przysięgać, że nie jestem zabójczynią?

- Och, Cathy. - Frances opadła ciężko na kanapę. - Wiem, że nie powinnam była cię o to prosić.

- Ale dlaczego poprosiłaś? - Nastolatka najwyraźniej nie zamierzała puścić sprawy w niepamięć.

- Popelniłam błąd. - Frances spojrzała na nią błagalnie. - Czy tobie to się nigdy nie zdarza?

- To nie był błąd, ciociu Frances - odrzekła cicho.

- Oczywiście, że był.

- Nie. Ty naprawdę tak myślałaś.

- Miałam mętlik w głowie, to wszystko.

- Nieprawda - oświadczyła Cathy, wciąż stojąc w wejściu. - Powiedziłaś policjantom, że nie spałaś w nocy i dlatego masz pewność, że nie wychodziłam z

domu. A potem wyznałaś mi, że to było kłamstwo, ponieważ zażyłaś tabletkę na sen.

- Masz rację - przyznała zrozpaczona Frances. - Zażyłam środek nasenny, który mnie oszołomił i dlatego nie mogłam logicznie myśleć.

- To przekonujące wyjaśnienie - zauważyła Grace, zwracając się do Cathy.

- Nie dla mnie. - Dziewczynka była nieugięta.

- Jak zamierzasz pozostawić za sobą to, co się stało, skoro nie chcesz wybaczyć mi jednego drobnego błędu? - spytała Frances błagalnym tonem.

- Nie wiem - odrzekła Cathy i wyszła z pokoju.

TLR

# ROZDZIAŁ 23

---

Wtorek, 21 kwietnia 1998

Doktor Lucca opuściła dom w Coral Gables wkrótce potem, gdy Cathy po burzliwej wymianie zdań z ciotką wybiegła z salonu. Frances czuła się przygnębiona, a także zażenowana i Grace rozumiała, jak bardzo potrzebuje w tym momencie samotności. Teraz jednak żałowała, że nie została dłużej.

Kiedy zatelefonowała nazajutrz około drugiej po południu na posterunek do Sama, żeby zapytać o doktora Becketa, detektyw Beth Riley, pracująca w biurze, przekazała jej najświeższe wieści.

- Obawiam się, że w stanie zdrowia pana Becketa nie nastąpiła istotna poprawa - oznajmiła przyjaznym tonem. - Wiem, że detektyw Becket zamierzał do pani zatelefonować, aby zapoznać panią z ostatnimi wydarzeniami w sprawie Robbinsów, ale musiał nagle wyjść.

Grace poczuła wzdłuż kręgosłupa ciarki, które przywodziły na myśl ukłucia małych szpilek.

- Czy wydarzyło się coś nowego? - Usłyszała w swoim głosie znużenie.

- Tak, proszę pani.

I detektyw Riley opowiedziała Grace o telefonie pod numer 911, pochodzącym od Cathy, tuż po siódmej rano, i o tym, że felczerzy oraz funkcjonariusze policji po wejściu do domu przy Granada Boulevard zastali Frances Dean martwą w łóżku.

- Och, mój Boże! Co było powodem śmierci? - Grace modliła się w duchu o to, aby usłyszeć o naturalnej przyczynie zgonu.

- Nie mam pojęcia, pani doktor - odrzekła Riley. - Sprawą zajmuje się wydział policji w Coral Gables. Wiem jednak, że detektyw Becket przebywa obecnie na miejscu zbrodni, przypuszczam więc, że wkrótce będzie miał więcej wiadomości na ten temat.

Grace była całkiem roztrzęsiona, kiedy odkładała słuchawkę. Z jednej strony chciała wskoczyć do mazdy i pojechać do Cathy, aby być razem z nią, a z drugiej miała ochotę wślizgnąć się do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i nie odbierać telefonów.

Nie zrobiła jednak żadnej z tych rzeczy, ponieważ pacjent, z którym była umówiona na drugą trzydzieści i o którym chwilowo zapomniała, zjawił się na

kwadrans przed czasem. I przez następną godzinę, pomimo przeżytego wstrząsu, Grace zajmowała się rozwiązywaniem zagadki, dlaczego do niedawna spokojny chłopiec chińskiego pochodzenia nagle zaczął wszczynać w szkole bójkę z innymi dziećmi.

Sam zatelefonował trzy minuty po czwartej. Chwilę przedtem Teddy Lopez odprowadził do domu Harry'ego. W momencie kiedy zadzwonił telefon, pies wciąż biegał po mieszkaniu, jak zawsze po dłuższym czasie spędzonym poza domem.

- Słyszałem, że Beth Riley już cię zawiadomiła o Frances Dean - odezwał się detektyw.

- Co się stało, Sam? - Grace znowu poczuła lodowate dreszcze.

- Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć?

- Nie. Sądzę jednak, że muszę poznać prawdę.

- Około drugiej nad ranem została ugodzona w czoło. - Urwał. - Cathy jest w złej formie. Policjanci z ekipy śledczej z Coral Gables próbowali z nią rozmawiać, ale nie można nawiązać z nią kontaktu.

Czy chcesz, żebym tam pojechała? - Grace ogarnęły mdłości.

- Byłbym bardzo zobowiązany. Do pokoju wtargnął Harry.

- Czy mogę wziąć ze sobą psa? - spytała Grace. - Cathy go lubi. - Rzeczywistość uderzyła ją z przyprawiającą niemal o torsję siłą. Czekala ją wizyta na miejscu zbrodni oraz konfrontacja ze straszliwymi następstwami tragedii. - Czy będę mogła przebywać sam na sam z Cathy?

- Jeśli się pośpieszysz - powiedział Sam. - Przez jakiś czas zostawiają w spokoju. Została już przebadana. - Zniżył głos. - Nie znaleziono żadnych dowodów, które by ją w jakiś sposób łączyły z morderstwem.

- Ale będę ich szukać, prawda?

- Nie ma co do tego wątpliwości - przyznał Sam. - Zrozumiem cię, Grace, jeśli uznasz, że potrzebujesz trochę więcej czasu do namysłu.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - oświadczyła.

- Chyba jednak jest. Przede wszystkim nad twoim zaangażowaniem się w tę historię - podkreślił.



Grace doskonale wiedziała, co miał na myśli: jej zbyt osobisty stosunek do sprawy i nadmierne przywiązanie do Cathy. W porównaniu z innymi pacjentami Grace poświęcała jej niewspółmiernie dużo czasu. A w sytuacji kiedy Frances Dean nie żyła i nie było nikogo innego, kto by chronił dziewczynkę, Grace stała się jej jeszcze bardziej potrzebna niż przedtem. Była jednak tylko psychologiem i terapeutką, a nie krewną ani nawet nie przyjaciółką.

- Grace?

Głos Sama wyrwał ją z rozmyślań.

- Już jadę.

- Jesteś pewna?

- Do zobaczenia na miejscu.

Była piąta po południu, kiedy zjawiała się ponownie w Coral Gables. Zgodnie z jej przewidywaniami teren wokół domu Frances Dean przypominał scenę z filmu: oznakowane i nieoznakowane policyjne samochody, błyskające flesze, taśmy zabezpieczające miejsce zbrodni, i, co najgorsze, dziennikarze, oraz reporterzy stacji radiowych i telewizyjnych wiadomości. Grace zaparkowała mazdę przy sąsiednim budynku i weszła w tłum gapiów, niosąc w ramionach Harry'ego, który tulił się i dodawał jej otuchy swoim ciepłem. Gdy zbliżała się do domu, ludzie w większości nie zwracali na nią uwagi. Dopiero w ostatniej chwili, kiedy przedstawiła się umundurowanemu funkcjonariuszowi, który pilnował zamkniętego terenu i podniósł do góry taśmy, by wpuścić ją pomiędzy bananowce i drzewa morwowe, poczuła na sobie zaciekawione spojrzenia zgromadzonych, a nawet obiektywów kamer.

Wewnątrz domu panował jednak znacznie większy spokój, niż się tego spodziewała. Sierżant policji zaprowadził ją do salonu, a w niespełną minutę później do pokoju wszedł Sam, prowadząc Cathy. Grace wzięła ją w objęcia i przytuliła do siebie na moment, czując, jak nastolatka drży w jej ramionach. Po chwili dziewczynka odsunęła się od niej. Nie zdradzała żadnych zewnętrznych oznak, które świadczyłyby o jej przeżyciach.

- Czy nie weźmiecie mi za złe, jeśli przez chwilę zostanę z wami? - spytał Sam.

Pomysł ten niezbyt spodobał się Grace.

- To zależy od Cathy - powiedziała.

- Cathy? - spytał Sam.

- Wszystko mi jedno.

- Jesteś pewna? - spytała Grace w obawie, że dziewczynka jest zbyt załamana, aby móc właściwie ocenić sytuację. - Możemy zostać same, jeśli wolisz.

Cathy zwróciła spojrzenie w stronę drzwi i obcych ludzi stojących tuż za nimi.

- Nie przeszkadza mi obecność detektywa Becketa. Nie mam nic do ukrycia.

Miała na sobie niebieski kombinezon, a jej związane w koński ogon włosy były wilgotne. Grace domyśliła się, że wzięła prysznic, gdy specjaliści od medycyny sądowej skończyli ją badać. Pomimo zaczerwionych oczu nie sprawiała wrażenia, że będzie płakać. Grace bała się nawet myśleć o tym, przez co dziewczynka przeszła. Nie była też w stanie zmusić się do zastanowienia nad zatrważającymi i oczywistymi konsekwencjami, jakie rozwój wypadków pociąga dla Cathy.

- Przeprowadziłam Harry'ego - oznajmiła. - Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Cathy przecząco pokręciła głową i usiadła na białej kanapie swojej ciotki. Grace skinęła głową na Harry'ego, który znał tę procedurę i bardzo ją lubił. Dał susa do góry i zapadł się głęboko w poduszki. Grace przez jedną nedorzeczną chwilę pomyślała, że Frances prawdopodobnie sprzeciwiłaby się temu, gdyby była teraz w salonie.

- Jaki on miły - powiedziała Cathy i zaczęła pieszczotliwie klepać psa. Ten bezwiedny odruch nie zdenerwował Harry'ego.

Kątem lewego oka Grace dostrzegła dwoje ludzi w białych kitlach, którzy prowadzili ze sobą cichą rozmowę w korytarzu.

- Co sądzisz o wspólnym spacerze? Dziewczynka nie odpowiedziała.

- Pomyślałam, że dobrze byłoby dokądś się ruszyć - wyjaśniła cicho Grace.

Cathy oderwała wzrok od Harry'ego i spojrzała jej prosto w oczy.

- Czy mogłabym pojechać do domu?

- Masz na myśli swój rodzinny dom?

- Czy mogłabym?

Grace obejrzała się na Sama, który siedział za nią w głębokim fotelu.

- Czy byłoby to możliwe? - spytała.

- Nie wiem - odrzekł. - Muszę zapytać inspektora prowadzącego śledztwo.

Wyszedł z pokoju i wrócił po kilku minutach.

- To jest możliwe pod warunkiem, że ja będę wam towarzyszył.

- Nie wiem, co sądzić o tym pomysle.

- Albo ja, albo jeden z oficerów policji z Coral Gables - doda! Sam.

- Cathy? - Grace spojrzała na nastolatkę.

- Zgoda - odpowiedziała dziewczynka.

Chociaż Harry, który rozłożył się na kolanach Cathy, łagodził nieco ciężką atmosferę, jazda do Miami Beach była dla Grace ciężkim doświadczeniem. W jej umyśle nie pozostał cień wątpliwości, że warunek dotyczący obecności Sama nie mógł spodobać się dziewczynce. Nie był to gest uprzejmości, który miał ją psychicznie wesprzeć i pomóc w przetrwaniu okropnego dnia. Bo chociaż detektyw nie prowadził śledztwa w tej sprawie, to kierował dochodzeniem w przypadku dwóch pierwszych morderstw - był inspektorem policji, do którego obowiązków należała nieustanna czujność. A nikt nie musiał mówić Grace, że Cathy, która zajmowała już czołową pozycję na liście podejrzanych, teraz, po śmierci Frances Dean, zdecydowanie znajdzie się na pierwszym miejscu. Doktor Lucca nie przypuszczała też, ażeby pozorny spokój dziewczynki w jakikolwiek sposób przyczynił się do poprawy jej położenia. Być może Sam nadal potrafił dostrzec pod skorupą, jaką się opancerzyła, bezbronne, przerażone dziecko. Grace wątpiła jednak w to, czyjego koledzy albo funkcjonariusze z Coral Gables będą w stanie zrozumieć, dlaczego Cathy po dotychczasowych przejściach kompletnie się nie załamała i nie stała rozhisteryzowanym kłębkim nerwów. I jeśli doktor Lucca chciała pozostać całkiem uczciwa wobec siebie, musiała przyznać, że sama nie jest w stu procentach pewna, czy naprawdę to rozumie - chociaż w swojej zawodowej karierze niejednokrotnie stykała się z reakcjami różnego rodzaju. Oboje z Samem dyskutowali o tym podczas jednego z ich pierwszych spotkań, kiedy jeszcze się wydawało, że tragiczna śmierć rodziców jest najgorszą rzeczą, jaka kiedykolwiek mogła spotkać Cathy Robbins.

Głęboki wstrząs. Blokada psychiczna.

- Jak się czujesz? - zwrócił się Sam do Cathy, gdy Grace prowadziła mazdę. Przez wzgląd na nastolatkę pozwolił, by doktor Lucca wzięła własny samochód. Zdawał sobie sprawę z tego, że wycieczka policyjnym radiowozem mogłaby narazić dziewczynkę na niewyobrażalny stres.

- W porządku - odpowiedziała Cathy z tylnego siedzenia.

Grace ogarnęły nagle wątpliwości, czy nie powinna się zatrzymać, aby namówić ich na powrót do domu Frances Dean, albo czy nie zabrać ich do siebie. Zastanawiała się także, czy nie powinna się dowiedzieć, kim był prawnik uczestniczący na posterunku policji w przesłuchaniu Cathy, podczas którego dziewczynka zemdląła. Ogarnęło ją potęgujące się z każdą chwilą złe przeczucie w związku z ich powrotem na Pine Drive, choć nie potrafiła dokładnie określić, co jest tego powodem. Po prostu coś nie dawało jej spokoju.

Pomimo to jechała dalej w wytyczonym uprzednio kierunku.

Cathy nie chciała wejść do środka. Zgodnie z tym, co Frances mówiła wczoraj Grace, dziewczynka pragnęła przebywać na podwórzu za domem.

Obecna wizyta miała podobny przebieg do poprzedniej, z tą jedynie różnicą, że tym razem towarzyszyli im Sam i Harry.

Czy możemy porozmawiać na osobności, Grace? - zapytała cicho Cathy niemal w tej samej chwili, kiedy znalazły się na podwórzu.

Grace spojrzała na detektywa.

- Oczywiście - zapewnił. W milczeniu podziękowała mu skinieniem głowy.

Ruszyły wolnym krokiem w stronę tyłów ogrodu i domku kąpielowego za basenem. Z bliska pawilonik zdradzał oznaki zaniedbania. Okna były brudne po wiosennych ulewach, a wokół ścian pięły się porastające obrzeża trawnika chwasty. Obok białego stołu stały dwa krzesła z płóciennymi siedzeniami. Grace i Cathy usadowiły się na nich tyłem do basenu i do głównego budynku. Harry obwąchał teren wokół domku, a potem podbiegł do palmy i zadarł do góry nogę.

- Nie rozumiem - powiedziała Cathy bardzo cichym głosem. - Nie pojmuję, dlaczego to się dzieje. - Spojrzała Grace prosto w twarz. - Czy to wszystko stało się naprawdę?

- Niestety tak - odparła doktor Lucca.

- Te wydarzenia wydają mi się całkiem nierzeczywiste. - Nastolatka bezradnie pokręciła głową. - Nie potrafię nawet porządnie się wypłakać. Byłam okropnie niedobra dla cioci Frances. Straszliwie podła. A teraz ona nie żyje, a ja nie mogę już jej przeprosić.

- Ona rozumiała sytuację, Cathy.

- Nie sędę. Uważam, że jeszcze bardziej unieszczęśliwiłam ją moim zachowaniem.

Harry, czymś nagle zaintrygowany, skierował się w stronę miejsca nieopodal huštawek, gdzie czekał Sam. Grace nie musiała się martwić o bezpieczeństwo psa. Terier był stary i za mądry na to, ażeby skakać do basenu. A nawet gdyby to zrobił, już nieraz pływał w rzekach i w oceanie. W wodzie czuł się niczym zawodowy pływak.

- Co stanie się ze mną teraz, kiedy ciocia Frances nie żyje? - spytała Cathy. - Czy będę musiała zamieszkać w jednym z domów dziecka?

- Nie wiem. Czy twoja matka miała jeszcze jakichś krewnych?

- Tylko kilka kuzynek gdzieś w Kalifornii. Z żadną nie utrzymywała jednak kontaktów. I żadnej z nich nigdy nie poznałam ani nawet nie zamieniłam z nimi słowa. - Cathy zamilkła. - A może to nie ma znaczenia, ponieważ wsadzą mnie za kratki?

Grace nachyliła się do przodu, czując, jak zachwiała się jedna z nóg krzesła, i dotknęła lewej ręki Cathy.

- Nie grozi ci więzienie.

- Grozi, jeśli uznają, że to ja ich wszystkich zamordowałam.

- To wykluczone. - W stwierdzeniu Grace zabrzmiała absolutna pewność. - Znajdą tego, kto to zrobił. - Ze środka ogrodu dobiegały odgłosy zabawy. Sam rzucił piłkę i cichym głosem nakłaniał Harry'ego do jej przyniesienia. Terier nie gustował w aportowaniu, niemniej polecenie było wyraźnie słyszalne.

Cathy ponownie na nią spojrzała.

- Naprawdę nie wierzysz, że ja mogłam to zrobić?

- Nie wierzę, już ci mówiłam.

- Nadal tak uważasz? Nawet teraz? -Tak.

Doktor Lucca ponownie usłyszała głos Sama. Detektyw wołał Harry'ego, jednak tym razem odniosła wrażenie, że próbuje go od czegoś odwieść.

- Co Harry tam wyczynia? - zapytała i obejrzała się, usiłując osobiście to zobaczyć.

- Nie wiem - odrzekła dziewczynka.

- Hej, Harry! - Tym razem głos Sama zabrzmiał donośniej.

- Sam! - zawołała Grace. - Co on wyprawia?

- Nie bardzo widzę - odpowiedział Sam. - Myślę, że szuka czegoś w ziemi.

Grace spojrzała na Cathy.

- Pójdziemy zobaczyć?

- Tak, oczywiście. - Nastolatka zerwała się na nogi i, wyprzedzając Grace, ruszyła z powrotem w stronę domu. Pies znajdował się po lewej stronie ogrodu, za rzędem palm, w pobliżu dużej jacarandy i w typowy dla terierów sposób kopał dół w ziemi.

- Co robisz, Harry? - zawołała Grace.

- Czy zawsze tak się zachowuje? - spytał Sam.

Przecząco potrząsnęła głową.

- Przez te wszystkie lata tylko raz odgrzebał zakopaną kość. Harry kopał teraz zapamiętale, wydając z siebie ciche, entuzjastyczne piski.

- Wygląda jak gdyby na coś natrafił - zauważył Sam.

Grace popatrzyła na Cathy i dostrzegła w jej oczach zaciekawienie. A potem przeniosła spojrzenie na Sama i zauważyła, że on również przygląda się nastolatce.

Złe przeczucie ponownie dało znać o sobie.

- Znalazł coś! - Cathy jakby nagle obudziła się do życia. - Hej, co tam masz?  
- Upadła na kolana obok psa, zachwycona, jak dziecko, które jest świadkiem odkrycia skarbu.

Grace ogarnęły mdłości. Podniosła oczy. Sam patrzył na nią i w tym momencie uświadomiła sobie, że on także, chociaż jest policjantem, czuje się równie podle jak ona, i że najchętniej wzięłby nogi za pas i uciekł stąd, gdzie pieprz rośnie.

Ale nie mógł tego zrobić.

Harry zaszczekał.

- Co...? - Pytanie zamarło Cathy na ustach, a początkowy wyraz zdziwienia i zakłopotania na jej twarzy niemal w sekundzie przemienił się w prawdziwe przerażenie. Grace dostrzegła pobielające usta dziewczynki i zauważyła, że tamta zachwiała się na nogach. Podbiegła, ażeby uchronić Cathy przed upadkiem.

- Harry, odejdz - poleciał psu Sam.



- Harry, chodź tutaj - ponagliła Grace, stając przy Cathy.

Brzmienie głosu pani ostrzegło psa, że to nie zabawa, i odszedł od małej jamy w ziemi, którą wykopał. Sam już wyjmował z kieszeni rękawiczki. Włożył je szybko i wprawnie, a potem wydobyl plastikową torebkę do zabezpieczania dowodów. Grace zrobiło się przykro, kiedy zobaczyła, jak dobrze jest przygotowany - jak gdyby jadąc tutaj razem z nią i Cathy, liczył na łut szczęścia. Przykucnął, wydobyl z dziury znalezisko Harry'ego, otrzepał je z ziemi i umieścił w plastikowej torebce.

Nikt nie miał wątpliwości, co to jest.

TLR

# ROZDZIAŁ 24

---

Środa, 22 kwietnia 1998

Pogrzeb był wyjątkowo przygnębiający. Aż do ostatniej chwili nie wiadomo, czy Cathy uzyska zezwolenie na uczestniczenie w ceremonii. W końcu odpowiednie władze wyraziły zgodę, aby pojechała na cmentarz w drodze z ośrodka badań psychiatrycznych dla młodzieży - gdzie spędziła zeszłą noc oraz cały ubiegły dzień i gdzie została poddana ogólnym badaniom - do zakładu resocjalizacji dla nieletnich, mieszczącego się przy ulicy Dwudziestej Siódmej w Miami. Miała tam pozostać aż do procesu.

Pilnowana z dwóch stron przez funkcjonariuszy policji, trzymających ją pod ręce, wyglądała tak, jak gdyby przez noc straciła na wadze kilka kilogramów i tyle samo lat jej przybyło. Jej włosy, proste i przetłuszczone, były związane z tyłu i odsłaniały twarz, która wydawała się szokująco zmizerowana. Zarówno czarna bluzka, jak i spódnica były co najmniej o dwa numery za duże; w oczach Cathy malował się wyraz zdziwienia i strachu. Nieopodal dziewczynki stał mężczyzna w ciemnym garniturze, który od czasu do czasu posyłał jej uspokajające spojrzenia. Grace domyśliła się, że to pewnie adwokat, którego zaangażowała Frances Dean po zabójstwie Beatrice Flager. Wyglądał na prawnika, miał około czterdziestu pięciu lat, mocną budowę ciała, zakrzywiony nos, błękitne oczy o świdrującym spojrzeniu oraz ciemne, kręcone włosy ostrzyżone w sposób, który podkreślał zgrabny kształt głowy. Doktor Lucca całym sercem żywiła nadzieję, że ten człowiek jest najlepszym prawnikiem specjalizującym się w sprawach kryminalnych.

- Witaj, Grace - powiedziała cicho Cathy, kiedy się do niej zbliżyła.

- Witaj, Cathy. - Starła się nie widzieć skutych kajdankami nadgarstków nastolatki ani funkcjonariuszy po obu stronach i utkwiała wzrok w masce, w jaką zamieniła się jej twarz. - Trzymasz się jakoś?

- Chyba tak. - Cathy przełknęła ślinę. - Cieszę się, że jesteś tutaj.

- Oczywiście, że jestem. - Grace wyciągnęła rękę, żeby dotknąć ramienia dziewczynki. - Zamierzam być przy tobie aż do czasu wyjaśnienia sprawy.

Cathy nic nie odpowiedziała. Wyglądało na to, że nie jest w stanie ponownie się odezwać. Pośpiesznie i lękliwie obejrzała się na ciemnowłosą nastolatkę stojącą niedaleko. Grace domyśliła się, że to przyjaciółka, Jill, którą widziała na jednej z fotografii w dawnym pokoju Cathy. Jill zdobyła się na przelotny, wymuszony uśmiech, lecz zaraz, prawdopodobnie na skutek interwencji towarzyszącej

jej kobiety, odwróciła głowę w drugą stronę i utkwiała wzrok w ziemi. Kątem prawego oka doktor Lucca dostrzegła Sama. Stał obok nieznanego mężczyzny - prawdopodobnie również detektywa albo jednego ze swoich przełożonych. Sam dostrzegł ją, skinął głową i posłał ledwo zauważalny uśmiech, ale nie zrobił kroku w jej stronę. Grace nie po raz pierwszy pomyślała, że być może, bez względu na jego prywatne odczucia, znaleźli się teraz po przeciwnych stronach barykady.

Trwała uroczystość żałobna. Było upalne, deszczowe popołudnie, a powietrze wydawało się nasycone wilgocią. Nie słuchając słów modlitwy, Grace intensywnie zastanawiała się nad tym, który aspekt ceremonii uważa za najbardziej pośepny. Czy dwie proste trumny z błyszczącego drewna, które zostały złożone do ziemi? Czy fakt, że najważniejszy żałobnik jest w kajdankach? A może całkowite odosobnienie Cathy? Jeśli nawet w pogrzebie uczestniczyli jacyś krewni albo przyjaciele dziewczynki, nikt do niej nie podszedł. Grace nie mogła się oprzeć refleksji, że osoba zarażona tyfusem otrzymałaby więcej fizycznego ciepła od innych ludzi niż teraz Cathy. Czy też przygnębiająca była świadomość, że w stosunkowo krótkim czasie odbędzie się kolejny pogrzeb i prawdopodobnie będzie miał niemal identyczny charakter?

Sytuacja stała się jeszcze gorsza wkrótce po zakończeniu ceremonii, kiedy to przedstawiciele mediów, którzy dotychczas trzymali się z dala przez wzgląd na szacunek dla zmarłych, wreszcie wtargnęli na scenę niczym wypuszczone z rzeźni oszalałe stado bydła. Cathy, pomimo usilnych starań mężczyzny w ciemnym garniturze i policjantów, została nagle otoczona przez żądnych wieści dziennikarzy, reporterów stacji telewizyjnych oraz ekipy kamerzystów. Doktor Lucca instynktownie cofnęła się przed napierającym tłumem. Kiedy dziewczynka została z powrotem wsadzona do czarnej limuzyny, którą przyjechała, Grace raz jeszcze dostrzegła w przelocie jej twarz. W błękitnych oczach nastolatki malowało się teraz najprawdziwsze przerażenie. Grace była pewna, że wizerunek Cathy w momencie, kiedy dziennikarze podsuwają jej pod nos tuzin mikrofonów, rozbrzysnie wieczorem na ekranach wszystkich domów, a nazajutrz, w porze śniadania, pojawi się na pierwszych stronach wszystkich lokalnych gazet, niewykluczone że także dzienników ukazujących się poza Florydą.

Myśl ta przyprawiła ją o mdłości.

# ROZDZIAŁ 25

---

Piątek, 24 kwietnia 1998

Dopiero po upływie dwóch dni doktor Lucca otrzymała zezwolenie na ponowne widzenie się z Cathy - tym razem w małym, zamkniętym pokoju w budynku zakładu resocjalizacji dla nieletnich. Jak dotychczas Cathy była podejrzana o zabójstwo pierwszego stopnia Marie i Arnolda Robbinsów oraz Frances Dean. I w umysłach większości ludzi nie pozostał cień wątpliwości, że mogłoby się wydarzyć jeszcze cokolwiek. Kaucja, jak się dowiedziała Grace, nie wchodziła w rachubę.

Potwierdzono, że odkopany przez Harry'ego skalpel jest brakującym srebrnym narzędziem z kolekcji, jaką dziewczynka dostała w spadku po Johnie Brodericku, swoim rodzonym ojcu. Nie odkryto wyraźnych odcisków palców, ale na ostrzu wciąż znajdowały się ślady krwi i mózgu Frances Dean. Był to, o czym Sam ze smutkiem poinformował Grace po pogrzebie, dymiący pistolet, o którego zdobyciu marzą każdy oficer policji i prokurator stanowy.

Grace długo przekonywała Sama, że znalezienie narzędzia zbrodni jeszcze niczego nie dowodzi.

- Przecież to Cathy chciała przyjechać do domu - przypomniała mu nie po raz pierwszy. - I to ona nalegała, żebyśmy wyszli razem na podwórze.

- Wiemy także, i jak powiedziałaś, jej ciotka również była tego świadoma, że dziewczynka niejednokrotnie tam jeździła od czasu waszej pierwszej wspólnej wizyty. Może Cathy odczuwała nieprzepartą potrzebę wracania do domu?

- Ale nie w naszym towarzystwie - obstawała przy swoim Grace. - I z pewnością nie w dniu, kiedy, według twoich ludzi, zakopała tam narzędzie zbrodni.

- Proponując wyjazd do domu, Cathy nie wiedziała, że pojedę razem z wami - zauważył Sam. - Niektórzy sądzą, że może chciała zostać złapana. - Umilkł na moment. - Albo zależało jej na tym, ażeby ktoś ją powstrzymał.

Skalpel nie był jedynym cennym z punktu widzenia oskarżyciela znaleziskiem, na jakie natrafiono tego wtorku. Pół godziny po zabezpieczeniu, sfotografowaniu i opisaniu przez Sama nowego dowodu, a także powiadomieniu o nim ekipy kryminalistyki, prokuratora stanowego, jak również wydziałów policji w Coral Gables oraz w Miami, Harry'ego zastąpili profesjonaliści i po niespełna dwóch godzinach została odkopana para gumowych rękawiczek do prac domowych w odległości niespełna trzech metrów od pierwszej jamy. Były identyczne

z używanymi w kuchni Frances Dean, obie usmarowane krwią i ziemią. Znajdowały się na nich zamazane odciski palców - w tym Frances Dean i Cathy. Przypuszczalnie osoba, która je zakopała, umyła ręce w basenie Robbinsów. Spuszczono z niego wodę, a wszystkie filtry zostały dokładnie sprawdzone, ale nie znaleziono niczego o rozstrzygającym znaczeniu.

Cathy zeznała podczas przesłuchania, że będąc u ciotki, wielokrotnie używała do zmywania gumowych rękawiczek. Skoro więc pochodziły z domu Frances, musiały znajdować się na nich - zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz - jej odciski palców. Nie oznaczało to jednak, że zabrała rękawiczki z Coral Gables, ażeby je wykorzystać w środku nocy do zakopania w Miami narzędzia zbrodni. Poza tym, w jaki sposób miałyby dotrzeć z domu ciotki pod swój dawny adres, skoro nie umiała prowadzić samochodu, a żaden autobus nie kursował nocą?

Grace dowiedziała się o tych pytaniach Cathy, ponieważ w rozmowie z Samem wyraziła te same wątpliwości.

- Zatelefonowała pod numer 911 tuż po siódmej rano - powiedział Sam. - A lekarz sądowy stwierdził, że śmierć nastąpiła około drugiej w nocy. Oznacza to, że Cathy mogła wrócić na czas do domu Frances z Pine Tree Drive i udawać, że zaraz po przebudzeniu zawiadomiła policję.

- A w jaki sposób, twoim zdaniem, przebyła tę drogę? - zapytała Grace, starając się przezwyciężyć ucisk w żołądku. - Jestem pewna, że gdyby zatelefonowała po taksówkę, już byś o tym wiedział. A może przypuszczasz, że miała jakiegoś tajemniczego kierowcę?

- Niczego nie przypuszczam - odparł Sam. - W centrali taksówkowej nie zostało zarejestrowane żadne wezwanie. Wcześniej również nikt nie zamawiał kursu. Nie można jednak wykluczyć, że Cathy nauczyła się prowadzić samochód - wiele nastolatków w jej wieku to potrafi. Gdyby jednak wzięła w nocy samochód ciotki, funkcjonariusze patrolujący ulice w tamtym rejonie zauważyliby go. - Sam umilkł. - Mogła natomiast pojechać rowerem i cicho dotrzeć na nim do miejsca przeznaczenia. To jedyne rozsądne wytłumaczenie. Powiedziała, że przed dwoma tygodniami zabrała z domu swój rower.

- Miałyby pojechać tam na rowerze? - Gdyby Grace nie była aż tak wściekła, wyśmiałyby ten pomysł. - Poruszając się w środku nocy autostradą MacArthura?

- Niewykluczone - odrzekł Sam cicho, choć dowodzenie własnych racji nie sprawiło mu zadowolenia. - Cathy mogła pokonać tę odległość w godzinę, a może w nieco dłuższym czasie. Zakładając, że około drugiej trzydzieści wyjechała z Granada Boulevard, dotarła do domu za kwadrans czarta, zakopała narzędzie zbrodni wraz z rękawiczkami, a piętnaście po czwartej opuściła Pine Tree Drive i około piątej trzydzieści mogła być z powrotem na miejscu.

Grace zapytała, czy ktoś widział czternastoletnią blondynkę, która tamtego ranka jechała szosą na rowerze. Okazało się, że nikt. Ale nikt też się za nią nie rozglądał. Grace chciała wiedzieć, czy zostały znalezione jakieś dowody na to, że Cathy odbyła wtedy tak długą i żmudną rowerową przejażdżkę.

- Cathy jest silną dziewczyną - przypomniał jej Sam. - Oboje widzieliśmy w jej pokoju trofea za zwycięstwa w biegach. Poza tym, jeśli wróciła o piątej trzydziści, miała mnóstwo czasu, aby wziąć prysznic i odpocząć przed zawiadomieniem policji o siódmej rano.

Jeśli Cathy przedtem wydała się Grace oszołomiona i przerażona, to obecnie sprawiała wrażenie całkowicie zagubionej. Kiedy Grace przybyła, nastolatka rzuciła jej się w ramiona i płakała przez kilka minut, chociaż nie wpadła w histerię. Grace przekonała się już, że Cathy Broderick Robbins nie przejawia skłonności do tego typu zachowania. Prawdę mówiąc, doktor Lucca nawet nie starała się zrozumieć, w jaki sposób ta dziewczynka jeszcze się trzyma i jest w stanie to wszystko przetrwać. Przez większość czasu przebywała z dala od innych osób w zakładzie, a noce spędzała zamknięta na klucz w pojedynczej celi.

- Zabierz mnie do domu - poprosiła Cathy, gdy przyprowadzono ją do małego, strzeżonego pomieszczenia, które zostało im udostępnione na czas wizyty Grace.

Zaraz jednak przypomniała sobie, że nie ma dokąd pójść i przestała prosić. Jej zachowanie przywodziło na myśl reakcję po otrzymaniu ciosu w splot słoneczny. W chwili kiedy nastolatka uświadomiła sobie, że obecnie doktor Lucca nic nie może dla niej zrobić oprócz zaoferowania słów pociechy i obietnicy, że dołoży wszelkich starań, ażeby jej pomóc, Cathy zamknęła się w sobie.

- Ciągle to samo, jak wtedy po tej historii ze złotymi rybkami - powiedziała cichym i chrapliwym głosem. - Wtedy też nikt mi nie uwierzył.

Po tym stwierdzeniu nie odezwała się już ani słowem.

Grace pojechała do miejskiego szpitala w Miami, aby zdobyć najświeższe informacje o stanie zdrowia Davida. Wiedziała, że został już przeniesiony z oddziału intensywnej opieki medycznej, oraz że, dzięki Bogu, przestał gorączkować i odzyskał przytomność. Ani Sama, ani młodego Saula nie było na sali. Tylko Judy Becket nie odstępowała męża.

Zerwała się na równe nogi w chwili, kiedy Grace weszła do pokoju.



- Doktor Lucca. - Na ustach tej eleganckiej kobiety nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

Miała podkrążone oczy, a zbyt obszerna beżowa bluzka świadczyła o gwałtownej i niezdrowej utracie wagi, jaka często towarzyszy wstrząsającym przeżyciom i długotrwałemu stresowi.

- Jak on się czuje? - spytała Grace.

- Czego pani sobie życzy? - Judy Becket stanęła pomiędzy nią a łóżkiem.

Grace nie mogła zobaczyć twarzy Davida, chyba że przechyliłaby głowę na bok. Słyszała tylko jego ciężki oddech.

- Przyszłam odwiedzić doktora Becketa - wyjaśniła. - Pomyślałam, że jeśli nie będzie pani temu przeciwna, będę mogła przez jakiś czas przy nim posiedzieć.

- Jestem przeciwna, i to bardzo.

- Wiem, że potrzebuje spokoju. - Jawna wrogość tej kobiety powaliła Grace z nóg. - Obiecuję, że jedynie posiedzę, nic więcej.

Judy Becket nie odpowiedziała. Podniosła jedynie prawą rękę i wskazała na korytarz. Grace nie pozostało nic innego, tylko wycofać się z pokoju. Judy wyszła za nią, bardzo cicho zamykając za sobą drzwi.

- Doskonale wiem, co jest głównym powodem pani troski o samopoczucie mojego męża - oświadczyła. - Zależy pani na jego wyzdrowieniu, ażeby mógł oczyścić z podejrzeń to podłe dziecko, które darzy pani tak wielką sympatią. - W oczach kobiety błyszczała złość. - A może ma pani nadzieję na to, że nigdy nie wróci do zdrowia, ponieważ mógłby potwierdzić, że to Cathy Robbins zadała mu cios?

- Myli się pani - odpowiedziała Grace, oszołomiona napastliwością matki Sama. - Jest pani w wielkim błędzie, pani Becket. - Nie miała ochoty jeszcze bardziej podsycać tej burzliwej rozmowy, zaniechała więc dalszego odpierania zarzutów. Bóg świadkiem, że doskonale rozumiała gniew tej kobiety.

- Wcale nie jestem tego pewna, doktor Lucca. - W głosie Judy było teraz słychać lekkie drżenie i na moment musiała zacisnąć usta, nim podjęła dalszą wypowiedź: - Szczerze mówiąc, sama nie wiem, w co wierzyć. Pewne jest tylko to, że chcę, ażeby nie przeciągała pani dłużej tej wizyty.

- W takim razie już stąd wychodzę - oświadczyła Grace. - Moje dzisiejsze odwiedziny nie są związane z sytuacją Cathy Robbins. Mam nadzieję, że mi pani uwierzy. Znam od dawna pani męża, pani Becket. Jestem dla niego pełna podziwu i darzę go ogromnym szacunkiem.

- Przez wzgląd na szacunek dla mnie, proszę niech już pani idzie. Grace odeszła pośpiesznie. Paliła ją twarz i piekły oczy. Czuła się tak, jak gdyby ktoś ją spoliczkował. Na końcu korytarza zobaczyła wyłaniającą się zza rogu wysoką, ciemną sylwetkę i w pierwszej chwili pomyślała, że to Sam. Miała nadzieję, że to on, bardzo pragnęła go spotkać i porozmawiać z nim, aby się upewnić, że nie podziela odczuć swojej przybranej matki. Z drugiej jednak strony ogarnęła ją ogromna ulga, kiedy przekonała się, że to kto inny. Nie chciałyby się dowiedzieć, że Sam również żywi do niej urazę o dalsze wspieranie dziewczynki podejrzanej o ugodzenie ostrym narzędziem jego ojca.

Jerry Wagner, mężczyzna w ciemnym garniturze, widziany przez Grace na pogrzebie Robbinsów, był obrońcą, którego przed śmiercią zaangażowała Frances Dean. Problem podjęcia decyzji co do kontynuacji powierzonego mu zadania okazał się dla niego pod wieloma względami bardzo złożony. Po pierwsze, teoretycznie Wagner był prawnikiem Frances Dean - a więc jednej z domniemyanych ofiar Cathy. Z zadowoleniem uznał jednak, że nie dostrzega sprzeczności interesów, ponieważ jako prawnik zajmujący się sprawami karnymi, nigdy osobiście nie miał do czynienia ze zmarłą Frances Dean. Został jej tylko polecony przez Michaela Dough-ty'ego - adwokata, który zarządzał majątkiem denatki i był jego partnerem w firmie prawniczej. Po drugie, pozostawała sprawa honorarium, która dla Jerry'ego Wagnera miała niebagatelne znaczenie. Otrzymał, co prawda, zaliczkę od ciotki Cathy, lecz po wyczerpaniu się tych pieniędzy - a w przypadku tak złożonej i poważnej sprawy z pewnością musiało to niebawem nastąpić - istniało ryzyko, że nie będzie dostępnych środków finansowych na jego wynagrodzenie. Nie wiedział jeszcze, czy Frances w testamencie zapisała wszystko Cathy. Ale nawet gdyby to zrobiła - Marie Robbins pozostawiła swój majątek córce - to w przypadku uznania dziewczyny za winną zamordowania własnej matki i ciotki było mało prawdopodobne, że sąd wyrazi zgodę na korzystanie przez oskarżoną ze spadku po przedwczesnej śmierci testatorek.

Jerry Wagner, jak każdy prawnik, lubił pieniądze, ale cenił też sobie rozgłos. A wszystko wskazywało na to, że sprawa Cathy Robbins długo będzie znajdować się w centrum zainteresowania mediów. Już nazajutrz po aresztowaniu dziewczyny w prasie pojawiły się liczne nagłówki: „Koszmar na ulicy milionerów... Dziedziczka sieci restauracyjnej morduje mamę, tatę i ciotkę... Kilkunastoletni potwór z Miami Beach”. Przy tak wielkim zainteresowaniu środków przekazu firmy prawnicze zaczęły ustawiać się w kolejce, by poprowadzić tę sprawę *pro bono*. A tymczasem Jerry Wagner już miał ją w swoich rękach i nie zamierzał jej nikomu oddawać.

Po upływie pięciu dni od momentu, kiedy Cathy została aresztowana, doktor Lucca umówiła się na rozmowę w biurze Wagnera - w eleganckiej kancelarii, mieszczącej się w wąskim domu z ciemnego drewna przy Bri-ckell Avenue. Na ogromnym, wypolerowanym na wysoki połysk biurku panował nienaganny porządek. Cały gabinet był bastionem dobrego smaku. Jednak od momentu kiedy Grace weszła do środka, a adwokat posadził ją w wygodnym skórzanym fotelu i poczęstował filiżanką wyśmienitej kawy, pomyślała, że z jakichś osobliwych powodów wołałaby znaleźć się w znacznie skromniejszym, bardziej zaniedbanym i może nawet trochę zwariowanym, ale tętniącym życiem otoczeniu, które świadczyłoby o pasji i ewidentnym zawodowym zaangażowaniu, które, o czym wiedziała, będzie bardzo potrzebne Cathy.

- Rozumiem, doktor Lucca, że chce nam pani pomóc? - Wagner był przyjaźny, ale protekcyjny.

- W każdy możliwy sposób - zapewniła go Grace.

- Oczywiście zdaje sobie pani sprawę z tego, że Cathy prawdopodobnie zostanie przydzielony psycholog z urzędu - poinformował ją. - Teraz, kiedy jej ciotka nie żyje, znajduje się pod opieką władz stanowych i to one w najbliższej przyszłości będą się troszczyć o jej dobro.

- Jestem świadoma tego faktu - oświadczyła. - Mam jednak nadzieję, że dzięki dobrym stosunkom, jakie udało się nam obu zbudować, uzyskam zezwolenie na dalszą pracę z nią. Myślę, że Cathy mi ufa, panie Wagner, i jest to wzajemne zaufanie. - Umilkła. - Z tego powodu, jeśli będzie pan chciał przedstawić opinię eksperta z dziedziny psychologii, który zechce zeznawać przed sądem, spodziewam się, że pomyśli pan o mnie.

- Doceniam pani propozycję, doktor Lucca - odpowiedział adwokat. - I w przyszłości będziemy pani niewymownie wdzięczni za współpracę, ale na razie daleko jeszcze do terminu rozprawy. Sprawa wciąż nie została rozpatrzona. Jeśli zostanie wniesiony akt oskarżenia i będziemy musieli przygotować się do procesu, obie strony powołają przynajmniej po dwóch psychologów sądowych, żeby zbadali Cathy.

- Pracowałam kiedyś jako biegły sądowy - podkreśliła Grace. - Zarówno na wniosek obrony, jak i władz stanowych.

- Przypuszczam jednak, że nie w sprawie o zabójstwo. - Jego oczy o bystrym spojrzeniu miały czujny wyraz.

- To prawda - musiała przyznać Grace.

Wagner lekko pochylił się do przodu, jak gdyby zamierzał podjąć rozmowę na poufne tematy.

- Pozwoli pani, że spytam ze zwykłej ciekawości, jaką opinię ma pani nadzieję wydać w sprawie Cathy?

Nie miała żadnego problemu z odpowiedzią na to pytanie.

- Oświadczę w sądzie, że nie wierzę, ażeby Cathy była winna zabójstw, ani w to, że jest niezrównoważona czy też psychicznie chora.

Wagner w zamyśleniu złożył ręce i podparł brodę na swoich wypięłognowanych palcach.

- Na jakiej podstawie opiera pani swoją opinię, pani doktor?

- Na rozmowach, jakie odbyłam z Cathy przed jej aresztowaniem -wyjaśniła opanowanym głosem Grace. - A także, mam nadzieję, na tych sesjach, jakie mamy jeszcze przed sobą.

Złożone dłonie rozdzieliły się i prawnik powrócił do poprzedniej pozycji.

- Jest mi przykro, że muszę to powiedzieć, doktor Lucca, ale sądząc po tym, jak obecnie stoją sprawy, pani zeznanie może okazać się niewystarczające do oczyszczenia Cathy z zarzutów. Byłbym kłamcą, gdybym nie poinformował pani, że sytuacja wygląda niewesoło.

W Grace wezbrała fala niepokoju.

- Cathy nie przyznała się do winy, prawda?

- Prawda.

- Czy pan jej wierzy, panie Wagner?

- Moja klientka powiedziała mi, że nie popełniła tych zbrodni. Doktor Lucca nie zamierzała zadowolić się tym wyjaśnieniem.

- Wierzy jej pan, czy nie?

- Jestem obrońcą Cathy. - Wagner nie przejął się jej dociekliwością. -I zostałem zaprzysiężony do występowania w jej imieniu. Mogę panią zapewnić, że zamierzam zrobić wszystko i wykorzystać wszelkie dostępne środki, ażeby wywiązać się z tego obowiązku.

- A więc nie odrzuca pan mojego świadectwa? - spytała Grace.

- Absolutnie niczego nie odrzucam, doktor Lucca - odrzekł. - Uważam tylko, że pora jest zbyt wczesna na wykonywanie jakichkolwiek ruchów z wyjątkiem rozważenia wszelkich opcji. Jak już wspomniałem, na obecnym etapie sąd nie orzekł jeszcze, czy sprawa trafi na wokandę.

- A jeśli weźmiemy pod uwagę najgorszy scenariusz? - Grace czuła potrzebę drażnienia tematu, niepewna kiedy i czy w ogóle będzie miała okazję ponownie spotkać się z prawnikiem. - I Cathy zostanie postawiona w stan oskarżenia?

- Rozpatrując najgorszy scenariusz - podjął jej wątek myślowy Wagner - w przypadku braku jakiegokolwiek pewnego dowodu przemawiającego za niewinnością mojej klientki, niewykluczone że zostaniemy zmuszeni oprzeć obronę na jej niepoczytalności.

- Ależ Cathy jest w pełni władz umysłowych! - Grace była przerażona.

- Okoliczność ta niekoniecznie musi okazać się dla niej pomyślna, jak obecnie jest skłonna pani sądzić, doktor Lucca - oświadczył adwokat. - Jeśli nie znajdziemy sposobu oczyszczenia Cathy z zarzutów - a proszę mi wierzyć, każdy członek mojego zespołu stanie na głowie, ażeby tego dokonać - wtedy oparcie obrony na niepoczytalności mojej klientki może okazać się jedynym sposobem na uchronienie jej przed więzieniem.

Tego samego wieczora, kiedy Grace smażyła omlet, zatelefonował Peter Hayman.

- Doszły mnie najświeższe wieści - oznajmił. - Jak sobie dajesz z tym radę?

- To nie ja zostałam aresztowana.

- Przypuszczam, że nie ma sensu pytać, jak Cathy to znosi.

- Tak, jak się można tego spodziewać. - Grace umilkła. - Spodziewam się, że uzyskam zezwolenie na dalsze widywanie się z nią.

- Masz na myśli wizyty zawodowe?

- Tak, najchętniej, chociaż, jeśli będę zmuszona, zadowolę się prywatnymi odwiedzinami.

- Odnoszę wrażenie, że jesteś zdenerwowana - zauważył Hayman.

- Rzeczywiście jestem. - Wetknęła bezprzewodowy telefon pomiędzy brodę a prawe ramię i trzymając w obu dłoniach patelnię, obróciła omlet w powietrzu.



- Wygląda na to, że w ogóle nie pomogłam temu biednemu dziecku, Peter. A teraz, kiedy Cathy jest uwikłana w biurokratyczne przepisy, nie widzę sposobu, abym mogła poprawić jej sytuację.

- Czyż w naszym zawodzie to się nie zdarza, Grace? - spytał psychiatra. - Czyż przez długi czas nie wydaje się nam, że niczego nie osiągnęliśmy? I czy wечно nie marzymy o tym, ażeby pozytywne zmiany, będące efektem naszych poczynań, nie następowały szybciej, niż to zwykle bywa?

- Moi pacjenci na ogół nie są zamykani w areszcie dla młodocianych przestępców ani podejrzewani o trzykrotne popełnienie morderstwa pierwszego stopnia. - Grace nachyliła się, ażeby wyjąć z piekarnika podgrzany talerz i wywracając patelnię, zrzuciła na niego omlet. Jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki Harry, którego zapach jedzenia przyciągał niczym magnes, pojawił się u boku swej pani. Była to jego ulubiona potrawa - omlet z plasterkami *prosciutto*.

- Czy nadal zastanawiasz się nad udziałem ojca dziewczyny w tej historii? - spytał Hayman.

- Nie przestałam brać takiej ewentualności pod uwagę - odpowiedziała. - Chociaż od czasu kiedy widzieliśmy się ostatnio, nie pojawił się żaden dodatkowy powód, który utwierdziłby mnie w słuszności takiego rozumowania.

- Biedna Grace.

- Biedna Cathy.

Nim zakończyli rozmowę, Peter zaoferował swoją pomoc. Powiedział, że kiedy tylko będzie miała ochotę skorzystać z jego rady przy analizowaniu nowej teorii, czy po prostu się wygadać, zawsze postara się być do dyspozycji i jej wysłuchać. A jeśli, dodał, Grace kiedykolwiek będzie chciała zafundować sobie kilka dni prawdziwych wakacji, powinna zawsze pamiętać o tym, że jego łódź żaglowa czeka w Key Largo gotowa do wyruszenia w rejs.

- Na pewno wiesz, że nie ma lepszego sposobu na odprężenie się niż żeglowanie.

Grace od dawna nie otrzymała tak kuszącej propozycji.



# ROZDZIAŁ 26

---

Wtorek, 28 kwietnia 1998

Sam zjawił się we wtorek wieczorem o szóstej trzydzieści. Dopóki Grace nie otworzyła frontowych drzwi i nie zobaczyła ponownie jego wysokiej, barczystej sylwetki, czekoladowej twarzy o wydatnych rysach oraz ciepłych, zmęczonych oczu, nie pojmowała - a może, po prostu, nie dopuszczała tego do świadomości - jak bardzo ten mężczyzna ją pociąga. I jak bardzo zawrócił jej w głowie.

- Dobry wieczór - powiedział, wciąż stojąc w drzwiach.

- Witaj.

- Czy mogę wejść?

- Oczywiście.

Cofnęła się, usuwając z drogi. Miał na sobie dżinsy, biały podkoszulek, sportową marynarkę oraz zwykłe skórzane buty. Jego woda po goleniu wydzielala przyjemny, leśny zapach. W chwili kiedy Grace zamknęła drzwi, w holu pojawił się Harry i zamerdał swoim krótkim, grubym ogonem. Sam przykucnął obok niego.

- Twój widok uradował nas oboje - powiedziała Grace. - Jak się czuje tata?

Sam targał palcami białą, skreconą sierść Harry'ego dokładnie tak, jak pies najbardziej to lubił.

- Lekarze wierzą, że zdołają zbić gorączkę. Nikt jednak nie jest w stanie przewidzieć, kiedy ojciec całkowicie odzyska przytomność, a także kiedy zacznie mówić i chodzić.

- Wybrałam się do niego w odwiedzin. - Grace nie była pewna, czy powinna o tym wspominać.

- Wiem. - Sam się wyprostował. - Przykro mi z powodu tego, co usłyszałaś od mamy.

- Rozumiem ją.

- W przeciwieństwie do mnie.

- Sądzi, że Cathy jest winna, a ja nadal trzymam jej stronę. Nie mogę winić twojej matki za rozgoryczenie, jakie w związku z tym odczuwa.

- Widziałem kwiaty, które przysłałaś. Są śliczne. Grace podniosła na niego wzrok.

- Zostaniesz na kolacji?

- Czy na pewno tego chcesz?

- Nigdy niczego nie byłam bardziej pewna.

Większość czasu spędzili w kuchni. Grace nakarmiła Harry'ego, upiekła ziemniaki w mikrofalówce, wymieszała sałatkę i upiekła na rożnie steki, które podała wraz z bochenkiem chrupiącego chleba. Jedli z apetytem. Grace zauważyła, że Sam zawsze wydaje się głodny. Rozmawiali o błahostkach, odwlekając chwilę podjęcia tematu, który zaprzętał myśli ich obojga.

Grace poruszyła go pierwsza. Uznała, że najwyższa pora, aby poinformować Sama o tym, co jego ojciec przekazał jej dwa dni wcześniej, zanim został zaatakowany w swoim gabinecie. Wysłuchał jej uważnie. I póki nie skończyła opowiadać o wszystkich groźnych poczynaniach Johna Brodericka, ani razu się nie odezwał.

- O tym chciałaś ze mną pomówić w sobotę rano, prawda? - spytał.

- Tak, ale nie byłeś w zbyt towarzyskim nastroju.

- Masz rację. - Umilkł. - W niedzielę wypadła rocznica śmierci mojego syna. To mnie nie usprawiedliwia, ale kiedy zbliża się ta data, zawsze zaczynam tracić głowę.

- Och, Boże - powiedziała cicho Grace. - Bardzo mi przykro, Sam. Wzruszył ramionami.

- To już minęło.

- A obecnie martwisz się o ojca.

- Tak - przyznał. - Powinienem być cię wysłuchać.

- Rozumiesz teraz, dlaczego upewniałam się, czy sprawdziłeś okoliczności śmierci Brodericka? I dlaczego trapi mnie to, że jego ciało nie zostało znalezione?

- Nie jesteśmy pewni - podkreślił. - Może jego zwłoki, wyrzucone gdzieś na brzeg - niewykluczone, że nawet poza granicami naszego stanu - nie zostały zidentyfikowane.

- Czy osoby zaginione nie figurują w rejestrach komputerowych?

- Zdarzają się pomyłki i ludzie zostają pogrzebani w niewłaściwych miejscach. - Zmierzył ją baczным spojrzeniem. - Pozorowane samobójstwa również są odnotowywane, Grace. Oczywiście, możesz mieć rację. Zwykle jednak u ich podłoża leży jakaś istotna przyczyna, głównie natury finansowej. Bardzo dokładnie zbadałem okoliczności śmierci Johna Brodericka. Zostawił list, aby nie było wątpliwości, gdy Marie albo jakaś inna osoba zacznie rościć sobie prawo do jego polisy ubezpieczeniowej na życie. Niemal wszystko, co posiadał, zostawił swojej matce, zamieszkałej w Fort Lauderdale...

- Czy ona jeszcze żyje?

- Nie. Umarła przed trzema laty - odparł Sam.

- Czy nie uderzył cię dość osobliwy fakt, że niemal wszystko zapisał matce, a swojej pięcioletniej córce zostawił w spadku tylko narzędzia chirurgiczne?

- Przyznaję, że trudno to nazwać uroczą pamiątką - zgodził się Sam. Po głowie Grace wciąż galopowały gorączkowe myśli.

- Nie zawsze pieniądze są powodem upozorowanego samobójstwa, prawda? Przeciwno Broderickowi toczyło się śledztwo - czekały go poważne kłopoty. Mógł stracić pracę, a nawet pójść do więzienia.

- A więc uważasz, że czmychnął?

- Dlaczego nie? Jeśli nie potrafił stawić czoła rzeczywistości?

- Myślę, że to doskonały powód do popełnienia samobójstwa.

- Może tak, a może nie - odpowiedziała.

Sam zczekał, aż Grace zaparzy kawę, a gdy zaczęła napełniać filiżanki, obwieścił jej doniosłą nowinę. zaproponował, żeby zostali w kuchni, zamiast wychodzić na pomost, ponieważ ma coś, co jego zdaniem, powinna zobaczyć.

- Znalazłem dziennik Cathy w jej komputerze. Grace poczuła, że żołądek podjeżdża jej do gardła.

- Był to rodzaj notatek. Zabrała ze sobą komputer do domu ciotki. Program został zabezpieczony hasłem, ale nasi specjaliści je złamali.

Grace zdążyła przedtem podnieść filiżankę do ust. I teraz musiała ją odstawić.

- Hasło brzmiało: Nienawiść - powiedział Sam.

- A niech to diabli!

- Tak. Paskudna sprawa - przyznał.

- I co? - Spojrzała na niego poprzez stół. - Czy mam przez to rozumieć, że dziennik jest kolejnym prezentem dla prokuratora stanowego? -W jej tonie brzmiała gorycz.

- Rzeczywiście przekazanie go prokuratorowi było pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy.

- Mów, co jeszcze odkryliście.

- Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć?

Grace pomyślała nagle nie o swojej sytuacji, lecz jego.

- Czy wolno ci dzielić się ze mną tego rodzaju informacjami?

- Prawdopodobnie nie - odrzekł. - Ale nikomu o tym nie powiem i mam nadzieję, że ty też nie.

- Oczywiście, że nie.

Zanim usiedli do kolacji, zdjął marynarkę. Teraz z wewnętrznej kieszeni ubrania wyjął złożone arkusze papieru maszynowego i rozłożył je przed Grace na kuchennym stole.

Były to trzy zapiski o doniosłym znaczeniu.

Pierwszy, datowany na ostatni dzień marca, na dwa dni przed zabójstwem Marie i Arnolda Robbinsów, był następującej treści:

Widzę ich twarze, widzę, jak uśmiechają się do mnie i przypominam sobie, co mi zrobili; co naprawdę do mnie czują. Nienawidzę ich. Naprawdę ich nienawidzę. Myślę, że już dłużej nie zdołam tego wytrzymać.

Drugi, z 9 kwietnia, a więc dzień po zabójstwie Beatrice Flager, głosił:

Nie powinna była mi tego robić. Mogła pilnować własnego nosa. Zawsze była podłą suką.

- Jest jeszcze jeden - powiedział Sam. - To ostatnia notatka w dzienniku.

Grace wirowało w głowie. Nie ufała sobie na tyle, ażeby się odezwać. Sam położył ostatnią kartkę na dwóch poprzednich.

Czuję się tak, jak gdybym za chwilę miała eksplodować. Nikt mi nie wierzy.

Nikt *nigdy* mi nie wierzył.

Wiem, że jestem teraz zdana wyłącznie na siebie. Może zawsze byłam.

- Ten zapis pochodzi z 18 kwietnia. - Sam potwierdził najgorsze obawy Grace.

- I od tej pory nie było żadnych nowych?- spytała cicho drżącym głosem.

- Żadnych.

- Domyślam się,

- Przypuszczam, że nie.

Grace zastanawiała się przez chwilę. Czowała, że ma pustkę w głowie. Nagle uderzyła ją nowa myśl.

- Czy w komputerze nie znaleziono żadnych notatek, które mogłyby się odnosić do jej ojca?

Sam przecząco pokręcił głową.

- Czy to nie trochę dziwne?

- Może i tak. - Umilkł. - Cała ta sprawa wydaje się dość zastanawiająca.

- Jak to?

- Prowadzenie dziennika nie świadczy o zbyt dużej przezorności, nie sądzisz?

- Ona ma czternaście lat, Sam. Jak wielkiej przezorności można się spodziewać po kimś w tak młodym wieku?

- Nie wiem. - Wyglądał na zakłopotanego. - Jeśli Cathy zostanie oskarżona o zamordowanie Beatrice Flager - a stanie się to lada moment - i sprawa trafi przed ławę przysięgłych, której członkowie będą musieli zdecydować, czy dowody są na tyle przekonujące, aby wszcząć proces - policja i oskarżyciel spróbują dowieść, że była bardzo sprytna, skoro wstała w środku nocy, nie budząc ciotki, dotarła do Coconut Grove i nie zakłócając snu Beatrice Flager, ugodziła ją w szyję.

A może nawet o to, że mniej więcej to samo zrobiła w gabinecie mojego ojca... - Załamał mu się głos. Potrząsnął głową.

- Do czego zmierzasz, Sam?

- Do tego... - Potarł dłonią skroń. - Chodzi mi o to, że jeśli była na tyle przebiegła, żeby dokonać tego wszystkiego, z pewnością nie wykazałaby się aż tak wielką nierozwagą, aby umieszczać swoje zwierzenia w dzienniku, który mógłby być potem odczytany przed całym światem.

- Zapiski zostały zabezpieczone hasłem - przypomniała Grace.

- Jest zbyt mądra, aby nie wiedzieć, że to nie zabezpieczenie, jeśli komputer wpadnie ręce w specjalisty. Wszystkie dzieciaki zdają sobie teraz z tego sprawę.

- Czy przesłuchałeś ją w związku z dziennikiem? - Grace przypomniała sobie, że Cathy sama z siebie powiedziała jej o tym, że prowadzi dziennik w komputerze. Wspomniała nawet, że to rodzaj notatnika i że zabrała ze sobą komputer do domu swojej ciotki.

- Przyznała się do prowadzenia dziennika, ale zaprzeczyła, jakoby powyższe zapiski były jej autorstwa. Wyparła się również hasła. - Sam wzruszył ramionami. - W moim wydziale przeważa opinia, że jej zaprzeczenia nic nie znaczą. - „Tere-fere kuku” - mniej więcej tak to ujął Al Martinez, a zarówno sierżant Kovac, jak i nasz szef, Hernandez, byli tego samego zdania.

- Czy mam rację, sądząc, że się z nimi nie zgadzasz? - spytała Grace w nagłym przyływie nadziei. - Jak inaczej można wytłumaczyć pochodzenie zapisków? Czy istnieje szansa, że to nie są notatki Cathy?

- Jeśli nie ona to napisała, musiał to zrobić ktoś inny.

- W jaki sposób dostał się do komputera? - Zastanawiała się przez chwilę. - Czy godziny i daty wszystkich notatek nie są automatycznie rejestrowane?

- Są - przyznał Sam. - Zabraliśmy komputer Cathy z sypialni, którą zajmowała w domu swojej ciotki. - Odczytał z twarzy Grace pytanie, którego nie zadała. - A to oznacza, że osoba, która sporządziła ostatnią notatkę, musiała w czasie wpiśnięcia jej do komputera przebywać w domu Frances Dean.

- Czy zapiski nie mogły zostać przesłane za pośrednictwem elektronicznej poczty?

- Nie jestem ekspertem w tych sprawach - powiedział Sam. - Kiedy jednak zapytałem o tę ewentualność, nasi specjaliści kategorycznie ją wykluczyli.



Grace nie potrafiła sprecyzować dokładnie swoich odczuć. I nie wiedziała, czy w związku z wątpliwościami Sama powinna zachować optymizm, czy też nie.

- Jeszcze trochę kawy? - spytała.

- Tak, bardzo proszę.

Wstała, aby im obojgu napelnić filiżanki. Poruszając się niespiesznie, próbowała zrozumieć jego stanowisko.

- Co chcesz mi powiedzieć, Sam?

- Nie wiem.

- Ależ wiesz. - Przyniosła obie filiżanki z powrotem do stołu, pochyliła się, szybkim gestem zmierzwiła Harry'emu sierść i ponownie usiadła. - Z twojej wypowiedzi wynika, że nadal nie wierzysz w to, aby Cathy kogokolwiek zamordowała.

W oczach Sama wciąż malował się wyraz szczerego zatroskania. Głośno zaczerpnął powietrza, a potem powoli je wypuścił.

- Musisz pamiętać, że to moja prywatna opinia, a nie pracowników mojego wydziału. I z pewnością nie prokuratora stanowego.

- Mam to na uwadze.

- I to, co powiem, jest również przeznaczone wyłącznie dla twoich uszu.

- To oczywiste - zapewniła.

- Faktycznie, nadal mam wątpliwości. - Dostrzegł błysk w jej oczach. - Ale to nie powód, abyś żywiła zbyt wielkie nadzieje. Miałaś rację, nazywając zapiski w dzienniku komputerowym kolejnym prezentem dla prokuratora stanowego. Dokładnie tym właśnie są.

Grace skinęła głową, a potem rozcieńczyła swoją kawę mlekiem. Zachowanie panowania nad sobą kosztowało ją niemało wysiłku.

- Jak inne postępy w śledztwie?

- Pytasz o to nieoficjalnie?

- Od tej pory zdecydowanie tak.

- Co to znaczy, Grace?

Ze spokojem wytrzymała jego spojrzenie.

- To, że nie pisnę ani słowa o niczym, co mi powiesz, bez uprzedniego przedyskutowania tego z tobą.

- Zgoda. - Wymieszał cukier w swojej filiżance. - Może nie uznałbym tej informacji za istotną, gdybyś nie przekazała mi, o czym mój ojciec dowiedział się w szpitalu Lafayette.

Poczuła na plecach gęsią skórę.

- Według raportów toksykologicznych - zaczął Sam - wszystkie ofiary, z wyjątkiem mojego ojca, miały w swoich organizmach narkotyki i środki uspokajające. Przypuszczamy, że dlatego w żadnym z przypadków nie stwierdzono śladów walki. - Umilkł. - Prokurator stanowy nie widzi w tym jednak niczego nadzwyczajnego, ponieważ owe leki zostały przepisane ofiarom, a duży procent ogółu społeczności Florydy codziennie zażywa tego rodzaju medykamenty, a zatem ich obecność w organizmach ofiar jest przypadkowa i nie ma żadnego związku z oskarżeniem przeciwko Cathy Robbins.

- A ty? - spytała Grace. - Co ty o tym sądzisz?

- Biorąc pod uwagę niezbite dowody, myślałem dotąd, że prokurator ma rację.

- Ale kiedy poznałeś historię o niewłaściwym stosowaniu leków przez Johna Brodericka - Grace nie była już w stanie ani chwili dłużej powstrzymać się od wypowiedzenia tego na głos - zacząłeś się zastanawiać, prawda?

- Nie ekscytuj się zbytnio z tego powodu. - Uśmiech Sama był przelotny i napięty. - Nie jestem pewien, czy ufam sobie samemu w związku z tą sprawą. Al Martinez dał mi jasno do zrozumienia przed tygodniem, że pozwalałam, aby niewinna powierzchowność Cathy zaćmiewała mój trzeźwy osąd. I być może miał słuszość.

- Wiem, co czujesz - powiedziała cicho Grace. - Moje własne stanowisko w tej sprawie również nie daje mi spokoju.

- Hipoteza z Broderickiem wciąż zalicza się do najbardziej szalonych, o jakich kiedykolwiek słyszałem. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? - Sam pokręcił głową. - Nie znalazłem niczego, co by wskazywało, że nie utonął przed dziewięcioma laty.

- Ale sprawdzałeś to. - Świadomość tego faktu nastawiła Grace optymistycznie. - Jeszcze zanim dowiedziałaś się o narkotykach i o prowadzonym przeciwko niemu śledztwu przez władze szpitala Lafayette, historia ta na tyle cię poruszyła, że zacząłeś zastanawiać się, czy rzeczywiście umarł.

- Nie lubię niewyjaśnionych do końca spraw - odrzekł z prostotą. - I nie spodobał mi się fakt, że nie odnaleziono ciała. - Umilkł. - A teraz jeszcze mniej mi się to podoba.

Oboje wyszli na pomost i Grace podzieliła się z Samem swoimi nieprawdopodobnymi teoriami. Najpierw cofnęła się do historii sprzed roku o marihuanie i złotych rybkach, która nawet teraz, w obliczu nieporównywalnie poważniejszych oskarżeń, wciąż zaprzętała umysł dziewczynki. Jeśli Broderick jakimś cudem nadal żył, to zdaniem Grace, biorąc pod uwagę jego przeszłość, znalezienie sposobu na wsypanie narkotyku do jedzenia córki, uśmiercenie rybek i obserwowanie przerażonej reakcji Marie i Arnolda wcale nie przekraczałyby granic jego możliwości.

- Lekarz przeobraził się we włamywacza - zauważył sceptycznie Sam.

- Został oskarżony o stosowanie przemocy - przypomniała mu. -I był przebiegły. Nie wyobrażam go sobie jednak jako włamywacza. Podejrzewam raczej, że znalazł sposób na zdobycie kluczy i wszedł nocą do domu głównym wejściem. - Ożywiała się coraz bardziej. - A skoro już miał klucze, mógł drugiego kwietnia skorzystać z nich ponownie.

- I wsypać do jedzenia Marie i Arnolda narkotyki, a potem zamordować oboje, czyż nie tak?

- Łatwiej mogę jego wyobrazić sobie w roli zabójcy niż Cathy. - Grace wstała i zaczęła spacerować po pomoście. Harry, który dotychczas leżał spokojnie, zadarł do góry łeb i śledził ją wzrokiem. - Mógł podnieść okno od zewnątrz i zrobić zapiski w jej komputerze.

- Dlaczego?

Grace przestała krążyć i spojrzała na Sama zgóry

- Dlaczego co?

- Dlaczego miałyby ich zabijać?

- A kto to może wiedzieć? Chciał się zemścić - przynajmniej na Marie za to, że powiadomiła władze o jego postępkach, gdy porzucił ją z córką. A także na Arnoldzie za to, że zajął jego miejsce. - Grace umilkła. -Wiemy, że był bardzo zazdrosny - dodała po chwili. - Frances powiedziała, że był nawet zazdrosny o Cathy i to jeszcze przed jej narodzinami.

- Zazdrość to jedno, a perwersyjne okrucieństwo to drugie - zauważył Sam. Spojrzał na Grace, oczekując od niej odpowiedzi. - Z jakiego powodu miałyby tak brutalnie ukarać swoją córkę?

- Nie wiem, Sam - odrzekła w zamyśleniu. - Może do momentu jej przyścia na świat uważał swoje życie za udane, a potem wszystko zaczęło się walić.

- I dlaczego miałyby czekać aż dziewięć lat z wymierzeniem zemsty? - Detektyw nie dawał za wygraną.

- Mówią, że najlepiej smakuje zemsta na zimno. A może największą przyjemność sprawiało mu planowanie odwetu?

- Facet musiałby być poważnie chory, Grace - oświadczył Sam. - I nadal pozostać wśród żywych.

Grace nie zamierzała łatwo się poddawać.

- Co się tyczy Brodericka, trudno o bardziej chorego człowieka. - Ponownie usiadła obok Sama. - I choć nigdy nie miałam w sobie żyłki do hazardu, jestem skłonna się założyć, że on wciąż żyje:

Oboje zamilkli.

- A co z doktor Flager? - spytał po chwili Sam.

- Nie wiem. - Grace się zamyśliła. - Być może sądził, że ona i jej dokumentacja medyczna mogą stanowić dla niego potencjalne zagrożenie, jeśli Cathy albo Arnold rozmawiali z Beatrice o nim i jego przeszłości.

- I co z tego? Uważasz, że Broderick śledził każdy ich krok przez te wszystkie lata? - zdumiał się Sam. - Cathy była tylko raz u doktor Flager.

- Właśnie fakt, że odmówiła dalszych wizyt u psychoterapeutki, przemawia za tym, że podstawowym celem Brodericka było spreparowanie fałszywych dowodów przeciwko córce. Dziewczynka nie zdołała porozumieć się z doktor Flager, a nawet żywiła do niej urazę. Stała się przez to bardziej prawdopodobną podejrzaną o jej zamordowanie.

- Jeśli Broderick śledził ich przez dziewięć lat, jak to możliwe, że nikt go nie rozpoznał?

- Sądzę, że w pobliżu domu Robbinsów zachowywał szczególną ostrożność. A nie zapominaj, że przed rzekomym samobójstwem mieszkał i pracował w Tallahassee. Zatem mógł liczyć na to, że nikt w Miami nie będzie go znał. Poza tym mógł też zmienić swój wygląd.

- Obejrzałaś zbyt wiele filmów, Grace.

- Być może - przyznała. - W przypadku Frances sprawa staje się bardziej skomplikowana - ciągnęła dalej swój wywód. - Wiemy, że nienawidziła szwagra i prawdopodobnie buntowała siostrę przeciwko niemu. Wiemy też, że Cathy zderwowała się, ponieważ ciotka w nią zwątpiła. Choć, oczywiście, uważam za mało prawdopodobne, ażeby Broderick o tym wiedział.

- Mam rozumieć, że wyklucasz teorię o założeniu przez niego podsłuchu w domu pani Dean?

Grace uśmiechnęła się, lecz zaraz ponownie spochmurniała.

- Odnoszę wrażenie, że jeśli to, co się stało, jest wyszukany sposób zemścić się na Cathy, zamordowanie Frances było ostatecznym aktem pograżenia córki.

- A jak do tego scenariusza pasuje historia z moim ojcem? - spytał Sam.

- Starał się pomóc Cathy - wyjaśniła cicho Grace. - Być może to stanowi wystarczający motyw. - Dostrzegła zmianę wyrazu twarzy Sama. - O co chodzi?

- Czy powiedziałaś Cathy o tym, co na temat Brodericka przekazał ci mój ojciec?

- Nie, oczywiście, że nie. - Grace się zawahała. - Ale wyjawiałam wszystko Frances.

- Czy Cathy była w pobliżu? Mogła usłyszeć to, co powiedziałaś?

- Wiem, że coś dotarło do jej uszu. Nie mam jednak pojęcia, jak wiele.

Kolejny punkt dla prokuratora stanowego, uzmysłowiła sobie nagle z bólem, szukając na twarzy Sama wyrazu gniewu albo przynajmniej odrodzonego na nowo sceptycyzmu do jej bezpodstawnych teorii. Niczego takiego jednak nie dostrzegła. Detektyw błądził myślami gdzieś daleko i wydawał się jeszcze bardziej ponury niż dotychczas.

- O czym myślisz, Sam? - spytała. v - O niczym.

- To nieprawda.

- W porządku. - Odczekał chwilę. - Myślę o tym, co mówiłaś o chęci mojego ojca przyjscia z pomocą Cathy.

- To dość sensowne wyjaśnienie, prawda?

- Podobnie jak cała reszta przy założeniu, że Broderick żyje. - Ponownie umilkł. - Mój ojciec nie jest jedyną osobą, która pomaga Cathy.

Grace w lot pojęła, do czego zmierzał.

- Mówisz o mnie?

- Taki wniosek automatycznie się nasuwa.

- Broderick mnie nie skrzywdzi - oświadczyła z przekonaniem.

- Z powodu aresztowania Cathy?

- Oczywiście. Uzyskał już to, czego chciał. Tknięcie palcem zarówno mnie, jak i każdej innej osoby byłoby równoznaczne z oczyszczeniem Cathy z zarzutów.

- Tak długo, dopóki...- urwał.

- Dopóki?

- Niektórzy zabójcy robią to nałogowo - zauważył cicho. - Nie planują popełnienia zbrodni, a pomimo to jednak do nich dochodzi.

- Jeśli stoi za nimi Broderick, musisz przyznać, że jest doskonale zorganizowany - odpowiedziała Grace, starając się nie tracić pewności siebie.

Czytała trochę na temat podstawowych reguł stosowanych przy ściganiu wielokrotnych morderców; w każdym razie wystarczająco dużo, aby wiedzieć, że jednym z pierwszych działań jest dzielenie typów według kategorii: „zorganizowany i niezorganizowany”.

- Jeśli jego celem, nad którego realizacją od tak dawna pracował, było oskarżenie Cathy, z pewnością będzie czuł się w pełni usatysfakcjonowany, czekając, aż ława przysięgłych postawi ją w stan oszkarżenia, i mając nadzieję na więcej. - Umilkła. - Nie zgadzasz się ze mną?

Sam wnikliwie się w nią wpatrywał.

- Co się stało? - spytała.

- Chcesz znać prawdę?

- Oczywiście.

- Przed niespełną minutą niczego nie pragnąłem bardziej - zarówno jako gli-niarz, jak i człowiek - jak tego, ażeby twoja teoria w sprawie Brodericka okazała się słuszna i aby można byłoby dowieść niewinności Cathy. - Zamilkł. - Nagle stwierdziłem jednak, że niemal się łudzę, abyś się myliła i aby się okazało, że John Broderick rzeczywiście utonął na wybrzeżu Pensacoli przed dziewięcioma laty.

Grace poczuła przyływ gwałtownych emocji. Z jednej strony miała ochotę pogńiewać się na niego za to, że chce odrzucić jej teorię. Powstrzymała chęć ze-



rwania się na równe nogi i krzyknięcia mu prosto w twarz, że nie ma niczego ważniejszego niż udowodnienie niewinności czternastoletniej dziewczyny. Z drugiej strony dostrzegła wyraz oczu Sama, gdy detektyw uzmysłowił sobie możliwość grożącego jej niebezpieczeństwa. I, w pewnym sensie, sama się przestraszyła, a reakcja towarzysza zmusiła ją do rozważenia zagrożeń, jakich do tej pory nie brała pod uwagę.

Nade wszystko jednak, musiała to przyznać przed sobą samą, jego stwierdzenie napełniło ją zachwytem.

TLR

# ROZDZIAŁ 27

---

Środa, 29 kwietnia 1998

Wtorkowy wieczór Grace zakończyła w bardzo optymistycznym nastroju. Środowy poranek zapowiadał się równie obiecująco, ale późniejsze wydarzenia były już mniej pomyślne. Tuż po dziewiątej zatelefonował do niej Sam z miejskiego szpitala w Miami.

- Mój ojciec przestał gorączkować ubiegłej nocy - oznajmił. - I wygląda na to, że w pełni wróci do zdrowia.

- To cudowna wiadomość, Sam. - Grace powstrzymała się od zadania pytania, chociaż była bardzo ciekawa odpowiedzi.

Wciąż trapiła się z powodu wrogości, jaką jej okazała Judy Becket i nie chciała, by Sam choćby przez sekundę pomyślał, że jej niepokój o zdrowie Davida spowodowany jest jedynie troską o Cathy.

Sam oszczędził jej kłopotliwych pytań.

- Próbowałem dowiedzieć się od ojca, czy coś pamięta.

- I pamięta? - Miała całkiem wyschnięte usta.

- Niewiele. Dobra nowina to ta, że nie zidentyfikował Cathy jako napastnika. A zła, że nie potrafi stwierdzić z całą pewnością, że to nie ona. W gabinecie panowały ciemności i prawie spał, gdy ugodziło go ostrze. Po przebudzeniu się poczuł powiew powietrza. Sądzi, że był spowodowany ruchem uzbrojonej ręki w chwili zadawania ciosu. Ale to wszystko. Nie dostrzegł nawet zarysu sylwetki napastnika.

- Nie jest w stanie określić jego płci?

- Niestety nie. - Sam ponownie umilkł. - Jeśli cię to pocieszy, wpadł w furję, kiedy powiedziałem mu, że Cathy Robbins jest podejrzana o popełnienie tych morderstw. Tata, pomimo dziury w płucach, nie zmienił swojego zdania o niej.

- Czy mogę jej o tym powiedzieć, kiedy się z nią zobaczę? - spytała Grace.

- Nie widzę powodu, dla którego miałabyś tego nie zrobić - odparł. - Chociaż w ten sposób możesz jej odebrać resztki nadziei, jaką być może wiązała z moim ojcem, licząc, że ją oczyści z zarzutów.

- A czy mam inne wyjście? Nie widzę sensu podtrzymywania jej złudzeń. Poza tym zawsze istnieje możliwość, że dowie się od kogoś innego i uzna, że ją oszukuję. - Wiele wysiłku kosztowało Grace, żeby nie okazać przygnębienia. - Ogromnie się cieszę, że twój ojciec ma kryzys za sobą, Sam.

- Wiem o tym.

Kiedy doktor Lucca robiła notatki ze spotkania z pacjentem przed udaniem się do zakładu resocjalizacji dla nieletnich, przyjechała Dora Rabinovitch (kobieta, którą nazywała czasami „aniołem miłosierdzia”, ponieważ ilekroć Grace była naprawdę zawałona robotą, Dora stawiała się na wezwanie, ażeby się zająć zaległą korespondencją albo przypomnieć, że doktor Lucca zapomniała o czymś tak nieistotnym jak zapłacenie rachunku za energię elektryczną) i wtrąciła swoje trzy grosze:

- Czy ta dziewczyna nie jest niebezpieczna? - spytała.

Dora była korpulentną, serdeczną, efektywną w pracy i, generalnie rzecz ujmując, dobroduszną kobietą, lecz, jak większość mieszkańców Miami, przeczytała wszystko, co zostało napisane na temat Cathy Robbins, i nie mogła pojąć, że ktoś pokroju Grace może chcieć przebywać z nastoletnią morderczynią bodaj chwilę dłużej niż to absolutnie konieczne.

- Nie sądzę, ażeby z jej strony groziło mi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo - oświadczyła Grace.

- Ale chyba nie pozwolą pani spotkać się z nią sam na sam - chciała wiedzieć Dora. - I będzie z wami strażnik.

- Mam nadzieję, że nie - odrzekła Grace.

Nie było strażnika, w każdym razie nie w małym, zamkniętym pomieszczeniu dla odwiedzających, jakie zostało im udostępnione, i Grace podziękowała Stwórcy za ten skromny akt miłosierdzia. W pokoju przebywała tylko doktor Lucca oraz Cathy, która od czasu ich ostatniego spotkania wyraźnie zmizerniała.

- Nie zrobiłam tego - powiedziała dziewczynka, gdy tylko usiadły.

- Wiem, że nie. Już ci przedtem o tym mówiłam.

- Ostatnim razem, kiedy widziałam złote rybki, były żywe i pływały. Zawsze przygnębiała mnie myśl o tym, że są uwięzione w akwarium jak w więzieniu. - Umilkła. - Przypuszczam, że teraz wiem, co czuły.

Wciąż powracał temat owych przeklętych rybek, jak gdyby umysł Cathy odmawiał przyjęcia do wiadomości zabójstwa, jako czegoś zbyt przerażającego. Grace ścisnęło się serce, kiedy dostrzegła, jak znacznemu pogorszeniu uległ ogólny stan nastolatki. Wyglądało na to, że obecnie dziewczynka nie tyle odrzuca zarzuty, ile sama czuje się odrzucona.

- Czy chciałabyś porozmawiać ze mną na jakiś konkretny temat? - spytała Grace, odwołując przykry moment powiadomienia Cathy o Davidzie Beckecie.  
- A może, po prostu tylko posiedzimy ze sobą w milczeniu?

- Panu Wagnerowi, według mnie, zależy na tym, żebym przyznała się do niepoczytalności - zauważyła Cathy, od razu przystępując do sedna. - Ale ja nie jestem wariatką, prawda, Grace?

- Nie, nie jesteś.

- To dlaczego on myśli, że jestem? - W błękitnych oczach dziewczynki malowała się wrogość. - Jesteś psychologiem. Wiem, że rozmawiał z tobą. Musiałś mu powiedzieć coś takiego, co go skłoniło do nabrania tej pewności.

- Wprost przeciwnie - odparła stanowczym tonem Grace. - Zapewniłam go, że jesteś w pełni władz umysłowych, a także o tym, że wykluczam twoją winę.

- Więc dlaczego ci nie uwierzył? - W głosie nastolatki wciąż brzmiał oskarżycielski ton.

- Nie mam pojęcia, dlaczego. Wiem tylko, co mu powiedziałam. O czym zresztą jestem święcie przekonana i gotowa zaświadczyć przed każdym, kto tylko zechce mnie wysłuchać. - Grace wyciągnęła poprzez stół rękę, pragnąc dotknąć dłoni Cathy, lecz nastolatka gwałtownie odskoczyła do tyłu, aż zachybotало się krzesło.

- Spokojnie, Cathy. Dziewczynka się zarumieniła.

- Przepraszam. Chyba staję się zbyt nerwowa.

- Dobrze sypiasz? - Grace dostrzegła ciemne sińce pod jej oczami.

-Nienajlepiej.

- Masz niewygodne łóżko?

- Jest okropne - wyznała. - I brzydko pachnie. - Zniżyła głos. -Wszystko tutaj cuchnie, Grace. - Jej oczy wypełniły się łzami. - Nie chcę tu zostać. Czy nie możesz ich nakłonić do wypuszczenia mnie stąd?

- Żałuję, ale spełnienie tej prośby przekracza moje możliwości.

- Zamieszkałabym u ciebie - błagała Cathy. - Wiesz, że nie zrobiłam nic złego. Jeśli im jeszcze raz o tym powiesz, może tym razem cię wysłuchają.

- Mogę spróbować. - Frustracja, spowodowana niemożnością przyjścia pacjentce z pomocą, sprawiła, że Grace czuła się niemal fizycznie chora. Wzięła się jednak w garść, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że okazanie słabości tylko pogorszy sprawę.

- Spróbuję, Cathy - obiecała cicho. - Ale muszę być wobec ciebie całkiem szczerą. Jest za wcześnie na to, ażeby moja interwencja mogła cokolwiek zmienić. Nikt mnie nie wysłucha. Jeszcze nie teraz.

- To po co zawracałaś sobie głowę odwiedzaniem mnie?

Cathy tak gwałtownie zerwała się z miejsca, że krzesło przechyliło się i z głośnym łoskotem runęło na podłogę. Doktor Lucca dostrzegła w małym oknie w drzwiach za jej plecami strażniczkę, która stała na korytarzu i sprawdzała przez szybę, co się dzieje w środku. Grace skinęła do niej głową i podniosła do góry prawą dłoń, dając w ten sposób do zrozumienia, że nie stało się nic złego. Kobieta pozostała na zewnątrz, ale nie odeszła od wizjera.

- Przyszłam, ponieważ chciałam się z tobą zobaczyć - wyjaśniła Grace.

- Niepotrzebnie się fatygowalaś.

Grace nie ruszyła się z miejsca w nadziei, że Cathy się uspokoi.

- Dlaczego nie podniesiesz krzesła i nie usiądziesz?

- Po co? - spytała zaczepnym tonem dziewczynka. - Czy jest sens, żebym cokolwiek robiła?

Grace już przedtem miała okazję widzieć swą pacjentkę zagniewaną i urażoną, ale nigdy dotychczas nastolatka nie zachowywała się tak niegrzecznie i nie okazała jej tak wielkiej wrogości. Jeśli tydzień pobytu w zakładzie resocjalizacyjnym miał tak destruktywne skutki, Grace drżała na myśl o tym, co niechybnie nastąpi w przyszłości. Gdyby zyskała więcej czasu i większą przestrzeń, rozmowa toczyłaby się w bardziej swobodnych warunkach, być może zdołałaby dotrzeć do tego biednego dziecka albo przynajmniej spróbowałaby sprowadzić je na właściwą drogę.

Ale czasu miała zbyt mało, ażeby próba była warta zachodu.

Grace nagle uświadomiła sobie, że obecny moment należy do najmniej odpowiednich na odarcie Cathy z wszelkich złudzeń poprzez przekazanie jej wieści o Davidzie Beckecie.

# ROZDZIAŁ 28

---

Wtorek, 30 kwietnia 1998.

- Hej, Becket, do dzieła!

- Hej, Sam, twoja kolej!

- Hej, detektywie, przestań partaczyć nam robotę!

- Zakichany hrabio di Luna, zataszcz wreszcie ten swój czarny tyłek na scenę i zacznij śpiewać!

Sam otrząsnął się z rozmyślań i powrócił do pracy.

Członkowie zespołu ponownie zrobili wobec niego uprzejmy gest i pozwolili, aby niepunktualny i niesolidny, a na dodatek - co sobie właśnie uzmysłowił - trafiony strzałą Amora czarnoskóry gliniarz zagrał rolę hiszpańskiego hrabiego. Fabuła „Trubadura” trąciła myszką. Była to nieprzekonywająca i fałszująca fakty historyczne opowieść o Cyganach i rycerzach. Postać hrabiego di Luny - podstępного osobnika o mściwym usposobieniu - zaliczała się jednak do interesujących ról, a muzyka była boska, wspaniała i dokładnie taka, jakiej Sam potrzebował, aby uciec od odrażającej rzeczywistości, która każdego dnia tygodnia pozostawiała na progu jego domu cuchnący ślad.

Nie o okropnościach tego świata myślał jednak w chwili, kiedy powinien był szykować się do skazania na śmierć Azuceny. Tematem jego rozmyślań nie stały się też skapane we krwi zwłoki, ani prawdopodobnie psychicznie chora nastolatka. Tym razem nie był to również jego ojciec, który miał się coraz lepiej i nawet zaczął się już wyklócać z lekarzami i z pielęgniarkami, aby go wypisali do domu.

Umysł Sama niepodzielnie wypełniła Grace Lucca.

Kiedy o niej myślał, miał przed oczami inteligentną, ciepłą, troszczącą się o innych, nieustępliwą i piękną kobietę. Och, tak, to pewną, że była bardzo urodziwa. Wiotka, a jednocześnie silna, długonoga, opalona na złoty odcień. Sam miał okazję zobaczyć, jak jej błękitne oczy płoną intensywnym blaskiem, jak marszczą się pod wpływem frustracji lub zmęczenia albo emanują ciepłem i iskrzą się humorem. Gdyby Judy nie była tak zdecydowanie źle do niej nastawiona z powodu Cathy Robbins, Sam nie miał wątpliwości co do tego, że obie kobiety z łatwością zdołałyby się ze sobą porozumieć. I nawet potrafi gotować - wyobrażał już sobie słowa przybranej matki.



Każdego dnia coraz więcej myślał o Grace. Od czasu rozstania z Al-theą po raz pierwszy rozważał możliwość zaangażowania się w poważny związek. Po rozwodzie poznał kilka miłych, a nawet wspaniałych kobiet. Żadna z nich nie zdołała się jednak przebić przez skorupę, jaką się opancerzył. Dopiero Grace to się udało.

Gdy z kopią libretta w garści sunął cicho w swoich sportowych butach przez pogrążony w półmroku teatr w kierunku sceny, zaczął się nagle zastanawiać, czy problemy rasy i religii niemal po raz pierwszy w jego dorosłym życiu nie pokażą mu w końcu swojego groźnego oblicza.

Czarny mężczyzna i biała kobieta - już samo to mogło spowodować wystarczające kłopoty.

A związek czarnoskórego mężczyzny z żydowskiej rodziny, będącego wyznawcą kościoła episkopalnego, z białą katoliczką włoskiego pochodzenia mógł napotkać nieprzewidywalne przeszkody.

- Hej, hrabio di Becket? Czy jesteś już gotowy, by mnie kazać spalić?

Sam dwoma susami pokonał stopnie z boku sceny, szeroko uśmiechnął się do Lindy Morrison, mezzosopranistki, i zaczął żartować z oczekującej ją egzekucji.

- A pewnie! Zaraz cię pozbawię twojego słodkiego życia.

Znowu nasunął mu się na myśl obraz Grace. Opalone nogi i bosa stopy. A także wyraz oczu młodej kobiety tego wieczora, kiedy zrozumiała, że Sam niepokoi się o jej bezpieczeństwo.

Nurtowało go pytanie, czy rzeczywiście się okaże, że John Broderick żyje.

I choć scenariusz ten wydawał się mało prawdopodobny, był to jeszcze jeden problem, którego Sam nie potrafił usunąć ze swojego umysłu.

Inną sprawą w tym tygodniu, bliską sercu Sama, była wyznaczona na sobotę uroczystość bar micwy Saula. Kiedy David niepokojąco długo gorączkował i jego ogólny stan zdrowia był niepewny, Judy chciała odłożyć ceremonię, Sam odwiódł ją jednak od tego zamiaru.

Nielatwo było Saulowi, jak większości jego rówieśników, osiągnąć ten etap przygotowań. Z powodu odkładania uroczystości chłopak mógł się zdenerwować, stracić zainteresowanie całą sprawą albo w ogóle przestać o niej myśleć, tym bardziej że ustalenie innej daty na razie nie wchodziło w rachubę.

- Chcesz powiedzieć - Judy zwróciła się do Sama pełnym napięciem, lecz cichym głosem, żeby Saul jej nie usłyszał - że jeśli twój ojciec nie przeżyje, Saul może nigdy nie odbyć bar micwy?

- Ależ nie, mamie - zaprzeczył Sam. - Nie to miałem na myśli.

Ustalili, że uroczystość się odbędzie i po małej lampce wina, które wypiją z pozostałymi uczestnikami uroczystości w świątyni, we trójkę wybiorą się na spokojny lunch.

- Wstrzymamy się z wydawaniem przyjęcia do momentu, kiedy będzie razem z nami tata - zaproponował Sam. - A całą uroczystość nakręcimy na wideo, aby mógł ją obejrzeć, kiedy się lepiej poczuje...

- A może, przez wzgląd na niego, będzie ją można powtórzyć... - wyskoczył Saul jak filip z konopi.

Teraz, oczywiście, kiedy David zaczął wracać do zdrowia, ogólny nastrój uległ radykalnej zmianie. Istniało nawet duże prawdopodobieństwo, że David postawi na swoim i będzie obecny razem z nimi w synagodze -nawet za cenę siedzenia na wózku inwalidzkim i powrotu do szpitala natychmiast po zakończeniu ceremonii. Judy z ogromnym zaangażowaniem i niespożytą energią rzuciła się w wir przygotowań, starając się dopilnować, aby wielkie wydarzenie miało gładki przebieg.

Sam pamiętał, że wspomniał o uroczystości bar micwy Saula podczas pierwszej wizyty u Grace - tego wieczora, kiedy jedli razem *cacciucco* i oboje wyjawili sobie nawzajem nieco faktów z życia obojga. I podczas ubiegłego tygodnia wielokrotnie myślał o tym, jak bardzo uradowałaby go jej obecność w świątyni. Jednak w obecnej sytuacji wydawało się to mało prawdopodobne.

Aż tu nagle, tego ranka, zastał na swoim biurku przesyłkę.

Zaintrygowany otworzył ją i znalazł wewnątrz zaklejoną kopertę zaadresowaną do Saula oraz list do siebie.

*Drogi Samie!*

*Natknęłam się na ten drobiazg i pomyślałam o Saulu oraz o jego uroczystości. Mam nadzieję, że jest odpowiedni na taką okazję i że przesyłając go, nikogo nie urażę. Jeśli uznasz, że tym podarunkiem mogę jeszcze bardziej rozsierdzić Twoją matkę, nie martw się o moje zranione uczucia.*

*Jestem bardzo szczęśliwa, że Twój ojciec będzie razem z Wami.*

*Grace*

Sam ostrożnie rozpakował prezent owinięty w bibułę. Była to książka w skórzanej oprawie poświęcona historii państwa Izrael. „Natknęłam się na ten drobiazg”. Sam uśmiechnął się na tak skromne przedstawienie faktów. Prezent był cudowny, hojny i pieczołowicie wybrany. Co się zaś tyczy wzmianki o niewyprowadzaniu z równowagi matki...

TLR

# ROZDZIAŁ 29

---

Piątek, 1 maja 1998

Jerry Wagner zgodził się spotkać ponownie z Grace w piątek tuż przed lunchem. (Jego lunchem, nie jej, ponieważ wiedziała, że będzie szczęśliwa, jeśli zdoła co najwyżej zjeść w biegu trochę sera z krakersami, i to nie wcześniej niż wieczorem).

Największym niepokojem przejmował ją fakt, że władze stanu Floryda mają prawo uznać czternastoletnią dziewczynkę za osobę dorosłą. A dowiedziała się, że to możliwe, jeśli ława przysięgłych postawi Cathy w stan oskarżenia z powodu poważnej natury przestępstw. Słyszała, że to się często zdarza w przypadkach, kiedy dzieci dopuszczają się zabójstw. Jedną z najgorszych konsekwencji takiej decyzji dla nastolatki, zdaniem Grace, byłoby przeniesienie jej do więzienia dla dorosłych, gdzie przez długi czas czekałaby na rozpoczęcie procesu.

- Muszę wiedzieć - oznajmiła Wagnerowi - czy mogę coś zrobić lub zeznać, co wpłynęłoby na zmianę stanowiska sądu.

- Niestety nie. Nie sądzę, ażeby mogła pani w jakikolwiek sposób wpłynąć na to postanowienie. - Potrząsnął głową. - W naszym przypadku, gdy mamy do czynienia ze sprawą czterech brutalnych morderstw, jest niemal przesądzone, że Cathy zostanie umieszczona w więzieniu dla dorosłych.

- Ale chyba moglibyśmy spróbować odwieść władze od tej decyzji. - Grace za wszelką cenę starała się zachować panowanie nad sobą po usłyszeniu tej pesymistycznej odpowiedzi. - Może uda mi się tego dokonać, jeśli wyjaśnię przed sądem, jakie skutki będzie miał dla dziecka pobyt w więzieniu dla dorosłych?

- W porównaniu z czynami, o których popełnienie zostanie oskarżona, obawiam się, że żadne psychiczne ani fizyczne urazy grożące Cathy nie zdołają zrównoważyć ciężaru tych zbrodni. - Adwokat pochylił się do przodu, a jego krótkie, kręcone włosy, ciemne oczy o przenikliwym spojrzeniu oraz zakrzywiony nos nadawały mu wygląd starożytnego Rzymianina, który zamiast togi ma na sobie garnitur. - Wiem, że jest pani trudno pogodzić się z tymi faktami, doktor Lucca, ale...

- Jest to równoznaczne z uznaniem winy przed jej udowodnieniem - rozgorączkowana Grace przerwała mu w pół słowa. - I uważam to za rażącą niesprawiedliwość.

- Na pozór rzeczywiście tak to wygląda.

- Nie tylko na pozór, panie Wagner. Być może zastanawiałabym się nad słusnością stanowiska, że nieletni przestępca winny popełnienia tak straszliwej zbrodni jak morderstwo powinien być traktowany jak dorosły - chociaż nawet z tym jest mi trudno się pogodzić. Ale w tym przypadku mamy do czynienia z niewinnym dzieckiem. Tymczasem robimy co w naszej mocy, aby je zniszczyć, i to jeszcze zanim dojdzie do procesu.

Wagner ponownie wyprostował się w fotelu.

- Nie twierdzę, że zgadzam się z tym systemem, pani doktor - powiedział cicho. - Czy wierzy mi pani, że za wszelką cenę chcę pomóc mojej klientce? Niczego bardziej nie pragnę, niż utrzymać ją z dala od więzienia dla dorosłych. A właściwie to nieprawda. Najbardziej ucieszyłbym się z tego, gdybym mógł załatwić Cathy zwolnienie za kaucją i do czasu procesu umieścić ją w jakimś bezpiecznym, zaakceptowanym przez władze stanowe domu.

- To byłoby cudowne - Grace skwapliwie uczepliła się tego pomysłu.

- Wyjaśniłem tylko, z czego najbardziej bym się ucieszył - podkreślił. - Takie rozwiązanie nie wchodzi w rachubę. - Umilkł. - Ta sprawa będzie się długo ciągnąć, doktor Lucca. I wszyscy musimy się skupić na naszych najważniejszych celach.

- Moim celem jest dbanie o to, aby Cathy zachowała poczytalność - oświadczyła Grace.

- A moim dopilnowanie, ażeby po zakończeniu procesu odzyskała wolność - odparł Wagner. - Jestem pewien, że zna pani wiele sposobów na zachowanie Cathy przy zdrowych zmysłach bez względu na to, gdzie przyjdzie jej spędzić następnych kilka miesięcy. - Spojrzał na swój zegarek od Cartiera. - Za dwadzieścia minut mam spotkanie.

- Jest jeszcze coś, o czym chciałabym panu powiedzieć. To bardzo ważne - odezwała się szybko Grace. - Może mieć przełomowe znaczenie dla sprawy.

Adwokat wydał usta i skinął głową.

- Proszę, niech pani strzela.

W możliwie jak najbardziej zwięzłych słowach przedstawiła mu swoją nadal hipotetyczną i wciąż nieprawdopodobną teorię o Johnie Brode-ricku.

- To niewątpliwie bardzo fascynująca hipoteza - oświadczył, kiedy skończył robić notatki w żółtym notatniku.

W Grace zamarło serce.

- Z tego, co zrozumiałem, nie dysponuje pani żadnym, niepodważalnym dowodem na to, że Broderick nie utonął podczas sztormu?

- Nie, z wyjątkiem faktu, że jego ciało nigdy nie zostało odnalezione - odrzekła. - Zwracając się z tym do pana, miałam nadzieję, że zleci pan któremuś ze swoich detektywów zbadanie ostatnich tygodni, a nawet godzin jego życia.

- Możemy to zrobić - oświadczył prawnik. - Z pewnością poruszę tę kwestię w rozmowie z moimi kolegami. - Umilkł. - Przyzna pani jednak, że teoria, według której Broderick czekał prawie dziesięć lat, aby powstać z martwych w celu zamordowania kilku osób i spreparowania fałszywych dowodów obciążających jego córkę, jest mocno naciągana, prawda?

Grace zazgrzytała zębami. Z wielkim trudem spróbowała bronić swojej hipotezy

- Rzeczywiście może się tak wydawać na początku, panie Wagner. Mówimy jednak o człowieku, któremu została już udowodniona zaborczość oraz skłonność do obsesji, zazdrości i okrucieństwa.

- Niestety sprawa przeciwko niemu nie doczekała się epilogu w sądzie.

- Trzymam się faktów - odparła Grace. - Marie Broderick uzyskała decyzję sądu, nakazującą jej mężowi pozostawać z dala od Cathy. Wiemy, że był nieetycznym lekarzem i człowiekiem pozbawionym wszelkich zasad, który dążąc do ukarania swoich najbliższych, do wywierania na nich wpływu i manipulowania nimi, zmuszał zarówno żonę, jak i córeczkę do zażywania środków farmakologicznych. Zakładając, że nie zginął przed dziewięcioma laty, czy nie uważa go pan za najbardziej podejrzanego w tej sprawie?

Wagner uzupełnił o kilka zapisków swoje notatki.

- Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że nawet jeśli nie zdołamy znaleźć niczego na podtrzymanie pani teorii, może ona pomóc Cathy? - powiedział w zamysleniu. - Choć zapewne nie w sposób, o jakim pani myśli.

Grace ponownie podskoczyło serce, tym razem do gardła.

- Jeśli nie uzyskamy niczego więcej - ciągnął dalej Wagner - wskazane przez panią fakty dadzą nam dodatkową szansę na powołanie się w naszej obronie na niepoczytalność podejrzaney. Będziemy mogli dowieść, że przeżycia z wczesnego dzieciństwa doprowadziły ją do rozstroju nerwowego.

- To ostatnia rzecz, jaką chciałam powiedzieć.



Wagner ponownie spojrział na zegarek i zaczął składać trzy schludne stosy dokumentów w jeden, dając w ten sposób Grace do zrozumienia, że ich spotkanie dobiegło końca.

- Jestem pani wdzięczny za informacje, doktor Lucca. Na pewno sprawdzimy okoliczności śmierci Brodericka. Jeśli natrafimy na najmniejszy nawet ślad, który mógłby okazać się dla nas przydatny, zapewniam panią, że go skwapliwie wykorzystamy.

- Dziękuję - powiedziała z przygnębieniem.

- Czy zrobi pani coś dla mnie, doktor Lucca? Jeśli nie znajdziemy innego podejrzanego?

- Jeśli tylko będę mogła.

- Czy zechciałaby pani nam pomóc i namówić Cathy, aby zaakceptowała linię obrony bazującą na jej niepoczytalności? Na razie proszę się tylko nad tym zastanowić. - Wagner umilkł, a jego oczy miały poważny wyraz. - Wiem, że to brzmi jak negatywne podejście do sprawy i zdaję sobie sprawę z tego, że przyjęcie takiej metody nie byłoby po pani myśli. Przyrzekam jednak, że potraktujemy ją jako ostateczność. Proszę mieć na uwadze fakt, że dzięki temu uzasadnieniu sytuacja może ulec istotnej zmianie i jeszcze tego samego dnia wydostaniemy Cathy z więzienia.

Miała ochotę się rozplakać. Opuściła nienagannie urządzone gabinet i skierowała się w stronę windy. Najgorsze, że w sytuacji kiedy Cathy była w tak złym stanie i obciążały ją tak poważne dowody, Grace niemal rozumiała punkt widzenia Jerry'ego Wagnera.

Niemal.

Telefon od Sama tego ranka był najmiłszym momentem dnia. Tydzień wcześniej, w księgarni Barnes & Noble w Coral Gables Grace znalazła książkę dla Saula. Przez chwilę zwlekała z jej kupieniem, mając na uwadze uczucia Judy Becket. Chciała jednak podarować coś chłopcu na pamiątkę, a książka była wyjątkowo ładnie wydana. Kupiła więc ją, wysłała Samowi i jemu pozostawiła ostateczną decyzję.

- To cudowny podarunek - powiedział jej przez telefon. - I bardzo miły gest z twojej strony, tylko że zbyt kosztowny.

- Spodobała mi się ta książka - przyznała. - Choć potem przyszło mi na myśl, że być może Sam wolałby nieco lżejszą lekturę.

- Wykluczone - wyprowadził ją z błędu Sam. - Jestem pewien, że będzie zachwycony.

- Czy nie postąpię niewłaściwie, wysyłając ten prezent, jak sądzisz?

- Niewłaściwe jest tylko to, Grace, że musisz się nad tym zastanawiać.

A potem powiadomił ją o decyzji zorganizowania cichej uroczystości i spytał, czy nie zechciałaby przyjść w sobotę rano do synagogi i zostać potem na lampkę wina.

- Nie wiem, Sam - odrzekła niepewnie.

- Nie wiesz, czy będziesz mogła? Nie wiesz, czy będziesz miała ochotę? Czy nie wiesz, jak się zachować z powodu słów mojej matki, skierowanych do ciebie podczas waszego ostatniego spotkania?

- Niewinna w przypadku dwóch pierwszych zarzutów - powiedziała, uśmiechając się szeroko do słuchawki.

- Matka będzie zajęta zamartwianiem się, czy Saul czegoś nie zawali, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie się puszyć z dumy i cieszyć z obecności taty w tym ważnym dla rodziny momencie. Nawet nie zauważy, kto jest w synagodze.

- Po prostu nie chciałabym jej popsuć tego dnia, Sam.

- Czy w ogóle nie myślisz o moim tacie?

- Jemu również nie chciałabym zrobić przykrości.

- A więc przyjdziesz?

Grace wciąż się uśmiechała, kiedy odkładała słuchawkę.

# ROZDZIAŁ 30

---

Sobota, 2 maja 1998

Odkąd wraz z Claudią przeniosły się na Florydę, Grace kilkakrotnie miała okazję być w synagodze - z okazji ślubu przyjaciół czy ceremonii bar micwy małych pacjentów. Uczestniczyła też w obchodach drugiego dnia święta Paschy i uroczystość ta wciąż dziś dzień budziła w niej miłe i ciepłe wspomnienia. Bar miewa Saula okazała się jednak najbardziej wzruszającą ceremonią tego rodzaju. I zachwyciła ją od momentu, kiedy młodszy brat Sama wstał z miejsca i zaczął śpiewać załamującym się z przejęcia, drżącym głosem starodawne i zupełnie niezrozumiałe dla niej słowa. Myśl o tym, że w trakcie owego obrządku chłopiec wkracza w wiek męski, wydała się Grace niedorzeczna, choć nieraz widywała, jak dzieci dorastają w ciągu jednej nocy. W takich wypadkach jednak powodem zwykle było jakieś straszliwe nieszczęście lub psychiczny uraz, który brutalnie wyrwał je z dzieciństwa. Obrządek w miejscu kultu religijnego, po którym odbywało się przyjęcie, dzięki Bogu, nie należał do tej kategorii wydarzeń.

Grace patrzyła na młodszego syna Davida i Judy Becket, który stał przejęty pomiędzy rabinem a kantorem, z modlitewnym szalem narzuconym na szczuple ramiona, a cała jego postawa była tak bardzo odmienna od zwykłego chłopięcego rozchukania. Szczerze poruszyła ją powaga uroczystości. Zrozumiała nagle, że nawet jeśli ten tak zwany mężczyzna za godzinę z powrotem przemieni się w trzynastoletniego dzieciaka, to dzisiejsze doświadczenie pozostanie w nim głęboko. Będzie wyglądało momenty wewnętrznego buntu oraz ukształtuje na resztę życia silną i prężną osobowość Saula.

Była to zreformowana synagoga, w której mogli przebywać zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Grace uważała to miejsce kultu za bardziej naturalne i wzbudzające cieplejsze odczucia niż świątynie uczęszczane przez ortodoksyjnych żydów. Na lewo od niej siedziała starsza kobieta. Ssała miętowe cukierki i poruszała bezgłośnie ustami, czytając hebrajskie słowa z modlitewnika i wodząc wskazującym palcem wzdłuż każdej litery. Po prawej stronie Grace miała dziewczynkę w wieku około ośmiu lat, która niespokojnie wierciła się na krześle i robiła, co mogła, ażeby dla zabicia czasu wciągnąć do zabawy o rok albo dwa lata starszą siostrę, starającą się nadażyć za obrządkiem, a przynajmniej sprawiającą takie wrażenie. Grace doskonale pojmowała, co czuje młodsza z dziewcząt. Pamiętała niezliczone godziny spędzone w kościele i odmawianie modlitw w czasach swojego wczesnego dzieciństwa w Chicago. Często była karana przez rodziców za nieuwagę w świątyni. W tamtym czasie Frank Lucca wciąż jeszcze regularnie uczęszczał do kościoła. Grace przypuszczała, że w późniejszych latach

godzinami klęczał przy konfesjonale, aby uzyskać rozgrzeszenie za zbrodnie, jakich się dopuścił wobec Claudii. Tyle tylko, że winy mogły zostać darowane osobie, która powzięła decyzję niepopelniania więcej grzechów. A ponieważ Grace zbyt dobrze знаła Franka i była pewna, że Bóg również go przejrzał na wylot, jedynie kwestią cząści pozostawał moment, kiedy pochłona go piekielne płomienie.

Grace zajęła miejsce z tyłu, z dala od rodziny Becketów. W innych okolicznościach podeszłaby prosto do Davida, który - jak zwykle uparty - postanowił zostawić wózek przy wejściu, i powiedziała mu, jak bardzo się cieszy z ich ponownego spotkania. Nie zrobiła tego jednak, ażeby podczas ceremonii nie sprawić najmniejszej przykrości Judy Becket. Ale pomimo tych dobrych intencji, tuż po tym, gdy Sam został wywołany do odczytania Tory, Judy odwróciła się i Grace napotkała jej spojrzenie. Doktor Lucca poczuła przenikliwy wzrok żony Davida na swojej twarzy, która, na co miała nadzieję, pozostała nieprzenikniętą maską spokoju. Grace pomyślała, że może Judy odgadła, jakie wrażenie wywiera na niej nadzwyczajny głos Sama - głęboki, dźwięczny i naturalnie melodyjny. Albo w tej jednej krótkiej chwili matka Sama pojęła, że pogłębiające się zaangażowanie Grace w związek z jej synem wykracza poza ściśle zawodowe granice, i być może to również napełniło ją niepokojem.

\*

- *Mazettow*, Saul - zwróciła się Grace do chłopca przy kidduszu w holu przylegającym do synagogi, ściskając mu rękę. - Uważam, że byłeś wspaniały, choć, niestety, niewiele rozumiałam z tego, co się działo.

- Ani ja - odrzekł, uśmiechając się szeroko - więc wszystko w porządku.

- Nie masz wina, Grace - zauważył Sam, zbliżając się do nich. - Pozwól, że ci przyniosę.

- Nie mogę zostać - powiedziała spiesznie.

- Musisz wypić z nami za szczęście - uparł się Sam. Przyniósł jej kieliszek koszernego wina i Grace wzniosła toast za pomyślność Saula.

- Uroczystość bardzo mi się podobała - wyznała Samowi. - Naprawdę byłam nią zachwycona.

- Jak wypadłem?

- Myślę, że imponująco. - Uśmiechnęła się, podnosząc na niego wzrok. - Chociaż nie jestem ekspertem w tych sprawach.

- Cieszę się, że przyszłaś, Grace.

- Ja też się cieszę.

Zobaczyła, że Judy Becket zmierza w ich stronę. David, z powrotem w fotelu na kółkach, przebywał obecnie w odległym krańcu holu. Grace, nagle spięta, pragnęła uniknąć najmniejszej nawet nieprzyjemności.

- Naprawdę muszę iść, Sam.

Ale Judy już była przy nich. Miała na sobie granatową suknię z żakietem, którego wyłogi, podobnie jak kapelusz, wykończone były białą lamówką. Wyglądała bardzo szykownie.

- Doktor Lucca - powiedziała swobodnym tonem. - To miło, że pani przyszła.

Grace wyciągnęła rękę, składając gratulacje i mówiąc, jak wspaniale wypadł Saul. Uścisk dłoni Judy był mocny i spokojny, a w chwili, kiedy dziękowała, jej wzrok napotkał w końcu oczy Grace, która poczuła nie tylko podziw dla tej kobiety, ale także żal, że ich znajomość miała tak niefortunny początek.

- Właśnie powiedziałam Samowi, że muszę już iść.

- Wielka szkoda - odrzekła chłodno Judy. - W takim razie nie będę pani zastrzymywać.

Zrobiła zwrot na pięcie i ponownie wmieszała się w tłum. Grace spojrzała na Sama i dostrzegła gniew w jego oczach. Chwyciła Becketa za rękę i przytrzymała przez moment.

- Wszystko w porządku - zapewniła go cicho. - Nie denerwuj się.

- To trwa już zbyt długo - oświadczył. - Powiem jej, co o tym myślę.

Grace uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Daj jej trochę czasu.

- Musisz przed wyjściem przywitać się z tatą, Grace.

Spojrzała przez hol w stronę miejsca, gdzie siedział ojciec Sama w otoczeniu grupy kochających go i dobrze życzących mu ludzi. Spostrzegła, że Judy z powrotem znalazła się u boku męża.

- Nie dzisiaj, Sam. Przekaż mu ode mnie najlepsze pozdrowienia. Wkrótce się z nim zobaczę.

Nie dała mu szansy na wysuwanie dalszych argumentów, tylko pocałowała go w policzek, raz jeszcze wyraziła zadowolenie z faktu uczestniczenia w uroczystości i cicho wymknęła się z holu. Kiedy z powrotem usiadła za kierownicą

mazdy, potrzebowała dłuższej chwili na uspokojenie rozdygotanych nerwów. Po-tem włączyła klimatyzację i telefon komórkowy, starając się zbyt długo nie za-stanawiać nad coraz bardziej skomplikowanymi uczuciami, jakie w niej wzbu-dzał Sam Becket.

Na telefonicznym ekranie pojawiła się ikonka z wiadomością. Grace zadowo-lona, że ma okazję, aby oderwać myśli od Sama, nacisnęła guzik poczty i po upływie kilku sekund usłyszała głos Claudii.

- To ja, Grace. Przykro mi, że muszę w ten sposób przekazać ci wiadomość, ale nie wiem, jak inaczej mogłabym to zrobić. - Zamilkła. - Telefonował tata. Mama nie żyje.

Grace wstąpiła do domu po Harry'ego. Była bardzo zdenerwowana, kiedy je-chała na Islamoradę. Wiedziała, że to na skutek wiadomości, prawdopodobnie w połączeniu z silnymi emocjami, jakie wywołały w niej bar miewa i kiddusz. Kil-ka razy miała niejasne poczucie, że jest obserwowana - to samo, jakiego do-świadczyła u Saksa przed dwoma tygodniami, kiedy przez chwilę przypuszczała, że to Cathy ją śledzi. Uległa wtedy złudzeniu, i teraz też nikt jej nie obserwował. Upewniła się, kilkakrotnie spoglądając do wstecznego lusterka. Od dłuższego czasu za jej samochodem jechał biały volkswagen, prowadzony przez starszego mężczyznę, a potem niebieska furgonetka z młodą kobietą za kierownicą. Grace otrząsnęła się z nieprzyjemnego wrażenia, powiedziała Harry'emu, że cierpi na paranoję, ale że nie powinien się o nią martwić, ponieważ psychologów od czasu do czasu dosięgają tego rodzaju przypadłości.

Do Brownleyów dotarli po południu. Daniel również dopiero co wrócił z Tamy, dokąd wyjeżdżał w interesach, a Mike i Robbie byli w drodze do domu - ze szkoły odebrała ich przyjaciółka Claudii.

Claudia nadrabiała miną, krzając się w kuchni i zapewniając męża, że nie potrzebuje jego pomocy. zaproponowała mu, żeby poszedł na górę, wziął prysz-nic i przez chwilę odpoczął, zostawiając jej przygotowanie przekąski. Grace wie-działa jednak, że siostra jest kłębkim nerwów.

- Telefonował trzykrotnie - odezwała się Claudia, krojąc ser na plasterki. Harry i jamniczka Sadie czatowały w pobliżu, licząc na to, że jakiś kasek spadnie na podłogę. - Chce, żebyśmy przyjechały do domu na pogrzeb. Wciąż powtarza, że musimy uporządkować sprawę pomiędzy nami.

- To tylko słowa - zawyrokowała Grace.

- Sądząc po tonie jego głosu, mówił szczerze.



- Z pewnością. Zawsze potrafił być przekonywający, kiedy mu na tym zależało. - Grace wzięła kuchenny nóż i wbiła go w dużą, czerwoną paprykę. - Wszystko potrafi ci wmówić, Claudio.

- Nie masz ochoty jechać na pogrzeb? - spytała cicho siostra.

- Nie mam ochoty? - Grace odłożyła nóż. - Oczywiście, że nie. Nie mam ochoty wracać do Chicago ani widzieć się z Frankiem, a już z pewnością nie mam ochoty patrzeć, jak moją matkę wkładają do ziemi, radzić sobie z uczuciami, jakie widok ten we mnie wzbudzi. - Westchnęła. - Myślę jednak, że pomimo wszystko pojedę.

- Dzięki Bogu - odpowiedziała Claudia i opadła ciężko na jeden z kuchennych stołków. - Tak się bałam, że nie będziesz chciała i że będę zmuszona sama tam wrócić.

- Nigdy bym ci na to nie pozwoliła.

Przez usta Claudii przemknął cień uśmiechu.

- Tak przypuszczałam.

Grace wzięła Claudię za rękę, poderwała ją ze stołka i zaciągnęła do kuchennego stołu. Usiadły, wciąż trzymając się za ręce.

- Biedna Ellen - powiedziała. Nagle uzmysłowiła sobie, że nie wie, na co dokładnie zmarła matka. - Frank powiedział, co się stało? Czy przyczyną zgonu był rak? Zapewniał, o ile pamiętam, że guz został usunięty w całości.

- Umarła na atak serca - wyjaśniła Claudia. - Ojciec powiedział, że nastąpiło to niespodziewanie. W jednej chwili żyła, a w następnej już jej nie było.

- Lepiej dla niej - zauważyła cicho Grace.

- Jej śmierć musiała być wielkim wstrząsem dla taty - ciągnęła Claudia.

Im większym, tym lepiej dla niego, pomyślała Grace.

- Żałuję, że to nie jego spotkało - odezwała się na głos.

- Nie mów tak, Grace.

- Dlaczego nie? Wiesz, co czuję. - Umilkła. - Ellen przynajmniej nie musi dłużej z nim żyć. A to już coś.

Ciemne oczy Claudii wypełniły się łzami.

- Chyba masz rację.

- Och, kochanie. - Grace podniosła się z miejsca i objęła siostrę za ramiona. - Płacz. Wyrzucić to z siebie.

Claudia odchyliła się do tyłu i spojrzała jej w twarz.

- A ty? Nie chcesz się również wypłakać?

- Nie - odrzekła Grace i mocno przyciągnęła ją do siebie. - W każdym razie nie teraz.

- Co czujesz? - spytała siostra z głową wtuloną w jej ramiona.

- Nie wiem, Claudio.

Powiedziała prawdę. Nie miała pojęcia, co czuje. Nie wydawała się zdolna do odczuwania czegokolwiek. Och, doskonale rozumiała powody, jakie się za tym kryły. Wypieranie się tego, co było. Psychiczna blokada. Mogła się uciec do wszystkich tych samych zwyczajnych wyjaśnień, jakich od wielu lat udzielała swoim pacjentom, gdy określała ich stan psychiczny. Jednak obecnie, w jej przypadku, okazały się nietrafne. Nie po raz pierwszy Grace uzmysłowiła sobie, że jej własna sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana niż Claudii. Jej siostra była ofiarą - w dodatku obojga rodziców. Franka, ponieważ ją dręczył fizycznie, i Ellen, która poprzez zachowywanie milczenia krzywdziła córkę w tym samym stopniu. Zdaniem Grace, Claudia miała pełne prawo do tego, ażeby nadal bać się ojca i nienawidzić go jednocześnie. I to Claudia powinna być tą, która nie przejawia chęci do uczestniczenia w pogrzebie, a już z pewnością nie musi myśleć o zrobieniu tego przez wzgląd na Franka. Co innego Grace. Nigdy nie była wykorzystywana przez ojca. Jej cierpienia wynikały z tego, że była świadkiem udręki siostry, z poczucia winy, że ona została oszczędzona, a także z atmosfery bólu, złości i strachu, jaka panowała w domu w czasach ich dzieciństwa. Z tym wszystkim przyszło się jej uporać po opuszczeniu Chicago, podczas gdy Claudia po prostu pozostawiła za sobą lata strachu, wstydu i zdrady. I dlatego Grace wciąż czuła się teraz, pomimo tak długiego upływu czasu, zmuszona do podejmowania za nie obie decyzji dotyczących ich udziału w przygotowaniach do pogrzebu Ellen Lucca oraz co do kształtu ich przyszłych stosunków z ojcem.

- Dzieje się mnóstwo rzeczy, a nie sądziłam, że kiedykolwiek coś takiego mogłoby się wydarzyć - powiedziała po kolacji, kiedy chłopcy zabrali Harry'ego i Sadie ze sobą do łóżek, a troje dorosłych mogło w końcu spokojnie porozmawiać.

- Jakich na przykład? - spytał Daniel.

Siedzieli na pomoście. Płonące wokół aromatyczne świece chroniły ich przed komarami. Daniel otworzył dużą butelkę chianti i wszyscy troje pili znacznie więcej niż zazwyczaj.

- I pomyśleć tylko, że Frank, ten dręczyciel, błagał, żebyśmy wróciły do domu, kiedy zawiadomił nas o chorobie Ellen. - Grace umilkła na moment, zdając sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie wino rozwiązało jej język. - Moje uczucia się nie zmieniły, szczególnie wobec niego, ale także i wobec Ellen.

Nikt się nie odezwał.

- Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, że każde z nich kiedyś umrze, ani nie myślałam, jakie wyzwoli we mnie emocje ich śmierć - mówiła dalej.

- A ja tak. - Głos Claudii zabrzmiał chrapliwie w łagodnym, nocnym powietrzu. - Kiedy uciekłyśmy z Chicago - jeszcze zanim cię poznałam, Dan - uśmiechnęła się przelotnie do męża - często wyobrażałam sobie śmierć taty. - Odwróciła głowę od nich obojga, ażeby nie widzieli jej twarzy. - W mojej wyobraźni zawsze była to śmierć w męczarniach. I zawsze błagał nas o przebaczenie. - Zamilkła. - A kiedy wyobrażałam sobie, że mama umiera, ona również za każdym razem błagała, żebym jej wybaczyła, że nie przeciwstawiła się tacie i nie stanęła w mojej obronie.

Ponownie odwróciła się do nich przodem. W migającym blasku świec na jej twarzy malował się ból. Daniel wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu żony. Grace wiedziała, że dopóki siostra ma przy sobie męża, nie musi się o nią lękać.

Obudziła się wcześnie, kiedy jeszcze wszyscy spali - Claudia i Daniel prawdopodobnie odsypiali skutki chianti. Trochę bolała ją głowa, ale najbardziej dawało się jej we znaki zdenerwowanie z powodu rozmowy telefonicznej, jaką musiała odbyć - rozmowy, którą ubiegłego wieczora odłożyła na później.

Frank był zaspany, ale Grace spodziewała się tego. Prawdopodobnie wybrała tak wczesną porę, ponieważ ojciec nigdy nie był rannym ptaszkiem i liczyła na to, że nie będzie w stanie toczyć z nią walki.

- Ach, to ty - odezwał się. - Nie śpieszyłaś się zbytnio.

- Tak, rzeczywiście - przyznała. - Kiedy się dowiedziałam, pojechałam do Claudii, ażeby być razem z nią. Późno dotarłam na miejsce, więc pomyślałam, że zaczekam do rana. - Umilkła. - Claudia powiedziała, że to się stało nagle. Przykro mi.

- Kiedy przylecicie?

- A na kiedy jest zaplanowany pogrzeb? - Grace nie mogła uwierzyć w to, że zachowuje aż tak wielką obojętność. Odczuwała większe emocje, ustalając szczegóły uroczystości żałobnych z całkiem obcymi ludźmi niż podczas rozmowy z własnym ojcem.

- Nie wiem - powiedział Frank. - Chcę, abyśmy to wspólnie ustalili. Termin pogrzebu, odczytanie testamentu waszej matki, no, tego rodzaju sprawy.

- To nie będzie możliwe - oświadczyła Grace.

- Dlaczego nie?

- Obie mamy różne własne zajęcia. Kiedy zawiadomisz nas o terminie pogrzebu, postaramy się przyjechać. - Przerwała na moment i dodała surowym głosem: - Jeśli pojawią się jakieś trudności i rzeczywiście będziesz potrzebował naszej pomocy, wtedy skontaktuj się ze mną, a nie z Claudią, bardzo o to proszę.

- Zabraniasz mi telefonować do własnej córki?

Jeśli Grace kiedykolwiek zdołała zapomnieć o jego szkaradnym charakterze, nikczemny ton brzmiący w głosie ojca sprawił, że na nowo załąły ją wspomnienia.

- Ja również jestem twoją córką, Frank - zauważyła. - I mówiłam poważnie. Kontaktuj się ze mną. Chociaż raz w swoim wstrętnym życiu zostaw Claudię w spokoju.

Odłożyła słuchawkę. Opanowanie znikło i trzęsły jej się ręce. Ale przynajmniej decyzja została podjęta.

Nawet w tym obfitującym w emocje czasie sprawa Cathy wciąż budziła poważny niepokój w umyśle Grace. Może rozpamiętywanie własnej przeszłości przypominało jej o trudnym położeniu dziewczynki - była przecież jeszcze jednym wykorzystywanym i skrzywdzonym dzieckiem, które potrzebowało przyjaciela. Grace wyjechała z Islamorady zaraz po śniadaniu i, działając pod wpływem chwili, postanowiła odwiedzić Petera Haymana na Key Largo. Miała nadzieję, że go zastanie, a także że będzie miał ochotę z nią się spotkać.

Był i sprawiał wrażenie ucieszonego, widząc ją i Harry'ego na progu swojego domu. Po kilku minutach siedzieli na oszklonej werandzie z widokiem na palmy i ogród pełen orchidei. W powietrzu unosił się zbyt ciężki zapach kwiatów. Gdyby Grace lepiej знаła Haymana, zaproponowałyby przeniesienie się do innej części budynku, do pokoju z oknami wychodzącymi na ocean. Była jednak niepro-

szonym gościem, więc nic nie powiedziała. Harry, również nieswój, leżał niemal przyklejony do jej prawej nogi.

Upiła łyk kawy, którą jej przyniósł gospodarz, i pilnując się, aby nie wyjawić żadnej z informacji, jakie w zaufaniu otrzymała od Sama, zapoznała Petera z najświeższymi teoriami na temat Johna Brodericka.

Wysłuchał Grace w milczeniu.

- Czy bierzesz pod uwagę również i to, że możesz się całkowicie mylić? - spytał w końcu cicho. - I że Cathy, pomimo wszystko, jest winna?

- Oczywiście, że dopuszczam taką ewentualność - odrzekła. - Nie wierzę jednak w jej winę.

Słyszała dyszenie Harry'ego. Pochyliła się i przez chwilę głaskała go po uszach. Przez wzgląd na psa postanowiła nie przeciągać wizyty.

Hayman również podniósł się z miejsca i spojrzał przez siatkę przeciwko owadom w oknie na swój tropikalny ogród.

- Czuję się zakłopotany, Grace - wyznał, nie patrząc na nią. - Martwię się, że być może popełniłem błąd, doszukując się analogii pomiędzy moją dawną sprawą a przypadkiem, którym obecnie się zajmujesz. - Zwrócił się twarzą do niej. - Może zaszczyliłem w twoim umyśle całkowicie błędną ideę?

- Niewykluczone - przyznała ze spokojem. - Ale kiedy waży się życie czternastolatki, nie stać mnie na ryzyko odrzucenia żadnej hipotezy tylko dlatego, że może okazać się fałszywa. - Umilkła. - Poza tym nabrałam pewnego dystansu do zespołu Munchausena, dlatego niepotrzebnie się martwisz.

- W porządku. - Najwyraźniej potrzebował chwili, ażeby przyjąć do wiadomości jej punkt widzenia. - Pozwól, że zadam ci proste pytanie. Czy wiesz, jak wyglądał John Broderick? Czy masz jakieś jego zdjęcie?

- Nie, nie mam. - Grace opowiedziała mu o sypialni Cathy w domu Robbinsów, o fotografiach i o tym, że nie było tam podobizny mężczyzny, którego dziewczynka nazywała swoim pierwszym ojcem.

- Może należałoby jakąś znaleźć? - zasugerował Hayman. - O ile nadal jesteś zwolenniczką teorii, że on żyje. - Uśmiechnął się tylko. - Chodzi mi o to, Grace, że go nie rozpoznasz, nawet jeśli się kiedyś na niego natkniesz.

- Masz rację. - Zastanowiła się nad najlepszym sposobem zdobycia fotografii. W aktach szpitala Lafayette z pewnością figurowało zdjęcie Brodericka, jednak wydawało się mało prawdopodobne, ażeby władze szpitala zechciały je udostępnić. A to oznaczało, że będzie musiała zwrócić się z prośbą o pomoc do Sama.

Nie widziała powodu, dla którego miałby jej odmówić, a o ile się orientowała, miał już jakąś podobiznę Brodericka.

- Zdobędę tę fotografię - zapewniła Haymana. - Dziwię się, że do tej pory nie pomyślałam o tym.

- Może dlatego, że jednak uważasz go za zmarłego - odpowiedział łagodnie. - Tylko nie jesteś jeszcze gotowa, żeby to przyznać.

Kiedy pół godziny później szykowała się do wyjścia, zauważył, że wygląda na zmęczoną. Powiedziała mu, bez wdawania się w szczegóły, że otrzymała złe nowiny. Odrzekł, że mu przykro to słyszeć, ale o nic nie pytał i Grace była mu za to wdzięczna. Zapewnił ją raz jeszcze, że jego zaproszenie jest nadal aktualne i namawiał, aby wybrała się razem z nim na jedno- lub dwudniową wycieczkę jachtem.

- Nie zapomnij o mojej propozycji, Grace, zgoda?

- Nie zapomnę - obiecała.

- I nie rozchoruj się z przepracowania. Nikt nie będzie miał wtedy z ciebie żadnego pożytku.

- Wiem o tym.

Uścisnęli sobie dłonie. Grace zauważyła, że przytrzymał jej rękę w uścisku o minutę dłużej, niż to było absolutnie konieczne. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy nie przekazała mu błędnych sygnałów, zjawiając się w jego domu bez uprzedzenia. W jego piwnych oczach nie dostrzegła jednak natarczywości. Malowały się w nich jedynie uwaga i zatroskanie.

- Widzisz? - powiedziała do Harry'ego, gdy wracali do autostrady prowadzącej w kierunku stałego lądu. - To jeszcze jeden skutek wykonywania zawodu psychoterapeuty. - Wyciągnęła rękę do psa i zmierzwiła mu sierść na czubku łba. - Człowiek zaczyna doszukiwać się Bóg wie czego w zwykłym uścisku dłoni.

Terier wydał z siebie jeden ze zwykłych pomruków i z zadowoleniem ułożył się na fotelu obok niej. Grace wiedziała, że oboje pragną jak najprędzej znaleźć się w domu.



# ROZDZIAŁ 31

---

Grace i Claudia odleciały w środę rano z międzynarodowego portu lotniczego w Miami, wylądowały po południu na lotnisku O'Hare w Chicago i stamtąd pojechały taksówką do hotelu. Daniel chciał im towarzyszyć, ale Claudia zapewniła go, że bardziej jej pomoże, zostając w domu z chłopcami. Naprawdę tak uważała. Claudia pozostawiła siostrze zorganizowanie im podróży i Grace postanowiła kierować się w tej sprawie własnym rozsądkiem. Rodzina Lucca zawsze mieszkała w Melrose Park. W czasach kiedy Frank dzięki dochodom, jakie przynosił jego sklep spożywczy na przedmieściu, mógł zapewnić im przyzwoity poziom życia, wprowadzili się do ładnego, szeregowego domku. Dopiero potem, kiedy kosztem jakości towarów usiłował osiągnąć większe zyski, firma zaczęła podupadać i stracił najlepszych klientów. Po likwidacji sklepu zdołali jednak zatrzymać dom. Grace miała świadomość, że to dzięki matce, która ciężko harowała, ażeby związać koniec z końcem. Grace całym sercem żałowała teraz, że nie zdołała pokochać ani podziwiać za to Ellen, ale żadna katorżnicza praca nie była w stanie zrekompensować faktu, że matka stała biernie i nawet nie kiwnęła palcem, kiedy jej mąż krzywdził Claudię.

I zapewne właśnie dlatego Grace powzięła decyzję, że jeśli obie z Claudią mają oddać ostatnie wyrazy hołdu Ellen Lucca, będą się trzymać z dala od domu w Melrose Park. Przenocują w dobrym hotelu - w Mayfair Regent, w wytwornym, gwarantującym prywatność miejscu z widokiem na jezioro Michigan, gdzie w pokojach mają różnego rodzaju udogodnienia, a na dole jest bar z kominkiem. Claudia sprzeciwiła się temu pomysłowi i natychmiast ogarnęło ją poczucie winy, Grace zachowała jednak stanowczość i nie zamierzała ustąpić.

- Nie dyskutujemy już o tym - powiedziała. - W tej konkretnej sprawie nie jestem psychologiem, ale zwyczajną kobietą, którą na szczęście stać na nocleg w przyzwoitym hotelu. I kiedy wrócę z cmentarnej kaplicy, z pogrzebu i wszelkich innych miejsc, gdzie był blisko mnie Frank Lucca, chcę mieć najwygodniejszy pokój, kąpiel o najprzyjemniejszym zapachu i największą, nierozcieńczoną whisky w szklance.

Ostatnie dni przed odlotem były bardzo ciężkie dla Grace, ponieważ dowiedziała się, że data pogrzebu zbiega się z wystąpieniem prokuratora stanowego

przez wielką ławę przysięgłych przeciwko Cathy Robbins. Jeny Wagner utrzymywał - i Sam, na podstawie własnych wieloletnich zawodowych doświadczeń, przyznał mu rację - że na tym etapie doktor Lucca nie jest w stanie nic zrobić, ażeby pomóc swojej pacjentce. Nie powstrzymało to jednak Grace od chęci przynajmniej przebywania w pobliżu Cathy. Okazało się, że wolno jej tylko porozmawiać z dziewczynką przez telefon. Była to nie-satysfakcjonująca, a nawet przygnębiająca rozmowa, przeważnie jednostronna. Cathy, która już wiedziała, że powrót do zdrowia Davida Becketa nie wpłynie na poprawę jej położenia, odniosła się ze zrozumieniem do wyjazdu swej psychoterapeutki na pogrzeb matki i przekazała jej wyrazy współczucia z powodu straty, jaką poniosła. Wydawała się jednak tak zobojętniała i przygnębiona, że Grace jeszcze bardziej zaczęła się o nią martwić.

- Zadzwońię po powrocie, żeby się dowiedzieć, jaki obrót przyjęły sprawy - obiecała.

- Nietrudno to przewidzieć - odparła Cathy.

- Być może. - Grace starała się nadać swojemu głosowi optymistyczne brzmienie. - Bez względu na wszystko, co się wydarzy w tym tygodniu, musisz pamiętać, Cathy, że to dopiero początek. Pierwszeńsi. Pan Wagner, jego ludzie, i my wszyscy, nie mieliśmy jeszcze okazji, ażeby zacząć o ciebie walczyć.

- Jasne - odpowiedziała Cathy i odłożyła słuchawkę.

W czwartkowy poranek tylko Grace, Claudia, Frank Lucca oraz niewielkie grono przyjaciół uczestniczących w pogrzebie pożegnali Ellen. Grace nie potrafiła odgadnąć, co dzieje się w umyśle jej siostry. Wiedziała jednak, że w jej własnym dzieje się zarówno zbyt wiele, jak i zbyt mało. Do głowy cisnęły się wciąż żywe, złe wspomnienia i zarzuty. Zbyt mało było natomiast miłości i szczerego przebaczenia. Przypuszczała, że na pojednanie z matką już za późno i pomyślała, że Claudia również doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Frank zmienił się fizycznie; brzydko się postarzał. Kiedyś, w młodości, był przystojnym, pełnym wigoru mężczyzną. Obecnie niemal całkowity brak włosów podkreślał nieładny kształt jego czaszki, nos wydawał się dłuższy, a zgorzknienie i nikczemność zdawały się przeniknąć z umysłu do jego piwnych oczu i bladych ust.

Płakał, kiedy spuszczała trumnę jego żony do ziemi. Krokodyle łzy, pomyślała Grace nieżyciwiście, widząc, jak duże krople spływają mu po policzkach. Później jednak, kiedy znalazła się w bezpiecznej odległości od ojca, doszła do wniosku

sku, że może były szczerze. W końcu Ellen była dobrą żoną i trzymała jego stronę, występując nawet przeciwko własnym córkom.

- Czy to pani jest psychologiem czy pani siostra? - zagadnęła Grace jedna z sąsiadek Franka po pogrzebie, w ich rodzinnym domu w Melrose Park. Kobieta była chuda, miała na sobie czarną sukienkę z satyny i pachniała salami.

- Tak, ja. Jestem Grace Lucca.

- Pani ojciec bardzo się smucił, że ani pani, ani pani siostra nie przyjechałyście zobaczyć się z mamą, kiedy jeszcze była wśród nas, Panie świeć nad jej duszą.

Grace powstrzymała zaskakująco gwałtowne pragnienie splunięcia jej w oczy.

- Niestety, nie mogliśmy.

- Pani matka była cudowną istotą - zapewniła ja kobieta.

- Cieszę się, że tak pani uważa - odrzekła Grace i odwróciła się do niej tyłem.

- Paskudnie się dzisiaj zachowałam - zwierzyła się potem siostrze w ich hotelowym apartamencie. - Nie chciałam tego. Zamierzałam, bez względu na wszystko, przebrnąć przez to w pokojowym nastroju, ale zawiodły mnie nerwy.

- Nie zrobiłaś niczego strasznego - uspokoiła ją siostra.

- Naprawdę? - spytała Grace z roztargnieniem. - W takim razie, może podświadomie tego pragnęłam.

Każda z nich wzięła gorący prysznic, a potem owinięte w hotelowe szlafroki zamówiły kolację do pokoju: steki z polędwicy, które zjadły z wilczym apetytem, oraz bordeaux, które wciąż popijały, siedząc przed telewizorem. Były wyczerpane, ale odczuwały niewypowiedzianą ulgę, że już po wszystkim. Ten cały okropny dzień spowijała mgła przykrości. Grace ponownie wpadła w stan odrętwienia. Nie doszło do żadnych niespodzianek. Ani aktów skruchy ze strony ojca. Wręcz przeciwnie. Frank mówił głośno do wszystkich, choć nie miał zbyt wielu słuchaczy, że Claudia i Grace ogromnie zawiodły zarówno jego, jak i Ellen.

- Czy popełniam duży grzech, mile spędzając czas dzisiejszego wieczora? - spytała Claudia z głębin swojego fotela.

- Naprawdę dręczą cię tego rodzaju wątpliwości? - zdziwiła się Grace z kanały.

- Chyba tak.

- Znasz moją odpowiedź - oświadczyła Grace. - Jesteś uczciwą kobietą, Claudio, a nie hipokrytką. I nie potrafisz udawać żalu. A nie sądzę, żeby któraś z nas go odczuwała, prawda?

- Nie umiem oplakiwać mamy - przyznała się Claudia. - Ale odczuwam głęboki smutek.

- Ja też. - Grace trzymała filiżankę z kawą, delektując się kontaktem dłoni z gładką i przyjemną w dotyku powierzchnią. - Uważam, że jest nam smutno z powodu przeszłości, nie sądzisz? I przygnębia nas myśl o życiu, jakie powinnyśmy tu wieść, a jakiego nie było nam dane zaznać.

- Straciliśmy ją wiele lat temu - powiedziała/cicho Claudia.

- To Ellen nas straciła - sprostowała z naciskiem Grace. - Wyrzuciła nas z domu.

Rozmawiały jeszcze przez długi czas, jak zwykle gdy były same, ale rano, kiedy wsiadały na pokład samolotu lecącego do Miami, Grace odniosła wrażenie, że coś się zmieniło w ich wzajemnych stosunkach. „Zamknięcie sprawy” stało się ostatnio modnym określeniem. Używali go chętnie kochankowie, kiedy ich romans dobiegał końca, i małżonkowie, gdy wzajemne współżycie przynosiło już tylko rozczarowanie; a pokrzywdzeni byli przekonywani o tym, że poczują się lepiej, jeśli znajdą sposób na odcięcie się od przeszłości.

I na zamknięcie sprawy.

Grace była tą z sióstr, która mówiła o braku emocji związanych ze śmiercią matki. Claudia w przeszłości uchodziła za osobę bardziej podatną na ciosy i wymagała większej troski. Kiedy jednak w piątkowe popołudnie rozstawały się na lotnisku w Miami, Grace zdawała sobie sprawę z tego, że to właśnie Claudii udało się osiągnąć owo „zamknięcie”

I w widoczny sposób wydorosła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Grace była pewna, że jedyna rodzina, jakiej potrzebuje i jakiej kiedykolwiek będzie potrzebowała jej siostra, mieszka na Florydzie. Co się zaś tyczy jej samej - podobno silniejszej z nich obu, która wzięła na siebie rolę przywódcy - odczuwała po prostu pustkę. Wewnątrz niej znajdowała się zimna próżnia, którą przedtem, jak się domyślała, wypełniał powoli dopalający się żar dawnego gniewu. Ellen odeszła na zawsze, a Frank z całą pewnością utracił zdolność wprowadzania niepokoju w jej życie. Skłamałaby jednak, twierdząc, że odzyskała spokój ducha.

Zgodnie z przewidywaniami ława przysięgłych postawiła Cathy w stan oskarżenia i prokurator wysunął wniosek, ażeby odpowiadała przed sądem jako osoba dorosła. Na dodatek została teraz formalnie oskarżona o zamordowanie Beatrice Flager i usiłowanie zabójstwa doktora Becketa. Asystentka Jerry'ego Wagnera, Veronica Blaustein, powiedziała, że Grace będzie mogła następnym razem zobaczyć się z dziewczynką w areszcie dla kobiet kilka bloków od Flager Dog Track, w samym centrum Miami.

Kiedy Grace w poniedziałek po pogrzebie Ellen spróbowała poprosić go o widzenie, została poinformowana, że Cathy nie najlepiej się czuje i nie życzy sobie żadnych odwiedzin. Grace przypuszczała, że powinna przyjąć tę odmowę do wiadomości i zniknąć, ale ociągała się z wyjściem, aż w końcu pozwolono jej porozmawiać z doktorem Parésem, jednym z więziennych lekarzy. Miał łagodny głos i lekko akcentował słowa. Grace poczuła ulgę, widząc, że jest szczerze przejęty losem nastolatki.

- Dziewczynka przeżywa głęboką depresję, doktor Lucca - oznajmił. - Ciągłe płacze. - Umilkł. - Obawiam się, że czuje się zarówno zdradzona, jak i opuszczona.

- W jaki sposób stara się pan jej pomóc?

Grace przerażała myśl o tym, że polityką więziennictwa jest szpikowanie kłopotliwych więźniów zaaprobowanymi przez państwo medykamentami ułatwiającymi utrzymanie tych ludzi w ryzach. Pomysł taki wydawał się tym bardziej zatrważający z perspektywy krzywdy, jakiej doznała Cathy ze strony własnego ojca, gdy była małym dzieckiem.

- Niewiele mogę zrobić - wyznał doktor Parés. - Dokładałem wszelkich starań, ażeby ją uspokoić, ale sama pani rozumie, że to niełatwe zadanie.

- Czy przepisał jej pan jakieś lekarstwa? - nie zdołała się powstrzymać od zadania tego pytania.

- Przed wyłączeniem świateł zamierzam podać dwa miligramy diaze-pamu, ażeby zapewnić pacjentce lepszy odpoczynek - odpowiedział nieco sztywnym tonem lekarz.

- Czy mógłby pan ją namówić, żeby się ze mną zobaczyła, doktorze Pares?

Jego wahanie, choć krótkie, nie budziło wątpliwości.

- To może być trudne. - Urwał. - W końcu pani jest jedną z tych osób, które, w odczuciu Cathy, najbardziej ją zdradziły.



Grace była skonsternowana, ale nie zdziwiona. W pełni pojmowała, że jej własne poczucie winy, choć irracjonalne, nasiliło się od czasu, kiedy Harry odkopał narzędzie zbrodni, a w ciągu ubiegłego tygodnia jeszcze bardziej się pogłębiło.

- Pragnę jej tylko pomóc - zapewniła go. - Wierzę w niewinność Cathy i chcę być jej przyjaciółką. Gdyby w jakiś sposób zdołał pan jej to przekazać, byłabym wdzięczna.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecał, już nieco bardziej łagodnym tonem. - Mnie również trudno jest uwierzyć w jej winę. Chociaż pozory, o czym oboje wiemy, mogą mylić.

Oczywiście Grace zdawała sobie sprawę z tego, że lekarz ma rację. Rozumiała też, że sama pozwala się zwabić w pułapkę, której istnienie wyczuwała już podczas pierwszego spotkania z Cathy przed pięcioma tygodniami. Nastolatka była jej pacjentką i ofiarą, ale także osobą podejrzaną o popełnienie kilku morderstw. Grace miała świadomość, że wobec tej dziewczynki powinna zachować wyjątkową czujność i większy dystans emocjonalny niż wobec swoich innych pacjentów - jednoznacznie sprecyzować myśli o niej - podobnie jak uporządkować notatki w oprawionym w kolorową skórę skoroszytcie, który przechowywała w swoim gabinecie pod hasłem „Robbins C” - i dopuszczać je do siebie tuż przed, w trakcie i zaraz po spotkaniu z dziewczynką. Prawda była jednak taka, że Cathy zaprzętała dzień i noc umysł Grace. Zakradała się do jej snów, a nawet, co było jeszcze mniej wybaczone, od czasu do czasu przeszkadzała w sesjach z innymi pacjentami.

Grace zaczęła pojmować, że powinna skonsultować się z jakimś psychologiem w Miami, a nawet rozważyć możliwość przekazania przypadku Cathy innemu, niezaangażowanemu w tę sprawę specjalście.

Gdyby oddała Cathy w ręce następnego psychologa, dziewczynka poczułaby się jeszcze bardziej zdradzona. Ale, według doktora Paresa, już tak się czuła. A jeśli - bez względu na to, jak bardzo Grace nie chciała dopuścić do siebie tej możliwości - Cathy jest winna? Czy wtedy nie byłoby dla niej lepiej, gdyby miała przy sobie psychologa gotowego uznać prawdę? Kogoś, kto od razu obrałby najlepszą metodę przyścia jej z pomocą jako osobie potencjalnie chorej psychicznie? I wielokrotnej morderczynie, nie wspominając już o zbrodni matkobójstwa?

- Może najwyższy pora, żeby to zrobić - powiedziała Grace tuż przed lunchem do Harry'ego, swojego najlepszego powiernika. - Naprawdę zaczynam już rozważać tę możliwość.

Pies siedział nieruchomo, nie odrywając od niej bystrych, ciemnych oczu.



Nie miał jej nic do powiedzenia. Wiedział, że jego pani ma gonitwę myśli. I oszukuje siebie samą. Grace również zdawała sobie z tego sprawę.

Nie było sposobu, który skłoniłby ją do rezygnacji z zajmowania się sprawą Cathy.

TLR

# ROZDZIAŁ 32

---

Wtorek, 12 maja 1998

We wtorek rano do Grace zatelefonował Dayid Becket. Sam powiadomił ją wcześniej, że ojciec wyszedł jż z szpitala i stał się bardzo kłótlwy. Brzmienie znajomego głosu jak zawsze obudziło w niej ciepłe uczucia.

- Ostatnim razem, kiedy mieliśmy okazję ze »UUA namawiać, tematem naszej dyskusji był ów drań, tak zwany lekarz, ojciec Cathy Rob-bins.

- Tak, przypominam sobie.

- A następną rzeczą, której jestem świadomy... dobrze wiesz, co się stało potem. - David umilkł. - Dowiedziałem się od Sama o twojej matce. Przykro mi, Grace.

Grace nie widziała się z Samem od czasu uroczystości w synagodze, ale rozmawiała z nim przez telefon i powiedziała mu o wyjeździe do Chicago. Spytał, czy czegoś nie potrzebuje i czy woli zostać sama. Odrzekła, że radzi sobie ze wszystkim i nie zależy jej na samotności. Pomyślała, że być może któregoś dnia opowie mu o swoim żalonym dzieciństwie. O ile kiedykolwiek znajdą trochę wolnego czasu, aby się spotkać.

- Dziękuję, Davidzie - powiedziała do słuchawki. - Jak się czujesz?

- Z każdym dniem coraz lepiej. Odzyskuję formę i doprowadzam tym Judy do szału, ponieważ chcę robić więcej, niż jej zdaniem powinienem. - Ponownie umilkł.- Domyślam się, że potraktowała cię niezbyt przyjaźnie z tego powodu, że bronisz Cathy, prawda?

- Rozumiem jej punkt widzenia.

- A ja nie i powiedziałem jej o tym wprost.

- Niepotrzebnie, Davidzie.

Przeszedł do sedna sprawy.

- Musimy zrobić coś więcej dla tej biedaczki. Nie podobają mi się wieści, jakie do mnie docierają. Wygląda na to, że grozi jej rola kozła ofiarnego.

- W jakim sensie? - spytała Grace.

- Mam na myśli te bzdury z linią obrony bazującą na jej niepoczytalności.

- Domyślam się, że rozmawiałeś z Wagnerem?

- Wczoraj - odrzekł David. - Usiłowałem sprawdzić, co robi dla Cathy, jak również dowiedzieć się, w jaki sposób mógłbym jej pomóc, ale do niczego nie doszedłem. Powiedziałem mu, że skoro jestem jedną z jej domniemyanych ofiar, z pewnością moje wystąpienie przed sądem w charakterze świadka obrony może okazać się dla niej korzystne.

- I co on na to?

- Wyjaśnił, że chce poczekać i przekonać się, jaki obrót przyjmą sprawy. Powiadomił mnie też, że będą potrzebowali znacznie więcej niż tylko świadka obrony. Uważa, że skoro nie mogę z całą stanowczością zeznać, że to nie Cathy ugodziła mnie ostrym narzędziem, cokolwiek powiem, nie wpłynie na zmianę jej sytuacji. Tłumaczyłem, że, moim zdaniem, powinniśmy wykorzystać wszystko, co tylko można. Przyznał mi rację, ale nie zapalił się zbytnio do tego pomysłu.

- Nie masz, w związku z tym, zbyt dobrej opinii o Wagnerze, prawda? - odezwała się cicho Grace.

- Sam nie wiem. Chciałbym wierzyć, że jest dobry w swoim fachu. - David umilkł. - Podobno powiedziałaś mu o Johnie Brodericku. Zlecił swoim ludziom przeprowadzenie w tym kierunku śledztwa, lecz jak dotychczas nie natrafili na nic godnego uwagi. Mam tylko nadzieję, że skrupulatnie przykładają się do roboty.

- Myślę, że to wyjątkowo trudne zadanie.

- Wyrażanie przeciwnego zdania dla podtrzymania dyskusji nie jest typowym dla ciebie zachowaniem, Grace - ofuknął ją. - Wiesz tak samo dobrze, jak ja, że Cathy potrzebuje kogoś, kto poruszy niebo i ziemię, aby znaleźć sposób przyjscia jej z pomocą. A ten facet musi, na miłość boską, zdawać sobie sprawę z tego, że media oszaleją, jeśli zdoła się dokopać do rzekomo zmarłego ojca - zbrodniarza.

- Jestem pewna, że Wagner dobrze o tym wie - powiedziała Grace. - Moim zdaniem jednak nie wierzy w to, że jej ojciec żyje. - Wciągnęła głęboki wdech. - Czy Sam rozmawiał z tobą o Brodericku?

- Potrafię wyciągnąć z mojego syna informacje na interesujące mnie tematy - oświadczył David, wyraźnie z siebie zadowolony. - Wydaje mu się, że jest szalenie dyskretnym gliniarzem od wielkich spraw, ale jeśli naprawdę chcę się czegoś dowiedzieć, umiem go podejść.

- Czy Broderick może się kryć za tym wszystkim, jak sądzisz? A może uważasz, że za bardzo dałam się ponieść fantazji?

- Wiem tylko, że ktoś za tym stoi, i jestem pewien, że to nie Cathy.

- Skąd ta pewność, Davidzie? Nadal zdajesz się na własny instynkt?

- Możesz tak to nazwać. Trzymałem to dziecko w ramionach tego dnia, kiedy leżała w łóżku ze swoimi martwymi rodzicami. Jeśli to ona ich zabiła, to ja jestem szpiegiem KGB, a jeśli się co do niej mylę, to mogą mnie zamknąć i wyrzucić klucze.

- Wagner twierdzi, że chce obrać najlepszą drogę, aby trzymać ją z dala od więzienia.

- I w zamian umieścić w zakładzie dla umysłowo chorych! - zauważył pogardliwym tonem David. - I to ma być dla niej lepsze? To ma być sprawiedliwość?

- Nie musisz mnie przekonywać do swoich racji - zapewniła go Grace.

Jeszcze tego popołudnia i nazajutrz rano próbowała zorganizować odwiedzinę u Cathy, ale na oba wnioski otrzymała tę samą odpowiedź: oskarżona nie chce jej widzieć. Grace, coraz bardziej zaniepokojona, zadzwoniła do lekarza więziennego.

Doktor Parcs wydawał się zmęczony, ale starał się być uprzejmy. Dziś rano odwiedził Cathy i z zadowoleniem odnotował, że jej stan emocjonalny nie uległ pogorszeniu.

- Ale się też nie poprawił, prawda? - spytała Grace.

- Zważywszy na okoliczności, pacjentka jest bardzo spokojna - odrzekł życzliwym tonem lekarz.

Słowa, które miały usmierzyć jej niepokój, napełniły jej serce trwogą. Określenie spokojna miało posmak rezygnacji, a to wzbudziło w Grace strach, że może Cathy już się poddała.

Zaczekała do popołudnia, nim odbyła kolejną rozmowę. Pragnęła pocieszenia i irragieprzyszło jej do głowy, że jedyną osobą, która może tego dokonać, a przynajmniej nieco ją uspokoić, jest Sam. Spróbowała skontaktować się z nim, korzystając z bezpośredniego połączenia z wydziałem zabójstw, ale usłyszała jego głos nagrany na taśmę magnetofonową. Zadzwoiła więc pod numer, jaki jej podał. Niemal natychmiast odebrał telefon. Mówił szybko, ucinając końcówki wyrazów.

- Tu Grace. Jeśli jesteś zajęty, Sam, po prostu się rozłącz.

- Jestem zajęty, ale nie aż tak, abym nie znalazł dla ciebie kilku sekund.

- Czy jest szansa na to, że cię zobaczę? - Odczuwała dziwne zdenerwowanie.
- Kiedy? Teraz? - mówił już znacznie wolniej.
- Nie wiem. Może dzisiaj wieczorem? Jeśli zdołasz się wyrwać.
- Czy znowu coś dla mnie ugotujesz? Uwielbiam twoją kuchnię.
- A ja uwielbiam patrzeć, jak jesz.
- Siódma? Ósma?
- Ósma.
- A zatem jesteśmy umówieni.

Kiedy Grace odłożyła słuchawkę, paliły ją policzki.

- O Chryste - powiedziała. Wiedziała, że paskudnie ją trafiło.

- Jak nazywa się ta potrawa po włosku? - spytał wieczorem Sam. Zaraz po zakończeniu ich krótkiej rozmowy Grace wybrała się na targ i kupiła kaczkę, a po powrocie do domu znalazła słoik marynowanych w winie śliwek oraz cynamon i kolendrę, przechowywane od ubiegłej jesieni. I jeszcze teraz, kiedy jedli ostatnie, upieczone na rożnie kawałki mięsa podane z dzikim ryżem oraz świeżą, lekką sałatką, w kuchni wciąż unosił się zapach, pod którego wpływem do ust napływała ślina.

- O ile wiem, nie ma żadnej nazwy - odpowiedziała, wycierając kawałkiem chleba sos z talerza. - Jediną włoską specjalnością na tym stole jest *ciabatta*. - Spostrzegła, że Harry przymila się do gościa, starając się wyłudzić od niego smaczny kęs. - Nie dawaj mu kaczki. Jest zbyt tłusta, a on jest za gruby.

- Nie znam się na psach, lecz widzę, że przy tobie facet może poważnie przytyć. - Sam zmierzył ją od stóp do głów wzrokiem. - Dlaczego nie jesteś gruba, Grace?

- Może na skutek ciągłego napięcia.

- Z powodu Cathy?

Spojrzała na niego. Wydawał się niezwykle spokojny, gdy siedział za stołem. Pomyślała o przerażających rzeczach, na jakie musiał patrzeć podczas pracy. Powiedziała kiedyś Davidowi Becketowi, że przywykła do słuchania o nieprzyjemnych sprawach, ale nie można było tego porównać z koszmarami, z jakimi na co dzień stykał się Sam.

- Porozmawiaj ze mną, Grace - zaproponował.

- O czym?
- O tym, co cię gryzie. Podniosła się z miejsca.
- Najpierw deser.
- Czy jestem ci w stanie odmówić?

Upieczenie świeżych gruszek z miodem i z cynamonem zajęło jej trochę czasu. Sam w tym czasie włożył brudne talerze do zmywarki, a potem baraszkował z Harrym na podłodze. Gruszki po kilkunastu minutach były gotowe i Grace podała je z lodami waniliowymi.

- O Chryste! - westchnął Sam, ponownie sadowiać się za stołem.
- Nazwij to terapią - zaproponowała Grace.
- Jedzenie czy gotowanie?
- Jedno i drugie. W moim przypadku prawie za każdym razem obie te czynności zdają egzamin.

Przy deserze układankę wypełniło kilka brakujących fragmentów. Grace wyjawiała nieco więcej szczegółów na temat własnego dzieciństwa w Chicago w starych, złych czasach, a Sam opowiedział jej o swoim pra-pradziadku i o praprababce, którzy byli niewolnikami. W latach trzydziestych dziewiętnastego wieku uciekli z Georgii i przez Key Biscayne dotarli na Wyspy Bahama.

- Informacje te pochodzą z dzienników mojego ojca - wyjaśnił. - Rodzina ze strony mojej matki nigdy nie chciała rozmawiać o przeszłości. Przypuszczam jednak, że historia opisana przez mojego ojca wystarczy, by dopowiedzieć całą resztę.

- Co się stało na Wyspach Bahama? - spytała Grace.

- Pracował jako robotnik rolny na Eleutherze, a jego żona poszła na służbę. Rodzina mieszkała tam przez blisko pięćdziesiąt lat - aż do czasu kiedy mój pra-pradziadek podjął decyzję o przeprowadzce na wyspy Key. Według mojego ojca próbował zajmować się rybołówstwem, ale przez cały czas chorował, dlatego podjął pracę na plantacji ananasów na Key Largo. Gdy gleba się wyjałowiała, pradiadkowie wrócili na ląd stały i osiedlili się w Black Grove.

- Ty też mieszkałeś tam aż do 1971 roku, prawda? - spytała cicho Grace.

- Z tym tylko, że dziadek wraz z rodziną przeprowadził się do Liberty City, kiedy mój ojciec był jeszcze dzieckiem. Prowadzili tam własną restaurację, a mo-



ja babka nauczyła się fryzjerstwa. Mój ojciec uczęszczał do Dorsey High School, a w każdej wolnej chwili wyrwał się do Over-town i szwendał po klubach jazzowych. Potem na miejscu restauracji wybudowano autostradę. Powstanie nowej arterii komunikacyjnej przyczyniło się do upadku Liberty City i rodzina wróciła do Grove. Mój ojciec został policjantem i właśnie tam ja przyszedłem na świat. - Zamilkł. - Mniej więcej wiesz, co było potem. Grace siedziała bez ruchu.

- A więc wstąpiłeś do policji z powodu ojca.

- Po części dlatego - przyznał cicho. - Aby kontynuować to, co on robił.

- Czy na twojej decyzji o wyborze zawodu zaciążyło również to, jak ponieśli śmierć twoi rodzice i siostra? - Grace przypomniała sobie, co jej powiedział o strzałach oddanych przez białego policjanta, które wywołały rozruchy w Opa-Locka. Raz jeszcze pomyślała o skutkach, jakie miały te wydarzenia dla siedmioletniego chłopca.

- Przypuszczam, że tak - przyznał. - Chciałem dotrzymać danego ojcu słowa i zrobić to, czego on nie zdążył.

- Co David i Judy sądzili o tym pomysle?

- Byli zmartwieni. Posyłali mnie do prywatnej szkoły, a potem do college'u Spellmana. - Uśmiech Sama był delikatny, mglisty. - Nigdy nie wywierali na mnie presji, żebym poszedł w ślady Davida. Przypuszczam jednak, że Judy wolałyby żyć bez nieustannego strachu.

- Na pewno David jest z ciebie bardzo dumny - powiedziała Grace.

- I mama też. - Sam uśmiechnął się szeroko. - Dobrze, że przynajmniej Saul przebąkuje o karierze medycznej. Wciąż jest nadzieja na to, że rodzinne tradycje nie zaginą.

Kiedy skończyli jeść, wyszli na zewnątrz i usiedli na brzegu pomostu, gdzie przy filiżance kawy, jak zwykle, zamierzali zakończyć wieczór.

- Jeśli nie chcesz mówić o Cathy, nie ma sprawy. Ale jeśli dusisz wszystko w środku przez wzgląd na mnie, nie krępuj się i wyrzuć to z siebie.

- Nie zaszło nic nowego. - Grace westchnęła. - Tyle tylko, że z każdym mijającym dniem coraz bardziej się o nią martwię.

- Masz do tego pełne prawo - zapewnił ją Sam. Uśmiechnęła się krzywo.

- To ogromna dla mnie pociecha. ' Odczekał chwilę.

- Zwróciłem się z prośbą do mojego kolegi z policyjnego biura w North Miami Beach, który specjalizuje się w sporządzaniu portretów psychologicznych, ażeby powiedział, do czego jest zdolny Broderick, jeśli nadal znajduje się wśród żywych. - Umilkł. - I jego opinia potwierdza twoją teorię.

Grace zaświtał w głowie nowy pomysł.

- Czy ktoś sporządził portret psychologiczny mordercy używającego skalpela?

- Oficjalnie nie - odrzekł cicho Sam.

- Dlaczego nie? - spytała, chociaż знаła odpowiedź. - Ponieważ wszyscy od początku uważają, że już znaleźli sprawcę tych zbrodni. - Sam zachował milczenie i Grace nie miała o to do niego pretensji. - Użyłeś słowa: „oficjalnie”?

- Ponieważ ten sam kumpel sporządził na moją prośbę taki portret. Nie został jednak umieszczony w oficjalnych dokumentach.

Grace pokręciła głową.

- Dlaczego każdy rozsądny pomysł w tej sprawie musi być realizowany nieoficjalną drogą? - Po chwili milczenia spytała: - Czy ten portret pasuje do Cathy?

- Niezbyt - odrzekł Sam. - To jednak za mało przekonujący dowód, aby ją oczyścić z zarzutów. - Upił łyk kawy i zapatrzył się w przestrzeń ponad rzeką. - Mój kolega jest całkowicie pewny, że jeśli Broderick nie utonął, nie mylisz się co do niego.

- Czy to możliwe, ażeby ten sam portret psychologiczny pasował do dorosłego mężczyzny i do nastolatki?

- Nie, to niemożliwe. Nie mamy jednak żadnych wskazówek umożliwiających określenie płci zabójcy. A poza tym, jak już ci wiadomo, wszystkie ofiary zostały zaatakowane podczas snu, a więc ugodzenie ich ostrym narzędziem nie wymagało wielkiej siły.

- Czy wiesz coś na temat siły zadanych ciosów? - Grace zaczęła myśleć o sprawach, które wcześniej nie przyszły jej do głowy. - Czy można w dzisiejszych czasach określić tego rodzaju rzeczy jak szybkość i siłę uderzenia skalpela?

- Lekarz sądowy wziął te czynniki pod uwagę - odrzekł Sam. - I, według niego, zabójca we wszystkich przypadkach uderzał z dużą siłą i precyzją. Teoretycznie jednak nie można wykluczyć, że nie byłaby do tego zdolna dobrze rozwinięta fizycznie czternastolatka.

Oboje zamilkli. Harry podniósł się ze swojego miejsca pomiędzy nimi i poszedł z powrotem do domu - prawdopodobnie do kuchni na poszukiwania kęsów kaczki, które być może przypadkowo spadły na podłogę.

Grace przypomniała sobie nagle o sugestii Petera Haymana, jaką wysunął podczas ich ostatniego spotkania. Nie mogła uwierzyć, że aż do tej pory nie pomyślała o jego radzie. Może śmierć i pogrzeb matki były dla niej cięższymi doświadczeniami, niż chciała to przyznać przed samą sobą.

- Czy możesz zdobyć dla mnie fotografię Johna Broderieka, Sani??

- Mam już jedną.

- To dlaczego mi jej nie pokazałeś?

- Ostatnim razem, kiedy ją oglądałem, byłeś psychologiem, a nie gliniarzem - zauważył.

- Nie powstrzymało cię to jednak od opowiedzenia mi o rzeczach, o jakich nie powinienem był mi mówić. - Umilkła. - Muszę zobaczyć to zdjęcie, Sam. Może go rozpoznam.

Uśmiechnął się w ciemnościach.

- Co cię tak śmieszy?

- Zdjęcie dopiero wczoraj nadeszło. Zwróciłem się z prośbą o nie do władz szpitala Lafayette, lecz faks, który mi wysłali, był marnej jakości, a dostarczenie przesyłki pocztowej trwało dość długo.

- Masz je przy sobie? - spytała ze zniecierpliwieniem.

- Czy ośmieliłbym się jeść twoją kaczkę, a także gruszki, i trzymać coś w ukryciu przed tobą?

Weszli do środka i Sam wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki fotografię. Położył ją na kuchennym stole, a Grace utkwiała w niej wzrok i wpatrywała się w milczeniu.

Oto po raz pierwszy miała okazję zobaczyć Johna Broderieka.

Miał jasne włosy jak córka, tylko że jego były o kilka odcieni mniej złociste niż jej. Błękitne oczy. Duży nos i wąskie usta. Twarz okrągła i opalona, nie odznaczała się niczym szczególnym. Grace nie dostrzegła żadnych widocznych blizn ani znamion.

Zdjęcie było odbite na białym papierze, a pod spodem znajdowało się trochę danych napisanych odręcznie czarnym atramentem. „9/8/85” (Data wykonania

zdjęcia - na cztery lub pięć lat przed zaginięciem Broderieka). „Wzrost 182 cm. Waga 96 kilogramów”.

- Rosły mężczyzna - zauważył Sam. - Z nadwagą. Grace skinęła głową.
- Może nadużywał alkoholu - zastanawiał się dalej, a po chwili dodał:
- Ciekaw jestem, czy zażywał sterydy.

Grace wciąż się nie odzywała.

- O co chodzi?
- Nic ważnego, naprawdę.
- Masz wrażenie, że już gdzieś widziałaś tego mężczyznę?
- Nie, to nie to. Jestem pewna, że nigdy go nie widziałam. - Zawalą się nieco. - Ale ma w sobie coś znajomego.

- Jest ojcem Cathy.

- Nie, to też nie to. - Grace nie odrywała wzroku od zdjęcia. - A może właśnie to. Nie jestem pewna.

- Nie śpiesz się - powiedział łagodnym tonem Sam. - Pamiętaj, że ta fotografia została zrobiona przed ponad dwunastoma laty. Jeśli Brode-rick żyje, obecnie jest znacznie starszy. Mógł też zmienić wygląd.

- Jeśli jest mordercą, to na pewno zmienił - zawyrokowała. - Ja z pewnością postąpiłabym tak na jego miejscu.

- Mógł iść na całość i poddać się operacji plastycznej - snuł domysły Sam. - Albo też zmienił tylko kolor włosów, zgolił je lub kupił perukę. Mógł też zapuścić brodę, zrzucić kilka kilogramów lub jeszcze bardziej przytyć. Niewykluczone, że zaczął nosić szkła kontaktowe.

- Innymi słowy, zastanawianie się nad jego wyglądem nie ma najmniejszego sensu? - Grace oderwała wzrok od zdjęcia i spojrzała na detektywa.

- Zawsze jest sens. Czyż jego twarz nie wydaje ci się znajoma? Ponownie spojrzała w dół.

- Sama nie wiem. Może trochę tak, a to dlatego, że dostrzegam w niej rysy Cathy. A może tylko bardzo bym tego chciała? - Umilkła. - Czy mogę zatrzymać zdjęcie?

Sam potakująco skinął głową.

- To kopia. Weź ją, jeśli chcesz, Grace, ale pamiętaj, że jest przeznaczona wyłącznie dla twoich oczu. Nie zaczynaj jej pokazywać różnym ludziom ani nie próbuj odgrywać roli detektywa, zgoda?

- Rozumiem.

- Czy mogę ci udzielić pewnej rady?

- Oczywiście.

- Nie myśl za wiele o tym zdjęciu. O ile się orientuję, to nieaktualna fotografia nieżyjącego już człowieka.

- Wiem o tym - odpowiedziała - ale...

Dotyk jego dłoni, która nakryła jej rękę, był niepewny, lecz mocny. Zamilkła pod wpływem tego gestu, co było zamiarem Sama.

- Nie dopuść do tego, żeby Broderick stał się twoją obsesją, Grace. - Skierował wzrok w dół na odbitkę. - Szczerze mówiąc, uważam, że gdybyś miała go rozpoznać, stałoby się to w momencie zobaczenia jego podobizny.

- Czy tak się zwykle dzieje? - Nie zamierzała cofnąć ręki. Dotyk Sama sprawiał jej przyjemność. A także lekki ucisk jego dłoni.

- Przeważnie tak.

- A potem fantazja może zacząć płatać figle?

- To się może zdarzyć - przyznał.

- W takim razie schowam je. - Grace wciąż się nie poruszała, podobnie jak i on.

- A jeżeli kiedyś - choć uważam to za mało prawdopodobne - zobaczysz kogoś i uznasz, że to ten sam facet, tylko kilkanaście lat starszy, natychmiast zadzwoń do mnie. - Zarówno w głosie Sama, jak i w jego oczach kryła się powaga. - Zrozumiałaś mnie, Grace? Nawet gdybyś była tylko w jednej czwartej pewna, zawiadom mnie i trzymaj się od niego z daleka.

- Zakładasz, jak słyszę, że naprawdę kiedyś może się to stać?

- Tak, biorę tę ewentualność pod uwagę - o ile oboje nie zwariowaliśmy i nasze podejrzenia dotyczące Brodericka nie są pozbawione sensu. - W jego głosie nadal brzmiała powaga. - A jeśli tak, oznacza to, że mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznym przestępcą.

Grace uznała, że ta konwersacja zdecydowanie nie ma romantycznego charakteru i cofnęła rękę.

- Czy napijesz się jeszcze kawy?

- Dlaczego nie?

Wstała, aby zaparzyć kolejny dzbanek.

- Pamiętasz naszą rozmowę o operze? - spytał.

- Tak, oczywiście. - Umilkła. - Powiedziałam, że lubię słuchać arii operowych, a ty oświadczyłeś, że w przypadku tej muzyki nie ma słowa „lubię”. Uznałam wtedy, że być powinnam nauczyć się jej słuchać.

- Masz dobrą pamięć - zauważył.

- Moja praca polega na umiejętności słuchania i zapamiętywania.

- Podobnie jak moja. - Odczekał chwilę. - Na jutrzejszy wieczór mam zaplanowaną próbę.

- Próbę?

- Nie słyszałaś nigdy o S-BOP? O Operze South Beach?

- Nie, nie słyszałam. - Uznała, że powinna się usprawiedliwić. - Choć zapewne powinnam, prawda?

- Nie, chyba że masz bzika na punkcie opery, a oboje wiemy, że tak nie jest - odpowiedział. - Jedynie osoby zwariowane na punkcie muzyki operowej przychodzą na występy teatru operowego trzeciej kategorii, a także nasi bliscy przyjaciele i krewni. - Błysnął zębami w uśmiechu. - A ja nawet nie proponuję ci przyjścia na przedstawienie, lecz na próbę.

- Brzmi dość zabawnie,

- Nie zapytałaś nawet, którą z oper zamierzamy wystawić.

- Czy to ma jakieś znaczenie dla takiego dyletanta, jak ja?

- Myślę, że nie.



# ROZDZIAŁ 33

---

Czwartek, 14 maja 1998

Wczesnym ranem nazajutrz, kiedy Grace właśnie robiła tosty, zadzwonił telefon.

- Grace? - dzwoniła Cathy z płatnego aparatu. Przez ułamek sekundy Grace doświadczyła ulgi, że ją słyszy. Dopiero potem zorientowała się, że dziewczynka płacze.

- Cathy, co się stało?

- Musisz mi pomóc, Grace!

- Co się stało?

W głowie Grace zadzwoniły wszystkie alarmowe dzwonki. Wygbrar ziła sobie pobicie, gwałt, i Bóg jeden wie, co jeszcze. Zmusiła się, żeby mówić opanowanym głosem. Wiedziała, że połączenie prawdopodobnie nie będzie trwało długo.

- Cathy uspokój się i powiedz mi, czego potrzebujesz.

- Dlaczego cię tam nie było? - Pytanie zostało zadane płaczliwym głosem.

- Gdzie? - Przez głowę Grace przelatywały tysiące myśli.

- Dlaczego nie porozmawiałas z przysięgłymi ani z sędzią?

- Znasz powód mojej nieobecności, Cathy. - Doktor Lucca była prze-rażona. - Uprzedzałam cię, że mnie tam nie będzie. Musiałam Dolecieć do Chicago. Ale nawet gdybym była, zdaniem pana Wagnera itak w niczym nie zdołałabym pomóc.

- Powinnaś była coś napisać; przekonać ich, żeby zostawili mnie w zakładzie resocjalizacyjnym dla nieletnich. - Po raz pierwszy w głosie nastolatki zabrzmiała prawdziwa histeria. - Zamierzają posadzić mnie na krześle elektrycznym, Grace. Przypną mnie do niego paskami i zabiją.

- Nie zrobią tego! - oświadczyła stanowczo Grace pomimo uczucia, że krew zastyga jej w żyłach. - Kto ci nakładł do głowy takich bzdur, Cathy? Powiedz kto, a postaram się powstrzymać go od kolejnych działań.

- Niczemu nie jesteś w stanie zapobiec. - Głos dziewczynki przybrał nagle twarde brzmienie. - Przyznałaś sama, że nic nie możesz dla mnie zrobić.

- Powiedziałaś tylko, że nie mam wpływu na to, co już się stało -przerwała jej pośpiesznie Grace. - Cathy, musisz uwierzyć, że wciąż pracujemy nad tym, aby cię stamtąd wydostać. Nie wyraziłaś zgody na widzenie się ze mną, więc napisałam do ciebie, prosząc, żebyś się nie poddawała.

- Kogo miałaś na myśli, mówiąc „my”?

- Przekazują ci moje listy, prawda?

- O kim powiedziałaś „my”? - zapytała ponownie dziewczynka.

- O doktorze Beckecie, na przykład - wyjaśniła Grace.

- On również nie może nic zrobić. Pan Wagner powiedział, że doktor nie wie, kto mu zadał cios, nie może więc oczyścić mnie z zarzutów.

- Ale nadal wierzy w twoją niewinność. A jeśli człowiek, którego rzekomo zraniłaś, wierzy w ciebie, oznacza to, że przekonanie o twojej niewinności wszystkich innych liczących się osób pozostaje jedynie kwestią czasu.

- A co będzie, jeśli nie zdołacie tego zrobić?

- Zdołamy, Cathy.

- Ale jeśli się wam to nie uda, zabiją mnie, prawda?

- Nigdy do tego nie dojdzie.

- Może dojść, teraz, kiedy uznali mnie za dorosłą! - W piskliwym głosie Cathy znowu zabrzmiała histeria. - Mogę skończyć na krześle elektrycznym. A nawet jeśli mnie nie skazą, nie zniosę już dłużej pobytu w tym miejscu! Oni wszyscy są przeciwko mnie, wszyscy mnie nienawidzą... -Urwała nagle.

- Cathy? - Grace usłyszała, że coś dzieje się na drugim końcu linii. Dobiegły ją głosy oraz inne zniekształcone przez połączenie dźwięki, których nie potrafiła rozróżnić. Mocniej ścisnęła słuchawkę w dłoni. - Cathy, co się dzieje? Czy wszystko w porządku?

Dziewczynka ponownie była na linii.

- Muszę już iść. - Znowu płakała.- Cathy, kto tam jest z tobą? Co oni ci robią?

- Grace, muszę już iść.

- Czy jesteś źle traktowana? Połączenie zostało przerwane.

Grace nie wiedziała, co robić. Przez cały dzień aż do szóstej wieczorem miała co godzinę zaplanowane spotkania. Odłożenie sesji z którymkolwiek z pacjentów byłoby niewłaściwe. Ale nawet gdyby wszystko rzuciła i pojechała do aresztu, szansa na to, że bez uprzednich ustaleń uzyska zgodę na widzenie z pacjentką, wydawała się bardzo niska. Niepoparta dowodami sugestia, że Cathy jest źle traktowana, mogłaby jeszcze bardziej utrudnić nastolatce życie. Grace wiedziała też, jako psycholog, że telefon od Cathy mógł być opóźnioną, histeryczną reakcją na uraz psychiczny wywołany decyzją uznania jej za dorosłą. Co gorsza, dziewczynka mogła mieć rację. W związku z tą decyzją gra toczyła się teraz o znacznie wyższą stawkę. A o alternatywnym, przerażającym wyniku procesu Grace nie mogła nawet myśleć.

O jedenastej przed południem spróbowała skontaktować się z doktorem Parésem, był jednak nieosiągalny. Za pięć pierwsza, w następnej wolnej chwili, zadzwoniła do Jerry'ego Wagnera. Adwokat, jak należałoby się tego spodziewać, wyszedł na lunch. O trzeciej po południu zostawiła wiadomość doktorowi Paré-sowi. Godzinę później zadzwoniła do Samą.

- Nie chciałabym ci przeszkadzać w pracy...

- Nie będziesz mogła przyjść wieczorem?

- Nie w tym rzecz.

Opowiedziała mu o telefonicznej rozmowie z Cathy. Głos Sama zdradzał, że wiadomość o strachu Cathy przed karą śmierci poruszyła go równie głęboko, jak ją. Nie oznaczało to jednak, że miał cokolwiek do zaproponowania.

- Powiedziałam jej, że to bzdura - zakończyła. - Ale tak naprawdę jej obawy nie są całkiem bezpodstawne, jak sądzisz?

- Niezupełnie - odrzekł ponuro Sam.

- Powiedziałam jej też, że twój ojciec nadal w nią wierzy. Odniosłam wrażenie, że informacja ta na moment do niej dotarła. - Umilkła. - Jak się czuje David?

- Chodzi ci o to, czy na tyle dobrze, ażeby odwiedzić Cathy?

- Przyszło mi to do głowy. Przepraszam, chyba proszę o zbyt wiele.

- Nie sądzę, aby mój tata tak myślał. Znam jednak kogoś, kto może mieć w tej kwestii odmienne zdanie.

- Twoja matka. Nadal uważa, że to Cathy zadała cios?

- Nie wiem, ale przypuszczam, że ojciec już nieco zmienił jej opinię.

- Czy mógłbyś wspomnieć mu o tym pomysle? Jego wizyta miałaby wielkie znaczenie dla Cathy.

- Uważaj sprawę za załatwioną.

Grace z powrotem rzuciła się w wir pracy, nakazując umysłowi całkowicie skupić się na innych pacjentach. Kiedy następnym razem wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza, zobaczyła, że Dora Rabinovitch, która wpadła odnieść plik maszynopisów, zostawiła dla niej dwie wiadomości: pan Wagner odpowiedział na telefon, a doktor Pares dał znać, że dzisiejszego wieczora ma zamiar odwiedzić Cathy.

Jeszcze zanim Sam przed siódmą przyjechał po Grace, powzięła postanowienie, że nie wspomni i ani razu nie pomyśli o Cathy, przynajmniej aż do momentu, gdy będzie szła spać. Okazało się jednak, że dziś wieczorem nie było miejsca ani na Cathy, ani na żadne inne bagaże realnego świata; umysł Grace od siódmej trzydzieści do wpół do jedenastej niepodzielnie wypełniły niezliczone dźwięki.

Teatr S-BOP był mały, ale miły. W kolorystyce ozdób i mebli przeważały ciepłe czerwienie oraz zdecydowane czernie. Nigdzie nie dostrzegało się kanciastych linii, a dominowały łagodne łuki i zaokrąglenia. Budynek sprawiał wrażenie, że w jego powstanie włożono dużo miłości, troski i bezgranicznej cierpliwości. Mógł znajdować się we Włoszech, w Hiszpanii, w Anglii lub w jakiejś nieznannej miejscowości w egzotycznym kraju. Grace nigdy dotychczas nie była w takim miejscu na Florydzie, ani w Chicago. Wszystko to pomyślała tuż przedtem, zanim zgasły światła i rozpoczęła się próba...

Kochała teatr od zawsze. W czasie studiów zawsze brała udział w amatorskich przedstawieniach, jeśli tylko pozwalał na to czas oraz fundusze producentów. Lubiła patrzeć, jak w zmęczonych i zagonionych studentów wstępuje energia, gdy tylko wchodzi na scenę lub na salę, gdzie odbywa się próba. I chyba spodziewała się, że dzisiejszego wieczora na scenie S-BOP będzie panowała podobna atmosfera, może tylko bardziej głośnie. Obawiała się tylko, żeby występy śpiewaków nie były bolesne dla ucha. Bardzo się jednak myliła.

O Boże, jakież talenty wyrastały w środku miasta, ukryte wśród panującego na ulicach i w budynkach szalonego zgiełku! Emanowały z kobiet i mężczyzn, którzy na co dzień obsługiwali klientów przy stolikach, siedzieli przy komputerach, pielęgowali chorych, sprzedawali gazety, przeprowadzali operacje czy nosili bagaże w hotelowych holach. Albo prowadzili śledztwo w sprawach przyprawiających o mdłości morderstw.

Przeszło to najśmielsze wyobrażenia Grace.

- Kiedy wszystko przebiega dobrze - wyznał jej Sam znacznie później na swoim dachu, gdzie udali się z pizzami i piwem - odnoszę wrażenie, że muzyka mnie spowija. Czuję się tak, jak gdybym miał na sobie olbrzymi, ciepły, magiczny płaszcz. Cały świat rzeczywisty przestaje istnieć, a ja jestem kimś innym, znajduję się gdzie indziej i wypełniają mnie dźwięki. To najwspanialsze ze wszystkich znanych mi doznań. - Spojrzał na nią z ukosa. - Czy rozumiesz coś z tego, o czym mówię?

- Tak, i to doskonale - odrzekła bardzo cicho Grace.

- Naprawdę polubiłaś tę muzykę, prawda? - spytał.

- Przecież nie ma takiego określenia w stosunku do muzyki oper®\* wej, jak słowo „lubić” pamiętasz?

- Och, tak.

Nie patrząc na niego, wiedziała, że się uśmiecha.

Oboje zamilkli na jakiś czas. Siedzieli blisko siebie na skraju dachu, chrupiąc pizzę z dodatkową porcją papryki i patrzyli na gwiazdy, wsłuchani w wieczorny zgiełk na ulicach South Beach w dole.

- Teraz pojmuję, dlaczego kochasz to miejsce - odezwała się po chwili Grace.

- Cieszę się - powiedział Sam.

- Przebywanie tutaj budzi podobne emocje jak słuchanie muzyki, prawda?

- Trochę tak - przyznał.

Obecnie była to już tylko kwestia czasu. Oboje rozumieli to dobrze. Aż do dzisiejszego wieczora Grace zdawała sobie sprawę z tego, co czuje i czego chce, ale nie była pewna, czy Sam podziela jej uczucia. Teraz już wiedziała. Nie dlatego, żeby powiedział choć słowo albo żeby w wyraźny sposób zbliżyli się do siebie fizycznie. A jednak, bez wątpienia, stali się sobie bliżsi. Ich umysły lgnęły do siebie i Grace pomyślała, że to klucz do ich wzajemnego zbliżenia.

Sam przeprosił ją za widok plażowego materaca na dachu - napełnianego powietrzem posłania, które, jak przyznał, często wybiera zamiast normalnego łóżka w sypialni. Grace zapewniła go, że to jej nie przeszkadza. I rzeczywiście tak było; wtedy.

Teraz burzyło jej spokój, i to straszliwie.

Zjedli do końca pizzę i wypili piwo. Jeszcze przez chwilę rozmawiali o operze i teatrze. Sam powiedział Grace, że Althea nigdy nie zachęcała go do śpiewania; nie dlatego, żeby uważała, że brak mu głosu. Po prostu lubiła tylko to, co najlepsze. Kochała opery, jeśli były wystawiane w sali widowiskowej hrabstwa Dade, w gmachu Opery Sarasota, albo najlepiej w Metropolitan Opera w Nowym Jorku. W głębi duszy była snobką, która nigdy nie powinna wychodzić za mąż za policjanta.

- Może zaoszczędziłoby to nam obojgu wiele bólu - powiedział tak cichym, że niemal niesłyszalnym głosem.

- Ale wtedy nie miałbyś Sampsona - zauważyła Grace.

Pochylili się ku sobie. Najpierw zetknęły się ich ramiona. A potem ręce. Kontakt gołej skóry wywołał cudowne doznania. Grace spojrzała w dół, zobaczyła ich tak wyraźnie określoną odmienność - brązowe ciało obok białego i i widok ten nie wzbudził w niej żadnej innej refleksji, jak tylko poczucie, że to, co zamierzają zrobić, jest słuszne.

- Grace - cicho wymówił jej imię.

Odwróciła się twarzą do niego i bez słowa spojrzała mu w oczy.

- Boże - powiedział. I pocałował ją.

O, Boże.

Materac plażowy był za mały, ale się tym nie przejmowali. Kilka razy stoczyli się na betonową powierzchnię dachu, drapiąc sobie plecy, kolana i pięty, ale prawie tego nie zauważyli. Płonęli z pożądania. Oboje byli rozpaleni i było im dobrze. Zespolili się ze sobą, ciałem i duszą, fizycznie i emocjonalnie. Grace wątpiła nawet, czy przerwaliby - czy zdołaliby przerwać - to, co robili, gdyby nad South Beach nadciągnął huragan. Czowała się tak, jak gdyby przetaczała się przez nich zaskakująco gwałtowna ulewa albo jak gdyby wzbily się wokół nich dźwięki wielkich oper, unosząc oboje ze sobą wysoko w górę i biorąc w objęcia. Była to najbardziej czuła gra miłosna, jakiej kiedykolwiek doświadczyła, i niewątpliwie najlepszy, porażający ciało i umysł seks...

Dopóki nie zabrzmiał sygnał pagera.

- Nie - jęknął Sam.

Grace nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Prawie nie mogła oddychać.

- Zamilknij - powiedział Sam.



- Nie licz na to - zdołała z siebie wykrztusić.

Przetoczył ich oboje po ziemi. Leżeli teraz odwrócenii twarzami ku sobie.

- Wybacz mi, Grace.

- W porządku.

- Naprawdę jest mi przykro.

- Wiem o tym. - Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy. - Nie mógłbyś go odebrać?

- Mógłbym. - Zaczął znowu całować jej usta.

- Sam.

- Słucham?

- Twój pager.

Nie pager jednak rozzłościł w końcu Grace, ale niemal komiczna sytuacja polegająca na tym, że miłosne uniesienie zakłóciło im małe urządzenie elektroniczne i że następnym razem mógł to być jej telefon komórkowy. Smutna i straszna prawda o pracy Sama była taka, że telefon w środku nocy oznaczał kolejny akt przemocy i czyjeś cierpienie. Ten odkrywczy wniosek, z którym Grace wróciła do swojego domu nad wodą, spędzał jej sen z powiek przez większą część nocy. Harry jak zwykle leżał w nogach łóżka. Grace pragnęła myśleć o Samie, o jego szerokich ramionach, szczupłym sprężystym ciele, o delikatności, namiętności i dowcipie. Ale zamiast tego w jej umyśle pojawiały się migawki obrazów skrzywdzonych, a nawet rannych osób, albo ciał leżących na jakiejś ulicy, piętze lub w łóżku, ludzi pokrytych krwią, a może uduszonych czy też zadźganych nożem...

- Przestań, Grace - powiedziała głośno do samej siebie w ciemnościach.

Harry zamruczał i zmienił pozycję.

Grace zastanawiała się, czy na Sama czeka mężczyzna, kobieta czy dziecko. I czy ten ktoś jest martwy, okaleczony czy tylko w szoku. Tylko. Pomyślała o tym czułym, wrażliwym mężczyźnie, o osieroconym ojcu, rozczarowanym mężu i o kochającym, wdzięcznym synu. Pomyślała o jego talencie, o zachwycającym wibrującym głosie i o tym, że gdy śpiewa, spowija go magiczny płaszcz. Trudno było pogodzić tę wizję z człowiekiem, który być może w obecnej chwili klęczy nad jakimś martwym mieszkańcem miasta, zabezpiecza ślady albo nawet kogoś arestuje... a może jest w niebezpieczeństwie...

- Dość tego, Grace! - rozkazała samej sobie.

Umiała być bardzo zdyscyplinowana, kiedy naprawdę tak sobie postanowiła.

Odrzuciła od siebie wszystkie myśli i zasnęła.

TLR

# ROZDZIAŁ 34

---

Piątek, 15 maja 1998

Po kolacji zobaczyła napis na ścianie celi. Nie wiadomo, kiedy został tam umieszczony ani przez kogo. Być może stało się to w czasie, gdy pełniła dyżur w kuchni i myła warzywa albo szorowała podłogę, kalecząc sobie palce i kolana. A może w porze posiłku.

Wokół panował mrok. Przed kilkoma godzinami zostały wyłączone światła i chociaż pierwsza zatrważająca niemożność zobaczenia czegokolwiek już dawno minęła, w panujących ciemnościach widać było jedynie mgliste zarysy kształtów, oraz różne odcienie szarości.

Cathy nie potrzebowała jednak światła, ażeby wiedzieć, co znajduje się na ścianie celi.

Miała to wyryte w mózgu, tuż przed oczami. Wydrapane w kamieniu ohydne oszczerstwo.

*Cathy ROBBINS wzięła nóż i poderżnęła gardło swojej mamie, a kiedy zobaczyła, co zrobiła, uznała, że to bardzo zabawne i zadźgała również swojego tatę... psychoterapeutkę... doktora... a na koniec ciotkę...*

Wrzasnęła, kiedy to zobaczyła. Zaalarmowana strażniczka przybiegła pędem do jej celi. Po odczytaniu napisu jednak wzruszyła tylko ramionami i uśmiechnęła się złośliwie.

W pełni sobie na to zasłużyłaś - mówił jej uśmiech.

Zamknęła na klucz drzwi od celi nastolatki, a wkrótce potem zgasły światła.

A teraz Cathy wciąż siedziała skulona na swojej pryczy, próbując się ogrzać, otrząsnąć z wrażenia zamkniętych wokół niej ścian i starając się nie patrzeć na te okropne słowa ani nie słyszeć, jak bez końca rozbrzmiewają w jej umyśle.

Usiłując powstrzymać krzyk.

# ROZDZIAŁ 35

---

Wezwanie z ubiegłej nocy dotyczyło gwałtu. Sam powiedział o tym Grace nazajutrz rano, kiedy zadzwonił do niej tuż przed dziesiątą.

- Jak się czuje ofiara? - spytała.

- Jest zmaltrretowana. Jak można się było tego spodziewać w takiej sytuacji.

- Czy wiesz, kto to zrobił?

- Domyślam się. Ale jeszcze za wcześnie, aby można to było stwierdzić z całą pewnością. - Umilkł na chwilę. - Będę dzisiaj przez cały dzień bardzo zajęty, a prawdopodobnie również przez większość wieczora. Przepraszam cię, Grace.

- Za co?

- Za to, że nie zdołam się z tobą zobaczyć, choć bardzo chciałbym.

- Ja też żałuję, że to niemożliwe - odrzekła. - Nie martw się o mnie, Sam. Rób to, co do ciebie należy.

- Będę - zapewnił. - Nie sądź jednak, że przynajmniej raz o tobie nie pomyślę.

Tuż po wpół do trzeciej zadzwonił doktor Pares.

- Czy widział się pan wczoraj z Cathy? - spytała od razu.

- Tak, widziałem się, ale telefonuję z innego powodu – oświadczył. Brzmienie jego głosu zaalarmowało Grace.

- Czy przytrafiło się jej coś złego?

- W pewnym sensie tak - odrzekł lekarz łagodnym tonem. - Rano miał miejsce wypadek. Pewna młoda kobieta została znaleziona w swojej celi z okaleczeniami na plecach i na ramionach. Z jej zeznań wynika, że została zaatakowana ubiegłego wieczora tuż przed zamknięciem więziennych pomieszczeń. - Pares na moment umilkł. - Mówi, że nie widziała napastnika, ale w trakcie przeszukiwań narzędzie przestępstwa zostało znalezione w celi Cathy.

Grace poczuła ucisk w żołądku.

- Co to za narzędzie? - spytała.

- Obieraczka do ziemniaków. Okazało się, że Cathy pełniła wczoraj dyżur w kuchni.

- Nie wierzę w to.

- Rozumiem panią, doktor Lucca - zapewnił ją ze współczuciem Parés. - Dowiedziałem się jednak, że na narzędziu widniały ślady krwi.

Przez głowę Grace przelatywały tysiące myśli.

- Muszę się z nią zobaczyć - oświadczyła.

- To niemożliwe - poinformował ją Parés. - Została zamknięta w odosobnionej celi i jedynymi osobami, które mogą ją tam odwiedzać, są adwokat i więzienny lekarz.

- Ale chyba ja, jako jej psycholog, mam prawo...

- Zawsze może pani wystąpić z prośbą o pozwolenie widzenia się z nią, pani doktor. I uważam, że powinna to pani zrobić. Obawiam się jednak, że nie otrzyma pani zgody wcześniej niż dopiero po upływie kilku dni. - Ponownie się zamyślił. - Jest mi przykro, że musiałem przekazać pani złe wieści.

Grace odłożyła słuchawkę i zadzwoniła do Jerry'ego Wagnera. Asystentka prawnika, Veronica Blaustein, poinformowała ją, że kiedy przekazano wiadomość z więzienia, jej szef bawił w sprawach służbowych poza biurem. Zapewniła, że jeszcze dzisiaj zamierza tam zatelefonować. ,

- Czy mogłaby mu pani przekazać, żeby skontaktował się ze mną, gdy wróci?

- Oczywiście - zapewniła panna Blaustein. - Prawdopodobnie nie pojawi się jednak w biurze wcześniej niż w poniedziałek - uprzedziła.

- Ale na pewno wcześniej będzie z nim pani rozmawiała - nalegała Grace.

- To zależy od jego rozkładu zajęć, doktor Lucca.

Grace zastanawiała się, czy nie zatelefonować do Sama, przypomniawszy sobie jednak o gwałcie, a poza tym nikt nie musiał mówić jej o tym, że więzienie dla kobiet znajduje się poza rejonem działań służbowych wydziału policji z Miami Beach, a to oznaczało, że detektyw nie może nic zrobić dla Cathy. Przeciwnie. Jego osobiste zaangażowanie się w ostatnie wydarzenia prawdopodobnie przyczyniłoby się do dodatkowego obciążenia nastolatki, tym bardziej że sprawa została już przekazana prokuratorowi stanowemu.

- Nie wiem, co robić - wyznała Dorze przy herbacie.

- Niczego pani nie wskóra. - Dora, jak zwykle, była bardzo rozsądna. - Niektórym ludziom nawet pani nie jest w stanie pomóc, doktor Lucca. - Nigdy nie przepuszczała okazji do wyrażenia swoich opinii, ale odmawiała zwracania się do Grace po imieniu, ponieważ, jak kiedyś wyjaśniła, nie chce pozbawiać się przyjemności, jakiej dostarcza jej praca dla kobiety doktora. - Poza tym, za dziesięć minut przychodzi następna pacjentka - podjęła dalszy wywód. - I jej będzie pani mogła służyć pomocą. Radzę więc przedtem napić się herbaty i spróbować nieco się odprężyć.

Ale chociaż Grace, jak zwykle, całą uwagę poświęciła kolejnej pacjentce, nie mogła opanować zdenerwowania. Jerry Wagner nie odpowiedział na jej telefon. Zadzwoił za to Sam po zakończeniu prawie dwudziestoczworgodzinnej pracy. Padał z nóg i nie był w stanie nawet podjąć próby pocieszenia Grace w związku z Cathy, obiecał jednak dowiedzieć się, co w trawie piszczy, i zawiadomić ją niezwłocznie, gdy tylko o czymś usłyszy.

- O ile cokolwiek do mnie dotrze - uprzedził. - Sprawa ta jest poza...

- Twoim rejonem służbowych działań - dokończyła za niego Grace. - Wiem o tym, Sam. Nie mogę jednak utrzymać na wodzy emocji. Czuję się całkowicie odcięta od Cathy... Chodzi mi o to, że jeśli ktoś kiedykolwiek naprawdę potrzebował mojej pomocy, to właśnie ona teraz. A mnie nie pozostaje nic innego, tylko czekać do poniedziałku rano, kiedy będę mogła złożyć wniosek o widzenie.

- To bolesne - przyznał Sam. - Przykro mi, Grace.

Usłyszała w jego głosie wyczerpanie i ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- Przepraszam cię. Masz już wystarczająco dużo na głowie. Jest ci potrzebny odpoczynek i sen.

- Muszę przyznać, że perspektywa pospania wydaje mi się bardzo kusząca.

- Kiedy znajdziesz dla mnie wolną chwilę? Jutro czy w niedzielę?

- To zależy od tego, jak szybko uda się nam przymknąć tego łotra.

- Mam nadzieję, że niebawem - odparła Grace. - Przez wzgląd na wszystkich.

Nazajutrz rano Sam dwukrotnie próbował skontaktować się z nią przed jedenastą, ale za każdym razem Grace miała właśnie sesję z pacjentem. A kiedy odpowiedziała na telefon, detektyw był nieosiągalny.

Pięć minut po jedenastej zatelefonował Peter Hayman.



- Dzwonię na wypadek gdybyś nie pamiętała, że oficjalnie już dzisiaj rozpoczyna się weekend - powiedział. - A w tym czasie niektórzy ludzie idą po rozum do głowy, rzucają pracę i zażywają wypoczynku. Tak się składa, że na dzisiejsze popołudnie i jutrzejszy dzień zaplanowaliśmy razem z moimi przyjaciółmi kilugodzinny rejs po oceanie. Może przyłączyłabyś się do nas?

- Nie mogę, Peterze.

- Nie możesz opędzić się od pacjentów?

- Rzeczywiście, mam kilka spotkań - przyznała. - A także inne obowiązki.

- Szkoda. - Wydawało się, że nie robi z tego problemu. - Mogłoby być zabawnie i miałabyś tak bardzo potrzebną ci chwilę wytchnienia. - Umilkł na moment. - Nie gniewasz się, że telefonuję, prawda, Grace? Mamy cudowny poranek i kiedy moi przyjaciele się odezwali, natychmiast pomyślałem o tobie.

- Cieszę się, że zadzwoniłeś.

Zatelefonowała do więzienia, bezskutecznie usiłując porozmawiać z Cathy albo przynajmniej uzyskać jakieś informacje, i raz jeszcze usłyszała, że jeśli chce umówić się na widzenie, musi ponownie zadzwonić w poniedziałek.

Dwie godziny później, gdy właśnie robiła sobie kanapkę, Samowi za trzecim razem dopisało szczęście. Rozmowa była krótka i przygnębiająca, ponieważ w South Beach doszło do kolejnego gwałtu, co oznaczało, że podczas całego weekendu zarówno Sama, jak i jego kolegów czeka ciężka służba.

- Wybacz mi, Grace - powiedział. - I nie tylko z powodu tej sprawy. Mój pager tamtego wieczora był prawdziwym przekleństwem.

- Też tak uważam - zapewniła.

- Nie mogę nawet obiecać, że znajdę chwilę na zatelefonowanie do ciebie - mówił dalej. - Podczas spraw takich jak ta człowieka ogarnia wściekłość.

- Wyobrażam to sobie.

- Przekonałem się, że potrafisz.

W słuchawce dobiegły ją z oddali czyjeś głosy.

- Nie martw się o mnie, Sam - powiedziała łagodnym tonem. Głosy brzmiały coraz donośniej.

- Muszę już iść - oznajmił.

Grace odłożyła słuchawkę. Powróciła myślami ku przedwczorajszej nocy na dachu domu Sama. Wciąż bolały ją otarcia, powstałe na skutek turlania się po szorstkim betonie, lecz uczucie czułości przywiodło inne wspomnienia. O czymś gorącym, ostrym i zachwycającym.

I Grace nie miała na myśli pizzy.

Zjadła kanapkę, posprzątała w kuchni, wyprowadziła Harry'ego na spacer, a po powrocie przerzuciła notatki dotyczące pacjenta, z którym była umówiona na drugą trzydziści. Kiedy telefon zadzwonił ponownie, łudziła się, że to Sam. Telefonowała jednak matka pacjentki, która miała przyjść o czwartej. Wyjaśniła, że jej córka zaczęła nagle przejawiać ogromne zdenerwowanie przed wizytą u Grace i dlatego, jeśli doktor Luc-ca nie jest temu przeciwna, wołałaby przenieść spotkanie na inny termin. Grace zapewniła, że nie ma problemu i że to bardzo ważne, aby dziewczynka czuła się odprężona w czasie sesji.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała w kalendarz. Odwołanie spotkania oznaczało, że najbliższa wizyta miała być ostatnią w tym dniu. Nawet bez sprawdzania Grace wiedziała, że niedziela jest dniem wolnym od zajęć z pacjentami, ponieważ zazwyczaj wtedy, korzystając ze swoich zapisków, uaktualniała karty informacyjne.

W każdym razie tak było aż do wieczora na dachu Sama i do momentu nadejścia wiadomości o Cathy.

Nagle Grace poczuła straszliwy niepokój. Miała świadomość bezcelowości własnych działań. Obawiała się, że jeśli zostanie na cały weekend w domu, grozi jej niebezpieczeństwo powrotu do problemów wieku dorastania. I za każdym razem, kiedy zadzwoni telefon, będzie łudziła się, że to Sam chce ją zawiadomić, że schwytali już gwałciciela i że przyjdzie się z nią zobaczyć. W ciągu ostatnich kilku tygodni dowiedziała się wiele o brutalnych zbrodniach i o złożoności policyjnej pracy w związku z ich rozwiązywaniem. Przypuszczała, że dopóki gwałciciel sam się nie zdradzi albo nie zostanie przez kogoś zdemaskowany, nie można się spodziewać szybkiego zakończenia sprawy.

Doszła do wniosku, że jeśli będzie siedzieć w domu przez najbliższe półtora dnia, rozmyślając o Cathy Robbins, o skrobaczce do ziemniaków i o ataku na inną więźniarkę, do poniedziałku sama może potrzebować terapii.

Na pięć minut przed terminem umówionej wizyty podjęła decyzję i zadzwoniła do Petera.

- Czy twoje zaproszenie jest nadal aktualne?

- Oczywiście.

- Spróbuję wyjechać z miasta kilka minut po czwartej - powiadomiła go. - Przypuszczam, że dzisiaj będzie już trochę za późno na żeglowanie, ale przynajmniej zamelduję się w hotelu i wczesnym ranem będę gotowa do wyprawy, jeśli ty i twoi przyjaciele nie odstąpiliście od waszych żeglarskich planów.

- Doskonale - odrzekł Hayman. - Jesteś pewna, że chcesz się zatrzymać w hotelu? Możesz skorzystać z gościnnego pokoju w moim domu, jeśli nie masz ochoty nocować u swojej siostry.

- Claudia jest obecnie w Fort Lauderdale - wyjaśniła Grace. - I szczerze mówiąc, chyba w moim obecnym nastroju najbardziej odpowiada mi hotel. Może Pod Pelikanem? Zawsze chciałam się tam zatrzymać. Niemniej dziękuję za zaproszenie - dodała.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

- Słyszałem - powiedział Hayman. - Czy to pacjent?

- Tak.

- Może zatelefonuję do hotelu i zarezerwuję dla ciebie pokój, co ty na to?

Dzwonek odezwał się ponownie.

- To miło z twojej strony, nie chciałabym jednak sprawiać ci kłopotu.

- Grace, otwórz pacjentowi. Skontaktuję się z tobą za godzinę i dam ci znać, co z rezerwacją.

Przez sekundę w drodze do drzwi wejściowych zastanawiała się nad słusznością powierzenia tej sprawy Haymanowi, a potem była zbyt zajęta rozmową ze swoim młodym pacjentem, aby móc myśleć o czymkolwiek innym. Kiedy psychiatra zadzwonił i zawiadomił ją, że sprawa w klubie została pomyślnie załatwiona, była pochłonięta przygotowaniami do podróży: musiała spakować walizkę, poprosić Teddy'ego o zabranie psa i nagrać na automatyczną sekretarkę informację o numerze telefonu hotelu, w którym miała się zatrzymać, ażeby w nagłej potrzebie każdy mógł ją znaleźć.

Przypomniała sobie, że sama niejednokrotnie radziła Claudii, aby poddała się prądowi i zrobiła coś pod wpływem nagłego impulsu.

I teraz sama zamierzała zastosować się do tej rady.

# ROZDZIAŁ 36

---

Sobota, 16 maja 1998

Dziesięć po trzeciej Sam wyszedł z miejskiego ratusza, gdzie sprawdzał kartotekę kryminalną głównego podejrzanego o popełnienie gwałtów. (Sierżant Kovac powierzył Martinezowi prowadzenie śledztwa w tej sprawie). Nagle, kiedy detektyw wsiadał do samochodu, po raz trzeci w tym dniu wpadła mu do głowy myśl niezwiązana z prowadzonym obecnie dochodzeniem. Sięgnął po swój prywatny telefon komórkowy. (Wydział policji Miami Beach nie pokryłby tego rodzaju kosztów).

Angie Barlino, koleżanka z dawnych czasów, seksowna Włoszka o okrągłych kształtach i życzliwym sercu, wykonywała papierkową robotę przy Washington Street, póki nie zakochała się w gliniarzu z Tam-py i nie przeniosła się na zachodnie wybrzeże, gdzie obecnie pracowała w biurze szeryfa w Pinellas. Sam był na jej weselu, posyłał prezenty z okazji narodzin kolejnych dzieci, a ona w rocznicę śmierci Sampsona zawsze pamiętała o wysłaniu Samowi kilku serdecznych i ciepłych słów. Od czasu do czasu, kiedy potrzebna była międzyregionalna współpraca, wymieniali nieoficjalną drogą informacje. Jej domowy numer był jednym z dwudziestu, jakie Sam zakodował w pamięci swojego telefonu komórkowego.

- Angela, *bellissima, come stai*

- Hej, przystojniaku, co tam u ciebie? - Angela zawsze rozpoznawała jego głos, narzekając, że włoski Sama jest bardzo kiepski. Chyba że śpiewa w tym języku.

- To co zwykle, skarbie, a jak miewa się twoja rodzina?

- Dzięki Bogu, wszystkim dopisuje zdrowie. - Angie umilkła. - O co chodzi, Sam? Czego potrzebujesz?

- Wszelkich informacji, jakie zdołasz znaleźć na temat strzelaniny w St Pete przed kilkoma laty.

- Przed iloma konkretnie?

- Nie potrafię dokładnie powiedzieć; mam na myśli okres powyżej trzech i poniżej sześciu lat.

- Proszysz mnie o wyświadczenie dużej przysługi. Znamy nazwisko?

- Niestety nie.

- Czy mamy jakiegokolwiek informacje, które dałyby ci szansę na odnalezienie tych danych?

- Wiemy, że nastolatek usiłował zastrzelić swoją matkę i ojca w St Pete. Oboje rodzice przeżyli i wygląda na to, że ojciec użył wpływów, ażeby ukreślić łeb sprawie. W policyjnych rejestrach musiały jednak pozostać jakieś ślady dotyczące tego wydarzenia.

- W zależności od tego, jak daleko sięgały owe wpływy - zauważyła cierpko Angie. - Na kiedy jest ci to potrzebne, Sam? Mam sobotnie popołudnie i właśnie zamierzam kupić sobie seksowną koszulę nocną.

- Jest po temu jakaś szczególna okazja?

- Czy uważasz, że potrzebuję szczególnej okazji, aby podniecić własnego męża? - spytała Angie.

- Założę się, że mając taką żonę jak ty, Tony jest wiecznie podniecony, Angie.

- Masz rację, Sam. To pilna sprawa, czy może poczekać do poniedziałku?

Sam wykrzywił twarz.

- Szczerze mówiąc, Angie, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Z prawnego punktu widzenia nie jest pilna. Nawet nie jest oficjalnie rozpatrywana. Ale coś nie daje mi spokoju, choć nie jestem pewien, co. Mam tylko mgliste przeczucie, że już dawno powinienem był to wszystko sprawdzić.

- W porządku, chłopcze, zobaczę, co da się zrobić - W jej głosie krył się uśmiech. - Zaraz potem, gdy załatwię sprawę w Victoria's Secret.

- Jestem ci winien przysługę.

Dwie godziny później oddzwoniła.

- Nie ma nic - oświadczyła.

- Nic w ogóle?

- *Niente. Nada.* Nic, co choć w przybliżeniu pasowałoby do opisanej przez ciebie sytuacji. - Angie umilkła. - W poniedziałek mogę nieoficjalnie zasięgnąć języka wśród tutejszych policjantów i przekonać się, czy ta historia z niczym im się nie kojarzy.

- Byłoby dobrze, gdybyś to zrobiła.

- Czy mogę już wrócić do domu? - spytała Angie. - Telefonuję do ciebie z biura na wypadek, gdybyś potrzebował coś jeszcze sprawdzić.

- Kupiłaś koszulę nocną?

- A pewnie. Mój Tony będzie dzisiejszego wieczora w siódmym niebie.

- Szczęściarz z niego.

- A więc nie chcesz już żadnej informacji? - nalegała.

Sam zastanawiał się przez chwilę, starając się zrozumieć, co jest powodem jego niezwykłego zaniepokojenia.

- Może jeszcze jedną.

- Strzelaj.

- Sprawdź dane pewnego psychiatry: niejakiego Haymana, Petera Haymana, obecnie zamieszkałego na Key Largo, który niegdyś pracował w twoich stronach, prawdopodobnie w St Pete.

- Czy to pilne?

Sam namyślał się pośpiesznie.

- Nie, to nie jest pilne.

- Zaraz sprawdzę jego dane - obiecała Angie. - A jeśli niczego nie znajdę, zajmę się tym w poniedziałek, zgoda?

- Jestem twoim podwójnym dłużnikiem - powiedział detektyw.



## ROZDZIAŁ 37

---

Kiedy tuż po szóstej Grace przybyła do klubu Pod Pelikanem, dowiedziała się, że na jej nazwisko nie została dokonana rezerwacja. Hotel był śliczny, jak na obrazku, a w konfrontacji z monotonnym ciągiem handlowym przy głównej ulicy Key Largo wydawał się jeszcze bardziej malowniczy. Sympatyczna para pracowników recepcji wydawała się zatroskana z powodu kłopotliwego położenia Grace, ale utrzymywała zgodnie, że nikt nie zarezerwował dla niej pokoju.

- Czy wie pani, z kim rozmawiał pani przyjaciel, pani Lucca?

Kobieta o krótko ostrzyżonych siwych włosach, bystrych oczach i tabliczce z imieniem, przedstawiającej ją jako Jane, nie sprawiała wrażenia osoby, która popełniłaby aż tak poważny błąd. A nawet gdyby tak się stało, z pewnością by się do tego przyznała.

- Niestety nie - odpowiedziała Grace. - Wiem tylko, że doktor Hayman telefonował do państwa pomiędzy godziną drugą trzydzieści po południu a trzecią czterdzieści pięć.

- Skoro tak, to ze mną nie rozmawiał - oświadczyła Jane.

- Ani ze mną - dodał żalonym tonem jej kolega w ciemnym garniturze; niejaki Carl.

Grace była bliska gniewu, postanowiła jednak zachować spokój. Zastanawiała się, czy nie zatelefonować do Haymana, ale się rozmyśliła. Zirytowałyby się na pracowników hotelu i prawdopodobnie ponowiłby zaproszenie. Namawiałby ją, żeby skorzystała z jego gościny, a propozycja była dla niej bardzo kłopotliwa. Tkwiła więc dalej przed recepcyjną ladą, czekając, aż Carl i Jane rozwiążą ten problem. Doszła do wniosku, że jeśli będzie stała wystarczająco długo, musi się znaleźć jakieś wyjście. W końcu, czyż nie panowało powszechne przekonanie, że we wszystkich hotelach mają wolne pokoje w razie nieprzewidzianych wypadków?

- Na pewno coś się znajdzie - powiedziała po chwili. - Nie jestem zbyt wybredna. Wystarczy, żeby było czysto i...

- Wszystkie numery są pozajmowane - oświadczył Carl. - Jest mi okropnie przykro, doktor Lucca, i żałuję, że nie potrafię wyczarować dodatkowego pokoju, lecz nie mamy nawet wolnego schowka na miotły.

- Zachodzę w głowę, z kim mógł rozmawiać doktor Hayman - zastanawiała się Jane.

- Albo zdawało mu się, że rozmawiał - zasugerował Carl ponurym tonem. - Może wybrał zły numer i ktoś mu zrobił kawał. Może jakiś dzieciak z kiepskim poczuciem humoru.

- Uważam to za mało prawdopodobne - odparła oschle Grace.

- Problem polega na tym, doktor Lucca, że na ten weekend cały hotel był od dawna zarezerwowany. Trwają właśnie zawody w wędkowaniu i niektórzy uczestnicy zamówili pokoje aż z rocznym wyprzedzeniem.

Grace zaczęła się niecierpliwić.

- Czy możecie państwo zatelefonować do innych hoteli?

- Tak, oczywiście - odrzekł Carl. - Zrobimy co w naszej mocy, żeby pani pomóc. Szczerze mówiąc jednak, obawiam się, że wszędzie powtórzy się ta sama historia, chyba że ktoś w ostatniej chwili odwołał przyjazd.

Miał rację. Posadzili Grace na ratanowym krześle w cieniu palmy na ślicznej werandzie i poczęstowali mrożoną herbatą, a sami w tym czasie starali się poruszyć niebo i ziemię, aby znaleźć pokój; bezskutecznie jednak. A potem zaproponowali jej w innym terminie darmowy weekend w ich najlepszym apartamencie, jeśli, jak powtarzał wylewnie Carl, doktor Lucca zdolał wybaczyć. Propozycja ta nie zmieniała faktu, że nie było żadnych wolnych pokoi na Key Largo, na Tavanier ani na Islamo-radzie.

Grace miała trzy możliwości. Po pierwsze, mogła pojechać do domu Claudii, ale to oznaczało poradzenie sobie ze skomplikowanym systemem alarmowym, który Daniel włączał, ilekroć wyjeżdżali do Fort Lauderdale. Po drugie, wrócić do domu, i po trzecie, skorzystać z propozycji Haymana. Ponieważ to z nim nazajutrz od samego rana miała żeglować, poprzednie rozwiązania wydawały się pozbawione sensu. Pomimo to, jeszcze kopiąc w płócienną torbę w poszukiwaniu notatnika z adresami i numerem telefonu Petera, nie była zadowolona z tego, co robi. Przypomniła sobie swoje ostatnie spotkanie z psychiatrą przed kilkoma tygodniami oraz moment, kiedy odniosła wrażenie, że o sekundę za długo niż to było konieczne przytrzymał jej rękę. Zastanawiała się, czy przypadkiem bezwiednie nie wprowadziła go w błąd, a także czy decyzja o przenocowaniu w jego domu nie stworzy niezręcznej sytuacji. Znalazła jego numer.

A jeśli Peter w ogóle nie telefonował w sprawie jej rezerwacji?

Aż do tego momentu Grace była całkowicie pewna, że jakiś pracownik hotelu, ktoś mniej kompetentny od Jane i Carla, popełnił błąd. A może był to w pełni zamierzony - prawdopodobnie z zamiarem dokonania podboju - męski spisek?

- Nie schlebiaj sobie, Lucca - mruknęła, wyciągając z torby telefon komórkowy.

Doktor Hayman był powszechnie szanowanym psychiatrą, badaczem naukowym i autorem podręczników. Poza tym Grace już dwukrotnie bawiła z wizytą w jego domu i za każdym razem okazał się stuprocentowym dżentelmenem.

Masz skłonności do wysnuwania absurdalnych wniosków, Lucca.

Wybrała numer Petera.

Dopiero kiedy skończyła z nim rozmawiać i przekonała go, że nie ma potrzeby przyjeżdżania do klubu Pod Pelikanem ani wszczynania awantury, przyszło jej nagle na myśl, że być może tym, co ją naprawdę trapi, jest obawa, jak Sam odbierze spędzenie przez nią weekendu w domu samotnego mężczyzny, tylko dlatego, że był zbyt zajęty, aby się z nią spotkać.

Obawa ta była oczywiście absolutną bzdurą. Sam wiedział, że jej stosunki z Haymanem mają czysto zawodowy charakter i że to sprawa Cathy Robbins przypadkowo zetknęła ich ze sobą.

Chociaż gdyby nie Cathy, uzmysłowiła sobie Grace, ona i Sam również mogliby nigdy się nie spotkać.

I jeśli chciała być całkowicie szczerą wobec samej siebie, nie była w stu procentach pewna, czy niedzielny żeglarski wypad nie wykracza poza ściśle zawodowe kontakty.

## ROZDZIAŁ 38

---

Sam opuścił pokój, w którym od ponad godziny obaj z Alem Martinezem przeszukiwali podejrzanego numer jeden. Jeśli mieli właściwego faceta, trzeba tylko zaczekać na wynik testów DNA przed zmuszeniem delikwenta do przyznania się do winy. Gwałciciel wyświadczył im przysługę, pozostawiając połowę podręcznikowych fizycznych dowodów, takich jak: sperma, ślina, a nawet znaleziona pod paznokciami jednej z ofiar krew, która, co było wielce prawdopodobne, odpowiadała tej z zadrapań, odkrytych na pośladkach podejrzanego. Co oznaczało, że przy odrobinie szczęścia i mniej niż zazwyczaj uciążliwej laboratoryjnej pracy lekarza sądowego Sam i Martinez zdołają postawić łotra w stan oskarżenia i go przymknąć, zanim cały weekend będzie dla nich stracony.

Sam, Angie Carlino telefonowała do ciebie z Tamy - zawołała w jego, stronę z korytarza Mary Cutter, jeszcze jedna detektyw zatrudniona w wydziale zabójstw.

- Kiedy? - Sam spojrzął na zegarek i zauważył, że jest siódma wieczorem i że dwie godziny upłynęły od czasu ich ostatniej rozmowy.

- Przed kilkoma minutami. Powiedziała, że złapiesz ją w domu. Drzwi od sali przesłuchań otworzyły się i w chwili, kiedy detektyw

Cutter odwróciła się i ruszyła z powrotem tam, skąd przyszła, na korytarz wyszedł Martinez. Sam zauważył, że kolega odprowadził Mary spojrzeniem i że jego policzki stają się różowe. Al Martinez uchodził za zaprzysięgłego kawalera, który rzadko umawiał się na randki i chodził na przyjęcia. Sam nie miał jednak cienia wątpliwości co do tego, że przybycie do miasta ciemnowłosej, drobnej, ale seksownej koleżanki poważnie zakłóciło jego kawalerski spokój.

- Nasz facet jest bliski poddania się - oznajmił Martinez, gdy Mary Cutter znikła z pola widzenia.

Sam zastanawiał się, czy przed powrotem na salę przesłuchań nie oddzwonić do Angie.

- Hej, Becket - ponaglił go Martinez, otwierając drzwi. Obaj weszli do środka.

Było po ósmej, kiedy facet w końcu się załamał i Sam miał wreszcie okazję, żeby zatelefonować do Tamy. Tony, mąż Angie, nie sprawiał wrażenia niezadowolonego, kiedy Sam poprosił ją do telefonu, detektyw pomyślał więc, że nie rozpoczęła się jeszcze owa część wieczoru, w czasie której był przewidziany pokaz nowej seksownej koszuli nocnej.

- Co masz dla mnie, dziecino?

- Niemal to samo, co przedtem - oznajmiła Angie.

- Niepotrzebnie marnowałaś sobie sobotni wieczór, Angie. Powiedziałem ci, że to nic pilnego.

- Znasz mnie, Sam. Jestem taka jak ty: jeżeli coś mnie gryzie, przypominam psa szukającego kości. Rutynowe badanie wypadło pomyślnie: w przypadku Haymana nie odnotowano popełnienia żadnych błędów w sztuce lekarskiej ani przestępstw. Potem jednak pomyślałam, że warto by przejrzeć jego dane osobowe: kwalifikacje zawodowe, tego typu sprawy - Angie umilkła. - Rzeczywiście jak wspomniałaś, od 1992 roku figuruje na liście mieszkańców Key Largo, ale nigdy nie mieszkał w St Pete, ani w żadnym innym miejscu, które sprawdzałam.

Sam zmarszczył brwi.

- Nigdzie nie udało ci się go znaleźć?

- Jak dotychczas nie. Ponieważ jest weekend, nie mogę skorzystać z pomocy żadnej instytucji zajmującej się migracją ludności. Dysponujemy tylko listami obejmującymi okres dziesięciu lat dla St Pete i Clear-water, lecz doktora Haymana, psychiatry, nie ma na żadnej z nich.

Sam przeanalizował w myślach skąpe informacje, jakich udzieliła mu Grace o lekarzu, którego poznała na seminarium organizowanym na wyspach Key.

- Zasugerowałem tylko, że mógł pochodzić z St Pete. Prawdopodobnie się myliłem.

- Mogę już wrócić do Tony'ego? - spytała uprzejmie Angie. Sam szeroko się uśmiechnął.

- Czy już widział twój zakup?

- Jeszcze nie. Na początek usmażyłam mu dwa steki.

- Miłego wieczoru, Angie, i wielkie dzięki.

- Wracasz do domu, stary?

- Na razie nie. Obaj z Alem musimy zakończyć sprawę, którą prowadzimy, a potem czekają na nas stosy papierów. - Zanotował w myślach, że musi wyciągnąć od Grace więcej szczegółów na temat Haymana, kiedy następnym razem będą ze sobą rozmawiali.

- Skontaktuję się z tobą w przyszłym tygodniu.

- Przedefiluj w swoim nowym stroju przed Tonym, Angie.

TLR



## ROZDZIAŁ 39

---

Na widok apartamentu gościnnego Petera Haymana Grace ucieszyła się, że w klubie Pod Pelikanem nie było wolnych miejsc; musiała to przyznać sama przed sobą. Od samego początku podobał się jej wygląd tego domu i panująca w nim atmosfera. Ale jeśli Hayman osobiście zajmował się urządzeniem pomieszczenia dla gości, przeszedł samego siebie. Było tu przytulnie i zacisznie, osobny, ogrodzony balustradą ganek zapewniał prywatność, a wszystko wokół pachniało świeżością i czystością, jak gdyby przed chwilą wyszła stąd staromodna pokojówka, zostawiając kwiaty i wyprasowaną bieliznę.

- Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe - powiedział Hayman, kiedy niósł walizkę Grace do pokoju - ale jestem umówiony w klubie żeglarskim na drinka z kilkoma znajomymi.

- Oczywiście, że nie.

- Będzie nam miło, jeśli do nas dołączysz - mówił dalej. - Przypuszczam jednak, że po zdenerwowaniu w klubie Pod Pelikanem zechcesz spędzić trochę czasu w samotności.

Oprowadził ją po domu, zachęcił, żeby się czuła jak u siebie i korzystała z wszystkiego, co będzie jej potrzebne: z telefonu, z urządzeń kuchennych oraz z dużej, starej drewnianej szafy przywodzącej na myśl mebel, gdzie starsze panie ze sztuki „Arszenik i stare koronki” chowały swoje ofiary, a która służyła Haymanowi za barek wypełniony różnymi gatunkami słodowej whisky.

- Pozwolę sobie zarezerwować stolik przy oknie w restauracji Na Brzegu Atlantyku w klubie Cheeca. Może później poczujesz się na siłach, ażeby wybrać się tam razem ze mną.

Grace kilka razy była tam w towarzystwie Claudii oraz Daniela i wiedziała, że jest to prawdopodobnie najbardziej elegancki lokal na całej wyspie.

Pod nieobecność Haymana odbyła trzy rozmowy ze swojego telefonu komórkowego. Najpierw zadzwoniła do siostry i zawiadomiła ją o miejscu swojego pobytu, na wypadek gdyby Claudia czegokolwiek od niej chciała. Następnie połączyła się ze swoim numerem domowym, ażeby sprawdzić wiadomości. Wmawiała samej sobie, że robi to na wypadek, gdyby jakiś pacjent pilnie jej potrzebował. Doskonale zdawała sobie jednak sprawę z tego, że pragnie się dowie-

dzieć, czy przypadkiem nie ma żadnych wieści od Sama. Nie zadzwonił ponownie. Powinna była to przewidzieć. Nie miał czasu, ponieważ próbował ustalić, kto zgwałcił w Miami Beach dwie nieszczęsne kobiety. Świadomość tego faktu nie zapobiegła bolesnemu rozczarowaniu, jakiego Grace nie doświadczyła od lat.

Trzecią rozmowę odbyła po rozkosznie długim prysznicu, gdy siedziała z filiżanką wybornej, świeżo zaparzonej kawy na swoim prywatnym ganku, delektując się wieczornym powietrzem przesyconym słodkimi, ciężkimi woniami oraz wypełnionym świergotem ptaków. Na jej kolanach spoczywał mały, przenośny telefon. Grace odczekała kilka kolejnych minut, a potem wybrała domowy numer Sama.

Nagrany głos Becketa polecił jej, żeby zostawiła swój numer, nazwisko oraz wiadomość. Grace nigdy nie była miłośniczką automatycznych sekretarek, ale ten szczególny głos należał do mężczyzny, który kochał się z nią przed niespełna czterdziestoma ośmioma godzinami. I przypuszczała, że to było powodem, dla którego brzmienie owego głosu wzbudziło w niej tak wielkie emocje.

Rozłączyła się bez słowa.

- Jezu, Lucca - powiedziała na głos. - Naprawdę jest z tobą coraz gorzej.

Wieczór w klubie Cheeca był bardziej niż przyjemny: dawno nie jadła tak wybornych placuszków z krabami, i to podczas prowadzenia interesującej rozmowy z atrakcyjnym i zdecydowanie nietuzinkowym mężczyzną, z czego zaczęła sobie zdawać sprawę. Zanim zajęli miejsca przy stoliku, uzgodnili, że nie zamierzają poruszać tematu Cathy ani zabójstw. Chyba że, jak dodał Hayman, rozmowa o tym pomoże Grace się odprężyć. Dzisiejsza konwersacja miała być całkiem inna niż w czasie ubiegłych spotkań. Może to z powodu ich zawodów, a może Hayman, podobnie jak i Grace, bardziej przywykł do słuchania niż do mówienia, ale pod koniec posiłku miała niejasne poczucie, że wie niewiele więcej o tym mężczyźnie niż na początku. Poznała trochę szczegółów na temat jego poglądów jako psychiatry oraz jego dalekosiężnych planów pisarskich. Dowiedziała się także, że jest szczęśliwszy, mieszkając tutaj, niż czuł się w każdym innym miejscu przedtem. Jednak oprócz zdawkowych wzmianek o latach spędzonych nad Zatoką Meksykańską Hayman prawie nie wspominał o przeszłości. Za każdym razem kiedy Grace zadawała mu bezpośrednie pytanie, odpowiadał na nie w sposób zrozumiały i nie uciekał się do wykrętów, lecz nie wdawał się w szczegóły. Dowiedziała się, że nigdy się nie ożenił, nadal jednak nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek był bliski wstąpienia w związek małżeński ani czy pragnął to zrobić. Wiedziała, że obecnie uważa się za w pełni zadowolonego z życia człowie-

ka, który panuje nad przebiegiem swojego dnia codziennego, zachodziła jednak w głowę, dlaczego nie miał takiego poczucia przedtem.

Ponownie upomniała samą siebie, że nie powinna się interesować tymi sprawami. Nie była ani psychoterapeutką Petera Haymana, ani jego kochanką, ani nawet przyjaciółką. Była tylko koleżanką po fachu, którą zaprosił na weekend, a ona zgodziła się skorzystać z tej oferty. Nie widziała powodu, dla którego mieliby stać się sobie bliscy. Poza tym z każdą upływającą godziną Grace coraz bardziej była świadoma faktu, że jedynym mężczyzną, na którym jej zależy, jest Sam. Zbyt wiele razy podczas kolacji jej myśli szybowwały do Miami i do detektywa. Zastanawiała się, jak radzi sobie z nowym dochodzeniem, a także czy zachowuje ostrożność w pracy. Przekonała się, że na samą myśl o grożącym mu niebezpieczeństwie cierpi jej skóra. Kilkakrotnie pomiędzy daniem głównym a kawą kusiło ją, żeby wyjść na korytarz i spróbować ponownie do niego zadzwonić. Chciała wiedzieć, czy jest bezpieczny. Pragnęła także powiedzieć mu, że chociaż siedzi obecnie z Peterem Haymanem, tylko Sam wypełnia jej myśli.

Pragnęła go usłyszeć.

- Kto jest tym szczęściarzem? - Głos Haymana wyrwał ją z rozmyślań, gdy wracali taksówką do domu.

Przed kolacją postanowili, że pozwolą sobie na kilka kieliszków wina bez podejmowania ryzyka prowadzenia samochodu po alkoholu.

- Przepraszam? - Spojrzała na niego z ukosa. Nawet w mrocznym świetle taksówki dostrzegła wyraz rozbawienia w oczach Petera.

- Czy to ten policjant? Była zaskoczona pytaniem.

- Jaki policjant? - Przyjęła obronną pozę.

- Detektyw Becket - odrzekł nadal rozbawiony Hayman. - Mężczyzna, o którym wciąż wspominasz w rozmowie.

- Naprawdę to robię? - Była zdumiona. W związku z poufnym charakterem dyskusji z Samem na temat zabójstw Robbinsów, doktor Flager i Frances Dean bardzo się pilnowała, aby nie mówić o nim zbyt wiele.

- Och, tak - odrzekł Hayman. -1 nie będę bardzo daleki od prawdy, jeśli powiem, że sporo o nim myślałaś dzisiaj wieczora.

Grace poczuła się zakłopotana.

- Przykro mi, jeśli sprawiałam takie wrażenie. Zapewniam cię, że dawno tak cudownie nie spędziłam czasu. A jeśli się zdarzyło, że moje myśli nieco zbaczały z tematu, to dlatego, że na skutek przeciążenia pracą nie mam tak spokojnej głowy, jak powinnam.

- Hola, hola. - Podniósł do góry palec wskazujący z wyrazem żartobliwego upomnienia. - Uzgodniliśmy, że nie będzie żadnych rozmów o pracy.

- Tak, prawda. To ja poruszyłam ten temat.

- Ale z Samuelem Becketem nie łączą cię tylko ściśle zawodowe stosunki, prawda? - W piwnych oczach Petera kryło się jeszcze większe rozbawienie. - No przyznaj się, Grace, nie bądź taka skryta.

Uwaga ta ją zirytowała.

- Czy możemy zmienić temat?

- Oczywiście. - Skierował wzrok przed siebie. - Prawie jesteśmy na miejscu.

Od tamtego momentu Grace odczuwała skrępowanie. Hayman zapłacił taksówkarzowi i weszli do domu. I chociaż temat Sama Becketa nie został więcej poruszony, a gospodarz nie wydawał się urażony tym, że nie miała ochoty rozmawiać o swoim osobistym życiu, to swobodny nastrój, jaki towarzyszył im przez cały wieczór, prysnął. W każdym razie Grace tak uważała.

- Co sądzisz o drinku przed snem? - spytał Hayman.

- Chyba wypięłam już wystarczająco dużo.

- Mam wyjątkowo dobry koniak, którego nie chciałem otwierać tylko dla siebie. Wyświadczysz mi uprzejmość, jeśli skosztujesz go razem ze mną.

- Ale tylko odrobinę. - Grace nie chciała być niegrzeczna. Zaniósł kieliszki na ganek z widokiem na ocean. Zajęli miejsca w tych samych ratanowych fotelach, gdzie siedzieli przed kilkoma tygodniami, kiedy to Peter przygotował dla Grace kolację ze smażonych na oliwie jarzyn z mięsem.

- Smakuje ci? - spytał po kilku minutach.

- Tak, bardzo gładko przechodzi. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Nie zamierzałem cię urazić, Grace - powiedział. Stwierdzenie to było bez związku z poprzednim tematem rozmowy i wiedziała, że uwaga odnosi się do Sama.

- Nie czuję się urażona - zapewniła, starając się nadać głosowi przekonujące brzmienie. - Przepraszam, jeśli zareagowałam zbyt szorstko.

- Miałaś do tego pełne prawo. Nie zakwestionowała tej opinii.

- Szczęściarz z niego.

Grace całą siłą woli powstrzymała westchnienie. Hayman najwyraźniej nie miał najmniejszego zamiaru zaniechać tego tematu.

- Muszę powiedzieć, że gdybym był na jego miejscu, starałbym się nie spuszczać z ciebie oka. I z pewnością zrobiłbym, co w mojej mocy, ażeby odwieść cię od zamiaru spędzenia weekendu z innym mężczyzną.

Grace zazgrzytała zębami.

- Nie sędzę, ażeby Samuel Becket był typem Otella. Szczególnie kiedy nie ma powodu do zazdrości.

- Nie wierz w to - powiedział Hayman. - Wszyscy mężczyźni są zazdrośni. Jeśli zależy im na kobiecie i jeśli mają własną dumę.

Uznała nagle, że lepiej zrobiłaby, nie przyjeżdżając tutaj i zostając w domu razem z Harrym.

Kilka minut później spytała Haymana, czy może pożyczyć jakąś książkę do poczytania przed snem. Odpowiedział z życzliwością i swobodą:

- Możesz wziąć, co zechcesz z półek w moim gabinecie. - Umilkł. - Obok okna znajdziesz powieści, a także kilka przyzwoicie napisanych biografii, jeśli jesteś zwolenniczką literatury tego typu.

Grace najpierw wzięła z kuchni szklanekę wody, a dopiero potem wyruszyła do gabinetu. Kiedy gospodarz oprowadzał ją po domu po przyjeździe, wydawało się jej, że pokój ten znajduje się zaraz przy schodach. Kiedy nacisnęła klamkę, okazało się jednak, że drzwi są zamknięte na klucz.

- W czym mogę pomóc?

Wystraszyła się, słysząc głos tuż za swoimi plecami.

- Myślałam, że to gabinet.

- Nie. Jest obok.

Przeprosiła, skierowała się do następnych drzwi, bez zbytich wahań wybrała książkę i z powrotem wyszła na wąski korytarz. Hayman wciąż stał obok zamkniętego pokoju.

- Znalazłaś to, co chciałaś? - Uśmiechnął się do niej.

Grace potakująco skinęła głową i podniosła do góry „Tomka Sawyera”.

- Przypuszczam, że zasnę, zanim zdołam dotrzeć do drugiej strony.

- Dobranoc, Grace. Śpij dobrze.

- Dziękuję, Peter - powiedziała, ruszając schodami w górę.

- Do zobaczenia rano.

- Nie mogę się doczekać jutra.

Kiedy spojrzała w dół z podestu schodów, wciąż stał w tym **samym** miejscu z zadartą do góry głową i patrzył.

TLR



# ROZDZIAŁ 40

---

Niedziela, 17 maja 1998

Gwałcień z South Beach, który przyznał się do winy i, jak na ra zie, chepił się swoją niesławą, został osadzony w areszcie. Martinez i Sam mogli jedynie modlić się, aby pozostał tam tak długo, jak tylko zezwoli na to system obowiązującego prawa. Chociaż obaj zdawali sobie sprawę z tego, że fakt zamknięcia go nie zdoła w niczym pomóc kobietom, które zaatakował i skrzywdził.

Oznaczało to, że Sam spędzi resztę nocy w domu. Najpierw jednak należało uporać się z papierkową robotą. Było wpół do trzeciej, kiedy w końcu wrócił do siebie - godzina zbyt późna na złożenie wizyty ciężko pracującej pani psycholog, która z pewnością spała już kamiennym snem.

Sprawdził automatyczną sekretarkę, na wypadek gdyby Grace próbowała się z nim porozumieć, choć oczywiście wiedział, że nie miała powodu, aby to zrobić, skoro w porze lunchu uprzedził ją, że będzie zajęty przez cały weekend.

Jedyna wiadomość pochodziła od Judy. Matka dopytywała się, kiedy zamierza znaleźć wolną chwilę na odwiedzinu u ojca. To była jej nowa sztuczka - teraz nie musiała żądać, ażeby przyszedł się z nią zobaczyć. Wystarczyło przypomnieć Samowi - jak gdyby mógł o tym nie pamiętać - czego doświadczył ojciec i jakimi są szczęściami, że nadal go mają.

Sam przypomniął sobie obietnicę złożoną Grace, że spróbuje namówić Davida do odwiedzenia Cathy w więzieniu. Czuł się podle, że dotychczas nie spróbował wywiązać się z tego zadania. Nie chciałby w niczym zawieść Grace.

„Nie martw się o mnie" - powiedziała, kiedy ją uprzedził, że prawdopodobnie nie znajdzie wolnej chwili, aby zadzwonić. Jej głos był przepełniony ciepłem. Sam miał wtedy ochotę rzucić wszystko i pojechać do niej, aby ponownie ją zobaczyć. I nadal czuł to samo. Chociaż nawet gdyby teraz mógł być razem z Grace, to pewnie z powodu śmiertelnego zmęczenia nie byłby zdolny zrobić nic więcej, tylko zapaść w sen.

Myśl o zaśnięciu obok Grace była zachwycająca.

A jeszcze cudowniejsza o obudzeniu się przy niej.

# ROZDZIAŁ 41

---

O drugiej trzydziści w nocy Grace jeszcze nie spała. Czytała „Tomka Sawyera” w gościnnym pokoju Haymana, kiedy dobiegł ją odgłos czyichś kroków pod drzwiami. Odruchowo sięgnęła do kontaktu, wyłączyła nocną lampkę i położyła się na boku.

Najpierw usłyszała, jak powoli i cicho otwierają się drzwi, a potem doszły ją odgłosy stąpania po dywanie. Zamknęła oczy, starając się oddychać spokojnie i miarowo, aby Peter pomyślał, że jest pogrążona w głębokim śnie.

Co on, u diabła, sobie wyobrażał, wchodząc do jej pokoju w środku nocy? Czy dostrzegł pod drzwiami światło? I wiedział, że ona nie śpi?

W porządku, Lucca - powiedziała do siebie, nie otwierając oczu. Jeśli okaże się zboczeńcem, jesteś już dużą dziewczynką i będziesz umiała sobie z nim poradzic.

- Grace?

Jego cichy głos dochodził z bardzo bliska. Zabrzmiała w nim niepewność. Grace odniosła wrażenie, że mężczyzna nie zamierza jej budzić, jeśli uzna, że zasnęła. Zastanawiała się, czy się nie poruszyć i nie zareagować na jego pytanie, postanowiła jednak nie robić tego. Gdyby miał uzasadniony powód do budzenia jej o tej porze, nie zakradałby się do pokoju na palcach jak złodziej.

Nadal odgrywała swoją rolę.

- W porządku, Grace - odezwał się równie cicho.

Poczuła lekki ruch powietrza w pobliżu swojej twarzy, kiedy ponownie się poruszył. Ogromną trudnością sprawiało jej normalne oddychanie bez zaciskania powiek i zwalczenie chęci otwarcia oczu, aby sprawdzić, co robi Hayman.

Zaskrzypiały podłogowe deski pod dywanem. Grace wywnioskowała, że mężczyzna z powrotem zmierza w kierunku drzwi, co oznaczało, że prawdopodobnie znajduje się gdzieś za nią i nie może już dostrzec jej twarzy. Usiłowała przypomnieć sobie rozmieszczenie luster w pokoju - jednego na toalecie, i drugiego wolno stojącego w dużej ramie - w obawie, że zobaczy jej odbicie.

Usłyszała trzask zamykanych drzwi.

Czekała. Wszedł, czy nadal przebywał razem z nią w pokoju? Nie słyszała żadnych dźwięków. Nasłuchiwała dalej. Nadal nic się nie działo.

W odległej części domu trzasnęły drzwi, ostatecznie umacniając ją w pewności, że Hayman naprawdę odszedł. Dzięki ci, o Jezu!

Powoli otworzyła oczy, wlepiła wzrok w ciemność i pod wpływem bezbrzeżnej ulgi powoli wypuściła powietrze z płuc.

Miała ochotę zapalić światło. Chciała znaleźć swoje ubranie i wyjść. Rozwiązanie to nie wydawało się jednak najlepsze.

„W porządku, Grace”. Nie potrafiła odgadnąć, co miał na myśli. Nie mogła się zdecydować, czy chciał powiedzieć: „W porządku, Grace, skoro mocno śpisz, nie będę ci przeszkadzał”, czy też: „W porządku, Grace, to ty ustalasz reguły”. Jeśli w grę wchodziła pierwsza ewentualność, Grace mogła rozważać pozostanie, przynajmniej do rana. W przypadku drugiej jednak za jego słowami kryło się coś zdecydowanie nieprzyjemnego, co sprawiało, że miała ochotę w ciągu najbliższych pięciu minut czmychnąć z domu Petera Haymana.

Jej oczy przywykły do mroku. Powoli i bezszelestnie wstała z łóżka, podeszła do jednego z okien i lekko rozchyliła żaluzje. Księżyc dawał wystarczająco dużo światła, aby mogła się upewnić, czy zarygłowała zamek w prowadzących na ganek drzwiach. Dlaczego miałby wtedy wchodzić, Lucca, skoro mógł skorzystać z normalnego wejścia?

Nie przypominała sobie, jak wygląda zamknięcie przy drzwiach na korytarz. Przeszła na palcach przez pokój, aby to sprawdzić. Zamek był, ale bez klucza. Rozejrzała się wokół. Mogła przysunąć krzesło pod klamkę, co nie tylko opóźniłoby pojawienie się w pokoju nieproszonego gościa, ale również narobiłoby hałasu. Rozwiązanie to uznała jednak za niezdarne, szczególnie że uważała za mało prawdopodobne, aby Hayman ponownie zjawił się dzisiejszej nocy w jej sypialni.

W końcu znalazła bardziej subtelne wyjście, które dawało jej przynajmniej możliwość zdrzemnięcia się i które - w przypadku gdyby gospodarz zdecydował się przynieść jej rano filiżankę kawy - można było uprzejmie wyjaśnić. Torba podróżna pozostawiona przez pomyłkę pod drzwiami. Przejaw zwykłego roztargnienia, którego Peter nie mógł zakwestionować bez przyznania się do nocnej wizyty w gościnnym pokoju.

Grace poszła do łazienki, nie spuściła jednak wody, aby jej nie usłyszał. Potem umyła ręce, spryskała twarz i wróciła do łóżka. Przez następną godzinę leżała, nie mogąc zasnąć. Z każdą minutą nabierała coraz większej pewności, że do

rana nie zdoła zmrużyć oka. W końcu powoli, stopniowo jej umysł i ciało uległy rozluźnieniu, zmęczenie wzięło górę i zmorzył ją sen.

TLR

## ROZDZIAŁ 42

---

Minęła czwarta trzydzieści, był niedzielny poranek, a Sam wciąż nie spał. Pragnął zasnąć i potrzebował snu, ale jakaś myśl, na której nie potrafił skupić uwagi, nie dawała mu spokoju i kołatała się po jego umęczonym umyśle. Przypominało to obserwowanie ludzi na szybko obracającej się karuzeli - przez chwilę można ich było zobaczyć, a sekundę później pochwyceni w wir znikali z oczu.

Zrezygnował ze snu, zbyt pochłonięty próbą rozwikłania zagadki, co go gryzie. Wstał, napił się soku, włączył telewizję kablową nadającą stary film i nagle zrozumiał, co go dręczy.

Problem był niezauważony tak długo, ponieważ stłumiły go mieszane uczucia satysfakcji i rozpacz, jakie wywołała w Samie spowiedź gwałciciela. A potem został zapomniany w nawale papierkowej roboty, z jaką detektyw musiał się uporać. Doktor Peter Hayman.

Oraz fakt, że Angie Carlino nie znalazła w rejestrach niczego o tym psychiatrze aż do momentu jego przybycia na Key Largo w 1992 roku.

Sam wiedział, że może istnieć kilka odpowiedzi wyjaśniających ów fakt. I było wielce prawdopodobne, że w poniedziałek, kiedy oboje rAngie skontaktują się ze Stowarzyszeniem Amerykańskich Psychiatrów w Waszyngtonie i odtworzą całe zawodowe życie Petera Haymana - od czasów college'u do momentu przeprowadzki na Key Largo - wszelkie wątpliwości zostaną rozwiane. Sam zdawał sobie sprawę z tego, że nie pozostaje mu nic innego, tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Nic jednak nie mogło go powstrzymać od snucia rozważań nad pewnymi niepokojącymi zbiegami okoliczności.

John Broderick zniknął z Pensacoli jesienią 1989 roku. A Peter Hayman pojawił się znikąd w innym miejscu niespełna trzy lata później. Był to wystarczająco długi okres na wygojenie się wszystkich blizn po rozległej operacji plastycznej, na stworzenie sobie innej tożsamości i zapewnienie nowej, bezpiecznej sytuacji życiowej.

Broderick wykonywał zawód lekarza. Doktor Hayman był psychiatrą o wątpliwych - o czym świadczyły dotychczas sprawdzone informacje - kwalifika-

cyjach. Broderick przejawiał skłonności do przemocy fizycznej i psychicznej. Peter Hayman przyznawał, że interesuje się szczególnym przypadkiem pewnej choroby psychicznej, uważanej przez wielu specjalistów za groźne następstwo okrutnego traktowania ludzi w przeszłości.

Były i inne zagadki: jaki miał powód Hayman, aby wyjaśniać Grace przyczynę swojego szczególnego zainteresowania sprawą Robbinsów? I dlaczego Angie Carlino nie znalazła żadnej wzmianki o opisywanym przez niego przypadku?

Sam zasiadł w fotelu przed telewizorem z wyłączoną fonią. Przed jego zmęczonym wzrokiem przewijały się zamazane białoczarne obrazy.

- Odebrało ci rozum, człowieku - powiedział na głos.

To oczywiste, że sposób, w jaki kojarzył fakty, był całkowicie zbliżony. W głowie zabrzmiały mu słowa piosenki, zatytułowanej „Zazdrosny facet”. Czy tylko do tego sprowadzała się cała sprawa? Po prostu zadreślał się na myśl o tym, że Grace spędza czas z Peterem Haymanem na zawodowych dysputach o Cathy? Zmarszczył brwi, rozważając tę możliwość. Powinien mieć większe mniemanie zarówno o profesjonalizmie pani doktor Lucca, jak i jej osobistym wyborze partnera; miał nadzieję, że uważa go za bardziej interesującego mężczyznę od Haymana.

Grace po obejrzeniu zdjęcia Brodericka, jakie nadeszło ze szpitala La-fayette, powiedziała, że dostrzega w jego twarzy znajome rysy. Broderick był ojcem Cathy i wtedy oboje uznali to za wystarczające uzasadnienie takich odczuć. A jeśli sprawa nie ograniczała się jedynie do dziedzicznego podobieństwa?

- A niech to diabli! - powiedział głośno Sam. Poderwał się z fotela, podszedł do okna, rozmasował sobie kark, a potem zatoczył koło ramionami, starając się rozluźnić. Nie miał pojęcia, jak wygląda Hayman. Z pewnością nie przypominał Brodericka, w przeciwnym wypadku bowiem Grace rozpoznałaby go od razu na zdjęciu.

- Daj spokój, Becket.

Odwrócił się tyłem do szyby. Grace była wyszkolonym obserwatorem dzięki długim latom praktyki zaglądania do ludzkiego wnętrza i do strzegania tam tego, co się naprawdę liczy. Jeśli nawet Hayman był Broderickiem, a Grace jeszcze nie dostrzegała tego faktu, to wyczułaby dostatecznie dużo, aby mu nie ufać. Czy na pewno?

Chciał z nią porozmawiać, ale była piąta rano, a on nie miał pojęcia, o czym mógłby ani o czym powinien jej powiedzieć. Musiał uzbroić się w cierpliwość do



poniedziałku, kiedy to będzie miał możliwość sprawdzenia tego człowieka. Grace powiedziała, że Hayman ostatnio zajmował się bardziej pisaniem prac naukowych niż przyjmowaniem pacjentów. Jeśli facet cokolwiek opublikował, wydawcy byli tymi, do których Sam powinien podążyć. I może w poniedziałek wyłonią się brakujące w jego życiorysie lata.

Tyle tylko, że brakowało nie lat, ale prawie całego życia.

TLR

## ROZDZIAŁ 43

---

Ależ dopisało nam dzisiaj szczęście - zauważył Hayman, wychodząc na ganek z widokiem na ocean i stawiając na białym stole z ratanu talerz z naleśnikami. - Od dawna nie było tak doskonałej pogody na żeglowanie.

- Rzeczywiście, dzień zapowiada się bardzo kusząco.

Grace miała ochotę pożeglować. W dziennym świetle cudownego poranka, podczas sutego śniadania, musiała przyznać, że jej lęki były bezpodstawne. Tym bardziej że gdy zjawiała się pół godziny temu w kuchni, Hayman zapytał, czy w nocy nic nie zakłóciło jej odpoczynku.

- Wydawało mi się, że słyszę jakieś odgłosy dochodzące z twojej sypialni - wyjaśnił.

- Co za odgłosy? - spytała, starając się niczym nie zdradzić.

- Odniosłem wrażenie, że płaczesz - wyjaśnił. - Wszedłem do twojego pokoju, aby to sprawdzić, ale spałaś, więc cię nie budziłem. - Wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że to jakiś nocny ptak. Albo uległem złudzeniu. A może coś ci się przyśniło?

- Nie przypominam sobie żadnych złych snów, ale może rzeczywiście dręczyły mnie jakieś nocne koszmary.

- Obce łóżko, obce miejsce - rzucił lekkim tonem, zamykając temat i Grace pomyślała, że i ona z radością zakończy tę rozmowę.

Kiedy siedziała na ganku, jadła naleśniki z syropem klonowym, a potem piła wyborną kawę, patrząc na morze, które prześwitywało pomiędzy palmami i drzewami mangrowymi, doszła do wniosku, że głupotą byłoby wracać do Miami, pozbawiwszy się kilkugodzinnej przyjemności żeglowania z Peterem oraz z jego przyjaciółmi.

W chwili kiedy kończyli sprzątać ze stołu, a gospodarz nalegał, że sam pozmywa, rozległ się dzwonek do drzwi - stary żeglarski dzwonek - obwieszczający przybycie dwojga znajomych psychiatry.

- Betty i Miles Flanaganowie. - Hayman wprowadził ich do kuchni i dokonał prezentacji. - Doktor Grace Lucca.

- Miło panią poznać, Grace - powiedział Miles. - Czy mogę zwracać się do pani po imieniu?

Usiedli przy kuchennym stole, a gospodarz zaparzył świeżą kawę. Flanaganowie, niscy, szczupli, ruchliwi i schludnie ubrani, o rumianych policzkach, bardziej wyglądali na rodzeństwo niż na parę małżeńską.

- Peter mówił nam, że masz siostrę, która mieszka niedaleko stąd - odezwała się Betty.

- Na Islamoradzie - wyjaśniła Grace. - Kocha to miejsce.

- A ty? - zapytał Miles. - Nie miałabyś również ochoty na ucieczkę z miasta?

- Nie - odrzekła. - Czuję się tam bardzo zadowolona.

Okazało się, że Flanaganowie mają własną łódź i pragną jak najszybciej wyruszyć w morze. Hayman oznajmił, że przed wypłynięciem musi dopilnować kilku spraw związanych z domem, umówili się więc nieobo-wiązująco na spotkanie przy lunchu na wyspie El Radabob, i goście wyszli.

- Sądziłam, że będziemy pływać wszyscy razem na jednej łodzi - odezwała się Grace po ich odjeździe.

- Nie. - Hayman pokręcił głową. - Flanaganowie mają bzika na punkcie swojej łajby i nie znieśliby, gdyby im ktoś mówił, co mają robić. Żeglowanie z nimi nie należy do przyjemności, wierz mi. Prawdopodobnie spotkamy się z Jackiem i Tmą Weintraubami. Trzymają łódź w tej samej przystani, co ja. Są cwwele bardziej ugodowi niż Flanaganowie.

- Dlaczego nie umiesz swojego jachtu koło domu?

- Jest dość sporych rozmiarów i został poddany kosmetycznym zabiegom. - Hayman się uśmiechnął. - „Zięba” to moje oczko w głowie. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

- Na pewno.

Zaniósł swoją filiżankę po kawie do zlewu i zaczął zmywać. Grace poszukała wzrokiem ścierki do wycierania naczyń.

- Nie ma tu dla ciebie roboty - oświadczył. - Rozkoszuj się swoim jedynym dniem wakacji. Ponieważ, jak się domyślam, pewnie dzisiaj jeszcze będziesz chciała wracać, żeby jutro o zwykłej porze rozpocząć zajęcia. A może jestem w błędzie?

- Niestety nie.

- A zatem usiądź i pozwól mi dokończyć zmywanie. Uśmiechnęła się do niego.

- Nie musisz dwa razy tego powtarzać.

Wziął gąbkę i wytarł jeden z kuchennych blatów.

- Nie pogniewasz się, jeśli zadam ci pytanie związane z twoją pracą, Grace?

- Nie - odrzekła. - Głupotą byłoby oszukiwanie samej siebie, że z dnia na dzień potrafię zapomnieć o sprawach zawodowych i całkowicie się wyluzować.

- Czy nadal sądzisz, że ojciec Cathy żyje i że to on jest mordercą?

- Jestem tego bardziej pewna niż kiedykolwiek przedtem.

- Nie rozmawialiśmy o Cathy od czasu, kiedy została przeniesiona do więzienia dla dorosłych. - Hayman wypłukał dzbanek po kawie. - Jak ona sobie radzi?

- Jest w bardzo złej formie, Peter - odpowiedziała Grace. - Stąd moja determinacja, aby udowodnić, że Broderick upozorował własną śmierć. Im dłużej o tym myślę i im uważniej analizuję wszystkie wydarzenia, tym większej nabieram pewności, że każde inne wyjaśnienie nie ma sensu.

- Z wyjątkiem tego, że Cathy Robbins jest bardzo chora - zauważył Hayman, zakręcając wodę i wycierając ręce w papierowy ręcznik.

- Nie, Peterze- oświadczyła Grace stanowczym tonem. - Podczas minionych tygodni doszłam do zgoła odmiennego wniosku. Cathy nie jest psychicznie chora, co nie oznacza, że wydarzenia ostatnich tygodni nie były dla niej straszliwym wstrząsem. Ale to zupełnie normalna reakcja w pełni poczytalnej osoby. - Uśmiechnęła się. - Ostatnio widziałam ją kilka razy zagniewaną, lecz jej złość wydawała się całkowicie uzasadniona.

Hayman przeszedł przez kuchnię i usiadł obok Grace przy stole.

- O jakim napadzie złości mówimy?

- Nie chodzi o gwałtowny atak agresji, jeśli to masz na myśli - zapewniła Grace. - To gniew wywołany frustracją i strachem. Dziewczyna stała się też bardzo podejrzliwa wobec dorosłych, ale ma po temu poważne powody. I nie oznacza to jeszcze, że jest paranoiczką. - Ponownie zamilkła. - Wiesz, Peterze, przyglądałam się jej z uwagą, kiedy opowiadała o tamtym dawnym incydencie ze złotymi rybkami.

- Zawsze utrzymywała, że nie ma z tym nic wspólnego.

- Nie tylko tak twierdziła, ale jej odraza, wywołana ohydny uśmierceniem tych bezbronych maleństw była bardzo prawdziwa, a przygnębienie spowodowane oskarżeniem jest do dzisiaj tak samo silne jak przedtem.

Grace właściwie odczytała minę Haymana.

- Och, nie myśl tylko, że dostała na tym punkcie obsesji, która pchnęła ją do popełnienia zbrodni!

- Nie wierzysz, aby była zdolna do zabicia rybek - zauważył Hayman.

- Oczywiście, że nie wierzę - oświadczyła. - I nie ma dla mnie żadnego znaczenia fakt, że w tamtym czasie wykryto w jej krwi marihuanę. Nie byłabym zdziwiona, gdyby okazało się, że to Broderick znalazł sposób na naszpikowanie jej narkotykiem, podobnie jak podawał Marie proge-stagen zamiast witaminy B<sup>12</sup>.

- Nie pomyśl, że zdecydowanie odrzucam hipotezę z Broderickiem, Grace, ale jak powiedziałem podczas naszego poprzedniego spotkania, martwię się, że mogłem się pomylić.

- Tak, pamiętam. Wspomniałeś o tym, nim zasugerowałeś, żebym zdobyła zdjęcie Brodericka.

- I co? Udało ci się?

- Tak.

- Rozpoznałaś go?

- Nie - odrzekła z żalem.

Hayman pokręcił głową i podniósł się z miejsca.

- Czy historia Cathy nie kojarzy ci się ze znanym w medycynie przypadkiem kogoś, nad kim znęcano się w dzieciństwie, a kto potem zaczyna maltretować własną rodzinę? Zrozum mnie dobrze. Może Broderick rzeczywiście przeżył sztor. I nie mylisz się co do tego, że zdołał wsypać marihuanę do witamin Cathy, a nawet doprowadzić ją do takiego stanu agresji i niepoczytalności, że poobcinała głowy rybkom. A może nawet, jak sugerujesz, sam to wszystko zrobił...

- Jeśli przeżył - przerwała mu Grace - Nie jestem prawie pewna, że nie tylko zrobił to, o czym mówisz, ale także popełnił pozostałe odrażające zbrodnie.

- Wciąż nie dopuszczasz do siebie myśli, że dawne urazy psychiczne mogły zmienić Cathy w przestępczynię, za jaką uważa ją prokurator stanowy, prawda?

- Za wielokrotną morderczynię?

- Być może. - Hayman usiadł ponownie. - Niewykluczone, że stała się niezwykle utalentowaną kłamczucha.

Grace ogarnęło zbyt głębokie rozczarowanie, aby mogła zaprotestować.

- Wybacz, Grace. Uwierz mi, że w pewnym sensie, wysunąłem tę sugestię jedynie dla podtrzymania dyskusji.

- Ale tylko w pewnym sensie.

- Obawiam się, że tak - przyznał. - Uznałem za ważne, abyś rozważając tę kwestię, uwzględniała wszelkie aspekty.

- Czy po to mnie tutaj zaprosiłeś?

- Tylko po części z tego powodu. - Umilkł. - Zrobiłem to przede wszystkim dlatego że, w moim przekonaniu, jest ci potrzebny odpoczynek. - Znowu wstał. - Co myślisz o tym, żebym wycisnął sok z pomarańczy dla nas obojga, zanim wyruszymy w morze?

Grace skinęła głową.

- Niezły pomysł.

Zebrał ze stołu ich filiżanki i postawił je w zlewie, a potem podszedł do lodówki i wyjął z niej sześć pomarańczy.

- Czy mogę pomóc? - spytała Grace.

- Dziękuję, dam sobie radę. A ty siedź i odpoczywaj.

- Zgoda.

Niespodziewanie uderzyła ją pewna myśl, związana z wypowiedzią Petera o możliwości wsypania marihuany do witamin Cathy. Cóż za wyraźny, dokładny obraz. Rzecz w tym, że Grace nie miała pojęcia, czy dziewczynka zażywała w owym czasie witaminy.

Jeśli tak było, mogła o tym wiedzieć tylko jedna osoba.

- Gotowe - oznajmił Hayman, napełnił sokiem dwie szklanki i przyniósł je do stołu. - Wszystko w porządku, Grace?

- Tak, oczywiście - odrzekła.

- Zdenerwowałem cię trochę, prawda? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Absolutnie nie.



- To byłaby ostatnia rzecz, jaką chciałbym zrobić. - Uśmiechnął się do niej. - Napij się soku.

Sięgnęła po napój, ale szklanka była śliska, wyslizgnęła jej się z ręki, upadła na kamienną posadzkę i potłukła się na drobne kawałki.

- A niech to diabli! - zakląła Grace. - Przepraszam cię, Peter.

- Nie przejmuj się, nic się nie stało.

Ona jednak zerwała się z krzesła i na kolanach zaczęła zbierać rozbite kawałki.

- Zostaw to, Grace. - Hayman przykucnął obok niej. - Nie ma potrzeby, żebyś się trudziła. - Pozwól, że wezmę zmiotkę i...

Nakrył dłonią prawą rękę Grace z zamiarem powstrzymania jej, ale trzymała już ostry kawałek i kiedy Hayman ścisnął jej rękę, chcąc ją odsunąć, szkło wbiło się w ciało.

- Do diabła! - zakląła powtórnie.

Hayman puścił jej rękę i kawałek szkła upadł na posadzkę.

- O Boże, Grace, tak mi przykro. Pozwól, niech zobaczę. - Bardzo delikatnie wziął ją za palce i uważnie przyjrzał się przecięciu. - Wygląda na paskudną i dość głęboką ranę.

- Nie sędzę - zapewniła go pośpiesznie. - Skaleczenie nie jest na tyle poważne, aby wymagało założenia szwów.

- Może i nie - przyznał, nadal badawczo przyglądając się zranieniu. - Ale trzeba je oczyścić i opatrzyć.

Grace cofnęła rękę, podniosła się z klęczek i przycupnęła na krawędzi krzesła.

- Daj mi chwilę. Zaraz się tym zajmę.

- To stało się z mojej winy - oświadczył Peter. - Mogłem wytrzeć szklankę.

- Ale to ja ją upuściłam.

- Nie sędzę, aby stłuczone naczynie można było porównać z twoją skaleczoną dłonią. - Wyszedł z kuchni i wrócił po kilku minutach z apteczką pierwszej pomocy. - Czy mogę?

- Oczywiście. - Grace wyciągnęła kontuzjowaną rękę. - Dziękuję.

Był delikatny i dokładny. Najpierw z dużą wprawą oczyścił ranę, a potem przyłożył do palca wyjałowioną gazę, którą przylepił plastrem opatrunkowym. Kiedy skończył, Grace poczuła się mocno zawstydzona. Może, że Hayman miał rację i rzeczywiście dała się ponieść fantazji w związku

z Cathy do tego stopnia, że za każdym rogiem dostrzegała niebezpieczeństwo zagrażające dziewczynce ze strony człowieka, który już nie żył. Na miłość boską, wzmianka o marihuanie w witaminach była tylko logiczną sugestią - jednym z możliwych sposobów zaaplikowania Cathy narkotyku przez Brodericka - przypuszczeniem, które wydawało się bardzo prawdopodobne ze względu na to, jak ojciec Cathy wykorzystywał witaminę B<sub>12</sub>. A na dodatek Grace nie dostrzegała nawet cienia zbieżności pomiędzy Peterem Haymanem a podobizną Brodericka na starym zdjęciu.

- Jak rana? - spytał.

- W porządku.

- Na pewno? Czy opatrunek nie ciśnie?

- Nie, jest doskonale założony. - Na dowód zgięła rękę.

- Radzę ci spokojnie posiedzieć jeszcze przez chwilę, aby zapobiec ponownemu krwawieniu. - Spojrzał w dół na posadzkę. - Lepiej uważaj na stopy, dopóki tego nie posprzątam.

- Ja powinnam to zrobić, Peterze.

- Siedź i nie ruszaj się z miejsca, Grace - polecił jej stanowczym tonem. - I proszę cię, nie zaczynaj znowu robić szumu z powodu jednej szklanki.

Uśmiechnęła się do niego.

- W porządku, nie będę.

Zamiótł szkło, zawinał je bezpiecznie w starą gazetę i wyrzucił do kosza na śmiecie. Uporał się ze wszystkim w ciągu kilku minut.

- Czy czujesz się na siłach, aby wyruszyć w morze, Grace?

- Och, myślę, że tak.

- Jesteś pewna? - Zerknął na nią, robiąc żartobliwą minę. - Wyglądasz trochę blado.

- To zwykłe skaleczenie, Peter. - Prawdę mówiąc, była trochę roztrzęsiona, ale po wszystkich jego zabiegach, aby zorganizować wyprawę, nie chciała się do tego przyznawać.

- Czy posiedzisz przez chwilę na ganku? Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Może naleję ci trochę soku? O niczym nie myśl, tylko postaraj się zrelaksować.

- Nie chcę cię zatrzymywać - odpowiedziała.

Była to szczerza prawda, szczególnie po życzliwości, jaką Peter jej okazał. I im dłużej Grace myślała o jego zachowaniu, tym bardziej umacniała się w przekonaniu, że nie powinna doszukiwać się niczego groźnego ani w jego nocnej wizycie, ani we wzmiance o marihuanie w witaminach. Była zmęczona i to wszystko - wyczerpana, zgnębiona losem Cathy, a z tego powodu przewrażliwiona i nerwowa.

- Wcale mnie nie zatrzymujesz - zaprzeczył. Nie zamierzała się z nim spierać.

TLR

# ROZDZIAŁ 44

---

Martinez zatelefonował przed czterema godzinami - o szóstej trzydzieści; mniej więcej czterdzieści pięć minut po tym, gdy Becketowi udało się wreszcie zasnąć. Sam zastanawiał się nieraz, czy tamten w ogóle sypia. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie potrzebuje dłuższego wypoczynku niż godzina snu w ciągu nocy. Tym razem telefonował, aby przekazać najświeższe wieści o nowym zabójstwie w Miami. Sprzątaczką, niejaką Anna Valdez, została zadzguna na śmierć w gabinecie lekarskim w centrum miasta.

- Wygląda na to, że napastnik użył jednego z narzędzi lekarskich - powiedział Martinez i zamilkł, czekając na reakcję Sana.

- Skalpela? - Sam poczuł się tak, jak gdyby stanął pod lodowatym prysznicem.

- Właśnie.

Becket wrócił pamięcią do wyników oględzin gabinetu swojego ojca.

- Zginęły jakieś narkotyki? - spytał.

- Tylko druki recept. - Martinez znał już odpowiedź na jego pytanie.

- Czy denatka spała? - chciał wiedzieć Sam.

- Zapewne odpoczywała po pracy, bo znaleziono ją na fotelu. Wygląda na to, że pół godziny wcześniej, zanim została zabita, powinna była skończyć pracę i zamknąć gabinet.

Lekarzem sądowym, przydzielonym do tej sprawy, była Martina Garmisch, kobieta imponującej postury, przypominająca wyglądem bohaterkę wagnerowskiej opery. Krążyły pogłoski, że potrafiła sterroryzować niejednego rosłego policjanta. Ze zmarłymi jednak obchodziła się w sposób delikatny i troskliwy niczym kochanka. Podobnie jak inni koronerzy w mieście wiedziała o wcześniejszych zabójstwach z użyciem skalpela.

- Niewykluczone, że to ten sam napastnik, który zranił twojego ojca - oznajmiła Samowi przez telefon, gdy worek z ciałem Anny Valdez został zabrany do kostnicy, gdzie zwłoki miały być poddane dalszym oględzinom. - Chociaż bez

narzędzia zbrodni z widocznymi odciskami palców będzie to trudne do udowodnienia.

- Czy denatka spała w momencie ataku? - spytał Sam.

- Być może drzemała, ale z pewnością obudziła się w chwili, gdy ugodziło ją ostrze. I stoczyła zaciętą walkę. - Lekarka umilkła. - Z tego, co zrozumiałam, doktor Becket nie przypomina sobie momentu zadania ciosu.

- Może z powodu kąta, pod jakim zadano cios - odrzekł Sam. - Mój ojciec spał na kozetce w gabinecie i był łatwiejszym celem dla napastnika. - Umilkł. - Czy wiesz, że wszystkie inne ofiary, które zginęły od skalpela, miały w swojej krwi środki uspokajające? Mój ojciec jest jedynym wyjątkiem.

- Przekażę ci wyniki, gdy tylko będziemy je mieli - obiecała doktor Garmisch. - Uważam jednak za mało prawdopodobne, żeby Anna Val-dez coś zażyła albo coś zostało jej zaaplikowane. Jak już powiedziałam, stoczyła ciężką walkę i w ostatnich minutach swojego życia była w stu procentach świadoma tego, co się dzieje.

- Nawet jeśli to ten sam szubrawiec, który zadał cios twojemu ojcu - odezwał się Martinez, kiedy siedzieli nad filiżankami czwartorzędnej kawy - to nie wystarczy, aby oczyścić z podejrzeń córkę Robbinsów.

Sam dobrze o tym wiedział. Od momentu kiedy jakiś dupek się wygadał i informacja o skalpelu będącym narzędziem zbrodni we wszystkich pozostałych zabójstwach przedostała się do publicznej wiadomości, policjanci czekali tylko, kiedy jakiś inny świr spróbuje naśladować mordercę.

- Chyba że ten sam facet załatwił jej rodziców, ciotkę oraz tę psycho-terapeutkę, a teraz chce, abyśmy sądzili, że sprawcą jest naśladowca - ciągnął dalej na głos Martinez. - Ponieważ zależy mu, by dziewczyna została w więzieniu, a jednocześnie zasmakował w zbrodniach, jak to zwykle z nimi bywa.

- Sądziłem, że jesteś w stu procentach przekonany o winie Cathy Robbins - zauważył Sam.

Tamten wzruszył ramionami.

- Wiesz, że nie znoszę, gdy sprawy się komplikują. Lubię, kiedy wszystko jest schludnie uporządkowane. Sam się nie odezwał. Ponownie pomyślał o Brodericku. A także o Peterze Haymanie.

Pięć minut później zadzwonił do Grace i wysłuchał informacji z numerem telefonu do hotelu, gdzie zamierzała się zatrzymać. Nie uprzedziła go, że się dokądś wybiera podczas weekendu, musiał jednak przyznać, że podczas ostatniej rozmowy nie dał jej wielkiej szansy na udzielenie jakichkolwiek wyjaśnień.

Nie wymieniła nazwy hotelu, tylko sam numer, który zaczynał się na 305. Oznaczało to, że Grace jest w południowo-wschodniej części Florydy, gdzieś pomiędzy Miami a Key West. Sam nie miał pojęcia dlaczego wybrała hotel na jednej z wysp, skoro jej siostra miała dom na I/ślamora-dzie.

Peter Hayman mieszkał na Key Largo.

W momencie kiedy Sam zamierzał ponownie podnieść słuchawkę, zadzwonił telefon i Maria Mitchell, osobista asystentka kapitana, powiadomiła Becketa, że ma się natychmiast stawić u szefa.

- Nie możesz wyjaśnić kapitanowi, Mario, że właśnie...

- Powiedział natychmiast, detektywie.

Maria nie zwracała się do niego po imieniu tylko wtedy, kiedy szef znajdował się w jej pokoju, a piskliwe brzmienie jej głosu było wyraźnym ostrzeżeniem, że kapitan z jakiegoś powodu wkroczył na ścieżkę wojenną. A kiedy kapitan Hector Hernandez się złościł, dużą nieroztropnością byłoby narażanie go na zbyt długi czas oczekiwania, szczególnie w niedzielę.

Sprawa hotelu w południowo-wschodniej części Florydy, w którym Grace zdecydowała się przenocować, musiała zaczekać.

- Detektywie Becket? - W tonie Marii zabrzmiało ostrzeżenie.

- Już idę - rzucił do słuchawki Sam.



# ROZDZIAŁ 45

---

Grace nie czuła się zbyt dobrze. Dolegliwości wystąpiły nagle, jakiś czas temu, kiedy siedziała na ganku w domu Haymana. Nie było to nic szczególnego; tępy ból głowy, któremu towarzyszyły lekkie nudności. Obecnie odczuwała także wielkie zmęczenie, które całkowicie ją opanowało i sprawiło, że miała ochotę położyć się byle gdzie.

Sprawdziła wiadomości na swoim telefonie komórkowym. Tylko jedna wymagała natychmiastowej odpowiedzi: od Cathy. W tym momencie w jej aparacie wyczerpały się baterie. Zaczęła szukać Haymana. Przeszła obok drzwi, które wczorajszego wieczora okazały się niedostępne. Dzisiaj również były zamknięte na klucz. Znalazła swojego gospodarza w gabinecie. Siedział za biurkiem i przeglądał jakieś dokumenty.

- Peter?

Obrócił się na krześle i zobaczył ją w drzwiach.

- Wejź, proszę.

- Muszę zatelefonować do Miami, a wyczerpały się baterie w moim telefonie i mogę je naładować tylko w trakcie prowadzenia samochodu.

- Nie musisz pytać mnie o zgodę, jeśli chcesz skorzystać z telefonu. Powiedziałem ci wczoraj, żebyś się czuła tu jak u siebie w domu. - Przez dłuższą chwilę zatrzymał na niej spojrzenie. - Nie wyglądasz zbyt dobrze.

- I niezbyt dobrze się czuję - przyznała. Hayman wstał zza biurka.

- Co się dzieje?

- Nie wiem. - Oparła się o futrynę w drzwiach, zadowolona, że ma coś za plecami. - To się zaczęło jakiś czas temu.

- Reakcja na skaleczenie?

- Wykluczone. - Zdołała się uśmiechnąć. - Mam nadzieję, że nie jestem aż tak wrażliwa.

- Nie ma w tobie nic ze słabej kobietki.

- Skąd mogłabym zadzwonić? - spytała. - Nie chciałabym ci przeszkadzać.

- Możesz skorzystać z dowolnego aparatu. I wcale mi nie przeszkadzasz.

Grace wróciła do kuchni, gdzie na jednej ze ścian wisiał aparat telefoniczny. Ucieszyła się, że długi przewód umożliwia jej zajęcie miejsca przy stole. Cathy nie zostawiła numeru, lecz Grace przypomniała sobie, że zapisała go w swoim notesie z adresami. Problem polegał na tym, że notes znajdował się w podróźnej torbie w jej pokoju, a obawiała się, że nie starczy jej sił, aby tam dojść. Ale przecież mogła zadzwonić do informacji.

Może, pomyślała, czekając na zgłoszenie się telefonistki, fakt, że Cathy szuka z nią kontaktu, to dobry znak. I niewykluczone, że skoro zezwolili jej na przeprowadzenie rozmowy telefonicznej, mieli również zamiar wypuścić ją z więzienia.

Zapisując numer na bloczku Haymana, przypomniała sobie, co jeszcze włożyła do notatnika z adresami. Fotografie Brodericka. Peter pytał przed niespełną godziną, czy zdobyła zdjęcie, a Grace nie pomyślała, żeby mu je pokazać.

Bolała ją głowa. Zamknęła na moment oczy i wierzchem dłoni potarła prawą skroń. Nie zwlekaj z tym dłużej. Najpierw załatw jedną sprawę. Zadzwoniła do zakładu karnego dla kobiet i w zaskakująco krótkim czasie otrzymała połączenie z Cathy. Nastolatka sprawiała wrażenie zrezygnowanej, ale przynajmniej tym razem nie płakała.

- Słyszałaś, co się stało?

- Doszły mnie słuchy, że kogoś zaatakowałaś - odrzekła Grace.

- Nie zrobiłam tego.

- Doktor Pares powiedział mi, że znaleźli w twojej celi skrobaczkę do ziemniaków.

- Ja jej nie przyniosłam. Ktoś ją podrzucił. - Cathy umilkła. - Wierzysz mi, Grace?

- Tak, oczywiście.

- Dlaczego nie przyszłaś zobaczyć się ze mną?

- Nie otrzymałam zezwolenia. Kazali mi czekać do jutra i ponownie zadzwonić.

- To dlatego, że byłam podła dla ciebie podczas naszej ostatniej telefonicznej rozmowy, prawda?

Nie ulegało wątpliwości, że pod pozornym opanowaniem dziewczynki kryje się histeria. Grace musiała zachować wielką ostrożność.

- Zaledwie w czwartek rozmawialiśmy ze sobą, Cathy, a jedynym powodem, dla którego nie wsiadłam do samochodu i natychmiast nie przyjechałam do ciebie, było umówione spotkanie z pacjentem. A potem był piątek, zatelefonował do mnie lekarz i okazało się, że wizyta u ciebie nie wchodzi w rachubę.

- Przepraszam - powiedziała Cathy.

- Nie masz mnie za co przepraszać. Wystarczy, jeśli zrozumiesz sytuację.

- Rozumiem.

Teraz, sądząc po bezdźwięcznym i apatycznym brzmieniu jej głosu, wydawała się emocjonalnie martwa niczym głąz.

- Posłuchaj mnie, Cathy. Jestem teraz poza miastem, ale zrobię co w mojej mocy, aby zobaczyć się z tobą jutro, a najdalej we wtorek.

- Nie możesz ich poprosić, żeby wpuścili cię do mnie jeszcze dzisiaj? - Jej cichy głos miał rozrzewniające brzmienie.

Grace poczuła ucisk w sercu, ale nawet gdyby istniała szansa na to, że bez wcześniejszych uzgodnień otrzyma zgodę na widzenie się z Cathy w niedzielę, zbyt kiepsko się czuła, aby myśleć o powrotnej jeździe samochodem do domu.

- Dzisiaj nie będę mogła cię odwiedzić, Cathy - powiedziała, starając się nadać swojemu głosowi łagodne i uspokajające brzmienie. - Obiecuję jednak, że zrobię co w mojej mocy, aby spotkać się z tobą nie później niż we wtorek.

- Gdzie jesteś, Grace? - zapytała niespodziewanie Cathy.

- Na Key Largo - wyjaśniła Grace i dopiero wtedy ugryzła się w język.

- Och, tak.

Dziewczynka nie dodała nic więcej, lecz Grace wyczuła urazę w jej głosie. Domyśliła się, że z powodu swojej nadmiernej szczerości dołożyła dodatkowy ciężar do brzemienia Cathy. Oto ona - niewinna, zamknięta razem z prawdziwymi przestępcami, i Grace - psycholog, która zawsze obiecywała jej przyjść z pomocą - zbyt zajęta wypoczynkiem na Key Largo, ażeby się z nią zobaczyć.

- Nieustannie o tobie myślę, Cathy - zapewniła Grace.

- O tak, na pewno.

- Obawiam się, że będziesz musiała uzbroić się w cierpliwość.

- A czy mam inne wyjście?

## ROZDZIAŁ 46

---

Kapitan przetrzymywał Sama, omawiając problem zaległych miesięcznych statystyk, detektyw zaś marzył o tym, by czym prędzej wyrwać się z gabinetu szefa i porozmawiać z Grace. Spieszno mu również było do sprawdzenia dalszych informacji o Haymanie, a na dodatek straszliwie się niecierpliwił, gdyż chciał jak najszybciej poznać dotychczasowe wyniki śledztwa w sprawie ostatniego zabójstwa. Pragnął się dowiedzieć, czy sprawcą zbrodni był ten sam napastnik, który dźgnął skalpelem jego ojca. Tymczasem Hernandez rozwodził się na temat telefonicznej rozmowy ze swoim szefem, ponieważ ten dzisiaj z samego rana zadzwonił do niego do domu. Potem zaczął się uskarżać na nasilenie objawów choroby wrzodowej i Sam miał ochotę mu powiedzieć, żeby znalazł sobie kogoś innego, kto go będzie trzymał za rękę. Wewnętrzny głos przypominał mu jednak, że złości się na niewłaściwą osobę i kapitan Hernandez nie jest niczemu winien. Uspokajał również samego siebie, że sierżant Rodriguez wraz ze swoją ekipą nie marnuje czasu i prowadzi śledztwo w sprawie Anny Valdez, a także zamachu na życie Davida. A z pewnością Al Martinez także nadstawia ucha, aby się dowiedzieć, co w trawie piszczy.

Była dwunasta pięćdziesiąt trzy, kiedy Sam w końcu wrócił do swojego biurka, podniósł słuchawkę i wystukał numer hotelu Grace.

- Dzień dobry, tu klub Pod Pelikanem, czym mogę służyć?
- Proszę mnie połączyć z doktor Grace Lucca.
- Chwileczkę.

Przez moment Sam czekał przy słuchawce, uderzając rytmicznie o biurko podszwą swojego zniszczonego, sportowego buta.

- Proszę pana?
- Słucham.
- Czy mógłby pan powtórzyć nazwisko tej pani?

Sam spełnił prośbę. Kobieta po drugiej stronie linii oznajmiła, że nie mają gościa o tym nazwisku. Wyjaśnił, że doktor Lucca zostawiła dla niego wiadomość poprzedniego dnia, że właśnie w tym hotelu zamierza się zatrzymać. Recepcjonistka ponownie odeszła od aparatu. Wróciła z informacją, że doktor Lucca rze-

czywiście była tu wczoraj, lecz wkrótce odjechała. Nie, kobieta nie miała pojęcia, dokąd.

Ponownie wybrał domowy numer Grace. Wiadomość nie została zmieniona. Sam nie był pewien, czy automatyczna sekretarka w domu Grace umożliwia zmianę informacji za pośrednictwem zewnętrznego telefonu.

Gdzie, u licha, podziewa się Grace?

Jest u swojej siostry - snuł domysły. Już nawet zaczął się łączyć z biurem numerów, ale rzucił słuchawkę na widełki, uświadamiając sobie, że nie wie, jak nazywa się Claudia po mężu.

Nie wiedział albo nie mógł sobie przypomnieć.

Zamknął oczy i oparł się wygodnie na krześle. Próbował sobie przypomnieć, co Grace mówiła mu o swojej siostrze - Claudii. Tego imienia był pewien. Szwagier, architekt, nazywał się Daniel. Claudia i Daniel...? Do diabła, nie znał ich nazwiska. Nigdy go nie słyszał.

Otworzył oczy i wybrał numer do domu swoich rodziców. Miał nadzieję, że ojciec odbierze telefon, a nie matka.

- Tato?

- Sam? Dobrze się miewasz? - David wiedział, że Sam jest na służbie.

- Tak, dziękuję. - Sam nie tracił czasu. - Posłuchaj, tato, może wiesz przypadkiem, jak nazywa się po mężu siostra Grace Lucca?

- Czy Grace spotkało coś złego? - zaniepokoił się ojciec.

- Nie, nic się nie stało. Znasz nazwisko jej siostry?

- Nie, synu - odrzekł David. - Chyba nigdy go nie słyszałem.

- W porządku, tato, przepraszam, że zawracałem ci...

- Dlaczego Grace o to nie zapytasz?

- Wyjechała. Przypuszczam, że jest u swojej siostry.

- Ach, tak. - David umilkł. - Możesz skontaktować się z jej ojcem w Chicago.

- Przypuszczam, że tak.

- Poza tym, chyba Grace zatrudnia kogoś u siebie. Może ma sekretarkę? - David zachichotał. - Hej, który z nas dwóch jest policjantem, ty czy ja? - Umilkł. - A może jesteś gliniarzem, który po prostu się zakochał?

Sam prawie nie wahał się z odpowiedzią. Obaj z ojcem rzadko mieli przed sobą tajemnice.

- Mniej więcej tak to można ująć.
- Nie mogłeś znaleźć lepszej dziewczyny, Sam - oświadczył David Becket.

Sam uśmiechnął się do słuchawki.

- Wiem o tym, tato.

TLR



# ROZDZIAŁ 47

---

Godzina lub dwie na łodzi, z dala od zmartwień, to coś, czego najbardziej potrzebujesz - oświadczył Hayman około pierwszej po południu.

Grace spojrzała na niego niepewnie. Od półtorej godziny kilka razy namawiała Petera, aby wybrał się bez niej na tę wycieczkę. Nie chciał się jednak zgodzić. Oświadczył, że nie zamierza zostawiać Grace samej szczególnie wtedy, kiedy źle się poczuła. Poza tym, mógł przecież pożeglować każdego innego dnia.

Miał oczywiście rację, zapewniając ją o zbawiennych skutkach oderwania się od własnych zmartwień. Rozmowa z Cathy sprawiła, że niepokój Grace jeszcze bardziej się spotęgował. I z tego powodu postanowiła zwrócić się z prośbą do doktora Paresa oraz do dyrektora więzienia, ażeby zwrócili uwagę na swoją podopieczną.

- Nie gorączkujesz - stwierdził Hayman. - I powiedziałaś, że nudności prawie już ustąpiły.

- Wciąż boli mnie głowa - przypomniała mu Grace.

- Nie ma lepszego lekarstwa na ból głowy niż ocean. A także mnóstwo świeżego powietrza i spokój... - Zsunął okulary na czubek nosa i spojrzął na nią znad oprawek.

- Propozycja rzeczywiście wydaje się kusząca. - Zaczęła zastanawiać się, czy przypadkiem Hayman nie ma racji.

- Wierz mi, to dobry pomysł - zapewnił.

- Myślę, że jeśli zostanę tutaj, będę tylko dalej roztrząsać swoje problemy.

- Przypuszczam, że tak.

Grace wciągnęła głęboki wdech, skinęła głową i wstała.

- Może powinnam przedtem zażyć kilka tabletek przeciwbólowych? Hayman przecząco pokręcił głową.

- Zdaj się na dobroczynne działanie oceanu. Poza tym zawsze zabieram ze sobą na pokład podstawowe leki, więc w razie potrzeby znajdzie się jakiś środek.

- Wspaniale - odpowiedziała, usiłując otrząsnąć się ze znużenia, które wciąż spowijało jej umysł niczym deszczowa chmura. - A zatem, w drogę!

Sam był u Grace. Dopisało mu szczęście, że podjechał pod jej dom w chwili, kiedy Teddy Lopez wchodził do środka, aby podlać kwiaty i posprzątać. Po sprawdzeniu z największą podejrzliwością dokumentów Sama Teddy wpuścił go i podał numer telefonu do Claudii Brownley w Fort Lauderdale.

Sam zatelefonował z kuchni, gdzie Teddy mógł go mieć na oku. W słuchawce rozległ się dziecięcy głos:

- Tu Robbie, kto mówi?

- Samuel Becket, Robbie. Chciałbym rozmawiać z panią Brownley.

Czy zastałem ją w domu?

- Chwileczkę.

Sam usłyszał głośny brzęk, gdy telefon prawdopodobnie runął na twardą posadzkę. Z oddali dochodził głos Robbiego, który przywoływał matkę, oraz pi-skiwe ujadanie małego psa.

- Detektyw Becket? - W głosie Claudii zabrzmiała czujność.

- Przepraszam, że panią niepokoję, pani Brownley.

- Czy stało się coś złego?

- Nie, nic. - Samowi zrobiło się przykro, że ludzie słysząc w słuchawce głos policjanta, natychmiast podejrzewają kłopoty.

- Chciałem zapytać, czy przypadkiem nie wie pani, gdzie zatrzymała się pani siostra?

- Tak, wiem. - Claudia wyraźnie się odprężyła. - Przebywa na Key Largo.

- Zostawiła mi numer do klubu Pod Pelikanem.

- Och, nie, tam jej nie ma - wyjaśniła szybko. - Doszło do jakiegoś nieporozumienia z rezerwacją i zatrzymała się u znajomego.

Umilkła, a puls Sama zaczął uderzać w szalonym tempie.

- Zna pan doktora Haymana? - spytała Claudia.

- Osobiście nie, ale Grace opowiadała mi o nim. - Sam starał się mówić opowianym głosem, ażeby Claudia nie wyczuła jego niepokoju. -Czy przypadkiem nie podała pani jego adresu albo numeru telefonu?

- Owszem, podała. - Sam przypuszczał, że Claudia się uśmiecha. -Grace niemal zawsze zawiadamia mnie, gdzie będzie, ilekroć wyjeżdża z miasta na dłużej niż jeden dzień.

Zanotował informację, rozłączył się z nieprzyzwoitym pośpiechem i wybrał numer na Key Largo. Czuł na sobie podejrzliwe spojrzenie Ted-dy'ego Lopeza i cieszył się, że Grace ma tak dobrych opiekunów.

Po trzech sygnałach telefon odebrał mężczyzna.

- Peter Hayman. - Głos miał przyjemne brzmienie.

- Dzień dobry, doktorze Hayman, mówi Sam Becket. Psychiatra zawahał się nieznacznie.

- Przyjaciel Grace?

- Tak. Czy zastałem ją u pana?

- Tak, ale w tym momencie nie może podejść do telefonu.

- Dlaczego?

- Bierze prysznic. - Hayman odchrząknął. - Nie czuła się zbyt dobrze, ale teraz już wszystko w porządku i wybieramy się na kilkugodzinny rejs po oceanie.

Informacja poraziła Sama niczym błyskawica.

- Co się stało?

- Nic groźnego - zapewnił go Hayman uspokajająco. - Przydarzył się jej drobny wypadek, ale naprawdę nie ma się czym martwić.

- Co za wypadek?

- Przecięła sobie rękę kawałkiem szkła. Opatrzyłem ranę.

- Czy było to powodem złego samopoczucia Grace?

- Nie sądzę, aby te dwie sprawy miały ze sobą związek - wyjaśnił Hayman cierpliwym tonem. - Jak wspomniałem, teraz już dobrze się czuje. Na tyle dobrze, że przygotowuje się do żeglarskiej wyprawy.

- Chciałbym z nią porozmawiać - nalegał Sam.

- Bierze prysznic, ale przekażę jej, że pan telefonował.

- Dlaczego nie mógłbym zaczekać, aż skończy?

- Dlatego, że muszę pilnie skorzystać z telefonu. - W uprzejmym tonie mężczyzny zaczęła być wyraźnie słyszalna nutka poirytowania. - Zawiadomię Grace, że chciał pan z nią rozmawiać, detektywie Becket.

- Proszę jej powiedzieć, że jestem u niej w domu.

- U niej w domu? - Hayman sprawiał wrażenie zdziwionego. - Czy coś się stało? Są jakieś problemy?

- Nie, nie ma żadnych.

- Na pewno nic złego się nie stało?

- Na pewno - odrzekł Sam.

- Powiadomię ją, że pan dzwonił. Do widzenia, detektywie Becket. Sam odłożył słuchawkę i spojrzał na Teddy'ego Lopeza z uśmiechem.

- Nie weźmie mi pan za złe, jeśli zaczekam na telefon od doktor Lucca? Młody człowiek wyraźnie był w rozterce.

- Czeka mnie robota.

- Proszę sobie nie przeszkadzać. Obiecuję, że niczego nie ukradnę.

- Nie będziemy mogli długo tutaj zostać - uprzedził go Teddy. - Muszę wracać do Harry'ego. Zna go pan?

- Harry'ego Serdelka? - Sam wyszczerzył w uśmiechu zęby. - Oczywiście, że znam.

- Nie lubi zostawać sam, kiedy doktor Lucca przebywa poza domem - wyjaśnił Teddy.

- Nie zabawimy tu długo - zapewnił go Sam.

- Napije się pan kawy? - zaproponował niechętnie Teddy.

Detektyw przecząco pokręcił głową. - - Nie, dziękuję.

Spojrzał na telefon, a potem na zegarek. Było siedemnaście po pierwszej. Zastanawiał się, ile czasu zajmie Grace wzięcie prysznic. W jaki sposób mogła się skaleczyć i jak głębokie było przecięcie? Niezbyt spodobała mu się informacja o jej „złym samopoczuciu”, jak określił to Hayman, ani fakt, że nie mógł z nią porozmawiać.

Ponownie spojrzął na zegarek. Osiemnaście minut po pierwszej.

Po drugiej stronie kuchni Teddy Lopez zaczął polerować kuchenną płytę, choć była całkiem czysta.

Sam czekał.

TLR

## ROZDZIAŁ 48

---

O pierwszej trzydziści osiem w niedzielne popołudnie Cathy przebywała w więziennym szpitalu w towarzystwie doktora Paresa oraz pielęgniarki. Lekarz - wysoki, szczupły mężczyzna o ciemnych oczach, mocno przerzedzonych włosach i starannie przystrzyżonej brodzie - był w mniej formalnym stroju niż podczas ostatnich kilku wizyt u dziewczynki. Miał na sobie dżinsy oraz białą bawełnianą koszulę. Pomimo włączonego pod sufitem wentylatora w pomieszczeniu panował nieprzyjemny upał. Pares, jak zwykle spokojny i opanowany, usiadł na skraju biurka, w odległości kilku kroków od Cathy, ubranej w niebieski więziński uniform z krótkimi rękawami. Dziewczynka garbiła się w krześle o prostym oparciu.

- Przed chwilą telefonowała do mnie doktor Lucca - odezwał się Pares, nieznacznie akcentując słowa. - Bardzo się niepokoi z twojego powodu. Wiesz, że straszliwie się o ciebie martwi. Powinnaś być wdzięczna losowi za tak troskliwą przyjaciółkę.

- Ona nie jest moją przyjaciółką, tylko psychologiem - sprostowała Cathy.

- Wierz mi - oświadczył oschłym tonem. - Doktor Lucca jest obecnie prawdopodobnie najlepszym przyjacielem, jakiego masz.

- To dlaczego skontaktowała się z panem?

- Ponieważ podczas waszej rozmowy sprawiałaś wrażenie ogromnie wzburzonej i wystraszonej. - Lekarz otworzył torbę stojącą na biurku i wyjął małą butelkę. - Dlatego dam ci środek na uspokojenie.

- Nie chcę żadnych pigułek.

- To tylko lekki środek uspokajający, który zażywałaś już przedtem. Nie masz się czego obawiać.

- Powiedziałem już panu, że nie chcę żadnych pigułek! - Cathy, bliska łez, niemal krzyczała na lekarza. - Chcę stąd wyjść i chcę, aby to wszystko się skończyło, żebym miała znowu mamę, Amiego i ciocię Frances! - Zakryła twarz obiema dłońmi.

- Dlatego właśnie powinnaś zażyć te pastylki. - Pares pokręcił głową do siostry, sygnalizując, że jej interwencja nie będzie potrzebna. — A potem spróbuję cię nauczyć kilku technik relaksacyjnych.



- Strata czasu - oświadczyła Cathy z twarzą w dłoniach.

- Nie sądzę. - Lekarz zdjął wieczko z małej fiolki i wysypał z niej na rękę jedną pastylkę. - Jeśli opanujesz te techniki, zażywanie tabletek nie będzie konieczne.

- Powiedziałam panu, że nie chcę żadnych cholernych pigułek! - Cathy odebrała rękę od twarzy. Miała zaczerwienione policzki i wilgotne oczy.

- Uspokój się, Cathy - odezwała się pielęgniarka, która stała po drugiej stronie gabinetu przy szafce z lekarstwami.

- Nie uspokoję się!

Pares podszedł do kranu i do połowy napełnił szklankę wodą.

- Myślę, że będziesz rozsądna i przestaniesz walczyć z ludźmi, którzy pragną ci pomóc.

- A któż to taki? Pan?

- Tak, na przykład ja. - Wrócił z wodą i podał ją Cathy. - Zażyj tę małą pastylkę, po której poczujesz się trochę bardziej odprężona, a potem może znajdziemy sposób na zachowanie spokoju bez uciekania się do leków.

Cathy wzięła od niego tabletkę i szklankę z wodą.

- Nic mnie nie uspokoji - oświadczyła, ale połknęła lekarstwo.

- Jestem zdania, że doktor Lucca chciałaby ci pomóc bardziej, niż jej na to pozwalasz, Cathy. Rozumie mroczne chwile, jakie obecnie przeżywasz i wierzy w ciebie.

- Tak mówi - przyznała Cathy ponurym tonem.

- Nie ufasz jej? - spytał cicho doktor Pares.

- Już nikomu nie ufam.

- I chyba nie można cię za to winić - odrzekł. - Na tym bezwzględ\* nym świecie musisz jednak nauczyć się odróżniać wrogów od przyjaciół,

- Jest pan moim przyjacielem czy wrogiem?

- Uważaj, co mówisz - upomniała ją pielęgniarka ostrym tonem.

- W porządku, sostro - rzucił Pares, nie spuszczając wzroku z twarzy nastolatki. - A jak sądzisz, Cathy?

- Nie wiem.

- Och, myślę, że wiesz - powiedział cicho.

TLR

## ROZDZIAŁ 49

---

Port jachtowy nie był elegancką przystanią, gdzie milionerzy trzymają swoje luksusowe zabawki. Grace odebrała go dokładnie tak, jak wyglądał: jako brudne miejsce, gdzie załadowywano i rozładowywano łodzie, które dla większości właścicieli stanowiły główny środek transportu, a - w niektórych przypadkach - nawet utrzymania. Pachniało tam ropą, odchodami mew oraz hot dogami, których woń dolatywała od straganów na końcu portu. Pod wpływem tej mieszaniny zapachów Grace na nowo poczuła mdłości. Pomimo to musiała przyznać, że wystarczył sam widok łodzi żaglowej Haymana, „Zięby” - białego, jednokadłubowego dwumasztowca o ślicznej sylwetce - stojącej z tyłu, za głównym obszarem rozładunkowym, gotowej do wypłynięcia - i poczuła się podniesiona na duchu.

- Co o niej sądzisz? - spytał Hayman, bacznie przyglądając się twarzy Grace.

- Uważam, że jest doskonała.

- Znasz się na jachtach?

- Dobrze się na nich czuję. I miałam sporo okazji do osłuchania się z żeglarską gwarą w moich rodzinnych stronach, na jeziorze Michigan, a także po przyjeździe na Florydę. Nadal jednak nie wiem, co to takiego knaga, a co gejtaw. Po prostu tego typu pojęcia wylatują mi z głowy.

- Nie ma problemu - zapewnił Hayman. - Wiesz, co jest najważniejsze: postawienie żagli i nabranie w nie wiatru. - Uśmiechnął się do niej. - A ponieważ „Zięba” ma dodatkowo silnik, nie musimy nawet czekać na wiatr, aby się stąd wydostać. - Umilkł. - Jesteś pewna, Grace, że czujesz się na siłach, by wypłynąć w morze?

- Tak - odparła. - A w przypadku najgorszego scenariusza - jeśli się okaże, że jestem dla ciebie ciężarem - zawsze będziesz mógł mnie wyrzucić za burtę.

- Och, bardzo wątpię, ażeby do tego doszło.

Łysy mężczyzna w średnim wieku po drugiej stronie portu wstał, odrywając się od swojej pracy, i do nich pomachał. Hayman postawił na ziemi skrzynkę z prowiantem, którą niósł, uniósł do góry prawą dłoń, odwzajemniając gest powitania, i rozejrzał się wokół.

- Przypuszczam, że Weintraubowie stracili nadzieję, że przyjdziemy.

- To moja wina - powiedziała Grace. - Przepraszam. Przez mnie wszyscy musieliście czekać.

- Czy przestaniesz w końcu za wszystko przepraszać? - zachnął się Hayman. - Każdy z nas od czasu do czasu ma prawo być w kiepskiej formie. Gdybyś znowu poczuła się gorzej, pod pokładem znajduje się mała koka, gdzie możesz się położyć.

- Nie będzie mi potrzebna - zapewniła go z przekonaniem Grace.

Naprawdę tak sądziła. Teraz, kiedy oddalili się od zdradliwych i nieprzyjemnych zapachów przeładunkowej części portu, ocean, jak zawsze, zaczął silnie na nią oddziaływać. Czym innym było życie związane z pracą na wodzie, a czym innym perspektywa żeglowania dla przyjemności. Gdy mieszkała w Chicago, nie przepuściła żadnej okazji wycieczki po jeziorze, nawet na najbardziej skromnej łodzi. Jednakże rejs po oceanie był niebezpiecznym przedsięwzięciem, które zawsze nappełniało Grace strachem. I choć czasami snuła plany o kupnie własnej żaglówki, miała na myśli małą jednostkę klasy „kadet”, która by pomieściła kobietę z jej psem i która w porównaniu z „Ziębą” była niczym płotka i rekin.

- Lepiej wyglądasz - zauważył Hayman.

- I lepiej się czuję. - Grace wzruszyła ramionami. - Myślę, że moja niedyspozycja mogła być skutkiem przepracowania i braku odpoczynku.

- Wcale się nie dziwię, że jesteś wyczerpana. - Hayman delikatnie dotknął jej prawego ramienia.

Grace się nie odsunęła. Po pierwsze dlatego, że jego słowa przypomniały jej, że wciąż jest bardzo zmęczona. A po drugie, odnotowała z wielką ulgą, że przestała odczuwać zdenerwowanie w obecności Petera.

- Gotowa do wejścia na pokład? - Schylił się, żeby zabrać ich prowiant.

- Pewnie - odpowiedziała.

Sam już jakiś czas temu stracił nadzieję na telefon od Grace. Tuż po godzinie drugiej ponownie wybrał numer do domu Haymana, lecz nikt nie podniósł tam słuchawki. Teddy'emu Lopezowi, który nadal, bacznie śledził wszelkie poczynania detektywa, zaczął się udzielać narastający niepokój policjanta.

- Czy coś złego spotkało doktor Lucca? - spytał w końcu.

- Nie przypuszczam - odpowiedział Sam.

- To dlaczego jest pan zdenerwowany? - Teddy był uparty.
- Nie jestem zdenerwowany. Muszę tylko z nią się skontaktować w pilnej sprawie.
- To bardzo dobra kobieta - oświadczył Teddy.
- Wiem o tym.
- Lubię dbać o jej bezpieczeństwo.
- Cieszę się, że ma za opiekuna tak sumiennego człowieka, jak pan.

Odjechał po niespełna pięciu minutach. Wybrał trasę szybkiego ruchu, a następnie skierował się na południe i dotarł do autostrady Mac-Arthura. Podążając dalej w tym samym kierunku autostradą US1, opuścił Miami i zmierzał w stronę wysp Key. W pełni zdawał sobie sprawę z konsekwencji swojego kroku. Był na służbie i dobrze wiedział, jaką piekielną awanturę zrobi mu Hernandez, jeśli się dowie o tej eskapadzie. Nie miał jednak cienia wątpliwości co do tego, że musi jak najprędzej znaleźć się na Key Largo.

Nawet jeśli Grace nie odpowiedziała na telefon z powodów całkowicie niewinnej natury, Sam czuł lęk na myśl o jej obecności na wyspie. Prawdopodobnie znalazła się tam sam na sam z facetem, który, o ile detektyw się orientował, podstępnie wkradł się do życia Grace, wykorzystując historię o zmyślonym przypadku chorobowym, i którego przeszłość była, według aktualnie posiadanych danych, zbyt owiana tajemnicą jak na gust SaflW.

Hayman powiedział, że Grace niezbyt dobrze się czuła i że skaleczyła się kawałkiem szkła. Zapewnił również, że opatrzył ranę i że Grace obecnie bierze prysznic, dlatego nie może podejść do aparatu. Obiecał, że zawiadomi ją o telefonie i powtórzy, że Becket prosił o niezwłoczny kontakt.

A ona się nie odezwała.

Sam nie miał cienia wątpliwości, że zatelefonowałaby, gdyby wiadomość została jej przekazana.

I gdyby mogła zadzwonić.

W tej sytuacji miał cztery wyjścia. Po pierwsze, mógł dalej wykonywać własną pracę, wrócić do przeklętych statystyk Hernandeza i odsunąć od siebie myśli o Grace - ale to rozwiązanie było nie do przyjęcia. Po drugie, mógł wyjawic kapitanowi Hernandezowi, co podejrzewa - miał jednak całkowitą pewność, że to tylko niepotrzebny kłopot i strata czasu. Po trzecie, mógł zatelefonować do któ-

regoś ze swoich kumpli na wyspach i poprosić go o przysługę - nie był to jednak dobry pomysł, bo gdyby przypadkiem okazało się, że Broderick i Hayman to jedna i ta sama osoba, istniało ryzyko, że policjanci go spłoszą. I po czwarte, mógł zrobić to, to właśnie robił.

Rzucić wszystko i wyruszyć na poszukiwania Grace.

TLR



# ROZDZIAŁ 50

---

Grace przyglądała się, jak Hayman odcumowuje łódź, podnosi kotwicę i przesuwając się od dzioba w kierunku rufy, sprawdzając zdumiewającą różnorodność kabli, lin i wyciągarek. Znalazł też czas, aby rzucić kilka poduszek na jej ławkę. (Nawet Grace, która posiadała bardzo ograniczoną wiedzę z zakresu żeglarstwa, wiedziała, że znajduje się w rufowej części łodzi). Dopiero potem zapuścił silnik i skierował „Ziębę” na pełne morze. Poczła się w miarę odprężona w momencie, kiedy wypływali z portu. Była zadowolona, że jest na pokładzie i że Hayman okazał się opanowanym, sprawnym i dobrze obeznanym ze swoją łodzią żeglarzem. Pomimo kołysania jachtu poruszał się po nim ze swobodą, a jego zwinne stopy w obuwiu o gumowych podeszwach mocno trzymały się śliskiego pokładu z tekowego drewna.

- Powinam ci pomóc! - zawołała do niego po kilku minutach.
- Z całą pewnością nie powinnaś tego robić! - odkrzyknął.
- Mam wyrzuty sumienia!
- A poza tym, jak się czujesz?
- Dobrze!

Stwierdzenie to nie w pełni' pokrywało się z prawdą, ale nie było też kłamstwem. Morskie powietrze pomogło jej nieco dojść do siebie, chociaż wciąż spowijało ją osobliwe i dotychczas zupełnie nieznanne zmęczenie, które powodowało coraz mocniejszy ucisk w skroniach, niczym objęcia zbyt wylewnej, niezamężnej, korpulentnej ciotki.

Grace oparła się plecami o poduszki i z przechyloną na bok głową patrzyła w ślad za powoli oddalającą się Key Largo. Jeszcze przed niespełną miesiącem byłoby tu tłoczno od łodzi. Obecnie jednak, pominąwszy zawody w wędkowaniu, minął już największy szczyt sezonu. I choć nie mogli powiedzieć, że mają tylko dla siebie ciepłą, oceaniczną bryzę, to kiedy Grace na wpeł przymykała powieki, ulegała wrażeniu, że naprawdę tak jest.

- Teraz wyłączę silnik i postawię żagle! - oznajmił Hayman.
- Cudownie - odrzekła leniwie. - Czy chcesz, żebym ci pomogła?
- Nie ma potrzeby. Przywykłem do samodzielnego radzenia sobie na łodzi.

- Zawołaj mnie, jeśli zmienisz zdanie.

Patrzyła, jak wkładał żeglarskie rękawiczki z odciętymi końcówkami palców. Chroniły dłonie przed otarciem o liny, gdy Peter mocował się z postawieniem głównego żagla. Pokazał jej wcześniej, gdzie znajdują się kapoki. Żadne z nich nie włożyło ich jednak - Grace nie zniosłaby na sobie dodatkowego ciężaru teraz, kiedy zmagala się z bólem głowy, a Hayman nigdy tego nie robił, chyba że, jak wyjaśnił, nakazywały to warunki atmosferyczne. Grace podejrzewała, że ugotowałyby się w kapoku -ona miała na sobie tylko krótkie sztruksowe spodnie i bawełniany podkoszulek, a Peter nosił koszulę z długimi rękawami oraz błękitną chustę owiniętą wokół szyi.

- Musimy się upewnić, czy łódź jest ustawiona dziobem do wiatru -zawołał do niej i wyjaśnił: - Aby żagle w momencie stawiania nie nabrały wiatru.

- Bo wtedy łódź za wcześnie pomknełaby przed siebie, prawda? Jesteś pewien, że nie chcesz mojej pomocy?

Przecząco pokręcił głową.

- Powiedziałem ci, że zwykle sam steruję łodzią. Poza tym trochę gimnastyki dobrze mi robi.

- Jesteś w doskonałej formie.

- Ty też nie wyglądasz najgorzej.

Grace zaczęła odczuwać pierwsze oznaki tego, co obie z Claudią zwykły nazywać wakacyjnym leniuchowaniem. Było to wrażenie beztroskiego szybowania w bezgranicznych przestworzach. Czasami uważała to doznanie za rozkoszne, a czasami za irytujące. Obecnie również przenikało poprzez powłokę jej zmęczenia, otaczając umysł dodatkowymi warstwami mgły.

- Przepraszam, ale przez chwilę nie będę mógł ci poświęcić uwagi! -zawołał Hayman.

- Niczego mi nie brakuje - zapewniła go Grace.

- Gdy tylko obierzemy kurs, przyrządzę drinki dla nas obojga.

- Nie musisz się śpieszyć - powiedziała. - Donikąd się nie wybieram.

Sam zmierzał autostradą na południe. Postanowił zadzwonić do Martineza. Z komórki na komórkę, na wszelki wypadek. Kolega odezwał się po pierwszym sygnale.

- Do diabła, gdzie się podziewasz, Sam?

- Jesteś w biurze czy w domu, Al? Jeśli w biurze, nie zdradź się przed nikim, że to ja.

- W porządku, jestem w domu. Co się dzieje? Kapitan i Maria już dwukrotnie do mnie dzwonili. Dlaczego nie odpowiadasz na wezwania?

Sam wsunął telefon pod brodę i utkwiał wzrok w drodze przed sobą.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił, Al.

- O co chodzi? - dopytywał się Martinez. - Co to za wielka tajemnica? Masz kłopoty, Sam?

- Jeszcze nie. Wyświadczysz mi przysługę? Nie proszę o nic wielkiego. Chcę, żebyś dotarł do pewnych ludzi, którzy uważają niedziele za czas odpoczynku, i nakłonił ich do udostępnienia rejestrów komputerowych.

- Nieoficjalnie, ma się rozumieć?

- Na razie tak - odrzekł Sam i niezwłocznie przeszedł do sedna sprawy. - Chcę, żebyś znalazł kogoś, kto może sprawdzić przeszłość pewnego psychiatry. Spróbuj skontaktować się ze Stowarzyszeniem Amerykańskich Psychiatrów w Waszyngtonie, a może z kimś w miejskim szpitalu w Miami albo w którejś z prywatnych lecznic.

- Co to za psychiatra? - spytał Martinez. - Chyba nie doktor Lucca?

- Nie. To Peter Hayman, zamieszkały na Key Largo - wyjaśnił Becket. - Prawdopodobnie pracował w St Petersburgu albo w okolicach tego miasta. - Sam umilkł na moment. - Zależy mi też, żebyś skontaktował się z Angie Carlino w jej domu w Tampie i powiedział, że sprawy, które mogły poczekać do poniedziałku, stały się nagle bardzo pilne.

- Zrozumie, co to znaczy?

- Zrozumie. I przekaż jej, że szczególnie zależy mi na śladach strzelaniny, zgoda?

- Jakiej strzelaniny?

- Wystarczy, że jej to powtórzysz, dobrze? - Starszy mężczyzna w samochodzie przed nim włókł się czterdzieści kilometrów na godzinę. Sam zaczął się niecierpliwić i mocno nacisnął klakson.

- Z jakiego wozu korzystasz? - spytał Martinez. -1 dokąd jedziesz?

- Nie musisz tego wiedzieć. - Uchylił się od odpowiedzi.

- Nie powiem Hernandezowi - obiecał Al.

- Nie chcę cię stawiać w kłopotliwej sytuacji - odrzekł Sam. - Postaraj się złapać mnie w ciągu najbliższej godziny, nawet jeśli nie uzyskasz żadnych informacji. Zwłaszcza wtedy skontaktuj się ze mną.

Klimatyzacja w nieoznakowanym białym chevrolecie lumina, do którego używania Sam nie był upoważniony, jeśli akcja nie miała służbowego charakteru, pracowała na pełnych obrotach. Podobnie jak umysł i mocno bijące serce detektywa. Minał Gouds i skręcił w Monkey Jungle. W radiu Pavarotti śpiewał *La donna è mobile* i Sam starał się robić, to co zwykle - wesprzeć swoim barytonem tenor wielkiego śpiewaka. Dzisiejszego popołudnia nie sprawiało mu to jednak przyjemności.

Zaraz po zakończeniu rozmowy z Martinezem wyłączył zarówno radio, jak i pager. Wiedział, że jego postępowanie jest niewybaczalne, ale zdał się wyłącznie na instynkt. I chociaż był pewien, że aż do śmierci będzie żałował obecnego kroku, nic nie mogło go powstrzymać od wcielenia w życie powziętego zamiaru. W ciągu ostatnich dziesięciu minut dwukrotnie zadzwonił jego telefon komórkowy. Za każdym razem detektyw patrzył w dół, żeby sprawdzić tożsamość rozmówcy i upewnić się, czy to przypadkiem nie Grace albo nie Martinez. Za pierwszym razem rozpoznał numer swojego wydziału - zapewne Hernandez próbował złapać go przez zaskoczenie - za drugim razem dzwoniła matka. Nie odebrał żadnego z tych telefonów, wyręczając się nagraniem na automatycznej sekretarce.

Doszedł do wniosku, że na myślenie o konsekwencjach swojego postępku będzie miał mnóstwo czasu - kiedy dzisiejszy dzień się zakończy i kiedy przestanie się lękać o Grace.

Po głębokim namyśle doszedł bowiem do wniosku, że bardzo się o nią lęka. Sam Becket zawsze wiedział, co jest dla niego najważniejsze, i aż do dziś, nie licząc troski o bezpieczeństwo Davida, Judy i Saula - a dawniej również Althei i Sampsona - zawsze stawiał na pierwszym miejscu pracę.

Grace Lucca nie należała do jego rodziny. Uświadomił sobie, że od pierwszego momentu, kiedy troska o Cathy Robbins zbliżyła ich do siebie, polubili się i obdarzyli wzajemnym szacunkiem. Czuli się dobrze razem. A potem doszło do zdumiewającego aktu miłosnego na dachu jego domu. Ale nawet to ich jedyne fizyczne zbliżenie zostało zakłócone przez jego pager. Ich wzajemne stosunki nie były na tyle ustabilizowane, aby przez wzgląd na nie detektyw musiał stawiać na szali własną karierę, co zrobił dzisiejszego popołudnia. Gdyby Hernandez albo jego szef dowiedzieli się, co Sam planuje, prawdopodobnie najpierw wylaliby go z pracy i odebrali mu odznakę, a dopiero potem zaczęliby zadawać pytania.

## Pytania!

Sam również miał ochotę postawić ich mnóstwo. Na przykład: co się działo teraz w jego umyśle, albo też z jakiego powodu łamał regulamin i pakował się, jak dureń, w tarapaty?

Angie Carlino nie dotarła do dawnych akt Petera Haymana w sobotnie popołudnie - co mogło, lecz niekoniecznie musiało oznaczać, że człowiek ten przybył przed kilkoma laty na Key Largo znikąd - po stosownym upływie czasu od momentu zaginięcia Johna Brodericka.

Nie udało się również odnaleźć żadnych śladów strzelaniny do dwojga osób w St Petersburgu, o której wspominał Peter Hayman. Mogło to, choć niekoniecznie musiało, oznaczać, że wcale do niej nie doszło. A jeśli tak było - znów mogło to, ale wcale nie musiało oznaczać, że Hayman wymyślił całą tę historię, aby nawiązać kontakt z Grace.

Anna Valdez została zabita skalpelem w gabinecie lekarskim. Morderstwo to mogło mieć związek ze wszystkimi dotychczasowymi zbrodniami albo też kryła się za nim cała masa innych spraw.

Grace po przybyciu do klubu Pod Pelikanem dowiedziała się, że nie zarezerwowano pokoju na jej nazwisko. I najwidoczniej z tego powodu zdecydowała się na przenocowanie u Haymana. Według psychiatry nie czuła się dzisiaj najlepiej, a także, również według niego, skaleczyła się, chociaż niegroźnie. Od tamtej pory nie odpowiedziała na wiadomość, jaką Sam przekazał Peterowi, i prawdopodobnie oboje, sądząc po głuchym telefonie, wyszli już z domu.

Sam dotarł do biegnącej wzdłuż wybrzeża autostrady. Uprzytomnił sobie, że nie ma zbyt wielu informacji o planowanej wycieczce obojga. Z umiarkowaną szybkością minął obłok ślicznych, białych motyli, aby nie wyrządzić im krzywdy. Nie chciał się też narażać, że zostanie zatrzymany za nadmierną prędkość przez patrol drogowy. Grace ani słowem nie wspomniała, jak wygląda doktor Hayman. Mógł być Chińczykiem albo mieć dwa metry wzrostu. Sam uzmysłowił sobie również, że gdyby psychiatra przypominał Johna Brodericka ze zdjęcia, Grace rozpoznałaby go natychmiast.

Chyba że dopiero teraz dostrzegła podobieństwo obu mężczyzn.

I może dlatego nie odpowiedziała na telefon Sama. Ponieważ nie była już w stanie tego zrobić.

# ROZDZIAŁ 51

---

Nudności, a także ból głowy, powróciły. Byli teraz na pełnym morzu, wiał silny wiatr i zaczęły się zbierać groźnie wyglądające chmury. Nagle Grace nie była wcale pewna, czy wybrała odpowiednie popołudnie na rejs po oceanie, szczególnie kiedy tak źle się czuła.

Podzieliła się swoimi wątpliwościami z Haymanem.

- Nie dostrzegam niczego niepokojącego w związku z pogodą - zapewnił ją.
- Ocean stał się bardziej wzburzony.
- Może rzeczywiście trochę bardziej huśta niż przedtem, ale nie ma powodu do obaw.

Wygląd Petera był zaprzeczeniem jej samopoczucia. Psychiatra miał zaróżowione policzki od słońca, wiatru i od wysiłku, odprężoną twarz i poruszał się lekko. Sam jego widok wzbudzał zazdrość Grace. I sprawiał, że czuła się jeszcze gorszej.

- Przepraszam - powiedziała. - Powinieneś być zostawić mnie na lądzie.
- Wiesz, że nie mógłbym tego zrobić. - Ponownie utkwiał badawczy wzrok w jej twarzy. - Zaczekaj jeszcze chwilę, Grace. Gwarantuję, że zaraz zrobi ci się lepiej.
- A jeśli tak się nie stanie? - Jej optymizm najwyraźniej ulotnił się wraz z chwilowym uczuciem euforii, jakie ogarnęło ją w momencie, kiedy odbijali od brzegu.
- Stanie się, zobaczysz.

W zapewnieniu tym zabrzmiał apodyktyczny ton i Grace zastanowiła się, czy przypadkiem nie ma do czynienia z mężczyzną, który nie znosi sprzeciwu. Czuła, jak narasta w niej irytacja, ale powstrzymała się od niegrzecznej odpowiedzi. Woląca nie zadzierać z Peterem Haymanem, w każdym razie nie teraz, kiedy tylko on stał pomiędzy nią a coraz bardziej wzburzonym Atlantykiem.

- Zaczekam jeszcze z pół godziny - oznajmiła pojednawczym tonem. - Ale jeśli po upływie tego czasu nadal będę źle się czuła albo jeśli pogoda ulegnie dalszemu pogorszeniu, poproszę cię, żebyśmy wrócili do portu, dobrze?



- Nie ma problemu. - Uśmiechnął się protekcyjnie.
- Mówiłam poważnie.
- Ja też, Grace - zapewnił ją Peter. Wciąż się uśmiechał.

Sam ze stosunkowo dużą łatwością zlokalizował dom Haymana, wysłuchał kilku dźwięków okrętowego dzwonka, a potem przeskoczył przez balustradę w miejscu, gdzie była najłatwiejsza do sforsowania, znalazł się na ganku i zaczął okrążyć dom.

- Co pan tutaj robi?

Powoli się obejrzał. Zobaczył przystojnego sześćdziesięciolatka o surowym wyrazie twarzy. Mężczyzna, ubrany w koszulę polo z krótkimi rękawami oraz w cienkie spodnie, stał na ulicy i z zadartą do góry głową patrzył groźnie na Sama.

- Szukam doktora Haymana - wyjaśnił Sam.
- Nie ma go w domu. - Mężczyzna miał stalowoszare włosy i świdrujące spojrzenie.
- Nie orientuje się pan, dokąd się wybrał?
- A kto pyta, jeśli wolno wiedzieć?

Sam przez moment uległ złudzeniu, że wylądował na dalekim Południu. I niemal się spodziewał, że za chwilę nieznajomy wyciągnie pistolet i każe mu się wynosić z domu lekarza. Zastanawiał się, czy nie wyjąć swojej odznaki, w miarę możliwości starał się jednak tego uniknąć.

- Nazywam się Samuel Becket i mówiąc dokładnie, szukam doktor Lucca, która zatrzymała się u Haymana.

Mężczyzna skinął głową.

- Prawdziwa z niej ślicznotka.
- Nie wie pan, przypadkiem, dokąd się wybrali?
- Na przejażdżkę jachtem.

Myśl o Brodericku na nowo rozbłysła w umyśle Samu.

- A dokąd popłynęli?
- Nie mam pojęcia.

- To skąd pan wie, że w ogóle wybrali się pozełgować?

- Ponieważ pan Hayman przeważnie w ten sposób spędza większość weekendów. - Oczy o zimnym spojrzeniu ponownie się zmrużyły. - Dużo zadaje pan pytań.

Sam skierował się w stronę najbliższych stopni, które prowadziły na ulicę.

- Czy Hayman posiada własną łódź?

- Tak.

- Czy wie pan, gdzie ją trzyma?

- Może i wiem.

Sam postanowił nie marnować dłużej czasu. Pokazał mężczyźnie swoją odznakę.

- Czy wie pan, gdzie Hayman trzyma swoją łódź?

- W porcie Dooleya. - Nieznajomy bez entuzjazmu zmienił postawę wobec Sama.

- Jak tam trafię?

Mężczyzna wskazał mu drogę. Mówił, ucinając końcówki słów.

- Czy zna pan nazwę łodzi?

- Nie, nie znam.

- A może wie pan o kimś w okolicy, kto mógłby ją znać? - spytał Sam.

- Ludzie w tej okolicy pilnują własnego nosa - odparł nieznajomy.

Telefon komórkowy zadzwonił w momencie, kiedy w polu widzenia Sama pojawił się port - na ekranie był wyświetlony domowy numer Martineza.

- Co masz dla mnie, Al?

- Zero - odrzekł kolega. - Powiedziałeś, że chcesz być informowany nawet w przypadku braku jakichkolwiek informacji i, jak dotychczas, niczego nie znalazłem, nie licząc znanych ci już faktów, jak ten, że Hayman figuruje na liście mieszkańców Key Largo.

- Złapałeś Angie?

- Tak, i oddzwoniła do mnie pięć minut temu. Oświadczyła, że potrzebuje więcej czasu i że do jutra nie zdoła wiele zdziałać, ale wszędzie tam, gdzie sprawdzała, nie znalazła żadnej wzmianki na temat strzelaniny.

- W porządku, Al. Dziękuję.

- I co dalej? - spytał Martinez. - Masz zamiar wrócić do domu?

- Nie wiem.

- Gdzie jesteś? Co się dzieje?

Sam usłyszał niepokój w głosie swojego partnera i poczuł bardzo silną pokusę podzielenia się z nim wiadomościami na temat obecnej sytuacji. Wiedział jednak, że zachowując milczenie, wyświadczy Martinezowi przysługę.

- Lepiej, żebyś o niczym nie wiedział, Al. Jak już mówiłem, nie chcę stawiać cię w kłopotliwej sytuacji, zgoda?

I rozłączył się, zanim kolega zdążył coś odpowiedzieć.

TLR

## ROZDZIAŁ 52

---

Nie jest dobrze, Peterze. Nie tylko nie poczułam się lepiej, ale nastąpiło pogorszenie, a w dodatku zraniona ręka daje mi się we znaki.

Grace stała w odległości kilku kroków od Haymana. Ten najwyraźniej doskonale się bawił, sterując łodzią po coraz bardziej wzburzonych falach, podczas gdy ona, kurczowo trzymając się relingu, zapewniała samą siebie, że w żadnym wypadku nie będzie wymiotować.

- Słuchaj, chcę, żebyśmy wrócili.

- To nie ma sensu - odrzekł, patrząc prosto przed siebie.

- Dla mnie ma, i to ogromny - powiedziała Grace, szykując się do walki, choć nie była pewna, czy znajdzie na nią dość siły.

- Chodzi mi o to, że nie ma sensu wracać, skoro znajdujemy się w tak bliskiej odległości od wyspy Key Long - wyjaśnił. - Za chwilę możemy do niej przybić, jeśli będziesz chciała, i tam zaczekamy na poprawę pogody. Albo dam ci lek przeciw chorobie morskiej. Mam ze sobą środek o bardzo szybkim działaniu.

- Nie sądzę, aby to była choroba morska. Nigdy nie dokuczały mi tego rodzaju dolegliwości, a poza tym czułam się już źle na stałym lądzie, pamiętasz?

- Moje lekarstwo jest skuteczne na wszelkiego rodzaju nudności - oświadczył.

Grace nie odpowiedziała. Usilnie starała przypomnieć sobie dokładny moment wystąpienia mdłości i bólu głowy. Stało się to wkrótce potem, gdy przecięła dłoń kawałkiem szkła - kiedy stłukła szklanę, która była śliska. A Peter, usiłując powstrzymać Grace od zbierania potłuczonych kawałków, przypadkowo ścisnął jej dłoń, wbijając w dłoń odłamek szkła.

Czy rzeczywiście przypadkowo?

A potem opatrzył jej ranę.

I przyłożył do niej gazę nasączoną środkiem dezynfekcyjnym.

W każdym razie twierdził, że to środek dezynfekcyjny.

Łódź zakolysała się i Grace mocniej przytrzymała się relingu. Coraz większą trudność sprawiało jej pozbieranie myśli i zachowanie zdolności logicznego rozumowania.

Dokąd doprowadziły ją dotychczasowe rozważania? I właściwie jaka wynika z nich refleksja?

Dzisiaj rano, kiedy Hayman wspomniał o marihuanie w witaminach Cathy, Grace nabrała szokujących podejrzeń. Potem usiłowała przekonać samą siebie, że dała się tylko ponieść fantazji i że to skutek przewrażliwienia. Teraz jednak znowu zaczęła zastanawiać się nad tą sprawą. Przypomniała sobie o wizycie Petera w gościnnym pokoju - w jej sypialni. W środku nocy stanął nad łóżkiem, a potem, nazajutrz rano, znalazł osobliwe usprawiedliwienie swojej obecności w pokoju i zełgał, że słyszał jej płacz. To było kłamstwo - nagle nie miała co do tego wątpliwości.

- Grace, zejść na moment pod pokład. Otworzyła oczy.

- Trzymamy się kursu. - Hayman miał zatroskany wyraz twarzy. -Przyniosę ci lekarstwo. Sprawi, że się lepiej poczujesz, zgoda?

Grace nie odpowiedziała. Wciąż miała gonitwę myśli. Fotografia!

Przypomniała sobie o zdjęciu wetkniętym do notesu, który znajdował się w jej torbie. Pragnęła na nie spojrzeć. Musiała je zobaczyć, aby nabrać absolutnej pewności, że Peter Hayman i John Broderick to nie ta sama osoba.

- Grace?

- Przepraszam. - Wzdrygnęła się, wyrwana z rozmyślań.

- W porządku - odpowiedział cicho. - Chciałem tylko sprawdzić, czy mnie słyszysz. Zejść pod pokład po lek, o którym ci wspominałem, a potem zajmę się tobą.

- Dobrze. - Jej głos miał niezdecydowane brzmienie. - Dziękuję. Mówienie sprawiało jej dużą trudność. Ale jeśli nawet jej ton wydał się Haymanowi dziwny, Peter pomyślał pewnie, że to skutek złego samopoczucia Grace. A może, łudziła się, rzeczywiście plątał się jej język dlatego, że jest chora?

A jeśli nie była chora w normalnym, naturalnym znaczeniu tego słowa? I jeżeli to nie środek odkażający sączył się z gazy do rany?

Nagle zaświtała jej w głowie nowa myśl. A jeśli Peter znalazł zdjęcie w jej torbie? I doszedł do wniosku, że rozpoznała go albo nabrała podejrzeń?

Ale to Hayman pierwszy ją zapytał, czy widziała fotografię Brodericka i to on zasugerował, że powinna ją zdobyć.

A może zarzucał przynętę, chcąc się upewnić, czy nie doszukała się związku pomiędzy nim a Broderickiem?

„Zajmę się tobą”.

Grace wpatrywała się w jego plecy, w chwili gdy otwierał pokrywę luku i znikał pod pokładem.

Doskonale radzi sobie na łodzi. Czuje się tu naprawdę jak u siebie w domu.

Broderick również posiadał własną łódź. I na niej zginął. Albo i nie.

Grace zerwała plaster z dłoni, zdjęła gazę, przyłożyła ją do nosa i powąchała. Wyczuła jakiś zapach, ale nie potrafiła go zidentyfikować. Mógł być to środek odkażający, lecz równie dobrze jakiś inny związek chemiczny, być może nawet trujący, który dostał się do jej krwi, hamował reakcje i stał się powodem złego samopoczucia...

Czyż właśnie nie w ten sposób postępował Broderick?

- O Chryste - powiedziała na głos.

Poruszała się tak prędko, jak pozwalały jej na to ociężałe nogi. Nawet w przybliżeniu nie była jednak tak szybka, jak by sobie tego życzyła. Odczuwała to, co czasami widzi się w koszmarnych snach, które Często dręczyły jej małych pacjentów: pragnęli biec, ale mieli nogi jak z ołowiu.

Pomimo to udało się jej przewiesić przez burtę. Gdyby Hayman teraz przyszedł, pomyślałby, że Grace chce zwymiotować, nie to jednak było jej zamiarem. Wetknęła gazę do prawej kieszeni dżinsów i zaczęła, aż kolejna fala uderzy o kadłub, a ona znajdzie się bliżej wody...

Teraz...

Jacht przechylił się pod kątem około siedemdziesięciu pięciu stopni; wystarczająco, ażeby Grace mogła zanurzyć swoją zranioną rękę w słonej wodzie.

Bolało.

Lepiej żeby bolało, niż gdyby miała zostać zatruta. Dłoń Grace przeszył piekący ból.

Nie dawała jej teraz spokoju jedna natrętna myśl. Była zwięzła i sensowna.

Jak to się stało, do diabła, że zgodziła się wejść na pokład tej cholernej łodzi?



Jak mogła okazać się aż tak kompletną idiotką, ona, która była powszechnie uważana za inteligentną?

TLR

# ROZDZIAŁ 53

---

Sam wciąż lekcewał słaby ostrzegający go głos, który przypominał, że przebywa w obcym rejonie i że powinien, zgodnie z prawem, przekazać tę sprawę biuru szeryfa z Monroe. Uciszał wyrzuty sumienia, tłumacząc sobie, że po pierwsze, nie wie, jaką sprawę miałyby przekazać, a po drugie, rozsądnym ludziom, jakimi z pewnością byli pracownicy tutejszego wydziału policji, na pewno nie podskoczyłoby ciśnienie krwi na wieść o niezbyt klarownych podejrzeniach detektywa Becketa.

Znalazł port Dooleya. Zastał tam łysego mężczyznę, który powiedział, że zna Petera Haymana oraz jego łódź, „Ziębę”.

- Wypląnął jakiś czas temu. - Rozebrany do pasa mężczyzna o muskularnym torsie pracowicie szorował pokład swojej motorówki.

- Był z kimś?

- Z kobietą.

- Jak wyglądała?

- Nie przyglądałem się jej. Blondynka. Dobre i to.

- Czy to pańska motorówka? - Sam bacznie otaksował wzrokiem małą łódź o nazwie „Delia”, która była wyposażona w silnik marki Jamaha.

Nieznajomy po raz pierwszy podniósł głowę i spojrzał swoimi wyblakłymi oczami na Sama.

- Dlaczego pan pyta?

- Chcę, żeby mnie pan zabrał na morze.

- Nie zajmuję się wynajmem łodzi.

- Nie zamierzam jej wynajmować - oświadczył detektyw.

- A zatem niech się pan wybierze na pieszą przechadzkę. - Mężczyzna wrócił do swojej pracy.

W tym momencie Becket, łamiąc wszystkie możliwe przepisy regulaminu, chwycił za cumy „Delii” i po raz drugi tego dnia wyciągnął odznakę policyjną.

- Sprawa służbowa - oświadczył. - Naprawdę potrzebuję pańskiej pomocy.

Mężczyzna wypuścił z rąk szczotkę i uważnie przyjrzał się Samowi.

- Myślałem, że posiadacie własne łódzie motorowe?

- Nie mam czasu - wyjaśnił Sam. - To sprawa niecierpiąca zwłoki. W białych oczach pojawił się wyraz wyrachowania.

- Poniosę pewne koszty.

. - Zostaną panu zwrócone.

- Jest pan policjantem z Miami Beach. Czy pański wydział na pewno pokryje zaciągnięte tutaj zobowiązania?

- Pełnię służbę w obrębie tego samego stanu. - Nie skłamał. - Otrzyma pan swoje pieniądze.

- Chce pan dogonić „Ziębę”, prawda?

- Właśnie.

- Ocean jest duży.

- Widział pan przecież, w jakim kierunku wyruszył Hayman.

- Widziałem tylko, jak wypływał z portu. Potem mógł obrać dowolny kurs. - Właściciel motorówki spojrział w niebo. - Załamuje się pogoda, przypuszczam więc, że prawdopodobnie będzie się trzymał blisko lądu.

Nie chcąc już tracić ani minuty dłużej, Sam puścił cumę „Delii” i wszedł na pokład. Łysy mężczyzna otworzył usta w proteście. Zaraz jednak albo przypomniał sobie o oznace policyjnej albo też o korzyściach, jakie może osiągnąć z zaistniałej sytuacji.

- Myślę, że nie zaszkodzi przyjść z pomocą stróżowi prawa.

- Prawo się panu odwdzięczy.

Mężczyzna odstawił na bok wiadro i szczotkę, a potem odwrócił się przodem do Sama i wyciągnął rękę.

- Nazywam się Kuntz. Phil Kuntz. Sam mocno uściskał jego dłoń.

- Sam Becket.

- Detektyw, co? - Ruszył w stronę sterów.

- Musimy niezwłocznie wyruszać, kapitanie. - Sam nie był żeglarzem, wiedział jednak, że najpierw trzeba odwiązać liny.

- Widzę, że czuje się pan tutaj jak u siebie, prawda? - W głosie mężczyzny zabrzmiała ironia.

- Staram się tylko pomóc.

- Co mam dokładnie rozumieć pod pojęciem „wdzięczność”?

- Będzie tym większa, im szybciej wyruszymy. Kuntz ponownie spojrzał w niebo.

- Nie podoba mi się pogoda.

- To dodatkowy powód, żeby nie zwlekać dłużej z wypłynięciem - odparł Sam.

Wyblakłe oczy ponownie otaksowały uważnie jego twarz.

- Nie pakujemy się w żadne ryzyko, prawda, detektywie?

- Wykluczone - zapewnił go Sam. - Zależy mi na znalezieniu „Zięby”, ponieważ pilnie muszę porozmawiać z kobietą, która jest razem z Hayma-nem, w porządku, kapitanie?

- Myślę, że tak.

Po chwili znaleźli się na pełnym morzu. Podskakiwali na coraz bardziej wzburzonych falach i detektyw dziękował Bogu za to, że skłonność do mdłości, za której sprawą stał się obiektem drwin niektórych lekarzy, nie przerodziła się w prawdziwą chorobę morską.

- Warunki atmosferyczne coraz bardziej się pogarszają - oświadczył Kuntz. - Zamierzam wrócić do portu.

- Nie wcześniej, niż to będzie to absolutnie konieczne - odpowiedział Sam.

- Czy widzi pan na wodzie jakąś jednostkę pływającą tych samych rozmiarów co moja, detektywie?

Sam rozejrzał się wokół siebie.

- Nie, nie widzę - przyznał.

- Większość ludzi ma wystarczająco dużo oleju w głowie, aby trzymać się z dala od wody, kiedy nadciąga sztorm.

Samowi nasunęło się na myśl zachowanie Johna Brodericka sprzed dziewięciu lat.

- Możemy skorzystać z radia, aby wytropić „Ziębę”. Posiadam ręcznie obsługiwaną krótkofalówkę, która ma około dziesięciokilometrowy zasięg. I możemy poprosić sterników innych łodzi, by pomogli nam w jej odszukaniu.

- To niezbyt dobry pomysł - odrzekł Sam.

- Dlaczego?

- Ponieważ Hayman może nas usłyszeć.

W wyblakłych oczach Kuntza pojawiła się podejrzliwość.

- Zapewniał mnie pan, o ile pamiętam, że nie grozi nam żadne ryzyko?

- Nie grozi - przytaknął Sam lekkim tonem. - Przypuszczam tylko, że Hayman może sobie nie życzyć, żebym go znalazł, to wszystko.

- Kim jest dla pana ta kobieta?

- Przyjaciółką.

Został obrzucony kolejnym czujnym spojrzeniem - nie było w nim potępienia, ale wygięte w łuk brwi Kuntza dobitnie świadczyły o dezaprobach. Jeśli Sam i Grace mieli przed sobą wspólną przyszłość, detektyw wiedział, że musi przywyknąć do tego rodzaju reakcji.

- Czy może pan przez chwilę potrzymać stery? - poprosił Kuntz.

- Jeśli ma pan do mnie zaufanie.

- Proszę nie zbaczać z kursu. - Phil wstał, sięgnął do małego schowka, wyciągnął z niego podkoszulek oraz czapkę baseballową i przejął stery. - Robi się chłodno.

- Trochę tak - przyznał Sam.

- Hayman nadepnął panu na odcisk? - zainteresował się Kuntz.

- Nic podobnego - zapewnił go Sam.

- O! Jest coś, proszę spojrzeć na wschód - oświadczył niespodziewanie mężczyzna.

Sam odwrócił głowę i dostrzegł na linii horyzontu białe żagle.

- Myśli pan, że to „Zięba”? - Serce zaczęło mu uderzać szybciej.

- Być może. Dzieli nas za duża odległość, abym mógł mieć pewność. - W chwili kiedy motorówka zrobiła zwrot, uderzyła w nich duża fala. - Niech się pan trzyma!

Samowi nie trzeba było dwa razy tego powtarzać. Kurczowo uchwycił się burty, starając się nie spuszczać z oczu żagli.

- Ma pan lornetkę?

- Jest w schowku na rufie.

Sam wstał, ostrożnie przesunął się na tył łodzi, znalazł schowek oraz lornetkę i chwiejnym krokiem wrócił na miejsce.

- Widzi pan coś? - spytał Kuntz.

- Na razie nie. - Jacht był teraz wyraźniej widoczny. Sam dostrzegł niebieski reling oraz małą postać na pokładzie, która mocowała się z żaglami. Nadal nie mógł odczytać nazwy łodzi ani nie widział nikogo podobnego do Grace, a wciąż nie miał pojęcia, jak wygląda Hayman.

Wyczuł i usłyszał zmianę pracy silnika motorówki.

- Dlaczego zwalniamy?

- To nie „Zięba”.

- Jest pan pewien? - Sam nadal obserwował jacht przez lornetkę.

- Oczywiście. - Kuntz jeszcze bardziej zwolnił. - Niech pan posłucha, nie podoba mi się pływanie w taką pogodę, oraz to, że nie pozwala mi pan skorzystać z krótkofalówki.

- Nie powiedziałem, że nie może pan z niej skorzystać - sprostował Sam. - Nie chciałbym tylko, aby Hayman poczuł się zaalarmowany tym, że go szukamy.

- To również mi się nie podoba.

- Zamierza mi pan pomóc, czy nie? - spytał detektyw.

- W granicach rozsądku.

Sam zobaczył przez lornetkę, że łódź, do której płynęli, nosi nazwę „Błękitna Dama”. Przełknął rozczarowanie i powoli obrócił głowę, wypatrując innego obiektu.

- Zamierzam włączyć kanał pierwszy, gdzie są nadawane komunikaty o pogodzie, zgoda? - odezwał się Kuntz.

- Oczywiście.



- Nadal uważam, że użycie radia jest najlepszym sposobem na wytropienie „Zięby”.

Sam namyślał się przez chwilę.

- Jeśli jej nie znajdziemy w ciągu najbliższych dziesięciu, piętnastu minut, spróbujemy zrobić to według pańskiego pomysłu.

- Jeśli komunikat o pogodzie nakaże nam sprowadzenie „Delii” do portu, możemy nie mieć kolejnego kwadransa - uprzedził go Kuntz.

- Proszę płynąć dalej, kapitanie - powiedział Sam.

- Dopóki pan pamięta, że będzie to pana sporo kosztować, detektywie.

- Będę pamiętał - obiecał Sam. - A zwłaszcza wtedy, kiedy ich pan znajdzie.

TLR

## ROZDZIAŁ 54

---

Grace nie wiedziała, co Hayman robi na dole, ale miała dość czasu na to, aby przez dobrą minutę potrzymać przeciętą rękę w słonej morskiej wodzie, wysuszyć ranę i z powrotem, w miarę możliwości jak najlepiej, przykleić plaster.

- Jak się czujesz? - spytał, wróciwszy na pokład.

- Nieźle - odpowiedziała niemal zgodnie z prawdą.

Piekący ból, spowodowany kontaktem rany ze słoną wodą, nieco rozjaśnił jej zasnutą mgłą umysł.

- Nabrałaś kolorów. - Hayman podszedł i przyłożył rękę do jej czoła. Wzdrygnęła się lekko. - W porządku. Sprawdzam tylko, czy nie masz gorączki.

- Sądzę, że chyba mam. - Odsunęła się, chcąc być jak najdalej od niego i jednocześnie nie dać tego po sobie poznać. - Myślę, że naprawdę muszę jak najszybciej znaleźć się na brzegu. Może to być Key Long, każde miejsce na stałym lądzie, gdzie mogłabym przez chwilę odpocząć i udać się do lekarza.

- Nie sądzę, ażeby znalezienie lekarza było prostą sprawą - zawyrokował Hayman. - Ale skoro jeden już jest na miejscu, problem jest chyba rozwiązany.

Łodzią zahuściło i zakołysało. Grace chwyciła się nadburcia. Hayman pewnie trzymał się na nogach.

- Nie kłopotz się lekarzem - powiedziała roztrzęsionym głosem. - Ale jeśli wkrótce nie znajdę się na lądzie, rozchoruję się nie na żarty.

- Zaraz będzie ci lepiej, Grace.

Podniósł do góry lewą rękę i Grace dostrzegła w niej strzykawkę. Zaczęło jej dudnić serce.

- Jeśli mówiąc o środku przeciwko wymiotom, miałeś na myśli zastrzyk, to się bez niego obejść - oświadczyła, starając się mówić lekkim tonem.

- Nie powiesz mi chyba, że boisz się igły.

- Nie przepadam za zastrzykami. - Szczególnie jeśli nie wiem, co zawiera strzykawka. Chciała się odsunąć, lecz fale z tak wielką siłą uderzyły o jacht, że

nie odważyła się puścić burty. - Czy zawsze masz pod ręką napełnione strzykawki, Peter?

- Jestem psychiatrą, czyżbyś zapomniała? - Mówił spokojnym, łagodnym głosem. - I posiadam pełne kwalifikacje do podawania leków. Nie po raz pierwszy się zdarza, że pasażer na moim pokładzie cierpi na chorobę morską.

- Już powiedziałam, że w moim przypadku to nie morska choroba.

- Nieważne, co jest powodem twoich nudności, Grace - perswadował Hayman. - Ten środek jest cudowny. Jeden mały zastrzyk sprawi, że poczujesz się lepiej i nawet nie będziesz wiedziała kiedy.

Żaglówką rzuciło ponownie i nawet Hayman zachwiał się do tyłu. Niebo przybrało niemal czarną barwę, a porywy świszczącego wiatru były tak silne, że w innych okolicznościach pewnie całkiem pozbawiłyby Grace odwagi. W obecnej chwili jednak była wdzięczna pogodzie za możliwość odwrócenia uwagi Haymana.

- Zapomnij o moich nudnościach, Peterze, i zrób coś z żaglami. - Musiała podnieść głos, by przekrzyczeć wicher. - Naprawdę jestem zdania, że powinniśmy skierować się w stronę brzegu.

„Ziębą” znowu groźnie zakołysało. Hayman zdołał się jednak wyprostować i pochylił się w stronę Grace. Przełożył strzykawkę do prawej ręki i podniósł ją do góry.

- Peter, co ty wyprawiasz?

- Zamierzam zrobić ci zastrzyk, a potem zajmę się wyprowadzeniem łodzi ze sztormu.

Prysnął kilkoma kroplami w powietrze.

- Nie słuchasz, co mówię. Ja nie chcę zastrzyku.

- Daj spokój, Grace! Nie bądź dzieckiem!

Sięgnął po jej rękę, ale ją wyszarpnęła i, wciąż uczepiona nadburcia, cofnęła się w głąb łodzi. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie może pozwolić sobie na upadek. Zawroty głowy powróciły i nie mogła się skoncentrować. Widziała zbliżającego się Haymana ze strzykawką w dłoni i tylko jednego była pewna: że nie może dopuścić, aby wbił igłę w jej ciało.

- Czy właśnie to robiłeś Marie?

Te słowa wymknęły się jej, zanim miała czas nad nimi pomyśleć. Nie wiedziała, które z nich dwojga szybciej znieruchomiało. Niemal nie mogła uwierzyć,

że to oskarżenie padło z jej ust. Jeśli rzeczywiście miała do czynienia z Broderic-kiem, prawdziwym szaleństwem było spytanie go o coś takiego.

Co się zaś tyczy Haymana, na jego twarzy odmalowała się niemal pustka spowodowana zakłopotaniem.

- Co powiedziałaś?

Kręciło jej się w głowie, ale nie było już odwrotu.

- Spytałam, czy w ten sam sposób robiłeś zastrzyki Marie?

TLR

# ROZDZIAŁ 55

---

Mamy szczęście! - zawołał Phil Kuntz, przekrzykując hałas wiatru i oceanu w niespełna pięć minut po uzyskaniu przez Sama zgody na użycie krótkofalówki.

- Widziano ją dwie mile od Key Long.

- Jak to daleko stąd? - odkrzyknął Sam.

- Około sześciu, siedmiu mil - ale musi pan nakłonić kogo innego do odszukania „Zięby”.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- To, że to ogromny dystans, a ja niezwłocznie zamierzam odstawić nas z powrotem na brzeg.

- Sześć mil to żadna odległość.

- Wystarczająco duża, aby motorówka się wywróciła, a nasze tyłki utonęły. - Kuntz mocował się ze sterem, aby nie zboczyć z kursu na coraz bardziej niespokojnym morzu. - Przykro mi, ale nie chcę stracić łodzi, nie mówiąc już o własnej skórze.

- Nie straci pan łodzi, Kuntz.

- Czy może mi to pan zagwarantować?

- Nie, ale mogę dać panu pięćset dolarów i wziąć na siebie pełną odpowiedzialność, że w najgorszym wypadku otrzyma pan nową motorówkę.

Kuntz wlepił w niego oczy.

- Mówi to pan we własnym imieniu, w imieniu wydziału policji Miami Beach, czy też służb patrolujących wybrzeże Florydy?

- Mówię we własnym imieniu, jako Samuel Becket.

- Ma pan aż tak dużo pieniędzy?

- Znajdę je, jeśli będę musiał.

W bladych oczach niespodziewanie rozbłysło rozbawienie.

- Ta blondynka musi być warta grzechu, Becket.

- Och, tak - wykrzyknął Sam. - A więc czy mógłby pan ponownie uruchomić swoją przeklętą łódź, żebyśmy mogli odnaleźć moją dziewczynę?

\*

Prowadzenie „Delii” po wzburzonym Atlantyku coraz bardziej przypominało wbijanie tępego noża w olbrzymią, twardą dynię i narażanie się przy tym na ryzyko poturbowania, a nawet zatopienia. Nie wiadomo, czy to obietnica pięciuset dolarów i kupna nowej motorówki w razie zatonięcia „Delii”, czy też śmiałe wyzwanie napęliło Phila Kuntza odwagą, ale obecnie wydawał się tak samo zeterminowany pragnieniem dotarcia do „Zięby” jak Sam.

- Jest! - wrzasnął kilka minut potem, kiedy włożył na siebie kapok, a drugi rzucił detektywowi.

- Gdzie? - zapytał Sam, podążając wzrokiem za wskazującym palcem mężczyzny. - To ona?

- Z pewnością - zawyrokował Phil. - Nie widzę żadnych innych jachtów, które szwendałyby się po morzu w taką pogodę.

Sam podniósł do oczu lornetkę, którą miał zawieszoną na szyi, i z wysiłkiem starał się skupić wzrok na celu. Biała łódź podskakiwała w górę i opadała w dół niczym tnący fale łabędź, i co kilka minut znikwała za wezbranymi masami wody. Sam poprawił ostrość soczewek. Szczegóły stały się teraz wyrazistsze. Po raz pierwszy od chwili kiedy wszedł na pokład motorówki Kuntza, zaczął odczuwać skutek zdenerwowania dolegliwości żołądkowe. Z trudem utrzymywał lornetkę na celu.

Dostrzegł nazwę.

- To „Zięba”! - zawołał.

- Powiedziałem panu. - Kuntz spojrzał na niego. - I co teraz?

- Podpłynmy bliżej, żebym mógł zobaczyć, co się dzieje na pokładzie.

- A może się coś dzieć?

Sam był zbyt zajęty obserwowaniem jachtu, aby zastanawiać się nad odpowiedzią. Zobaczył postać mężczyzny - to musiał być Hayman. Poszukał Grace i dostrzegł ją w końcu. Z tej odległości jej postać wydawała się wyjątkowo drobna i krucha.

- A niech to diabli! - zaklął.

- Co się stało? - zapytał Kuntz.



- Ona stoi zbyt blisko burty! - wrzasnął Sam.

- Pewnie tylko tak się panu wydaje z tej odległości. Prawdopodobnie trzyma się relingu.

Sam tak mocno przyciskał lornetkę do twarzy, że aż rozbolał go nos.

- Nie wiem. Nie jestem w stanie tego dostrzec...

- Czy chce pan, żebyśmy podpłynęli bliżej „Zięby”?

- Chcę znaleźć się tak blisko, żebym mógł wejść na jej pokład - oświadczył detektyw.

Znowu miał w polu widzenia Haymana. Starał się ocenić, czy przypomina z wyglądu Brodericka, ale z tak daleka było to niemożliwe. Mężczyzna był chyba podobnego wzrostu, lecz znacznie drobniejszej postury - a to mogło oznaczać większą sprawność ruchową. Jednak żadna z tych cech nie miała teraz znaczenia. W tym momencie liczyło się tylko to, że Hayman niemal przygniatał sobą Grace.

Samowi ponownie zaczęło dudnić serce. Miał wrażenie, że tłucze mu o klatkę piersiową z taką samą siłą jak fale o burty „Delii”.

- Ma pan pistolet, Kuntz? - - Słucham?

- Pytam, czy ma pan przy sobie pistolet.

- Tamten natychmiast przyjął postawę pełną rezerwy.

- Nie, nie mam.

- A może chociaż jakiś rybacki harpun, cokolwiek, czego można by użyć w charakterze broni.

- Jezu Chryste, człowieku - zaprotestował Phil. - Obiecał pan, że nie podejmiemy żadnego ryzyka, a teraz nagle domaga się pan pistoletu. Nie mam żadnej cholernej broni na pokładzie, a nawet gdybym miał, to i tak bym jej panu nie dał...

- Jestem oficerem policji - zawołał Sam, przekrzykując ryk wichru. - I jeśli na pokładzie znajduje się jakaś broń, musi mi ją pan udostępnić.

- Może nawrócę łodzią, a „Ziębę” niech piekło pochłonie, co pan na to?

- A ja postaram się, aby, pomimo wszystko, stracił pan swoją łajbę, i co pan na to? - zablefował Sam.

- Obiecał pan, że jeśli coś się stanie z motorówką, to mi ją pan odkupi!

- Ma pan jakichś świadków, którzy mogliby to potwierdzić?

- Ty kłamliwy draniu! - wrzasnął piskliwym głosem doprowadzony do szału Kuntz.

- Kobieta na pokładzie jest w straszliwych tarapatach, nie widzi pan?

- A niech to wszyscy diabli! - Mężczyzna ściągnął czapkę ze swojej łysej, spoconej głowy i rzucił ją na pokład. Natychmiast została porwana przez wiatr. - W schowku na rufie znajduje się rakietnica. Nie mam pojęcia, czy jest sprawna.

- Ma pan klucz od schowka? - zawołał Sam, zmierzając w stronę rufy.

- Jest otwarty, do licha!

TLR

# ROZDZIAŁ 56

---

- Co ty, do diabła, wygadujesz? - krzyknął Hayman, ponownie zbliżając się do Grace. - Naprawdę zaczynam się o ciebie martwić.

- Nie miałam zamiaru cię niepokoić, Peterze. - Pomimo zamazanego obrazu przed oczami Grace była pewna, że nadal trzymał strzykawkę w prawej ręce, i postanowiła, że bez walki nie pozwoli zrobić sobie zastrzyku... - Chcę tylko, żebyś zajął się łodzią i odstawił mnie na ląd.

- Zaraz wrócę do sterów. Przedtem trochę cię tylko uspokoję - oznajmił.

- Jestem spokojna - oświadczyła, cofając się przed nim. Wiatr zwiewał jej kosmyki włosów na twarz i smagał policzki.

- Nie zrozumiałem, co miała znaczyć wzmianka o Marie? - Zamokły mu okulary i sięgnął lewą ręką, aby je wytrzeć. - O jaką Marie ci chodziło?

- Nieważne.

Niespodziewanie znalazł się tuż obok Grace i mocno chwycił ją za prawe ramię.

- Nie! - krzyknęła, usiłując się wyswobodzić.

- Przestań, Grace. - Z bliska jego twarz wydawała się zatroskana, a w oczach malowało się zakłopotanie, ale nie wypuszczał jej z uścisku. - Muszę to zrobić, muszę cię uspokoić. Stanowisz zagrożenie...

- Dla kogo? - wreszcie uwolniła ramię. - Dla ciebie?

- Dla nas obojga i dla łodzi! - wykrzyknął Peter. - Mam obowiązek panować nad pasażerami mojego jachtu.

- Broderick zawsze był w tym doskonały! - odkrzyknęła Grace.

- Co ma do tego Broderick? - zawołał Hayman.

- Myślę, że bardzo wiele!

Oszalała z trwogi, znowu zaczęła się cofać, nerwowo rozglądając się na boki. Łodzią huśtało w przód i w tył, a Grace wciąż odczuwała nudności i zawroty głowy, ale najwidoczniej pragnienie przetrwania pomagało jej utrzymać się na nogach.

- Grace, o czym tym mówisz?

Napotkała wzrokiem pokrywę włazu. Przez moment zastanawiała się, czy nie uciec pod pokład i nie zamknąć się od wewnątrz. Wtedy jednak naprawdę znalazłaby się w pułapce. Doszła do wniosku, że w razie konieczności powinna szukać szansy ratunku raczej w oceanie. W przypadku Brodericka, jeśli nie była w błędzie, utożsamiając go z Haymanem, decyzja ta najwyraźniej okazała się słuszna.

- Co się z tobą dzieje, Grace?

- Nic się nie działo aż do momentu, póki rano nie przecięłam sobie dłoni.

- Co masz na myśli?

Teraz wiedziała na pewno, że nie ma już odwrotu.

- Wszystko było w porządku, dopóki nie opatrzyłeś mojej rany. - Stała odwrócona tyłem do burty. Czowała wpijający się w plecy reling.

Na twarzy Haymana malował się wyraz zaskoczenia.

- Do czego zmierzasz, Grace? Po brzmieniu twojego głosu można by sądzić, że zrobiłem ci coś złego.

- A nie zrobiłeś? - zapytała. Mdłości ustąpiły. Pomyślała, że może gniew je zatrzymuje.

- Użyłem środka odkażającego i założyłem ci opatrunek. - Potrząsnął głową. - Pewnie odczuwasz w skaleczonej ręce pulsujący ból, prawda? Może nawet zaczęłaś gorączkować. Pozwól, że jeszcze raz obejrzę twoją ranę. - Znowu się do niej zbliżył.

- Trzymaj się ode mnie z daleka. - Ostry ton Grace zatrzymał go w pół drogi.

Łódź przechyliła się na lewą burtę i oboje na moment chwycili się re-lingu. Hayman spojrzał w niebo.

- Wygląda na to, że zbliża się sztorm. Muszę ściągnąć główny żagiel.

- Nie przeszkadzaj sobie. Proszę tylko, żebyś trzymał się ode mnie z daleka.

Grace zdawała sobie sprawę z tego, że jej wypowiedzi świadczą o wielkim wzburzeniu i że nie potrafi jasno myśleć. Z pewnością jej rozumowanie było dalekie od tego, jakiego można by oczekiwać od osoby zajmującej się zawodowo psychologią. Niewykluczone, że Hayman miał rację, i rzeczywiście dzisiaj rano wystąpiła u niej jakaś infekcja wirusowa, która spowodowała zamęt w głowie. Ale jeśli nawet tak było, to czyż mogła ryzykować? Facet miał strzykawkę, którą

chciał wbić w jej ciało. A jeśli jest Broderickiem, oznacza to tylko jedno: że zamierzał ją zabić...

- Będę się trzymał z daleka od ciebie - obiecał Hayman, nie spuszczać z oczu głównego żagla i kliwra. - Dlaczego nie zejdziesz pod pokład, Grace? - Teraz przemawiał do niej tonem, jakim pielęgniarka na oddziale psychiatrycznym zwraca się do pomyłonego, niebezpiecznego pacjenta. - Jest tam koja. Mogłabyś się położyć i trochę odpocząć, zanim dowiozę nas z powrotem do brzegu.

- Nie, dziękuję.

- W takim razie przynajmniej usiądź. - Wskazał dłonią na wyłożone poduszkami siedzenia.

- Wolę zostać tutaj - oświadczyła. - Mam stąd bliżej do wyjścia.

- To czyste szaleństwo, Grace - zaprotestował. - Nawet gdyby nie szalał sztorm, w tym miejscu kąpiel jest niedozwolona.

- Nie zamierzam pływać. Odmawiam tylko słuchania twoich poleceń.

- Muszę ściągnąć żagle i uruchomić silnik.

- Przecież ci nie przeszkadzam. Nie zgadzam się tylko, żebyś zrobił mi zastrzyk.

- Czyżby to strzykawka była powodem całej wrzawy? - spytał. - Wyrzucę ją za burtę, skoro aż tak działa ci na nerwy.

Trzymając ją skierowaną igłą w dół, wyciągnął rękę przed siebie na wysokość bioder.

- Nie dziwię się, że chcesz to zrobić - odrzekła. - Musisz się pozbyć dowodu, prawda?

- Och, Boże! - W końcu dotarło do niego, o czym mówi Grace, i poraziła go świadomość tego faktu. - Och, mój Boże, bierzesz mnie za Johna Brodericka, który powrócił z zaświatów!

- John Broderick nigdy nie umarł.

Hayman ostrożnie wsunął strzykawkę do prawej kieszeni dzinsów.

- Nie wiem, co cię skłoniło do tego typu podejrzeń, Grace. Jako kolega muszę cię jednak ostrzec, że twoje zachowanie świadczy o poważnym zagrożeniu paranoją.

- To jedna z metod Brodericka, nieprawdaż? - spytała. - Tworzenie atmosfery obłądu wokół innych ludzi. - Głęboko zaczerpnęła powietrza. - Skąd wiedziałeś, że marihuana została umieszczona w słoiku z witaminami Cathy?

- Nie wiedziałem - odrzekł Hayman. - Domyśliłem się tego.

- Nie wierzę ci.

- Dlaczego? Powiedziałaś, że w organizmie dziewczynki wykryto obecność marihuany, a wiemy, w jaki sposób progestagen był podawany Marie... - Wlepił wzrok w Grace. - To ją miałaś przedtem na myśli, prawda? Ty naprawdę bierzesz mnie za Brodericka.

- Podaj mi jeden przekonywający dowód przeciwko mojej teorii.

- Gdybym miał czas, prawdopodobnie przytoczyłbym ich tysiące.

- Zadowolę się jednym. Jacht ponownie się przechylił.

- Muszę ściągnąć żagle, Grace, w przeciwnym razie grozi nam wywrotka.

- Powiedziałaś, żebyś sobie nie przeszkadzał - oświadczyła chłodno. Hayman zrobił krok, a gdy łódź wróciła do poprzedniego położenia, cofnął nogę. Zdjął okulary i przetarł oczy. Malował się w nich wyraz rozbawienia i gniewu.

- Musisz wiedzieć, Grace, że to, o czym mówisz, nie ma najmniejszego sensu.

- Udowodnij zatem, że nie jesteś Broderickiem.

- Zadanie to może okazać się obecnie dość trudne do wykonania, nie sądzisz?  
- Z powrotem włożył okulary. - Zdjęcie. Powiedziałaś, że je zdobyłaś. Czy masz je przy sobie?

- Dobrze wiesz. Czy nie przeszukałeś moich rzeczy, kiedy wczorajszej nocy zakradłeś się do mojego pokoju?

- Powiedziałem ci, co się stało ubiegłej nocy!

- Skłamałeś, twierdząc, że usłyszałeś mój płacz. Nic mi się nie śniło i nie płakałam.

- W porządku - odrzekł łagodnie. - Może tylko uległem złudzeniu. Przyszedłem sprawdzić, czy dobrze się czujesz.

- Czulałam się doskonale, dopóki nie usłyszałam, że wchodzisz do mojej sypialni.



- Jezu! - jęknął Hayman. - To do tego sprowadza się cała sprawa, że wszedłem tam, gdy spałaś...

- Powiedzmy, że ta wizyta nie zwiększyła mojego zaufania do ciebie.

- Czy przedtem też miałaś wątpliwości? - Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Niezupełnie.

- Co znaczy: „niezupełnie”?

- Powiedzmy, że nie czułam się całkiem swobodnie w twoim towarzystwie.

- Nie całkiem swobodnie. - Był teraz zły. - A zatem doktor Lucca, renomowany psycholog, nie czuła się zbyt swobodnie w moim towarzystwie i z tego faktu wyciągnęła daleko idące wnioski: uznała, że jestem mordercą, który powrócił z zaświatów. - Uderzył się dłonią w czoło. - Uważasz, że to ja zamordowałem rodziców Cathy Robbins, jej ciotkę i tę psychoterapeutkę? - Miał wykrzywioną twarz. - I pewnie sądzisz, że ojca twojego kochasia również dźgnąłem skalpelem! O Jezu!

Wiatr, który ucichł na kilka minut, zawył ponownie. Uderzał w „Ziębę”, która z jękiem pochylała się dziobem w morze.

- Może zajmiesz się wreszcie żaglami? - Strach Grace potęgował się z każdą sekundą. Obecnie nie umiała określić, czego bardziej się lęka: Haymana czy oceanu.

- Nie kiwnę palcem, dopóki nie przesuniesz się na środek łodzi. - Wyraźnie walczył, aby utrzymać kontrolę nad sobą. - Nie zamierzam dopuścić, aby cię spotkało cokolwiek złego, Grace. I udowodnię, że nie jestem Broderickiem, przysięgam. Tylko odsuń się od burty, a nic ci się nie stanie.

Utkwiła wzrok w jego twarzy, starając się przeniknąć szkła, którymi miał zasłonięte oczy. Próbowała przypomnieć sobie rysy Brodericka ze zdjęcia i nałożyć je na rysy Haymana.

- Dlaczego zadałeś sobie tyle trudu, by mnie odszukać na zjeździe? - spytała niespodziewanie.

- Wyjaśniłem ci, dlaczego!

- Ponieważ sądziłeś, że przypadek, którym się zajmuję, może mieć związek z zespołem Miichhausena?

- Właśnie.

- Tyle tylko, że kiedy kilka tygodni później doszłam do przekonania, iż jedynym podejrzanym jest Broderick, zmieniłeś zdanie co do jego odpowiedzialności za te zbrodnie, i doszedłeś do wniosku, że pomimo wszystko są dziełem Cathy.

- Ponieważ zauważyłem, że ogarnęła cię obsesja udowodnienia jej niewinności. I martwiłem się, abyś na skutek moich sugestii nie poszła błędną drogą. Mój Boże, Grace, gdybyś wiedziała, jak bardzo się mylisz...

- A może to ty prowadzisz ze mną jakąś grę? - Grace dyszała ciężko, jeszcze mocniej trzymając się relingu.

- Odsuń się od burty - rozkazał jej nagle Hayman.

- Daruj sobie te dyktatorskie zapędy. Już ci powiedziałam, że ani na krok się stąd nie ruszę!

- To, co robisz, jest niebezpieczne, Grace. Chcę, żebyś przesunęła się w głąb łodzi. - Znowu zbliżył się do niej z pociemniałą z gniewu twarzą.

- Nie waż się tknąć mnie palcem...

Odgłos i błysk wystrzelonej rakiety zaskoczył ich oboje. Podnieśli oczy i zobaczyli, że raca zatoczyła zgrabny łuk ponad ich głowami niczym mała, czerwona kometa.

- Co to takiego, u diabła? - Hayman oderwał wreszcie uwagę od Grace. Oboje jednocześnie spostrzegli zmierzającą w ich stronę motorówkę

i Grace natychmiast wiedziała, że Sam znajduje się na pokładzie, jeszcze zanim kogokolwiek zobaczyła.

- Jezu! - wrzasnął Hayman. - A cóż to za wariat?

- To Sam! - odkrzyknęła tryumfalnie.

Zrobił krok do tyłu i Grace zauważyła nagle, że włożył prawą dłoń do kieszeni spodni. Wiedziała, że ponownie sięgnął po strzykawkę - albo z zamiarem wyrzucenia jej za burzę, albo zrobienia zastrzyku.

- Wykluczone! - zawołała, chwytając go za rękę.

- Grace, przestań! - Wyrwał się i rzucił na nią, lewą ręką mocno oplatając ją w pasie. Usłyszała warkot i kątem oka spostrzegła, że motorówka zrównuje się z jachtem.

- Grace! - usłyszała wołanie Sama.

- Jezu, Becket! - rozległ się inny męski głos. - Jesteś niespełna rozumu! Obaj mężczyźni wrzeszczeli do siebie, starając się przekrzyczeć sztorm, ale Hayman

wciąż mocno obejmował Grace i nie mogła się obejrzeć, by zobaczyć, co się dzieje. „Zięba” przechyliła się ponownie, rzucając oboje na burtę i pozbawiając równowagi. Przez moment Grace nie mogła złapać oddechu. Spojrzała, że Hayman się podniósł, ale sama nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Wzdrygnęła się na odgłos głośnego huku. W momencie kiedy starała się usiąść, „Delia” uderzyła o burtę jachtu. I nagle przed oczami Grace pojawił się Sam; trzymając się relingu, wdrapał się na pokład i zmierzał w jej stronę.

- Uważaj, Grace!

Najpierw usłyszała trzask żagla i pękającego masztu, a chwilę potem rozległ się straszliwy jęk „Zięby”. Gdy miotana wichurą pikowała dziobem w dół, przywodziła na myśl olbrzymie, żywe, ciężko ranne stworzenie.

- O Boże! - wrzasnął Hayman. - Ona się wywraca!

Sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli. Grace poczuła nagle, że jest w wodzie, a już po chwili była pod powierzchnią, gdzie panowały nieprzeniknione ciemności. Ocean ją pochłaniał. Wiedziała, że tonie, a jedyne myśli, jakie w tamtym momencie cisnęły się jej do głowy, dotyczyły Sama, Claudii i Harry'ego - dokładnie w tej kolejności...

I to było wszystko.

# ROZDZIAŁ 57

---

Nie rób mi tego! Grace usłyszała obcy głos w chwili, kiedy odzyskała świadomość. Czyjeś ręce ugniatały jej plecy, aby usunąć wodę z płuc. Potem była zbyt pochłonięta kasłaniem i wymiotowaniem, by myśleć o czymkolwiek innym.

- Już dobrze - powiedział tamten głos.

Czyjeś ręce obróciły ją na wznak. Grace zobaczyła przed sobą blade, wystraszone oczy poniżej łysej czaszki i nagle wróciła rzeczywistość...

- Sam!

- W porządku, Grace - powiedział uspokajająco łysy mężczyzna, przytrzymując ją i nie pozwalając jej się podnieść. - Nazywam się Phil Kuntz. Wszystko będzie dobrze.

- Niech mnie pan puści! - poleciła, przybierając możliwie jak najbardziej stanowczy ton, ale jej głos wciąż miał zdławione brzmienie.

Mężczyzna puścił ją, a kiedy usiadła, zobaczyła, że znajdują się na pokładzie małej łodzi - motorówki, która zderzyła się z „Ziębą”.

- Gdzie jest Sam?

- W wodzie - odrzekł nieznajomy o nazwisku Kuntz.

- Gdzie? - Podjęła wysiłek, by stanąć na nogach i mężczyzna przyszedł jej z pomocą.

- Sam!

- Próbuje wyciągnąć tamtego faceta - wyjaśnił.

Grace wyrwała mu się, podbiegła do lewej burty i zobaczyła Sama. Był w wodzie, co jakiś czas wystawiał głowę nad powierzchnię i chciwie łapał powietrze.

- Sam!

„Delią” zakołysało i dopiero w tym momencie Grace zauważyła po prawej stronie przewróconą „Ziębę”.

- Sam! - zawołała. - Wracaj!

Podniósł rękę do góry, zaczerpnął kolejny duży haust powietrza i zanurkował.

- Och, mój Boże, co on robi? - Grace obejrzała się na Kuntza, zobaczyła, że miał na sobie kapok i spostrzegła drugi na siedzeniu za plecami mężczyzny.

- Dlaczego nic pan nie robi? Czemu nie przyjdzie mu pan z pomocą? I dlaczego Sam nie ma na sobie kapoka?

- Ponieważ ten pani zwariowany facet ściągnął go z siebie, aby móc nurkować. - Kuntz potrząsnął głową. - Nie mogę zrobić nic mądrzejszego, niż zostać razem z panią na pokładzie „Delii”. Jeśli znajdzie Haymana, będziemy mogli mu podać kamizelkę ratunkową, aby ponownie włożył ją na siebie. - Blade oczy były utkwione w wodzie. - Nawiązałem kontakt z służbami patrolującymi wybrzeże. Powinni przyplłynąć lada moment.

Grace ponownie utkwiała wzrok w oceanie. Po Samie nie było śladu.

- Proszę dać mi kamizelkę. - Starła się sięgnąć po drugi kapok. - Proszę mi ją podać. Skoro pan nie chce pomóc Samowi, ja to zrobię!

- Wykluczone, młoda damo. - Kuntz jedną ręką przytrzymał kamizelkę ratunkową, a drugą mocno chwycił Grace w pasie. - Nie teraz, kiedy pani chłopak zadał sobie tyle trudu, aby ocalić pani skórę.

Sam wynurzył się i łapczywie chwycił powietrze.

- Na miłość boską, Sam! - zawołała do niego Grace, przekrzykując wicher. - Przestań go szukać!

- Ona ma rację, człowieku! - wrzasnął stojący tuż obok niej Kuntz. - Niech pan wraca do łodzi!

Sam przecząco pokręcił głową i Grace spostrzegła, że nabiera kolejny olbrzymi haust powietrza. A potem wygiął się w łuk i z powrotem zniknął w głębinach niczym mocno umięśniona ciemna foka.

- On jest stuknięty - orzekł Kuntz. - Wykluczone, żeby w obecnych warunkach znalazł tamtego faceta.

- Musi pan coś zrobić - załkała Grace.

- Powiedziałem pani, że pomoc jest już w drodze.

Choć Kuntz nadal obejmował ją w pasie, Grace poczuła, że uginają się pod nią nogi. Podczas ostatnich kilku minut zapomniała o tym, jak bardzo źle się przedtem czuła. Resztki zdrowego rozsądku ostrzegły ją, że gdyby znalazła się w wodzie, prawdopodobnie musiałaby być ponownie ratowana...

Sam się wynurzył. Sposób, w jaki oddychał, a także naprężone mięśnie na jego karku świadczyły o tym, że zadanie, którego się podjął, z każdą chwilą staje się coraz trudniejsze.

- Sam, proszę cię, zrezygnuj - błagała go Grace załamującym się głosem.

- Nie mogę! - odpowiedział cicho i chrapliwie. Grace musiała dobrze nadstawić ucha, by go usłyszeć. - Nie pozwolę draniowi utonąć!

Ponownie nabrał do płuc powietrza. Nie ulegało wątpliwości, że szykuje się, aby dać kolejnego nura...

Z oddali dało się słyszeć wycie syreny oraz szum silnika. Grace i Kuntz obejrzeni się i zobaczyli zmierzającą w ich stronę motorówkę straży patrolującej rejon wybrzeża. Towarzyszyło jej kilka mniejszych łodzi.

- Sam, spójrz! - krzyknęła Grace. - Nadchodzi pomoc!

- Już może pan zaprzestać poszukiwań! - zawołał Kuntz.

- Nie zrobię tego, dopóki go nie odnajdę! - Sam nabrał powietrza i znowu zanurkował.

- Sam!

- Tutaj, chłopcy! - zawołał Kuntz do oficerów w łodzi patrolowej.

- Musicie mu pomóc! - wrzasnęła piskliwie Grace. - Jest w wodzie!

- Dwóch mężczyzn za burtą - oznajmił Kuntz tubalnym głosem. - Jeden czarny, a drugi biały!

Oficerowie wkładali swój ekwipunek. Grace zastanawiała się, dlaczego, do diabła, nie zrobili tego wcześniej.

- Czarnoskóry mężczyzna jest policjantem! - zawołał Kuntz. - Jego najpierw wyciągnijcie!

Grace spojrzała na jego brzydką, łysą głowę i miała ochotę go pocałować. A potem ponownie skierowała wzrok na dużą łódź motorową oraz na mężczyzn, którzy już siedzieli na burtach tyłem do wody, aby w sposób typowy dla zawodowych płetwonurków zrobić przewrót do tyłu i zniknąć w oceanie...

Grace nie wiedziała, czy wstrzymała oddech, czy po prostu przestała oddychać.

Pomyślała później, że gdyby moment bezdechu trwał kilka kolejnych sekund, z braku tlenu mogłaby ponownie zemdleć.



Najpierw zobaczyła wynurzającą się głowę jednego z płetwonurków.

- Och, dobry Boże - załkała i czepiając się kurczowo Kuntza, wbiła mu palce w prawe ramię. - Gdzie jest Sam? Gdzie Sam?

- Tam! - zawołał mężczyzna.

- Gdzie?

- Po prawej stronie burty!

Grace się obejrzała tak szybko, że znowu poczuła zawroty głowy i była bliska omdlenia. A potem zobaczyła Sama. Wyglądał na wyczerpanego, ale był żywy. Jeden z płetwonurków obejmował go ramieniem w pół i holował do dużej motorówki.

- Czy nic mu nie jest? - zawołała w ich kierunku Grace. Nikt jej nie odpowiedział.

- Czy dobrze się czuje? - krzyknęła.

Sam podniósł rękę w słabym geście pozdrowienia. Grace domyśliła się, że to do niej i ponownie się rozplakała.

- Nie chciałbym psuć pani zabawy, młoda damo - odezwał się Kuntz, który stał po jej lewej stronie. On też miał nieco roztrzęsiony głos. - Ale czy mogłaby pani zabrać swoje paznokcie z mojego ramienia, póki zostało mi jeszcze trochę całej skóry?

Poszukiwania Haymana prowadzono jeszcze przez kilka godzin, lecz bezskutecznie. Grace została o tym powiadomiona znacznie później, gdy we trójkę z Kuntzem byli już na łodzi, gdzie zaopiekowano się nimi, a potem musieli odpowiedzieć na kilka podstawowych pytań.

Sam przyszedł odwiedzić Grace w szpitalu dla marynarzy na wyspie Plantation Key. Była w milczącym i markotnym nastroju. Poza tym nie miała pewności, czy stacją na jakąś sensowną wypowiedź. On również nie wydawał się zbyt rozmowny. Grace, patrząc na Sama, domyśliła się, że odczuwa to samo co ona, w chwili kiedy zobaczyła go całego i zdrowego. Żadne z nich nie miało jednak ochoty na celebrowanie faktu ocalenia.

Wszystko wskazywało na to, że zginął człowiek. Nawet jeśli był nim Broderick - najwyższej klasy artysta w pozorowaniu ucieczek. W tym przypadku jednak symulacja nie wchodziła w grę - szukało go zbyt wielu ludzi.

A zatem było niemal całkiem pewne, że nie żyje. Przez Grace i przez Sama.

Gdyby okazało się, że Hayman i John Broderick to faktycznie jedna i ta sama osoba, to prawdopodobnie, w stosownym czasie, oboje uznaliby jego śmierć, tę po raz drugi, za zrządzenie losu.

Inna możliwość była nie do pomyślenia.

Grace pierwsza zadała to pytanie, przed Samem. Pomyślała, że on tego nie zrobi, w każdym razie nie dzisiejszego wieczora, z obawy, jaki skutek mogłoby wyrzucić na niej.

Ona jednak musiała to zrobić.

- A jeśli to nie on? Co będzie, jeśli się okaże, że był naprawdę Peterem Haymanem?

Sam nic nie odpowiedział, tylko mocniej przytulił ją do siebie, a w jego oczach malowała się udręka.

Na to pytanie nie było odpowiedzi.

A jeśli była, oboje zbyt się jej obawiali, żeby móc wypowiedzieć ją na głos.

# ROZDZIAŁ 58

---

Czwartek 2 1 maja 1998

Kolejne dni po zatonięciu „Zięby” nie przyniosły niczego dobrego, z wyjątkiem może tego, że z punktu widzenia Grace Claudia nie odstępowała jej ani na krok: była przy niej rano, wieczorem i w południe. Ciało Haymana nie zostało dotychczas odnalezione. Samowi dokuczały poważne bóle w plecach z powodu nadwężonych mięśni podczas akcji ratowniczej, a dodatkowo miał mnóstwo kłopotów z wydziałem policji w Miami Beach. Grace została poddana wszystkim możliwym testom, których wykonanie osobiście nadzorował David Becket, w celu sprawdzenia, co było powodem dolegliwości, które wystąpiły niespodziewanie w niedzielne przedpołudnie. Badania niczego jednak nie wykazały.

- Prawdopodobnie był to jakiś wirus - powiedziano jej w lecznicy dla marynarzy.

- Wszystko na to wskazuje - potwierdzili diagnozę lekarze w szpitalu miejskim w Miami po przeprowadzeniu kolejnych badań.

Grace zwykle robiła, co mogła, by uniknąć wszelkich zabiegów medycznych, w tym wypadku jednak była gotowa zgodzić się na wszystko, tak bardzo pragnęła dowieść słuszności swoich domysłów.

- Mogła to być infekcja, która rozwinęła się gwałtownie na skutek napięcia, jakie przeżywałaś. - Nawet David Becket zmuszony był to przyznać podczas jednej z wizyt.

- Chcesz powiedzieć, że wymyśliłam to sobie - uznała oschle.

- W infekcji nie ma nic zmyślnego.

- A zatem wyobraziłam sobie tylko, że mnie czymś zatruto, czyż nie?

- Żałuję, ale nie mogę tego wykluczyć.

Wiedziała, że żaden lekarz na świecie nie byłby bardziej szczery od Davida Becketa, który doskonale zdawał sobie sprawę z tego, z jakimi kłopotami boryka się obecnie jego syn.

Kapitan Hernandez, jego szef, i, co było ze wszystkiego najgorsze, wydział spraw wewnętrznych, tego samego dnia podjęli zgodną decyzję o zawieszeniu Sama w pełnieniu obowiązków służbowych do czasu zakończenia śledztwa, któ-

re za trzy dni miało się rozpocząć. Według kapitana, nie było w tym niczego zakakującego, zważywszy na wielość jego wykroczeń.

Po pierwsze, porzucił służbę w Miami i wykorzystał służbowy samochód do prywatnych celów.

Po drugie, posłużył się policyjną odznaką na obcym terenie i naraził na niebezpieczeństwo cywila, Phila Kuntza.

Po trzecie, nie zameldował o zaistniałej sytuacji szeryfowi z Monroc

Po czwarte, doprowadził do pogorszenia i tak już groźnej sytuacji na pokładzie „Zięby”. Rezultatem tego było zatonięcie łodzi i, prawdopodobnie, śmierć Petera Haymana, mieszkańca Key Largo.

- A zarzutów będzie jeszcze więcej - wyznał Sam podczas kolacji w domu Grace w czwartek, cztery dni po wypadku. - Wszystko zależy od tego, jak głęboką urazę żywi do mnie Phil Kuntz.

- Phil uważa cię za bohatera - zapewniła go. - Powiedział, że ratując mnie, wykazałeś się niebywałą odwagą. Uznał cię jednak za szaleńca,' kiedy po raz czwarty zanurkowałeś w poszukiwaniu Haymana.

- No cóż, może zmienić zdanie - zauważył Sam z ponurym realizmem. - Zmusiłem go do wyprowadzenia łodzi w morze w złą pogodę, zaproponowałem łapówkę. I groziłem mu, kiedy nie chciał się zgodzić, żeby użył jego raketnicy.

- Bałeś się o mnie - tłumaczyła Grace żalonym tonem. - To ja jestem wszystkim winna, Sam. Nigdy nie powinnam dopuścić do tego, aby znaleźć się w takiej sytuacji, zwłaszcza że od samego początku miałam wątpliwości. Podobno jestem doświadczonym psychologiem i dość rozumną kobietą, a tymczasem wchodząc na pokład „Zięby”, nie wykazałam się przezornością. A na dodatek kiedy już się tam znalazłam, zaczęłam reagować z przesadną nerwowością,

- Facet wbrew twojej woli chciał ci zrobić zastrzyk, Grace.

- Wiem, że chciał. - Potrząsnęła głową. - Wiem. I naprawdę sądziłam, że jestem w niebezpieczeństwie, które, jak się domyślałam, było...

- Nie zrozum mnie źle - przerwał jej Sam - lecz gdyby sytuacja się powtórzyła, zrobiłbym to samo. - Pokręcił głową. - Oczywiście nie przekonam moich przełożonych, że postąpiłem słusznie.

- Ale mnie tak - oświadczyła.

- W tym wypadku to się nie liczy - powiedział.

Najbardziej niezrozumiały, zdaniem Grace, był fakt, że nikt nie zdecydował się na zrobienie czegoś najbardziej oczywistego: na przeszukanie domu Petera Haymana. Sam również był z tego powodu zirytowany, choć lepiej od Grace znał się na przepisach regulujących takie sytuacje. Ciało Haymana nie zostało odnalezione. Nie udało się też odszukać żadnego członka jego rodziny. Okazało się, że faktycznie napisał dwie prace poświęcone zespołowi Munchhausena. Jego wydawca w Tampie był chętny do współpracy z policją i udostępnił szeryfowi z Monroe autorski kwestionariusz Haymana. Zwięzłe odpowiedzi psychiatry, napisane czarnym atramentem, określały jego status jako bezdzietnego kawalera. Jako swoją *alma mater* Hayman podał Uniwersytet stanu Waszyngton w Seattle. Szeryf nadal poszukiwał krewnych zaginionego, wykorzystując wszystkie metody, jakie zwykle stosuje się w tego rodzaju wypadkach. Wszelkie inne działania zostały chwilowo wstrzymane.

Grace i Sam dowiedzieli się o tych kilku faktach dzięki uprzejmości Ala Martinez (który na własną rękę podjął nieoficjalne śledztwo w celu zbadania wiarygodności zeznań Haymana i postanowił zasięgnąć informacji na uczelni w Seattle). Dzięki Martinezowi otrzymali również potwierdzenie tego, czego Sam się spodziewał: że dopóki Hayman oficjalnie nie zostanie uznany za zmarłego, nie ma wystarczającego powodu, aby władze zdecydowały się na zakłócenie jego prywatności i przeszukanie domu.

- Nie bierz pod uwagę moich podejrzeń, lecz zastanów się nad swoimi - poradziła Grace Samowi. - Nie jesteś ekscentrycznym cywilem, lecz oficerem policji.

- Zostałem zawieszony w pełnieniu obowiązków, Grace - odparł rzeczowym tonem. - Złamałem przepisy, nie dysponując nawet skrawkiem wiarygodnego dowodu, na który mógłbym się powołać.

W głębi duszy Sam był tak samo zirytowany, jak Grace. Ona wszakże nie słyszała słów, jakie pod ich adresem skierował Martinez. Al oświadczył, że zwariowana psycholog i jej kochanek, policjant-nieudacznik, nie mają podstaw, aby wystąpić o sądowy nakaz rewizji kosza na śmiecie, a co dopiero mówić o domu uczciwego obywatela.

Z tuzin razy analizowali wydarzenia poprzedniej niedzieli i za każdym razem zarówno Samowi, jak i Grace nasuwał się taki sam wniosek. Chociaż praca była dla detektywa wszystkim, ani przez moment nie żałował, że przyszedł Grace z pomocą, kiedy znalazła się w niebezpieczeństwie. A był święcie przekonany o tym, że groziła jej utrata życia. Kiedy zobaczył, jak walczyła z mężczyzną, który mógł być mordercą, uznał, że nie ma wyboru.

I w tym tkwił problem.

Nie mieli pewności, czy Hayman rzeczywiście był mordercą.

Nie wiedzieli, czy rzeczywiście nie jest tym, za kogo się podawał: psychiatrą, którego jedyny dotychczas udowodniony występki stanowiło napędzenie strachu Grace, kiedy to złożył wizytę w jej sypialni w późnych godzinach nocnych z soboty na niedzielę.

Choroba, która tak gwałtownie ją zaatakowała, minęła równie prędko, jak się pojawiła. I nie było sposobu, by sprawdzić, czym została nasączona gaza, którą Hayman przyłożył do rany, ponieważ opatrunek doszczętnie się przemoczył, podobnie jak całe ubranie, kiedy Grace wpadła do wody. A tajemnicę dotyczącą czegoś, co zawierała strzykawka, Hayman zabrał ze sobą do grobu w głębinach oceanu.

Grace zastanawiała się nad tym wszystkim nieustannie - zarówno w pojedynkę, jak i z Samem - szukając w pamięci jakiejś wskazówki, która mogłaby okazać się pomocna. Detektyw zwrócił jej uwagę na fakt, że przed upozorowaniem utonięcia Broderick dwukrotnie próbował targnąć się na życie, podcinając sobie nadgarstki i podrzynając gardło, ale choć wysilała umysł, nie mogła sobie przypomnieć śladów blizn na rękach ani na szyi Haymana.

Uzmysłowiła sobie, że za każdym razem, kiedy go widziała, miał ubranie z długimi rękawami oraz zakrytą szyję. Ale nawet jeśli to utwierdzało ich oboje w podejrzeniach, ów fakt prawdopodobnie nie mógł być uznany nawet za dowód pośredni. Innymi słowy, wiedzieli, że jeśli ocean nie wyrzuci w stosunkowo niedługim czasie ciała, na zawsze pozostanie tajemnicą, czy znajdują się na nim ślady blizn, które mogłyby wskazywać, że Peter Hayman to Broderick.

A tymczasem Haymana - podobnie jak kiedyś Brodericka - wciąż uważano za zaginionego, nie za zmarłego.

Bo jakież inny los mógł spotkać człowieka, który podczas sztormu wypadł za burtę do oceanu? Przed incydem na wyspach różni ludzie w rozmowach z Grace w ten właśnie sposób kwitowali jej sugestię o możliwości przeżycia Brodericka. I teraz miała świadomość, że podała im argumenty na tacy.

Rozterka, jaką odczuwała Grace wkrótce po zatonięciu „Zięby”, przerodziła się obecnie w silne poczucie winy. Gdyby nie zareagowała tak histerycznie, w tak nieprofesjonalny sposób... i Sam nie zobaczyłby, jak się szamotała z Haymanem...



Wszystkie podejrzania razem i każde z osobna teraz, kiedy się nad nimi zastanowiła, wydawały się nieistotne. Mogły okazać się nawet wymysłem jej fantazji.

A najważniejsze było to, że może niewinny człowiek - uczciwy, przyzwoity człowiek - stracił przez nią życie.

TLR

# ROZDZIAŁ 59

---

Środa, 27 maja 1998

Hayman nie został odnaleziony - ani żywy, ani martwy. Sam nadal był zawieszony w wykonywaniu obowiązków służbowych i po raz pierwszy mógł całkowicie skupić się na operze oraz na swojej roli w „Trubadurze”.

Cathy wciąż przebywała w więzieniu dla kobiet. Grace tylko raz ją odwiedziła. Nastolatka wydawała się przygnębiona i apatyczna. Po wyjściu Grace przeżywała katusze, ponieważ nie miała jej do zaoferowania nawet krztyny pociechy. Jedyną podtrzymującą na duchu nowiną była ta, że David, kiedy już w pełni powrócił do zdrowia, dwukrotnie odwiedził Cathy; Sam przypomniał sobie, żeby go o to poprosić, a po śmierci Anny Valdez Judy przestała się sprzeciwiać tym wizytom.

Grace pragnęła, aby ktoś uznał, że sprawa Valdez wyjaśnia sytuację Cathy, lecz tak się nie stało.

Nie była pewna, czy zdoła ponownie spojrzeć dziewczynce w oczy.

Sam nie mógł się dostać do akt sprawy, a nie chciał nadużywać uprzejmości Ala Martineza. Zwrócił się więc z prośbą do ojca, ażeby za pośrednictwem swojego znajomego ze szpitala w Lafayette zdobył jeszcze jedno zdjęcie Johna Brodericka. Nadeszło trzy dni później, w ostatnią środę maja, i detektyw od razu przyniósł je do Grace. Wziął też ze sobą podobiznę Petera Haymana, którą umieszczono z tyłu obwoluty jednej z napisanych przez niego książek.

Grace długo przyglądała się obu fotografiom.

- Dostrzegasz jakieś podobieństwo? - zapytał w końcu Sam.

Tak mocno wytężyła wzrok, że od patrzenia rozboleły ją oczy.

- Raczej nie.

- Wiemy, że byli podobnego wzrostu.

- Tak, ale to ich jedyna wspólna cecha - orzekła.

Obaj zaginieni diametralnie różnili się od siebie. Broderick, blondyn o błękitnych oczach i okrągłej twarzy, miał nadwagę, duży nos i wąskie usta. Hayman był mężczyzną szczupłej budowy o ciemnych włosach i oczach, oraz o regular-

nym kształcie nosa i ust. Oczywiście mógł, o czym już dyskutowali, przyciemnić sobie włosy i nosić szkła kontaktowe. Mógł także bardzo schudnąć, a także zmienić kształt nosa, ust i twarzy. Jednak dopiero w momencie odnalezienia zwłok istniała szansa na stwierdzenie, czy poddał się operacji plastycznej; o ile chciwy ocean zbyt długo nie przetrzyma jego ciała i nie ulegnie ono całkowitemu rozkładowi, a lekarz sądowy będzie mógł orzec, czy kości twarzy denata były poddawane zabiegom chirurgicznym.

- Kiedy po raz pierwszy zobaczyłaś zdjęcie Brodericka, jego rysy wydały ci się znajome - przypomniał Sam Grace.

- Tak, pamiętam.

- Nie uważasz, że to z powodu podobieństwa do Haymana, prawda?

- Nie wiem. - Grace była zdenerwowana i bliska płaczu. - Nie mam pojęcia.

Sam pogłaskał ją po policzku.

- Nie denerwuj się, Grace.

Przez moment nie ufała sobie na tyle, aby się odezwać.

- Zacząłem się zastanawiać, czy nie pokazać zdjęcia Haymana Cathy

- powiedział powoli Sam. - W pierwszej chwili pomyślałem, że byłoby to dla niej zbyt ciężkie przeżycie. Potem jednak doszedłem do wniosku, że biorąc pod uwagę obecny stan dziewczynki, nie będzie to dla niej miało większego znaczenia.

- Kiedy po raz ostatni widziała swojego ojca, była małym dzieckiem - zauważyła Grace. - Gdyby istniał bodaj cień nadziei na to, że rozpozna Haymana, myślę, że głosowałabym za podjęciem tego ryzyka. Szczerze mówiąc jednak, byłby to cud, gdyby skojarzyła tę twarz z twarzą osoby, o której za wszelką cenę pragnęła zapomnieć.

- Nawet gdyby go rozpoznała, jej zeznanie można byłoby uznać za dopuszczalny dowód dopiero wtedy, gdyby zostało złożone w obecności świadka zatwierdzonego przez prokuratora stanowego. Natomiast gdyby nie rozpoznała Haymana, znowu znalazłaby się w punkcie wyjścia. A ponadto w pierwszym wypadku oskarżyciel mógłby powiedzieć, że chce ocalić własną skórę.

Przez jakiś czas Grace i Sam zajmowali się rozwiązywaniem tej łamigłówki. Sam zapoznał Grace z dokładnymi datami oraz miejscami wszystkich makabrycznych ataków mordercy posługującego się skalpelem, a ona, wykorzystując

całą swoją skąpą wiedzę o poczynaniach Petera Haymana, starała się stwierdzić, czy znane jej fakty wykluczają go z grona podejrzanych.

Okazało się, niestety, że wie o wiele za mało.

Marie i Arnold Robbinsowie zostali zamordowani we wczesnych godzinach rannych w piątek, 3 kwietnia, a Beatrice Flager około czwartej nad ranem we środę, 8 kwietnia. Do wszystkich trzech zabójstw doszło jeszcze zanim Grace poznała Haymana na zjeździe w Westin, na Key Largo, 13 kwietnia. Ojciec Sama został zaatakowany w swoim gabinecie w centrum Miami tydzień później, 20 kwietnia - około ośmiu godzin po wspólnej kolacji Grace z Haymanem w jego domu. Nie mieli pewności, czy sprawcą zabójstwa Anny Valdez jest ta sama osoba, która zaatakowała doktora Becketa i inne ofiary. Wątpliwości nie budził jednak fakt, że teoretycznie Hayman mógł przyjechać do Miami i ugodzić Davida ostrym narzędziem.

Frances Dean poniosła śmierć wczesnym rankiem we wtorek, 21 kwietnia, a Annę Valdez zamordowano o świcie w niedzielę, 17 maja.

- Byłaś wtedy razem z Haymanem w jego domu - przypomniał Sam Grace.

- Nie mam pojęcia, co robił w nocy - wyznała. - Wiem tylko, że o drugiej trzydzieści zajrzał do mojego pokoju i stał obok łóżka kilka minut. Potem usłyszałam tylko trzask zamykanych drzwi...

- Ale nie były to drzwi frontowe - zauważył Sam.

- Nie wiem. Po prostu jakieś drzwi.

- Nie słyszałaś samochodu?

- Nie - odpowiedziała. - Nie oznacza to jednak, że Hayman spędził resztę nocy w domu. Zobaczyłam go dopiero nazajutrz, o dziewiątej rano, kiedy szykował śniadanie w kuchni.

Musieli wziąć jeszcze pod uwagę zapiski w dzienniku Cathy, które Sam uznał za nieprzekonujące od pierwszej chwili, kiedy je zobaczył. Pierwsze dwie notatki na komputerze Cathy sporządzono 31 marca oraz 9 kwietnia. Obie daty należały do okresu poprzedzającego pierwsze spotkanie Grace i Haymana, a ostatni wpis pochodził z soboty, 18 kwietnia, na dzień przed telefonem od Petera, kiedy to zaprosił ją do siebie, na Key Largo. I znowu nie znaleźli żadnych podstaw, by wykluczyć psychiatrę z kręgu podejrzanych, ale nie znaleźli też dowodu na potwierdzenie hipotezy, że miał dostęp do komputera Cathy.

Tego wieczora, kiedy Sam i Grace porównywali zdjęcia Brodericka i Haymana, do Sama zatelefonował Martinez.

- Na uniwersytecie w Seattle nie ma absolutnie żadnych śladów, które świadczyłyby, że Peter Hayman tam studiował.

Sam staczał ze sobą walkę, aby nie robić sobie przedwczesnych nadziei.

- Sprawdziłeś dokumenty?

- Akty urodzin, ślubów oraz świadectwa maturalne - odpowiedział Martinez.

- I?

- Zupełnie nic. - Martinez umilkł. - W szpitalu w Seattle również nie znaleziono żadnych jego akt. A Angie Carlino twierdzi, że żaden psychiatra o tym nazwisku i rysopisie nigdy nie pracował ani w St Pete, ani w żadnym innym mieście na zachodnim wybrzeżu Florydy.

- W porządku - odpowiedział Sam.

- Co to może oznaczać? - zapytała Grace, gdy Sam przekazał jej najnowsze wieści. - Czy możemy w jakiś sposób wykorzystać ten całkowity brak informacji o Haymanie?

- Na razie nie - odrzekł. - Możemy tylko pozwolić sobie na nadzieję, że Hayman nie był tym, za kogo się podawał. Co może oznaczać, że nie jesteśmy w takim stopniu winni, jak się tego obawialiśmy. - - To rzeczywiście niewiele - przyznała Grace.

- Ale lepsze niż nic - orzekł Sam.

Grace wróciła do pracy. Przeprowadziła przedtem długą rozmowę telefoniczną z doktor Magdą Shrike, która była jej opiekunem naukowym na uniwersytecie w Miami i kilka lat temu przeniosła się do San Francisco. Grace uznała, że znajduje się na granicy utraty wiary w siebie i pragnęła, ażeby ktoś, komu ufała i kogo darzyła szacunkiem, uspokoił ją i zapewnił, że pomimo własnych problemów jedynym rozsądnym i bezpiecznym dla niej rozwiązaniem jest dalsza praca z pacjentami.

- A czy, twoim zdaniem, byłoby to bezpieczne? - odpowiedziała pytaniem Magda.

Grace wiedziała, do czego zmierza lekarka.

Rzuciła piłeczkę, którą Magda odbiła w jej stronę, co niewątpliwie było rozsądnym posunięciem, skoro piłeczka należała do Grace.

- Myślę, że tak - odrzekła. - A może tylko się łudzę.

- Czyż tego rodzaju wątpliwości nie są nierozzerwalnie związane z naszą pracą? - przypomniała jej Magda. - Nie jesteśmy kardiochirurgami, Grace, i nasze błędy nie odbijają się natychmiast na naszych pacjentach, ani, dzięki Bogu, nie okazują się dla nich zabójcze. I czy kiedykolwiek naprawdę możemy być pewni skuteczności naszych działań? Grace uśmiechnęła się do słuchawki.

- Czy w ten sposób dajesz mi do zrozumienia, że mogę spokojnie wrócić do mojej pracy, Magdo?

- Niczego więcej ode mnie nie wyciągniesz.

Dora Rabinovitch zaczęła ponownie zapisywać wizyty, a Grace przyrzekła sobie, że jeśli zauważy we własnym zachowaniu jakieś symptomy pourazowe, które mogłyby zakłócić jej trzeźwy osąd sytuacji podczas spotkań z pacjentami, powróci do kwestii dalszego wykonywania pracy, a może nawet zastanowi się, czy nie zasięgnąć porady specjalisty.

Dora okazywała jej wielką pomoc, a Claudia telefonowała codziennie, ażeby sprawdzić, jak siostra sobie radzi. Grace i Sam regularnie umawiali się na spokojne kolacje, ale żadne z nich nie uważało za stosowne, by kontynuować to, co przerwali tamtego wieczora, kiedy zaczął dzwonić pager.

Jednak najwierniejszym towarzyszem Grace był Harry. I najwyraźniej nie dopuszczał do siebie myśli, że jego pani mogła przyczynić się do śmierci niewinnego człowieka.



# ROZDZIAŁ 60

---

Poniedziałek, 1 czerwca 1998

Zanim sytuacja uległa poprawie, pogorszyła się jeszcze bardziej. Al Martinez powiedział Samowi, że doszło do kolejnego ataku z użyciem skalpela na chirurga, tym razem w Dania, i że znajomy lekarz sądowy zasugerował, że może sprawa doktora Becketa wymaga ponownego zbadania. Jednakże nikt z ekipy śledczej prowadzącej dochodzenie zarówno w sprawie napaści w Dania, jak i zabójstwa Anny Valdez w Miami, nie znalazł na tyle przekonującego dowodu, ażeby wycofać oskarżenie przeciwko Cathy o ugodzenie ostrym narzędziem Davida Becketa. Martinez był zdania, że nawet gdyby pojawiły się takie dowody, nie pomogłyby Cathy, wobec powszechnie panującej opinii, że ataki na lekarzy nie mają związku z pozostałymi zabójstwami z użyciem narzędzia chirurgicznego.

We wtorkowe popołudnie pochowano Frances Dean tuż obok świeżych grobów jej siostry oraz szwagra na cmentarzu pod wezwaniem Naszej Pani Miłosierdzia w Miami. W ten duszny i wyjątkowo parny dzień Cathy - niedawno oskarżona - stała w kajdankach przy grobie. Tym razem została skuta. W pogrzebie rodziców uczestniczyła przynajmniej jedna jej przyjaciółka. Teraz nie było ani Jill, ani żadnej innej koleżanki.

Grace przyszła na cmentarz przez wzgląd na dziewczynkę. Stała w pewnej odległości od Sama i Martineza. Zrobiło się jej ciepło na sercu, kiedy w nielicznym gronie żałobników dostrzegła Davida i Judy Becke-tów. Miała ochotę podejść bliżej do rozpaczającej nastolatki o wystraszonym spojrzeniu, lecz jej na to nie zezwolono. Jediną osobą, która mogła przebywać tuż obok oskarżonej, był Jerry Wagner. Grace zauważyła z wdzięcznością, że adwokat, chcąc podtrzymać na duchu swoją klientkę, ścisnął ją za rękę i co jakiś czas szeptał, najwyraźniej pragnąc pomóc jej w przetrwaniu tej smutnej uroczystości.

Grace, Sam i nawet Martinez przyznali potem zgodnie przy trzeciej szklance Jacka Daniela - Martinez nie pełnił tego dnia służby - że niemożliwe było wówczas skupienie się na nabożeństwie żałobnym, na wspomnieniach o Frances Dean czy nawet na uczuciach Cathy.

Od samego początku do końca uroczystości ich uwagę całkowicie pochłaniały połączone łańcuchem żelazne obręcze powyżej nadgarstków nastolatki.

W czwartkowe popołudnie Cathy powiadomiła strażniczkę w pralni, że odczuwa silne bóle menstruacyjne i musi się na chwilę położyć. Na pytanie, czy nie chce pójść do więziennego szpitala, odrzekła, że potrzebuje jedynie kilku minut odpoczynku. Pozwolono jej odpocząć.

Po trzydziestu pięciu minutach zauważono zaginięcie Cathy. Dziesięć minut później dwie inne strażniczki znalazły ją na bloku z natryskami. Zwisiała z prysznicą, powieszona na skręconym i powiązanym więziennym ubraniu. Żyła, ale była na wpół przytomna. Wyglądało na to, że oprócz kilku otarć na szyi i na gardle nie odniosła żadnych poważniejszych obrażeń.

W czwartkowy wieczór Eric Pares zatelefonował do Grace, aby ją o tym zawiadomić.

- Cathy przebywa w szpitalu miejskim w Miami, doktor Lucca. Fizycznie nic jej nie dolega, ale zatrzymano ją tam na trzy doby na obserwacji.

- Czy otrzymam pozwolenie na odwiedzin? - Grace dudniło serce.

- Zna pani doktora Rajiva Khana, psychiatrę? - zapytał Pares.

- Słabo. - Grace przypomniała sobie Khana - niskiego, szczupłego mężczyznę o ciepłych, smutnych oczach i o miłym uśmiechu. - Czy to on opiekuje się dziewczynką?

- Powiedziałem mu o pani zainteresowaniu Cathy. Doktor Khan zapewnił, że chętnie z panią porozmawia, gdy jutro przyjdzie pani do niej z wizytą. Oczywiście, o ile znajdzie pani czas.

- Widział się pan z nią? - spytała Grace Paresa.

- Tylko przez chwilę - odrzekł. - Jest milcząca i przygnębiona... o wiele bardziej, niż się tego spodziewałem. - Umilkł. - Nie odniosłem jednak wrażenia, aby bardzo żałowała, że ją odratowano.

- Dziękuję, doktorze.

- Niczego nie zrobiłem.

- To miło z pana strony, że mnie pan zawiadomił.

- Myślę, że wiem, co pani czuje, doktor Lucca. Ja też nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ogromnie zawiodłem Cathy.

Grace spotkała się z doktorem Rajivem Khanem w piątkowe popołudnie przed zamkniętymi drzwiami oddziału, na którym przebywała nastolatka. Psy-

chiatra wyglądał dokładnie tak, jak Grace go zapamiętała. W jego oczach jak zwykle malował się smutek.

- Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, dlaczego chciała umrzeć - powiedział.

- Sądzi pan, że naprawdę miała taki zamiar? - Ponownie ogarnęły ją mdłości, tym razem wiedziała jednak, że ich powodem jest paraliżujący strach przed momentem, kiedy będzie musiała stanąć twarzą w twarz z Cathy.

- Obawiam się, że tak - oświadczył doktor Khan. - Cathy mi powiedziała, że we wtorek po pogrzebie swojej ciotki doszła do wniosku, iż nie zniesie więcej bólu, a jest przekonana, że żaden sąd nigdy nie uwierzy w jej niewinność.

- Doktor Pares uważa, że nie jest zbyt zawiedziona tym, że ją odratowano.

- Myślę, że to rzetelna opinia - orzekł Khan. - Cathy przewidywała, jak przypuszczam, że może to jej się nie udać za pierwszym razem.

Grace poczuła na plecach ciarki.

- Za pierwszym razem.

- Niestety, tak - odrzekł Khan. - Muszę przyznać, że Cathy wydaje się myśleć jasno i logicznie. W każdym razie takie sprawia wrażenie. Fakt, że nie umarła, może oznaczać, jak oświadczyła dzisiaj rano podczas rozmowy ze mną, że warto jeszcze trochę pożyć.

- Aż do następnego razu, kiedy uzna, że dłużej nie zniesie tego wszystkiego - dopowiedziała cicho Grace.

- Niestety tak - przyznał Khan. - Doktor Pares wygląda na człowieka, któremu nie jest obojętny los innych.

- Chyba rzeczywiście tak jest, dzięki Bogu. - Grace umilkła. - Czy wierzy pan Cathy?

- W to, że przez jakiś czas nie będzie próbowała odebrać sobie życia?

- Tak.

- Kiedy to mówiła, odniosłem wrażenie, że jest ze mną szczerą. - Khan był zbyt rozsądny, ażeby brać na siebie odpowiedzialność za słowa pacjentki.

- Jakie są pana wrażenia co do jej ogólnego stanu umysłowego? - spytała Grace.

Posłał jej słodki, uprzejmy uśmiech, jaki dobrze pamiętała.

- Poznałem ją przed niespełna dwudziestoma czterema godzinami, doktor Lucca. Cathy wygląda na osobę w pełni poczytalną. - Pokwiał głową. - Najbardziej niepokojący wydaje mi się fakt, że tak długo zwlekała z wołaniem o pomoc.

- Cathy jest niezwykle silna - oświadczyła Grace.

- Nikt nie jest tak silny, aby wytrzymać to, przez co ona przeszła.

- Pan również czuje, że ona jest niewinna, prawda, doktorze Khan?

Uśmiech Rajiva Khana stał się równie smutny, jak wyraz jego oczu.

- Ale ja nie zasiadam na ławie przysięgłych, doktor Lucca - przypomniał jej.

Otarcia na szyi były szokująco żywe na tle straszliwie bladej skóry Cathy. Dziewczynka miała przetłuszczone włosy, odgarnięte z twarzy i spięte z tyłu. Kiedy Grace szła w stronę łóżka dziewczynki i starała wziąć się w garść przed czekającym ją spotkaniem, uzmysłowiła sobie jeszcze jeden szokujący fakt: zbliżając się do niej, nie odnosiła wrażenia, że jest psychologiem ani nie czuła tego, co powinna odczuwać. Jej emocjonalny stosunek do Cathy wykraczał poza zwykłą zawodową troskę i był o wiele głębszy. O wiele. Miała poczucie, że jest jej bliską przyjaciółką albo krewną. A nawet matką.

Złe wieści, Lucca.

Opanowała odruch pocałowania dziewczynki, a nawet pogłaskania jej po włosach.

- Witaj, Cathy.

Błękitne oczy wypełniły się łzami.

- Przykro mi, Grace. - Głos nastolatki miał ochryple brzmienie.

- Mnie również.

Grace usiadła na twardym plastikowym krześle przy łóżku i przyglądała się ustom Cathy, które przez moment drżały, gdy dziewczynka starała się opanować. Grace już chciała powiedzieć, żeby dała upust swoim emocjom, ale pozwoliła jej na samodzielną próbę poradzenia sobie z uczuciami.

- Wiem, że cię zawiodłam - wyznała Cathy, kiedy wreszcie zdołała się odezwać.

- Ja też - odpowiedziała Grace.

- Naprawdę, jest mi bardzo przykro, Grace.

Do lewej ręki Cathy była podłączona kroplówka z glukozą. Grace domyśliła się, że dziewczynka nic nie jadła - może z powodu zranionego gardła, a może z braku apetytu. Pragnęła wziąć Cathy za prawą rękę, zawahała się jednak przez moment, jak gdyby obawiała się niestosowności takiego gestu. Zaraz jednak uzmysłowiła sobie, że podczas sesji ścisłała dłonie wielu dzieci.

Sięgnęła po rękę Cathy. Dłoń była bardzo zimna.

- Cieszę się, że żyjesz - powiedziała. W jej głosie brzmiało drzenie, ale nic nie mogła na to poradzić.

- Dlaczego cię to ucieszyło? - spytała Cathy. .

- A dlaczego o to pytasz? - Teraz jest lepiej, Lucca, wetuj się w swoją rolę i ukryj za maską psychologa.

- Ponieważ sprawiam ci tylko same kłopoty.

- Nie sprawiasz mi żadnych kłopotów, Cathy. - Grace nadal trzymała w uścisku zimne palce dziewczynki.

- Ależ sprawiam. - Łzy potoczyły się po jej policzkach i nie podjęła najmniejszego wysiłku, by je wytrzeć. - Byłam niedobra, obwiniałam cię o różne rzeczy, za które nie ponosiłaś odpowiedzialności. - Ciekło jej z nosa. - A teraz nawet nie udało mi się umrzeć i dlatego tutaj jesteś -musiałaś przyjść i ponownie zobaczyć się ze mną. Gdybym się lepiej postarała, być może czekałoby cię tylko pójście na mój pogrzeb - kolejna uroczystość żałobna. Ale przynajmniej potem nie musiałabyś się więcej ze mną spotykać.

- I sądzisz, że tak byłoby lepiej?

Cathy, wciąż pochlipując, wzruszyła ramionami.

- Dla mnie tak.

Grace nie odzywała się, nadal trzymając ją za rękę. Gorączkowo myślała, co powiedzieć, zdając sobie sprawę, jak ważne jest, by w tym momencie użyć właściwych słów. Wiedziała też, że jeśli ich nie znajdzie, lepszym rozwiązaniem będzie milczenie.

Jej następne pytanie miało fundamentalne znaczenie.

- Dlaczego dałaś za wygraną, Cathy?

- A ty nie dałeś?

- Nie, absolutnie nie - zapewniła dziewczynkę.

- Dlaczego nie?

- Dlatego, że nadal w ciebie wierzę. I nie jestem w tym odosobniona. Lista osób dzielących moją opinię o tobie coraz bardziej się wydłuża - powoli, ale systematycznie.

- Jak się miewa detektyw Becket? - zapytała niespodziewanie Cathy.

- Dziękuję, dobrze. - Grace nie wiedziała, czy w więzieniu rozniosły się już plotki o tym, co zaszło na wyspach Key. Jeśli Cathy jeszcze o niczym nie wiedziała, lepiej, żeby tak zostało.

- Wiesz, że jego ojciec przyszedł mnie odwiedzić?

- Tak, wiem.

- Powiedział, że bym byłaś airtlzapewi^ae^p^a zwycięży.

- Ma rację. Cathy cofnęła rękę.

- Chciałabym mu wierzyć.

- Wiem, że to nie jest łatwe, Cathy.

- Zapytałam doktora Becketa o kobietę, która została zabita skalpelem w gabinecie lekarskim kilka tygodni temu. Początkowo nie chciał o tym ze mną rozmawiać, ale zanudzałam go pytaniami i w końcu zgodził się opowiedzieć mi wszystko.

W miarę gdy mówiła, jej głos stawał się coraz bardziej chrapliwy. Grace nie chciała jednak przerywać Cathy - jej potrzeba rozmawiania była teraz ważniejsza niż bolące gardło.

- Atak ten dowodzi, zdaniem doktora Becketa, że nie mylił się co do mojej niewinności. I jeśli policjanci, a także prokurator stanowy, uznają tę prawdę, przestaną posądzać mnie o zamordowanie kogokolwiek. - Znowu drżały jej usta i ciekło z nosa. - Pan Wagner uważa jednak, że ta sprawa niekoniecznie będzie miała wpływ na zmianę oskarżenia, ponieważ doktor Becket oraz Anna Valdez zostali ugodzeni skalpelami skradzionymi z gabinetów, a to wskazuje na innego sprawcę. - Cathy z trudem przełknęła ślinę, na sekundę zamknęła oczy i zaraz ponownie je otworzyła. - Pan Wagner był miły. Teraz, kiedy go lepiej poznałam, uważam, że jest w porządku. Powiedział, że nie chciałby rozbudzać we mnie płonnych nadziei. - Umilkła. Grace nie odezwała się, czekając na to, co jeszcze powie dziewczynka. - Może dlatego poddałam się i przestałam wierzyć w słowa doktora Becketa - o zwycięstwie prawdy.



- Och, Cathy - powiedziała Grace. - Jest mi niezwykle przykro z powodu tego wszystkiego, przez co przechodzisz.

- Wiem o tym - zapewniła ją Cathy. - I nie winię Harry'ego za to, że odkopał ten okropny skalpel.

- Powiem mu. - Grace się uśmiechnęła. - Ta wiadomość sprawi mu wielką ulgę.

- I dodaj, że nadal uważam go za świetnego psa.

- Mam nadzieję, że wkrótce sama będziesz mogła mu o tym powiedzieć.

- Psów nie wpuszczają do więzienia, Grace.

- Nie miałam na myśli więzienia.

- Wiem, że nie miałaś - odrzekła Cathy, a jej słowa zabrzmiały %ar-dzo cicho, niemal jak westchnienie.

Grace pochyliła się do przodu, z uwagą wpatrując się w nastolatkę.

- Czy od tej pory muszę przez cały czas drzeć o ciebie, Cathy? <sup>!</sup> Wytrzymanie spojrzenia Grace sprawiło dziewczynce wyraźną trudność, ale nie odwróciła wzroku.

- Pytasz mnie, czy znowu nie spróbuję odebrać sobie życia, prawda?

- Tak, właśnie o to.

Cathy przygryzła górną wargę i przez moment przytrzymała ją w zębach, jak gdyby namyślając się nad tym, co powiedzieć.

Grace miała nadzieję i modliła się w duchu o to, aby odpowiedź Cathy była szczerą. Tylko wtedy można by spróbować jakoś zaradzić sytuacji.

- Więcej tego nie zrobię, Grace - oznajmiła w końcu nastolatka. - Przynajmniej do zakończenia procesu. - Już nie patrzyła jej w oczy. - Nie potrafię jednak przewidzieć, co stanie się potem.

# ROZDZIAŁ 61

---

Poniedziałek. 8 czerwca. 1998

O jedenastej przed południem, kiedy Sam po długim okresie zaniedbania zabrał się wreszcie do porządków w swoim małym mieszkaniu urządzonego w stylu art deco, zadzwonił do niego kapitan Hernandez. Od momentu tragicznych wydarzeń na wyspach kapitan czterokrotnie zwymyślał Sama, nazywając go pieprzonym idiotą i zakałą wydziału. Użył nawet jeszcze bardziej dobitnych epitetów. Nic zatem dziwnego, że dźwięk głosu szefa nie sprawił detektywa w radosny nastrój.

- Na pewno zainteresuje cię wiadomość, że szeryf z Monroe wystąpił o nakaz rewizji w domu Haymana.

Samowi zawirowało w głowie. Hernandez zadał sobie trud, aby do niego zadzwonić!

- Jak do tego doszło, kapitanie?

- Kilkakrotnie rozmawialiśmy na ten temat. Sprawa utknęła w martwym punkcie. Nadal nie znaleziono ciała ani żadnych krewnych denata. W tej sytuacji uznaliśmy, że to jedyne słuszne rozwiązanie.

Racja, kapitanie.

- Nie sędzę, by istniała szansa...

- Wykluczone, Becket.

Sam zatelefonował do Grace. Złapał ją w przerwie pomiędzy kolejnymi sesjami.

- Powiedz im o zamkniętym na klucz pokoju - powiedziała.

- Co to za pokój?

- Nie mówiłam ci?

- Nie przypominam sobie

- Jak to możliwe!

- Co to za pokój, Grace?

- Prawdopodobnie to nic ważnego - uznała.
- Grace, nie trzymaj mnie dłużej w napięciu.

\*

We wtorek po południu, kiedy Sam polewał dach wodą z węża, zadzwonił sierżant Kovac.

- Chcą, żebyś przyjechał na Key Largo.
- Co takiego?
- Mają już nakaz rewizji?
- Nie znam szczegółów, Becket.

Choć pewnie rzeczywiście nie znał, nigdy nie był zbyt przychylnie nastawiony do Sama. A od czasu, kiedy Becket został zawieszony w pełnieniu obowiązków, sierżant miał go za nic; Martinez jasno dał to Samowi do zrozumienia.

- Czy mój przyjazd ma związek z zamkniętym pokojem w domu Hay-mana?
- Powiedziałem ci już, że nie znam szczegółów - oświadczył Kovac. -Wiem tylko, że chcą, abyś ruszył tyłek i czym prędzej się tam zjawił.

Rzeczywiście chodziło o ten pokój.

Przecucie nie zawiodło Grace. Gdyby posłuchała swojego wewnętrznego głosu, gdy tamtego wieczora po raz pierwszy natknęła się na zamknięte drzwi, i uciekła wówczas z domu Haymana gdzie pieprz rośnie, przynajmniej jednemu dramatowi można byłoby zapobiec.

Tego rodzaju stwierdzenie wygłosili szeryf Monroe i Héctor Hernández. Nikt jednak nie wiedział lepiej od Sama, że Grace Lucca ocenia swoje postępowanie bardziej surowo niż którykolwiek z nich.

Owa sprawa zeszła obecnie na drugi plan...

Miejsce to było niemal świątynią zespołu Münchhausena. Zostały tutaj zgromadzone chyba wszystkie podręczniki na temat tego schorzenia, jakie kiedykolwiek opublikowano. I nikt nie wierzył, że Hayman używał ich jako materiałów naukowych do własnych opracowań.

Może byliby skłonni w to uwierzyć, gdyby nie zdjęcia.

Mnóstwo fotografii; na ścianach i w szufladach. Nieletnie ofiary. Odręcznie spisane relacje dotyczące cierpień, jakich doświadczyły z rąk swoich rodziców-oprawców. Przedstawiały różnorodne sposoby wywoływania okropnych fizycznych objawów choroby u małych chłopców i dziewczynek; o istnieniu owych symptomów żaden z obecnych tu tetaz oficerów policji wolałby się nigdy nie dowiadywać. To pewne.

I wreszcie była ściana zapelniona fotografiami, które sprawiły, że zarówno Hernandez, jak i przedstawiciele lokalnej policji postanowili, wbrew samym sobie, zawezwać Sama. Fotografie przedstawiały: Grace Lucca, Cathy Robbins, Arnolda i Marie, a także Frances Dean.

- Nie ma żadnej podobizny Beatrice Flager - zauważył natychmiast Sam.

- Ani twojego ojca - dodał Hernandez.

Sam czuł gwałtowne fale gorąca. Nie zdziwiłby się, gdyby jego uszami zaczął się wydostawać dym.

- To jeszcze nie wszystko - oznajmił cicho kapitan, wskazując na purpurowy skoroszyt na blacie stojącego w kącie pokoju biurka.

Obaj mężczyźni włożyli rękawiczki chirurgiczne. Sam pochylił się, żeby otworzyć tekturową teczkę i otworzył szeroko oczy.

- A niech to wszyscy diabli! - zaklął cicho.

- Rzeczywiście wygląda to na działanie nieczystych sił - przyznał Hernandez.

Wewnątrz znajdowało się co najmniej dziesięć arkuszy papieru, głównie fotokopii. Każda z nich dotyczyła tego samego tematu. Życia i pracy Johna Brodericka.

# ROZDZIAŁ 62

---

Środa, 10 czerwca 1998

Oprócz pośpiesznego telefonu, którym Sam zawiadomił Grace, że nie ma czasu z nią rozmawiać, detektyw nie dał znaku życia aż do środy, kiedy to o siódmej rano pojawił się w drzwiach jej domu.

- Wyglądasz upiornie - odezwała się na powitanie.

- Za to ty cudownie. - Sam przyjrzał jej się uważnie. Miała na sobie biały podkoszulek. Włosy zczesła do tyłu i związała w koński ogon. Była nieumalowana i bosa. - Dałbym ci najwyżej szesnaście lat. Hej, Harry, co słyhać? - Przykucnął i przywitał się z psem, którego ogon uderzał rytmicznie o podłogę niczym oszalały metronom.

- Właśnie zamierzałam zrobić śniadanie. - Grace zatrzasnęła frontowe drzwi.

- Chętnie napiję się kawy. - Sam wyprostował się, krzywiąc twarz.

- Wciąż bolą cię plecy?

- To skutek zbyt długiej jazdy samochodem. Weszli do kuchni.

- Chętnie zaproponowałabym ci gorącą kąpiel, wyszorowanie pieców oraz kilkugodzinną drzemkę, ale to oznaczałoby, że musiałabym poczekać, ażebym usłyszeć to, co masz mi do powiedzenia. W tej sytuacji usmażę naleśniki i zrobię nam jajecznicę.

W zmęczonych oczach Sama pojawił się błysk ożywienia.

- A masz syrop?

- Oczywiście! - Grace otworzyła drzwi lodówki i wyjęła jajka. - Na bekonie?

- To brzmi bosko.

- Usiądź, Sam, zanim się przewrócisz. - Wskazała głową na bujany fotel w kącie kuchni. - Tam będzie ci wygodnie.

- Jeśli usiądę w fotelu, zasnę w ciągu trzech sekund. - Ostrożnie usadowił się na jednym z krzeseł przy stole. - Na pewno nie chcesz mojej pomocy?

- Chcę tylko, żebyś przekazał mi najświeższe nowiny. - Spojrzała na niego. - Domyślam się, że są jakieś?

- Owszem.

Słuchając jego relacji, jakimś cudem zdołała przygotować śniadanie, ale kiedy jedzenie znalazło się na talerzu, Grace nie mogła nic przełknąć.

- I co teraz? - spytała.

Talerz Sama, co nie było dla niej niespodzianką, został opróżniony w mgnieniu oka.

- Teraz musimy uzyskać odpowiedź na jedno zasadnicze pytanie: kim jest, a raczej kim był Peter Hayman?

Grace nadal wirowało w głowie.

- A zatem, skoro trzymał w teczce dane o Johnie Brodericku, musimy założyć, że to nie on, prawda?

- Dobra wiadomość to ta, że obecnie już nikt nie musi niczego zakładać. - Sam umilkł, aby upić potężny łyk kawy. - Byłoby jednak naprawdę dziwne, gdyby facet gromadził dokumentację o sobie.

- Nie zapominaj, że mówimy o strasznym świrze.

- To prawda - przyznał Sam. - Facet przechowywał te dane w zamkniętym pokoju. Uważam jednak, że człowiek, który zmienił swoją tożsamość, nie trzymałby tego rodzaju materiałów we własnym domu.

- Chyba że nie mógł się pogodzić z koniecznością rezygnacji z życia, jakie wiódł, będąc Johnem Broderickiem - zasugerowała Grace. - Może był dumny z tego, co zrobił Marie i Cathy?

- Masz na myśli postawę cechującą wielu psychopatów, którzy przechowują wycinki z gazet zarówno na swój temat, jak i popełnionych przez siebie zbrodni? - Sam z powątpiewaniem pokręcił głową. - Nie sądzę, abyśmy obecnie mieli z tym do czynienia. Te materiały to tylko szereg szczegółów na temat Johna Brodericka. Dokumentacja dotycząca zarówno jego życiowych osiągnięć, jak i błędów.

- Kim więc, do diabła, jest... to znaczy był Peter Hayman? - spytała cicho Grace.

- I czy zdjęcia na ścianach, twoje i Cathy, a także Robbinsów oraz Frances Dean, oznaczają, że mógł być mordercą? - Zmęczone oczy Sama ożywiły się pod wpływem ponurego zaciekawienia.



- I czy przypadkiem nie oznacza to również... - Grace urwała w pół zdania.

- O co chciałaś zapytać? Potrząsnęła głową.

- Nasunęła mi się tylko pewna egoistyczna myśl.

- Pozwól, niech zgadnę. - Sam uśmiechnął się krzywo. - Czy to oznacza, że nasze przeczucia co do Haymana nie zwiodyły nas aż tak bardzo, jak się tego obawialiśmy?

- Tak, dokładnie o to mi chodziło.

- Domyślam się, że po części z tego powodu Hernandez pozwolił mi to wszystko zobaczyć.

Grace podniosła się z miejsca, wrzuciła swoje niezjedzone śniadanie do pojemnika na odpadki, a potem zabrała ze stołu pusty talerz Sama.

- Napijesz się jeszcze kawy?

- Dlaczego nie? I tak nie zasnę z powodu zbyt wielkiego podekscytowania.

Wyrzuciła fusy i zaparzyła w dzbanku świeżą kawę.

- Rozumiem, że nie mamy jeszcze wystarczających dowodów, aby wyciągnąć Cathy z więzienia?

- Na razie nie - przyznał cicho Sam. - Ale początek jest dobry.

- A co z tobą? - Grace odwróciła się i spojrzała na niego. - Czy fakt, że przynajmniej w połowie nie myliłeś się co do Haymana nie wystarczy do cofnięcia decyzji?

- Okoliczność ta nie zwalnia mnie od poniesienia odpowiedzialności za popełnione czyny - odrzekł Sam. - Ponieważ faktem jest, że złamałem przepisy.

- Czy to słowa Hernandeza?

- Niezupełnie. Zapytałem go, czy mógłbym pomóc w prowadzeniu śledztwa. Przypomniał mi, że wszelkie moje osiągnięcia w trakcie zawieszenia byłyby całkiem bezużyteczne. - Sam umilkł. - Hernandez przyznał jednak, że przed pojawieniem się Haymana nasza sugestia o pozorowanej śmierci Brodericka wydawała mu się mocno naciągana. Teraz przynajmniej zostanie dokładnie zbadana przeszłość dwóch potencjalnych przestępców: Brodericka oraz Haymana, kimkolwiek był ów osobnik przed osiedleniem się na Key Largo.

Grace przyniosła do stołu dzbanek ze świeżą kawą.

- Nie myślisz, że Hernandez przestanie się złościć na ciebie?

- Nie wszystko zależy od niego. Decyzja w tej sprawie jest w gestii jego szefa oraz biura spraw wewnętrznych. - Sam się uśmiechnął. - Nie martw się tak bardzo o mnie, Grace. Pomyśl, jakie to wszystko może mieć znaczenie dla Cathy.

- Przypuszczam, że jestem w stanie martwić się o was oboje.

- Teraz mówisz jak moja matka - odrzekł Sam.

TLR

# ROZDZIAŁ 63

---

Piątek, 12 czerwca, 1998

Grace przy pomocy Dory tak pozmiała terminy wizyt, aby móc w piątek rano wybrać się na wycieczkę na południe. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jest spięta, dopóki nie dotarła do autostrady biegnącej wzdłuż wybrzeża. Kiedy przejeżdżała obok Lake Surprise, przygniotły ją wyraziste wspomnienia o majowej niedzieli. Mocno zacisnęła ręce na kierownicy mazdy, starając się odsunąć owe myśli od siebie.

Było dziesięć po dziesiątej, kiedy dotarła do Portu Dooleya. Philip Kuntz już czekał. Stał obok nieczynnego stoiska z hot dogami, ściskając w ręku plastikowy kubek z kawą. Widok jego łysej, opalonej głowy i bladych oczu na nowo przywołał wspomnienia. Grace głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Dziękuję panu, panie Kuntz, że zechciał się pan ze mną spotkać. Potrząsnął jej dłonią.

- Nie ma za co.

Grace rozejrzała się wokół.

- Czy znajdzie się tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy usiąść i przez chwilę porozmawiać?

Wzruszył ramionami.

- Po drugiej stronie portu stoi ławka. Nie jest tam za pięknie i obawiam się, że niezbyt ładnie pachnie, ale jeśli to pani nie przeszkadza...

- Absolutnie mi nie przeszkadza.

Wyjaśniła mu, po co przyjechała. Nie miała pojęcia, o czym Kuntz wie i jakimi informacjami podzielił się z nim Sam, zanim zmusił Phila do wyprowadzenia „Delii” w morze, ani o czym, o ile w ogóle, powiadomiła go policja.

Okazało się, że mężczyzna nie zna okoliczności dramatu, który się tutaj niedawno rozegrał.

- Nie jestem upoważniona do wypowiedzania się o pewnych sprawach

- odezwała się Grace. - Na przykład o doktorze Haymanie.

- Z tego co wiem, jeszcze go nie znaleźli - odrzekł Kuntz.

- Jeszcze nie. - Grace umilkła. - Jak już wspomniałam, przede wszystkim ja ponoszę winę za to, co się stało tamtego popołudnia, nie Sam. A tymczasem to on został zawieszony w wykonywaniu obowiązków. I może nawet stracić pracę. - Odczekała kolejną chwilę. - Jest bardzo dobrym detektywem, panie Kuntz.

- Wyświadczyć mi przysługę i zwracaj się do mnie po imieniu. Myślę, że nawiązaliśmy wystarczająco bliskie stosunki tamtego dnia na „Delii”, nie sądzisz?

Grace się uśmiechnęła.

- Z całą pewnością.

Dwaj mężczyźni przyjechali samochodem na nabrzeże, wysiedli z pojazdu, skinęli Kuntzowi głowami na powitanie i skierowali się do małej łodzi kabinowej zacumowanej po drugiej stronie portu.

- A więc uważasz, że to twoja wina - zwrócił się do Grace.

- W głównej mierze tak - przyznała. - Po pierwsze dlatego, że byłam na tyle głupia, aby wejść na pokład „Zięby”. A po wtóre z tego powodu, że wpadłam w panikę i straciłam głowę. Byłeś przy tym, Phil, i wiesz, że Sam nie miał wątpliwości co do grożącego mi niebezpieczeństwa, kiedy zobaczył, co się dzieje.

- To, co mówisz, mniej więcej pokrywa się z prawdą - zgodził się Kuntz.

- Powiedziałeś mi tamtego popołudnia, że uznałeś Sama za szaleńca. Wtedy, kiedy próbował ratować Haymana.

Mężczyzna skinął głową.

- Pomyślałem, że jest kompletnym idiotą, kiedy nie chciał zaprzestać poszukiwań.

Grace odczekała sekundę.

- Powiedziałeś także, że uważasz go za bohatera. Kuntz ponownie przytaknął.

- Nie jestem pewien, czy użyłem dokładnie tego słowa, ale z pewnością wykazał się nie lada odwagą. - Jego blade oczy stały się całkiem wąskie. - Czy dobrze cię rozumiem? Chcesz, żebym powiedział szefowi detektywa Becketa, że twój chłopak jest bohaterem?

- Mnie nie będą słuchać - wyjaśniła cicho Grace. - Jestem dla nich tylko głupią kobietą, która narobiła sobie kłopotów. Ty jesteś jednym z dwóch cywilów, których, zdaniem policji, Sam naraził na niebezpieczeństwo. Ciebie będą musieli wysłuchać, Phil.

- Nie orientowałem się co do wielkości grożącego mi wtedy niebezpieczeństwa. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Przypuszczam, że mogłem utonąć, ale to nic w porównaniu z tym, co zrobiłby ze mną Becket, gdybym się nie zgodził przyjść ci z pomocą.

- Chyba nie winisz go za to, że chciał mnie ratować, prawda? Oczy mężczyzny rozbłysły ciepłym blaskiem, kiedy na nią spojrział.

- Chciałbym umieć tak samo się zachować, gdyby to moja dziewczyna znalazła się w opałach.

Grace zdała sobie sprawę z tego, że wstrzymuje oddech. ....

- Czy przynajmniej pomyślisz o tym, aby się za nim wstawić, Phil?

- Pomyślę - obiecał.

TLR

# ROZDZIAŁ 64

---

Środa, 17 czerwca 1996

Śledztwo zostało wszczęte od nowa, a Sam, choć w dalszym ciągu odsunięty od sprawy i straszliwie wściekły z tego powodu, był informowany o wszystkim przez Ala Martineza. Pobrano odciski palców Haymana z jego domu i odesłano je do porównania z milionem innych zgromadzonych w centralnej bazie daktyloskopii. Z ekspertyz tej instytucji korzystano w całych Stanach. Dotychczas komputer nie odnalazł żadnej osoby, do której pasowałyby przysłane linie papilarne. Oznaczało to jedynie, że Hayman nigdy nie był aresztowany, nie służył w siłach zbrojnych ani nie pracował nigdzie tam, gdzie przy zatrudnieniu wymagane jest pobranie odcisków palców.

Porównanie jego linii papilarnych z liniami Brodericka okazało się niemożliwe, ponieważ, pomimo kłopotów zawodowych, John Broderick również nigdy nie został aresztowany, a z poboru do Wietnamu został zwolniony.

Ludzie z biura szeryfa w Monroe prowadzili na miejscu swoje własne śledztwo w sprawie zamieszkałego na Key Largo rzekomego psychiatry. Próbowano nawet ustalić, czy Hayman ma żelazne alibi na czas popełnienia wszystkich zabójstw z użyciem skalpela. Przyjaciele i koledzy - w tym również Betty i Miles Flanaganowie, oraz Weintraubowie - znajomi, którzy mieli wypłynąć razem z nim i z Grace w niedzielę - zostali przesłuchani. Zwrócono się do nich z pytaniem, czy mogą zaświadczyć o miejscu przebywania lekarza w czasie popełnienia kolejnych zbrodni. Żadna z wymienionych osób nie potrafiła dać Haymanowi pewnego alibi, a w trakcie rozmowy wyszło na jaw, że znajomi niewiele o nim wiedzieli. Miles Flanagan przyznał, że teraz, kiedy się nad tym zastanowił, widzi, że najbardziej cenił Petera za to, że nigdy nie zanudzał nikogo opowieściami o sobie. Co się zaś tyczy jego pochodzenia, Hayman przedstawił swoim przyjaciółom na Key Largo tę samą wersję, co wydawcy: mówił, że przyjechał z Seattle, gdzie studiował na uniwersytecie stanowym. FBI weryfikowało obecnie te informacje, które nieoficjalnie, zaraz po wypadku, zostały już sprawdzone przez Martineza. Człowiek o tym nazwisku nigdy nie był studentem żadnej uczelni w Seattle.

Szczególnie intensywne działania, prowadzone w ramach rozpoczętego na nowo śledztwa, skupiły się jednak na najbardziej intrygującym znalezisku: na



dwóch zdjęciach, które detektywi z wydziału policji w Monroe odkryli w domu Haymana tuż przed zakończeniem rewizji.

Obie fotografie były przyklejone taśmą samoprzylepną pod spodem do jego łóżka.

Na jednej został uwieczniony chłopiec o łagodnym uśmiechu. Jego wiek oceniano na pięć lat, ubrany był w spodnie ogrodniczki oraz podkoszulek w białoczerwone pasy. Miał ciemne włosy i oczy, i wszyscy uznali, że jest, jak na swój wiek, zbyt chudy.

Drugie zdjęcie przedstawiało świeży grób o rozmiarach mniejszych od przeciętnego. Nie było na nim jeszcze kamiennej płyty, tylko mała tabliczka identyfikacyjna. Kąt, pod jakim została wykonana fotografia, uniemożliwiał, nawet przy wielokrotnym powiększeniu, odczytanie nazwiska. Najbliższa mogiła z kamienną płytą i czytelnym napisem należała do niejakiej Agnes Brown, a na trzech kolejnych pomnikach w sąsiednim rzędzie widniało nazwisko „Tully”. Żadne z epitafiów nie zawierało wskazówki co do lokalizacji grobu, z tym jedynie wyjątkiem, że były napisane po angielsku. Widoczny skrawek nieba przesłaniały chmury, a trawa wyglądała bujnie i soczyście. Mężczyzna na ścieżce w oddali miał na sobie ciemny, zimowy płaszcz o klasycznym kroju, policjanci domyślili się więc, że cmentarz położony jest w rejonie kraju, gdzie czasami bywa zimno. Jedynymi drzewami na fotografii były jodły. Nie zauważono żadnych kwiatów ani krzewów, które mogłyby okazać się pomocne w zlokalizowaniu tego miejsca. Centralnym tematem zdjęcia był sam grób i dlatego zamazany, biały kształt na horyzoncie, obcięty w górnej części odbitki, przez jakiś czas pozostał niezauważony, a tym bardziej nierozpoznany jako masyw górski.

Gdyby szczyt został przedstawiony w całości, z pewnością umiejscowienie cmentarza zabrałoby jeden, najdalej dwa dni. Lecz na podstawie odbitki można było jedynie z całą pewnością stwierdzić, że w czasie kiedy zostało zrobione zdjęcie, śnieg pokrywał nawet niższe partie terenu.

Oba zdjęcia były kopiami. Ekipa śledcza nie miała szans na wytropienie miejsca ich zrobienia, ponieważ tylko oryginały posiadają na odwrocie numery identyfikacyjne.

Pomimo to detektywi zdobyli teraz przynajmniej jakiś punkt zaczepienia.

I w końcu, jak Sam zauważył w rozmowie z Grace, wszyscy zaczęli interesować się tą sprawą.

Aby zidentyfikować chłopca ze zdjęcia znalezione pod łóżkiem Petera Haymana, śledztwo prowadzono teraz na terenie całego kraju. Wysunięto kilka jak dotychczas całkowicie bezpodstawnych hipotez - co czasami się zdarza w sy-

tuacji, kiedy policjanci prowadzący dochodzenie za wszelką cenę pragną odkryć tajemnicę. Jedna z teorii zakładała, że chłopiec może być, a raczej, co wydawało się bardziej prawdopodobne, mógł być ofiarą zespołu Münchhausena. Inna sugerowała, że to ktoś spokrewniony z Haymanem. Ale najbardziej ponurym wnioskiem, jaki się nasuwał, był oczywiście ten, że w widocznym na zdjęciu grobie spoczywa właśnie ów pięciolatek.

Policjanci skontaktowali się ze wszystkimi stowarzyszeniami, organizacjami i instytucjami zajmującymi się leczeniem i niesieniem pomocy ofiarom tej choroby. Zdjęcia chłopca zostały rozesłane do gabinetów lekarskich w tych wszystkich regionach Stanów, gdzie część krajobrazu stanowią góry.

Ekipa śledcza zajęła się też najtrudniejszym punktem dochodzenia: próbowała odnaleźć cmentarz w Stanach Zjednoczonych w miejscu, gdzie chłodne zimy uzasadniają noszenie grubych płaszczy, gdzie występują przynajmniej małe skupiska jodeł, i gdzie zostali pochowani zmarli o nazwiskach Tully oraz Brown. I z którego, nawet w pochmurny dzień, widać na horyzoncie górę.

Fakty te nieco zawężyły obszar poszukiwań.

Niemniej wymagały czasu.

# ROZDZIAŁ 65

---

Poniedziałek, 22 czerwca 1998

Grace nigdy nie była tak zadowolona z powodu zapełnionego po brzegi kalendarza. Gdyby nie pacjenci, chyba eksplodowałyby ze zniecierpliwienia. Oprócz wykonywania swojej pracy była w stanie robić tylko trzy rzeczy. Po pierwsze, dokładała wszelkich starań, aby - w uzupełnieniu terapii relaksacyjnej doktora Paresa - podtrzymać Cathy na duchu. Po drugie, stosowała mniej więcej tę samą metodę w stosunku do Sama, którego przełożeni nadal utrzymywali swoją decyzję o zawieszeniu. I po trzecie, starała się dopilnować, aby Jerry Wagner - co do którego nie miała już wątpliwości, że jest całym sercem zaangażowany w sprawę Cathy - był szczegółowo informowany o przebiegu śledztwa.

- Odniosłem wrażenie, że Cathy nie najlepiej radzi sobie z obecną sytuacją - powiedział adwokat do Grace podczas krótkiego spotkania w kancelarii po wizycie w więzieniu. - Próba nakłonienia jej do pozytywnego myślenia bez rozbudzania fałszywych nadziei zaczyna graniczyć z tańcem na linie.

- Dobrze, że perspektywy są teraz bardziej obiecujące - zauważyła Grace.

- Proszę więc zapoznać mnie z najświeższymi wiadomościami.

- Nie zlokalizowano jeszcze cmentarza - oznajmiła, powtarzając informacje, jakie przypadkiem usłyszała podczas rozmowy Sama z Marti-nezem. - Pogoda, a szczególnie góra, wskazują na Seattle, na masyw Olympic albo Cascade - ale jak dotychczas poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów.

- Przyniosą - zapewnił Wagner.

- Tak pan sądzi?

- Jestem o tym przekonany. Sprawa wyjaśni się w ten czy inny sposób. Albo ciało Haymana zostanie wyrzucone na brzeg i wtedy będzie możliwe sprawdzenie rejestrów dentystycznych i przeprowadzenie badań krwi, albo zdjęcie chłopca pobudzi w końcu czyjaś pamięć.

Grace szykowała się do zadania tysiąca innych pytań.

- Na terenie całego kraju pracują teraz ekipy śledcze. A w Seattle, w Maine i w innych miejscach zostały zaangażowane do poszukiwań agencje prawnicze. Prokurator stanowy musi już wiedzieć, że Hayman przechowywał zdjęcia Marie, Arnolda i Frances oraz o wynikających z tego wnioskach: że Cathy nie może zostać oskarżona o popełnienie tych zbrodni.

- Owe fakty o niczym jeszcze nie przesądzają - zauważył Wagner.

- Ale z pewnością są wystarczające, aby zrodzić poważne wątpliwości? I może Cathy wyjdzie za kaucją z więzienia? Przynajmniej do czasu zakończenia śledztwa.

- Sąd od początku odrzucił możliwość wypuszczenia jej za kaucją - przypomniał Wagner. - I teraz też nie wyrazi na to zgody. A żeby mogła wyjść na wolność, akt oskarżenia musiałby zostać wycofany. - Umilkł. - Mój zespół i ja pracujemy nad tym przez cały czas.

- A zatem sądzi pan, że sprawa jest warta zachodu? - Grace była dociekliwa.

- Myślę, że jest szansa na powodzenie - odrzekł. - Tylko niech pani nie mówi o tym Cathy.

Grace uśmiechnęła się do niego.

- I kto tutaj jest psychologiem?

- Sprawiał wrażenie, że naprawdę tak uważa - powiedziała wieczorem Samowi.

- Wyglądasz na zdziwioną.

- Trochę jestem - przyznała Grace. - Zaskakuje mnie to, jak bardzo zaangażował się w sprawę wyciągnięcia Cathy z za kratki.

- Dlaczego tak cię to dziwi? - chciał wiedzieć Sam.

- Ponieważ jeśli oskarżenie przeciwko niej zostanie wycofane, nie dojdzie do procesu, a przynoszące mu rozgłos artykuły prasowe radykalnie się zmniejszą, nie mówiąc już o jego honorarium.

- Ale to, co o nim napiszą, będzie wspaniałe.

- Sądziłam, że ludzie zabiegający o sławę wyznają inną teorię: nie liczy się to, co o nich piszą, byleby tylko pisali - zauważyła Grace.

Sam wzruszył ramionami.

- Wierz mi, jeśli Jerry Wagner zdoła odegrać znaczącą rolę w wycofaniu oskarżenia przeciwko Cathy, znajdzie sposób, aby zbić na tym majątek.

- Nie podejrzewałam cię o tak wielki cynizm. - Grace się uśmiechnęła.

- Jestem policjantem, a w każdym razie taką mam nadzieję - odparł Sam. - Jak mógłbym ustrzec się przed cynizmem?

# ROZDZIAŁ 66

---

Czwartek, 25 czerwca, 1998

Wagner zdołał złapać Grace w czwartkowe przedpołudnie tuż przed jej opóźnioną sesją z pacjentem. - Nie chciałabym w nikim rozbudzać przedwczesnych nadziei - oznajmił. - Uważam jednak, że jeśli solidnie to przygotujemy, możemy oczekiwać pozytywnej reakcji sądu.

- Chce pan powiedzieć, że wypuszczą Cathy z więzienia? - Doktor Lucca prawie przestała oddychać.

- Mówię jedynie o szansie, Grace. Niczego nie mogę zagwarantować. Spojrzała na zegarek. Czekają na nią dziecko.

- Oświadczył pan, że musimy się przygotować. Czy mogłabym w czymś pomóc?

- Być może tak.

- Proszę mi wskazać, w jaki sposób.

- Sędzia będzie miał na uwadze dobro Cathy. I będzie musiał rozważyć wiele elementów. Ale nawet jeśli oskarżenie zostanie wycofane, dopóki inna osoba nie będzie postawiona w stan oskarżenia, zawsze istnieje ryzyko ponownego aresztowania Cathy.

- A więc wciąż będzie to nad nią wisiało. Okropna perspektywa, ale lepsza niż dalszy pobyt w więzieniu. Co jeszcze?

- Ta sprawa wzbudziła wielkie zainteresowanie mediów - zauważył Wagner. - Czy sądzi pani, że dziennikarze zostawiają w spokoju, kiedy wyjdzie na wolność?

Grace domyśliła się, do czego zmierza adwokat.

- Sędzia będzie chciał wiedzieć, czy Cathy ma gdzie zamieszkać? W miejscu, gdzie będzie bezpieczna. To pan miał na myśli, prawda?

- Powiedzmy, że taka rzecz może mieć wpływ na decyzję sędziego.

Grace zamilkła na dłuższą chwilę.

- Czy, pana zdaniem, mój dom zyska aprobatę sądu?

- Nie wiem - odrzekł adwokat. - Myślę jednak, że gra jest warta świeczki.

Powinno się jej nasunąć na myśl co najmniej tuzin wątpliwości wymagających rozważenia, ale nic takiego się nie stało. Słyszało tylko jedno słowo, które brzmiało wyraźnie i donośnie: „Tak”.

- Oczywiście, niech pan spróbuje - powiedziała.

- Czy jest pani tego pewna, Grace?

Przypomniała sobie, jak wyglądała Cathy w szpitalu po nieudanej próbie samobójstwa.

- Całkowicie - oświadczyła.

Wątpliwości zaczęły ją nachodzić pół godziny po wyjściu pacjenta. Wiedziała, że tego rodzaju problemu nie zdoła rozstrzygnąć sama i że powinna go z kimś przedyskutować.

Zacząła rozmawiać z Harrym. Pies domagał się jednak pełnej miski, spaceru i drapania po brzuchu i nie był zainteresowany słuchaniem swojej pani. Grace zrozumiała, że musi porozmawiać z inteligentną i, częściowo przynajmniej, bezstronną istotą ludzką.

Zatelefonowała do Davida Becketa.

- Nikt nie wie tego lepiej niż ty, Grace, że mamy do czynienia z nastolatką, która odniosła straszliwe urazy psychiczne. Czy bierzesz pod uwagę niszczycielskie skutki pobytu Cathy w twoim domu? Oraz jak odbije się to wszystko na twoim życiu?

Po zapewnieniach Grace, że dobrze przemyślała swoją decyzję, David zapewnił ją, że z wyjątkiem tych wątpliwości, pomysł jest znakomity.

Mając wsparcie ojca, Grace zatelefonowała do jego syna.

Sam powiedział, że prawdopodobnie odczuwa to samo co ona; zbyt go cieszy perspektywa opuszczenia przez Cathy więzienia, aby tę radość miała zakłócić perspektywa problemów.

- Nie mogli znaleźć lepszej osoby do sprawowania nad nią opieki, to pewne.

- Mam nadzieję, że rzeczywiście tak jest.

- Wiesz, że tak. Daj spokój, Grace, całe życie opiekujesz się dziećmi z problemami i od samego początku wierzyłaś w niewinność Cathy.

- Tak, wierzyłam - przyznała cicho.



- Mam kilka pytań.

- Strzelaj.

- Jak długo ma trwać pobyt Cathy w twoim domu? - Umilkł. - A może myślisz o tym, żeby została u ciebie na stałe?

- Nie wiem, Sam. Nie miałam czasu, aby się nad wszystkim zastanowić.

- A co będzie, jeśli wyniki dochodzenia okażą się dla niej niekorzystne? Jeśli nie znajdą nic na Haymana i ponownie ją aresztują? Musisz liczyć się z tym, że z powodu obecnej decyzji może ci wówczas pęknąć z bólu serce, Grace.

- A czyż nie pęka mi na myśl o Cathy przebywającej w więzieniu?

- Przypuszczam, że jeśli zamieszkacie razem, rozczarowania staną się bardziej bolesne.

Grace zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Nie uważasz, że muszę skorzystać z tej szansy, Sam?

- Decyzja należy do ciebie, Grace. I wiedz, że cokolwiek postanowisz, możesz liczyć na moje wsparcie. Jeśli ma ono dla ciebie jakąś wartość.

- Ogromną - zapewniła go.

Po rozłączeniu się Grace zatelefonowała do Magdy Shrike. Ta jak zwykle natychmiast zadała właściwe pytania. Chciała wiedzieć, czy istnieją inne rozwiązania dla Cathy. Spytała, jakie skutki zdaniem Grace -w razie jej odmowy - miałyby dla nastolatki zamiana więzienia na inną instytucję. I wreszcie poruszyła kwestię najważniejszą: czy Grace naprawdę na tyle ufa Cathy, aby ją przygarnąć pod swój dach.

- Tak, ufam jej - odparła bez namysłu Grace.

- W takim razie zamierzam powiedzieć ci to, o czym już zapewne wiesz - oświadczyła Magda. - Jeśli odmówisz, prawdopodobnie będzie ci ciężko żyć z samą sobą. Choć może nie jest to wystarczający powód do wyrażenia zgody. - Umilkła. -I z pewnością moja opinia w tej sprawie nie oznacza, że przed podjęciem ostatecznej decyzji nie powinnaś dobrze się nad nią zastanowić.

- Nie wiem nawet, czy sędzia przystanie na tę propozycję - zauważyła Grace.

- Nie mówiąc już o samej Cathy - dodała rzeczowo Magda. Jedyne Claudia była zdecydowanie przeciwna.

- Naprawdę jesteś na to zdecydowana, Grace?

- Oczywiście, że tak.

- Nie możesz tego zrobić. To straszliwy pomysł.

- Dlaczego tak uważasz? - Grace zaskoczył gwałtowny opór siostry.

- Ponieważ ta dziewczyna jest podejrzana o popełnienie morderstw.

- Jest niewinna, Claudio. I jeśli u mnie zamieszka, będzie to oznaczało, że sędzia również w to wierzy.

- Może nie jest winna, a może jest. W żadnym wypadku nie powinnaś brać na siebie tak wielkiego ryzyka.

- Powinam.

- Nie możesz tego zrobić - powtórzyła raz jeszcze Claudia.

Grace nie znosiła, kiedy ludzie próbowali powiedzieć jej, co może, a czego nie wolno jej robić. I teraz starała się nie gniewać na siostrę, gdyż wiedziała, że Claudia chce ją tylko chronić.

- To już przesądzona sprawa - oświadczyła.

- Mówiłaś, że jeszcze się zastanawiasz - przypomniała jej Claudia. - I że sędzia może nie przystać na tę propozycję.

- Prawdę mówiąc, podjęłam już decyzję.

- Nie możesz tego zrobić, Grace.

- Mogę, Claudio, i jeśli tylko dostanę taką szansę, nie omieszkać z niej skorzystać.

Tej nocy Grace miała sen o silnym, jasnowłosym mężczyźnie, który bił małą dziewczynkę o długich blond włosach i wrzeszczał na nią. Lecz chociaż jego głos był w tym śnie stłumiony i nie rozumiała poszczególnych słów, wyraźnie docierał do niej bolesny i piskliwy płacz dziecka.

Sen zmienił się niczym scena w źle zmontowanym filmie i teraz inny mężczyzna - Frank Lucca - stał nad siedmioletnią Claudią. Nie płakała, a on na nią nie krzyczał. Pochylał się tylko nad córką. Sen był niemy, Grace nic nie słyszała,

z wyjątkiem szmeru własnego oddechu oraz odgłosów bicia serca, gdy ze swojej kryjówki patrzyła, jak ojciec schylił się nad jej siostrą.

Obudziła się, czując wilgoć na rzęsach i na policzkach. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni płakała przez sen.

Zapaliła lampkę na nocnej szafce. Dochodziła trzecia. Harry leżał w nogach łóżka i przyglądał się jej swoimi ślepiami o ciepłym i bystrym spojrzeniu.

- Hej - powiedziała cicho Grace i pies ruszył w jej stronę po kołdrze, ułożył się pod prawym ramieniem i zaczął mruczeć.

- Zwykle Grace zadowalała się towarzystwem Harry'ego. Ale nie dzisiejszej nocy. Zatelefonowała do Sama. Wł - Becket. - Jego głos, jak na tę porę, miał zbyt żwawe brzmienie.

- Dlaczego nie śpisz?

- Zapytaj o to moje ciało.

- Z największą przyjemnością. - Była gotowa przysiąc, że słyszy w telefonie śmiech Sama. - Z twojego zawieszenia wynika przynajmniej jedna korzyść - mogę cię zastać w domu w środku nocy, kiedy jesteś mi potrzebny.

- A jestem?

- Nie rozumiem?

- Pytam, czy jestem ci potrzebny?

Grace zastanawiała się nad odpowiedzią nie dłużej niż pół sekundy.

-Tak.

- Daj mi kwadrans, najwyżej dwadzieścia minut - poprosił Sam i odłożył słuchawkę.

Opowiedziała mu o swoich snach, kiedy siedzieli w kuchni nad kubkami z gorącą czekoladą.

- Przynajmniej nie musisz kłopotać się ich analizowaniem - zauważył.

- Sama nie wiem, dlaczego wywarły na mnie tak silne wrażenie.

- Były straszne - odrzekł z prostotą. - Brzydkie i przerażające.

- Chyba tak.

- Czy wolisz jeszcze o nich porozmawiać, czy chcesz je wyrzucić z pamięci?  
Jak będzie dla ciebie lepiej?

Grace uśmiechnęła się do niego.

- Chcę wrócić do łóżka.

- W porządku.

- I nie mam ochoty sama tam wracać. Sam odwzajemnił jej uśmiech.

- Na to liczyłem - powiedział cicho.

Dopiero teraz po raz pierwszy w pełni osiągnęli zaspokojenie. Oboje przyznali, że powstrzymywali się od intymnych zbliżeń głównie z powodu przykrych wydarzeń, jakie stały się udziałem ich obojga, a po części z powodu odczuwanego przez Sama bólu w plecach, przeciw któremu musiał nadal zażywać leki przeciwzapalne. Ale nagle oboje uzmysłowili sobie, że jeśli Wagnerowi dopisze szczęście i wyciągnie Cathy z więzienia, aby ją umieścić w domu Grace, znowu będą musieli na jakiś czas zrezygnować z seksu.

Wystarczająco długo się od niego powstrzymywali.

- To było wspaniałe - szepnął jej do ucha Sam, kiedy skończyli się kochać.

Z tak bliska brzmienie jego barytonu przypominało mruczenie kota.

- W całym moim życiu nie czułam się tak cudownie - powiedziała Grace.

- Ja też.

Zsunęła głowę z jego ramienia, aby móc zobaczyć profil Sama. .

- Czuję się przy tobie bezpieczna, Sam. Dostrzegła napięcie w mięśniach jego zuchwy.

- Mam nadzieję, że zawsze będziesz się tak czuć - odrzekł cicho.

- Czy jest jakiś powód, dla którego miałyby być inaczej? - Niepewność uderzyła Grace mocniej, niż się tego spodziewała.

- Jest wiele powodów. . . Cofnęła głowę jeszcze kawałek dalej.

- Czyżbym była zbyt śmiała w moich poczynaniach?

- Ależ nie. - Obrócił się przodem i mocno przygarnął ją do siebie. - Cokolwiek robisz, nigdy nie myśl o tym w ten sposób.

W jego objęciach Grace pozwoliła sobie na jeszcze jedną chwilę odprężenia.

- Nie rozmawialiśmy nigdy o naszym problemie, Grace,

Od razu pojęła, do czego zmierzał.

- Masz na myśli biały i czarny kolor skóry, prawda?

- Musiałaś się nad tym zastanawiać.

- Nie myślałam o tym, w każdym razie nie pod kątem problemów, jakie owa różnica pomiędzy nami może spowodować. - Grace umilkła. - Wiem, że ta sprawa prędzej czy później wypłynie, nie należę jednak do osób, które przejmują się bólem głowy, póki ich nie dotknie. - Czuła na sobie baczny wzrok Sama. - Dlaczego mi się tak przyglądasz?

- Przypominasz mi mojego ojca.

- Davida? To mi pochlebia.

- I powinno. - Sam umilkł. - Nigdy nie postrzegałem siebie jako osoby różnej od Davida i Judy. A nawet od Samulea. - Wzruszył ramionami. - To całkiem naturalne w przypadku taty. Czasami myślę o nim, że jest niczym ślepiec: widzi wnętrze, nie dostrzegając powłoki. I to nie tylko kwestia koloru skóry. To samo można powiedzieć o jego stosunku do wszystkich.

- Chyba masz rację - przyznała cicho Grace, gdy przeanalizowała w myślach jego słowa. - Nie mogę powiedzieć tego samego o sobie. Nie twierdzę, że nie dostrzegam twojej brązowej skóry. - Pocałowała go w ramię. - Ani że nie czuję innej struktury twoich włosów. - Potarła policzkiem o jego pierś. - Ale to jesteś cały ty, Sam, i takiego cię kocham. Za nic nie chciałabym być ślepa. Pragnę dostrzegać każdą cząstkę ciebie. - Uśmiechnęła się. - Poza tym oboje wiemy, że co się tyczy szlachetności, daleko mi do Davida.

- Płocha kobieto, czy to znaczy, że nie jesteś święta? Zachichotała w ciemnościach, zsuwając się niżej na łóżku.

- Czy święta miałaby ochotę robić to co ja?

Potem oboje zamilkli na dłuższy czas, a następnie na godzinę zasnęli. Nastął świt, gdy znów byli gotowi powrócić do tematu, którego nie mogli zbagatelizować.

- Nie zamierzam obrażać twojej inteligencji stwierdzeniem, że decyzja o wspólnym życiu nie narazi nas na czyjeś szykany - powiedziała Grace, gdy już

zanieśli filiżanki z kawą do łóżka. Wzruszyła ramionami. - Jak dotychczas, pod tym względem dopisywało mi szczęście.

I opowiedziała mu o swoich skromnych doświadczeniach. Oczywiście widziała wystarczająco dużo plugastwa zarówno na ulicach Miami, jak i w Chicago. I nieraz słyszała kołtuńskie okrzyki typu: „sól z pieprzem”, a nawet jeszcze gorsze epitety. Nigdy jednak osobiście nie zetknęła się z rasizmem. Dorastała we włoskiej rodzinie wśród licznej włoskiej społeczności. W czasach uniwersyteckich przez jakiś czas spotykała się z Amerykaninem afrykańskiego pochodzenia, a tuż po obronie dyplomu przez trzy miesiące regularnie widywała się z pewnym lekarzem z Hongkongu. I nigdy nikt otwarcie nie napiętnował ani jej, ani żadnego z tych mężczyzn. Była jednak gotowa przyznać, że prawdopodobnie miała szczęście.

- Żyjemy na Florydzie - zauważył zwięźle Sam, gdy skończyła. - I nieważne, jak nazwiemy nasz związek ani czy go zalegalizujemy. Nic nie zmieni faktu, że mieszkamy na Południu. Jeśli przez jakiś czas ze mną będziesz, Grace, przekonasz się o tym sama.

- To dotyczy obu stron - podkreśliła.

- Jestem od ciebie większy, brzydszy i bardziej wytrzymały - oświadczył. - I miałem wiele lat na oswojenie się z tą sytuacją.

- Zawsze byłam dobrą uczennicą.

- Uprzedzam cię tylko, że to może być twarda szkoła życia.

- Jaki jest obecnie stosunek Judy do mnie? - Grace nagle zmieniła temat.

- Mama chce, żebyś przyszła na kolację w któryś z piątkowych wieczorów. Powiedziała, że ugotuje nawet rybę, dla mojej miłej dziewczyny katolickiego wyznania.

- Odstąpiłam od wiary - przypomniała mu.

- A czy w ogóle byłaś kiedykolwiek wierząca?



# ROZDZIAŁ 67

---

Poniedziałek, 29 czerwca 1998

- Nie wierzę, że to naprawdę możliwe! - zawołała Cathy, kiedy Grace odwiedziła ją w więzieniu w poniedziałkowe popołudnie.

- Nie mieści mi się w głowie, że mnie stąd wypuszczą. Grace starała się ukryć niezadowolenie.

- Kto ci o tym powiedział, Cathy?

- Pan Wagner.

- Nie powinien był tego robić.

- Dlaczego nie? - W oczach nastolatki pojawił się strach. - Czyżby to była nieprawda?

Przebywały w dużym holu dla odwiedzających, ponieważ dzisiaj Grace przyszła tutaj jako przyjaciółka Cathy, a nie jej psychoterapeutka. Ze wszystkich stron otaczali je ludzie. Siedziały na dwóch twardych krzesłach z plastiku i rozmawiały ze sobą poprzez wyłożony laminatem stół. Grace nie znosiła tego miejsca całym sercem. Wszystkie kobiety, oddzielone od swych bliskich stolikami i w pełni świadome czujnego wzroku strażniczek, nie miały prawdziwej prywatności ani szansy na najmniejszą bodaj intymność, której często tak rozpaczliwie pragnęły.

- Grace? - Głos Cathy był niczym szturchnięcie w bok. - Czy to prawda, co powiedział pan Wagner?

Zwlekała przez chwilę z odpowiedzią, boleśnie zdając sobie sprawę z potrzeby zachowania ostrożności.

- Istnieje taka szansa, to prawda - przyznała. - Ale wiele może się jeszcze wydarzyć.

- Naprawdę jest szansa?

- Tak, jest. Nie chcę tylko, żebyś robiła sobie przedwczesne nadzieje, ponieważ plan może się nie udać.

- Och, Grace, potrafisz być straszliwą pesymistką. - Lęk nastolatki niemal całkiem prysnął. - Oto po raz pierwszy od miesiąca coś układa się lepiej. Wiem,

że sprawy mogą przybrać zły obrót, ale na razie nie chcę o tym myśleć. Czy nie możesz tego zrozumieć?

- Oczywiście, że mogę. - Głos Cathy był przepojony tak wielkim optymizmem, że odbieranie jej nadziei było ostatnią rzeczą, na jaką Grace miałyby ochotę. - Muszę przyznać, że o wiele lepiej wyglądasz.

- Przypuszczam, że to zasługa doktora - powiedziała dziewczynka ciepłym tonem. - Przestał aplikować mi środki uspokajające, ponieważ oboje doszliśmy do wniosku, że staję się po nich apatyczna. Podaje mi tylko witaminy, ponieważ wie, że nie znoszę więziennego jedzenia.

- Cieszę się, że nie bierzesz już tych leków. - Nie po raz pierwszy Grace poczuła prawdziwą wdzięczność i podziw dla Erica Paresa.

- Myślę też, że dobrze wpływają na moje samopoczucie ćwiczenia relaksacyjne, jakich mnie uczy - wyjaśniała dalej Cathy. - Mówi, że nic nie wydaje się straszne, kiedy człowiek potrafi wniknąć w głąb siebie i oddzielić się od spraw, które go przerażają.

- Z tego co mówisz, wynika, że uczy cię medytacji. - Grace była pod wrażeniem.

- „Medytacja zamiast lekarstw” - oto jego główna dewiza, moim zdaniem bardzo sensowna, ponieważ nie przepadam za zażywaniem prochów, nawet jeżeli są to tylko witaminy. - Błękitne oczy Cathy, w czasie pobytu w więzieniu przygaszone, obecnie niemal iskrzyły się blaskiem. - Lucille uważa, że powodem mojego lepszego nastroju jest szansa na wydostanie się stąd.

Lucille Calder, więźniarka w starszym wieku, ostatnio wzięła Cathy pod swoje skrzydła.

- Czy wiesz, że czuję się znacznie silniejsza? - wyznała dziewczynka niemal jednym tchem. - Nigdy dobrze nie sypiałam w tym brudnym i za-wszawionym miejscu, Grace. I to dlatego byłam tak wiecznie zmęczona. Lecz nagle powróciła mi energia i nadzieja...

- Lepiej sypiasz? - Przerwanie potoku zdań było jedynym sposobem na wtrącenie słowa, a Grace miała poczucie upływającego czasu.

- Niewiele lepiej, ale przestałam się tym przejmować. I w tym tkwi sedno, Grace. Nic nie jest w stanie mnie teraz załamać.

- Nie zachwyca mnie jej euforia - wyznała Grace tego wieczora Samowi. - Z drugiej strony jednak o sto procent wolę już jej obecny nastrój od poprzedniego. I muszę przyznać, że podobają mi się relaksacyjne doktor Paresa.

Przed chwilą kochali się i leżeli teraz w łóżku nadzy, obejmując się mocno. Sam delikatnie wodził opuszkami palców po wewnętrznej stronie jej lewej ręki, pozwalając Grace mówić, gdyż wiedział już, jak wiele ją kosztują wizyty w więzieniu.

- Cieszę się, że Wagner nie powiedział Cathy o planach umieszczenia jej tutaj - mówiła dalej. - Tak bardzo się boję, ażeby jej nie zawieść.

- Masz jakieś wątpliwości? - zapytał Sam.

- Nie, skądże. Sędzia może jednak dojść do wniosku, że nie jestem odpowiednią opiekunką dla Cathy.

- Dlaczego ktokolwiek miałby tak pomyśleć?

- A kto to może wiedzieć? Sam przestał ją głaskać.

- Czy coś nie tak? - spytała. Ociągał się z odpowiedzią.

- Niepokoisz się z naszego powodu? - wydusił z siebie w końcu.

- W jakim sensie?

- W takim, że sędzia może źle się odnieść do naszego związku.

- Nawet o tym nie pomyślałam. . . - Może powinnaś.

Grace usiadła na łóżku i zapaliła światło. Sam nie patrzył na nią. Oczy zwrócił w stronę okna.

- Proszę, spójrz na mnie.

Powoli odwrócił głowę. Na jego twarzy malowała się pustka.

- Czy jest coś, o czym powinniśmy porozmawiać? - spytała.

- Jedynie o tym, że nie chcę być osobą, która pozbawi Cathy szansy - oświadczył Sam. - Nie w sytuacji, kiedy jest tak bliska uwolnienia.

- Co cię niepokoi? Czy to, że sędzia okaże się rasistą?

- Nie musi być przecież zagorzałym rasistą ani też jednym z tych białych, którzy nie lubią narażać młodych ludzi na przebywanie z osobami różnych ras żyjącymi ze sobą w wolnym związku. - Sam wzruszył ramionami. - Każdy czarnoskóry sędzia miałby dokładnie te same obiekcje.

- Lecz my ich nie dzielimy, prawda? - upewniła się Grace.

- Nie, my nie... - W powietrzu zawisło niewypowiedziane przez Sama słowo: „ale”.

- Sądziłam, że omówiliśmy już moralne aspekty zagadnienia. - Kilka kosmyków włosów wpadło jej do oczu i niecierpliwym gestem odgarnęła je z twarzy. - Ustaliliśmy, że będziemy bardziej ostrożni w sprawach seksu, jeśli Cathy tutaj zamieszka. I sądzę, że to powinno zadowolić sędziego. - Ponownie umilkła, patrząc Samowi prosto w oczy. - Poza tym, nie wiem jak ty, ale ja jestem gotowa zaciekle walczyć o nasze prawa.

Sam w końcu się uśmiechnął.

- Niemal chciałbym to zobaczyć.

TLR

# ROZDZIAŁ 68

---

Wtorek, 30 czerwca 1998

Grace była dzisiaj u mnie z wizytą - poinformowała Cathy doktora Paresa, kiedy przyszedł ją odwiedzić, gdy skończyła pracę w pralni.

- Co u niej słyszeć?

- Była bardzo opanowana jak zawsze. - Cathy się uśmiechnęła. - Prawie zawsze. Za bardzo się przejmuję. Tym razem martwiła się o to, żebym nie robiła sobie zbyt dużych nadziei, na wypadek gdyby sprawy przyjęły niepomyślny obrót.

- Przyznaję jej całkowitą rację - oświadczył lekarz. - Lepiej nie mieć zbyt wygórowanych oczekiwań, Cathy.

- Wiem o tym - zapewniła go nastolatka, wciąż się uśmiechając. - Lepiej zachować spokój.

Przebywali sami nieopodal izby chorych w zamkniętym pokoju, którego wyposażenie stanowiły dwa krzesła oraz stara, zniszczona kozetka z winylu. Pares zdołał zapewnić sobie prawo do prywatności podczas sesji z pacjentami, gdy przekonał dyrektora więzienia o tym, że jego terapia relaksacyjna ulży w pracy służbom więziennym. Lucille nazywała owe ćwiczenia obraźliwie „sztuczkami hokus-pokus”, ale z czasem do pewnego stopnia zmieniła zdanie, zadowolona, że dzięki metodom psychiatrii Cathy nie zwariowała i zaczęła powoli odzyskiwać wewnętrzny spokój.

- Tak jest o wiele mądrzej. - Pares usiadł na krześle blisko Cathy, sięgnął po torbę i postawił ją sobie na kolanach.

- Przyniosłem dla ciebie witaminy.

- Może już ich wystarczy? Nie znoszę pastylek.

- Połknij tylko tę jedną. - Otworzył torbę i wyjął z niej małą, białą kopertę. - Mówiąc ściśle, są to raczej minerały niż witaminy. Równie ważne dla twojego zdrowia w sytuacji, kiedy nie odżywasz się prawidłowo i przebywasz z dala od świeżego powietrza i słońca.

- Przypuszczam, że będę mogła z nich zrezygnować, kiedy stąd wyjdę?

- Nie od razu. Twój organizm będzie potrzebował kilku tygodni na przystosowanie się do zmienionych warunków życia. - Umilkł. - Nie możesz oczekiwać, że wszystko potoczy się całkiem gładko tylko dlatego, że opuścisz więzienie.

- Ponieważ, pańskim zdaniem, będą mogli ponownie mnie aresztować?

- Właśnie. - Pares zamilkł na moment. - Przeszłaś twardą szkołę, Cathy. Teraz już wiesz, jak życie potrafi być czasami okrutne. Nawet tam, na wolności.

- Dobrze wiem, co dla mnie oznacza wolność - odrzekła cicho.

- Powiedz mi.

- To możliwość pobiegnięcia tak daleko, jak sięgam wzrokiem. - Jej oczy stały się zamglone pod wpływem tęsknoty. - Wolność oznacza także, że w każdej wybranej przeze mnie chwili będę mogła przystanąć, aby sobie kupić czasopismo albo słodycze.

- Wspaniale - orzekł lekarz. - Wszystko to, o czym mówisz, jest prawdą. - Jego ciemne oczy spoważniały i przez chwilę gładził starannie ostrzyżoną brodę. - Chciałbym nauczyć cię jednego: umiejętności odróżniania wrogów od przyjaciół...

- Nie mam ochoty myśleć o wrogach - przerwała mu Cathy. - Wolę żyć w przekonaniu, że nie mam żadnych.

- Ale wiesz, że tak nie jest, prawda? Przecież ten, kto cię tutaj umieścił, jest twoim wrogiem, chyba zgodzisz się ze mną?

- Ma pan na myśli mężczyznę, który zabił moich rodziców i inne osoby? - Z buzi Cathy zniknął wyraz bez troski.

- Sądzisz, że to mężczyzna? Równie dobrze mogła to zrobić kobieta.

- Najwyraźniej wszyscy uważają, że zrobił to niejaki Hayman. - Cathy spojrzała na lekarza. - Nie myśli pan, że to on?

- A skąd mam wiedzieć? Chcę, abyś zdawała sobie sprawę z tego, że musisz zachować czujność, nawet jeśli sprawy przyjmą dla ciebie pomyślny obrót i zostaniesz stąd wypuszczona. - Pares otworzył kopertę, którą trzymał w ręce, i wyjął małą, różową pastylkę.

- Zażyj to później, tuż przed zaśnięciem, dobrze, Cathy?

Skinęła potakująco głową.

- Oczywiście, panie doktorze.

Lekarz spojrzał w kierunku kozetki.

- Czy zrobimy teraz kilka ćwiczeń relaksacyjnych? - zapytała.



- Pomyślałem, że skoro z tak dużą wprawą wchodzisz w stan głębokiego odprężenia, nadeszła pora, abym zacząć cię uczyć sposobu osiągnięcia autohipnozy. - Uwagi Paresa nie uszedł mars na czole Cathy. - To bardzo prosta i całkowicie bezpieczna metoda, która ci pomoże po wyjściu stąd. - Umilkł. - Wszystko stanie się o wiele łatwiejsze, Cathy, kiedy osiągniesz umiejętność panowania nad własnym ciałem i umysłem.

- Zgoda - powiedziała nastolatka.

- Jesteś pewna, że chcesz spróbować? - spytał lekarz. - Wiesz, że nie zrobię niczego, co budziłoby twój niepokój.

- Tak, wiem - zapewniła Cathy. - To dobra metoda. Ufam panu.

- Mam nadzieję, że mi ufasz - odrzekł doktor Pares.

TLR

# ROZDZIAŁ 69

---

Środa, 1 lipca 1998

Premiera „Trubadura” odbyła się w środę wieczorem. Grace spotkała się z Samem we wtorkowy wieczór po generalnej próbie, i stwierdziła, że po raz pierwszy widzi, jak detektyw denerwuje się czymś innym niż sprawami z pogranicza życia i śmierci. Jednakże, kiedy w owym wielkim dniu przyniosła różę do garderoby, którą dzielił z tenorem wykonującym tytułową partię Manrica oraz basem śpiewającym Ferranda, Sam sprawił na niej wrażenie zaskakująco opanowanego.

- Zawsze jestem spokojny, gdy po raz pierwszy wystawiamy operę przed publicznością - wyjaśnił jej półgłosem przed drzwiami garderoby. Wyszli na korytarz przez wzgląd na obu kolegów Sama, którzy byli kłębkami nerwów. - Nie wiem, co jest tego przyczyną. Wielu śpiewaków wymiotuje, a ja zawsze jestem wtedy w podniosłym nastroju.

- Może po prostu dlatego, że bardzo kochasz tę muzykę? - zasugerowała Grace, urzeczona jego wyglądem; był już w kostiumie i miał zrobiony ostry makijaż oczu.

- Inni też ją kochają - odrzekł. - Przypuszczam, że nie byłoby tak, gdybym zajmował się na co dzień czym innym - mam na myśli moją pracę. Śpiewanie w tym zespole jest dla mnie prawdziwą ucztą duchową. Oczywiście boję się, ażeby ich wszystkich nie zawieść. Zwykle jednak czuję się tak, jak gdybym wybierał się do domu na święta Bożego Narodzenia.

Grace nie знаła się na operze, a tym bardziej na barytonach. Nigdy nie widziała żadnego przedstawienia „Trubadura” i teraz, kiedy dość pobieżnie zapoznała się z librettem, uznała, że jest tak głupie, jak kiedyś uprzedzał ją Sam.

Wiedziała także, że nigdy dotychczas tak dobrze nie śpiewał, jak dzisiejszego wieczora, i że ona nigdy w żadnym teatrze nie doświadczyła tak wielkiego wzruszenia. Musiała przyznać, że wszyscy wypadli bardzo dobrze, ale, jej zdaniem, Sam był najwspanialszy.

Powiedziała mu o tym później, gdy oblewali sukces z resztą grupy.

A drugi raz potem, kiedy wrócili na jego dach i we dwoje świętowali udany występ.



- Zamierzasz zrobić z tego wielką sprawę, Sam? I zarzucić mi, że postąpiłam niewłaściwie? - Opuściła przykrywające ją prześcieradło.

- To nieczyste zagranie, Grace.

- Jak najbardziej czyste.

Sam przyglądał się jej przez długą chwilę.

- O mój Boże - powiedział.

- Mam rację? - spytała, nadal bardzo cichym głosem.

- Myślę, że tak.

- I na czym stanęło? Co jeszcze mówił ci Hernandez?

- Oświadczył, że chociaż nadal uważa mnie za półgłówka, musi przyznać, że jestem niezłym detektywem i że jeśli będzie to od niego zależało, wolałby nie stracić mnie na zawsze.

- To cudownie! - wykrzyknęła Grace, czując, jak wzbiera w niej radość.

Sam podniósł do góry rękę.

- Nie ciesz się zbyt. Oznajmił również, że jeśli - o ile w ogóle - otrzymam z powrotem odznakę, na jakiś czas zostanę skierowany do papierkowej roboty.

- Co to znaczy?

- Obowiązywać mnie będzie zakaz pracy w terenie, będę musiał siedzieć w biurze, odbierać telefony i wyręczać wszystkich w parszywej robocie.

- Ale chyba nie potrwa to wiecznie?

- Mam nadzieję, że nie - odrzekł Sam.

- Oczywiście, że nie. Nie po oświadczeniu Hernandeza, że nie chce stracić dobrego detektywa.

- Powiedział: niezły, a nie dobry.

- Och, Sam! - Grace zarzuciła mu ręce na szyję i mocno przytuliła się do niego. - Wszystko będzie dobrze, tak się cieszę!

Sam odwzajemnił uścisk, a potem nieco się odsunął, ażeby móc pocałować ją w usta.

- Powiedział, że wpiszą mi naganę do akt.

- Czy to aż takie straszne? - spytała Grace, trzymając usta tuż przy jego twarzy.

- To nic dobrego, ale lepsze niż zawieszenie na stałe.

- Jak długo jeszcze będziesz odsunięty od służby?

- Hernandez tego nie powiedział. - Sam wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że dopóty, dopóki coś się nie wydarzy i będzie im potrzebna każda para rąk na pokładzie.

Grace położyła mu na ustach palec wskazujący.

- Tylko bez żargonu żeglarskiego, bardzo proszę.

W sprawie Brodericka-Haymana nie dochodziły żadne wieści, które miałyby przełomowe znaczenie. Martinez powiedział Samowi, że policja z Monroe znalazła ukryty w salonie w domu Haymana zapas narkotyków przepisywanych na recepty. Nie stwierdzono jednak wśród nich żadnych środków, które byłyby niedostępne dla praktykującego psychiatry. Tyle tylko, że Hayman rzadko zajmował się pacjentami. A ponieważ wszystko wskazywało na to, że nie posiadał odpowiednich kwalifikacji do prowadzenia prywatnej praktyki, nawet jeśli kiedykolwiek leczył chorych, robił to bezprawnie.

Martinez podkreślił w rozmowie z Samem, że chociaż podszywanie się pod lekarza jest karalne, takiego wykroczenia przeciwko prawu nie można zaliczyć do tej samej kategorii przestępstw co wielokrotne zabójstwo.

- Powiedz mi, czy po wypadnięciu Haymana za burtę, pomijając incydent w Dania, przestępca posługujący się skalpelem odwiedził inne gabinety lekarskie? - zagadnął kolegę Sam.

- Nie słyszałem o żadnym nowym ataku - przyznał Martinez.

- A zatem jest nam tylko potrzebna odrobina szczęścia.

- Nie mówiąc o bardzo solidnym dowodzie - zauważył Al.

# ROZDZIAŁ 70

---

Piątek, 17 lipca 1998

Zbadanie sprawy i sporządzenie raportów przez dwóch niezależnych sądowych psychologów do spraw nieletnich, dyrektora zakładu karnego dla kobiet, a także doktorów Parésa oraz Khana zajęło kolejne dwa tygodnie. Dopiero wówczas władze zgodziły się wysłuchać Jerry'ego Wagnera. Adwokat uważał, że już na obecnym etapie poszukiwania prawdy o tak zwanym doktorze Peterze Haymanie istnieją wystarczająco mocne podstawy do stwierdzenia, że niewłaściwa osoba została oskarżona o zamordowanie Marie Robbins, Arnolda Robbinsa, Frances Dean i Beatrice Flager oraz o usiłowanie zabójstwa Davida Becketa.

Ostatnia z ofiar dostarczyła dowodu w formie niezwykle przekonującego listu. Doktor Becket wydał w nim opinię jako lekarz, który opiekował się Cathy - za pierwszym razem tuż po śmierci jej rodziców, i za drugim, kiedy zemdląca podczas przesłuchania po zabójstwie Beatrice Flager. Biorąc po uwagę złożoną wcześniej przez Grace deklarację, że gotowa jest pełnić rolę tymczasowej opiekunki dziewczynki, raport doktor Lucca jako psychologa więziennego nie mógł być brany pod uwagę. Jednakże Grace również uzyskała zezwolenie na napisanie listu potwierdzającego jej nadal niezachwianą wiarę w niewinność Cathy. Sędzia przyznał słuszość Jerry'emu Wagnerowi. Cathy została wypuszczona z więzienia i oddana Grace pod opiekę tuż przed piątą po południu w piątek siedemnastego lipca.

Po wyjściu z sali sądowej obie płakały. Dziewczynka rzuciła się Grace w ramiona, a potem przebiegły przez szpaler dziennikarzy i fotografów i udały się prosto do domu na Bay Harbor Islands, gdzie czekała na nie kolacja, o jaką Cathy prosiła: chrupiąca pizza z pieczonym kurczakiem i cebulkami z pizzerii Liberty w South Beach oraz pojemnik najbardziej tuczających lodów, jakie Grace miała w swojej zamrażarce. Harry, jak zawsze dżentelmen o nienagannych manierach, powitał Cathy niczym dawno utraconą kochankę. Udawał nawet, że kręci się obok jej nóg bardziej z życzliwości niż z powodu spadających na podłogę kawałków kurczaka.

Sam trzymał się od nich z daleka przez pierwszy wieczór. Zatelefonował tylko i odbył kilkuminutową rozmowę z Cathy. Ale chociaż dziewczynka bardzo się starała - przez wzgląd na przyjaźń Sama i Grace, a także na fakt, że detektyw był



w porządku i niedawno został zawieszony w czynnościach, o czym właśnie się dowiedziała - nie mogła zapomnieć mu tego, że jest policjantem, który ją aresztował, gdy Harry na jej własnym podwórzu za domem odkopał narzędzie zbrodni.

- Czy Grace powiedziała ci - zwróciła się do psa zaraz po zakończeniu rozmowy telefonicznej - że nie żywię do ciebie urazy za wykopanie tamtego przedmiotu?

Harry zamerdał swoim krótkim ogonem i polizał ją po ręce. Cathy podniosła wzrok na Grace. Oczy jej błyszczały.

- On również wie, że jestem niewinna, prawda?

- Nie ma co do tego wątpliwości - zapewniła ją Grace.

Grace wkrótce przekonała się, że David Becket nie mylił się co do zamieszania, jakie obecność dziewczynki wywoła w jej życiu. Sędzia musiał wydać nawet polecenie dziennikarzom, aby trzymali się z dala od podejrzanej. Pomimo to Grace nie było łatwo żyć z Cathy pod jednym dachem. Być może po części na tym polegał problem - obie zdawały sobie sprawę z tego, że nastolatka jest tylko chwilowym gościem w domu i nie zamieszka tutaj na stałe. Gdyby wina Petera Haymana została udowodniona ponad wszelką wątpliwość i Cathy miałyby absolutną pewność, że rozpoczyna nowe życie, być może lepiej przystosowałyby się do obecnej sytuacji i spróbowałyby zapuścić korzenie w nowym miejscu. Jednak ani nastolatka, ani Grace nie widziały przed sobą bezpiecznej wspólnej przyszłości, która potrwałaby dłużej niż kilka tygodni. Grace była zdania, że właśnie owa niepewność jutra źle wpływa na nie obie, choć na każdą w inny sposób.

Sam z wielkim zrozumieniem odniósł się do problemu.

- To piekielnie trudna sprawa dla was obu, drogie panie - powiedział któregoś wieczora, gdy czekali na stolik w restauracji Hy-Vong w Little Havana, a ślina napływała im do ust pod wpływem aromatycznych woni wietnamskich potraw. - Obie boicie się tego, co będzie dalej. Ty myślisz - zwrócił się do Cathy - że prawdopodobnie to wszystko się powtórzy. A Grace również jest wylękniona, ponieważ przez wzgląd na ciebie bardzo pragnie, aby koszmar skończył się raz na zawsze. I obie staracie się nie mówić o tym, jak bardzo paraliżuje was strach, ponieważ chcecie oszczędzić sobie nawzajem stresów.

Przesunęli się nieco do przodu w kolejce.

- On ma rację - zwróciła się Cathy do Grace.

Wybaczyła już Samowi, nawet jeśli nie zdołała całkowicie wymazać z pamięci roli, jaką odegrał w jej aresztowaniu i postawieniu w stan oskarżenia.

- Wiem - odrzekła Grace.

- O co chodzi? - spytał Sam.

- O nic.

- Widzę, że coś cię trapi - zauważył. - Czy powiedziałem coś niewłaściwego?

- Ależ nie. - Grace się skrzywiła. - I tu leży pies pogrzebany. Jestem psychologiem, a tymczasem masz absolutną rację, Sam: nie pozwalam ani Cathy, ani sobie na konfrontację z naszymi emocjami.

- To dlatego, że sama dla siebie nie możesz być psychologiem - wtrąciła nastolatka.

- Cathy ma rację - oświadczył.

- Wiem - powtórzyła raz jeszcze Grace. " Przesunęli się bliżej czoła kolejki.

- Czy chcesz porozmawiać z innym psychologiem? - zapytała niespodziewanie Grace Cathy. - Może z doktorem Khanem? Lubisz go, prawda?

- Jest w porządku - przyznała dziewczynka, ale minę miała nietęgą.

- Nie musi być to doktor Khan - wycofała się pośpiesznie Grace. - Miałam na myśli jakiegokolwiek psychologa.

- Nie mam ochoty z nikim rozmawiać. - Cathy nagle podniosła głos, który zabrzmiał zbyt głośno. Jej policzki stały się czerwone. - Nie potrzebuję nikogo oprócz ciebie, Grace.

- Nie jestem pewna, czy w obecnej sytuacji mogę być ci naprawdę pomocna jako twoja psychoterapeutka, Cathy.

- Chcę, żebyś była moją przyjaciółką, a nie psychoterapeutka. - W jej oczach zabłyśły łzy. - Wiem, że sytuacja nie jest normalna; w pełni zdaję sobie z tego sprawę. Pragnę jednak, aby wszystko było zwyczajne, nawet jeśli miałyby to trwać krótko.

Grace poczuła na prawym ramieniu rękę Sama. Uścisnął ją delikatnie, ale zdecydowanie. Zrozumiała wskazówkę detektywa i nagle postanowiła zdać się na jego intuicję. Niczego bardziej nie pragnęła niż objąć Cathy i mocno przytulić ją do siebie, być dla niej przyjaciółką, a nawet kimś z rodziny. Jednak wciąż bała się, że przekroczy granicę i wtargnie na terytorium, które należało do Marie Robbins. Uważała, że nie ma do tego prawa.

- W porządku - powiedziała, modląc się w duchu, ażeby to proste zapewnienie zadowoliło Cathy.

- Rozumiesz, co mam na myśli, Grace? - Nastolatka badawczo wpatrywała się w jej twarz.

- Oczywiście, że rozumiem - odrzekła Grace, sięgając po jej rękę i mocno ją ściskając. - Ja również pragnę tego samego. Normalności. - Spojrzała na Sama i zobaczyła, że zdaje sobie sprawę z jej kłopotliwego położenia. Wiedziała, że jego zdaniem poniosła fiasko, ponieważ ze strachu nie zrobiła tego, co powinna.

- Wiem, co zamówię, moje panie - odezwał się, ponownie ratując ją z opresji.  
- Mam ochotę na cesarskie paszteciki oraz na rybę w sosie *nuoc man*.

- Co to za sos?

- Czosnkowy z sokiem z zielonych cytryn.

- Lepiej zamów to samo, Grace - powiedziała dziewczynka z uśmiechem.

- Dlaczego?

- Dobrze wiesz, dlaczego.

- Doprawdy? - Grace była uosobieniem niewinności.

Cathy zachichotała. Dobrze było słyszeć jej śmiech i na nią patrzeć. Grace zdawała sobie sprawę z tego, że znowu prowadzą ze sobą grę, unikając kłopotliwych tematów, lecz nagle jakaś jej część - prawdziwa kobieta, a nie psycholog - poczuła, że może nie jest to najgorszy sposób postępowania. W końcu wcale nie była pewna, czy analizowanie ich uczuć ma w obecnej chwili jakiś sens. To prawda, czuły się przerażone i obie o tym wiedziały. Sam miał całkowitą rację, przypominając im o tym od czasu do czasu. Lecz nawet gdyby stało się najgorsze i czas spędzony przez Cathy na wolności okazał się krótki, to ów okres mógł przynajmniej - jeśli będą go traktowały jako moment prawdziwego relaksu - stanowić pogodną odmianę dla dziewczynki i pozostawić w jej pamięci miłe chwile.

Grace była coraz bardziej zafascynowana Cathy. Chwilami nastolatka wydawała się bardzo dorosła - zapewne za sprawą ponurych doświadczeń, takich jak utrata bliskich i czas spędzony w więzieniu. Kiedy indziej była zbyt dziecinna jak na swój wiek. A jednak za całą tą zewnętrzną powłoką Grace wciąż dostrzegała miłą, bardzo inteligentną i zupełnie normalną młodą istotę, która już podczas pierwszego ich spotkania wywarła na niej silne wrażenie i której widok mocno ją poruszył.

Grace dobrze pamiętała swój pierwszy kontakt z Cathy. Pamiętała jej postawę oraz lekko ironiczny wyraz twarzy, który, co bardzo szybko sobie uświadomiła, stanowił część mechanizmu odcięcia się od świata. Dziewczynka od czasu do czasu nadal zachowywała się w ten sam sposób, ale przynajmniej w obecności Grace zdarzało się to coraz rzadziej. I jeśli dramatyczne wydarzenia ostatnich miesięcy przyniosły coś pozytywnego, było to zaufanie, jakiego Cathy, zdaniem Grace, do niej nabrała.

Niepokoila ją huśtawka nastrojów nastolatki. Reakcje dziewczynki były skrajne. Miała wybuchy złości i chwile pychy, po których następowały dłuższe okresy depresji, a następnie, na szczęście, momenty zadowolenia i optymizmu. Sam, ilekroć znajdował się w pobliżu, doskonale sobie z nią radził i był dla niej dobry. Oboje z Grace, pomimo wyraźnej zachęty ze strony Cathy, w dalszym ciągu zachowywali ostrożność, jeśli chodzi o ich intymne stosunki. Grace przekonywała się wciąż od nowa, jakim wspaniałym ojcem musiał być Sam i zapewne byłby, gdyby Samp-son żył. I jakim będzie, jeśli zostanie nim ponownie w przyszłości.

David i Judy również stanęli na wysokości zadania. David z własnej woli kilka razy je odwiedził, a jego wizyty przebiegły w bardzo miłej atmosferze. Judy natomiast zaprosiła je w któryś z piątkowych wieczorów na kolację, która jednak nie była wielkim sukcesem.

- Pani Becket mnie nie lubi - skomentowała tę wizytę Cathy, gdy wraz z Grace wracały do domu. - Nie jest mnie pewna, prawda?

- Dlaczego tak sądzisz?

- To oczywiste. Nie wyczułaś tego?

- Nie. - Grace myślała właśnie o tym, że Judy dołożyła wielkich starań, by Cathy nie była skrepowana w jej domu.

- A ja wyczułam - oświadczyła cicho Cathy. - Przez jakiś czas zachowywała się normalnie i była dla mnie miła. Przypuszczam, że starała się nie dać po sobie poznać, co o mnie myśli, ale za każdym razem, kiedy próbowałam porozmawiać z Saulem, robiła się bardzo czujna i obserwowała moją twarz. Przypuszczam, że gdyby mogła, wtargnęłaby pomiędzy nas. - Umilkła. - Zachowywała się tak, jak gdyby się obawiała, że wyrządzą mu krzywdę.

- Nie sądzę, że myślała w ten sposób, naprawdę - zapewniła ją zatrwożona Grace.

- Jestem innego zdania - odparła z całkowitym spokojem Cathy.

# ROZDZIAŁA 71

---

Czwartek, 30 lipca 1998

Tego dnia Susan Pitlow, przełożona pielęgniarek w prywatnym szpitalu w Spokane w stanie Waszyngton zobaczyła zdjęcie na tablicy ogłoszeń na piętrze administracji. Gdyby nie bywała tak rzadko w tej części budynku szpitalnego, wcześniej rozpoznałaby dziecko na fotografii. Siostra Pitlow nie zdołałaby policzyć małych pacjentów, z którymi miała do czynienia w późniejszym okresie, już po poznaniu tego małego chłopca. Była teraz starsza o piętnaście lat, wyszła za mąż, doczekała się dwóch własnych synów i zmieniła miejsce zamieszkania. Ów szczególny przypadek nie dawał jej jednak spokoju przez te wszystkie lata.

Chłopiec nazywał się Thomas Harding. Zetknęła się z nim, gdy była młodą pielęgniarką i pracowała w izbie przyjęć w szpitalu w Portland w Oregonie. Został przywieziony przez ojca. Cierpiał na bóle brzucha, wymiotował i zmarł kilka godzin później na atak serca. Thomas pozostał do końca słodkim, spokojnym dzieckiem, o czym Susan Pitlow opowiedziała teraz agentom FBI, którzy przyjechali do Spokane, ażeby ją przesłuchać. Ojciec chłopca, Paul Harding, był bardzo smutny. Kiedy siostra Pitlow w kilka dni po śmierci Thomasa zapytała o przyczynę jego zgonu, dowiedziała się, że mały prawdopodobnie zjadł trujące jagody. Susan zaniepokoił fakt, że Paul Harding, młody wdowiec, który przybył z synem do Portland przed trzema laty, zbyt długo zwlekał z przywiezieniem chłopca na oddział intensywnej opieki medycznej. Dalsze śledztwo ujawniło, że chłopiec już kiedyś trafił jako nagły przypadek do tego samego szpitala, a dwa razy przedtem korzystał z pomocy medycznej pogotowia.

Susan Pitlow nie była jedyną osobą w Portland, jaka zapamiętała małego Thomasa. Przeprowadzający sekcję lekarz medycyny sądowej wysunął hipotezę, że przyczyną cierpień chłopca, a pośrednio jego ataku serca i zgonu, mógł być zespół Munchausena. Paul Harding został szczegółowo przesłuchany przez policję w Portland, a dokumentację medyczną chłopca zbadano najdokładniej, jak było to możliwe. Niczego jednak nie zdołano udowodnić. Harding utrzymywał, że Thomas wiecznie pakował coś sobie do ust. Przyznał, że w dwóch poprzednich wypadkach sprowokował u syna wymioty z obawy, że mały połknął tabletki, biorąc je za cukierki. Początkowo ojciec chłopca wydawał się chętny do współpracy i udzielał wyczerpujących odpowiedzi, lecz w miarę trwania śledztwa stawał się coraz bardziej stanowczy. Nikt nie zdołał go złamać. Kilka miesięcy po śmierci syna Harding sprzedał dom i wyjechał, a Thomas spoczął na cmentarzu za miastem obok mogiły obcej kobiety, niejakiej Agnes Brown, w



rzędzie przed grobowcami członków rodziny Tully, którzy również nie byli jego krewnymi.

Jeden z trzech szczytów w pobliżu Portland, w stanie Oregon, uwieczniony na fotografii Petera Haymana, obecnie zidentyfikowanego jako Paul Harding, przyklepionej do jego łóżka w domu na Key Largo, to Góra Świętej Heleny.

Policjanci zdobyli dalsze informacje o Hardingu. Dowiedzieli się od jego brata Davida, że w dzieciństwie obaj mieszkali w Seattle i obaj byli ofiarami zespołu Munchhausena u swojej matki. Gdy chłopcy mieli trzy i pięć lat, Alice Harding przeszła załamanie nerwowe, wyleczono ją i od tego momentu zdrowie jej synów powróciło do normalnego stanu. Nikt tego nie pamiętał ani nie wiedział o straszliwych cierpieniach, jakie wcześniej stały się udziałem obu chłopców za sprawą ich matki. David, aż do chwili kiedy usłyszał o śmierci swojego bratanka w 1983 roku, sądził, że Paul tak jak i on zdołał zostawić przeszłość za sobą. Gdyby policja w Portland tuż po tajemniczej śmierci Thomasa przesłuchiwała jego stryja, być może Paul nie zostałby wypuszczony na wolność. Nikt jednak nie skontaktował się wtedy z Davidem, a on sam, nawet jeśli miał jakieś mroczne wątpliwości, odsunął je od siebie.

Teraz, kiedy David Harding został zapoznany z całą historią, podzielał opinię FBI, że być może istnieją podstawy do tego, aby się zastanowić, czy okoliczności przedwczesnej śmierci żony Paula również nie należy uznać za podejrzone.

\*

Wszyscy byli zgodni co do tego, że nowe informacje wiele wyjaśniły. Z pewnością dawały odpowiedź na pytanie, dlaczego Harding przyjął nową tożsamość i przeniósł się tysiące kilometrów dalej - na Florydę. W sposób oczywisty uzasadniały też powód zafascynowania Petera Haymana psychiatrią oraz jego obsesję na punkcie zespołu Münchhausena. Wykluczyły jednak tezę, że Hayman i John Broderick to ta sama osoba.

Nie wiadomo, w jakim celu przechowywał w zamkniętym pokoju zdjęcia trzech ofiar zamordowanych skalpelem, a także fotografie Cathy Robbins oraz Grace Lucca. Nowe fakty nie dostarczyły też policji jasnego i logicznego uzasadnienia, z jakiego powodu Hayman miałby się stać wielokrotnym mordercą.

Grace poszła do kapitana Hernandeza i złożyła kolejne oświadczenie. Powiadomiła policję o sugestii, z jaką Hayman wystąpił podczas ich pierwszego spotkania w kwietniu.



- Próbował namówić mnie, abym powiązała zabójstwa Robbinsów z zespołem Münchhausena. Dla lepszego zobrazowania swoich racji wymyślił inny przypadek, strzelaninę w St Petersburgu. Twierdził, iż rodzice mogą mieć do tego stopnia chorą i wypaczoną psychikę, że starają się przekonać innych o psychicznych zaburzeniach własnego dziecka - tak groźnych, że byłoby ono zdolne targnąć się na życie drugiego człowieka.

- Osoby dotknięte tą chorobą preparują fałszywe dowody przeciwko własnemu dziecku - podsumował Hernández.

- Właśnie - potwierdziła Grace.

- Ale Hayman, a właściwie Harding, nie był ojcem Cathy - zauważył kapitan.

- To prawda.

- Jaki związek, pani zdaniem, ma sprawa Hardinga z Cathy, doktor Lucca?

- Nie wiem. Nie potrafię sformułować jednoznacznej opinii w tej sprawie - odpowiedziała cicho. - Na tym etapie mogę jedynie snuć domysły. Może z chwilą kiedy Harding wcielił się w doktora Haymana, psychiatrę, zaczął obmyślać różne dziwaczne odmiany zespołu Münchhausena? I kto wie, czy nie ma na sumieniu również innych ofiar? - Umilkła. - A może w jakimś momencie, o którym jeszcze nie wiemy, zbliżył się do Cathy oraz do jej rodziny i zrobił kolejny krok?

- Musiałby to być wielki krok - odparł Hernández, a Grace odnotowała sceptycyzm w jego oczach i w głosie.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę - przyznała.

- Czy nie istnieje inna ewentualność, doktor Lucca? - Kapitan zamilkł na chwilę. - Czy nie jest możliwe, że kiedy poznał panią na seminarium, dostał obsesji zarówno na punkcie pani, jak i pani zaangażowania w sprawę Cathy Robbins? Czy wyklucza pani możliwość, że Harding nie był w ogóle zamieszany w te zbrodnie?

Grace zamknęła na moment oczy. Sprawa Cathy znalazła się w punkcie wyjścia.

Chciała krzyknąć, ale pośpiesznie stłumiła to pragnienie. Otworzyła powieki i ponownie spojrzała Hernandezowi prosto w twarz.

- Oczywiście, kapitanie, tego nie można wykluczyć - przyznała cicho.

## ROZDZIAŁ 72

---

Środa, 5 sierpnia 1998

Oczekiwali następnego ciosu. Grace i Cathy uzgodniły, że będą ze sobą szczerze - przede wszystkim co do obaw związanych z procesem. Od czasu rozmowy Grace z Hernandezem każdego dnia spodziewali się sygnału zapowiadającego ponowne aresztowanie dziewczynki. Nic się jednak nie działo. Niemniej zdenerwowanie obu potęgowało się coraz bardziej, a Sam bardzo się martwił o nie obie.

Od samego początku sytuacja nie była przyjemna, a w miarę upływu czasu stawała się jeszcze gorsza.

W pierwszym tygodniu sierpnia doszło do trzech wydarzeń, których doktor Lucca najmniej się spodziewała.

W środę rano, kiedy Grace siedziała na pomoście z pacjentem, a Cathy na górze czytała książkę, wziętą z jednej z półek z beletrystyką. Było to „Źródło” Ayn Rand - niezbyt lekka i niełatwa lektura. Grace jednak uważała tę książkę za cudowną, a i Cathy sprawiała wrażenie pochłoniętej czytaniem, kiedy Grace widziała ją ostatni raz w pokoju.

Grace odbywała sesję z Gregorym Lee, siedmiolatkiem cierpiącym na nocne koszmary, i w momencie, kiedy zaczęli osiągać pożądane rezultaty, Gregory z jakiegoś powodu podniósł oczy, spojrzął w stronę domu i szeroko się uśmiechnął. Grace podążyła wzrokiem w tym samym kierunku, ciekawa, co wywołało ożywienie chłopca.

Na wąskim zewnętrznym gzymsie balkonu przylegającego do sypialni Grace stał Harry.

Znajdował się już na krawędzi.

Oniemiała z przerażenia Grace przez moment wpatrywała się w psa, a potem powoli dźwignęła się z miejsca.

- Proszę, zaczekaj tutaj, Gregory. Zaraz wrócę.

Starła się nie biec i zapanować nad uczuciem paniki, zdając sobie sprawę z tego, że jeśli przestraszy swoim zachowaniem chłopca, Gregory może zacząć krzyczeć i wylękniony Harry spadnie z balkonu. Gdy tylko weszła do domu i

znalazła się poza zasięgiem wzroku małego pacjenta, co sił w nogach pomknęła schodami na górę i zdyszana wpadła do swojego pokoju.

Zobaczyła tam Cathy, która siedziała na skraju łóżka i przyglądała się Harry'emu na balkonie.

- Co ty wyprawiasz? - syknęła Grace.

Dziewczynka obejrzała się, jak gdyby zaskoczona jej widokiem. Grace nie powiedziała nic więcej. Ominęła Cathy i skierowała się w stronę drzwi balkonowych.

- Hej - przemówiła do psa cichym i możliwie opanowanym głosem. Modliła się w duchu, aby pozostał na miejscu i mogła go stamtąd zabrać albo żeby zeskończył z gzymsu do pokoju i podszedł do niej. - Hej, Harry, co tam robisz?

Pies zamerdał ogonem, ale nie ruszył się z gzymsu.

Grace dotarła do niego w niespełna sekundę, chwyciła go i mocno przytuliła do siebie. Słyszała jego bijące głośno serce, czuła psi zapach tuż przy swojej twarzy.

- Jak tam wlażeś, Harry? - spytała, a potem powoli, dając sobie czas na ochłonięcie, ponownie zwróciła się twarzą w stronę Cathy.

Nastolatka stała teraz przy łóżku.

- Czy wszystko z nim w porządku? - W jej głosie zabrzmiało napięcie.

- Tak. Co się stało, Cathy?

- Nie wiem.

- W jaki sposób wydostał się na zewnątrz? - Grace umilkła.

Co robisz w moim pokoju? Powstrzymała się od tego pytania. Nie wprowadziła żadnych reguł ani nie wydzieliła pomieszczeń, do których dziewczynka nie miałyby wstępu. Prosiła tylko, żeby Cathy nie korzystała z komputera, w którym, jak jej tłumaczyła, są przechowywane poufne informacje o pacjentach.

- Nie wiem - powtórzyła nastolatka. - Czytałam książkę u siebie w pokoju, gdy nagle ogarnęło mnie osobliwe przecucie. - Umilkła.

- Mów dalej.

- Nie wiem, dlaczego tutaj weszłam.

- Może usłyszałaś Harry'ego?

Cathy pokręciła głową przecząco.

- Nie. Zobaczyłam go dopiero po wejściu tutaj.

Grace przypomniała sobie o Gregorym Lee. Nigdy nie zostawiała małych dzieci samych na pomoście dłużej niż na trzydzieści sekund.

Pośpiesznie, wciąż trzymając Harry'ego w ramionach, podeszła do okna i spojrzała w dół. Chłopiec siedział dokładnie tam, gdzie przedtem. Wydawał się bardzo samotny.

Ponownie zwróciła się do Cathy:

- Muszę wrócić na dół.

- Czy chcesz, żebym wzięła od ciebie Harry'ego?

- Gregory o niego pytał - powiedziała Grace możliwie jak najłżejszym tonem. - Harry zawsze uczestniczy w naszych sesjach.

- Dzięki temu chłopiec czuje się bezpieczny - zauważyła Cathy.

- Wyjdźmy stąd i zamknijmy drzwi - zaproponowała Grace. Gdy podążały wąskim korytarzem, odwróciła się nagle przodem do Cathy. -Dlaczego siedziałas i biernie przyglądałaś się Harry'emu? - spytała.

- Nie wiedziałam, co robić - wyjaśniła nastolatka. - Obawiałam się, że jeśli wyjdę na balkon, pies może się przestraszyć i spadnie.

- Prawdopodobnie postąpiłaś słusznie - zgodziła się Grace, nie wypuszczając Harry'ego z objęć.

- Mówiłam do niego - dodała Cathy. - Prosiłam, żeby wszedł do środka.

- Muszę wrócić na pomost - powtórzyła Grace i ruszyła schodami w dół, starając się nie iść ani zbyt szybkim, ani przesadnie wolnym krokiem. - Do zobaczenia niebawem.

- Do zobaczenia - odpowiedziała Cathy.

Grace usłyszała jeszcze, że dziewczynka weszła do swojego pokoju, -n Postawiła Harry'ego na podłodze i przyglądała się, gdy zmierzał w stronę drzwi, jak zwykle demonstrując niczym niezmacony spokój. Zatrzymała się na chwilę w holu na parterze, aby odzyskać panowanie nad sobą. Nie wiedziała, czy przez pozostałą część sesji zdoła w jakikolwiek sposób pomóc małemu Gregory'emu. Wciąż była rozdygotana i domyślała się, że na skutek przerwy w zajęciach dziecko prawdopodobnie skupi uwagę na psie, który nie będzie mu niczego perswadował.

Co do jednego Grace nie miała najmniejszej wątpliwości. Kiedy weszła do sypialni i zobaczyła siedzącą na łóżku Cathy, nastolatka nie rozmawiała z Harrym. Nawet szeptem do niego nie przemawiała. Nie to było jednak największym zmartwieniem Grace; dziewczynka mogła mieć dylemat, jak najlepiej się zachować w tej sytuacji.

Najbardziej zaniepokoiło ją to, jak pies dostał się na parapet. Miał krótkie łapy i nawet w najlepszych czasach nie uchodził za dobrego skoczka. Złote rybki Marie!

Grace starała się o nich nie myśleć i próbowała odsunąć od siebie ich obraz. Przecież oboje z Samem doszli do przekonania, że John Broderick w jakiś sposób dostał się do domu swojej byłej żony i sam je uśmiercił.

Wracaj do pracy, Lucca.

Grace drgnęła i ponownie skupiła uwagę na pacjencie. -

Kolejnego odkrycia dokonała Dora Rabinovitch, kiedy dwa dni później, w piątkowe popołudnie, wykonywała zleconą przez Grace pracę. Cathy i Grace były w tym czasie na zakupach w Aventura Mail.

Dora powiedziała Grace później, że po włączeniu komputera prawie natychmiast się zorientowała, iż był przez kogoś używany. Zaskoczyło ją to, ponieważ wiedziała, że Grace od ponad tygodnia nie miała czasu, aby przy nim usiąść.

- Możesz od razu zobaczyć nagłówek ostatniego dokumentu - oznajmiła. Grace na tyle znała się na komputerze. W milczeniu skinęła głową.

- Twój gość korzystał z komputera.

Grace wiedziała, że Dora nadal żywi do Cathy podobne uczucia jak Claudia.

- Czy to wielki problem? - spytała lekkim tonem.

- Sądziłam, że zabroniłaś jej go używać. Grace nieco się zirytowała.

- Powiedziałam tylko, że wolałabym, aby tego nie robiła. - Umilkła. - Nie jesteśmy w więzieniu, Doro. I chciałabym, żeby Cathy czuła się tutaj jak u siebie w domu. Dzisiejsze nastolatki są przyzwyczajone do komputerów. Przypuszczam, że bez nich czują się odcięte od świata.

- To niczego nie zmienia. - Dora nie dawała za wygraną. - To, co zrobiła, jest podstępne.

- A co zrobiła? - Grace nie była pewna, czy chce wiedzieć.

- Nieważne. Na razie nie mogę tego stwierdzić. Grace ogarnęło zakłopotanie.

- Zaintrygowałaś mnie, Doro.

Dostrzegła wyraz pobłażania na twarzy starszej kobiety. Dora zwykle z podobną miną kończyła każdą rozmowę z Grace, ilekroć dyskutowały o sprawach związanych z komputerem.

- Nie mogę ci powiedzieć, co napisała, ponieważ obwarowała swój plik hasłem. - Dora wzięła milczenie Grace za brak zrozumienia problemu. - Chyba słyszałaś o hasłach? - spytała zachęcająco. - Stosowałyśmy je dla zabezpieczenia poufnych akt twoich pacjentów.

Grace wiedziała sporo na temat haseł. Kiedyś nawet namówiła Dorę, aby pozwoliła jej prowadzić mały notatnik zawierający wszystkie hasła, których mogła potrzebować w czasie nieobecności swojej pomocnicy. Przez jakiś czas spierały się o to. Używanie haseł nie ma sensu, perswadowała Dora, jeśli znajdują się w leżącym na wierzchu notesie, do którego każdy mógł zajrzeć. Grace zapewniła, że nie zamierza trzymać notesu na wierzchu. Dora poradziła jej, ażeby schowała go do sejfu, ale Grace oświadczyła, że nie posiada w domu tego rodzaju zabezpieczenia. Grace wróciła myślami do tamtej rozmowy. Musiała wytłumaczyć Dorze, że chociaż poufność informacji w pracy psychologa ma bardzo doniosłe znaczenie, to nie przechowuje w swoich aktach danych, które narażałyby na szwank bezpieczeństwo narodowe. W końcu jej pomocnica skapitulowała.

Grace знаła się na hasłach.

Przypomniała sobie rozmowę z Samem, kiedy powiedział jej o chronionych hasłem zapiskach w dzienniku Cathy. O zapiskach, które mogły być sfałszowane przez Johna Brodericka, o czym przekonywali się nawzajem.

- Czy jakoś nazwała pliki? - zwróciła się z pytaniem do Dory.

- Każdy plik musi mieć swoją nazwę.

Grace nie była w nastroju do pobierania lekcji.

- Jaką nazwę noszą notatki sporządzone poprzez Cathy? - spytała nieco zbyt szorstkim tonem.

Znała odpowiedź, zanim jeszcze Dora otworzyła usta.

- „Mój dziennik” - powiedziała.

Sam zadzwonił niespełna godzinę później z pytaniem, czy Grace i Cathy nie miałyby ochoty wybrać się wieczorem na popis. Zawsze określał swój występ



tym mianem; nieważne, że była to opera. Skoro jakiegokolwiek towarzystwo operowe właśnie jemu powierzyło główną partię, z całą pewnością musiał to być tylko popis, a nie przedstawienie.

Grace powiedziała, że jest zawałona robotą, ale ponieważ od czasu premiery miała okazję jeszcze dwukrotnie siedzieć na widowni, jest pewna, że i tym razem Sam nie zawiedzie widzów.

- Nie sędzę, żeby Cathy chciała przyjść - domyślił się detektyw.
- Chyba rzeczywiście nie jest wielką miłośniczką opery -'przyznała Grace przepraszającym tonem.
- Czy istnieje szansa, że spotkamy się potem?
- Nie wiem. Coraz bardziej boli mnie głowa i nie mam pojęcia, co będzie, gdy uporam się z robotą... - Grace nie dokończyła zdania.
- Wszystko w porządku? - W głosie Sama zabrzmiała troska.
- Tak, dziękuję. Zadzwoń do mnie, kiedy kurtyna opadnie już ostatni raz. Może wtedy będę lepiej się czuła.
- Nie przejmuj się, jeśli tak się nie stanie, ale zadzwonię.

Grace nie była pewna, dlaczego nie powiedziała mu o historii z komputerem. Pewnie z tego samego powodu, dla którego ani słowem nie wspomniała o Harrym na parapecie.

Nie miała ochoty zastanawiać się nad tym.

Pragnęła schować głowę w piasek i dopóty ją tam trzymać, dopóki nie nabierze pewności, że wszystkie te wydarzenia były całkowicie niewinne i bez znaczenia.

Do zapisków w komputerze prawdopodobnie również nie należało przywiązywać zbyt dużej wagi. W końcu dziewczynka przez długi czas prowadziła oficjalny dziennik pod tą samą, całkiem zwyczajną, a nie żadną udziwnioną nazwą. I wyparła się jedynie sporządzenia obciążających ją notatek.

A także hasła.

Grace przypomniała je sobie bez zaglądania do notesu.

Odczekała, aż Dora skończy zaplanowaną robotę, a Cathy pójdzie pobiegać. Dopiero wtedy weszła do gabinetu, zamknęła za sobą drzwi i postawiła na straży

przed nimi Harry'ego. Usiadła za biurkiem, sięgnęła do przełącznika i uruchomiła komputer.

Zaczekała, aż ekran przestanie migać. Dora ustawiła komputer tak, aby niezrozumiałe (dla Grace) wstępne sprawdzanie odbywało się bez pomocy operatora. Dzięki temu Grace po odczekaniu kilku sekund mogła zacząć go obsługiwać.

I teraz też po chwili komputer był gotów do pracy.

Grace nacisnęła klawisz F. Dora nauczyła ją, że to najszybszy sposób dostępu do danych. Nie powiedziała jednak, w którym katalogu został umieszczony plik, a Grace o to nie spytała. Katalog „Rozmaitości” wydawał się najbardziej prawdopodobnym miejscem zapisków. Grace wyświetliła go na ekranie.

Znajdował się tam. „Mój dziennik”.

Grace kliknęła, wydając polecenie otwarcia pliku. Zgodnie z jej widywaniem otrzymała odmowę wraz z prośbą o podanie hasła. Głęboko zaczerpnęła powietrza. Była roztrzęsiona. Wystukała je na klawiaturze. Nienawiść. Nacisnęła klawisz. I zaraz pożałowała tej decyzji.

TLR

# Dziennik Cathy

---

*Wtorek, 4 sierpnia 1998*

Wiedz, kto jest twoim wrogiem. Doktor Pares uważa, że powinnam ich dostrzegać. Mówi, że jest to tak samo ważne, jak pewność, komu mogę zaufać.

Zadanie to okazuje się jednak dosyć trudne. Chciałabym darzyć ją zaufaniem. Czasami myślę nawet, że i jemu mogłabym zaufać, ale wtedy przypominam sobie, co mi zrobił.

Wiedz, kto jest twoim wrogiem.

Grace wyłączyła komputer, pogłaskała Harry'ego, który wciąż czekał na nią pod drzwiami gabinetu, weszła do kuchni i pomimo wczesnej pory naląła sobie lampkę wina. Potrzebowała drinka.

Wyniosła kieliszek przed dom, zrzuciła z nóg pantofle i usiadła na skraju mostu. Przytuliła do siebie psa, zanurzyła stopy w wodzie i upiła łyk alkoholu.

Przeżyła wstrząs.

Udało jej się odsunąć na bok wszelkie inne myśli - przynajmniej na jakiś czas. Była mocno poruszona tym, co Cathy napisała o doktorze Paresie. Zdawała sobie sprawę z tego, że lekarz miał ogromny wpływ na dziewczynkę podczas ostatnich tygodni, jakie spędziła w więzieniu. Jednakże wpływ ten generalnie wydawał się wręcz zbawienny i doktor Lucca nie widziała najmniejszego powodu do interwencji.

Choć pewnie i tak nikt by jej nie wysłuchał, nawet gdyby spróbowała zgłosić komuś swoje zastrzeżenia.

Upiła kolejny łyk wina, rozważając możliwość skontaktowania się z doktorem Paresem. Zaczęła się jednak zastanawiać, co mu powiedzieć. Nie chciała ryzykować, że zrazi do siebie człowieka, który w tym niezwykle ważnym czasie mógł mieć wpływ na prokuratora stanowego, na sędziego, a nawet - w wypadku gdyby sprawy znowu przyjęły niepomyślny obrót - na sąd przysięgłych. Poza tym Pares napisał jeden z raportów, które przyczyniły się do wypuszczenia Cathy na wolność i oddania jej pod opiekę Grace.

Licząc się z tym, że Cathy w każdej chwili może wrócić do domu, Grace podjęła spieszną próbę przeanalizowania tego, co przeczytała w jej dzienniku. Czy naprawdę było to aż tak bardzo niepokojące?

„Wiedz, kto jest twoim wrogiem”.

Najwidoczniej była to wskazówka Paresa. I zważywszy na okoliczności, może wcale nie taka zła. Rada udzielona młodej niedoświadczonej dziewczynie - oskarżonej o popełnienie makabrycznych zbrodni i zamkniętej w potencjalnie niebezpiecznym otoczeniu z dorosłymi przestępcami, którzy dopuścili się wszelkich możliwych wykroczeń - aby potrafiła dostrzec, kto jest jej wrogiem, a kto przyjacielem, z pewnością każdemu wydałaby się słuszna.

I na pewno nie była wystarczającym powodem do sięgnięcia po słuchawkę i zmycia głowy Ericowi Paresowi.

Grace przeszła do kolejnej części zapisków, która najbardziej ją zaniepokoiła, a nawet nią wstrząsnęła.

Uwaga o tym, że Cathy wciąż nie wie, czy może jej zaufać..

Fakt, że pomimo pozornie coraz lepszych stosunków z Samem odnosiła się do niego z nieufnością, nie był niczym zaskakującym. To prawda, że detektyw został zawieszony w pełnieniu swoich obowiązków; ale doszło do tego z powodu jego obawy o Grace, a nie na skutek wątpliwości co do winy Cathy. Bez względu na wszystko to on był odpowiedzialny za umieszczenie dziewczynki w więzieniu. Smutne, ale prawdziwe.

Jednak nieufność Cathy wobec niej głęboko dotknęła Grace. A najbardziej niepokojące było to, że dziewczynka, zarówno w obecności Grace, jak i Sama udawała, że im ufa. Pomimo wszystko była zdolna do oszustwa.

Grace z roztargnieniem zmierzwiła sierść na łbie Harry'ego. Pies przysunął się do niej bliżej.

- A w związku z tym nasuwają się doniosłe pytania, prawda? - powiedziała do niego cicho.

Czy to wydarzenia ostatnich miesięcy wpłynęły w ten sposób na Cathy?

A może była już taka przed śmiercią Marie i Arnolda? Niezwykle ważne pytania.

Cathy wróciła do domu dziesięć minut później. Była zarumieniona i miała roziskrzzone oczy. Zadyszana przywitała się entuzjastycznie z Grace i z Harrym, potem wypila trzy szklanki wody mineralnej i poszła na górę wziąć prysznic i zmienić ubranie.

Grace ugotowała tego wieczora dobrą kolację: makaron z domowym sosem. Gdyby Sam w niej uczestniczył, otworzyłyby butelkę wina, a Bóg świadkiem, że kuśiło ją, aby wypić ze dwa kieliszki na uspokojenie. Stłumiła jednak w sobie tę chęć i zamiast wina zadowolili się butelką coli, którą wypily razem z Cathy.

- Dobrze się czujesz? - zapytała ją Cathy, gdy zaczęły jeść.

- Tak, dziękuję - odrzekła Grace. - Jestem tylko trochę zmęczona.

- Ciężko pracowałaś?

- Bardzo.

- Co słuchać u Dory?

- To, co zwykle.

- Jest zadowolona z mojej obecności w tym domu? - Cathy się skrzywiła; Już kiedyś powiedziała Grace, że Dora jej nie ufa. I, oczywiście, miała rację.

„Wiedz, kto jest twoim wrogiem”.

\*

Około dziesiątej trzydzieści zatelefonował Sam. Wydawał się bardzo ożywiony.

- Jeszcze tylko dwa popisy - oświadczył.

- Będzie ci ich brakować.

- Z całą pewnością. - Umilkł. - Jesteś skonana.

- Niestety tak - odrzekła Grace.

- Cathy dobrze się miewa?

- Tak, dziękuję. Długo biegła i najwyraźniej sprawiło jej to przyjemność. Zjadłyśmy makaron, obejrzałyśmy film, a teraz obie wybieramy się do łóżek.

- Co to był za film? Grace zmarszczyła czoło.

- Nie pamiętam. - Naprawdę nie mogła sobie przypomnieć tytułu. - Grał w nim Tom Cruise, ale chyba zasnęłam.

- Rzeczywiście jesteś skonana. - W głosie Sama brzmiało współczucie.

- Wybierasz się na przyjęcie? - Ogarnęły ją straszliwe wyrzuty sumienia. - Och, Sam, bardzo cię przepraszam.

- Za co?

- Za to, że jestem dla ciebie kulą u nogi.

- Nie użyłbym tego określenia w stosunku do ciebie, Grace.

Nie mogła mu powiedzieć, dlaczego czuje się wobec niego winna. Wiedziała, że kiedyś mu to wyzna, dzisiaj jednak nie była jeszcze gotowa, by to zrobić.

- Jesteś pewna, że nie mogę do ciebie przyjść? - spytał. - I pogłaskać cię po włosach, kiedy będziesz spała?

Propozycja ta wydała się Grace szalenie kusząca.

- Wciąż boli mnie głowa - odrzekła jednak z żalem. - Myślę, że najlepiej zrobię, jeśli od razu pójdę spać.

- W porządku - powiedział Sam. - Życzę ci słodkich snów.

- Ja tobie też, kiedy minie ekscytacja występem.

- Och, już minęła, skarbie. Dotychczas jedynie śpiewanie arii wprawiało mnie w podniosły nastrój i w trakcie ich wykonywania miałem wrażenie, że szybuję niczym latawiec w obłokach. - Umilkł. - A teraz ty, Gracie, tak na mnie wpływasz.

Grace przypomniała sobie, że podobało się jej zdrobnienie, jakim nazywał ją przyjaciel Teddy'ego, Ramon. Ale jeszcze bardziej lubiła, kiedy mówił tak do niej Sam.

Pożegnała się z Samem, życząc mu dobrej nocy, przez chwilę patrzyła na Harry'ego, który jak zwykle ułożył się do snu w nogach łóżka, a potem zgasiła światło i leżała nieruchomo w ciemnościach. I oczywiście pogрузzyła się w rozmyślaniach, ponownie analizując oba wydarzenia: obecność Harry'ego na balkonie i notatki w dzienniku Cathy.

Uprzytomniła sobie najgorszy aspekt drugiej ze spraw.

Fakt, że Cathy wciąż używa tego samego hasła.

Nieładnego słowa, co do którego łudzili się, że jest tworem Brodericka.

Grace doszła do wniosku, że chyba nigdy nie zaśnie.

I wtedy zmorzył ją sen.

Śniło się jej, że przebywa w domu Haymana, który znowu zakrada się do jej pokoju, staje nad łóżkiem i przygląda się jej w ciemnościach. Obudziła się nagle. To nie był sen.



Z jedną tylko różnicą: to nie Hayman znajdował się w jej pokoju. Cathy patrzyła na nią z góry. Grace usiadła.

- Cathy, co się stało?

Bardzo powoli dziewczynka pokręciła głową, a potem obróciła się bez słowa i ruszyła w stronę otwartych drzwi. Grace obserwowała ją, gdy skręciła w prawo, zмирzając w stronę swojego pokoju. Serce jej dudniło, gdy cicho wstała z łóżka i podążyła za nastolatką.

Cathy wróciła do łóżka. Leżała z zamkniętymi oczami i tylko lekko drgały jej powieki na skutek szybkich ruchów gałek ocznych. Miała równy oddech.

Była pogrążona we śnie.

Co wskazywało na to, że jest lunaticzką.

Grace wiedziała, że nie należy jej teraz budzić. Najciszej, jak potrafiła, wycofała się w stronę drzwi i zamknęła je za sobą. Wróciła do własnego łóżka.

- Cathy cierpi na somnambulizm - powiedziała swojemu mądrymu, staremu psu.

Harry zamruczał coś. Grace opadła na poduszki.

Przypomniała sobie słowa Frances Dean, która opowiedziała jej, jak w kilka dni po śmierci swojej siostry i szwagra obudziła się w środku nocy i zauważyła, że Cathy przygląda się jej w ciemnościach. Dwa tygodnie później ona również nie żyła.

Grace nie miała pojęcia, czy to może cokolwiek oznaczać.

Z wyjątkiem faktu, że czytała o przypadkach, w których mordercy utrzymywali, że są lunatickami.

- Do diabła, Lucca! - mruknęła niewyraźnie. - Masz niezwykle silną wyobraźnię.

Tyle tylko, że jeśli problem sprowadzał się do wybujałej wyobraźni, to dlaczego, do diabła, tak silnie dawało znać o sobie owo niemiłe uczucie? Strach.

# ROZDZIAŁ 73

---

Sobota, 8 sierpnia i 1998

Grace zatelefonowała do Sama tuż po szóstej rano i umówiła się z nim na ósmą trzydzieści na śniadanie. Dzisiaj przed południem przychodził Teddy, żeby posprzątać dom, Grace nie miała więc skrupułów, a żeby zawiadomić Cathy, że musi ją zostawić, ponieważ ma umówione spotkanie.

W każdym razie nie czuła zbyt wielkich skrupułów. Sam zaproponował spotkanie w ogródku hotelu Sheraton, w Bal Har-bour, naprzeciwko Concourse. Grace pomyślała w pierwszej chwili, że to zbyt miłe miejsce na taką rozmowę. Zaraz jednak przypomniała sobie, że zawiodła Sama ubiegłego wieczora - przede wszystkim dlatego, że nie wyjawiała mu prawdy. Nie zaprotestowała więc, uznając, że skoro i tak śniadanie upłynie im w dość przygnębiającym nastroju, nie zaszkodzi, jeśli będą je jeść w otoczeniu tropikalnego ogrodu i wodospadu.

Sam był głodny, jak zwykle, i zamówił niemal wszystkie wymienione w karcie dania. Fakt, że Grace poprosiła tylko o kawę i tosty, być może w połączeniu z wyrazem jej oczu, wystarczył, aby go uprzedzić, że coś jest nie w porządku.

Opowiedziała mu o wszystkich trzech sprawach po kolei. Usłyszawszy, co zaszło, Sam nie zwrócił nawet uwagi na śniadanie, które mu podano.

- Pozwól, że zadam najistotniejsze pytanie. Czy wątpisz w niewinność Cathy?

- Nie, ależ skąd - zaprzeczyła gwałtownie Grace, ale zaraz osłabła w swojej pewności. - Nie sądzę, aby była winna. Powtarzam sobie, że nie przestałam w nią wierzyć.

- Więc jak to wyjaśnić?

- Nie wiem - odpowiedziała. - W każdym razie nie tak, jak myślisz. Sam zastanawiał się przez chwilę.

- Sądzisz, że to, co spotkało Cathy, mogło stać się przyczyną jej nowych problemów emocjonalnych?

- Uważam tę możliwość za jak najbardziej realną.

- Tyle tylko, że jako dziecko również miała ciężkie przejścia, oboje o tym wiemy, prawda?

- Tak. - Grace bacznie przyjrzała się Samowi w obawie, że być może dostrzeże przed sobą surowego policjanta, w jakiego się przeistoczył z łagodnego męż-

czynny o dobrotliwym usposobieniu. Tego mężczyzny, z którym miała nadzieję pozostać i w którym się zakochała. Jednak na jego twarzy malowały się tylko smutek i głęboki niepokój.

- Czy nie czułabyś się bezpieczniej, gdyby została oddana pod opiekę do rodziny zastępczej albo do domu dziecka?

- Absolutnie nie. - Przynajmniej tego była pewna. - Jeśli teraz Cathy zostanie porzucona, nigdy już nie odzyska równowagi emocjonalnej.

- W porządku - odrzekł. - W takim razie jest tylko jedno rozwiązanie.

Ponownie ogarnął ją lęk.

- Jakie?

- Zaczę u ciebie sypiać - oświadczył. -I niech diabli porwą wszelkie zasady przyzwoitości!

Jeśli Sam liczył na to, że Grace będzie się o to z nim spierała, to spotkał go zawód.

TLR

# Rozdział 74

---

Dzień nieoficjalnego wprowadzenia się Sama do Grace zbiegł się z oczekiwanym od dawna telefonem od Hernandeza. Kapitan zawiadomił detektywa, że nagły atak grypy rozłożył połowę i tak już uszczuplonego personelu wydziału, dlatego też szef zgodził się przywrócić Sama na dotychczasowe stanowisko. Ze skutkiem natychmiastowym, pomimo niedzieli i pomimo zaplanowanej przeprowadzki.

- Czy będziesz się czuć bezpieczna? - Sam zapytał Grace, przekazując jej nowinę.

- Oczywiście, że tak. To cudowna wiadomość, Sam.

- Przypuszczam, że przeprowadzka będzie musiała poczekać do wieczora.

- Nie przejmuj się tym. Niewykluczone, że wieczorem też każą ci zostać w pracy.

- To biurowa robota, Grace, a nie żadna poważna akcja.

- Może to i lepiej, zważywszy na stan twoich pleców.

- Z moimi plecami wcale nie jest najgorzej.

- To dlaczego dwa razy w tygodniu chodzisz na wizyty do fizjoterapeuty, a codziennie przed zaśnięciem bierzesz środki przeciwbólowe?

Sam uśmiechnął się do słuchawki, słysząc rzeczowe pytanie Grace.

- Nie mogę uwierzyć, że robią mi to w momencie, kiedy pragnąłem spędzić z tobą możliwie jak najwięcej czasu.

- Nie martw się o mnie - powiedziała.

- Jak mogę się nie martwić?

- Przecież będziesz tutaj nocował i świadomość tego faktu stanowi dla mnie ogromną pociechę - odrzekła cichym głosem. - Nawet jeśli wrócisz o późnej porze.

Naprawdę tak uważała. Dystans dwudziestu czterech godzin złagodził większość jej niepokojów spowodowanych postępowaniem Cathy. Była przekonana, że jeśli spokojnie się zastanowi, znajdzie rozsądne wyjaśnienie dla każdego z

owych faktów. Nawet jeśli będzie to oznaczać, że Cathy, na skutek urazów psychicznych, jakich doznała, przejawia skłonność do nietypowych zachowań podczas snu. Była to dosyć niepewna diagnoza i w normalnych okolicznościach Grace uznałaby ją za bardzo naciaganą, w obecnej sytuacji jednak, kiedy przede wszystkim występowała w roli opiekunki i przyjaciółki, a dopiero potem psychologa o analitycznym umyśle, musiała się zadowolić takim wyjaśnieniem.

Pomimo nawału pracy Sam znalazł po południu w niedzielę półtorej godziny, aby, korzystając z pomocy Martineza, przenieść najważniejsze rzeczy osobiste do domu Grace: dzinsy, podkoszulki, slipki, przybory do golenia, lekarstwa oraz ulubione nagrania z ariami operowymi.

- Dlaczego Sam się do nas wprowadza? - zapytała Cathy godzinę wcześniej.

W jej głosie brzmiało napięcie, a w oczach wyraźnie malowała się czujność. Grace nie miała wątpliwości, że zmiana statusu Sama w ich domu wprawiła dziewczynkę w niepokój, a nawet zrodziła jej podejrzenia. „Wiedz, kto jest twoim wrogiem”. Najwidoczniej mogła przystać na kumplowskie stosunki z detektywem, kiedy przychodził do nich na kolację albo gdy wychodzili dokądś wszyscy razem. Znacznie większą trudność nastęrczało jej jednak zaakceptowanie go jako członka małej rodziny, którą starali się stworzyć. Grace nie mogła jej o to winić. Gdyby nie wydarzenia ostatniego tygodnia, byłby to ostatni krok, na jaki zdecydowałyby się w tym momencie. Mógł spowodować dalsze zniszczenia w skurczonym, niepewnym i rozchwianym świecie Cathy. Nagle Grace niemal zapragnęła wziąć dziewczynkę w ramiona i powiedzieć, że jeśli nie odpowiada jej stała obecność Sama w domu, każe mu się wyprowadzić.

Ale tylko była tego bliska.

Sam zatelefonował o szóstej po południu, aby uprzedzić, że wróci późno. Burknął do słuchawki, że sierżant Kovac zlecił mu jedynie papierkową robotę: raporty, statystyki i jeszcze raz te przeklęte raporty - cały bogaty asortyment środków dyscyplinarnych szefa, które Kovac tak kochał, i które prawdopodobnie były policyjnym odpowiednikiem tuzina zdrowasiek. Jednak Sam Becket nie był wcale pewien, czy kiedykolwiek otrzyma rozgrzeszenie.

- Czy wszystko u ciebie w porządku, Graee?

- Tak, dziękuję. A jak twoje plecy?

- Bolał mnie od ślęczenia za biurkiem.

- A ty, jak zwykle, rwiesz się do udziału w akcji - wytknęła mu. •

- Już ja wiem, do czego rwę się najbardziej - oświadczył. - Muszę to ończyć. Kovac szuka każdego pretekstu, aby kapitan zmył mi głowę. Jeśli nie będę ostrożny, wyślą mnie do kopania grobów.

- Nie martw się - odrzekła Grace. - U nas wszystko w porządku. Cathy poszła pobiegać, a kiedy wróci, zjemy kolację i będziemy siedzieć w domu.

- Przyjadę, gdy tylko będę mógł, ale nie czekaj na mnie.

- O ile przedtem obiecasz, że obudzisz mnie po powrocie - postawiła' warunek.

Niespełna pół godziny później ponownie zadzwonił telefon. Telefonowała urzędniczka z izby przyjęć szpitala miejskiego w Miami. Poinformowała Grace, że jeden z jej pacjentów, mały Joey Miller, o którym zarówno ona, jak i jego rodzice wiedzieli, że jest piromanem o nasilających się objawach chorobowych, został przyjęty do szpitala z poparzeniami trzeciego stopnia i chce się z nią zobaczyć.

Grace wyjaśniła Cathy, co się stało.

- Nie pojedę, jeśli wolisz, żebym została razem z tobą w domu - oświadczyła.

- Musisz pojechać - zdecydowała nastolatka.

- Nie zrobię tego, jeśli będziesz się czuła nieswojo sama w domu - odparła stanowczym tonem Grace. - Są inni specjaliści, którzy mogą z nim porozmawiać. Jutro z nim się zobaczę.

- Prosił cię, żebyś przyszła, prawda?

- Tak, prosił - przyznała Grace.

- A zatem musisz do niego pojechać. - Cathy obstawała przy swoim. - Poza tym nie zostaję sama. Harry dotrzyma mi towarzystwa.

- Jesteś pewna, Cathy?



- Dobrze wiem, jak to jest - wyznała cicho. - Pamiętam, jaką radość sprawiał mi twój widok, kiedy przebywałam w tamtym miejscu.

Grace sięgnęła po jej rękę i dziewczynka pozwoliła uścisnąć sobie dłoń, chociaż nie odwzajemniła uścisku. Po chwili Grace ją wypuściła.

- Zapiszę ci na kartce numer mojego telefonu komórkowego i zostawię go przy aparacie na biurku w gabinecie. A jeśli będziesz miała trudności z połączeniem, w książce telefonicznej znajdziesz numer szpitala. Dzwoń, kiedy tylko poczujesz ochotę, aby ze mną porozmawiać. - Umilkła. - Możesz także w każdej chwili zatelefonować do Sama.

- On jest zajęty - przypomniała jej dziewczynka.

- W razie potrzeby zjawi się tutaj natychmiast - zapewniła ją Grace. Cathy się nie odezwała.

TLR

# ROZDZIAŁ 75

---

Cathy podgrzewała zupę z mięsem i jarzynami, kiedy dał się słyszeć dzwonek do drzwi, po którym usłyszała szczekanie Harry'go.

- Kto to może być, piesku?

Podeszła do frontowych drzwi i wyjrzała przez wizjer. Rozpoznała gościa i otworzyła zamek.

- Co za niesamowity zbieg okoliczności! Właśnie o panu myślałam!

Eric Pares stał w progu - wysoki, starannie ostrzyżony, ubrany z niedbałą elegancją. Miał na sobie ciemne spodnie oraz pomimo ciepłego wieczora granatowy blezer.

- Witaj, Cathy. Czy mogę wejść do środka?

- Oczywiście, bardzo proszę. - Cofnęła się, aby go przepuścić i zamknęła drzwi. Harry dreptał obok gościa, obwąchując jego spodnie i buty.

- Czy nie przyszedłem o nieodpowiedniej porze? - spytał Pares. -Doktor Lucca szykuje dla ciebie kolację? Czuję zapachy z kuchni.

- To tylko zupa, którą właśnie podgrzewam - wyjaśniła Cathy. -Doktor Lucca musiała wyjechać w nagłej sprawie. Oprócz mnie nikogo nie ma w domu.

- Jesteś sama?

- Nie ma problemu - zapewniła nastolatka.

- Nie powinnaś zostawać sama wieczorami - oświadczył lekarz.

- Dotychczas to się nigdy nie zdarzyło - uspokoiła go Cathy. - Grace zachowała się fantastycznie. Kiedy zadzwonili do niej ze szpitala, wcale nie chciała tam jechać. Przekonałam ją jednak, że musi. - Umilkła. - Nie byliśmy ze sobą umówieni, prawda? I chyba nie zapomniałam o zapowiedzianej przez pana wizycie?

- Ależ nie - zapewnił ją Pares. - Przypadkiem byłem w sąsiedztwie, więc postanowiłem przynieść ci trochę nowych witamin.

- Naprawdę? - Cathy była zdziwiona. - Mam jeszcze spory zapas.

- Te są inne. - Lekarz wyjął z kieszeni blezera kopertę. - Nowe, wzbogacone, znacznie udoskonalone w porównaniu z poprzednimi. - Pochylił się, żeby spojrzeć dziewczynce w twarz. - Wydajesz się dziwnie spięta, Cathy - zauważył.

- Ależ nie, wszystko w porządku - zapewniła go spieszenie.

- Czy aby na pewno? - Sprawiał wrażenie zatroskanego. - Byłoby mi bardzo przykro, gdyby się okazało, że wróciłaś do poprzedniego stanu. - Podniósł do góry kopertę. - To jeszcze jeden powód, abyś zaczęła brać te tabletki, i to natychmiast.

- Teraz, przed posiłkiem? Poprzednie zażywałam przed snem i tuż po przebudzeniu.

- Te możesz łykać przed jedzeniem - oświadczył lekarz. - A potem, jeśli czas pozwoli, poćwiczmy przechodzenie w stan głębokiej relaksacji. Będziesz miała okazję zademonstrować, jak radzisz sobie z autohipnozą.

- Zgoda - odpowiedziała Cathy. Nagle przypomniała sobie o podgrzewanym daniu. - Czy ma pan ochotę na zupę z mięsem i z jarzynami? Grace sama ją ugotowała. Jest bardzo smaczna.

- Nie, dziękuję, Cathy. Nie krepuj się mną i idź jeść. Przedtem jednak zażyj dwie pigułki.

- Nie ma pośpiechu - odpowiedziała Cathy.

Nie bardzo spodobał się jej pomysł, że ma teraz zjeść zupę, a lekarz będzie siedział i patrzył. Naprawdę nie mogła się doczekać tego, by przynajmniej raz mieć cały dom tylko dla siebie. Zamierzała zjeść kolację przed telewizorem razem z Harrym, który był najlepszym kompanem i niczego od niej nie wymagał... Pomyślała, że jeśli prędko upora się z autohipnozą i pozbędzie się doktora, będzie miała jeszcze chwilę samotności przed powrotem do domu Sama i Grace. Zapropowała Paresowi odwrócenie porządku czynności.

- Dokąd możemy pójść, gdzie będzie nam wygodnie? - zapytał.

- Do salonu albo na patio - zasugerowała Cathy.

- Sądzę, że powinniśmy iść do twojego pokoju, gdzie wyciągniesz się wygodnie na łóżku, a po zakończeniu ćwiczeń będziesz mogła od razu zasnąć. - Przyjrzał się uważnie jej twarzy. - Z tego co widzę, dobrze by ci zrobiło, gdybyś wcześniej położyła się spać.

Wzruszyła ramionami. Nie miała nic przeciwko wykonywaniu ćwiczeń. Jeśli sądził jednak, że po jego wyjściu od razu pójdzie spać niczym małe dziecko, był w błędzie. Dostyc już wykonywania poleceń, zamkniętych na klucz drzwi oraz zgaszonego światła. Starczyłoby jej tego na całe życie.

Jednakże hipnoza zwykle dobrze na nią działała i lekarz miał rację, zapewniając, że po sesji będzie się czuła naprawdę odprężona i spokojna. Niezawodnie właśnie taki wywierała skutek.

Udali się na górę.

TLR

# ROZDZIAŁ 76

---

Grace wróciła tuż po wpół do jedenastej wieczorem i przekonała się, że Cathy śpi już mocnym snem w łóżku. Harry uradował się na widok swojej pani bardziej niż zwykle. Podskakiwał, wszedł za nią po schodach na górę i wydawał z siebie przenikliwe pomruki radości, przeważnie zarezerwowane na moment powrotu Grace z odbywanej bez niego podróży.

- Co się z tobą dzieje? - Wywinął się z jej objęć, gdy go podniosła do góry. Postawiła go z powrotem na podłodze. - Myślałeś, że cię porzucę?

Weszła do swojej sypialni, która - przynajmniej w najbliższej przyszłości - miała stać się wspólną sypialnią jej i Sama. Zdjęła ubranie i odkręciła wodę pod prysznicem, aby była gorąca. Niektórzy bardzo sobie cenili zimne prysznice, szczególnie w parnym i gorącym klimacie Florydy, ale na Grace najlepiej działała gorąca woda.

Wycierała się, kiedy z dołu dobiegł ją trzask frontowych drzwi. Na moment zamarła, lecz zaraz, ułamek sekundy później, usłyszała głos Sama i przypomniała sobie, że dała mu zapasowe klucze.

- Grace, wróciłem! - zaśpiewał w najlepszym stylu Ricky'ego Ricardo, wchodząc po schodach.

Wyszła z łazienki owinięta ręcznikiem.

- Cóż za wspaniały strój! - Sam pochwycił ją w niedźwiedzi uścisk.

- Przyszedłeś wcześniej, niż sądziłam - zauważyła.

- Czyżbyś uskarżała się z tego powodu?

- Chyba żartujesz. - Pocałowali się długo i mocno. - Ja też dopiero co wróciłam.

Gdy siedzieli przy stole nad lampkami czerwonego wina i omletami, opowiedziała mu o telefonie z miejskiego szpitala w Miami oraz o Joeyu Millerze, którego zastała w bardzo kiepskiej formie. I choć zrobiło jej się okropnie żal małego chłopca, który tak bardzo cierpiał i był strasznie przerażony, to pomyślała, że może poparzenie, które, jak się okazało, mogło mieć nieskończenie poważniejsze skutki, będzie dla niego dobrą nauką na przyszłość i stłumi w zarodku jego karierę podpalacza.

- Bolał cię plecy, prawda? - zauważyła, że Sam stara się znaleźć wygodną pozycję. - Jak wygląda twoje krzesło w biurze?

- Zapomnij o krześle - powiedział Sam. - Jeśli sądzisz, że Hernandez wyłoży pieniądze na mebel odpowiadający moim aktualnym potrzebom, to jesteś bardziej szalona, niż przypuszczałem.

- Nie wiedziałem, że bierzesz mnie za szaloną.

- Czyż nie zgodziłaś się, abym się do ciebie wprowadził?

- Zgodziłam.

- A więc jesteś szalona - zawyrokował Sam.

- Ale uprzedziłam cię, że to tylko na jakiś czas - zastrzegła się Grace.

- A co będzie potem? Myślisz, że łatwo się mnie pozbędziesz? - Pokręcił głową. - Jesteś szalona, nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości.

Po spacerze z Harrym zaczęli szykować się do łóżka.

- Nie zapomnij o zażyciu lekarstw - przypomniała Grace Samowi, zanim położył się obok niej.

- Nie potrzebuję żadnych leków. Mam ciebie.

- Możesz mieć jedno i drugie. Jedno i drugie jest ci potrzebne.

- Mówisz jak żona - zauważył, idąc do łazienki.

- A ty mówisz jak duży dzieciak. Wrócił po chwili.

- A teraz zabierz się do masowania mi pleców.

- Pod warunkiem, że i ty zrobisz mi masaż.

- Kiedy tylko będziesz sobie tego życzyła - zapewnił, kładąc się obok niej.

- Gdzie jest Harry? - zaniepokoiła się nagle Grace.

- Pewnie mnie bojkotuje.

- Czy mam pójść i go poszukać?

- Najpierw wylecz moje plecy - powiedział Sam.

W trakcie robienia masażu Grace spostrzegła, że Sam jest bliski zaśnięcia, a i jej kleiły się oczy.



- Miłych snów, Sam - powiedziała cicho.

- Ty też dobrze śpij, Gracie.

TLR

# ROZDZIAŁ 77

---

Obserwował, nasłuchiwał i czekał.

Wydawało mu się, że już nigdy nie skończą jeść, pić wina, zmyać, całą wieczność, nim ułożyli się w końcu do snu. Czarny z białą!

Czarnoskóry gliniarz z żydowskiej rodziny i biała niczym świnka morska psychoterapeutka. Tego rodzaju ludziom zezwalano na opiekowanie się młodymi dziewczynami! A nie ich rodzonym ojcom.

Była to kolejna plugawość.

Nabrał dużej wprawy w czekaniu. Przez lata ćwiczył się w wielu rzeczach i zdobył mnóstwo przydatnych umiejętności. Ale prawdopodobnie zdolność cierpliwego czekania, z zachowaniem stoickiego spokoju, była jego największym talentem. Gdyby tylko chciał, mógłby wypatrywać zółwia biorącego udział w maratonie.

Potrafił bez końca czekać, jeśli mu się to opłacało.

Trzeba przyznać, że miał przy tym sporo uciechy. Och, doskonale się bawił. Nie tego mu życzyła ta dziwka wraz ze swoją córką. A teraz jedna już nie żyła, a dla drugiej nastały ciężkie czasy.

Które niebawem miały stać się jeszcze cięższe.

W pełni sobie na to zasłużyła.

W końcu to ona wszystko mu spaprała. Od momentu poczęcia do odtrącenia. To była jej wina, w takim samym stopniu jak jej matki.

Siostra tej dziwki nazwała go żądnym władzy maniakiem. Lubił mieć kontrolę nad swożoną i dzieckiem. Udowodnił jej, kto jest górą, kiedy nadeszła odpowiednia pora.

Miał mnóstwo czasu na myślenie o władzy. Każdy jej pragnął. Nie tylko silni, bogaci czy nikczemni. Codziennie na każdym kroku można było dostrzec jej przejawy; przybierała rozmaite kształty i rozmiary. Niemowlę, które zdominowało swoją matką. Kilkuletni tyran. Rozhukany nastolatek. Człowiek wykorzystujący seks do osiągnięcia własnych celów. Szefowa pracoholiczka doprowadzająca podwładnych do załamania nerwowego. Kierowca autobusu zatraskujący przed nosem drzwi spóźnionemu pasażerowi. Sędzia wymierzający sprawiedliwość. Tak zwaną sprawiedliwość! Narzekająca żona. Jęczący pacjent.

Pragnienie dominowania nad innymi - to zwyczajna ludzka potrzeba. Nikt nie jest na to ani za młody, ani za stary. Wszyscy pożąдали władzy i wszyscy z niej korzystali. Rzecz w tym, że jedni potrafili zrobić z niej lepszy użytek niż inni.

Panowanie nad innymi. Władza.

Rzeczywiście, kochał to uczucie.

Jeszcze chwilę odczekał, obserwując i nasłuchując. Teraz wszyscy już spali - nawet ten kundel, do czego on sam się przyczynił.

Bezszelestnie opuścił swoją kryjówkę i wślizgnął się do głównej części domu. Znał drogę, nawet w ciemnościach. Był już tutaj kilka razy, a umysł miał ostry jak brzytwa i doskonale zapamiętywał szczegóły. Wiedział, gdzie znajduje się stół kuchenny, a gdzie krzesła, gdzie są gałki u drzwi i klamki; znał każdą skrzyżowaną deskę na klatce schodowej.

Dudniło mu serce. Trochę się pocił.

Czuł się jednak wspaniale.

Jego stopy w butach na gumowych podszewkach poruszały się bezszelestnie, kiedy ominął śpiącego psa i wszedł do pokoju dziewczynki.

Śniła o czymś. Świadczyły o tym jej poruszające się gałki oczne, a także ruchy ramion i dłoni.

Dręczyły ją złe sny, był tego pewien. Okropne koszmary. Szalone, brutalne majaki, które zwykle przesładują człowieka po zażyciu dużej dawki metylofenidanu w połączeniu z diazepamem.

Było dokładnie tak, jak to sobie wykalkulował.

Wiedział, że niebawem, za chwilę Cathy się obudzi, i jeśli zaaplikował jej prawidłową dawkę - a jeszcze nigdy się w tym nie pomylił - będzie na pograniczu transu oraz stanu paranoiczno-psychotycznego.

Pochylił się nad nią i szepnął jej coś do lewego ucha.

To zdanie przygotował wcześniej. Przywłaszczone od starego poczciwego Ezopa.

*Wiadomo z góry, że obietnice nieprzyjaciół zostaną złamane.*

Poruszyła się i zatrzepotała rzęsami.

- Grace i Sam przestali ci wierzyć - oznajmił. - To tylko kwestia czasu i z powrotem wsadzą cię do więzienia.

Jęknęła i poruszyła się ponownie.

- Chyba że ich przed tym powstrzymasz - szeptał jej do ucha. - Możesz ich powstrzymać, Cathy. Wiesz, że jesteś w stanie to zrobić. - Umilkł raz jeszcze. - Musisz ich powstrzymać, Cathy. Zanim całkiem zrujną ci życie.

Prawą dłonią w gumowej rękawiczce wyjął z kieszeni blezera skalpel, wcisnął go dziewczynce do ręki i zacisnął wokół niego palce Cathy. A potem wycofał się w mrok.

Obudziła się. Wstrząsały nią dreszcze, była spocona i mocno waliło jej serce.

Usiadła. Spuściła nogi z łóżka i oparła stopy na podłodze.

Wstała.

Skalpel wypadł jej z ręki.

- Podnieś go, Cathy.

Głos dochodził z ciemności, z głębi nocy.

- Podnieś go, Cathy.

Uśluchała polecenia. Narzędzie było chłodne w dotyku. I gładkie.

- A teraz idź i zrób to, co musisz zrobić, Cathy.

Nie potrafiła określić, czy głos rozbrzmiewa w jej głowie, czy też dochodzi od ściany. Serce niemal boleśnie tłukło się w jej piersiach. Czowała ogromny ucisk w czaszce i w mózgu.

- To boli - szepnęła.

- Oni są twoimi wrogami, Cathy - powiedział ten sam głos. Przyłożyła rękę - tę, w której trzymała skalpel - do skroni. Czowała, że za chwilę jej głowa eksploduje.

- Ale to boli.

- Idź i skończ z nimi, Cathy, a wtedy ból ustąpi. - Pauza. - To twoja ostatnia szansa, Cathy. Twoja jedyna szansa.

Obserwował ją, gdy nie wypuszczając skalpela, oderwała rękę od skroni, opuściła ją, a potem skierowała się w stronę drzwi.

Poruszała się powoli. Z miejsca, w którym stał, widział, jak drżała na całym ciele.

Patrzył w ślad za nią. I czekał.

TLR

# ROZDZIAŁ 78

---

Grace nie wiedziała, co ją obudziło. Mógł to być odgłos otwieranych drzwi albo ruch przy łóżku. Mógł to być delikatny powiew powietrza na twarzy, kiedy skalpel zatoczył idealny łuk w stronę jej gołej szyi. Niezbadane są metody pracy mózgu.

Poczuła ruch powietrza, we wpadającym oknem świetle dostrzegła błysk ostrza i dostrzegając niebezpieczeństwo, szarpnęła głową w prawo. Ostrze chybiło celu, ale trafiło ją w ramię.

Krzyknęła.

Leżący obok niej Sam jęknął, lecz się nie poruszył. Grace krzyknęła ponownie. Zdołała zapalić nocną lampkę.

Obok łóżka stała bez ruchu Cathy, wciąż trzymając w prawej ręce zakrwawiony skalpel.

- Cathy?

Grace zauważyła jej ogromne źrenice oraz nieprzytomny wyraz błękitnych oczu i zrozumiała, że dziewczynka znajduje się pod wpływem narkotyków. Nie jest lunaticzką, odnotowała w myślach. Czyż to nie szaleństwo, żeby w tym momencie wcielić się w rolę psychologa?

- Sam - szturchnęła go prawym łokciem pod żebro, ani na sekundę nie odrywając wzroku od twarzy dziewczynki. - Sam!

- Nie zatrzymuj się teraz, Cathy.

Do pokoju wszedł jakiś człowiek. Obcy mężczyzna.

Był wysoki i szczupły, miał przerzedzone czarne włosy oraz starannie ostrzyżoną brodę.

- Musisz kontynuować to, co zaczęłaś - rozkazał dziewczynce. - Musisz to skończyć. Nie będziesz już miała drugiej szansy, wierz mi.

Cathy nie patrzyła na niego, Grace dostrzegła jednak reakcję jej oczu, które zaczęły gwałtownie się poruszać; tęczęwki strzelały na boki jak oszalałe.

- Oni są twoimi wrogami, Cathy - zwrócił się do niej mężczyzna cichym, matowym, zniewalającym głosem.



Grace domyśliła się już, kto to.

Obcy akcent zniknął, ale wiedziała, że to Eric Pares, dostawca witamin i propagator terapii relaksacyjnych. Zrozumiała także, dlaczego Sam się nie obudził - Pares zastąpił leki przeciwzapalne środkami odurzającymi. I jeden Bóg wie, czym naszpikował Harry'ego, w przeciwnym razie do tej pory terier zaszczekałby się na śmierć.

- Broderick - szepnęła, obracając głowę i kierując wzrok na przemian to na niego, to na Cathy. Nie wiedziała, co robić. - Broderick i Pares w jednej osobie. To ty jesteś sprawcą tych wszystkich zabójstw. I pomyśleć, że zrobiłeś to swojej własnej córce!

- Dalej, Cathy.

W ogóle nie zwracał uwagi na Grace, jak gdyby była niewidzialna i niema.

Zatamuj krwawienie!

Poruszając się wolno, Grace przycisnęła do zranionego ramienia prześcieradła, które ścisnęła w dłoni. Zdawała sobie sprawę z tego, że musi grać na zwłokę, dopóki czegoś nie wymyśli.

Prawą stopą kopnęła Sama pod pościelą. Wydał z siebie głuchy jęk, ale nie zareagował. Kopnęła go mocniej.

Pares wciąż intensywnie wpatrywał się w Cathy.

- Robisz to tak dobrze - zwrócił się do niej. - Naprawdę dobrze. - Jego głos miał teraz słodkie brzmienie. - Zdobądź się tylko na jeszcze trochę wysiłku, nie musisz dawać z siebie zbyt wiele. Jeśli teraz zatrzymasz się w pół drogi, Cathy, dobrze wiesz, co się z tobą stanie. Co oni z tobą zrobią. Zostaniesz z powrotem odesłana do tamtego miejsca. Grace i Sam już tego dopilnują, żebyś nigdy stamtąd nie wyszła.

Musisz prowadzić tę samą grę, Lucca. Musisz rozegrać to w ten sam sposób!

Spojrzała w dół na swoje ramię. Białe prześcieradło stało się czerwone, ale przynajmniej krew sączyła się tylko, a nie tryskała. I choć Grace cała się trzęsła niczym galareta podczas trzęsienia ziemi, nie sądziła, aby w obecnej chwili groziła jej utrata przytomności. Podniosła wzrok na twarz Cathy i dostrzegła w jej oczach wyraz nieobecności, szaleństwa i zdziwienia. Zrozumiała, że resztki rozsądku, jakie jeszcze dziewczynce pozostały, tkwią uwięzione w duchowej głębi wykraczającej poza granice jej zrozumienia.

- Cathy! - Grace podobnie jak Broderick starała się nadać swojemu głosowi łagodne i zniewalające brzmienie, modląc się w duchu, aby zdołała dotrzeć do

umysłu nastolatki. - Wiem, jakie to dla ciebie trudne. I jestem pewna, że nie chcesz zabić ani mnie, ani Sama. Nie zamierzasz nikogo skrzywdzić i nigdy nikogo nie zabiłaś. Jestem o tym przekonana, oboje z Samem o tym wiemy i jeśli wypuścisz ten przedmiot z ręki, wszyscy będą o tym wiedzieli, a twój ból minie.

- Za późno, Cathy - wtrącił Pares mniej łagodnym, a bardziej rozkazującym tonem. - Jeśli nie zrobisz tego, co ci poleciłem, będziesz skończona. Chyba że najpierw rozprawisz się z nimi. Wystarczy, że dźwigniesz do góry rękę, tylko ją podniesiesz, o tak...

Grace patrzyła przerażona, jak prawa dłoń Cathy unosi się w powietrzu.

- To staje się lżejsze, znacznie lżejsze, prawda? Stał w twojej dłoni jest strzała o złotym ostrzu. To twój paszport gwarantujący wydostanie się stąd, Cathy...

Grace zobaczyła, że palce nastolatki mocniej zaciskają się wokół skalpela. Sam spał obok, nadal niczego nieświadomy. Krew sączyła się z jej ramienia i Grace wiedziała, że coraz bardziej traci siły...

- Rzuć to, Cathy - powiedziała nagle głośno z całą stanowczością, na jaką było ją stać. - Wypuść z ręki ten cholerny skalpel albo staniesz się morderczynią, tak jak on chce: prawdziwą zabójczynią.

Cathy upuściła skalpel. Grace pochyliła się, starając się go podnieść, ale Pares był szybszy, pochwycił ostrze z dywanu i złapał dziewczynkę w pól. Głowa jej opadła i Grace usłyszała, jak Cathy zachłysnęła się, gdy Pares wzmocnił uścisk, obejmując ją w pasie.

- Puść ją - błagała go Grace. - Czy nie przeszła już wystarczająco dużo?

- Nie - odparł. - Jeszcze nie. I nie oszukuj się, że to, kto was zabije, ma jakiegokolwiek znaczenie, ponieważ kiedy cię znajdą, mnie już tu od dawna nie będzie, a ona umrze ostatnia.

Sam jęknął ponownie. Grace bezszelestnie wsunęła prawą rękę pod pościel i wbiła mu paznokcie w bok. Zawył przez sen.

- A później, znacznie później, kiedy zrobią jej sekcję zwłok, odkryją niezły koktajl - wszelkie rodzaje środków pobudzających i uspokajających, co utwierdzi wszystkich w przekonaniu, że była od nich uzależniona i regularnie je zażywała, jak robi to obecnie wiele nastolatek.

- Ty podły draniu! - powiedziała Grace najgłośniej, jak mogła, i ponownie wbiła Samowi paznokcie w bok, zdając sobie sprawę z tego, że musi go zranić tak boleśnie, aby odzyskał świadomość. - Byłeś kiedyś lekarzem, na miłość boską! Prawdziwym lekarzem. - Uszczypnęła Sama w brzuch i tym razem odniosła

wrażenie, że usiłuje oderwać jej paznokcie. Och, Chryste, miała nadzieję, że go porządnie zabolalo. Liczyła na to, że ból okaże się wystarczająco silny, by wyrwać Sama ze snu, zanim będzie za późno...

- Tak, to prawda. Byłem lekarzem - przyznał Pares. - I to cholernie dobrym, dopóki ta dziwka, moja żona, wraz ze swoją siostrą nie zniszczyły mi kariery - kiedy to obie, razem z tą oto suką, oświadczyły przed sądem, że już mnie nie chcą. - Coraz bardziej wzmacniał uścisk i Grace bała się, że za moment usłyszy trzask łamanych żeber Cathy.

- Ależ ona była małą dziewczynką, kiedy Marie poszła do sądu! - zawołała. - Była niewinnym, maleńkim dzieckiem! - Głowa Cathy opadła teraz na drugą stronę i Grace dostrzegła jej wywrócone oczy oraz siniejące usta. - Puść ją, proszę! Musisz ją puścić!

- Niczego nie muszę. - Pares splunął. Jego oczy wypełniły się odrazą. - Wrzeszczała, ilekroć jej dotknąłem! Nienawidziła mnie od momentu, kiedy przyszła na ten plugawy, cuchnący świat. - Wciągnął potężny haust powietrza, a po chwili jego twarz przybrała radosny wyraz. - Wobec tego wzięłem władzę w swoje ręce, czyż nie tak? Wiedziałem, że jestem od nich sprytniejszy, zresztą nie tylko od nich, ale od wszystkich. Zniknąłem z horyzontu na tak długo, jak to było konieczne i spójrz tylko, co się wydarzyło: stałem się jeszcze sprytniejszy. - Ścisnął teraz skalpel w prawej ręce. - Och, żeby pani wiedziała, pani doktor, ilu rzeczy się nauczyłem, ilu rzeczy!

Sam wydał z siebie kolejny, ale jakby inny jęk.

- Sam! - Grace odwróciła się, potrząsnęła go za ramiona i zaczęła szarpać za włosy. - Sam! Musisz się obudzić! - Ponownie jęknął. - Uderzyła go w twarz i nawet nie wymagało to od niej zbyt wielkiego samozaparcia, gdyż była to sprawa życia lub śmierci. - Sam, obudź się natychmiast!

Pierwszy raz oderwała wzrok od mordercy i moment ten trwał o se^ kundę za długo.

- Grace, uważaj!

Błyskawicznie obróciła się na łóżku. Spostrzegła, że Cathy wyswobodziła się z uścisku, a Pares zmierza w ich stronę. Skalpel znowu opadał w dół, lecz tym razem był wymierzony prosto w Sama...

Grace krzyknęła i mobilizując wszystkie siły, starała się zepchnąć śpiącego z linii wymierzonego ciosu, ale nie była wystarczająco szybka i ostrze ugodziło Sama w bok. Oprzytomniał z dzikim wrzaskiem bólu i odruchowo wierzgnął obiema stopami w powietrze. Trafił Paresa w brzuch, pozbawiając go równowa-

gi. Grace stoczyła się z łóżka i znalazła się niemal przy Cathy. W tym momencie spostrzegła, że nastolatka ponownie trzyma w dłoni skalpel. W jednej chwili pojęła, co zamierza zrobić dziewczynka.

- Nie, Cathy! - Nie mogła jej na to pozwolić; nie mogła dopuścić do tego, ażeby zrujnowała sobie życie. Złapała pierwszą rzecz, jaka jej się nawinęła pod rękę - była to książka z nocnego stolika. - Cathy, nie rób tego! Uciekaj stąd!

Rzuciła książką najmocniej, jak potrafiła, celując nią w głowę Paresa i usłyszała tępy, przyprawiający o mdłości, ale nieskończenie satysfakcjonujący dźwięk oraz krzyk, kiedy zabójca chwycił się za skronie. Widziała, jak się zatoczył, a potem spostrzegła, że Cathy ponownie upuściła skalpel. Grace zanurkowała po niego i nagle pierwszy raz, to ona była panią sytuacji.

- Grace, nie rób tego!

Głos Sama docierał do niej jak przez mgłę. Nie posłuchała go i podniosła broń do góry. Narzędzie było miłe w dotyku i dawało poczucie siły, a morderca wciąż się zataczał, trzymając się za głowę. I przez jedną długą chwilę mężczyzną, którego widziała Grace, nie był Eric Pares ani John Broderick, tylko Frank Lucca, jej własny, potworny ojciec, a ofiarą, której omal nie zabił, nie była Cathy, lecz Claudia. W tym momencie Grace nie wiedziała i nie miało dla niej żadnego znaczenia, czyjego ojca zamierza zabić; najważniejsze stało się nagle to, żeby z nim skończyć, raz na zawsze przerwać ten koszmar.

Pierwszy strzał eksplodował tuż obok jej głowy, gruchocząc Pareso-wi kości ręki. Kula odbiła się rykoszetem od ściany przy łóżku. Grace upuściła skalpel i nakazała wrzeszczącej z przerażenia Cathy się wycofać. Dręczyciel dziewczynki zaczął wyć niczym zranione zwierzę.

Grace zobaczyła, że Sam zwlókł się z łóżka i ściska w obu drżących dłoniach pistolet. Nie wiedziała, kiedy przyniósł ten ohydny, straszliwy i cudowny zarazem przedmiot do domu.

- Grace, na podłogę! - polecił jej. - Zniż się!

Rzuciła się na wznak na dywan, ale Samowi drżały ręce i mocno mrużył oczy, jak gdyby nie widział wyraźnie. Zorientowała się, że narkotyki w organizmie zamazują ostrość jego widzenia.

- On znowu ma skalpel! - dobiegi ją przeraźliwy krzyk Cathy. Druga kula musnęła lewy policzek Paresa.

Mężczyzna dotknął zadraśnięcia, otarł z twarzy smugę krwi i roześmiał się zimnym, chrapliwym śmiechem. A potem ruszył w stronę Grace.

Trzecia kula trafiła go prosto w klatkę piersiową.

Eric Pares, znany niegdyś jako John Broderick, upadł do tyłu na dywan w sypialni Grace, wciąż ściskając w prawej dłoni skalpel. Grace wydawało się, że jego ciało niemal bezgłośnie uderzyło o podłogę, może dlatego, że wciąż dudnił jej w uszach huk wystrzału.

Podniosła wzrok na Sama. Mówił coś do niej, ale nie mogła go zrozumieć. Ponownie odwróciła głowę, rozglądając się za Cathy. Zobaczyła ją przy drzwiach. Dziewczynka siedziała skulona, miała zwieszoną głowę i obejmowała rękami kolana.

Kiedy Sam się nachylił się, żeby wyjąć skalpel z ręki jej ojca, a potem wezwał policję, Grace powoli i z ogromnym trudem podczołgała się do nastolatki.

TLR

# ROZDZIAŁ 79

---

Wtorek, 11 sierpnia 1998

Niełatwo zabić upiora. John Broderick przeżył operację, leżał na oddziale intensywnej opieki medycznej w Jackson Memoriał i według lekarzy nie było powodu, aby wątpić w to, że zdoła stanąć przed sądem. Rany Sama i Grace okazały się niegroźne. Cathy, zdaniem doktora Becketa i jego kolegów ze szpitala miejskiego w Miami, musiała tam pozostać na okres co najmniej siedmiodniowej obserwacji, podczas której miała być poddana różnorodnym badaniom dla stwierdzenia, czy długotrwałe aplikowanie narkotyków oraz nadużywanie hipnozy nie spowodowało w jej organizmie trwałych uszkodzeń.

Największą troską nastolatki w pierwszych godzinach po dramatycznym zajściu był stan zdrowia Harry'ego. Nikt nie zdołał przekonać Cathy, że terier w pełni odzyskał formę po dawce środków odurzających, jaka została mu zaaplikowana, dopóki David Becket nie uzyskał od dyrekcji szpitala zezwolenia na krótką wizytę Teddy'ego Lopeza wraz z psem nazajutrz.

- Czy teraz już lepiej się czujesz? - zapytała Grace dziewczynkę, kiedy Teddy z Harrym - podskakującym radośnie i w nie gorszej kondycji niż przed wydarzeniami, które przespał - poszli do domu.

- A ty nie czujesz się lepiej? - odpowiedziała pytaniem, opierając się o poduszki.

Grace się uśmiechnęła.

- Oczywiście, że tak.

- Jak twoje ramię? - spytała Cathy.

Doktor Lucca, stosując się do szpitalnych zaleceń, siedziała na inwalidzkim wózku.

- A co z Samem?

- Wraca do zdrowia. Bardziej uskarża się na spowodowane przeze mnie zadrapania, kiedy usiłowałam go obudzić, niż na ranę w boku.

Zastanawiała się, czy Cathy zapyta o Paresa, ale dziewczynka nie zrobiła tego. Dla Grace nie było to wielkim zaskoczeniem. Zastanawiała się, czy nie przyjąć na jakiś czas jej reguł gry i nie udawać, że ów człowiek w ogóle nie istnieje, ale wiązała się z nim pewna zasadnicza informacja, o której Cathy, zdaniem doktor Lucca, musiała się dowiedzieć.



- Pares wyjdzie z tego cało - oznajmiła. - Przebywa w szpitalu Jackson Memorial, gdzie jest pilnie strzeżony. - Grace umilkła, bacznie przyglądając się twarzy nastolatki. - Nie ma możliwości, ażeby zdołał stamtąd uciec.

- Jak poprzednim razem, czy to masz na myśli? - zapytała cicho Cathy.

Ani Grace, ani Sam nie byli pewni, co z niedzielnych wydarzeń dotarło do dziewczynki. Grace nie wiedziała nawet, czy Cathy zdaje sobie sprawę, że Eric Pares to jej rodzony ojciec. Teraz już zdobyła tę pewność.

- A więc wiesz, kim jest naprawdę? - spytała równie cicho.

Cathy nie patrzyła na nią. Siedziała z oczami utkwionymi w fałdach pościeli.

- Wszystko słyszałam. Byłam oszołomiona i dziwnie się czułam; tak, jak gdyby ktoś owinał mi głowę kocem, ale słyszałam każde wypowiedziane przez niego i przez ciebie słowo. - Umilkła. Nadal miała spuszczonego wzrok. - Nie pytaj, co w związku z tym czuję, Grace, bo nie wiem.

- Nie zamierzam cię pytać - zapewniła ją Grace. - W każdym razie jeszcze nie teraz.

W końcu błękitne oczy ponownie obróciły się w jej stronę. Były pełne zaskoczenia i niedowierzania.

- Czy to prawda? - spytała. - Czy doktor Pares rzeczywiście jest moim ojcem?

- Wszystko na to wskazuje - odrzekła Grace. - Nie mamy jeszcze stu-procentowego potwierdzenia, ale wątpliwości co do tego są bardzo niewielkie.

Cathy ponownie zamilkła na kilka sekund.

- A więc to on zabił Arnego i moją mamę - powiedziała. - A także ciocię Frances.

-Tak.

- I Beatrice Flager.

- Na to wygląda.

- Nas również by zamordował, gdyby nie....

- Przypuszczam, że mógł to zrobić. - Grace nie należała do osób, które celowo udzielają nieprawdziwych odpowiedzi, jeżeli nie ma po temu naprawdę uzasadnionego powodu.

Cathy znowu odwróciła wzrok.

- Przepraszam - odezwała się cicho.



- Za co mnie przepraszasz?

- Za to, że jest moim ojcem.

Grace ogarnął niemy gniew. Pochyliła się do przodu na wózku.

- Nie ponosisz za niego żadnej odpowiedzialności, Cathy. W żadnym wypadku. - Musiała przełknąć ślinę, aby opanować wściekłość. - Nigdy o tym nie zapominaj, nawet na sekundę.

- Powiedział, że to wszystko moja wina. - Głos dziewczynki znowu miał głucho brzmienie. - Słyszałam jego słowa. Twierdził, że wrzeszczałam, ilekroć mnie dotknął. I że go nienawidziłam.

- On nie jest w pełni władz umysłowych, Cathy. - Prawą ręką Grace mocno ścisnęła poręcz fotela. Miała ochotę zapłakać nad tym biednym dzieckiem. - Nie wiem dokładnie, co z nim jest, ale prawdopodobnie nigdy nie był normalny.

Cathy spojrzała jej prosto w twarz, w oczach miała łzy.

- To nieprawda, że go nienawidziłam. Mama tak, a także ciocia Frances. - Pokręciła głową. - Nie sądzę jednak, abym kiedykolwiek żywiła do niego tego rodzaju uczucie.

Grace się nie odezwała.

- Ale teraz go nienawidzę - oświadczyła Cathy.

Dzięki Bogu, przynajmniej za to, pomyślała doktor Lucca, ale nie powiedziała tego głośno.

Często myślała, że nienawiść ma swoje miejsce w porządku świata. Wiedziała, że nie jest to chrześcijański sposób rozumowania. I zdawała sobie sprawę, że gdyby tak daleko nie odeszła od wiary, prawdopodobnie czułaby się zobowiązana do wyjawienia tego poglądu przy konfesjonale.

Ponieważ Grace wierzyła w nienawiść, tak jak wierzyła w istnienie zła.

Pomimo wszystko uczucie to istniało.

I jeśli dotychczas nie była co do tego przekonana, teraz już nie miała wątpliwości.

# ROZDZIAŁ 80

---

Poniedziałek, 17 sierpnia 1998

Zebranie faktów zajęło trochę czasu. Dopiero kiedy mężczyzna przedstawiający się jako Eric Pares opuścił oddział intensywnej opieki medycznej, wszczęto dochodzenie w sprawie jego przeszłości. Odciski zębów oraz klisze rentgenowskie zostały wysłane do dentysty Johna Brodericka w Tallahassee, aby sprawdził, czy Pares i Broderick to ten sam człowiek. Stwierdzono już, że Broderick nosił brązowe szkła kontaktowe oraz że przyciemnił sobie włosy. Zauważono też niewielkie blizny za jego uszami po operacji plastycznej, której celem było skorygowanie okrągłej twarzy. Dodatkowe badanie rentgenowskie wykazało, że również jego wydatny nos został zmniejszony. Blizny na przegubach obu rąk oraz na szyi morderca pozostawił działaniu czasu. Prawdopodobnie dlatego - wszyscy byli co do tego zgodni - że Broderick bał się poprosić chirurga o ich usunięcie, aby nie ściągać na siebie niepożądaney uwagi.

W dniu kiedy Broderick został zawieszony do szpitala Jackson Memoriał, funkcjonariusze z grupy dochodzeniowej wydziału policji w Miami udali się pod adres, jaki Pares podał w kwestionariuszu, gdy ubiegał się o część etatu lekarza w zakładzie karnym dla kobiet.

Mieszkanie, zjedna sypialnią, mieściło się w pobliżu Tamiami Trail. Było małe, czyste i schludnie utrzymane. Wszystko miało tam swoje miejsce i wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Rewizja została przeprowadzona z wielką skrupulatnością. Policjanci dokładnie przetrząsnęli obie szuflady biurka i sprawdzili każdy świstek papieru w papierowej teczce. Nie znaleźli jednak niczego, co odnosiłoby się do Johna Brodericka albo do rodziny Robbinsów. Wszystko wskazywało na to, że mieszkanie rzeczywiście wynajmował Eric Pares, lekarz medycyny, bez względu na zamierzenia i cele, jakie mu przyświecały, kiedy tam się wprowadził. Tylko jeden fakt mógł wydawać się dość osobliwy: nie znaleziono żadnego dokumentu, który pochodziłby sprzed maja bieżącego roku.

- Broderick milczy - oznajmił Sam Grace. - Zdaje sobie sprawę z tego, że wiemy, kim jest i co zrobił, ale nie chce odbić piłeczki. Och, nie, coś jednak powiedział. Pozwól, że zacytuję: „Jeśli ten czarny policjant z żydowskiej rodziny jeszcze raz się do mnie zbliży, będę milczał jak grób”.

- Miły facet - zauważyła Grace.

Kilka dni temu oboje zostali wypisani ze szpitala. Cathy przebywała tam nadal na obserwacji, gdyż lekarze wciąż nie byli pewni następstw jej ostatnich przeżyć. Wieczorem Sam i Grace siedzieli na pomoście w towarzystwie Harry'ego.

- I tak nie mógłbym go przesłuchać - odezwał się Sam. - Na razie jest tylko oskarżony o podanie narkotyków Cathy i zranienie nas.

- W końcu go złamię, prawda?

- Nie lubię przyjmować zakładów - odrzekł detektyw - sądzę jednak, że im się to z czasem uda. Już trochę wiemy o Brodericku. Kiedy się wścieknie, wyrzuci wszystko z siebie. Poza tym lubi się chełpić własnym sprytem.

- Ale jeszcze bardziej lubi mieć przewagę nad innymi - dodała Grace. - A dopóki milczy, to on jest górą, prawda?

- Do pewnego stopnia.

- Co się stanie, jeśli sam się nie przyzna, a my nie zdołamy niczego mu udowodnić?

- Udowodnimy - zapewnił ją Sam stanowczym tonem.

- A jeśli nam się to nie uda? Czy w tej sytuacji Cathy nie zostanie postawiona przed sądem za dokonanie morderstw w stanie odurzenia narkotykami lub hipnozy albo podczas transu lunatycznego?

- Żaden prokurator stanowy nie przedstawi przed sądem tego rodzaju oskarżenia, Grace.

- Może i nie - zgodziła się chętnie. - Ale ta sprawa wymaga rozwiązania. I zakończenia. Cathy tego potrzebuje, jeśli ma kiedykolwiek przewyciężyć ten koszmar i śmiałym okiem patrzeć w przyszłość.

# ROZDZIAŁ 81

---

Wtorek, 25 sierpnia 1998

Broderick został wypisany ze szpitala i przebywał w więzieniu. Po kilku dniach od momentu, kiedy został osadzony w najlepiej strzeżonej celi, zawiadomił swojego prawnika, że jest gotów do złożenia zeznań, ale pod jednym warunkiem.

Sam zastanawiał się, czy nie pojechać do domu Grace i w cztery oczy nie przekazać jej wiadomości. Był jednak na służbie, a wiedział, że sprawa jest zbyt poważna, aby mógł zwlekać aż do wieczora. Poza tym i tak nie był w stanie złagodzić wstrząsu, jakiego musiała doznać na wieść o żądaniu mordercy.

- On chce się widzieć z Cathy - oznajmił jej przez telefon.

Sam przewidział, co powie Grace. Cathy dopiero kilka dni temu wróciła do domu i choć forma fizyczna dziewczynki nie budziła obaw, jej równowaga emocjonalna była jeszcze bardzo krucha.

- Po moim trupie.

- Szef powiedział, że musimy ją o to poprosić.

- Do diabła z szefem! Sam odczekał chwilę.

- Możesz tam pójść razem z nią.

- Nie chcę jej na to narażać, Sam.

- Ani ja. - Umilkł. - Nie mam ochoty również powiedzieć tego, co za chwilę będziesz zmuszona usłyszeć.

- Proszę zapewnij mnie, że nie ma to nic wspólnego z faktem, że Broderick jest jej ojcem. - W głosie Grace czuło się wyraźnie napięcie.

- Ale niestety nim jest - odrzekł cicho Sam. - I ta świadomość napawa mnie takim samym wstrętem jak ciebie.

- A więc skończ z tym od razu.

- Nie sądzę, abym mógł to zrobić.

- Z pewnością możesz. Wystarczy, jeśli złożysz oświadczenie szefowi, że nie zamierzamy przedstawić tej prośby Cathy.

- Jeśli my tego nie zrobimy, ktoś inny nas wyręczy. Grace się nie odezwała.

- Kto wie, może taka konfrontacja okaże się pomocna - tłumaczył Sam.

- W jaki sposób spotkanie z tym potworem może jej w czymkolwiek pomóc?

- Jakiego zwrotu użyłaś, kiedy mówiłaś o wyjeździe do Chicago na pogrzeb matki? - Sam szukał w myślach. - Spokój w związku z zamknięciem sprawy?

- Jak mi się zdaje, powiedziałam ci, że nie osiągnęłam spokoju w związku z zamknięciem tamtej sprawy.

- Ale, o ile sobie przypominam, powiedziałaś, że twoja siostra go znalazła.

Grace otworzyła usta, zamierzając się odciąć, ale zaraz z powrotem je zamknęła. Miał rację, do licha. Miał rację.

- Och, Sam.

- Wiem, co czujesz.

Zwlekąca przez kolejną chwilę, starając się opanować,

- Mogę tylko zapytać Cathy. Jeśli odmówi, sprawa będzie przesądzona, zgoda?

- Oczywiście - zapewnił ją Sam.

- On naprawdę jest potworem, nie sądzisz?

- Wszystko o tym świadczy.

Cathy skurczyła się na wieść o żądaniu Brodericka, lecz w chwili kiedy Grace zaczęła wyjaśniać, że nikt nie zamierza jej zmuszać do wizyty w więzieniu, oznajmiła, że zgadza się z nim spotkać.

- Sądzę, że muszę to zrobić - oświadczyła.

- Nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty, kochanie. Nikt nie będzie cię tam ciągnął na siłę.

Nastolatka nie odzywała się przez kilka sekund.

- Jeśli tam nie pójde, zawsze będę miała w głowie jego obraz w chwili, kiedy go widziałam po raz ostatni. - Jej oczy były zamglone, jak zwykle kiedy była czymś bardzo przejęta. - Próbował cię zabić, Grace. I śmiał się.

- Rozumiem - odpowiedziała cicho Grace.

- Myślę... - Dziewczynka urwała w pół zdania.

- O czym myślisz, Cathy?

- O tym, że muszę go zobaczyć, aby nabrać pewności.

- Jakiej pewności? - spytała Grace łagodnym tonem.

- Że nie jestem taka jak on.

- Och, Cathy. - Doktor Lucca nie zdołała ukryć przerażenia. - W niczym nie przypominasz Brodericka. Nigdy nie wolno ci tak myśleć. - Już w momencie wypowiedzenia tych słów wiedziała, że jej reakcja jest całkowicie błędna. Jako psycholog nie powinna pozwolić sobie na to, by wymknęło jej się tak głupie zapewnienie. Ponieważ Cathy nie mogła myśleć inaczej.

Dziewczynka ujęła to w idealnie prosty sposób:

- Jest moim ojcem, Grace, a ja jestem jego córką. Grace przywołała się do porządku.

- Jesteś również córką Marie - przypomniała jej. - Oraz Arniego.

- Wiem o tym - odrzekła Cathy. Drżały jej usta. - Pomimo to nadal uważam, że muszę tam pójść i zobaczyć się z nim.

## ROZDZIAŁ 82

---

Piątek, 28 sierpnia 1998

Kiedy opuściły dom, Cathy była zdenerwowana i blada. Grace dwukrotnie się upewniła, czy dziewczynka nie zmieniła zdania. Za pierwszym razem odpowiedziała, że nie, ale jej oczy, zdaniem Grace, wyrażały pragnienie powiedzenia „tak”. Za drugim razem nastolatka ofuknęła ją, a niedawny wyraz niepewności zniknął z jej oczu. Grace dobrze wiedziała, że lepiej nie ponawiać pytania.

W więzieniu napięcie nerwowe Cathy stało się jeszcze bardziej widoczne. Podskakiwała na każdy odgłos zatraskiwanych drzwi. Grace kilkakrotnie wzięła ją za rękę, a Cathy w odpowiedzi boleśnie wbiła jej paznokcie w skórę. Grace wiedziała, że nawet nie jest w stanie wyobrazić sobie, przez co przechodzi jej podopieczna. Już sam powrót do więzienia po niedawnym, kilkumiesięcznym pobycie w zamknięciu musiał być dla niej koszmarem. A wizyta w tym miejscu w celu zobaczenia się z Broderickiem zapewne wydawała się Cathy prawdziwym piekłem na ziemi.

Ich odwiedziny zostały dobrze przygotowane i nie było żadnego opóźnienia, które mogłoby zwiększyć napięcie. W momencie rewizji Grace była przygotowana, że Cathy się załamie. Nastolatka wydawała się jednak, przynajmniej na pozór, opanowana.

- Trzymasz się jakoś? - zapytała ją szeptem Grace. Dziewczynka skinęła głową.

- A ty?

- Ja również.

Zostały powiadomione, że będą korzystać z pokoju przesłuchań dla obrońców. Było to długie i wąskie pomieszczenie z czterema przymocowanymi na stałe do podłogi krzesłami, ustawionymi bez przegródek w odległości około dwóch metrów od siebie. Przy każdym z nich znajdował mały pulpit. Ciągące się od ściany do ściany i od wysokości pulpitu do sufitu okno oddzielało odwiedzających od podobnego pomieszczenia po drugiej stronie. W umocowanym w szybie grubym plastiku znajdowały się otwory z wąskimi szczelinami, przez które można było rozmawiać.



- Ty usiądź tutaj - Grace wskazała Cathy miejsce na zamontowanym na stałe meblu, a sama ulokowała się obok na składanym krześle.

Cathy zajęła je bez słowa. Czekwały.

- W czerwonym więziennym dresie i w kajdankach Broderick wyglądał zaskakująco inaczej niż poprzednio. Grace widziała go tylko tamtej nocy jako Paresa. Domyśliła się, że jego widok stał się przyczyną kolejnego wstrząsu Cathy.

W więzieniu nie przyciemnia się więźniom włosów, pomyślała.

To było częścią jego planu. Przerzedzone włosy urosły około półtora centymetra, a odrosty były bardziej siwe niż pozostałe.

Nie nosił też barwionych szkieł kontaktowych.

To była najbardziej doniosła różnica. Pares miał piwne oczy. Broderick błękitne. Grace niemal całym sercem żałowała, że nie są w innym odcieniu; niestety, były niemal identyczne z kolorem oczu Cathy.

To tylko barwa. Nic poza tym.

Broderick odezwał się pierwszy.

- Powiedziałem mojemu prawnikowi, że chcę się spotkać z tobą sam na sam. - Zwracał się bezpośrednio do Cathy, ignorując obecność Grace. - A teraz okazuje się, że towarzyszą nam jeszcze ci dwaj dżentelmeni. - Ruchem głowy wskazał na stojących w drzwiach za jego plecami strażników. - I ona.

- Chcę, żeby Grace była przy mnie. - W głosie Cathy dało się słyszeć lekkie drżenie.

Nie pozwól mu, aby zaczął panować nad sytuacją, Lucca.

- Uprzedziliśmy pańskiego prawnika, że moja obecność tutaj nie będzie przedmiotem negocjacji - powiedziała Grace.

- Wiem o tym - oświadczył Broderick, nie patrząc na nią.

- Dlaczego chciałeś się ze mną widzieć? - zapytała Cathy.

- A jak sądzisz, dlaczego?

- Mam nadzieję, że sam mi to powiesz.

W tym momencie Grace niemal przestała się lękać. Od dawna uważała Cathy za nadzwyczajną dziewczynę. Aż do tej pory nie przypuszczała jednak, jak bardzo jest dzielna.

Broderick zdawał się czytać w jej myślach. Spojrzał na nią po raz pierwszy.

- Czy Cathy nadal mieszka razem z panią, pani doktor?

- To naprawdę nie pańska sprawa - odparła Grace.

- Oczywiście, że moja. - Odnotowała jego pierwszy przebłysk gniewu. - Jest moją córką.

Grace się nie odezwała.

- Może uważa się pani za jej nową matkę? - zapytał Broderick. Ponownie próbuje przejąć kontrolę nad sytuacją. Nie pozwól mu na to.

- Grace jest moją przyjaciółką - oznajmiła Cathy. Broderick wciąż patrzył na Grace.

- Jeśli zamierza pani grać rolę jej mamy, to kim, w tej sytuacji, będzie pani narzeczony? Jej tatusiem?

Grace zaczerpnęła powietrza.

- Co pan chciał powiedzieć Cathy, Broderick? Nie zabawimy tutaj długo.

- Doktorze Broderick.

- Nieważne - skwitowała jego poprawkę Grace. Zabójca ponownie skierował uwagę na Cathy.

- Jak przebiegają ćwiczenia relaksacyjne, kochanie? Znowu był spokojny.

Grace wyczuła, że nastolatka się wzdrygnęła. Ogarnęło ją przemożne<sup>1</sup> pragnienie wzięcia Cathy za rękę i wyciągnięcia z pokoju.

- Jak mogłeś robić te rzeczy? - spytała dziewczynka.

Jej opanowanie i siła po raz drugi o mało nie zwały Grace z nóg

- O jakich rzeczach mówisz, moja droga? - zapytał Broderick.

- Wiesz, o jakich - odrzekła Cathy lekko zająkliwym głosem.

- Nie wiem, chyba że mi powiesz.

- Cathy. - Grace delikatnie dotknęła jej ramienia. - Nie musisz narażać się na dalsze nieprzyjemności.

- Odpieprz się, mamuśka - skwitował jej słowa.

- Uważaj na swój język, Broderick - ostrzegł go jeden ze strażników przy drzwiach.

Nastolatka dźwignęła się z miejsca, a potem ponownie usiadła.

- Tylko jedno chcę mu powiedzieć, a potem będziemy mogły wyjść, zgoda? - zwróciła się do Grace.

Doktor Lucca potakująco skinęła głową.

- Jak sobie życzysz.

Cathy ponownie na niego spojrzała.

- To nieprawda, że cię nienawidziłam. Przed tym wszystkim, oczywiście.

- Doprawdy? - powiedział Broderick.

- Aż do tamtego momentu nie wiedziałam, co oznacza to uczucie.

- Ale teraz już wiesz, prawda, córeczko? Powoli skinęła głową.

- Tak, wiem.

- Czyż nie to jest najważniejsze? - Broderick pochylił się do przodu na krześle, niemal dotykając czołem okna. Pod wpływem jego oddechu plastik pokrył się mgłą.

- Tak - przyznała Cathy. - To jest najważniejsze.

- W takim razie jest coś, o czym musisz wiedzieć, moja mała dziewczynko.

Grace czuła, że Cathy zeszywniała.

Morderca odchylił się do tyłu na krześle i skierował głos prosto w otwór, aby mieć pewność, że zostanie dobrze usłyszany.

- Niczego ci nie wybaczyłem, Cathy - powiedział głośno i wyraźnie. - I nienawidzę cię. Od momentu kiedy zostałam poczęta.

Grace podniosła się z miejsca.

- Idziemy, Cathy...

- Zniszczyłaś moje małżeństwo, obie z matką zrujnowałyście moją karierę, a potem chciałaś również zniszczyć mi życie. - W oczach i tonie głosu Brodericka nie było śladu nienawiści, jedynie zadowolenie. - Chcę, żebyś o tym wiedziała. A także o tym, że ponosisz odpowiedzialność za śmierć swojej matki i wszystkich

pozostałych. - Uśmiechnął się poprzez plastik, patrząc dziewczynce prosto w oczy. - Mogą cię wypuścić z więzienia, Cathy, aleja znam prawdę, i ty też powinnaś ją znać.

Dziewczynka również wstała. Cała się trzęsła.

- To rozsądne wyjście - powiedział. - Uciekajcie stąd obie. Cathy obróciła się w stronę Grace. Do oczu

napłynęły jej łzy.

- To wszystko, co miałem do powiedzenia. - Broderick nadal siedział. - Chciałem, żebyś wiedziała, że nadal za wszystko winię ciebie, nienawidzę cię i zawsze będę nienawidził.

Grace wzięła ją za rękę i odprowadziła do drzwi. Żadna z nich się nie obejrzała.

Dotarli już niemal do bramy więzienia, kiedy Grace usłyszała, że jakiś mężczyzna woła ją po nazwisku. Był to jeden ze strażników, który znajdował się w pomieszczeniu po drugiej stronie okna, gdzie siedział Broderick; ten, który przywołał zabójcę do porządku, kiedy zaczął przeklinać.

- Czy mogę zamienić z panią słowo? - zwrócił się do Grace.

- Słucham?

- Na osobności, jeśli to możliwe. - Strażnik umilkł. - Zabiorę pani tylko minutę.

Grace spojrzała na Cathy. Dziewczynka skinęła głową.

Strażnik wycofał się w głąb korytarza, a Grace podążyła za nim. Był roslym mężczyzną z nadwagą, miał gładko ulizane, ciemne włosy oraz wąskie, szare oczy.

- O co chodzi? - spytała. - Naprawdę chciałabym, żebyśmy jak najszybciej opuściły to miejsce.

- Rozumiem, proszę pani, i jest mi naprawdę przykro, że was zatrzymuję.

- W porządku.

W oczach mężczyzny malowało się wielkie przejęcie.

- Chcieliśmy panią prosić o przekazanie młodej damie, jeśli nie uzna pani tego za niestosowne, że naprawdę współczujemy jej z powodu tego, przez co musiała przejść.

Grace spojrzała na mężczyznę zaskoczona.

- Dziękuję, to miło z waszej strony - powiedziała, zamierzając odejść.

- Wielu ludziom tutaj - głos strażnika ponownie ją zatrzymał - nie podoba się to, co on jej zrobił, jak również to, co wciąż zamierza jej zrobić. - Znowu zamilkł. - Proszę jej powtórzyć, żeby się zbytnio nie martwiła, zgoda?

Grace spojrzała w oczy, które patrzyły na nią wymownie, i poczuła na plecach zimne dreszcze.

- Dobrze, powiem - obiecała.

TLR

# ROZDZIAŁ 83

---

Tego samego wieczora Grace dowiedziała się o nowym odkryciu. Sam czekał w domu, aby je powitać po powrocie z więzienia. Jego oczy zdradzały obawę. Cathy patrzyła na niego przez moment, gdy weszły do środka, a potem rzuciła mu się w ramiona i pozwoliła się objąć.

Grace obserwowała twarz Sama i była mu niewymownie wdzięczna.

Zaczekał aż dziewczynka zaśnie.

- Znaleźli dzisiaj prawdziwy dom Brodericka - oznajmił. - Łódź o nazwie „Uzdrowiciel”.

Grace zamieniła się w słuch.

- Została zakotwiczona za Key Biscayne. Stała tam, jak gdyby czekając, aż ktoś ją znajdzie. - Sam umilkł. - Wczoraj obok niej zarzuciła kotwicę inna łajba, należąca do rodziny, która spędzała tam wakacje. Wiesz, o czym mówię: posiłki na pokładzie, pływanie wokół łodzi, tego typu wypoczynek.

- I? - ponagliła go Grace.

Siedzieli w kuchni. Sam przez chwilę nasłuchiwał, pragnąc się upewnić, czy Cathy się nie obudziła i nie schodzi na dół.

- Poczuli jakiś odór. Sądzieli, jak powiedzieli potem patrolowi straży przybrzeżnej, że coś cuchnie w wodzie. Przez jakiś czas czekali, licząc, że to coś odpłynie z prądem, ale tak się nie stało. W końcu uświadomili sobie, że przykry zapach dochodzi z zakotwiczonej nieopodal łodzi.

\*

- Po raz drugi tego dnia Grace przeszły dreszcze.

Jacht dostarczył policji więcej nowych informacji o życiu Johna Brodericka.

Półki i szafki były wypełnione narkotykami - zarówno dostępnymi na rynku, jak i pochodzącymi z przemytu. Znajdowały się tam środki uspokajające, halucynogenne i amfetamina - szeroki wachlarz broni umożliwiającej kierowanie ludzką psychiką: od AMF, DOB, ritalinu, opium, marihuany, LSD, po wodnik

chloralu, morfinę oraz różnorodny zestaw benzodiazepinów. Wymarzone miejsce zabaw szalonego farmakologa amatora. Było tam wystarczająco dużo narkotyków, aby Broderick mógł kierować psychiką dowolnej liczby ludzi, a może także swoją własną, i na rozmaite sposoby obezwładniać ofiary środkami uspokajającymi. Za ich sprawą istota tak niegroźna jak Cathy mogła być bliska zamordowania człowieka.

Odkryli również przyczynę odoru.

Na pokładzie „Uzdrowiciela” znajdowały się zwłoki.

Ciało Petera Haymana, czyli Paula Hardinga.

- Był związany - opowiadał cicho Sam Grace. - Związany, zakneblowany i prawdopodobnie nafaszerowany narkotykami, jak wynika ze wstępnego raportu lekarza sądowego. - Umilkł. - Hayman, to znaczy Harding, z całą pewnością jeszcze żył, zdaniem specjalistów, kiedy Broderick go tam zostawił.

- Pewnie, że żył. W przeciwnym razie po co ten drań miałby go związywać? - mruknęła Grace, czując mdłości.

- Być może Broderick zdał sobie sprawę z tego, że Harding umarł, ale nie zdał sobie trudu, aby go rozwiązać - odrzekł Sam. - W każdym razie... - urwał.

Grace na moment zamknęła oczy.

- Jakie ma dla nas znaczenie ta informacja? - spytała.

- To ty jesteś psychologiem.

- Nie, teraz nie jestem.

- Rozumiem.

Postanowili napić się czegoś mocniejszego.

- Sama nie wiem, czy powinnam czuć się lepiej z powodu Haymana czy też nie - wyznała Grace po kilku łykach whisky. - Chyba trochę mi ulżyło.

- Z pewnością możemy czuć się mniej winni - powiedział Sam.

- Dlatego że nie utonął? - spytała Grace z ironią. - I Broderick dokończył to, cośmy zaczęli?

- Po części tak - odparł. - Przede wszystkim jednak dlatego, że wiemy, co Harding zrobił swojemu rodzonemu synowi, a niewykluczone, że także kilku innym osobom.



- Nie odpowiada mi rola kata, Sam. Jestem tylko psychologiem. - Grace upiła kolejny łyk. - I moim życiowym powołaniem jest pomaganie ludziom pokroju Paula Hardinga.

- Uznałaś, że chce cię zabić - przypomniał jej Sam. - I ja też tak uważałem.

- To prawda.

- Do dzisiaj nie wiemy, czy nie miał takiego zamiaru. Oboje napili się whisky. Milczeli przez jakiś czas.

- Co to oznacza? - zapytała w końcu Grace. - W jaki sposób byli ze sobą powiązani? I jak doszło do tego, że Hayman znalazł się na łodzi Brodericka?

- Na razie nic nie wiadomo na temat ich powiązań. Wygląda na to, że z sobie tylko wiadomego powodu Broderick obserwował „Ziębę”. Wiemy, że wczesnym popołudniem tamtego dnia był w więzieniu, potem jednak miał wystarczająco dużo czasu, by pojechać na Key Largo. Kiedy straż przybrzeżna dotarła do motorówki Kuntza, wokół znajdowało się kilka innych łodzi, pamiętasz? Broderick musiał wyłowić Haymana, czyli Hardinga, po waszej wywrotce, ukryć go na pokładzie „Uzdrowiciela” i tam uśmiercić.

Grace powoli skinęła głową.

- Obserwowanie i czekanie. Oto, co robił Broderick przez te wszystkie lata, prawda?

- Czy chcesz znać stanowisko Martineza w sprawie związku Brodericka i Hardinga?

Grace ponownie skinęła głową. \*J Uśmiech Sam był ponury i krzywy.

- Psychopaci przyciągają się nawzajem.

Dowiedzieli się, że „Uzdrowiciel” był zarejestrowany przez ostatnie dziesięć lat na nazwisko niejakiego Johna Brody'ego, mieszkańca West Palm Beach. Policja doszła do wniosku, że Broderick dobrze zaplanował swoje zniknięcie: odpłynął drugą łodzią od miejsca rzekomego utonięcia w rejonie Pensacoli i przybijał do brzegu, ilekroć było mu to na rękę.

Sam z dziesięciodniowym wyprzedzeniem przewidział, że wcześniej czy później Broderick zechce się pochwalić swoimi czynami.

I teraz rzeczywiście zaczął mówić.

Zapytali go o Petera Haymana. Oświadczył, że choć bardzo chciałby sobie przypisać zasługę w tej sprawie, to może przyznać się jedynie do wykorzystania pomyślniej sytuacji. Śledził Grace Lucca od momentu pierwszej wizyty, jaką złożyła w domu Frances Dean w Coral Gable. Był, jak zdążyli się zorientować, pełnym entuzjazmu obserwatorem - uważał, że tak powinno się go nazywać. Ta jedyna rozrywka trzymała go przy życiu przez lata wyczekiwania na dogodną sytuację: obserwowanie ludzi, którzy nie mieli pojęcia o tym, że są inwigilowani. Broderick wspominał o dwóch momentach, kiedy Grace wyczuła, że ktoś ją śledzi - raz w pasażu handlowym koło Saksa, niedaleko domu, w snobistycznym Bal Harbour, a drugi raz tuż po uroczystości bar micwy młodszego brata czarnoskórego gliniarza, gdy jechała z wizytą do swojej siostry. Kiedy widział, jak nie może znaleźć sobie miejsca w pasażu handlowym, a także gdy co chwila zerkała we wsteczne lustro swojego auta, rozpieszczała go radość z powodu władzy, jaką nad nią posiadał.

Aż do momentu kiedy to Peter Hayman - psychiatra i autor podręczników na temat zespołu Münchhausena - nie podwiózł Grace do Westin na Key Largo, Broderick nie miał pojęcia o jego istnieniu. Dopiero potem zebrał o nim wszelkie informacje i uznał je niemal za błogosławieństwo. To właśnie wtedy postanowił wcielić się w rolę doktora Erica Paresa - wyznał przesłuchującemu go zespołowi, w którego skład w tamtym momencie wchodził: detektyw Martinez z wydziału policji w Miami Beach, sierżant Rodriguez z wydziału policji Miami oraz prokurator stanowy. Oczywiście musiał tylko poczekać na wybór więzienia, do którego zostanie skierowana dziewczynka, aby zacząć tam się ubiegać o pracę. Wszyscy wiedzieli, jak ogromne jest zapotrzebowanie na specjalistów w tych nieszczęsnych miejscach i jak niewielu lekarzy ma ochotę zajmować się pacjentami z marginesu społecznego, a na dodatek pracować w tak podłych warunkach i za pensję, która rzadko bywa wypłacana. Broderickowi jednak ta sytuacja z wielu powodów bardzo odpowiadała. Pomijając sprawę córki, uznał, że obserwowanie tych kobiet, leczenie ich i, o ile to bezpieczne, prowadzenie z nimi własnej gry jest fascynującym zajęciem.

- Dopytywał się, czy zdołaliśmy odgadnąć, dlaczego przybrał takie a nie inne nazwisko - powiedział później Martinez Samowi. - Zrozumiał, że nie domyśliliśmy się tego i z zachwytu aż się cały obślinił.

- To anagram - odrzekł Becket.

- Jak do tego doszedłeś? - Martinez sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- To Grace - wyjaśnił Sam. - Ubiegłego wieczora. Czytała fachową literaturę na temat zespołu Münchhausena i nagle przypomniała sobie o pewnym facecie,

który opublikował w książce wszystkie najbardziej nieprawdopodobne historie barona Münchhausena.

- Rudolph Erich Raspe - wtrącił Martinez.
- To właśnie on. Martinez pokręcił głową.
- Arogancki psychol - oświadczył.

Wiele spraw wyjaśniło się dokładnie, kiedy Broderick zaczął ich zalewać potokami zeznań, zdradzając wszystkie sekrety niczym magik zabawiający urzeczoną widownię. Pewne kwestie nadal pozostały jednak tajemnicą i Grace z Samem obawiali się, że te sprawy już nigdy nie znajdą wyjaśnienia i na zawsze pozostaną tematem spekulacji. Jak na przykład to, co się wydarzyło w tygodniu poprzedzającym ostateczny atak Brodericka: zachowanie Cathy, które tak bardzo zaniepokoiło Grace i wpłynęło na decyzję Sama o wprowadzeniu się do niej, w charakterze kochanka i ochroniarza.

Czy rzeczywiście Cathy to zrobiła? Czy to ona, będąc pod wpływem narkotyków i hipnozy Paresa, a więc sterowana przez niego, osobiście umieściła ostatni zapisek w komputerze Grace, zabezpieczony hasłem Nienawiść? A może Broderick znalazł sposób, ażeby bez niczyjej wiedzy zakraść się do domu? A tamtego popołudnia, kiedy Grace siedziała na pomoście z małym Gregorym Lee, czy Cathy zdrzemnęła się podczas czytania, a potem we śnie - prawdopodobnie pod wpływem jakiejś hipnotycznej sugestii - postawiła Harry'ego na gzymsie balkonu w sypialni Grace? A może Cathy zawsze miała skłonności lunatyczne, nawet jako małe dziecko? Niestety, nie było już nikogo, kto mógłby udzielić wiarygodnej odpowiedzi na to pytanie.

Po pewnym czasie Broderick przestał mówić. Znowu usiłował się targować. Nowe zeznanie za komputer w celi. Kolejne za wybraną przez niego książkę. Naprawdę „doniosła” informacja w zamian za pozwolenie na regularne wyprawy do biblioteki. Na nikim propozycje te nie robiły jednak wrażenia. Nawet specjalista, który obecnie zajmował się sporządzaniem charakterystyki psychologicznej zabójcy, był przekonany, że więzień nie zdoła długo milczeć.

Poza tym i tak już właściwie mieli to, czego naprawdę potrzebowali.

Broderick przyznał się, a nawet się tym chełpił, że naszpikował narkotykami, a potem zabił Marie i Arnolda Robbinsów, a także Beatrice Flager.

Nie ukrywał, że przez ostatnie dwa lata wchodził do domu Robbinsów, kiedy tylko miał na to ochotę. Opowiedział o sposobie zaaplikowania Cathy marihuany i o uśmierceniu złotych rybek Marie. A także o umieszczeniu nocnej koszuli Cathy w piecu do spalania śmieci przed domem, po pierwszych zabójstwach, aby policja znalazła spopielone resztki. Przyznał się też do poranienia współwięźniarki Cathy i do podrzucenia w celi swojej córki skrobaczki do ziemniaków.

Bez wahania potwierdził, że zamordował Paula Hardinga.

Kategorycznie zaprzeczył jednak, jakoby był odpowiedzialny za którekolwiek z zabójstw w gabinetach lekarskich. Wyparł się też napaści na doktora Becketa. Jak dotychczas odmawiał również przyznania się do umieszczenia jakichkolwiek zapisków w komputerze Cathy, a także do zabójstwa Frances Dean i zakopania srebrnego skalpela wraz z gumowymi rękawiczkami na podwórzu za domem przy Pine Tree Drive.

- Pozostało piekielnie dużo niewyjaśnionych szczegółów - powiedział Sam do Grace. - Ta gra nieprędko się skończy. Może Broderick pragnie mieć okazję udowodnienia nam, jak bardzo potrafi być cierpliwy.

- A Cathy nadal będzie narażona na udrękę - dodała Grace.

Nikt nie był na tyle naiwny, by wierzyć, że wyznania psychopaty oraz jego uwięzienie położą kres męce nastolatki. Jej udręka musiała jeszcze trwać i trwać.

Nawet sama Cathy podzielała opinię, że przez jakiś czas będzie potrzebowała terapii, która pomoże jej przez to wszystko przebrnąć. W pierwszym odruchu ponownie wybrała na swojego psychologa Grace, zrozumiała jednak, że obecnie nie jest to możliwe. Nie dlatego, że doktor Lucca stała się dla niej kimś bardzo bliskim, lecz dlatego, że wydział do spraw dzieci i rodzin rozpatrywał wniosek Grace o ustanowienie jej zastępczą rodziną nastolatki.

Ale, jak na razie, wciąż był John Broderick, z którym musiała współzawodniczyć o to miano. Nadal wielką uciechę sprawiało mu kierowanie ludźmi niczym myszami w labiryncie, w środku którego znajduje się kawałek sera. Nie musiał uciekać się do narkotyków, aby zyskać władzę nad Grace, znalazł inne sposoby manipulowania nią. Być może chorobę tego człowieka zapoczątkowały zazdrość, nienawiść i pragnienie zemsty. Doktor Lucca uważała jednak, że obecnie Broderick otrzymuje prawdziwą zapłatę za sterowanie umysłami, jakie z wielkim talentem uprawiał; za podjudzanie ludzi, by występowali przeciwko sobie.

Niezła zabawa jak na nieżyjącego już człowieka.

Nawet w celi śmierci, jeśli tam go pošlą, nie przepuści żadnej okazji po temu.

# ROZDZIAŁ 84

---

Środa, 9 września 1998

Dwa dni po Świącie Pracy do Grace zatelefonował Jerry Wagner. - Nie uwierz pani w to, co powiem - oznajmił wprost. - I z pewnością nie spodoba się to pani.

- Co się stało? - Grace poczuła ukłucie lęku.

- Broderick polecił swojemu prawnikowi, aby postarał się zablokować pani wniosek o powierzenie opieki nad Cathy.

- Nie może tego zrobić!

- Raczej mu się to nie uda - odrzekł Wagner - ale z pewnością może przysporzyć pani sporo problemów. Czy się to pani podoba, czy nie, nadal jest ojcem Cathy...

- Który przyznał się do zamordowania jej matki. - Głos Grace zabrzmiał donośnie pod wpływem furii i spowodował, że siedzący w kącie gabinetu Harry nastawił uszu. - I który oświadczył w obecności świadków, jak bardzo nienawidzi własnej córki.

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości - potwierdził Wagner.

- A więc o co chodzi?

- Musi być pani przygotowana na najgorsze.

- Na co? - Wściekłość w niej ucichła, ustępując miejsca obawie.

- Broderick zakomunikował swojemu prawnikowi, że nie dopuści do tego, aby jego córka była nadal narażona na przebywanie wśród ludzi, którzy żyją ze sobą w „niemoralnym i niewłaściwym związku". To oczywiście jego słowa, doktor Lucca. - Adwokat wydawał się zakłopotany.

- Oczywiście.

- Przykro mi, że musiałem przekazać pani tę niemiłą nowinę, i to w momencie kiedy sprawy zaczęły się pomyślnie układać dla Cathy.

- To nie pana wina. - Grace umilkła. - On nie może wygrać, prawda?

- Uważam to za mało prawdopodobne.
- Nie za niemożliwe?
- Za mało prawdopodobne, doktor Lucca.
- Ale nie niemożliwe?
- Wszystko jest możliwe - odparł prawnik. Grace zamknęła oczy.
- Chętnie zabiłabym go własnymi rękami.
- Powiem w zaufaniu, że nie tylko pani - oświadczył Wagner.

TLR

# ROZDZIAŁ 85

---

Piątek, 11 września 1998

Kiedy Sam z Martinezem weszli do dużego białego gmachu, w którym mieścił się wydział policji, czekała na niego kartka z informacją. Becket powrócił do pracy przed dwoma tygodniami i obaj detektywi świętowali właśnie pomyślne zakończenie sprawy dotyczącej serii zamachów w okolicy Indian Creek Drive.

- Czy wiesz, kto to dla mnie zostawił? - zwrócił się Sam do funkcjonariusza za biurkiem, otwierając kopertę.

- Nie mam pojęcia - odrzekł policjant. - Kiedy rozpoczynałem służbę, ten list już tutaj leżał.

Martinez dostrzegł zmianę w wyrazie twarzy partnera, gdy ten przeczytał wiadomość.

- O co chodzi?

Sam z powrotem złożył na pół małą kartkę.

- Wolałbyś tego nie wiedzieć.

Al położył Samowi rękę na ramieniu i zaprowadził go do odosobnionego kąta w holu.

- Mam wrażenie, że chciałbym. - Umilkł. - Pokaż ten list, człowieku.

- To mocna wiadomość.

- Od Brodericka?

Sam przecząco pokręcił głową.

- Niezupełnie.

- Pokaż - powtórzył Martinez. Sam wręczył mu kartkę i kopertę. Martinez z kamienną twarzą przeczytał list.

*Tatusz wydostanie się stąd, chyba że ktoś go szybko powstrzyma. W przeciwnym razie będzie próbował ją dopaść.*



Nic nie powiedział, tylko z powrotem złożył kartkę i schował ją do koperty.

- Co o tym myślisz? - zapytał Sam. Partner przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

- O czym?

- Co mam zrobić z tą wiadomością, Martinez popatrzył na niego ponuro.

- Nie widziałem żadnej wiadomości.

Obaj detektywi mierzyli się wzrokiem przez kilka kolejnych sekund.

- Postawię ci kawę, co ty na to? - zapytał Sam.

- Dopiero co jedliśmy.

- Mam ochotę na jeszcze jedną filiżankę.

Al skinął głową i oddał Samowi kopertę.

- Chodźmy.

Ponownie wyszli przed budynek, gdzie niemiłosiernie prażyło słońce. Pokonali szerokie, kamienne schody, skręcili w lewo i podążając Washington Street, dotarli do skrzyżowania z Trzynastą.

- Masz ogień? - zwrócił się Becket do Martineza. Kolega wyjął z kieszeni pudełko zapalek.

- Jeśli spowoduje to jakieś nieoczekiwane następstwa, w pełni ponoszę za wszystko odpowiedzialność, zgoda? - odezwał się Sam..

- Nie będzie żadnych nieoczekiwanych następstw.

- Zastrzegam się na wypadek, gdyby były.

- Zapal zapalke, Becket.

- Mówię poważnie, Al - oświadczył Sam chrapliwym głosem. - Nigdy nie widziałeś tego listu na oczy.

- Zrób to - polecił mu Martinez.

Sam zapalił zapalke, przytknął płomień do rogu koperty i dopóty ją trzymał, dopóki ogień nie dotarł do opuszków palców. Dopiero wtedy upuścił spalone resztki na betonowy chodnik. Upadły cicho, rozsypując się w proch.

- Boże, przebacz mi - odezwał się Sam - ale mam nadzieję, że naprawdę zamierzają to zrobić.

Martinez wtarł popiół w chodnik podeszwą prawego buta.

- Bóg ci wybacza, człowieku. - Jego ciemne oczy miały bardziej zacięty wyraz niż kiedykolwiek przedtem. - I o ile mogę cokolwiek wiedzieć, przypuszczam, że prawdopodobnie nawet jest zadowolony z takiego obrotu sprawy.

TLR

# ROZDZIAŁ 86

---

Niedziela, 13 września 1998

Stało się to w niedzielne popołudnie. W miejscu takim jak to nikt nie rozstaje się łatwo z narkotykami. Okazało się jednak, że dla Brodericka kilka osób było gotowych ich się wyrzec.

Siłą wepchnięto mu do gardła garść kondomów wypchanych zanieczyszczoną mieszanką heroiny, koki i sproszkowanego opium.

A potem, gdy nadszedł odpowiedni moment, otrzymał kilka mocnych ciosów w brzuch.

Musiał krzyczeć, kiedy umierał.

Nikt go jednak nie słyszał.

I nie przyszedł.

Był to, jak zgodnie uznali później strażnicy, o wiele bardziej bolesny sposób konania niż krzesło elektryczne.

I wydawał się, jak osobiście uważali, odpowiednim końcem dla prawdziwego łotra, jakim był John Broderick.

**Plik odzyskany**

**Nazwa pliku: mój dziennik**

**Bieżący katalog: c:/wpwin/rozmaitości**

**Informacja o pliku: 19411 bajtów**

**23/11/1998 23.10**

**Plik zabezpieczony hasłem**

**Plik: c/wpwin/rozmaitości/dziennik**

**Hasło: M-I-L-O-Ś-Ć i N-I-E.N-A-W-I-Ś-Ć**

**OK ANULUJ**

TLR

# Dziennik Cathy

---

*Sobota, 28 listopada 1998 roku*

Wiedz, kto jest twoim wrogiem. Tego mnie nauczył. I lekcja ta okazała się w rezultacie bardzo pożyteczna. Pamiętam, że kiedyś powiedział to samo o przyjaciółach.

Święto Dziękczynienia w tym roku było dla mnie ciężkim dniem. Tęskniłam za moją mamą, Arniem i ciocią Frances. Ale Grace i Sam są najlepszymi ludźmi na świecie. Jej zdaniem jest za wcześnie na to, aby przewidzieć, czy zostaną razem na zawsze. Domyślam się, że oboje muszą wiele przemyśleć.

Nie spodziewam się, że kiedykolwiek zrozumie, dlaczego on robił to, co robił. Grace mówi, że są pewne sprawy, których nigdy nie zdołamy pojąć. Uważa, że jeśli tylko posuwam się do przodu, moja nienawiść do niego nie wyrządza mi krzywdy. Tłumaczy, że czasami wszyscy musimy brać życie takim, jakie jest. Czasami nadal jeszcze ogarnia mnie strach i są rzeczy, do których prawdopodobnie nigdy ponownie nie przywyknę. Na przykład prześladowuje mnie poczucie, że jestem przez kogoś obserwowana. I nigdy nie oswoję się z przebywaniem w ciemnościach. Czasami wieczorem boję się położyć do łóżka. Nie przyznałam się do tego nikomu; nie chcę, żeby Grace o tym wiedziała. Martwią mnie też niepokojące wydarzenia z przeszłości, na przykład to, jak mogłam tamtego dnia tak postąpić z Harrym. Grace i mój nowy psycholog utrzymują zgodnie, że wtedy nie byłam naprawdę sobą. Żałuję, że nie mogę być tego pewna.

Staram się nie wracać zbyt często do tych wydarzeń. Próbuję myśleć tylko o tym, jak wielką jestem szczęściarą. Ponieważ wiem, że to szczęście, że mam Grace i Sama. Ale gdy leżę nocą w ciemnościach, wkradają mi się do głowy różne natrętne myśli. I często nie jestem w stanie ich powstrzymać.

Mam nadzieję - i zależy mi na tym bardziej niż na czymkolwiek innym na świecie - że Grace nie myli się co do jednego: nie jestem taka jak on.